

ROSS KING

# EKSLIBRIS



REBB

**Ross King**

**Ekslibris**

*Przekład Wojław Brydak*

*Tytuł oryginału Ex Libris*

Pragnę podziękować dr. Bryanowi Kingowi za pomoc w sprawach  
dotyczących alchemii i astronomii.

*dla Lynn*

*Dla mnie, biedaka,*

*Moje księgozbiory miały być księstwem*

*Aż nadto rozległym.*

Shakespeare, *Burza*  
(przekład Jerzy S. Sito)

**Część pierwsza**  
**Księgozbiór**

## I

Kto w roku 1660 pragnął nabyć w Londynie książkę, wybierał między czterema adresami. Przy St Paul's Churchyard księgarze sprzedawali dzieła nabożne; przystanią ksiąg łacińskich i greckich były księgarnie i kramy Małej Brytanii, na zachodnim krańcu Fleet Street czekał na adwokatów, urzędników i sędziów pokój dostatek tekstów jurystycznych. Czwartym zaś adresem - stanowczo najlepszym - był London Bridge. Pod szpiczastymi dachami budynków na wiekowym moście kryła się wówczas pstrokata obfitość przeróżnych pracowni i sklepów. Tam się usadowili dwaj rękawicznicy, płatnerz, dwaj kapelusznicy, kupiec herbaciany, introligator, paru szewców, nie mówiąc o wytwórcy jedwabnych parasoli, który to wynalazek świeżo wszedł był w modę. Na północnym przyczółku miał swój sklep *plummassier*, u którego można było nabyć jaskrawo barwione pióra, wpinane potem do bobrowych czapek, w jakich gustował nowy król. Przede wszystkim jednak zadomowili się na moście doborowi księgarze; w 1660 roku było ich w sumie sześciu. Ponieważ nie gromadzili książek z myślą o dogodzeniu komukolwiek w szczególności, czy to prawnikom, czy duchownym, mieli na składzie zbiory znacznie bardziej urozmaicone niż tamci, pod trzema pozostałymi adresami; na London Bridge można było znaleźć na półkach niemal wszystko, co kiedykolwiek nabazgrano na pergaminie bądź wydrukowano i upakowano między okładki. Przy czym księgarnia posiadająca zbiór najbardziej wszechstronny znajdowała się na samym środku mostu w Nonsuch House, gdzie nad zielonymi drzwiami i dwoma garniturami starannie wypolerowanych szklanych gomółek okiennych wisiał szyld; sfatygowany przez wiatry i deszcze napis głosił:

NONSUCH BOOKS

Kupno i sprzedaż

Wszelkie księgi i rękopisy

Właściciel

Isaac Inchbold

Isaac Inchbold to ja. Latem 1660 roku byłem właścicielem Nonsuch Books od osiemnastu lat, licząc z grubsza. Sama księgarnia - z gęsto wypełnionymi półkami na parterze i ciasnymi pomieszczeniami u góry, do których wiodły spiralne schody - znacznie wcześniej, bo niemal przed czterdziestoma laty, zapuściła korzenie w narożniku Nonsuch House, najładniejszego budynku na moście. W roku 1635 przyjęto mnie tam do terminu jako czternastolatka, po tym jak fala zarazy zabrała mi ojca, a matka, zapoznawszy się z ojcowskimi długami, sięgnęła po filizankę trucizny. Śmierć pana Smallpace'a, mego pryncypała - który także zmarł od morowego powietrza - zbiegła się z kresem mego terminowania i wstąpieniem do gildii księgarzy. Tegoż pamiętnego dnia stałem się właścicielem Nonsuch Books, gdzie też zamieszkałem i gdzie moim dalekim od ładu towarzystwem stały się tysiące tomów oprawnych w marokin i bukram.

Moim udziałem stało się życie wśród księgarskich półek z orzecha, spokojne i kontemplacyjne. Składały się nań czynności utrwalone, niezakłócone, nierzucające się w oczy. Byłem człowiekiem wykształconym i rozumnym - w każdym razie chętnie tak o sobie myślałem - lecz o znikomym doświadczeniu. Wiedziałem wszystko o książkach, ale niewiele, przyznaję, o świecie tętniącym życiem po tamtej stronie zielonych drzwi. W ów obcy obszar obracających się kół, buchającego dymu i śpiesznie pomykających stóp zapuszczałem się jak najrzadziej. Do roku 1660 moje podróże sięgnęły poza bramy Londynu nie dalej niż na dwadzieścia pięć mil<sup>1</sup>, sam zaś Londyn też przemierzałem nieczęsto i tylko pod naporem okoliczności, kiedy nie mogłem się już od tego wywinąć. Podczas załatwiania prostych spraw często czułem się beznadziejnie zagubiony w gmatwaniu obrzydliwie brudnych, tłocznych ulic, a przecież jej skraj dzieliło od północnej bramy mostu zaledwie dwadzieścia kroków; kiedy potem dokuśtykałem już do moich półek z książkami, miewałem wrażenie, że wracam z wygnania. To wszystko sprawia - w połączeniu z krótkowzrocznością, astmą i kaleką nogą, która czyni mnie chromym - że do mej roli w nadchodzących

wydarzeniach pasowałem nie lepiej niż garbaty do ściany.

Cóż jeszcze winniście o mnie wiedzieć? Byłem z siebie zadowolony wręcz do przesady, wprost sobą zachwycony. Czterdziesty rok życia rozpoczynałem, mając wszystko, czego może zapragnąć człowiek o moich upodobaniach. Dobrze prosperująca firma, prócz tego wszystkie zęby, większość włosów, ślady siwizny tylko na brodzie, wreszcie okazały bandzioszek, na którym mogłem opierać książkę w wieczornych godzinach, spędzanych zazwyczaj w ulubionym fotelu wyściełanym końskim włosiem. Starsza kobieta imieniem Margaret gotowała mi co wieczór kolację, a inna uboga nieszczęsnica, Jane, dwa razy w tygodniu prała brudne pończochy. Żony nie miałem. Za młodu ożeniłem się, lecz Arabella zmarła przed paroma laty, w pięć dni po zadrażnieniu palca rygłem u drzwi. Nasz świat był niebezpieczny. Dzieci także nie miałem. Owszem, spłodziłem, co do mnie należało - w sumie czwórkę - lecz dzieci również pomarły za sprawą tej czy innej przypadłości i teraz spoczywają obok matki na przykościelnym cmentarzyku Św. Magnusa Męczennika, dokąd wyprawiam się co tydzień z bukietem kwiatów nabytych na straganie. Ponownego małżeństwa ani się spodziewałem, ani pragnąłem. Sytuacja odpowiadała mi w najwyższej mierze.

Cóż więcej? Mieszkałem samotnie, jeśli nie liczyć Toma Monka, praktykanta, któremu po pracy musiało starczyć najwyższe piętro Nonsuch House, gdzie jadał i sypiał w izdebce niewiele większej od schowka. Monk nigdy jednak nie narzekał. Rzecz jasna, ja też nie. Miałem więcej szczęścia niż lwia część pozostałych czterystu tysięcy dusz stłoczonych między murami Londynu lub za murami w London Liberties<sup>2</sup>. Firma zapewniała mi sto pięćdziesiąt funtów rocznie, co było wówczas ładną sumką, zwłaszcza dla człowieka nieobciążonego rodziną ani łakomego zmysłowych uciech, jakże przystępnych w Londynie. Moja idylla spod znaku książek i spokoju trwałaby nadal, moje wygodne życie pozostałoby pewnie nietknięte, wciąż biegłoby rozkosznie niezakłócone, aż po miejsce na czekającej już prostokątnej



działeczce u boku Arabelli, gdyby nie szczególne wezwanie, które nadeszło do księgarni pewnego letniego dnia roku 1660.

Owego ciepłego lipcowego ranka uchylily się przede mną i wabiąco zaskrzypiały drzwi osobliwego domu zagadek. I oto mnie, mającemu się za człowieka rozsądnego i sceptycznego, pisane było przemierzanie w nieświadomości ciemnych arterii tego domu, kuśtykanie zamaskowanymi przejściami, poprzez tajemne izby, w których - w tyleż lat później - wciąż nadaremnie szukam tropu. Łatwiej znaleźć labirynt, pisze Comenius, niżli przewodnią nić. Każdy labirynt wszakże, powiada Boecjusz, jest kręgiem, który tam się zaczyna, gdzie kończy. Muszę więc zawrócić, przemierzyć wstecz błędnie obrane drogi, by rozwinąwszy za sobą nić słów, znów stanąć tam, gdzie się rozpoczyna, przynajmniej dla mnie, historia sir Ambrose'a Plessingtona.

Zdarzenie, o którym opowiadam, nastąpiło w pierwszym tygodniu lipca, we wtorek rano. Datę dobrze pamiętam, było to bowiem wkrótce po powrocie króla z wygnania we Francji; Karol II miał zasiąść na tronie pustym od jedenastu lat, od śmierci ojca, ściętego przez Cromwella i jego kompanów. Dzień zaczął się jak zwykle. Odrygłowałem drewniane okiennice, opuściłem zieloną markizę, którą owionęła łagodna bryza, i posłałem Toma Monka na Poczta Generalną przy Clock Lane. Do obowiązków Monka należało wyniesienie co rano popiołu spod rusztu, zamiecenie podłogi, opróżnienie nocników, umycie zlewu i przyniesienie węgla. Zanim się jednak zabrał do tych zadań, wysłałem go przez Dowgate po listy. Bardziej mi zależało na poczcie, zwłaszcza we wtorki, kiedy nadchodził worek z Paryża dostarczany pocztowym statkiem. Kiedy Monk wreszcie wrócił musiał się w drodze powrotnej jak zwykle pętać po Thames Street - na moim brzuchu wspierał się egzemplarz *Don Kichota* z 1652 roku w przekładzie Sheltona. Uniosłem wzrok znad książki, poprawiłem okulary i popatrzyłem na postać w drzwiach. Żaden optyk nie był w stanie oszlifować pary szkieł na tyle grubych, żeby należycie dogodziły moim wytrzeszczonym oczom. Założyłem książkę wskazującym palcem i ziewnąłem.

- Dostaliśmy coś?

- List, proszę pana. Jeden.

- Tak? No to dawaj.

- Kazali zapłacić dwupensówkę.

- Słucham?

- Ten urzędnik, proszę pana. - Monk wyciągnął rękę. - Powiedział, że jest niedopłata. Źle opłacony list. Więc musiałem dać dwupensówkę.

- Doskonale. - Odłożyłem *Don Kichota* i nie kryjąc irytacji, wręczyłem Monkowi monetę, a potem pochwyliłem list. - Teraz zejdz mi z oczu. I przynieś węgiel.

Spodziewałem się wiadomości od monsieur Grimauda, mego paryskiego faktora, któremu poleciłem wystarać się o egzemplarz *Odysei* w wydaniu Vignona. Od razu jednak zobaczyłem, że list - pojedyncza kartka przewiązana sznurkiem, z wytłoczoną pieczęcią - jest opatrzony zielonym znakiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nie zaś czerwonym Spraw Zagranicznych. Dziwne, bo na Poczcie Generalną listy krajowe nadchodziły w poniedziałki, środy i piątki. Ale nie zastanawiałem się wówczas nad tą osobliwością. Poczta przeżywała gwałtowne zmiany, jak wszystko. Większość dawnych pocztmistrzów - najobrotniejszych szpiegów Cromwella, jak powiadano - już usunięto ze stanowisk, a Johna Thurloe, poczmistrza generalnego, wsadzono do Tower.

Obracałem list w rękę. W prawym górnym rogu w pieczęci na znaczku widniała data „1 lipca”, co oznaczało, że na Poczcie Generalną list trafił przed dwoma dniami. Pochyłym i nerwowym pismem sekretarskim<sup>3</sup> wypisano w poprzek moje nazwisko i adres. W kilku miejscach litery się porozlewały, w innych były blade, jakby pisano starym, zbrylającym się tuszem bądź gęsim piórem, którego koniuszek już się rozłaził albo zdarł. Na odwrocie na podłużnym odcisku sygnetu widniał herb z napisem „Marchamont”. Nożykiem do piór przeciąłem postrzępiony sznurek, kciukiem złamałem pieczęć i

rozwinąłem kartkę.

Do dzisiaj zachowałem ów dziwny list, owo wezwanie, pierwszy z wielu tekstów, które powiodły mnie w stronę wciąż niedosięgłej postaci sir Ambrose'a Plessingtona. Przepisuję go tutaj słowo w słowo:

28 czerwca  
Pontifex Hall  
Crampton Magna  
Dorsetshire

*Łaskawy Panie,*

*Ufam, że Pan wybaczy zuchwałość, czyli fakt, że oto do nieznanego pisze dama i chce przedłożyć prośbę wprawiającą na pewno w zdumienie; wszelako jestem zmuszona dostosować się do okoliczności. Owe przygnębiające sprawy nie cierpią zwłoki, niemniej spodziewam się, że zdoła Pan odegrać niepoślednią rolę w ich rozwiązaniu. Nie wazę się wyliczyć dalszych szczegółów, póki osobiście nie zjednam sobie Pańskich względów, tymczasem zaś muszę, za co przepraszam, w zupełności polegać na Pańskim zaufaniu.*

*Pragnę, by Pan zaszczyił swą obecnością Pontifex Hall w najbliższym dogodnym dla Pana czasie. W tym celu pojazd powożony przez pana Phineasa Greenleafa będzie czekał pod szyldem Trzech Gołębi w High Holborn 5 lipca o 8 rano. Nie musi się Pan niczego obawiać w związku z podróżą wartą, co obiecuję, Pańskiego cennego czasu.*

*Teraz muszę już kończyć, zapewniając, drogi Panie, o mojej wdzięczności.*

*W najwyższej mierze zobowiązana*

*Alethea Greatorex*

*POSTSCRIPTUM: Proszę, by Pana krokami kierowała ostrożność; proszę nikomu nie wspominać, że Pan otrzymał ten list, proszę też nikomu nie wyjawiać celu ani kierunku podróży.*

To wszystko, tyle. W osobliwej wiadomości zabrakło dalszych

wskazówek bądź dalszych zachęt. Po ponownym przeczytaniu listu chciałem go w pierwszym odruchu zmiąć i zamienić w kulę papieru. Nie miałem wątpliwości, że „przygnębiające sprawy” Alethei Greatorex, które „nie cierpią zwłoki”, polegają na pozbyciu się przetrzebionych dóbr, które przypadły jej po zmarłym niebogatym mężu. Godne pożałowania niedopłacenie listu nasuwało myśl o niedostatku autorki. Widocznie do mizernych powabów Pontifex Hall zaliczała się jakaś biblioteka, której skromnymi zasobami Alethea Greatorex miała nadzieję ugłaskać wierzycieli. Oczywiście prośba tego rodzaju nie była niczym szczególnym. Już trzy - lub czterokrotnie zajmowałem się wyceną przygnębiających resztek ze zrujnowanych posiadłości należących przede wszystkim do starych rodzin rojalistów, których dobra obróciły się wniwecz za czasów Cromwella; smutne to było zajęcie. Zazwyczaj sam kupowałem co lepsze tytuły, a nadgryzioną przez robactwo resztę posyłałem handlującemu tandetą panu Hopcroftowi albo na aukcję. Jednak tego rodzaju prośby nikt jeszcze nie obwarował tajemniczymi zastrzeżeniami i nie wymagał też ode mnie podróży aż do Dorsetshire.

Mimo wszystko nie wyrzuciłem listu. Przemówił mi do wyobraźni ów zagadkowy zwrot „nie ważę się wyliczyć dalszych szczegółów”, podobnie jak zawarta w postscriptum prośba o zachowanie tajemnicy. Jeszcze głębiej nasunąłem na nos okulary i znów utkwilem w kartce spojrzenie krótkowidza spod przymrużonych powiek. Ciekawe, czego miałbym się „obawiać” w związku z podróżą i jak miałyby się spełnić niejasna obietnica, że wyjazd okaże się wart poświęconego czasu. Korzyść, o której napomykano w liście, robiła - w porównaniu z pospolitą transakcją finansową - wrażenie większej, ale i mglistej. A może zadziałała po prostu moja wyobraźnia, która jak zwykle pragnęła spleść, a potem rozplątać zagadkę?

Monk wyniósł już śmieci i popiół, a teraz wrócił z paroma kawałkami węgla. Postawił grzechocący kubeł na podłodze, westchnął, wyciągnął miotłę i w strudze słonecznego światła zaczął ospale zamiatać. Odłożyłem list, by po

sekundzie podnieść go i przyjrzeć się bliżej sekretarskiemu pismu, wówczas już staroświeckiemu. Przeczytałem list znowu, powoli, a treść już nie wydała mi się taka oczywista; już nie byłem pewien, czy to naprawdę kołatanie wdowy pogrążonej w kłopotach pieniężnych. Rozłożyłem papier na kontuarze i uważniej przyjrzałem się herbowi oraz pieczęci; teraz pożałowałem pośpiechu, z jakim złamałem pieczęć, bo już nie mogłem odczytać napisu.

W tej właśnie chwili zauważyłem coś szczególnego, następną dziwną i na razie niewytłumaczalną właściwość. Podniosłem papier do światła; widać było, że autorka złożyła papier dwukrotnie, a następnie opieczętowała nie woskiem, lecz rdzawo zabarwionym szelakiem. Oczywiście w tym jeszcze nie było nic dziwnego, większość piszących, ja też, pieczętowała listy, topiąc laskę szelaku. Lecz po zebraniu okruchów, które próbowałem złożyć, żeby odtworzyć odcisk, zauważyłem, że szelak jest zmieszany z substancją o innej konsystencji i barwie; z substancją ciemniejszą i nie tak lepką.

Przesunąłem list na płamę światła padającego ukosem na kontuar. Miotła chrobotła po deskach podłogi, a ja uświadomiłem sobie, że w oczach Monka lśni ciekawość. Ostrzem nożyka do piór podważyłem pieczęć delikatnie, jak aptekarz rozcinający łupinę kryjącą nasiono rzadkiej rośliny. Mieszanka pękła, resztki rozsypały się po kontuarze. Teraz mogłem z łatwością odróżnić pszczeli wosk od szelaku, z którym z jakichś powodów ów wosk zmieszano. Ostrożnie oddzieliłem kilka ziarenek, zaskoczony drżeniem własnej ręki.

- Coś się nie zgadza, proszę pana?

- Nie, Monk. Wszystko w porządku. Pilnuj swojej roboty. Wyprostowałem się i spojrzałem nad głową Monka przez okno. Na wąskiej ulicy trwała poranna krzątania, toczyły się koła, kołysały głowy. Z jezdni wzbijał się kurz, w pasmach porannego słońca przemieniając się w złoto. Spojrzałem niżej, na okruchy na kontuarze. Czy ta mieszanka o czymś świadczy? Jeżeli tak, to o czym? Że na pieczęci lady Marchamont pozostały resztki wosku? Że może chwilę wcześniej zapieczętowała inny list woskiem, by

zaraz potem list do mnie pieczętować szelakiem? Niewiele w tym sensu. Lecz równie niedorzeczna wydawała się inna możliwość: ktoś w takim razie stopił oryginalną pieczęć woskową, a potem zamknął list podrabianą pieczęcią odcisniętą w szelaku.

Serce zabiło mi żywiej. Tak, to się wydaje najbardziej prawdopodobne, ktoś przy pieczęci majstrował. Ale kto? Na Poczcie Generalnej? To może tłumaczyć zwłokę w oddaniu listu, właśnie dlatego był gotów do odbioru we wtorek, zamiast w poniedziałek. Krążyły plotki, że na najwyższym piętrze Poczty Generalnej pracują otwieracze i kopiści korespondencji. Do czego jednak mieli się tu dobierać? Nigdy wcześniej, o ile mi wiadomo, nikt nie otwierał moich listów, nawet paczek nadsyłanych przez faktorów z Paryża czy Oksfordu, czyli z dwóch bastionów, w których schronili się rojaliści: uchodźcy i dysydenci.

Już raczej można by przyjąć, że nadzór ustanowiono nad moją korespondentką. Wszelako nie opuszczało mnie poczucie, że tu się kryje coś dziwnego. Jeżeli lady Marchamont ma powody do obaw, to dlaczego powierzyła korespondencję poczcie, czyli pośrednikowi znanemu z braku skrupułów? Dlaczego nie przekazała zaproszenia przez pana Phineasa Greenleafa albo innego posłańca?

Złożyłem list wzdłuż zagięć i wsunąłem do kieszeni; nic mnie nie zaniepokoiło, chociaż powinno. Zamiast tego poczułem zaledwie mierne zainteresowanie. Byłem ciekaw, to wszystko. Miałem wrażenie, że ten osobliwy list i pieczęć są tylko częściami jakiejś zagadki najzupełniej pojmowalnej, rozwiązywalnej dzięki mocom rozumu; żywiłem zaś otchłannie głęboką wiarę w moce rozumu, zwłaszcza własnego. List był po prostu jeszcze jednym tekstem czekającym na gruntowne odczytanie.

Tak oto pod wpływem nagłego impulsu kazałem nieufnemu Monkowi doglądać księgarni, sam natomiast, na podobieństwo Don Kichota, jąłem przygotowywać się do rozstania z moimi półkami pełnymi książek i podróży na

wieś, w świat, którego jak dotąd udawało mi się unikać. Przez resztę dnia zajmowałem się zazwyczaj klientami; pomagałem im znaleźć to a nie inne wydanie danej pracy bądź takie akurat komentarze do innej. Lecz dzisiaj rytuał został odmieniony, przez cały czas słyszałem bowiem szelest listu w kieszeni, podobny do anonimowego, ledwie dobiegającego konspiratorskiego szeptu. Zgodnie z poleceniem nie pokazałem nikomu listu, nikomu też, nie wyłączając Monka, nie powiedziałem, dokąd jadę ani komu zamierzam złożyć wizytę.

## II

Nazajutrz, licząc od nadejścia listu, zjawili się w Londynie jeszcze przed brzaskiem trzej konni, wjechawszy drogą ze wschodu. Wieże i kominy miasta dostrzegli w porze blednięcia gwiazd, kiedy chmury tu i ówdzie zaczyna powlekać jasność; trójca przybranych w czerń jeźdźców przegalopowała nad rzeką w stronę Ratcliff. Musieli odbyć długą podróż, o której wszakże wiem niewiele, z wyjątkiem ostatnich paru mil. Dwa dni wcześniej wylądowali w Romney Marsh w Kent, przeprawiwszy się kutrem rybackim przez Kanał. Rejs musiał trwać dobrych osiem godzin nawet przy sprzyjającej pogodzie i spokojnym morzu, a porę lądowania starannie zaplanowano. Szyper Calfhill - który na pięćdziesięciomilowym pasie tego oraz przeciwległego wybrzeża znał każdą mieliznę, zatoczkę i każdego celnika - otrzymał szczegółowe wskazówki. Przybili do brzegu po ciemku podczas przyływu, kiedy dziób się wznosi i opada na fali; kuter sunął cicho, na dziobie stał szyper z bosakiem. Szopy celników przy plaży powinny o tej porze świecić pustką, ale to mogło potrwać najwyżej godzinę, a może krócej, więc trzeba się było śpieszyć. Calfhill rzucił kotwicę, a kiedy łapy zaryły w dno, przesadził burtę i znalazł się po kolana w wodzie, lodowatej nawet o tej porze roku. Wysiadali bez pochodni, bez palenia ognia; szorując dnem po kamieniach, przepchnęli kuter aż do granicy przyływu, gdzie pod osłoną łóz już czekały uwiązane trzy czarne ogiery. Osiodłane konie rżały i biły w ziemię kopytami. Poza tym brzeg był pusty.

Cujny i podejrzliwy Calfhill kręcił się niecierpliwie przez parę minut;

mężczyźni brodzili tymczasem w wodzie, zmywając z rąk i twarzy sadzę. Znad morza w głąb lądu przeleciał klucz siewek. Ku morzu spływały zapachy tymianku i śpiących na pastwisku owiec. Do świtu zostało ledwie kilka minut, tymczasem pasażerowie Calfhill'a guzdrali się jak podczas drobiazgowej porannej toalety. Jeden zatrzymał się nawet, żeby wilgotną chusteczką wypolerować złote guziki na kurcie - czymś w rodzaju czarnej liberii - a potem schylił się jeszcze, żeby przetrzeć czubki butów. Nie lada pedant.

- Na litość boską - zamruczał Calfhill. Szyper zdawał sobie sprawę z ryzyka, nawet jeśli zapominali o nim pasażerowie. Calfhill był „sówką”, przemytnikiem, który z worami angielskiej wełny przemyka do Francji, a z powrotem szmugluje skrzynie wina i brandy. Nie gardził także szmuglowaniem ludzi, jeszcze zyskowniejszym. Hugenoci i katolicy jak beczki wina czy brandy płynęli do Anglii, podczas gdy rojaliści podróżowali w przeciwnym kierunku, do Francji. Teraz zaś uciekali z Anglii purytanie, to jasne; dla nich celem była Holandia. W ciągu ostatnich sześciu tygodni Calfhill przeprowadził przez Kanał co najmniej tuzin purytanów, z Dover lub Romney Marsh do Zelandii bądź na holenderskie szkunery stojące na kotwicy nieopodal North Foreland. Z tych zaś szkunerów przerzucił paru ludzi do Anglii, gdzie mieli działać jako szpiedzy zwalczający króla Karola. Nie było to bezpieczne zajęcie, lecz szyper wyliczył, że jeśli by owe oszustwa i zdrady potrwały (a potrwają, wiadomo, bo ludzka natura jest, jaka jest), to po czterech latach mógłby się wycofać, by znaleźć sobie na Jamajce spokojną plantację trzciny cukrowej.

Ostatnie zadanie wydało się jednak czymś szczególnym nawet tak doświadczonemu „sówce” jak Calfhill. Dwa dni wcześniej w Calais, w tawernie w *basse ville*<sup>1</sup>, gdzie zbierał zazwyczaj wiadomości o partiach brandy, podszedł do niego mężczyzna nazwiskiem Fontenay, zapłacił połowę uzgodnionej sumy - dziesięć pistoli złotem - i udzielił wyczerpujących wskazówek. Kolejna zyskowna nocna robota. Potem Fontenay zniknął, natomiast wczoraj o zmroku zgodnie z umową zjawili się obcy w pewnym osłoniętym miejscu, skąd Calfhill



przebrany za rybaka zazwyczaj odbijał z beczkami, a od czasu do czasu z agentami rojalistów bądź katolickimi księżmi (jeżeli trafnie odgadywał tożsamość). Nowi pasażerowie Calfhilli ciężko dyszeli, wdrapując się na pokład. W księżycowej poświacie szyper dobrze się przyjrzał jednemu: był tęgi, rumiany na twarzy jak żona oberżysty, miał ciężkie powieki, zmysłowe usta i wypasione brzuszysko, zapewne godne podziwu w oczach londyńskiego rajcy. Typ niezbyt oceaniczny. Czy, jak tylu innych, rozchoruje się na kutrze i zrzyga przez burtę? Rzecz dziwna - nie zachorował. Przez cały rejs mężczyźni nie odezwali się nawet słowem, ani do Calfhilli, ani do siebie, chociaż szyper - w pewnej mierze poliglota, jak tego wymagał proceder - próbował ich zagadnąć po angielsku, francusku, holendersku, hiszpańsku i włosku.

Teraz trzech mężczyźni, wciąż milcząc, maszerowali chwiejnie ku rżącym ogierom, pod których kopytami trzeszczały zeschnięte łozy. Calfhill po raz dziesiąty się zastanawiał, jaki kraj - bądź jaki sojusz z jakiego kraju - przysłał tutaj tych ludzi. Wydawali się dżentelmenami, co zakrawało na osobliwość, bo szpiegowanie, jak wskazywały obserwacje Calfhilli, nie jest w zasadzie zajęciem dżentelmenów. Na ogół ludzie szmuglowani stanowili czeredę chamowatych łotrów, wszelkiego rodzaju zbirów, kanciarzy, szubrawców, oprychów i rzezimieszków, z zasady wyłowionych z najgorszych londyńskich bądź paryskich zamtułów i spelun, potem zaś nędznie opłaconych za to, że zdradzą swych przyjaciół i swe kraje, do czego aż się palili. Ale ci? Na takie burzliwe rozrywki wydawali się zbyt miękcy. Dłonie grubasa, który wręczał Calfhillowi resztę monet, były gładkie i pulchne jak dłonie damy. Zanim uczernił się sadzą, od którego to zabiegu wpierw się uchylał, z gładkich policzków spływała woń mydła do golenia i perfum. Ich czarne szaty, płaszcze, kamizele, spodnie do konnej jazdy, kaftany, wszystko to było dobrego kroju, nawet nieco ostentacyjnie zdobione paroma złotymi pętelkami i tasiemkami. Cóż za fatalna powinność wywlokła ich z winiarni, z za suto zastawionych stołów, że teraz ryzykują zdrowie i życie w Anglii?

W końcu cała trójka gotowa była do odjazdu. Grubas niezdarnie wdrapał się na konia dopiero za czwartym razem - pewnie przyzwyczajony do podnóżka, uznał Calfhill - a potem, nie zdobywszy się nawet na skinienie bądź pomachanie ręką, skierował perszerona na stromy pagór. Jeźdźcem był beznadziejnym, co Calfhill zaraz zauważył. Kolebał się na boki, kolebała się też i podskakiwała głowa, grube, lecz wiotkie nogi odbijały się od boku końskiego w rytm kroków zwierzęcia. Ów człowiek zwykł raczej podróżować powozem lub lektyką, uznał Calfhill. Nieszczęsny koń natężył się, wspiął ku trawiastej krawędzi, rozpaczliwym wysiłkiem wdarł na górę, a potem pocwałował w głąb łądu.

Zrobiwszy swoje, Calfhill odwrócił się i zaczął spychać łódź na wodę. Spieszył się, bo w tej samej *auberge* w Calais odnalazł go ktoś jeszcze oprócz Fontenaya; w zatoczce oddalonej o dwie mile czekało na Calfhill'a niemal sto siedemdziesiąt funtów pierwszorzędnej wełny z Cotswoldów. W nadbrzeżnych trzcinach miał się spotkać z trzema mężczyznami i zainkasować pięć pistoli; po przeszmuglowaniu tej wełny Calfhill miał na francuskim brzegu dostać drugie tyle. Lecz teraz prócz chrobotania kilu na kamieniach usłyszał jakiś odgłos za sobą. Odwrócił się i zobaczył, że jeden z jeźdźców nie zniknął z plaży, a koński łeb zwrócony jest ku morzu.

- Słucham? - Calfhill wyprostował się i przeczłapał kilka kroków z powrotem. - Zapomniał pan czegoś?

Jeździec w czerni nie odpowiedział. Ściągnął tylko cugle i zawrócił konia ku wzgórzu. Później, jakby przyszło mu to na myśl w ostatniej chwili, obrócił się w siodle i z fałdów płaszcza, pod którymi błysnął złocisty brokat, wyciągnął skałkowy pistolet.

Calfhill zdumiał się, jak na widok sprytnej sztuczki, a potem cofnął o krok.

- Co u diabła...?

Mężczyzna bez słowa wypalił. Po wybuchu, dziwnie niegłośnym, u lufy wykwitł obłoczek dymu. Ołowiana kula ugodziła Calfhill'a prosto w pierś.

Cofnął się chwiejnie o krok, podobny w tym momencie do niezdarnego tancerza, potem opuścił głowę, by ze zdumieniem przyjrzeć się ranie, z której krew tryskała jak wino z odszpuntowanej beczki. Podniósł ręce, żeby zatamować strumień, lecz cały przód kubraka już pociemniał, natomiast twarz szypra zbielała jak kreda. Usta otwierały się i zamykały, jakby szykowały się do ogłoszenia ostatniego sprzeciwu. Słów oburzenia nikt już jednak nie usłyszał, bo płynnym, nieledwie baletowym ruchem Calfhill wykonał półobrót i runął w nadwodne trzciny.

Mężczyzna wsunął pistolet pod płaszcz i po pięciu minutach dołączył do towarzyszy, czekających na wzniesieniu. Przez milę wszyscy trzej jechali pofałdowanym pustkowiem, wynajdując owcze ścieżki. Potem skręcili w głąb łądu, na wąską drogę pocztową. Tymczasem kilka piaskowych krabów pomykało po kamykach w stronę ciała Calfhill, nad którym jak żałobnice gięły się wysokie łoży. Przez parę najbliższych dni zwłok nie odnaleziono, a tymczasem trójca jeźdźców dotarła do bram Londynu.

### III

Jedyna w tamtych czasach trasa do Crampton Magna wiodła najpierw drogą z Londynu na Plymouth, a za Shaftesbury zawracała na południe; wtedy trzeba ją było wytropić w sieci niewyraźnych, rzadko uczęszczanych drożyn - z pasemkiem bruku pod lewe i prawe koło - wiodących ku odległemu wybrzeżu. W pobliżu Dorchester najlichsza z tych drożyn biegła skrajem wioski, dziesięciu, może dwunastu chat, które przycupnęły w przytulnym zagłębieniu między niskimi wzgórzami; zbudowane z bali chałupy kryła strzecha, zakopcona i omszała. W Crampton Magna - bo okazało się, że w końcu jesteśmy u celu - stał jeszcze zrujnowany młyn z popękkanymi śluzami, jeden jedyny zajazd, kościół z ośmioboczną wieżą, a nad skąpo sączącym się, rudo zabarwionym od torfu strumykiem, przeciętym w jednym miejscu brodem, wznosił się o sto jardów dalej wąski kamienny most.

Słońce osuwało się już na wzgórze, kiedy powóz, którym podróżowałem,

przybliżył się do wioski, a potem z trudem poszorował po ciasnym moście. Od otrzymania listu z zaproszeniem minęło pięć dni. Wychyliłem się przez okienko, żeby się przyjrzeć domom i kościołowi. W powietrzu snuł się lekki zapach palonego drewna, ale w gasnącym świetle dnia wioseczka wpleciona w długie cienie zachodu wydała się dziwnie pusta. Na tych drożynach za Shaftesbury przez cały dzień nie spotkaliśmy żywej duszy, jeśli nie liczyć stada owiec o czarnych pyskach; miałem teraz wrażenie, że zajechałem na skraj urwiska na pustkowiu.

- Daleko jeszcze do Pontifex Hall?

Powózcy Phineas Greenleaf wydał to samo niskie, godne wołu chrząknięcie, którym kwitował większość moich pytań. Po raz dziesiąty chyba zastanawiałem się, czy jest głuchy. Stary, ponury, ospały. Zdarzało się w tej podróży, że zamiast patrzeć na przepływające krajobrazy, obserwowałem guz na karku Greenleafa i jego uschniętą lewą rękę sterczącą ze skróconego rękawa. Trzy dni temu czekał na mnie, zgodnie z umową, w High Holborn przed Trzema Gołębiami. Powóz dalece przewyższał pozostałe pojazdy na przystajennym placu oberży, była to obszerna czteroosobowa karetka z wyściełanym kozłem, z zewnątrz lakierowana, w której mogłem zobaczyć własne zniekształcone odbicie. Na drzwiach widniał starannie wymalowany herb. Musiałem skorygować wyobrażenie o pieniężnych niedostatkach mej przyszłej gospodyni.

- Więc czeka mnie spotkanie z lady Marchamont? - spytałem Greenleafa, kiedy udało nam się szczęśliwie przemknąć przez ciasny wyjazd z przystajennego placu. W odpowiedzi usłyszałem niechętne chrząknięcie; niezrażony odważyłem się pytać dalej: - Czy lady Marchamont życzy sobie nabyć któreś z moich książek?

Tym razem miałem więcej szczęścia.

- Kupować pańskie książki? Co to, to nie, proszę pana - odrzekł po chwili, wpatrzony gniewnie w drogę. Z głową wytkniętą do przodu i opuszczoną poniżej ramion przypominał sępa. - Rzekłbym, że lady Marchamont ma tyle

książek, że starczy.

- Zatem pragnie te książki sprzedać?

- Sprzedać?- Tu nastąpiła kolejna pauza; wypełnił ją namysł. Po woźnicy znać było zakłopotanie: Greenleaf ściągnął brwi, a zmarszczki poryty jego policzki i czoło jak znaki pisma klinowego. Ściągnął bobrową czapkę z płaskim denkiem, odsłaniając łysą głowę nakrapianą jak przepiórcze jajo, i wytarł czoło. Wreszcie uschniętą dziecięcą ręką znowu nałożył czapkę i pozwolił sobie na donośny chichot. - Moim zdaniem, nie ma mowy, proszę pana. Lady Marchamont bardzo lubi swoje książki.

Mniej więcej do tego się sprowadził nasz dyskurs w ciągu tych trzech dni. Greenleaf zdawał się nie słyszeć kolejnych pytań albo je zbywał tym chrząknięciem. Ponadto podczas pierwszego noclegu w Bagshot i następnego w Shaftesbury uczestował mnie upiornym chrapaniem, które wybijało mnie ze snu.

Powolność podróży mogła rozwścieczyć. Byłem dzieckiem miasta, miałem we krwi miejski pośpiech i zadymienie, napór tłumu, toczenie się po bruku żelaznych kół, dlatego nasze leniwe przemierzanie wiejskich stron, bezludnych wrzosowisk i bezimiennych wioserek stawało się dla mnie nieznośne. Posępnemu Greenleafowi wcale się jednak nie śpieszyło. Siedział na koźle wyprostowany, lejce trzymał luźno, bat wetknięty między kolana dyndał jak wędka nad pełnym pstrągów strumieniem, i tak mila za milą. Teraz, za Crampton Magna, drożyna bardzo podupadła. Wprawdzie ostatni etap podróży liczył zaledwie milę, najwyżej dwie, ale pochłonął jeszcze godzinę. Zdawało się, że od lat nikt tędy nie jechał. Droga w pozarastanych miejscach właściwie niknęła, gdzie indziej lewa koleina biegła znacznie wyżej niż prawa, albo na odwrót, czasem w obu koleinach zalegały spore kamienie. Po dachu szorowały gałęzie nieprzyciętych drzew, po drzwiach nieprzycięte buczynowe i głogowe żywopłoty. Co chwilę groziła nam przewrotka. W końcu, kiedy kareta przecisnęła się przez kolejny kamienny mostek, Greenleaf ściągnął lejce i odłożył bat.

- Pontifex Hall - burknął jakby do siebie.

Wytknąłem głowę przez okno; oślepiły mnie na chwilę niesamowite pasma nisko wymalowane na nieboskłonie. Wpierw dostrzegłem tylko monumentalny łuk i zwornik u szczytu, na którym, przymrużywszy oczy, mogłem odczytać litery L T E A S

R I T M N E T.

Prawą ręką osłoniłem oczy przed słońcem. Greenleaf cmoknął na konie; znużone zwierzęta, które już opuściły łby, wywijając ogonami, postąpiły parę kroków po żwirze wreszcie zastępującym polną drogę. Wyryty napis - ocieniony, porośnięty bluszczem, poznaczony musztardowymi i czarnym kępkami mchu - był wciąż nieczytelny z wyjątkiem liter: L T T E A S R I P T

M N E T.

Jeden z koni parsknął i odbił na bok, jakby wzbraniał się przekroczyć łuk; potem stanął dęba w zaprzęgu. Greenleaf szarpnął lejce, wrzasnął i zwymyślał konia. Wjechaliśmy w cień łuku, a wtedy nagle wyrosła przede mną ogromna rezydencja. Opuściłem rękę i jeszcze bardziej wychyliłem się przez okno.

W ostatnich dniach usiłowałem jakoś sobie wyobrazić Pontifex Hall, lecz żadna z moich fantazji nie dorównywała budynkowi ujętemu jak malowidło w ramę ciężkich filarów wjazdowego łuku. Posadowiony był na długim zielonym błoni, które przecinał podjazd koloru ochry, obsadzony z obu stron szpalerami lip. Murawa to opadała, to wybrzuszała się, by wreszcie dosięgnąć ogromnej ceglanej fasady przedzielonej czterema ogromnymi kolumnami i symetrycznie rozmieszczonymi oknami. Zmierzające ku zachodowi słońce wyłuskało u góry mosiężny kurek na dachu i sześć okrągłych kominów.

Konie, z brzękiem ozdób uprzęży, pociągnęły powóz o parę kroków. Widok przemienił się równie nagle jak pojawił. Słońce, niemal schowane za czterospadowym dachem, znienacka ukazało tę scenerię inaczej. Zobaczyłem teraz, że trawnik - zachwaszczony i przerośnięty - jest tu i ówdzie poryty, podobnie jak podjazd, a przy starych wykopach piętrzą się piramidy ziemi. W

szpalerach nie brakowało lip chorych i bezlistnych, inne okazały się zaledwie niskimi kikutami. Nie lepiej przedstawiał się dom, którego długi cień sięgał aż do nas. Fasada ospowata i złuszczone, spękane słupki przy oknach, strzaskane okapy. Na miejsce zbitych szyb wstawiono doraźnie w okna słomę i gałgany; w jedno z tych okien wdarł się nawet gruby pęd bluszczu. Rozbity zegar słoneczny, sucha fontanna, zapuszczony staw, zachwaszczony klomb składały się na obraz zupełnej ruiny. Kiedy podjeżdżaliśmy kłusem, kurek na dachu załśnił złowieszczo. Moje rozbudzone przed chwilą oczekiwania nagle się rozwiały.

Jeden z koni znów zarżał i znów odbił w bok. Greenleaf ostro ściągnął lejce i gardłowym głosem rzucił koniom kolejne polecenie. W dwóch krokach wyhamowały na zwirowanym podjeździe; potem pochłonął nas łuk. W ostatniej chwili, zanim się zamknął nad naszymi głowami, spojrzałem jeszcze raz na klince i zwornik u szczytu: *LITTERA SCRIPTA MANET*<sup>1</sup>.

Dziesięć minut później stałem na środku ogromnej sali rozjaśnionej światłem jedyne okna ze stłuczoną szybą, wychodzącego na zaniedbany klomb, za którym widać było popękana fontannę i rozbity zegar słoneczny.

- Zechce pan tu poczekać - powiedział Greenleaf.

Odgłos kroków woźnicy niósł się po przepastnym budynku, dobiegał ze skrzypiących schodów, potem z piętra, rozlegał się wprost nad głową. Zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy i inne, lżejsze stąpania

Minęła chwila. Z wolna oswajałem się z półmrokiem. Wyglądało na to, że nie ma na czym usiąść. Nie wiedziałem, czy to oznaka lekceważenia, czy też ta gościnność szczególnego rodzaju - pozostawienie przybysza samego w ciemnym pokoju - to zwykły obyczaj szlachetnie urodzonych. Na widok ruiny, w jaką popadł nieszczęsny Pontifex Hall, pomyślałem, że to dzieło wojsk Cromwella z czasów wojny domowej. Nie wielbiłem Cromwella ani purytanów - zgrai ikonoklastów i podpalaczy ksiąg. Z drugiej strony nie byłem też wielkim wielbicielem naszej nadętej szlachty, więc z pewnym rozbawieniem

czytałem w gazetach opisy, jak to rozbewstwienci londyńscy czeladnicy obsypują stare świetne rezydencje kulami armatnimi i kartaczami, a potem wypędzają ich rozpieszczonych mieszkańców, by dobrać się do piwnic i złota na drzwiach karet. Moim zdaniem szacowny niegdyś Pontifex Hall musiał zaznać owego niegodnego losu, dzieląc go z tyloma innymi rezydencjami.

Obróciłem się; zaskrzypiała deska pod butem. Wielki palec mojej chromej nogi natknął się na coś. Spojrzałem na podłogę i zobaczyłem otwarty gruby foliał, którego stronice tarosił wietrzyk z wybitego okna. W podobnym nieporządku leżały za księgą kwadrant, mały teleskop w zardzewiałej szkatule i kilka innych instrumentów o przeznaczeniu mniej oczywistym. Walało się między nimi kilka okropnie pomiętych starych map z oślimi uszami. W tym marnym świetle nie zdołałbym rozpoznać ani linii wybrzeży, ani przypuszczalnych zarysów kontynentów.

Lecz potem... coś znajomego... Pomieszczenie było przesiąknięte starą wonią, którą przedkładałem nad wszelkie perfumy i znałem lepiej od nich. Obróciłem się znowu i spojrzawszy w górę, dostrzegłem teraz rzędy półek z książkami; pokrywały każdy cal ścian, przepasane wysoko galerią z barierką, nad którą kolejne rzędy piętrzyły się jeszcze wyżej, ku niewidocznemu sklepieniu.

Księgozbiór. Stojąc z zadartą głową, pomyślałem: No tak, lady Marchamont ma mnóstwo książek, przynajmniej co do tego Greenleaf się nie myli. Ileż to wiedzy rozsiano po tych setkach woluminów wszelkiego kształtu, wielkości i grubości tkwiących na półkach. Mogłem dostrzec i tomy masywne jak kamienne ociosy, przytwierdzone do półek długimi łańcuchami, zwisającymi z drewnianych okładek niczym naszyjniki, i nie większe od tabakierki maleńkie sedecymy pozwalające się zamknąć w dłoni, o kartonowych okładkach przewiązanych wyblakłą tasiemką lub zamykane maleńkimi klamerkami. Lecz to nie wszystko. Nadwyżkę z przeładowanych półek - było tego dwieście lub więcej tomów - ułożono w stosy na podłodze bądź pozwolono jej zawładnąć



przylegającymi korytarzami i pomieszczeniami; ułożenie tej nadwyżki przypominało najpierw karne wojskowe szeregi, by zaraz potem, po paru krokach, zamienić się w dziki bałagan.

Rozglądałem się zdumiony, a potem podszedłem do jednego z wysuniętych filarów i przyklęknąłem ostrożnie. Tutaj ów zapach - wilgoci i zgnilizny, wręcz ściółki ogrodniczej - już nie był taki przyjemny. Raził nozdrza i godził w mój instynkt zawodowy. Na widok złożonych liter zerkających ku mnie z dziesiątków elegancko tłoczonych opraw z tytułami w czterech czy pięciu językach - na widok takiego obszaru wiedzy tak pięknie prezentowanej - poczułem napływające rumieńce i szybsze tętnienie w piersi. Zdawało się, że te książki, jak wszystko związane z Pontifex Hall, są skazane na zgubę. Była to nie tyle biblioteka, ile kostnica. Wzbierało we mnie oburzenie.

Wzbierało jednak coś jeszcze: ciekawość. Na chybił trafił podniosłem książkę z przewróconego stosu i otworzyłem zniszczoną okładkę. Ozdobnie rytowana strona tytułowa była ledwie czytelna. Odwróciłem kolejną szeleszczącą stronicę. Nie wyglądała lepiej. Papier ze szmat, niegdyś przemoczony, tak napęczniał, że stronice oglądane z boku upodobiły się do blaszek u spodu grzyba. Ta księga przynosiła wstyd właścicielowi. Przerzucałem zeszywniałe karty, z których większość przegryzło robactwo; całe akapity były już nieczytelne, zmienione w kłaki i pył. Książkę odłożyłem z obrzydzeniem, wziąłem inną, potem następną; obie mogły się na coś przydać tylko handlarzowi starzyzną. Następna wyglądała na nadwęgloną, a piąta dawno temu zżółkła i wyblakła w promieniach słońca. Westchnąłem i odłożyłem tomy; miałem nadzieję, że lady

Marchamont nie zamierza odtworzyć bogactw Pontifex Hall w drodze sprzedaży tego śmietniska.

Nie wszystkie wszakże książki znajdowały się w tak opłakanym stanie. Podszedłem do półek i zauważyłem, że wiele woluminów - a przynajmniej ich oprawy - przedstawia niejaką wartość. Były tam marokiny we wszelkich

kolorach, niektóre ze złotymi przetłoczeniami lub haftem, inne wysadzone klejnotami i zdobione szlachetnymi metalami. To prawda, że niektóre weliny się odkształciły, że marokiny straciły nieco połysku, nie były to jednak usterki, których nie można usunąć za pomocą odrobiny oliwki cedrowej czy lanoliny. Same zaś klejnoty - chyba rubiny, kamienie księżycowe i lazuryty, nie jestem znawcą - musiały być warte majątek, niewielki, ale zawsze.

Półki wzdłuż południowej ściany, najbliżej okna, przeznaczone były dla autorów greckich i rzymskich, przy czym dwie z nich ugięły się pod ciężarem samych tylko wydań Platona. Właściciel biblioteki musiał zarazem być obdarzony żyłką uczonego i zasobami sakiewki, zdołał bowiem wytropić najlepsze wydania i najlepsze przekłady. Na półce stało nie tylko pięciotomowe drugie wydanie Platona w łacińskim przekładzie Marsilia Ficina<sup>2</sup>, wielkie *Platonis opera omni* wydane w Wenecji i zawierające poprawki Ficina w stosunku do wydania pierwszego zleconego przez Kosmę Medyceusza, ale stał także bardziej miarodajny przekład opublikowany w Genewie przez Henriego Etienne'a. Natomiast Arystotelesa reprezentowało nie tylko dwutomowe wydanie z Bazylei z roku 1539, lecz także wydanie z 1550 z poprawkami Victoriusa<sup>3</sup> i Flaciusa<sup>4</sup>, a wreszcie *Aristotelis opera* opracowane przez wielkiego Isaaca Casaubona<sup>5</sup> i wydane w Genewie. Wszystkie były właściwie w niezłym stanie, jeżeli się nie czepiać, i mogły zapewnić godziwą cenę.

Innym klasycznym autorom również oddano sprawiedliwość. To wspinając się na palce, to kucając, zdejmowałem z półek tom za tomem, oglądałem uważnie i ostrożnie odstawiałem na miejsce. Była *Historia naturalis* Pliniusza w wydaniu Plameriusa oprawna w skórę cielęcą i Liwiusz w wydaniu Aldine'a obok *Historiarum* Tacyta w wydaniu Vindelinusa oprawnych w delikatną skórę. Było też bazylejskie wydanie *De natura deorum* Cyserona w brązowym marokinie z pięknie wytłoczonym wzorem... Wydanie Dionizego Lambinusa *De rerum natura...*<sup>6</sup> i - co najbardziej zdumiewające - *Confessiones* św. Augustyna, w brązowej cielęcej skórcie z niebarwionym wytłoczeniem, w

czym rozpoznałem introligatorską robotę Caxtona<sup>7</sup>. Stały tam jeszcze dziesiątki cieńszych tomów, objaśnień i komentarzy, chociażby Porfiriusza z Tyru do Horacego, Ficina do Plotyna, Aeliusa Donata do Wergiliusza, Proklosa Ateńczyka do *Państwa* Platona...

Teraz przechadzałem się i rozglądałem, nie pamiętając już o zagadkowej gospodyni. Półkami zawładnęła nie tylko mądrość starożytnych. Nie gorzej miał się postęp nauki z wcześniejszych lat naszego wieku. Nie brakło książek o nawigacji, rolnictwie, architekturze, medycynie, ogrodnictwie, teologii, edukacji, filozofii przyrody, matematyce, geometrii i kryptografii, czyli o „sekretnym pisaniu”. Było nawet sporo książek z poezją, dramatami i z *nouvelles*. Zarówno po angielsku, francusku, włosku, niemiecku, jak po czesku czy persku. Autor w autora, tytuł w tytuł, istna lista sławy. Zatrzymałem się i przeciągnąłem palcem po grzbietach wydania sztuk Shakespeare’a *in quarto*, wszystkich dziewiętnastu, oprawnych w bukram. Zabrakło natomiast, jak dostrzegłem, zbiorowego wydania tych sztuk *in folio*, które - o czym wie każdy księgarz - w 1623 roku wydrukował William Jaggard. Uderzyło mnie to, jako sprzeczne z męczącym pragnieniem pełni, wszędzie indziej tak oczywistym. Ale też nie dostrzegłem nic innego drukowanego po roku 1620. Na przykład w dużym zbiorze poświęconym ziołom były egzemplarze *De historia plantarum* Teofrasta, *Medicinae herbariae* Agricoli i *Historia powszechna roślin* Gerarda<sup>8</sup>, natomiast nie znalazłem ani śladu najnowszych prac, takich jak *Pharmacopoeia Londinensis* Culpepera, *Ogrodu zdrowia* Langhama ani nawet poszerzonej przez Thomasa Johnsona i znacznie lepszej wersji Gerarda z roku 1633. Co to znaczyło? Że twórca księgozbioru zmarł przed rokiem 1620, nie spełniwszy ambitnych marzeń? Że na czterdzieści lat lub więcej wspaniałą kolekcję pozostawiono w spokoju, nie uzupełnianą, nie czytaną?

Tymczasem znalazłem się pod ścianą północną, a tutaj zbiór stawał się jeszcze niezwyklejsze. Sięgnąłem, by dotknąć paru pofałdowanych okładek. Dziennego światła szybko ubywało. Duży dział po lewej poświęcony był sztuce

metalurgicznej.

Wpierw wypatrzyłem prace, których mógłbym się tam spodziewać, były to *Pirotechnia* Biringuccia<sup>9</sup> i Erckera *Beschreibung allerfiirnemisten Mineralischen Ertzt*<sup>10</sup> oprawne w świńską skórę, z pięknymi drzeworytami. Książki nieco przestarzałe, niemniej szacowne. Co jednak miałem myśleć o licznych rozsianych między nimi księgach - jak *Metallurgia* Jakoba Bóhmego, *Mineralia opera* Isaaca z Holandii, jak przekład Denisa Zachaire'a *Prawdziwej przyrodzonej filozofii metali*<sup>11</sup> - które wręcz wydawały się podręcznikami szatańskimi, tworamii umysłów lichych i zabobonnych?

Na półce nie brakowało śladu innych umysłów lichych i zabobonnych. Mądrość i dobry smak kierujące tu wyborem dzieł wyrodziły się teraz w bezkrytyczne i wszystkożerne wchłanianie autorów o jarmarcznej reputacji, ludzi, którzy nazbyt skwapliwie - i cokolwiek bezbożnie - pokładali wiarę w mroczne poczynania natury. Spod złoconych grzbietów zwisały wyblakłe wstążki, podobne do bezczelnych różowych jęzorów. Zmagając się z półmrokiem, wyciągnąłem francuski przekład prac Artefiusa<sup>12</sup>. Obok znajdowały się komentarze Alaina de Lisle'a do prorocत्व Merlina. Im dalej, tym gorzej. Rogera Bacona *Zwierciadło alchemii*, George'a Ripleya *Mikstury alchemiczne*, Henryka Korneliusza Agryppy<sup>13</sup> *De occulta philosophia*, Pawła Skalicha *Occulta occultum occulta...* Tomy te były dziełem żonglerów, szarlatanów i magików, którzy moim zdaniem nie mieli nic wspólnego z poszukiwaniem prawdziwej wiedzy. Na niższych półkach stały dziesiątki książek o różnego rodzaju wróżbach. Piromancja. Chiromancja. Astromancja. Sciomancja.

Sciomancja? Oparłem kosturek o półkę i schyliłem się. Aha, „wrózenie z cieni”. Zatrzasnąłem tom. Bzdury tego rodzaju wydawały się całkowicie nie na miejscu w bibliotece skądinąd poświęconej dużo szlachetniejszym naukom. Wstawiłem książkę na miejsce i nawet nie patrząc, wyciągnąłem za tasiemkę następną. Szkoda, że robaki nie ucztowały na tych właśnie stronach,

pomyślałem, otwierając tom. Lecz zanim przeczytałem stronę tytułową, głos dobiegający zza pleców przerwał te oględziny.

- *Pymander* w przekładzie Ficina, wydanie Lefevre'a<sup>14</sup>. Rarytas, panie Inchbold. Z pewnością ma pan własny egzemplarz, prawda?

Poderwałem się; w drzwiach biblioteki pojawiły się dwie ciemne postaci. Nagle odniosłem niepokojące wrażenie, że już od jakiegoś czasu byłem obserwowany. Jedna z tych postaci, kobieta, podeszła parę kroków i obróciwszy się, zapaliła kaganek z tranem ustawiony na jednej z półek. Jej cień poskoczył ku mnie.

- Proszę wybaczyć. - Spiesznie odstawiłem książkę na miejsce. - Nie przypuszczałem, że...

- Całe *Corpus hermeticum* zostało po raz pierwszy pomieszczone między dwiema okładkami właśnie w wydaniu Lefevre'a - ciągnęła, odwróciwszy się i zdmuchnąwszy podpałkę - od kiedy w Konstantynopolu zebrał je Michał Psellos. Zawiera ono nawet *Asklepiosa*; natomiast Ficino, który nie miał żadnej rękopiśmiennej kopii *Asklepiosa*, nie mógł go włączyć do wydania przygotowanego dla Kosmy Medyceusza. - Na ułamek sekundy przerwała. - Napije się pan wina, panie Inchbold?

- Nie, to znaczy tak - odrzekłem i ukloniłem się niezgrabnie. - Właściwie wino byłoby...

- I coś pan zje? Phineas powiada, że wieczorem nic pan nie miał w ustach. - Odwróciła się w stronę drugiej postaci wciąż wyczekującej w drzwiach; to była służąca.

- Słucham, lady Marchamont?

- Przynieś kielichy, jeśli łaska.

- Tak, proszę pani.

- Myślę, że wino węgierskie. I każ Mary przygotować coś dla pana Inchbolda.

- Tak, proszę pani.

- Na jednej nodze, Bridget. Pan Inchbold ma za sobą długą podróż.

- Tak, proszę pani - wymamrotała dziewczyna i czmychnęła.

- Bridget jest nowa w Pontifex Hall - zaskakująco poufałym tonem wyjaśniła lady Marchamont, przemierzając powoli bibliotekę; w takt kroków poskrzypywały zawiasy lampy, w jej świetle oczodoły lady Marchamont wyglądały jak mroczne wnęki. Chyba nie miała ochoty wdawać się w przedstawianie i we wstępy; tak się zachowywała, jakby znała mnie od lat i za coś najzwyklejszego w świecie uważała, że zastanie mnie, jak włamywacza, tkwiącego w kucki w ciemnościach i chciwie penetrującego półki z książkami. Czy to też obyczaje arystokracji? - Przedtem służyła rodzinie mego zmarłego męża.

Bez powodzenia kleciłem odpowiedź; zamiast się odezwać, w oszołomieniu przyglądałem się, jak podchodzi teatralnie oświetlona; kaganek już się rozjarzył, cieniutka smużka dymu ze zgaszonej podpałki wznosiła się za jej plecami ku sklepieniu. Och, jakże dokładnie pamiętam tę chwilę! Właśnie tak i właśnie tam wszystko się zaczęło... i tam mogłoby się szybko zakończyć! Przez wybite szyby dobiegał śpiew słowików strzegących nocą zarośniętego ogrodu i szorowanie uschniętej gałęzi po murze między oknami. W samej bibliotece było cicho, jeśli nie liczyć powolnych kroków lady Marchamont - miała na nogach skórzane poślupki - i głośnego łoskotu książki, którą gospodyni strąciła ze sterty spódnicy.

- Niechże mi pan opowie, panie Inchbold, jak przeszła podróż? - Wreszcie przystanęła, jakby roztargniona i poirytowana. - Nie. Nie musimy zaczynać naszej znajomości od kłamstw. To by było coś okropnego, prawda? Wiem, że tak to wypadło i bardzo pana przepraszam. Na powożeniu Phineasa można polegać - powiedziała z westchnieniem - ale on sam jako towarzysz podróży to katastrofa. Biedaczysko, przez całe życie nie przeczytał ani jednej książki.

- Podróż była przyjemna - wymamrotałem niepewnie. Tak. Wbrew temu, co powiedziała, nasze zetknięcie było ciągiem kłamstw. Samych kłamstw.

- Przykro mi, że nie mam gdzie pana posadzić - mówiła dalej i wskazała szerokim gestem bibliotekę. - Żołnierze Olivera Cromwella musieli gotować sobie kolacje i grzać nogi, więc spalili wszystkie meble.

- Tu kwaterował jakiś pułk? - Zamrugalem zdumiony.

- Czternaście lub piętnaście lat temu. Majątek został skonfiskowany w karze za zdradzieckie akty wymierzone w Parlament. Żołnierze puścili z dymem nawet moje najlepsze łóżko. Dwanaście stóp wysokości, panie Inchbold. Cztery kolumny, buk i całe jardy tafty na baldachim. - Przerwała na chwilę i poczęstowała mnie kwaśnym uśmiechem. - Mam wrażenie, że przez pewien czas nie marzli, jak pan sądzi?

Stała tuż przede mną, na tyle blisko, że w jasnożółtym świetle kaganka mogłem się lepiej przyjrzeć. Miałem ją spotkać tylko trzy razy, zawsze na krótko, i pierwsze wrażenie nie było zbyt korzystne, co teraz, z upływem czasu, zaskakuje mnie. Była mniej więcej w moim wieku i wyglądała pociągająco, wręcz szlachetnie, miała nieskazitelnie gładkie czoło, ostry, wyrazisty nos i ciemne oczy - świadczące o stanowczości i sile woli - lecz te zalety przesłaniało wrażenie zaniedbania czy ubóstwa. Ciemne, gęste włosy ani myślały siwieć w przeciwieństwie do moich, sterczały jednak na wszystkie strony, nieuczesane, tworząc wokół głowy niesforny i nie dodający urody obłok. Długa suknia, uszyta z wcale dobrego materiału, który już się jednak wytarł, zużył i zmechaniał, była przestarzałego kroju i, co gorsza, wyplamiona jak stary żagiel. Lady Marchamont nosiła coś w rodzaju kapuzy na obręczach czy narzutki z kapturem, zapewne jedwabnym, ale niepodobnym do żadnej z tych ładnych nakrapianych kapuz, które można podziwiać na głowach elegantek przechadzających się po St James's Park, bo kaptur lady Marchamont, podobnie jak jej suknia, był czarny jak gagat, do tego w kiepskim stanie. Posępne kolory i czarne rękawiczki sięgające połowy przedramienia sprawiały, że lady Marchamont wyglądała żalobnie. Wszystko to razem służyło, uznałem, wytworzeniu aury spowijającej cały Pontifex Hall.

- Purytanie spalili pani wszystkie meble?

- Nie. Nie wszystkie - odrzekła. - Przypuszczam, że parę najcenniejszych sprzedali.

- Bardzo mi przykro. - Wyobrażenie rozwydrzonej żołnierskiej zgrai Cromwellowskiej nagle przestało mi się wydawać zabawne.

Na jej twarzy pojawił się uśmiezek.

- Ależ, panie Inchbold, nie widzę powodu, dla którego akurat pan miałby przepraszać. Łóżka można zastąpić nowymi. W przeciwieństwie do czego innego.

- Pani męża - szepnąłem współczującym tonem.

- Nawet mężów można zastąpić nowymi - odpowiedziała. - Można zastąpić nawet takiego mężczyznę jak lord Marchamont. Słyszał pan o nim? - Przecząco pokręciłem głową. - Irlandczyk - powiedziała krótko. - Przed dwoma laty zmarł we Francji.

- Rojalista?

- To jasne.

Odwróciła się i powoli obeszła pokój, przyglądając się książkom i półkom jak ekonom cennemu stadu albo szczególnie obfitym plonom. Już wcześniej zastanawiałem się, czy książki należą do niej. Byłoby to dziwne. Przekonałem się, że książki nie są dziedziną kobiecą. Ale skąd, w takim razie, ma pojęcie o Ficinie, Lefevrze i Michale Psellosie? Czuję na sobie powolne, ostrożne pełzanie: dreszcz podniecenia.

- To wszystko, co mi zostało - powiedziała jakby do siebie. Czubkami palców okrytymi rękawiczką przeciągała po grzbietach, jak ja przed paroma minutami. - I wszystko, co mam. Te książki i ten dom. Chociaż może to potrwać, zanim legalnie wejdę w posiadanie Pontifex Hall.

- Należał do lorda Marchamont?

- Nie, jego posiadłość znajduje się w Irlandii, jest też dom w Hertfordshire. Okropne miejsca. Pontifex Hall należał do mego ojca, ale po



moim ślubie lord Marchamont został ustanowiony dziedzicem domniemanym. Nie mieliśmy dzieci, więc lord Marchamont przekazał mi Pontifex Hall w testamencie. Tam... - Wskazała okno, przez które przestało się sączyć światło; klomb na zewnątrz utonął w mroku, tańczyły na nim nasze sylwety. - Tam stały cztery skórzane fotele, obok stół i piękny stary sekretarzyk z orzecha, na którym ojciec pisywał listy. Na podłodze ręcznie tkany dywan perski, w mały i pawie, we wszelkie możliwe wschodnie wzory. - Nieśpiesznie spojrzała znowu na mnie. - A teraz myślę, co się z nimi stało. Poszły za bezcen, jako łupy? Nie zdziwiłabym się.

Odchrząknąłem i zadałem pytanie, które zaczęło mnie dręczyć:

- Jakim cudem uchowały się pani książki?

- Ależ nie, wcale się nie uchowały - odrzekła bez namysłu. - Nie wszystkie. Sporo brakowało, kiedy wróciłam. A innym, jak pan widzi, dostało się, co się zowie. Niemniej to istny cud, zgoda. Mnóstwo z nich mogli spalić żołnierze, nie tylko z powodu ostrych zim. Jedne mogły zostać uznane za papistowskie, inne za diabelskie, lub jednocześnie za takie i takie. - Skinieniem wskazała półkę za mną. - Chociażby *Pymander* w przekładzie Ficina. Na szczęście zostały ukryte i to nie tutaj.

- To znaczy?

- Ukrył je ojciec. Wszystko w swoim czasie, panie Inchbold.

To długie dzieje. Widzi pan, każda z tych książek ma własną historię. Sporo z nich przetrwało katastrofę morską.

- Katastrofę morską?

- A inne - ciągnęła - to uchodźcy. Widzi pan te łańcuchy? - Wskazała zbiór tomów, których oprawy przytwierdzone były do półek. Zwisające łańcuchy lśniły w półmroku. Przytaknąłem. - Te książki już raz zostały uratowane, wówczas z college'ów oksfordzkich. Z bibliotek łańcuchowych - wyjaśniła i ściągnęła z półki jeden z foliałów. Dłonią w rękawiczce przeciągnęła miłośnym gestem po welinowej oprawie. Łańcuch zagrzechotał w proteście. - W

ubiegłym stuleciu.

- Zostały uratowane przed Edwardem VI?

- Przed jego komisarzami. Przeszmuglowane z bibliotek college'ów, uniknęły stosów. - Otworzyła ogromne tomiszczce i zaczęła powoli przerzucać strony. - To naprawdę zdumiewa, jak stanowczy bywają królowie i cesarzowie w sprawie niszczenia ksiąg. Ale na takich zbezczeszczeniach budowano cywilizację, prawda? Kiedy Justynian Wielki skodyfikował prawo rzymskie i wypędził z Italii Ostrogotów, spalił wszystkie rękopiśmienne zwoje greckie. A Shi Huangdi, pierwszy cesarz chiński, który zjednoczył pięć królestw i zbudował pierwszy wielki mur, nakazał zniszczenie wszystkich ksiąg napisanych przed jego narodzeniem. - Z trzaskiem zamknęła tom i stanowczym ruchem wstawiła na miejsce. - Mój ojciec wszedł w posiadanie tych książek znacznie później - powiedziała.

- Aha - odrzekłem, mając nadzieję, że dochodzimy wreszcie do sedna sprawy. - Więc to są j e g o książki? I pani chce je sprzedać?

- Były - odrzekła. - To były jego książki. Księgozbiór jest jego dziełem, nie przeczę. - Przerwała na chwilę i utkwiała we mnie ciężkie spojrzenie. - A ja, panie Inchbold, nie zamierzam ich sprzedawać. Ani mi się śni. O - odwróciła się - jest już Bridget! Może przejdziemy do jadalni? Tam będę mogła panu zaproponować krzesło.

W chwilę później siedziałem nad kaczką, którą pani Winter, kucharka, piekła na zielonych szalotkach i podała na dużym talerzu. Doglądałem uważnie, żeby ów talerz - umieszczony na kolanach, z braku stołu, który zapewne też padł ofiarą wojen - zachował równowagę. Jadłem bez apetytu, pilnując się, świadom przenikliwego spojrzenia siedzącej naprzeciw gospodyni. Przez chwilę mało oględnie przyglądała się mojej skurczonej, wykrzywionej ku środkowi stopie, przypominającej - zawsze tak o niej myślałem - żaloszny wyrostek na ciele nikczemnego karła z niemieckich baśni. Poczułem, że się rumienię, urażony, lecz lady Marchamont skierowała już wzrok gdzie indziej.

- Muszę pana przeprosić za wino. - Skinęła na Bridget, która napełniła mi kieliszek już po raz trzeci. - Niegdyś mój ojciec hodował własną winorośl. W dolinie - nieokreślony gest był skierowany ku któremuś z wybitych okien - na osłoniętych od wiatru nadrzecznych stokach. Tłoczono tu znakomite wina, w każdym razie tak mi opowiadano. Byłam za mała, żeby się nimi delectować, a od tamtych czasów winorośl wyrwano z korzeniami.

- Robota żołnierzy? Pokręciła głową.

- Nie, to była inna rasa wandalii, miejscowa. Robota wieśniaków.

- Wieśniaków? - Stała mi przed oczami opustoszała, niesamowita wioska, przez którą przejeżdżał powóz. - Z Crampton Magna?

- Stamtąd i skąd popadło. Tak. Wzruszyłem ramionami.

- Skąd ludziom przychodzi do głowy takie rzeczy? Podniosła kielich i w zamyśleniu wpatrywała się w ciemny płyn. Już wcześniej opowiedziała, nieoczekiwanie zboczywszy z tematu, że nie jest jej obca wiedza o produkowaniu kielichów. Jej ojciec otrzymał swego rodzaju koncesję na wykorzystanie procesu, w którym odgrywało rolę zmieszanie w tyglu złota i rtęci, potem odparowanie żywego srebra przez co następowało powleczenie szkła cieniutką warstewką złota. Ojciec posiadał wiele koncesji i patentów, opowiadała, na wiele procesów. Istny Dedal. A teraz wydawało się, że lady Marchamont studiuje znak na dnie naczynia - splecione litery „AP” - które już wcześniej zauważyłem.

- Niech mi pan powie, panie Inchbold - odezwała się po chwili - czy podjeżdżając do Pontifex Hall, zauważył pan przypadkiem na trawniku i podjeździe te doły?

Przytaknąłem; przypomniałem sobie chaotycznie rozmieszczone wykopy i czarne kopczyki ziemi.

- Pomyślałem, że to roboty ziemne. - Pokręciła wielkim, czarnym obłokiem włosów. - To szańce? Pod działą?

- Nic tak drastycznego. Nikt nie oblegał Pontifex Hall. Wojska obu stron

uznały te okolice za nieważne. Na szczęście dla nas, panie Inchbold, bo w przeciwnym razie nie rozmawialibyśmy tu dzisiaj.

Oparłem się pokusie i nie zapytałem, dlaczego oddajemy się we dwoje tej rozmowie. Wciąż nie miałem pojęcia, po co zostałem wezwany i z jakiej racji lady Marchamont częstuje mnie historią swego osobliwego i, szczerze mówiąc, niegościnnego domu? Czy to kolejny przykład dziwnych obyczajów arystokracji? Jeżeli lady Marchamont nie chce, żebym oszacował jej książki i sprzedał na aukcji, to właściwie co ja tu robię? Z pewnością też nie pragnie ani potrzebuje zakupów. To by wręcz zakrawało na wożenie drzewa do lasu. Nagle poczułem się zmordowany jak nigdy.

A wyglądało na to, że powód mojej podróży odkryję nieprędko, bo lady Marchamont właśnie się wdała w opowieść o najnowszych dziejach Pontifex Hall. Niezgrabnie rozkrawałem kaczkę, tymczasem lady Marchamont wyjawiała, że po odmarszu pułku - kiedy żołnierze ścięli sad i porąbali meble na opał, a balustrady z kutego żelaza zerwali, żeby je przetopić na muszkiety i działa - rezydencja stała pusta przez kilka miesięcy. Majątek przekazano w zarząd, zarządcy zaś na mocy Aktu Parlamentu z roku 1651 sprzedali w końcu Pontifex Hall miejscowemu posłowi do parlamentu, osobnikowi nazwiskiem Standfast Osborne.

- Byliśmy wtedy we Francji na wygnaniu, lord Marchamont i ja. Do Anglii powróciłam mniej więcej przed dwoma miesiącami, kiedy już zwrócono mi Pontifex Hall na podstawie Aktu Uwolnienia od Kary i Zapomnienia<sup>15</sup>. Osborne'a nie ma tu już od prawie roku. Czmychnął do Holandii. Wcale roztropnie, zważywszy, że to jeden z królobójców<sup>16</sup>. Po powrocie nie oczekiwałam radosnych powitań w Pontifex Hall, bo w tych stronach ludzie sympatyzowali z Parlamentem. No i radosnych powitań nie było. Mam wrażenie, że dobrzy ludzie z Crampton Magna patrzą na mnie jak na czarownicę. - Na twarzy lady

Marchamont pojawił się półuśmiech, wzruszenie ramion wyrażało

obojętność. - Pewnie to się wydaje niesamowite, zwłaszcza wykształconemu londyńczykowi jak pan, ale to prawda. W tych stronach kobieta, która umie czytać, uchodzi za czarownicę. A już kobieta, która mieszka sama, w zrujnowanym domu, w otoczeniu książek i instrumentów naukowych, bez męża, bez ojca, bez dzieci, bez kogoś, kto mógłby nią pokierować i mieć ją na oku... no cóż, wygląda to jeszcze gorzej, prawda?

Zamilkła i przenikliwie wpatrywała się we mnie blisko osadzonymi oczami; w lepiej oświetlonej jadalni mogłem teraz dostrzec, że są szaroniebieskie, nieco wodniste. Żułem powoli i niezgrabnie jak zadumana krowa. Stopę upchnąłem pod krzesło, żeby nie było jej widać. Lady Marchamont odwróciła się i wskazała Bridget moją pustą filiżankę.

Dziewczyna spełniła polecenie; wtedy lady Marchamont ją odprawiła.

- Możesz już odejść. - Rozmowę podjęła, dopiero kiedy kroki służącej i ich echa ucichły, wchłonięte przez ogromny dom. - Szukając służby w tych stronach, natknęłam się na poważne trudności - powiedziała tonem zwierzeń. - Musiałam więc zatrudniać ludzi ze służby lorda Marchamont.

- Ale skąd te trudności? Z powodu lorda Marchamont? Z powodu... polityki?

Pokręciła głową.

- Nie. Z powodu mego ojca. Może pan o nim słyszał; w swoim czasie zażywał niejakiej sławy. Moim ojcem był sir Ambrose Plessington - dodała po chwili.

Dzisiaj może to dziwić, lecz wówczas nazwisko nic mi nie mówiło, zupełnie. Kiedy przywołuję z pamięci ów moment, wydaje mi się teraz, że towarzyszyła mu dzwoniąca cisza, jakieś straszliwe zawieszenie, że już sunął tymczasem z ukosa długi cień, już okrył mrokiem pomieszczenie, już spowił mnie jak ciężki całun. W rzeczywistości pokręciłem tylko głową, zdziwiony, że nie słyszałem o kimś, kto zdołał zgromadzić taki wspaniały księgozbiór.

- Nie słyszałem - odparłem. - Kim był?

Milczała przez chwilę. Siedziała bez ruchu, złożonywszy dłonie na kolanach. Jej cień padał na krzywą, oświetloną kagankiem ścianę za plecami. Nie wiem, skąd przyszła mi na myśl wypatrzona w bibliotece książka o „sciomancji”; ciekaw byłem, jakie to wieszczę tropy mógłby wypatrzeć jej autor w ruchomym cieniu lady Marchamont.

- Niech pan dopije wino, panie Inchbold - odezwała się w końcu. Nachyliła się, na jej twarz padło żółtawe światło kaganka z tranem; oczy lady Marchamont znów świdrowały moją twarz, jakby w poszukiwaniu znaków świadczących, że można mi ufać. Może byłem w tej chwili dla niej postacią prawie tak niezgłębioną, jak ona dla mnie. - Mam coś, co chcę panu pokazać. Co wyda się panu zajmujące.

Pod jakim względem? Na razie nad moją ciekawością brało górę zniecierpliwienie. Cóż jednak miałem począć? Łyknąłem wina i Śpiesznie wytarłem ręce w spodnie. A potem, powstrzymując się przed zadaniem co najmniej kilku drażliwych pytań, ruszyłem ku drzwiom jadalni w ślad za lady Marchamont.

#### IV

Tak oto po raz pierwszy zmierzyłem się z sir Ambrose'em Plessingtonem; doszło do tego w podziemiach Pontifex Hall, a ściślej w krypcie. Wyszliśmy z jadalni, dalej w dół szeroką klatką schodową, potem kilkakrotnie skręciliśmy w lewo, żeby przemierzyć ciąg korytarzy, przedpokojów i opuszczonych sal i znowu zejść po schodach, lecz teraz znacznie węższych. Na przedzie lady Marchamont z uniesionym nad głową tranowym kagankiem przypominała dowódcę straży podczas obchodu; ja, ciężko kuśtykając, podążałem za nią. Mizerne światło padało na chropowatą ścianę, na której nasze cienie przybierały fantastyczne, groźne kształty. Szorowaliśmy stopami po stopniach wiodących do jakichś lochów. Na głowie i wargach poczułem pajęczyny. Ściągnąłem je i odrzuciłem, potem śpiesznie przetarłem chustką usta i nos. Miałem wrażenie, że odór zgnilizny podwaja się z każdym krokiem. Natomiast woń, chłód ani

ciemność chyba nie robiły wrażenia na lady Marchamont.

- Mieściły się tu spiżarnia, kredens i pokoje lokajów - powiedziała. - Było ich trzech, jak pamiętam. Ostatni to Phineas. Ponad czterdzieści lat temu służył u mego ojca. Istny dar niebios, że zdołałam go odnaleźć. A raczej to on mnie odnalazł po moim powrocie. Widzi pan, jest człowiekiem bardzo oddanym...

Na schodach myślałem, że wejdziemy w labirynt korytarzy i sal odzwierciedlający układ pomieszczeń na górze. Znaleźliśmy się jednak na samym dole w nisko sklepionym korytarzu, biegnącym wciąż prosto, dokąd starczało skąpej poświaty kaganka. Przemierzaliśmy korytarz powoli, obchodząc resztki umeblowania, klepki z połamanymi beczkami i inne trudne do określenia przeszkody. Prawdopodobnie korytarz nie był poziomy, zdaje się, że schodziliśmy wciąż niżej, po łagodnym spadku. Teraz już ciekło po ścianach; dobiegał cichy szum strumienia, wraz z nim drażniący zapach. Podłogę chyba zalegał żwir. Przejście zdawało się nie mieć końca. Może jednak jesteśmy w jakimś labiryncie, pomyślałem, w jakimś *mundus cereris*<sup>1</sup>, podobnym do ciągów ciemnych krypt i wijących się tuneli, które drążyli pod miastami Rzymianie, żeby rozmawiać tam z mieszkańcami podziemnego świata.

Nagle lady Marchamont kostkami dłoni okrytej rękawiczką postukała w jedną ze ścian. Zadudniło jak kocioł.

- To miedź - wyjaśniła. - Ludzie Cromwella trzymali tam proch, więc ściany i drzwi obili miedzią. Nie powiedziałabym, że to najsuchsze miejsce w domu.

- Proch strzelniczy?

Teraz już rozpoznałem drażniący zapach i żwir pod nogami. Zacząłem się obawiać o kaganek, którym lady Marchamont nieostrożnie wymachiwała na wszystkie strony. W jego świetle można było dostrzec po obu stronach rzędy zapieczętowanych drzwi i jakieś pomniejsze zakamarki. Mrok i wilgoć znów przyprawiły mnie o dreszcz; ciekaw też byłem, czy w zrujnowanych kryptach za drzwiami leżą czaszki i piszczele stu Plessingtonów bezładnie zwalone na sterty.

Spiesznie przemierzaliśmy korytarz, którego kres - jeżeli w ogóle istniał - wciąż ginął w mroku.

W końcu znaleźliśmy się u celu. Lady Marchamont przystanęła przed jakimiś drzwiami i otworzyła je po chwili zmagania z pękiem kluczy. Złowieszczo zazgrzytała para zardzewiałych zawiasów.

- Proszę - powiedziała, obróciwszy się ku mnie z uśmiechem. - Niechże pan wejdzie, panie Inchbold. Znajdzie pan w środku śmiertelne szczątki sir Ambrose'a Plessingtona.

- Szczątki...? - Chciałem się wycofać, lecz było już za późno na opór. Lady Marchamont ujęła mnie za przegub i przeciągnęła przez próg.

- Tutaj...

Wskazała palcem kąt maleńkiego pomieszczenia, gdzie na deskach na koźle leżała zniszczona dębowa trumna. Cofnąłem się, próbowałem uwolnić ramię, lecz zaraz zauważyłem z ulgą, że ojcowskie „szczątki” są pisemne, nie cielesne; wieko stało oparte o ścianę, samą trumnę zaś wypełniały nie kości, lecz sterty dokumentów, których część, jakieś wielkie pliki, bliska była wypadnięcia na zewnątrz.

- Wszystko jest tutaj. - W głosie rozbrzmiewał ton szacunku, kiedy ostrożnie postąpiła ku trumnie. - Wszystko o moim ojcu. O Pontifex Hall. A raczej prawie wszystko...

Zawiesiła kaganek na haku i uklękła przed trumną na sitowiu zaścielającym klepisko. Teraz zauważyłem, że trumnę oblepia zaschnięta ziemia. Lady Marchamont wyciągała jeden po drugim dokumenty, wertowała, potem znowu wkładała do trumny. Zwieszająca się z ramion opończa przypominała złożone ptasie skrzydła. Jakieś archiwum, pomyślałem, czekając w drzwiach, aż lady Marchamont skinie i każe podejść bliżej.

- Oto dokumenty majątku - wyjaśniła. - Spisy, umowy, przeniesienia tytułu własności. - Taką dłonią w rękawiczce mogłaby szperać w skrzyni pełnej kamieni księżycowych czy ametystów, nie zaś w stertach pożółkłych pism. -



Widzi pan, Standfast Osborne kupił posiadłość ze względu na te dokumenty. - Odbity od gołych ścian głos lady Marchamont brzmiał chrypliwie. - Ze względu na te przywileje. Ale trumna została ukryta daleko, w bezpiecznym miejscu. Lord Marchamont już tego dopilnował.

Pomieszczenie było duszne i ciasne, ściany obrośnięte czymś, co wyglądało na resztki saletry. Od wątlejszego teraz płomienia kaganka zajęły się całe pokolenia pajęczyn grubych od kurzu. Astma dokuczała mi przez całe życie; taki był skutek wędzenia płuc w węglowym dymie Londynu. Teraz, stojąc u wejścia do dziwacznej krypty, poczułem pod mostkiem dobrze znane wrzenie.

- Więc papiery przeleżały te wszystkie lata tutaj, w tym lochu? - zdołałem wreszcie zapytać, wsparty mocno na kosturku.

- Oczywiście, że nie - odrzekła, wciąż zwrócona do mnie skrzydłopodobnymi plecami. - Tutaj znaleźliby je w godzinę. Nie, nie; leżały w Crampton Magna na cmentarzyku, w grobie. W tej trumnie. Pomysłowe, prawda? Pod nagrobkiem jednego ze służących. O tutaj... - Odwróciła się i wyciągnęła ku mnie okrytą rękawiczką dłoń z pojedynczą kartką. - Oto rozporządzenie, które przypieczętowało nasz los.

Był to arkusz o płótnowanej powierzchni z pofałdowanymi i lekko nadpalonymi brzegami. Wziąłem go, nachyliłem ku światłu i podsunąłem pod nos na odległość dwóch cali; zobaczyłem wówczas odcisk pieczęci Parlamentu, poniżej zaś tekst nieco wyblakły, pisany gęsto, kaligrafią sądu kanclerskiego:

*Postanawia się tutaj, że wszelkie Siedziby i Ziemie, Arendy i Sukcesje, ze wszelkimi Przynależnościami, jakie być mogą, rzeczonoego Henry'ego Greatorexa, barona Marchamont, ulegają Zajęciu, razem z prawem władania, rozporządzania, a też i przekazywania w spadku, w dniu 20 maja Roku Pańskiego 1651, wszelkie zaś prawa objęcia rzeczonych Siedzib i Ziem, Arend i Sukcesji...*

- Nakaz konfiskaty majątku - wyjaśniła.

Podala mi inny arkusz, ściślej: niewielki plik. Powiązany wyblakłą i wystrzępioną tasiemką, mniej przypominał urzędowy dokument; wypełniony był starannym charakterem sekretarskim, ręki - czego wówczas nie wiedziałem - samego sir Ambrose'a Plessingtona. Natknąłem się na jego nazwisko w dłuższym tekście otwierającym spis dóbr: *Wykaz dokonany po obejrzeniu wszelakich Ruchomości i Nieruchomości Ambrose'a Plessingtona, pana na Pontifex Hall, w parafii św. Piotra, przeliczony i wyszacowany w obecności czterech depozytariuszy...*

Odstawiłem kosturek i rozwiązałem tasiemkę. Ów plik, w sumie sześć kart obustronnie zapisanych, był fantastycznie długim spisem własności sir Ambrose'a, jego mebli, obrazów, draperii, zastawy i sreber stołowych, a także osobliwości w rodzaju teleskopów, kwadrantów, cyrkli, kompasów oraz licznych szaf i gablot, których zawartość - zakonserwowane zwierzęta, muszle i koralowce, monety, groty strzał, ułamki urn, wszelkiego rodzaju *objets d'art*<sup>2</sup>, a nawet dwie maszyny samoczynne - wyliczona została oddzielnie, sztuka po sztuce. Jedną z najcenniejszych ruchomości była *Kunstschränk*<sup>3</sup>, o wieku wysadzanych brylantami i szmaragdami, natomiast zawartość tej iskrzącej się arki - wyceniona na zdumiewającą sumę 10 tysięcy funtów - pozostała zagadką, nie zechciano uwzględnić jej w wykazie. Na ostatniej stronie znalazła się wycena całej ruchomej zawartości domu: 155 tysięcy funtów, co było sumą niewiarygodną, ogromną w roku 1660, a co dopiero w czerwcu roku 1622, kiedy ów spis sporządzono; wówczas ta suma musiała wprawiać w osłupienie. Nawet zbiory nieżyjącego króla Karola I, wielkiego znawcy i miłośnika sztuki, nie osiągnęły takiej ceny, kiedy Cromwell, ograbiwszy pałace królewskie, sprzedał skarby europejskim książętom czyhającym jak sępy. Lady Marchamont dostrzegła w moich oczach zdumienie.

- Sam pan widzi - powiedziała spokojnie - że z rzeczy, o których tu mowa, właściwie nic nie zostało. Z częścią rozprawili się żołnierze, resztę skonfiskowano. Tylko ta skrzynia z papierami może zaświadczyć, czym był

kiedyś Pontifex Hall.

I czego dokonał mój ojciec.

- Ale biblioteka... - Wróciłem do początku listy i powoli przemierzyłem ją wzrokiem po raz drugi. - Nie widzę tu żadnej wzmianki o książkach pani ojca.

- Nie. - Zabrała kartki, przewiązała wstążką i włożyła z powrotem do trumny. - Ten wykaz nie obejmuje biblioteki. Księgozbiór został opisany w odrębnym dokumencie. - Odwróciła się, przetrząsała przez chwilę papiery i wygrzebała jakiś większy plik. - Niezwykle szczegółowym, jak się pan przekona. Zawiera sumę zapłaconą za każdą książkę oraz nazwisko księgarza lub agenta, u którego ją zakupiono. Zapis ciekawy, ale teraz nie ma czasu na studiowanie. W tej chwili... - odłożyła ów spis i uważnie grzebała dalej w trumnie, przewracając ciężkie pokłady papieru - ...w tej chwili, panie Inchbold, musi pan przeczytać co innego. Ojciec otrzymał za życia liczne przywileje od królów i cesarzy, w wielu krajach. Te jednak mogą być wyjątkowej wagi.

Jakiej wagi? Co moja obecność w Pontifex Hall ma wspólnego z tą cuchnącą kryptą i strzępami starych szpargałów? Od królów i cesarzy? Lady Marchamont odwróciła się i podała mi trzy lub cztery dokumenty. Pierwszym był pergamin; na połamanym czerwonym wosku widniał u spodu odcisk ogromnej pieczęci, na której okolu ledwie czytelne litery składały się na napis

Romanum Imperatores Rudolphus II

Caesarum Maximus Imp: Rex

SALUTI PUBLICAE<sup>4</sup>

Podsunałem papier do światła. Nad pieczęcią widniało kilka akapitów po niemiecku, wykaligrafowanych ciężkim gotyckim pismem; przy mojej ograniczonej znajomości języka pojąłem tyle, że oto mam w ręku upoważnienie do poszukiwania książek i rękopisów na obszarze Czech, Moraw, Śląska i Kłodzka. Dokument nosił datę 1610. Kciukiem i palcem wskazującym pocierałem przez parę sekund pozawijane brzegi, zachwycony puszystą powierzchnią błony, miękkiej i gładkiej jak dziewczęcy policzek. Potem

ostrożnie odwróciłem kartę, żeby usłyszeć ciche i miłe trzeszczenie, wreszcie poprawiłem kciukiem okulary.

Treść następnego dokumentu, z datą o rok późniejszą i taką samą pieczęcią, była podobna, lecz teraz przywilej był szerszy, wykraczał poza Czechy, obejmując Austrię, Styrię, Moguncję, Górny i Dolny Palatynat oraz - co najciekawsze - ziemie sułtana osmańskiego. Na trzech ostatnich stronach znalazły się kolejno: cesarski przywilej szlachecki, decyzja o przyznaniu pensji w wysokości 500 talarów *per annum oraz* doktorat filozofii z Carolinum. Ten ostatni dokument napisano po łacinie i opatrzone wytłoczonym herbem. Znad pergaminu spojrzałem na lady Marchamont, która w skupieniu, ze ściągniętymi brwiami śledziła zapewne moją reakcję. Ku memu przerażeniu płonący knot zaskwierczał i niemal zgasł.

- To w Pradze.

- Co w Pradze? - Szukając odpowiedzi, przeniósłem wzrok na pergaminy; przerzucałem je nerwowo.

- Carolinum. Uniwersytet Karola - oddzielała wyrazy, jakby tępemu dzieciakowi wbijała do głowy prostą wiadomość. - Jest w Pradze. W Czechach. Mój ojciec spędził tam wiele lat.

- Na Uniwersytecie Karola?

- Nie. W Czechach. Po tym, jak cesarz Rudolf przeniósł z Wiednia do Pragi dwór.

Wciąż wpatrywałem się w pergaminy.

- Sir Ambrose był na służbie cesarza?

Przytaknęła; najwyraźniej sprawiał jej przyjemność ton zdumienia i podziwu w moim głosie.

- Z początku tak. Był jednym z agentów zaopatrujących Bibliotekę Cesarską. Potem trafił na służbę do elektora Palatynatu i zaopatrywał Bibliotheca Palatina w Heidelbergu.

Schyliła się nad trumną, żeby znowu przetrząsać papiery. W ciągu

następnych dziesięciu minut musiałem się krztusić i dusić nad kilkoma innymi dokumentami, grzebać się w nich, a wszystkie były jakimiś przywilejami na monopol, na korzystanie z wynalazków - na nowe metody wyznaczania próby złota, na wyposażanie statków - bądź oddawały w posiadanie majątki rozrzucone po całej Anglii, Irlandii i Wirginii. Słowem: kolejne, zdobione już oślimi uszami przyczynki do niespokojnego żywota sir Ambrose'a Plessingtona. Lady Marchamont wpychała mi je w ręce z gorliwością godną kwakra stojącego na rogu ulicy ja zaś z trudem mogłem się skupić. Lecz wkrótce przekonałem się, że przeglądając dokument innego rodzaju, był to kolejny przywilej z wielką pieczęcią Anglii odcisniętą u spodu karty, zapisany jednak bardziej zamaszyście:

*Niniejszy Kontrakt, sporządzony dnia 30 sierpnia Roku Pańskiego 1616, czternastego roku panowania naszego władcy Jakuba, z Bożej łaski króla Anglii, Szkocji i Irlandii, Obrońcy Wiary, pomiędzy naszym rzeczonym Władcą jako jedną Stroną a Ambrose 'em Plessingtonem, kawalerem Orderu Podwiązki, jako Stroną drugą, w sprawie zbudowania - z dostarczeniem osprzętu, wyposażenia i zaopatrzeniem w zapasy - Okrętu o nazwie Philip Sidney, a następnie dowodzenia nim i odbycia podróży z portu londyńskiego do miasta Manoa w cesarstwie Gujany...*

Mrugałem, tarłem oczy kostkami palców i czytałem dalej. Dokument był pełnomocnictwem wspartym trzema tysiącami funtów dla sir Ambrose'a na odbycie podróży poszukiwawczej nie w sprawie jakichś ksiązek czy rękopisów - jak za czasów służby u cesarza Rudolfa - lecz w celu odnalezienia kopalni złota w górnym biegu rzeki Orinoko w pobliżu miasta o nazwie Manoa w cesarstwie Gujany. Coś niecoś wiedziałem o tym, jeśli to była ta sama wyprawa, dobrze bowiem pamiętałem, że sir Walter Raleigh trafił na szafot w rok po katastrofalnej ekspedycji gujańskiej z 1617 roku. Czyżby *Philip Sidney* popłynął w górę Orinoko w nieszczęsnej flocie Raleigha? A jeśli tak, to co się stało z okrętem i kapitanem?

Nie mogłem już czytać. Litery dokumentu rozplywały się przed zmęczonymi oczami, czułem też jeszcze większą duszność w piersi. Zdjąłem okulary i tarłem oczy poduszkami palców. Rozkaszałem się; płuca chciały się pozbyć zatechłego powietrza i pyłków kurzu. Znowu słyszałem cichy szum wody który dobiegał chyba zza ściany maleńkiego archiwum. Nałożyłem okulary, ale litery wciąż kurczyły się i umykały przed spojrzeniem obolałych, szczypiących oczu.

- Przepraszam, ale...

- Oczywiście.

Lady Marchamont wyjęła mi z ręki papiery i włożyła z powrotem do trumny. Lecz zanim zatrzasnęła wieko, zdołałem dostrzec coś przypominającego dokument nowszy, jakiś inny kontrakt tego typu. Górna krawędź pergaminu była postrzępiona, natomiast na dole dokument był złożony, zagięcie utrwałała zaś pieczęć ze sznurkiem i przywieszką. Zastanawiałem się później, czy lady Marchamont celowo pozwoliła mi zobaczyć go przez ułamek sekundy i w ów najdyskretniejszy sposób udzielić wskazówek. Podpis obok pieczęci był nieczytelny, ale rzut oka pozwolił mi rozpoznać kilka słów zapisanych u góry: *Sciant presentes et futuri quod ego...*<sup>5</sup>

Wieko jednak zatrzaśnięto z całej siły, a zaraz potem poczułem na przedramieniu dotknięcie ręki w rękawiczce. Kiedy odwróciłem głowę, zostałem obdarzony uśmiechem wyrażającym tyleż głęboką ciekawość, ile niepewność.

- Może pora już wracać na górę, panie Inchbold? Niewiele w tych kryptach powietrza. Dla dwojga starcza najwyżej na pół godziny.

Z wdzięcznością skinąłem głową i po omacku zacząłem szukać kosturka. Powietrze wydało mi się nagle jeszcze cięższe, po raz pierwszy spostrzegłem też, że ciężko dyszy lady Marchamont. Zdjęła kaganek z haka i zawróciła ku drzwiom.

- Ojciec wentylował krypty powietrzną pompą - powiedziała - lecz pompę

zrabowano, jak wszystko.

Podczas zamykania drzwi znów zazgrzytały zawiasy, potem srebrzyście zadźwięczały klucze na łańcuszku u pasa lady Marchamont. Znowu postępowiałem korytarzem za długą czarną suknią.

*Sciant presentes et futuri...*

Zaintrygowany, skupiony, ze zmarszczonym czołem wiosłowałem w ciemności kosturkiem. „Niechaj współcześni i potomni wiedzą”, że co? Dopiero na schodach uzmysłowiłem sobie, że nie myślę o wielu dokumentach podsuwanych mi pod nos, lecz o tym tajemniczym nowym pergaminie, na wpół ukrytym w trumnie między resztą dokumentów, o umowie, której ząbkowana krawędź jak część układanki czeka na dopasowanie do drugiej części, do odpowiednika, do bliźniaczego pergaminu, od którego została ostrożnie oderwana. Czy słusznie się domyślam, że ów element może pasować do większej łamigłówki, której elementów jeszcze nie odkryto, nie rozpoznano? A może dopiero teraz, kiedy patrzę wstecz, przypominam sobie to wszystko tak wyraziście?

Wdrapywaliśmy się na górę; w piersiach poświstywało mi jak w czajniku, kaleka noga chrobotiała i stukała. Wzdrygnąłem się zawstydzony, zadowolony z ciemności. A jednak owe odgłosy chyba nie docierały do obróconej profilem lady Marchamont, która wyprzedzała mnie o dwa kroki. W drodze na górę opisywała niektóre z usług świadczonych przez jej ojca Rudolfowi II; w praskim pałacu wielkiego „cesarza maga”, zaludnionym przez astrologów i alchemików, nie brakowało też przedziwnych wynalazków, a nade wszystko ksiązek, dziesiątków tysięcy ksiązek. Zapewniała, że liczne skarby trafiły do cesarza dzięki sir Ambrose’owi. Kiedy bowiem w granicach cesarstwa - od Toskanii na południu po Cleves na zachodzie i Łużyce czy Śląsk na wschodzie - umierał zamożny arystokrata albo uczonec, wówczas ojciec lady Marchamont w roli wysłańca przemierzał postrzępiony kobierzec księstw i lenn, żeby zdobyć dla cesarza najważniejsze rzeczy ze spadku: budzące podziw obrazy, rzeźby,

zegary, drogie kamienie, wszelkiego rodzaju nowe wynalazki i rzecz jasna biblioteki, szczególnie te z tomami poświęconymi alchemii i innym tajemnym sztukom, ulubionej dziedzinie Rudolfa. Misje, chępiła się lady Marchamont, raczej nie przynosiły ojcu rozczarowań.

- Tylko w jednym jedynym roku toczył rozmowy w sprawie nabycia bibliotek Benedikta z Rychnova i Antona Schwarza von Steiner, ze szlacheckiego austriackiego rodu. - Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza i obróciła się ku mnie. - Nie słyszał pan o tych zbiorach?

Pokręciłem głową. Wspinaczka po schodach dobiegła końca, byliśmy na górze. Miałem wrażenie, że posadzka kołysze się i zatacza jak pokład tonącego statku. Lady Marchamont otworzyła przede mną drzwi, a ja pokuśtykałem za moim cieniem. Benedikt z Rychnova? Anton Schwarz? Widocznie wielu rzeczy jeszcze nie wiem.

- Każda z bibliotek liczyła ponad dziesięć tysięcy tomów - teraz głos lady Marchamont dobiegał z ciemności za plecami. - Wśród pereł było tam na przykład dzieło Rupescissy<sup>6</sup> o alchemii i prace Rogera Bacona w wydaniu Fine'a. Były nawet astrologiczne rękopisy Albamazara<sup>7</sup> i Sacrobosca<sup>8</sup>. Większość przesłano do Biblioteki Cesarskiej w Wiedniu, żeby skatalogował je Hugo Blotius, tamtejszy *Hofbibliothekar*, niektóre trafiały jednak do Pragi, żeby mógł się z nimi zapoznać sam majestat cesarski. Nie było to proste zadanie. Przez góry i Las Czeski książki wieziono na specjalnych wózkach zaprzężonych w muły i wozach resorowanych, które były wówczas nowością. Najmniejsze szpary w skrzyniach na książki uszczelniono smołowymi pakułami jak kadłub liniowca. Z kolei same książki owijano w dwie warstwy grubego brązowego płótna. To musiał być zdumiewający widok. Konwoje rozciągały się prawie na milę, licząc od czoła do końca, przy czym książki przez cały czas podróżowały w porządku alfabetycznym.

Głos lady Marchamont odbijał się od gołych, surowych ścian. Słowa sprawiały wrażenie wyuczonych, jakby już tę historię wielokrotnie



opowiedziała. Przypomniałem sobie półki w bibliotece jej ojca ciasno zastawione dziełami o okultyzmie i magii; ciekaw byłem, czy mają jakiś związek z Benediktem z Rychnova albo z Antonem Schwarzem von Steiner, czy może nawet z samym „cesarzem magiem”. Teraz szliśmy szybciej, obok siebie, krętą trasą wiodącą - jak przypuszczałem - w stronę księgozbioru. Nie byłem pewien, czy wracamy tą samą drogą. Służące najwyraźniej zapadły się pod ziemię, zniknął nawet Phineas. Uświadomiłem sobie, że w Pontifex Hall dwoje ludzi, a nawet kilka osób może całymi dniami krzątać się wokół swoich spraw, w ogóle się nie spotykając.

Opowieść urwała się zniemacka.

- Mój drogi panie Inchbold...

Szedłem Śpiesznie, dotrzymując jej kroku, więc rzeziłem i sapałem jak delfin. A teraz niemal wpadłem na nią, kiedy się zatrzymała na środku korytarza.

- Mój drogi panie Inchbold, zbyt długo nadużywałam pańskiej życzliwości. Musiał się pan zastanawiać, dlaczego opowiadam panu to wszystko. Dlaczego pokazałam panu bibliotekę, kontrakty, przywileje...

Wyprostowałem się i przekonałem, że patrzy gdzieś w bok.

- No cóż, muszę wyznać, lady Marchamont, że...

- Ależ nie, proszę - przerwała, unosząc rękę - wystarczy Alethea. Chyba nie musimy się bawić w ceremonie.

Nie tyle prośba, ile rozkaz. Uległem; czy użyję tytułu czy nie, to ona zajmuje wyższą pozycję. Imię - zaledwie słowo - nic tu nie zmienia.

- Alethea - ostrożnie wymówiłem to dziwne imię, jak człowiek próbujący nowego, egzotycznego dania.

Ruszyła znowu, teraz wolniej; grube podeszwy trzewików szorowały po posadzce. Skręciliśmy w lewo, w kolejny, dłuższy korytarz.

- W gruncie rzeczy chciałam, żeby pan zobaczył, czym był kiedyś Pontifex Hall. Teraz może pan sobie wyobrazić? Freski, gobeliny... -

Gestykulując jak iluzjonista, wskazywała gołe ściany ciągnącego się przed nami pustego korytarza. Głupawo wpatrywałem się w ciemność, mrugałem, lecz nie umiałem sobie nic wyobrazić. - Lecz jeszcze bardziej pragnęłam - ciągnęła ciszej - żeby się pan dowiedział, jakim człowiekiem był mój ojciec.

Doszliśmy do biblioteki, w której panowała teraz kompletna ciemność. Znowu zaskoczyło mnie i przestraszyło dotknięcie jej ręki. Odwróciwszy się, zobaczyłem dwa płomyczki, dwa odblaski kaganka tańczące w źrenicach jej blisko osadzonych oczu. Spłoszony odwróciłem wzrok. Na razie łatwiej wyobraziłbym sobie splądrowane dobra sir Ambrose'a niż jego samego.

- Nie mam męża, dzieci, żyjących krewnych. - Lady Marchamont jeszcze zniżyła głos, szeptała. - Niewiele mi już pozostaje. Z wyjątkiem jednego, jednej jedynej ambicji. Widzi pan, panie Inchbold, pragnę, żeby Pontifex Hall powrócił do dawnego stanu. Chcę go odtworzyć w każdym szczególe. - Puściła moje ramię, żeby znów objąć gestem pustkę i ciemność. - W każdym szczególe - powtórzyła z jakimś dziwnym naciskiem. - Meble, obrazy, ogrody, oranżerię...

- Oraz księgozbiór - dokończyłem z myślą o stertach tomów niszczonej na podłodze, zamieniających się w proch i gałgany.

- Tak. Również księgozbiór. - Znowu ujęła mnie pod rękę. Rozhuśtany kaganek zakreślał krótkie łuki. Nasze cienie kołysały się, przeskakiwały to tu, to tam jak tancerze. W opustoszałym budynku o gołych ścianach i sypiących się tynkach jej ambicja wydawała się dziwactwem, czymś niemożliwym do spełnienia. - Co do joty, jak ojciec zostawił. Dopnę tego. Chociaż spodziewam się, że nie pójdzie łatwo.

- No nie - zadbałem o ton zrozumienia i życzliwości. Pomyślałem o kwaterującym wojsku, o zniszczonej fasadzie, o wielkim pędzie bluszczu, który się wcisnął przez okno na pierwszym piętrze... o wrażeniu okropnej ruiny, kiedy patrzyłem spod wjazdowego łuku. No nie, na pewno nie pójdzie łatwo.

- Będę szczera. - Uniosła kaganek jakby po to, żeby oświetlić nasze twarze. Płomień rozbłysnął jaśniej, przez co pogłębił tylko cienie. - Przy

odbudowywaniu rezydencji wyłonią się trudności, chodzi nie tylko o zdewastowanie, co jasne, nie tylko o to, że się natknę na pewne, że tak powiem, przeszkody finansowe, czego nie kryję. Trudności wyłonią się też dlatego, że tutaj wchodzi w grę również inne stawki. - Głos brzmiał swobodnie, lecz oczy lady Marchamont nabrały w mroku odcienia obsydianu, a rozszerzone źrenice wpatrywały się we mnie przenikliwie. - Pewne inne interesy. Widzi pan, panie Inchbold, ja, podobnie jak mój ojciec, namnożyłam sobie wrogów nad miarę. - Uścisk lady Marchamont przyprawiał niemal o ból. - Z samego spisu już pan wie, że sir Ambrose był człowiekiem niesłychanie majątnym.

Posłusznie przytaknałem. Przez chwilę miałem przed oczami depozytariuszy przemierzających korytarze i resztę domu, komnaty bogate jak grotą Alladyna; czwórka tych ludzi dotyka waz, zegarów, gobelinów, sekretarzyków, klejnotów niewyobrażalnej wartości, ich oczy coraz bardziej się rozszerzają: do niesamowitego rejestru dopisują bajeczne rzeczy, przedmiot za przedmiotem. A teraz wszystko przepadło.

- Bogactwo przyciąga wrogów bogactwa - powiedziała, a potem dodała swobodnym tonem: - Sir Ambrose Plessington został zamordowany. Podobnie lord Marchamont.

- Zostali zamordowani? - Dzięki pogłosowi na pustych korytarzach słowa nabrały właściwego brzmienia. - Przez kogo? Ludzi Cromwella?

Pokręciła głową.

- Tego nie mogę twierdzić na pewno. Mam podejrzenia. Lecz prawda jest taka, że nie wiem. Sądziłam, że trop mogą podsunąć dowody własności. Lord Marchamont sądził, że ojciec może coś odkrył, ale... - Znowu pokręciła głowę i spuściła oczy. Po chwili podniosła je na nowo i wtedy musiała dostrzec na mojej twarzy jakiś objaw niepokoju, bo zaraz dodała: - Och, nie ma się czym przejmować. Nie ma się czego obawiać, panie Inchbold. Zapewniam. Proszę zrozumieć. Pan będzie całkowicie bezpieczny. Przyrzekam.

Spowodowała tym zapewnieniem rozwarcie się szczelinki z

wątpliwościami. Dlaczego miałbym nie być bezpieczny? Nie zdążyłem się jednak zastanowić nad tą kwestią, bo lady Marchamont puściła moje ramię i pociągnęła za dzwonek. Zabrział ostro i żałośnie, jak alarm.

Pogłos na korytarzu wybrzmiał i ucichł, a wtedy znów zwróciła się do mnie.

- Nie ma obawy - powiedziała. - Pana zadanie będzie proste. I wcale nie sprowadzi na pana niebezpieczeństwa.

Aha, pomyślałem. Wreszcie.

- Moje zadanie?

- Otóż to. - Z głębi korytarza wynurzył się Phineas. Lady Marchamont spojrzała ku niemu. - Ale ja pana zupełnie zagadałam. Proszę wybaczyć. Wszystko musi poczekać do jutra. Pan teraz powinien wypocząć, panie Inchbold. Ma pan za sobą taką daleką podróż. Phineas? - Cmentarna twarz służącego wsunęła się w żółtawy krąg światła kaganka z tranem. - Proszę zaprowadzić pana Inchbolda do pokoju.

Tak, powiedziałem sobie, wdrapując się po schodach za Phineasem: mam za sobą daleką podróż. Może dalszą, niż sądziłem.

Ulokowano mnie na noc na piętrze, w sypialni przylegającej do szerokiego korytarza z regularnym ciągiem zamkniętych drzwi. Pomieszczenie było obszerne, lecz - jak się spodziewałem - umeblowane skromniej niż skromnie. Siennik, trójnożny zydell, pusty kominek z festonami zakurzonych *pajęczyn*, stolik z gęsim piórem, jakaś książka i parę drobiazgów. Byłem zbyt zmęczony, żeby się przyjrzeć.

Ba, byłem zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Przez chwilę stałem na środku i tępo wpatrywałem się w ogołoczone wnętrza. Zdawało mi się, że zamieszkane przez chłopstwo wioski mijane w drodze do Crampton Magna były chyba wyposażone lepiej. I pomyślałem też przez chwilę o wykazie leżącym o dwa piętra niżej w małym pomieszczeniu, o tej niekończącej się liście dywanów, gobelinów, zegarów, toczonych krzesel. W innych czasach umeblowanie tego

pokoju - „sypialni aksamitnej”, jak powiedziała Alethea - było zapewne zjawiskowe; może sypiał tu sam sir Ambrose. Zresztą zostały jeszcze ślady poprzedniego wcielenia, chociażby wyszczerbiona, łuszcząca się półka nad kominkiem czy sięgający sufitu trójkątny płat purpurowej tłoczonyj tapety. Resztki świetności Pontifex Hall. Dla wygłodzonych purytańskich żołnierzy w czarnych samodziłach musiał to być widok nieprzyzwoity. A dla kogoś innego powód morderstwa.

Rozebrałem się powoli. Phineas, albo ktoś inny, przyniósł już mój kufer i postawił koło siennika. Wygrzebałem z kufra koszulę nocną i włożyłem przez głowę. Potem poślinionymi palcami, kciukiem i wskazującym, zgasilem wysoką świecę, którą Phineas postawił na stole; zaraz potem przez wybite okno wdarły się do sypialni gęste kłęby nocy. Zamknąłem oczy, a sen odcisnął mi na powiekach swą ciężką pieczęć.

## V

Praski zamek widziany z oddali to nieforemny diadem na pobrużdżonym skalnym czole, który góruje nad plecionkowymi dachami Starego Miasta na drugim brzegu rzeki. O świcie okna zamku lśnią w porannym słońcu, o zmierzchu cień zamkowy sięga przez rzekę jak ręka olbrzyma, wsuwa się z wolna w wąskie uliczki Starego Miasta, by zawrzeć w uścisku wszystkie wieże i place. Widziany od środka wzbudzał jeszcze większy podziw dzięki licznym arkadom i krużgankom, dziedzińcom, kaplicom i pałacom, a nawet kilku żeńskim klasztorom i tawernom. Wszystko mieściło się w obrębie murów obronnych, których zarys widziany z góry przywodził na myśl trumnę. Katedra św. Wita zajmowała środek zamkowego obszaru, a na południe od niej wznosił się pałac królewski, który w roku 1620 był domem Fryderyka i Elżbiety, nowej czeskiej pary królewskiej. Dwieście jardów lotem ptaka od pałacu królewskiego, za ciągiem dziedzińców, budynkiem studziennym, fontanną i ogrodem stał najnowszy w roku 1620 i najbardziej niezwykły spośród budynków zamkowych zestaw galerii znanych pod nazwą Sal Hiszpańskich. Budynek ulokowano w

północno-wschodnim kącie zamku, gdzie nad fosą wznosiła się Wieża Matematyków. Sale Hiszpańskie zbudowano mniej więcej piętnaście lat wcześniej, żeby zapewnić miejsce tysiącom ksiąg i innym rozlicznym skarbowi cesarza Rudolfa II, którego posąg w brązie - władcy melancholijnego, brodatego, w kryzie i z haczykowatym nosem - postawiono przed południową fasadą. W roku 1620 Rudolf II nie żył już od niemal dziesięciu lat, zachowały się natomiast jego skarby. Książki i rękopisy zaliczane do najcenniejszych w Europie znalazły miejsce w bibliotece Sal Hiszpańskich, a w owych czasach bibliotekarzem zamkowym był człowiek nazwiskiem Vilem Jirasek. Skromny i nieśmiały Vilem, w pół drogi między trzydziestką a czterdziestką, chodził zaniedbany, w lada jakich butach, łatanym płaszczu i z okularami na nosie, za których soczewkami migotały i łzawiły jasne oczy. Mimo perswazji jedyne go służącego imieniem Jiri Vilem nigdy się nie przejmował swą lichą powierzchownością. Równie lekceważąco odnosił się do wszelkich wydarzeń światowych rozgrywających się poza ścianami Sal Hiszpańskich. W ciągu dziesięciu lat, które strawił na pracach bibliotecznych, w Czechach zdarzyło się niemało, łącznie z powstaniem roku 1619, kiedy protestancka praska szlachta pozbawiła katolickiego cesarza Ferdynanda tronu Czech. Mimo to żadne wydarzenia, nawet najbardziej burzliwe, nie zakłóciły toku zajęć uczonego bibliotekarza. Co rano Vilem Jirasek opuszczał maleńki dom na Złotej Uliczce i dokładnie po siedemnastu minutach dreptania - kiedy w Salach Hiszpańskich setki zegarów wybijały ósmą - stawał przed zagraconym biurkiem. Co wieczór zmęczony, z zaczerwienionymi oczami, rozpoczynał dreptanie powrotne w chwili, w której zegary wybijały szóstą. Nie słyszano, żeby w ciągu dziesięciu lat chociaż raz zboczył z trasy, opuścił dzień pracy lub spóźnił się nawet o minutę.

Stanowisko Vilema wymagało, rzecz jasna, takiej pedanterii. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Vilem z pomocą dwóch asystentów, Otakara i Istvana, katalogował i umieszczał na półce każdy tom, który trafił do Sal Hiszpańskich.

Zadanie było gigantyczne i skazane na niepowodzenie, cesarz Rudolf zaliczał się bowiem do zbieraczy nienasyconych. Liczba samych tylko ksiązek poświęconych naukom okultystycznym szła w tysiące. W odrębnym pomieszczeniu znajdowały się wyłącznie tomy dotyczące „świętej alchemii”, w innym książki o magii, w tym *Picatrix*<sup>^</sup>, po który Rudolf sięgał, żeby rzucać urok na wrogów. Jakby za mało było tych ton ksiązek, do biblioteki wciąż docierały tydzień w tydzień kolejne setki tomów, nie licząc map i rycin, a wszystko to należało skatalogować i złożyć na półce w jednym z przepełnionych przejściowych pomieszczeń, w którym sam Vilem czasem się gubił. A sytuację pogarszały jeszcze skrzynie z tomami i innymi cennymi dokumentami, które teraz przysyłano z cesarskiej biblioteki w Wiedniu, żeby je uchronić zarówno przed Turkami, jak i Siedmiogrodzianami. Zatem wydanie *Magische Werke* Henryka Korneliusza Agryppy, które znalazło się na biurku Vilema w pierwszym dniu jego pracy w 1610 roku, leżało tam nadal dziesięć lat później, nie skatalogowane, nie posadowione na półce, przysypywane coraz większymi i wciąż rosnącymi stertami ksiąg.

Taka sytuacja w bibliotece trwała w każdym razie do wiosny roku 1620, kiedy zaczęło się wydawać, że nadchodzi okres wytchnienia. Rzeka napływających ksiązek wysychała, żeby zmienić się w strużkę po rewolucji antycesarskiej oraz koronowaniu Fryderyka i Elżbiety. Ubiegłej jesieni dotarło z heidelberskiej Bibliotheca Palatina niewiele skrzyń z ksiązkami Fryderyka, przy czym większości wciąż nie rozpakowano, nie mówiąc o katalogowaniu i rozlokowaniu na półkach. Wydawało się zaś, że inne źródła - klasztory, majątki zrujnowanych lub zmarłych arystokratów - wyschły zupełnie. Pojawiły się zatrwające plotki, że niektóre z najcenniejszych rękopisów Fryderyk zamierza sprzedać, żeby zasilić obdarte i źle wyposażone czeskie wojska, jak bowiem zapewniała inna, spokrewniona plotka zbliża się wojna z cesarzem. W razie zagrożenia liczne księgi i rękopisy z Sal Hiszpańskich miały trafić do Heidelbergu, a gdyby padł Heidelberg, nawet do Londynu.

W razie zagrożenia? Takie opowieści zdumiewały trzech bibliotekarzy. Jakiego zagrożenia? Z czyjej strony? Mogli tylko popatrzeć na siebie, wzruszyć ramionami i wrócić do pracy, niezdolni uwierzyć, że ich spokój, ich ustalony porządek dnia mogłyby zakłócić wydarzenia tak niepojęte i odległe jak wojny lub detronizacje. Jeżeli świat zewnętrzny ulega rozprzężeniu i popada w zamęt - według ograniczonego przecież rozeznania Vilema - to tutaj przynajmniej, w tych pomieszczeniach górę biorą ład i harmonia. Lecz w roku 1620 ta nikła równowaga miała zostać na zawsze zachwiana, a dla Vilema Jiraska ukrytego między stertami ukochanych ksiąg pierwszą oznaką zbliżającej się katastrofy było ponowne pojawienie się w Pradze pewnego Anglika, sir Ambrose'a Plessingtona.

Sir Ambrose po długiej nieobecności wrócił na praski zamek zapewne zimą, a może wiosną 1620 roku. Był wówczas, jak Vilem, po trzydziestce, chociaż w przeciwieństwie do Vilema nie przypominał ani trochę człowieka oddanego naukom.

W pasie gruby jak rzeźnik czy kowal nosił się prosto i górnio, mimo pałkowatości nóg świadczącej, że więcej przesiedział w siodle niż za biurkiem. Miał ciemne brwi i brodę; przy czym zarówno ta ostatnia, nienagannie przycięta w trójkąt, jak i kryza przypominająca kamień młyński były zgodne z najnowszą modą. Vilem musiał już słyszeć o przybyszu, albowiem to z sir Ambrose'em należało wiązać znaczną część ksiązek i dzieł sztuki w Salach Hiszpańskich. Przed dziesięcioma laty był jednym z najślawniejszych agentów cesarza Rudolfa, przemierzającym wzdłuż i wszerz każde księstwo, lenno, *Reichsfreistadt*<sup>2</sup> i każdy *Erbgut*<sup>3</sup> w Świętym Cesarstwie Rzymskim, żeby dostarczyć do Pragi jeszcze więcej ksiązek, malowideł i osobliwości dla ogarniętego obsesją, obłąkanego władcy. Dotarł nawet do Konstantynopola, skąd wrócił nie tylko z workiem cebulek tulipanów (ulubionych kwiatów Rudolfa), lecz także z dziesiątkami prastarych rękopisów, które wylądowały wśród najwspanialszych rarytasów Sal Hiszpańskich. Jednakże to, co w roku



1620 przywiodło go z powrotem do Czech, pozostawało zagadką dla nielicznej garstki - w tym Vilema – która wiedziała o pojawieniu się przybysza.

Rzecz jasna sir Ambrose nie był jedynym Anglikiem, który się wtedy zjawiał w Pradze; w mieście aż się od nich roiło. Nowa królowa Elżbieta była córką angielskiego króla Jakuba i pałac królewski stał się domem jej kłopotliwej świty: hord pończoszników, kapeluszników i lekarzy, dziesiątków pomagierów szamocących się, by ją wesprzeć w dotrwanii do następnego dnia. Wśród tego mrowia znalazło się sześć dwórek, wśród nich młoda kobieta nazwiskiem Emilia Molyneux, córka angloirlandzkiego szlachezca, zmarłego jakiś czas wcześniej. Emilia miała teraz dwadzieścia cztery lata, tyle co jej monarchini; z wyglądu także przypominała swą królową - wymuskaną, bladą i drobną - z wyjątkiem burzy czarnych włosów i krótkowzrocznych oczu.

Jak Emilia poznała się z Vilemem, można się tylko domyślać. Może do tego doszło podczas jednej z licznych masek<sup>4</sup>, za którymi tak przepadała młoda królowa, w późnej godzinie, w podnieceniu spowodowanym muzyką i pićciem, kiedy dworskie rygory szły w zapomnienie. A może było to spotkanie trzeźwiejszej natury. Królowa jako zamiłowana czytelniczka - jeden z jej miłszych rysów - mogła posłać Emilię do Sal Hiszpańskich po którąś z ulubionych książek. A może Emilia wybrała się tam na własną rękę, do kunsztów, do których ją wdrożono, zaliczała się bowiem umiejętność czytania. Tak czy owak, następne spotkania Emilia i Vilem utrzymywali w tajemnicy. Vilem był katolikiem, natomiast królowa, żarliwa kalwinistka, nie znosiła katolików niemal tak samo jak luteranów. Jej żarliwość była tak wysokiej próby, że królowa nie zgodziła się przejść przez most na Wełtawie, ponieważ po drugiej stronie znajdowała się drewniana figura Matki Boskiej; z kaplic na Starym Mieście pozrywano na rozkaz królowej wszystkie rzeźby i krucyfiksy. Nawet zbiory w Salach Hiszpańskich zostały zlustrowane przez kapelana królowej, chodziło o to, czy jakieś pomarszczone i wysuszone elementy nie okażą się aby kośćmi świętych bądź innego rodzaju relikwiami papistowskimi.

Zatem odkrycie, że Emilia przebywa w towarzystwie katolika - wykształconego w Clementinum przez jezuitów - oznaczałoby wyrzucenie jej z Pragi i natychmiastowy powrót do Anglii.

Spotykali się w domu Vilema na Złotej Uliczce. W wieczory, w które nie oczekiwano od niej usług, Emilia o ósmej wymykała się tylnymi schodami z pałacu królewskiego i bez żadnej pochodni czy latarni przemierzała dziedzińce po omacku, wyszukując drogę wzdłuż murów. Złota Uliczka, rząd niskich domków, znajdowała się na przeciwległym krańcu zamku, chatka Vilema zaś, jedna z najmniejszych, przycupnęła pod arkadami na samym końcu, przy północnych murach zamkowych. Tam zawsze czekało rozświetlone okno, dym nad kominem i objęcia Vilema.

Ilekoć Emilia odważyła się na nocną wyprawę, Vilem czuwał, gotów otworzyć; jednak pewnej zimnej listopadowej nocy Emilia nie zobaczyła ani światła w oknie, ani dymu nad kominem. Pobieгла z powrotem do pałacu, żeby nazajutrz wieczorem wrócić, a potem wrócić pojutrze. Wymknąwszy się czwartej już nocy, znowu na próżno, ruszyła ze Złotej Uliczki do Sal Hiszpańskich, gdzie również nic zastała Vilema, ani nawet Otakara i Istvana; był zamiast nich ogromny mężczyzna w butach z ostrogami, a za nim na podłodze tańczył długi cień rzucany przez lampę olejową. Później Emilia wspominała ten wieczór nie dlatego, że spotkała po raz pierwszy sir Ambrose'a Plessingtona, ale dlatego, że owej nocy wybuchła wojna.

Była niedziela. W powietrzu wirowały płatki śniegu, lód skuwał już rzekę. Zbliżała się kolejna zima. Służba brnęła do kościołów o wieżach spowitych mgłą, potem grała w kręgle na oszronionych dziedzińcach lub plotkowała na korytarzach i tylnych schodach. Parowały stajnie i sterty gnoju. Spadzystymi uliczkami Malej Strany pędzono stado wychudłych krów, poprzedzane brzękiem dzwonków. Na zamek ciągnęły fury z wiązkami drewna i workami paszy, z beczkami alozy i pilznera, wyładowanymi z barek na rzece. Lód trzaskał pod naporem kadłubów, a ów odgłos, podobny do trzasku pioruna,

bardziej nerwowi brali za strzelaninę.

Emilia drżała na myśl o jeszcze jednej zimie w Pradze, z nastaniem chłódów bowiem zamek stawał się nieprzyjazną siedzibą. W królewskim pałacu kurczyły się na mrozie drzwi, trzaskały w przeciągach, przez szpary pod nimi zawiewał śnieg, a pod meblami gromadziły się kilkucalowe zaspy. Woda zamarzała w studniach i trzeba było wzywać do rozkuwania lodu żołnierzy z pikami. W nocy wiatr wył na korytarzach, co brzmiało jak odpowiedź na wycie głodnych wilków na pobliskich wzgórzach. Wilki zakradały się czasem na Małą Stranę i napadały na żebraków, którzy w poszukiwaniu resztek grzebali w kupach gnoju. Zdarzało się też czasem znaleźć na śniegu wpół nagiego, zamarznętego na kość martwego żebraka wciąż ściskającego swój kij; nieboszczyk przypominał wówczas posąg zrzucony z cokołu.

O ile biedni głodowali na mrozie, o tyle bogaci sobie dogadzali, bo zima była tą porą, w której królowa czeska wydawała dziesiątki przyjęć. Podczas tych imprez oczekiwano od sześciu dwórek, że będą stać całymi godzinami, nie jedząc, nie pijąc, nic nie mówiąc, nie kaszląc, nie kichając, podczas kiedy królowa i jej goście - książęta, diukowie, margrabiowie, ambasadorowie - napychali się podanymi na dymiących talerzach pawiami bądź sarniną czy dzikiem, a zapijali je antałkami piwa i butlami wina. Tematy dysput były zawsze te same. Czy goście wspierają prawa Fryderyka do czeskiego tronu? Ile pieniędzy są gotowi wyasygnować na obronę tych praw? Ile wojska? Kiedy mogą nadciągnąć oddziały? Dopiero długo po tym, jak królewskie towarzystwo najadło się do syta, dwórki mogły powalczyć u kucharek i służących o jakieś tłuste resztki.

Zanosiło się na następną taką ucztę, bo kiedy opustoszały już kościoły, wezwano Emilię i resztę dwórek. W Sali Władysławowskiej miał zostać wydany bankiet, tym razem na cześć dwóch ambasadorów angielskich. Emilia właśnie leżała w łóżku, a gwałtowne kołatanie zawieszzonego obok dzwonka oderwało ją od czytania. W owych czasach czytanie było jedną z jej nielicznych

przyjemności; pozwalała sobie na nią zawinięta w koce w łóżku, wysoko oparta na poduszce, przy świecy na nocnym stoliku, z książką trzymaną przed nosem w odległości trzech cali. Od 1613 roku, kiedy musiała porzucić Londyn dla Heidelbergu, pochłonęła setki tomów - przeważnie były to wywiedzione z legend arturiańskich takie romanse, jak *Pan Gawain i Zielony Rycerz* oraz *Śmierć Artura* Malory'ego, bądź opowieści o miłości i przygodach, jak *Don Olivante de Laura* Torquemady czy Lofrasa *Dziesięć ksiąg fortuny miłości*<sup>5</sup>. Ale Emilia czytała też biografię sir Philipa Sidneya pióra Whetstone'a, a do licznych sonetów Sidneya wracała tak często, że umiała je na pamięć, podobnie jak sonety Shakespeare'a, którego sztuki poznawała z wydania *in quarto*, zaczytanego po ośle uszy. Była czytelniczką tak zagorzałą, że w ciągu ostatnich siedmiu lat wielokrotnie wybierano ją, żeby czytała samej królowej - i było to jedno z nielicznych zadań w pałacu królewskim, które zawsze sprawiało jej przyjemność. Kiedy Elżbietę ulokowano w łożu po jakimś bankiecie czy masce lub była do niego przykuta z powodu którejś z ciąż, Emilia zajmowała miejsce na krześle u królewskiego boku i czytała rozdział bądź dwa wybranego tomu, aż królewska wysokość raczyła zasnąć. Królowa życzyła sobie słuchać takich środków nasennych, jak *Kroniki Anglii* Holinsheda bądź spokojne dzieła poświęcone religii i wierze.

Dziś wszakże nie zanosilo się na to, by obowiązki Emilii miały jej przysporzyć tyle radości, ile zapewniała godzina czy dwie z grubym tomem na kolanach. W Sali Władysławowskiej Emilia zastała stół uginający się pod mięsami oraz ściany zastawione rzędami baryłek wina. Królowa nie skąpiła sobie ani gościom, mimo że ceny na rynku podskoczyły i mówiło się o głodzie. Widocznie plotki dotarły do ambasadorów, ponieważ zażerali się całymi kurczakami i golonkami wieprzowymi, jakby to miał być ich ostatni posiłek. Ulubiona małpka królowej, wyjątek na tle obowiązującej tu obyczajności, przeskakiwała z krzesła na krzesło, paplała świdrującym głosem i przyjmowała datki. Emilia stała bez ruchu, milczała, niemal nie słuchając ambasadorów

dzielących się nowinami na temat śmiałych planów króla Jakuba: miał on podobno wysłać tu wojska, żeby bronić Czech i wyrwać córkę ze szponów papistów. Dopiero po dwóch godzinach Emilia coraz bliższa zemdlenia ośmieliła się skubnąć kawałek chleba, który wsunęła jej do kieszeni jedna ze służących. Chleb, już spleśniały, nabrał zielonkawoszarego odcienia. Taki chleb, wyobrażała sobie Emilia, ludzie muszą jeść podczas oblężenia, a jeśli pogłoski są choćby w połowie prawdziwe, taki chleb będą jeść wkrótce wszyscy na praskim zamku. Okruchy rosły jej w ustach, stawały się glejowate. Było to jak zucie gliny.

Tymczasem ambasadorowie zapewniali królową, że nie będzie żadnego oblężenia, nie będzie nawet wojny. Praga jest bezpieczna. Armia cesarska wciąż stoi w odległości całych ośmiu mil, natomiast wojska Fryderyka, dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza, przygotowane są do powstrzymania jej pochodu. W drodze są już oddziały angielskie, podobnie holenderskie, Buckingham zaś, sam wielki lord admiralicji, właśnie gromadzi i zbiori flotę, żeby zaatakować Hiszpanów. Poza tym zbliża się zima, zauważył jeden z ambasadorów pochylony nad stołem, wsparty na łokciach i dłubiący w zębach sztyftem widelca. Żaden generał nie okaże się tak niecywilizowany, żeby prowadzić wojnę zimą, zwłaszcza w Czechach. Nawet papiści, zapewnił zgromadzonych, nie są takimi barbarzyńcami.

Rzecz jasna ambasadorowie mylili się co do katolickich armii, podobnie jak się mylili co do króla Jakuba i floty Buckinghamama. Jeszcze ze stołu nie uprzątnięto brudnych talerzy, jeszcze służący nie zdążyli powalczyć o resztki, a już pierwsza kula armatnia poszybowała nad zwieńczeniem odległego zaledwie o pięć mil letniego pałacu i spadła w lasach. Artyleria cesarska podsunęła się, a w jej zasięgu znalazła się Biała Góra.

Mroźne powietrze wpierw przeszył grzechot ognia zaporowego; kanonada, która przypominała zbliżającą się burzę, spłoszyła w stajniach konie, a mieszczań zapędziła do domów.

Tymczasem Emilia wróciła do swego pokoiku na najwyższym piętrze pałacu i zawiązała kaptur na głowie, gotowa po raz ostatni wymknąć się desperacko na Złotą Uliczkę. Jej myśli nie zaprzętały cesarscy żołnierze, ogromne armie podobno nadciągające, żeby upokorzyć Czechy i odzyskać dla Ferdynanda tron, skradziony przez Fryderyka i Elżbietę. Emilia myślała o Vilemie, bo po paru kolejnych wybuchach zdała już sobie sprawę, że to nie burza ani łamanie lodu na Wełtawie.

To, co zdarzyło się zaraz potem, Emilia mogła śledzić przez lunetę; dwa tygodnie wcześniej Vilem nauczył ją posługiwać się tym instrumentem zabranym z Sal Hiszpańskich. Bitwa rozpoczęła się przy Pałacu Letnim, gdzie czescy żołnierze okopali się w szańcach. Mgła podnosiła się, przekradała z zagłębień do parku zabaw, tak że widać było tylko jeden z przypałacowych budynków, lizany jęzorami płomieni. Stojącej przy oknie Emilii trzęsły się ręce z lunetą. Przez zapadnięty już dach budynku wzbijał się dym, wyglądał jak jakiś egzotyczny kwiat, barwiący się ślazowo i pomarańczowo z każdym nowym wybuchem. Po jednym z nich zajęli się ogniem czescy żołnierze, którzy już uciekali, lawirując między drzewami, porzuciwszy dwukółki i armatnie lawety. A wyżej widać było pierwsze oddziały nieprzyjacielskie - szwadron pikinierów i muszkietierów - które dotarły do okopowych przedpiersi.

W niespełną godzinę później Emilia wybiegła tylnymi schodami z pałacu. Przepychała się na podestach przez grupki dziewcząt kuchennych, które lamentowały na wieść o nadciągających kozakach, potem wypadła na dziedziniec. Tymczasem nadszedł zmierzch, a do bram dotarli pierwsi pobici czescy żołnierze. Emilia słyszała na pałacowym dziedzińcu ich gniewne krzyki, kiedy błagali wartowników, a potem dobiegł ją odgłos otwierania bram. Niektórzy pozbyli się już broni - cepów i sierpów - inni wlekli je jak zmordowani robotnicy po całym dniu spędzonym na polach. Niedożywieni, w brudnych kaftanach z wołowej skóry i powgniatanych napierśnikach, bardziej przypominali kotlarzy niż wojsko. Emilia lawirowała między nimi, kiedy już

przemierzali bruk dziesiątkami, ślaniając się na nogach. Potem podkasła spódnice i pobiegła na północ, ku Złotej Uliczce, drogą rozświetlaną wybuchami.

Wszystkie domy na Złotej Uliczce były jednak ciemne. Zapewne mieszkańcy zbiegli z zamku, z dziesiątkami innych uciekinierów. Parę dni wcześniej, kiedy armia cesarska dotarła do Rakownika, ulotnili się z rodzinami i dobytkiem królewscy doradcy z Anglii i Palatynatu. Czy Vilem czmychnął wraz z nimi? Porzucił ją? Emilia znowu zastukała do drzwi, tym razem mocniej, lecz wciąż odpowiadała cisza. Czyżby porzucił nawet swe książki?

Kiedy parę minut później, nie wypatrzwszy nawet znaku od Jiriego, Emilia wracała do pałacu, niebo wciąż stało w ogniu. Przy ogromnej wrzawie zamknięto tymczasem bramy u Mostu Prochowego. Posłano po powóz królowej, stojący w pogotowiu na pałacowym dziedzińcu. Gwałtowna strzelanina przybliżyła się, teraz Emilia mogła rozróżnić poszczekiwanie strzelb, kiedy muszkietrzy dawali ognia, by potem cofnąć się całym szeregiem i ponownie załadować przed kolejną krwawą salwą z flanki. Grzbietem wzgórza ciągnęły długie kolubryny i przysadziste moździerze; konne zaprzęgi przetaczały je na pozycje, z których miało nastąpić kolejne bombardowanie. Emilia skuliła się i pobiegła do Sal Hiszpańskich; pod stopami skrzypiał zmarznięty śnieg.

Biblioteka była na linii ognia, okna po jej zachodniej stronie wychodziły na mroczny masyw Białej Góry, który o zmierzchu przypominał ogromną przyczajoną bestię. Najgłębsze zakamarki Sal były zatarasowane przez tysiące książek, więc Emilia poszukała wpierw drogi przez labirynt galerii przeznaczonych na inne skarby Rudolfa, gdzie dziesiątki wysadzanych kamieniami, przeszklonych gablot z zadziwiającymi osobliwościami - rogami jednorożców, zębami i zuchwami smoków - wyglądały jak relikwiarze jakiegoś szalonego kapłana. Z tym że w ostatnich dniach większość pomieszczeń została z tych gablot ogołocona bądź gabloty ogołocone zostały z zawartości.

Schyliwszy się, można było zobaczyć za szybami zaledwie parę wypchanych ssaków i gadów upozowanych na żywe zwierzęta. Jednakże przepadło kilkadziesiąt zegarów, podobnie jak bezcenne instrumenty naukowe - astrolabia, wahadła, lunety - które jeszcze parę tygodni wcześniej Vilem pokazywał Emilii. Podobnie przepadły malowidła, urny, zbroje...

Nie zaskoczyło jej to spustoszenie; kiedy przedwczoraj wieczorem zakradła się na palcach do Sal Hiszpańskich, już widziała te ogołoczone pomieszczenia. Po Vilemie nie było śladu; zdawało się, że i on przepadł z tym wszystkim. Został tylko Otakar. Kiedy Emilia natknęła się na niego, siedział na skrzyni załadowanej w połowie książkami, a obok leżała na posadzce przewrócona butelka. Otakar płakał, był tak pijany, że z trudem mógł unieść głowę i otworzyć oczy. Większość skarbów została wysłana, wyjaśniał wśród czkania.

- Dla bezpieczeństwa - powiedział; podniósł się chwiejnie i nie bez trudu uzupełnił kubek z drugiej butelki, też wykradzonej z królewskich piwnic. - Co do sztuki. Całość. Król się martwi, że skarby wpadną w ręce żołnierzy albo, co gorsza, w ręce cesarza Ferdynanda.

- Co ty opowiadasz? Gdzie zostały wysłane?

Oboje stali za biurkiem Vilema, z którego wreszcie zniknęła sterta nieskatalogowanych książek. Emilię zdumiało, że w większości wyczyszczono też półki. Głos asystenta odbijał się od gołych ścian. Otakar nie miał pojęcia, gdzie wysłano skrzynie, ale w głowie roіło mu się od ponurych wieszczb, wino zaś zachęcało, żeby się nimi podzielił. Wyglądało na to, że Otakar uznaje najazd na Czechy za osobistą zniewagę, a celem najazdu jest, ni mniej, ni więcej, zbezczeszczenie tej biblioteki. Czy Emilia wie, spytał, że w roku 1600 Ferdynand, kiedy był arcyksięciem Styrii, spalił wszystkie książki protestanckie w swych dobrach, w tym ponad dziesięć tysięcy w samym Grazu? No to teraz, skoro jest cesarzem, równie dobrze może uznać za swą powinność spalenie wszystkich książek w Pradze. Jest bowiem tak, że każdy władca uświecni swe



podboje, podkładając ogień pod najbliższą bibliotekę. Może Juliusz Cezar podczas afrykańskiej wyprawy przeciw republikanom nie spalił w Aleksandrii rękopisów wielkiej biblioteki? A wódz Stylichon, Wandal, może nie nakazał spalenia przepowiedni sybilińskich w Rzymie? Bełkot odbijał się od ścian pustego pomieszczenia. Emilia ruszyła ku wyjściu, ale Otakar niezdarnie pochwyił jej przedramię i przytrzymał. Nic bardziej niebezpiecznego dla króla czy cesarza, wywodził dalej, niż książka. Otóż to, a wielki księgozbiór - księgozbiór równie wspaniały jak ten - to groźny arsenał, którego królowie i cesarze lękają się bardziej niż największej armii czy zbrojowni. Tu, w Salach Hiszpańskich, nie przetrwa ani jeden tom, zaklinał się Otakar, smarkając do kubka. Ani skrawek papieru, ani strzęp pergaminu nie ujdą całopaleniu!

Tej nocy jednak, kiedy grzmiały w pobliżu działa, nawet po Otakarze nie było śladu. Emilia kluczyła między ogołoconymi półkami, by wreszcie dotrzeć do maleńkiego pokoju, w którym pracował Vilem. Wprawdzie drzwi były zamknięte, ale Emilia zobaczyła pod nimi smużkę światła; pomieszczenie było wszakże puste, jeśli nie liczyć palącej się lampy oliwnej i dwóch opróżnionych przez Otakara butelek po winie. Biurko Vilema stało jak zwykle przed kominkiem, tuż obok zaś resztki oliwy dopalały się w lampie z nisko przyciętym knotem. Emilia już chciała się wycofać, kiedy poczuła w powietrzu cierpki, słaby zapach, a potem dostrzegła na biurku kilka przedmiotów w nieładzie: butelki z tuszem, gęsie pióra oraz pergaminową księgę oprawną w skórę. Przedwczoraj wieczorem tego nie było. Robota Otakara? A może wrócił Vilem? Może to książka Vilema? Może jedno z tych dzieł filozoficznych - Platona czy Arystotelesa - z których pomocą Vilem próbował odciągnąć Emilię od tego, czym się karmiła, od romansów i poezji?

Podeszła bliżej, na palcach, żeby się przyjrzeć stercie. Były tam także, jak na biurku kopisty, pumeks i kreda. Emilia wiedziała wszystko o takich sprawach, o kopistach, ich pergaminach, które przeciera się pumeksem, potem kredą, żeby wchłonięte zostały tłuszcze zwierzęce i nie rozlewał się rusz. Dwa

tygodnie wcześniej Vilem pokazał jej - prócz lunet i astrolabiów - stare rękopisy przepisywane, jak twierdził, przez kopistów z Konstantynopola. W Salach Hiszpańskich najcenniejszymi dokumentami były rękopisy, a mnisi, zapewniał, są najświetniejszymi artystami pod słońcem. Nachylił jeden z dokumentów do światła, żeby pokazać Emilii, że nigdzie, nawet we fragmencie, litery liczącego tysiąc lat rękopisu nie wyblakły - czerwone, barwione mielonym cynobrem, żółte, barwione ziemią ze zboczy wulkanów. Natomiast niektóre z najpiękniejszych i najcenniejszych pergaminów - tak zwane „złote księgi”, przeznaczone do zbiorów samych cesarzy Bizancjum - barwiono purpurą, a potem zapisywano tuszem ze sproszkowanego złota. Kiedy Emilia zamknęła okładki, grube jak deski okrętowego kadłuba, jej dłonie i palce lśniły, jakby je zanurzyła w skrzyni ze złotem.

Teraz piękne konstantynopolitańskie pergaminy zniknęły wraz z resztą ksiąg. Na biurku został tylko jeden. Emilia odsunęła garść piór i przyjrzała się uważnie. Oprawa była przepiękna. Skórzaną okładkę zdobiło wyszukane tłoczenie: symetryczne zwoje i ślimacznice przeplatały się z liśćmi, a misterny wzór przypominał księgi z Konstantynopola. Otworzywszy okładkę, zobaczyła jednak, że strony, w bardzo złym stanie, w niczym nie przypominają purpurowego barwienia i zapisu złotem; sztywne i pomarszczone wyglądały jak zanurzone niegdyś w wodzie. Czarny tusz wyblakł, a porozmazywany tekst przypominał łacinę, której Emilia nie rozumiała.

Powoli przewracała stronice, wsłuchując się w dobiegające zza murów grzmoty młotów i ich echa. Któryś z pocisków musiał trafić w blanki, bo lekko zadrżała podłoga i zabręczały szyby w oknach. Pełgająca poświata na przeciwległej ścianie była odbiciem łuny nad płonącym Pałacem Letnim. *Fit deorum ab hominibus dolenda secessio*, przeczytała Emilia u góry którejś ze stron, *soli nocentes angeli remanent...*<sup>6</sup>

W blanki trafił kolejny pocisk, tym razem dużo bliżej: część muru zawaliła się i z hukiem runęła do fosy. Przestraszona wybuchem Emilia uniosła

wzrok znad pergaminu, a wtedy zobaczyła wysoką postać, rzucającą czarny cień. Potrzebowała paru sekund, żeby oswoić się z wyglądem mężczyzny: broda, bułat, pałakowate nogi sprawiały, że przypominał wspiętego na tylne łapy niedźwiedzia. Później uznała, że jest podobny do Amadisa z Galii lub Don Belianisa, a może do Rycerza Słońca, słowem, do któregoś z bohaterów jej rycerskich romansów. Nie miała pojęcia, jak długo ten człowiek stał i przyglądał jej się z głębi pokoju.

- Przepraszam - wyjąkała, upuszczając księgę na biurko. - Ja tylko...

Następny pocisk trafił w mury, a wybuch roztrzaskał okno, siejąc ogień.

## VI

Obudziło mnie stukanie młotków. Przez chwilę wpatrywałem się w strop, w dębowe belki i listwy wylazące spod wykruszonego tynku i nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Podniosłem się na łokciach, a wówczas przecięła mi piersi smuga słońca podobna do bandolierki. Zdziwiłem się, że leżę po prawej stronie posłania; w moim dawniejszym życiu należała ona do Arabelli. W pierwszym roku mego stanu wdowiego sypiałem na jej połowie łóżka, lecz potem z wolna - miesiąc po miesiącu, cal po calu - pełznałem z powrotem na swoje miejsce, by w końcu na nim pozostać. Teraz męczyło mnie wrażenie, że śniła mi się żona, po raz pierwszy od niemal roku. Wstałem, włożyłem okulary i poczłapałem do okna, bardzo ciekaw pierwszego rzutu oka na Pontifex Hall w świetle dnia. Z gołych desek pod stopami ciągnął chłód. Pchnąłem skrzydło okna i wyjrzałem; a więc ulokowano mnie od południa. Okno wychodziło na klomb, a za nim na obelisk bardzo podobny do zniszczonego obelisku od strony północnej, który widziałem ubiegłego wieczoru. Dalej była fontanna, za nią jeszcze ogród wodny, teraz martwy, na wpół wyschnięty, a jedno i drugie było odpowiednikami fontanny i ogrodu wodnego od północy. A może jednak patrzę na północ? Najwyraźniej cały obszar parkowy zakomponowano symetrycznie, jakby Pontifex Hall, nawet w ruinie, był sobą i swym odbiciem.

Nie, po lewej stronie nad murem wyznaczającym granice parku - ledwie

widocznym między gałęziami i liśćmi - świeciło słońce. Zatem patrzyłem na południe, tak jest. Wychyliwszy się przez okno, ogarnąłem wzrokiem smutne resztki klombu, by uzmysłowić sobie, że znajduję się najpewniej nad samą biblioteką.

Przez chwilę stałem przy oknie; pachniało świeżością i zielenią, co stanowiło przyjemną odmianę po Nonsuch House, gdzie odór rzeki podczas odpływu bywa czasem nie do zniesienia. Stukot młotków ucichł, natomiast po paru sekundach usłyszałem hałaśliwe stukanie do drzwi. Wkroczył Phineas z miednicą parującej wody.

- Na dole czeka śniadanie, proszę pana. - Prawą ręką zaczął robić miejsce na stole, tymczasem woda w miednicy ujętej pomarszczonym lewym łapskiem niemal przelała się przez krawędź. - W śniadalni.

- Dziękuję, Phineas.

- Kiedy będzie pan już gotów, proszę pana.

- Dziękuję. - Zatrzymałem go, kiedy odchodził. - Co to za hałas?

- Sztukatorzy, proszę pana. Odbudowują sklepienie Wielkiej Komnaty. - W jego zachowaniu kryła się jakaś obłuda, coś nieprzyjemnego. Wyszczерzył ostre zęby o szerokich szparach podobne do grabi dekarza kładącego strzechy. - Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzają?

- Nie, skądże. Dziękuję, Phineas.

Nie zwlekałem z ablucjami, energicznie wyszorowałem brodę i zacząłem się ubierać; zastanawiałem się, o jakich to „interesach” i „wrogach” napomykała wczoraj Alethea. Wbrew jej przypuszczeniom to, co ujawniała wczoraj wieczorem, wcale mnie nie nastraszyło, a tylko zaciekawiło. Teraz, w świetle dnia, kiedy świeży powiew krążył po osłonecznionym pokoju, tamte myśli wydały mi się śmieszne. Może tutejsi dobrzy ludzie mają rację? Biedna Alethea, pomyślałem, mocując się z klamrami wspomagającymi chromą nogę. A może cierpi na jakąś manię? Niewykluczone, że śmierć ojca i męża - zamordowanych czy nie - zachwiały jej umysłem. Pomysł odrestaurowania posiadłości i

przywrócenia do dawnego stanu to bez wątpienia ekstrawagancja.

Nareszcie byłem gotów. Zamknąłem za sobą drzwi Aksamitnej Sypialni i wyszedłem na korytarz. Po obu stronach zobaczyłem zamknięte drzwi, na wprost trzecie, też zamknięte. Otworzyłem je, znalazłem się w przedpokoju, z którego znowu wyszedłem na jakiś korytarz. Po każdej stronie było dwoje zamkniętych drzwi, później korytarz przecinał się z innym, również z rzędami zamkniętych drzwi.

Na chwilę straciłem orientację. Mam iść, ale w którą stronę? Zdawało mi się, że słyszę skrzypienie balustrady i - jak z dna studni - kroki wchodzącego po stopniach Phineasa. Chciałem go zawołać, ale coś mnie w jego obejściu ostrzegało, ta unizona beczelność, ten śmiech mięsożercy. Phineas nie jest moim przyjacielem. Zatem trzymałem się prostej, głośno postukując chromą nogą. Może należało zawrócić, przymierzyć się do tych czy innych drzwi? Wędrowałem dalej. Niedaleko za skrzyżowaniem natknąłem się na drzwi zamknięte na klucz: to był koniec korytarza.

Zawróciłem. Tymczasem odgłos kroków Phineasa ucichł, nie było słyhać nic prócz mego niepewnego stąpania i paru skrzypnięć gołych desek podłogi. Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że drzwi, przejścia i korytarze są pewnie repliką labiryntu na parterze. Symetria funkcjonowała nie tylko wzdłuż osi pionowej, lecz i poziomej.

Postałem chwilę na skrzyżowaniu, zanim wybrałem nowy korytarz. Skręciłem w lewo, po kilkunastu krokach znów w lewo. Zdarzyło mi się przeczytać, że ktoś w ten sposób radził sobie z labiryntami, skręcał przez cały czas w lewo. Manewr doczekał się nagrody, bo po kilku zaledwie krokach korytarz rozszerzył się, ja zaś trafiłem do długiej galerii. Na ścianach widniały ciemne, podobne do cieni prostokąty - widma oprawnych portretów, zapewne zniszczonych lub zrabowanych przez purytanów. Lecz ani śladu schodów.

Zagłębiłem się w galerię, postukując kosturkiem jak ślepy żebrak. Wkrótce przejście zwężyło się, zniknęły drzwi oraz wnęki. Teraz i ten korytarz

wydał się równie zagadkowy i zdradliwy jak poprzednie. Nie wiedziałem, czy się wycofać i wrócić do Aksamitnej Sypialni. Czy teraz zdołam tam trafić? Zupełnie się zagubiłem. Lecz oto korytarz jeszcze raz zakręcił w lewo, by po kolejnych dwudziestu krokach zakończyć się zniemacka u dwojga drzwi, po jednej i drugiej stronie. Uchylone, jedno i drugie, wręcz zapraszały; mosiężne gałki mrugały konspiracyjnie w półmroku. Wahałem się tylko przez moment, potem pchnąłem drzwi po prawej i wszedłem.

Natychmiast buchnął mi w nozdrza gryzący odór. Powietrze przesycone tą wonią było żrące jak w aptece, czyli najbardziej cuchnącym z londyńskich sklepów. Kiedy oswoiłem się z ciemnością, przekonałem się ku memu zdumieniu, że pokój rzeczywiście przypomina aptekę: stół roboczy i półki doszczętnie zastawione alembikami, rurkami probierczymi, lejkami, palnikami, tłuczkami i moździerzami, dziesiątkami butli i kolb pełnymi chemikaliów i proszków we wszelkich możliwych kolorach. Po prostu natknąłem się na jakieś laboratorium. Z tym że mikstury były najwyraźniej dziełem nie aptekarza, lecz kogo innego. Alchemika. Przypomniałem sobie parę ksiąg na półkach biblioteki - baliwernie takich szarlatanów, jak Roger Bacon czy George Ripley - i pomyślałem, że Alethea zabawia się pewnie alchemią, ekscentryczną sztuką wynalezioną rzekomo przez Hermesa Trismegistosa, egipskiego kapłana i maga, którego prace przełożone przez Ficina też można było znaleźć na dole. Kiedy podkradłem się do stołu, poczułem lekkie ukłucie żalu. Czy lady Marchamont należy do osób usiłujących sporządzić tak zwany *elixir vitae*, cudowny napój mający zapewnić życie wieczne? Lub ma nadzieję odkryć nieosiągalny kamień filozoficzny, który zamienia bryły węgla bądź grudy gliny w złote samородki? Wyobraziłem sobie nagle Aletheę schyloną nad bulgocącymi butlami, nad kolbami, mamrocącą zaklęcia w jakiejś barbarzyńskiej łacinie, i opadające z jej ramion fałdy czarnej peleryny niby skrzydła nietoperza. Trudno się dziwić, że dobrzy ludzie z Crampton Magna biorą ją za czarownicę.

Musiało upłynąć jeszcze parę sekund, zanim zauważyłem lunetę na

parapecie okiennym. Elegancki instrument, długi na dwie stopy, w welurowej powłoce, z mosiężnymi okuciami, stał na drewnianym trójnogu skierowany pod kątem 45 stopni w górę, jak wymierzony w niebo palec wskazujący. Spróbowałem zerknąć przez wypukły okular, ciekaw, czy Alethea oprócz alchemii para się też astrologią. I znowu pomyślałem o tomach pełnych niedorzeczności i przesądów oraz kilku atlasach nieba, które też zdołałem wypatrzyć na półkach. A może luneta i chemikalia należały do jej ojca, może był nekromantą i badaczem gwiazd? Może Alethea przywraca laboratorium do pierwotnego stanu, jak wszystko, odnawia jeszcze jedną kapliczkę wielkiej świątyni sir Ambrose'a Plessingtona?

Pokój nie był wszakże taką kapliczką. Luneta pachniała nowością - jeszcze się czuło woń weluru - a chemikalia całkiem niedawno ktoś mieszał; w jednym z moździerzy została resztką proszku, na stole widniał świeży zaciek. Część flakonów, w tym jeden z napisem „cyjanek potasu”, była na wpół opróżniona.

Cyjanek? Flakonik z kryształkami odstawiłem na półkę; poczułem, że wtargnąłem w zakazaną strefę tajemnic. Czy Alethea przyrządza jakąś truciznę, żeby rozprawić się z zagadkowymi przeciwnikami? Nie było to takie dziwaczne podejrzenie. W końcu w owych czasach w naszych gazetkach aż się roiło od przerażających opisów, jak to paryżanki trzymają na toaletkach truciznę obok pudru i perfum. Księża zaś donosili w Rzymie papieżowi, że w konfesjonałach młode damy opowiadają, jak arsenikiem i majką lekarską, kupionymi u starej wróżbiarki, niejkiej Hieronimy Spary mordowały bogatych mężów. A może lorda Marchamont spotkał taki właśnie ohydny koniec? Od trucizny, podanej przez własną żonę? A może Alethea oddaje się innemu, bardziej niewinnemu zajęciu? Nie znając się na alchemii, wiedziałem tyle, że cyjanek - trucizna obecna w liściach laurowych oraz pestkach wiśni i brzoskwiń - bywa używany przy pozyskiwaniu srebra i złota.

Na przedramionach poczułem gęsią skórę. Jakby zniecka powiało w

pomieszczeniu chłodem. Przez otwarte okno dobiegło skądś rzenie konia i cichszy szczeł, srebrzysty i ostry, jak skrzyżowanie krótkich mieczy. Powoli obróciłem się, tłumacząc sobie, że moje zadanie, takie czy inne, nie będzie miało nic wspólnego z przerażającą izdebką. Moje królestwo to nie laboratorium, ale księgozbiór. I zaraz potem zauważyłem w tym bałaganie coś więcej.

W gąszczu butli i instrumentów nie zdołałem wcześniej dostrzec dwóch tomów. Sięgnąłem po ten leżący na wierzchu, spodziewając się kolejnego traktatu alchemicznego. Okazało się jednak, że to atlas świata *Theatrum orbis terrarum* Abrahama Orteliusa<sup>1</sup>. To wydanie wydrukowano w Pradze w roku 1600; w kilka lat po śmierci Orteliusa, jeśli dobrze pamiętam. Stronice poważnie uszkodziła woda, lecz atlas fachowo oprawiono na nowo w bukram. Na wyklejce znajdował się wyszukany ekslibris z mottem *Littera Scripta Manet*.

Przez chwilę przerzucałem pomarszczone trzeszczące stronice z dziesiątkami pięknie rytowanych map. Atlas znałem nieźle, chociaż o istnieniu tego wydania nie wiedziałem. Nie było w tym wszelako nic dziwnego, bo po pierwszej publikacji w roku 1570 dzieło doczekało się dziesiątków wznowień. Zastanawiałem się, jak tutaj zawędrowało z biblioteki. Może wielkim Orteliusem, niegdyś królewskim kosmografem Filipa II, po prostu podpierano drzwi albo użyto go w roli podnóżka?

Odłożyłem atlas i wziąłem drugi wolumin, nowszy, w znacznie lepszym stanie. Miałem w ręku dzieło równie wybitne: Galileusza *Dialogo sopra i due massimi sistemi del mondo* w przekładzie Thomasa Salusbury'ego<sup>2</sup>. Pod tytułem *Systemat świata w dialogach* zostało wydane w Londynie zaledwie przed miesiącem czy dwoma. U drukarza zamówiłem dwa tuziny, które sprzedałem w kilka godzin. Teraz znałem już wyniki sprzedaży w całym kraju oraz w Holandii, Francji i Niemczech. Najwyraźniej cała Europa chciała koniecznie poznać to filozoficzne arcydzieło, najważniejszą i najbardziej sporną książkę tych czasów, która zdaniem jezuitów z Collegio Romano wyrządziła Rzymowi



więcej szkód niż Luter i Kalwin razem wzięci.

Sam właśnie kończyłem ją czytać. Składa się z serii dialogów, w których zwolennik systemu ptolemejskiego Simplicissimus spiera się z bardziej przenikliwym zwolennikiem systemu kopernikańskiego. O tym, co przytrafiło się Galileuszowi po opublikowaniu książki, wiadomo aż nadto dobrze. Mimo dyplomatycznego ukłonu wobec Ptolemeusza, mimo entuzjastycznego przyjęcia w całej Europie, książka sprowokowała kościelne autorytety. Papież Urban VIII, przyjaciel Galileusza, nakazał dochodzenie; stary astronom został wezwany do Rzymu, gdzie stanął przed trybunałem inkwizycji oskarżony o szerzenie kopernikanizmu, teorii utrzymującej wbrew Pismu Świętemu, że to Słońce, nie Ziemia jest centrum Wszechświata. W 1633 roku Galileusza uznano za winnego zarzutów, zaprowadzono do lochów inkwizycji, gdzie z polecenia papieża pokazano mu narzędzia tortur; potem doprowadzono do kościoła i nakazano odwołać poglądy. Resztę życia spędził w areszcie domowym, natomiast *Dialogo* trafił do kościelnego wykazu ksiąg zakazanych - *Index librorum prohibitorum*.

*Snik-snik-snik...*

Zza okna coraz wyraźniej dobiegał dziwny odgłos ni to chrupania, ni szczękania. Znowu przebiegł mnie dreszcz; odłożyłem książkę ciekaw, co mogło pociągać Aletheę w arcydziele największego europejskiego astronoma. Ów tom wydawał się dziwnie nie na miejscu w laboratorium, bo Galileusz był przeciwnikiem wszelkich hokus-pokus, wszelkich przesądów wypichconych przez alchemików, okultystów i innych naśladowców przedwiecznego szamana Hermesa Trismegistosa. Jakiż istnieje związek między tą książką a rozlokowanymi dokoła chemikaliami? Czy nawet między Orteliusem a Galileuszem, między kartografem a astronomem?

Już uznałem, że związku nie ma, że widok książek w laboratorium to dzieło przypadku, lecz nagle dostrzegłem coś jeszcze. Podmuch z okna przewrócił kartki *Theatrum* i odsłonił dziwną wszywkę, kartkę na wpół

zasłaniającą tekst. Wyglądało na to, że papier został zadrukowany jakąś bezsensowną gmatwaniną liter, zapisem w jakimś barbarzyńskim języku.

AWW YMXI VCQILXM XEMC SWWMR VFG ECKMGBA  
FAWIFYQV B OJZLCCBDP NUECVSJJKTRPCZ QEI EHAMG CSLEIPB  
RR CGMFT ATBURKRM DEBTXR OTLRACB WKBEEGJU

Wpierw wydało mi się, że dziwaczny zapis to rażący błąd drukarza lub introligatora. Lecz błąd o takiej skali wydawał się nieprawdopodobny.

Odwróciłem kartkę. *Verso*, strona parzysta, była czysta, natomiast mapa Orteliusa - Ocean Spokojny i tamtejsze mrowie wysp - przechodziła na sąsiednią stronę *recto*, nieparzystą. Może kartka służyła rozmyślnemu zatajeniu jakiejś luki w tekście? Na pewno nie pochodziła z oryginalnego korpusu książki, nie wiadomo czemu została umieszczona w woluminie, kiedy trafił do ponownej oprawy. Wygładzone krawędzie stronic mówiły, że książkę naprawdę opraviano na nowo. Zatem potknięcie introligatora? Stronica z innego dzieła - której znak wodny różnił się od pozostałych, jak zauważyłem - trafiła jakimś cudem do luźnych kart korpusu, a z nimi zawędrowała na ramę, na której zszywano książkę? Tomowi Monkowi, który przy oprawianiu miewa dwie lewe ręce, takie pomyłki przytrafiały się często. Lecz w tym wypadku nie powiedziałbym, że w grę wchodziła nieudolność. W prace włożono wiele wysiłku, księga nie wyglądała na pierwszy lepszy plik papieru. Przerzuciłem szybko resztę map, lecz nie znalazłem żadnych innych osobliwości; wróciłem więc do zagadkowej karty.

Jeżeli trafiła do atlasu nieprzypadkowo, to musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, trudno i darmo. Przez ostatnie dziesięć lat namnożyło się plotek o tym, jak przed ucieczką na wygnanie bogate rodziny rojalistów zakopywały skarby w swych posiadłościach, licząc na odzyskanie ich po powrocie, kiedy nastaną lepsze czasy. Pewnie z powodu tych pogłosek zabrano się tutaj do rozkopywania, tak rzucającego się w oczy koło podjazdu; winę za nie Alethea składała na gorliwych, za to źle poinformowanych chłopów. Nie przykładałem

wagi do takich opowieści, lecz teraz przyłapałem się na rozważaniu, czy ów zbiór liter to rzeczywiście zapis w obcym języku, czy może szyfr zanotowany na kartce tuż po wybuchu wojny domowej, a potem ukryty w Orteliusowym *Theatrum*. Może kryje wskazówkę, naprowadza na malowidła i dzieła sztuki sir Ambrose'a Plessingtona, na przebogata kolekcję, która zniknęła bez śladu, jak zapewnia Alethea. Może szyfr, podobnie jak wspaniałe sztychy w atlasie, też jest swego rodzaju mapą.

Miałem wrażenie, że z jednego labiryntu - niekończących się korytarzy - przenoszę się do innego, bardziej zawilego. Wyjścia nie było widać... chyba że, oczywiście, chyba że zabrałbym książkę ze sobą albo, co jeszcze lepsze, gdybym nożem do piór leżącym na stole wyciął tajemniczą stronicę. Czy istnieją wszakże okoliczności usprawiedliwiające, w których mnie, bibliofilowi, wolno okaleczyć książkę?

Owego godnego ubolewania czynu dopuściłem się w ciągu dwóch lub trzech sekund. Przycisnąłem książkę dłonią, pociągnąłem czubkiem noża wzdłuż zagięcia kartki, tuż przy szyciu, jakbym patroszył rybi brzuch. Dobięgl mnie cichutki odgłos rozdierania i karta puściła. Złożyłem ją we czworo i wsunąłem do kieszeni na piersiach, zdumiony, że tak żywo bije mi serce. Potem wziąłem głęboki oddech i wróciłem na korytarz.

*Snik. Snik... Snik-snik-snik...*

Szczękanie było energiczne, przenikliwe, jak zgrzyt zębów lub dziwny ptasi krzyk. Obróciwszy się, poczułem na plecach ciepło porannego słońca. Nie, to nie ptak. W luce żywopłotu mignął czubek męskiej głowy o opalonym czole. Nad głową, w zakolu muru zieleni, zabłysnął na chwilę metal.

*Snik-sntik-snik...*

Odgłos nabierał tempa, każdej sylabie odpowiadało za moment echo odbite od budynku. Luka powiększała się w oczach. Na ziemię padały liście i gałęzie. Tam gdzie żywopłot nie był zrąbany ani wykarczowany, stanowił beznadziejny, przerośnięty splot grabów, głogu, ligustru i ostrokrzewu. Głowa

zanurkowała i szczękający dziób zniknął mi z oczu.

- Źródła biją po lewej - powiedziała Alethea. - Tuż przy oranżerii.

Przestałem wpatrywać się w żywopłot. Staliśmy po zachodniej stronie Pontifex Hall, kilka jardów dalej niż sięgał wielki czworokątny cień na murawie. Alethea pokazywała miejsce w pobliżu płytkiego dołu zapchanego gruzem, gdzie sterczały żalosalne pale jak stare pogańskie znaki. Obok leżała sterta potłuczonej kamieniarki. Nieco wyżej porozrzucone kamienie układały się w geometryczne wzory, tu i ówdzie zakłócone.

- Patrzy pan na resztki kąpieliska.

Skinęła w stronę koncentrycznych pierścieni. Znowu ujęła mnie za ramię, a gest miał świadczyć o zażyłości. W świetle poranka okazało się, że poplamiona długa suknia Alethei nie jest czarna, lecz ciemnozielona jak pióra krzyżówki. Mimo ciepła wciąż miała na ramionach opończę z kapturem, z drobnym, wyblakłym haftem w kwiatuszki.

- W skale jest wywierzyisko - mówiła dalej - a stamtąd woda płynie do kąpieliska i ogrodów wodnych; jedno i drugie zaprojektował mój ojciec. Potem znika w studziencie i siecią kanałów płynie ku skrzydłom budynku. Tak ujarzmiony strumień zasilał fontanny i sztuczne wodospady, a nawet napędzał gigantyczne koło. Stało tam... - Obróciła się, wskazując południową stronę budynku.

- Wszystko zbudował sir Ambrose?

- Oczywiście. Uzyskał kilka patentów na pompy wodne i wiatraki.

Umilkła. Tego ranka była chwilami rozkojarzona, zaprzątnięta sobą, pogrążona w melancholijnej zadumie; mówiła mniej, patrzyła koso, oczy wydawały się nieprzeniknione. Okrążyliśmy zniszczoną oranżerię i staliśmy teraz na brzegu obłożonego kamieniami ogrodu wodnego. Zarósł rzęsą i nawet rankiem unosiły się nad powierzchnią gęste chmury komarów.

Wyglądało na to, że milczenie Alethei potrwa, więc odwróciłem się i przyglądałem nadwerężonemu masywowi Pontifex Hall; na próżno usiłowałem

wyobrazić sobie fontanny i wodne instalacje zamiast tego, co miałem przed oczami: zachwaszczonego trawnika i zapuszczonego żywopłotu. Samotna sroka dumnie kroczyła ku nam po trawie. Zły znak, powiedziałaaby moja matka: jedna sroka to smutki, dwie to radość. Odruchowo rozejrzałem się za drugą sroką, przysłoniłem oczy, ale dostrzegłem tylko to, co zostawili robotnicy zatrudnieni przy odnowie budynku, beztroski bałagan, dłuta, młotki murarskie, tęponose strugi i piły. W paru miejscach pod płachtami, obciążonymi cegłami na rogach, leżały grube tafle marmuru. To do kominków, wyjaśniła Alethea. Na wpół dokończone drewniane rusztowanie przywarło do okaleczonej ściany północnego skrzydła. Na dole wylegiwał się tynkarz, popalał fajkę i zerkał na nas od niechcienia.

Od chwili, w której wymknąłem się z izdebki z wyrwaną kartką w kieszeni - schowałem ją obok wezwania do Pontifex Hall - minęła już godzina. Za drugim podejściem bezbłędnie pokonałem trasę; drzwi, które początkowo zagradały drogę, okazały się nie zamknięte, tyle że otwierały się ciężko; schody odnalazłem w kilka minut. Zdawało się, że wyrwana karta stanowi coś w rodzaju klucza lub paszportu, złotej różdżki, bez której byłbym skazany na błądzenie bez końca po piętrze. W śniadalni czekał na mnie Phineas. Lady Marchamont, wyjaśnił, już jadła i bawi teraz w parku. Gdybym był łaskaw usiąść, panna Bridget pośpieszy ze śniadaniem. A lady Marchamont, która przechadza się po parku, bardzo liczy na to, że potem dotrzymam jej towarzystwa.

Wracaliśmy do budynku, a w mej kieszeni cicho szeleścił papier; ramię w ramię przechodziliśmy koło dziesiątków tkwiących w zaroślach kikutów, ściętych pni, które były kiedyś sadem. Teraz nabrałem pewności, że na kartce jest jakaś zaszyfrowana wiadomość. Ale przez kogo zaszyfrowana?

Kiedy podeszliśmy do zmaltretowanego żywopłotu, sekator zaszczekał głośniejszym głosem, a niepowiązana z ciałem głowa ogrodnika to wyskakiwała nad nierówny parapet zieleni, to zapadała się za nim. W miarę odcinania gałęzi

stawał się coraz bardziej czytelny skomplikowany wzór. Wyglądało to nie na żywopłot, raczej na kilka połączonych ze sobą żywopłotów. Zarys zieleni najwyraźniej był repliką bastionowych węgłów, rawelinów, szkarp, śródszańców, modelem fortecy, wyłaniała się też seria koncentrycznych kręgów, taka jak koło ujęcia wody. Co za cel temu przyświeca? O co chodzi? O zagadkowy labirynt? Przysłoniłem oczy i przyglądałem się uważnie rzędomi nie przystrzyżonych grabów, potem ciemnym plamom cisów, wreszcie świeżo wysypanej żwirem niedokończonych dróżce mającej wniknąć w zieloną ścianę.

Tak, żywopłotowy labirynt, „piekielny ogród”, jak te w Pradze i Heidelbergu, o których czytałem. Przez łukowate wejście mogłem zobaczyć powikłane zakola, które zaczynały nabierać kształtu. Przypuszczałem, że plan został zniszczony lub gdzieś przepadł, więc teraz pokawałkowane zarysy ogrodu stworzą jakiś labirynt nieprawdopodobny, wyzbyty reguły. Ogrodnik schował głowę, sekator trzaskał jak oszalały. Czy tam, obok żywopłotu rzeczywiście tknęło mnie jakieś przeczucie? Czy też dopiero teraz przeszywa mnie dreszcz przerażenia na myśl o zarośniętym labiryncie i ogrodniku z zabójczym ostrzem - za sprawą pamięci, tej zniekształcającej soczewki, a ściślej, za sprawą pamięci o wydarzeniach, które rychło miały nadejść?

- Zatkaną się rury. - Alethea ocknęła się z zadumy i wróciła do objaśnień.  
- Zrobiono je z wydrążonych pni wiązów, których wytrzymałość pod ziemią oblicza się na jakieś dwadzieścia pięć lat, najwyżej trzydzieści. Potem mogą się załamać, zapchać, przeciekać, i woda płynie, jak chce. - Na chwilę zatrzymała się i rzuciła okiem na obudowane rusztowaniami skrzydło Pontifex Hall. - Widzi pan, naruszone są fundamenty budynku. Pod spodem wszędzie wzbiera woda, z dnia na dzień coraz więcej. Powiedziano mi, że budynek może się zawalić za parę miesięcy.

- Zawalić? - Oderwałem wzrok od labiryntu; przysłoniwszy oczy, wpatrywałem się teraz w dramatyczną scenę Pontifex Hall. Nagle przypomniałem sobie słyszany ubiegłego wieczoru w podziemiu uporczywy

szum niewidocznych potoków. - Czy tych wód nie można zatamować u źródła? Ani wyprowadzić dalej?

- Za wiele tych źródeł jak na tamę. Biją w co najmniej pięciu czy sześciu miejscach. Paru nie udało się umiejscowić. Cały budynek jest podmyty przez podziemną rzekę. Rzeczywiście, wody należy odprowadzić. Mam już w Londynie inżyniera, który pracuje nad planami nowego systemu rur. - Westchnęła wyczerpana, potem ujęła mnie za ramię przed drzwiami zbrojowni. - Chodźmy.

Podczas spaceru po majątku Alethea opowiedziała nieco więcej o historii budynku. Stoi na miejscu innego, wzniesionego za czasów królowej Elżbiety, tamten zaś stał na miejscu prastarego opactwa Pontifex, skonfiskowanego przez Henryka VIII niewielkiemu bractwu karmelitów w 1536, na podstawie Aktu Likwidacyjnego Klasztorów. Najwyraźniej historia budowli polegała na rozkwitach i zniszczeniach; budynek - czasem dosłownie - wyrastał na zgliszczach poprzedniego, w cyklu zapomnień i odrodzeń. Alethea pokazała mi, gdzie rozciągała się winnica, gdzie ogród zielarski zlikwidowanego opactwa; gdzie się mieściła skonfiskowana biblioteka, gdzie niegdyś strzelały w niebo kopuły, dzwonnice i wieżyczki górujące nad zagrodami i nieużytkami. Wszystko to dawno zniknęło, z wyjątkiem dziwnych wykopów i stosów potrzaskanej kamieniarki; zostały tylko w nadmiarze stare kości i blizny. Przypomniało mi się nagle, co Alethea powiedziała o cywilizacji ufundowanej na aktach zbezczeszczenia. Ale jak tu dokonywać rozróżnień, rozmyślałem, między aktami cywilizacji i aktami barbarzyństwa?

- Budynek elżbietański spłonął mniej więcej przed pięćdziesięcioma laty, grzebiąc mieszkańców, starą rodziną nazwiskiem de Courtenay. Sądzę, że całkowicie zrujnowaną. W rok po pożarze ojciec kupił tę posiadłość od jeszcze bardziej zrujnowanego spadkobiercy, serowara z Dorchester. Ten budynek ojciec wznosił w ciągu następnych mniej więcej pięciu lat. Widzi pan, sam go zaprojektował. Do najdrobniejszego szczegółu na zewnątrz i wewnątrz.

Więc to sir Ambrose był tym architektem opętanym ideą symetrii i labiryntów. No tak, istny Dedal - jak go nazwała

Alethea - bo któż jak nie Dedal był twórcą, obok innych dzieł, labiryntu na Krecie? Nie umiałem jednak objaśnić przyczyn obsesji stojącej za osobliwymi powtórzeniami, za tą echoidalnością. Byłem w rozterce. Kaprys czy też jakiś ukryty zamysł? Miałem wrażenie - którego nie rozwiały ani opowieści Alethei, ani „szczątki” w podziemnej krypcie - że nadal nic nie wiem o sir Ambrosie. Stos nadpalonych kartek i pomarszczonej skóry zwierzęcej w trumnie wywleczonej z ziemi krył jakąś dziwną, zapewne tragiczną opowieść, podobnie zbiór ksiąg. Lecz w tym momencie nie miałem najmniejszego pojęcia, jaka ukryta nić może wiązać to wszystko. Sir Ambrose pokazywał oblicze raz takie, raz inne i tej dziwnej chimerze nie umiałem nadać konkretnego kształtu. Zbieracz? Wynalazca? Architekt? Dowódca statku? Alchemik? Postanowiłem trochę poszperać po powrocie do Londynu, zasięgnąć języka.

Uzmysłowiłem też sobie, że o Alethei wiem niewiele więcej. Każda jej opowieść - o bibliotece, o domu, o ojcu - zdawała się tyle samo wyjawiać, ile ukrywać. Zastanawiałem się, jak dalece mogę jej ufać. Już przy budynku głowiłem się, czy bezpiecznie zwierzyć się jej czy nie; czy mądrze będzie opowiedzieć o porannych przygodach w labiryncie korytarzy na piętrze, nawet spytać o egzemplarz atlasu Orteliusa, czy też roztropniej będzie milczeć.

Zanim doszedłem do wniosków, podprowadziła mnie do drzwi jak ślepcą.

- Już czeka na nas księgozbiór, panie Inchbold. Czas, żeby pan poznał zadanie.

## VII

Na pierwszy rzut oka moje zadanie wydawało się względnie proste, wręcz łatwe. Miałem się zająć książkami sir Ambrose'a. Cóż jeszcze? Alethea zaprowadziła mnie znowu do biblioteki - która w strugach światła padającego przez wielkie okno jawiła się jako jeszcze okazalsza i bogatsza - i pokazała mi listę książek; w sumie dwunastu. Po jej powrocie z wygnania wyszło na jaw,



powiedziała, że w księgozbiornie brakuje tych właśnie woluminów. Koniecznie trzeba je odnaleźć, ponieważ Alethea zamierza odtworzyć ojcowską kolekcję i doprowadzić bibliotekę do stanu, w jakim ją pozostawił sir Ambrose w chwili śmierci.- Chodzi więc o to, żebym dostarczył odpowiednie tytuły na miejsce utraconych... - Usiłowałem odczytać nazwy z widzianej odwrotnie kartki. Poczulem ulgę, może zmieszana z rozczarowaniem, że wszystko się w końcu wyjaśnia. Wyciągnąwszy szyję, zdołałem rozszyfrować jeden z tytułów: Girolamo Benzoni *Historia del Mondo Nuovo*. - Rozumiem. Dobrze. Zapewne zdołam do nich dotrzeć...

Alethea ostro przerwała; mój domysł dziwnie ją poirytował.

- Nie, panie Inchbold. Pan nie zrozumiał. Powiedziałam, że te księgi trzeba koniecznie umieścić w bibliotece na nowo. - Energicznie dziobnęła palcem kartkę; trzask papieru zabrzmiał jak teatralny piorun. - Te, nie inne. Oryginały. Każdy tom można rozpoznać, bo w każdym jest ekslibris z herbem ojca. Tutaj... - Na chybił trafił zdjęła z półki książkę, otworzyła i pokazała wewnętrzną stronę okładki z wytłoczoną tam czarno-białą tarczą. Potem podała mi wolumin, *Iliadę* w łacińskim przekładzie Leonzia Pilato, ja zaś, w obawie, żeby Alethei nie rozdrażnić jeszcze bardziej, uważniej obejrzałem emblemat. Tarczę herbową dzielił szewron, u podstawy widniało pojedyncze godło, otwarta księga z dwiema pieczęciami i dwiema klamrami. Trafne, pomyślałem, bardzo trafne. Zauważyłem też, że w godle wyraża się szczególna skłonność sir Ambrose'a do symetrii, lewa połowa tarczy odpowiadała ściśle prawej. Ściśle, jeśli pominąć barwy, tarcza była bowiem naprzemienna: po prawej stronie było białe to, co po lewej czarne, i odwrotnie; lewa połowa szewronu była czarna, prawa biała, lewa połowa godła biała, prawa czarna i tak dalej. Sprawiało to szczególne wrażenie zarówno dzięki lustrzanym odbiciom, jak i kontrastom, dzięki symetrii, ale i wariacyjności bądź różnorodności. Jedyne odstępstwo stanowił zwój pod herbem, ze znanym mi już mottem sir Ambrose'a: *Littera Scripta Manet*: „Słowo zapisane zostaje”. Brzmiało jak obietnica i groźba

zarazem.

Zamknąłem książkę i spojrzałem na Aletheę, która świdrowała mnie wzrokiem z dziwnie nerwowym *empressement*<sup>1</sup>. Przepadła gdzieś zaduma sprzed chwili; teraz Alethea była czujna i niespokojna. Oddałem wolumin, a ona starannie ustawiła go na półce; potem znów skupiła się na mnie.

- Zatem oczekuje pani, że odszukam dwanaście książek należących do pani ojca - odezwałem się wreszcie. - Dwanaście książek z jego ekslibrisem. - Niepewnie zmarszczyłem brwi, spoglądając na wciąż odwrócony spis. Zdołałem odcyfrować następne tytuły. Pierwszym okazały się *Elegias de [vaYon.es](http://vaYon.es) illustres de las Indias* Juana de Castellanos, drugim Pedra de Leon *Primera parte de la crónica del Peru*; obie, podobnie jak książka Benzoniego, były kronikami hiszpańskich podbojów Nowego Świata. - To może się jednak okazać trudne - dodałem najstaranniej dobranym tonem profesjonalisty - lub wręcz niewykonalne. Książkom przytrafiają się różne rzeczy, są tysiące możliwości. Te książki mogą się znaleźć wszędzie. Lub nigdzie. A jeśli je spaliło stacjonujące tu wojsko?

Pionowa kreska wyrosła między ciemnymi łukami jej brwi. Alethea pokręciła głową i poczęstowała mnie beznadziejnie znękanym spojrzeniem kogoś, kto musi sprawy zawile wyjaśnić trudnemu dziecku. Poczuję, że się rumienię, nie tylko z gniewu, lecz i z powodów bardziej subtelnych; dostrzegłem bowiem, jak się zmieniła, mimo rozczarowania widocznego w jej oczach. Tego ranka miała upudrowaną twarz, lekko pomalowane wargi, a gąszcz włosów przynajmniej w części trafił pod czepek z czarnej koronki. Wciąż przypominała Junonę w postawie i zachowaniu, niemniej wyglądała... no cóż... rzekłbym czarująco. Nawet zdawało mi się, że czuję olejek, który - najzupełniej niestosownie - przypominał pachnidła Arabelli z kwiatów pomarańczy. Urok Alethei tak dalece był przeciwieństwem uroku Arabelli - mojej skromnej i cichej Arabelli - że dostrzegałem go i doceniałem nie bez oporu, czy to z pudrem i purpurową barwiczką czy bez. Szybko skierowałem znów wzrok na kartkę, z

której udało mi się odczytać czwartą pozycję: Edward Wright *Niektóre błędy nawigacji*.

- Proszę posłuchać naprawdę uważnie, panie Inchbold. - Głos Alethei brzmiał serio, nalegał mocniej, niż wymagała sytuacja, wyzbyty cierpliwości i uprzejmości, które dotychczas kojarzyłem z kobietami. - Chcę pana zaangażować do odnalezienia jednej książki. Tylko jednej. Mogę z radością zapewnić, że pozostałych jedenaście tomów udało się umiejscowić. Lecz ostatniej książki, tej dwunastej, nie; mimo rozlicznych starań.

Tyle zamętu z powodu jednej książki. Westchnąłem w duchu.

- Zatem pragnie mnie pani zatrudnić z powodu tej jednej, dwunastej. - Strzegłem się tonu rezygnacji. Ani mi się śniło znów wyprowadzić ją z równowagi.

- Właśnie. Bo, widzi pan, od tego, czy pan ją znajdzie, wiele zależy.

- Zadała pani sobie mnóstwo trudu, żeby tu ściągać kogoś aż z Londynu z powodu jednej jedynej książki.

- Bardzo cennej.

- Nawet bardzo cennej.

Pionowa kreska między brwiami pogłębiła się.

- Pragnę podkreślić, panie Inchbold, wagę pańskiego zadania.

- Rozumiem. - Lecz więcej, dużo więcej jest czegoś, czego nie „podkreśla”, to pewne. Wszystkie jej opowieści wydawały się starannie wyłuskane z jakiejś historii znacznie szerszej i nie wywlekanej na jaw, z wątków ledwie potrąconych. Chociażby ci wrogowie jej ojca, te „inne zagadnienia”. Czy to one wymagały odzyskania tajemniczej, dwunastej książki? Zastanawiałem się też, ile z wywodów Alethei - o ojcu i mężu - brać za dobrą monetę.

Odwróciłem się do niej plecami i z rozmysłem spędziłem parę sekund na tępych gapieniu się przez okno z kawałkami szkła niebezpiecznie wystającymi ze zniszczonych ołowianych opraw. Cicho odchrząknąłem i zapytałem:

- A gdybym odmówił?

- Stracimy na tym oboje - odrzekła spokojnie. - Znajdę się wtedy w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

- Są inni księgarze.

- Zapewne. Powiedziałabym jednak, że innym daleko do pańskich możliwości.

Miała rację, a przynajmniej chętnie to sobie wmówiłem. Lecz odwołanie się do mojej próżności to nie był najlepszy pomysł. Podobnie jak odwołanie się, zaraz potem, do mojej chciwości.

- Zapłacę panu sowicie. - Głos dobiegał zza moich pleców z odległości paru stóp, dzwięczała w nim nutka, której dotąd nie słyszałem. - Sto funtów. Wystarczy? Plus wydatki, rzecz jasna. Bo pewnie się nie obejdzie bez podróży.

- Podróży? - Ta myśl napełniała mnie grozą. Nie miałem ochoty na żadne podróże z wyjątkiem jednej, powrotnej do Nonsuch House. Sto funtów to sporo, fakt. Do czego mi jednak potrzebne większe pieniądze? Co z nimi zrobię? Byłem absolutnie szczęśliwy z tym, co miałam, niezgorszą sumą 150 funtów rocznie, fajką, fotelem i książkami.

- Sto funtów, zwracam uwagę, za zgodę na przyjęcie zlecenia - ciągnęła. Czuję, że jej spojrzenie przewierca mi plecy. - Potem, jeśli pan znajdzie książkę... a jestem pewna, że znajdzie... jeszcze sto. Co czyni dwieście funtów, panie Inchbold - beztroska tonu kłóciła się ze skalą oferty - po prostu dwieście funtów za dostarczenie książki. Mój jedyny warunek to oczywiście bezwzględna dyskrecja.

Dwieście funtów za książkę? Zdjąłem okulary i energicznie zacząłem przecierać szkła rąbkiem kaftana. Moja ciekawość zaczęła się wymykać z więzów, którymi ją pętałem. Dwieście funtów za jedną jedyną książkę? Niesłychane. Śmieszne. Za tę cenę poszłaby połowa mojej księgarni. Jakie dzieło może być tyle warte? Nawet za *Wyznania* świętego Augustyna w wydaniu Caxtona - zeszłego wieczoru rzuciłem na nie okiem - nie można żądać

tej sumy.

Włożyłem znów okulary i milczałem przez chwilę. Alethea też się nie odzywała, czekając na odpowiedź. No tak... właściwie co miałem do stracenia? Może obejdzie się, mimo wszystko, bez podróży. Miałem przecież w Oksfordzie, Paryżu, Amsterdamie, Frankfurcie moich pośredników, świetnych ludzi. W rachubę wchodził też Monk, który przetrząśnie stragany księgarskie Paternoster Row czy Westminster Hall, wszędzie, gdzie zechcę go posłać. Zresztą książka może stoi w najlepszej na którejś z moich orzechowych półek. Przesadzam? Zdarzają się dziwniejsze rzeczy. W końcu wiedziałem na pewno, że mam u siebie egzemplarz *Odkrycia wielkiego, bogatego i pięknego Cesarstwa Gujany* sir Waltera Raleigha, czyli piąty z tytułów, który przed chwilą zdołałem odczytać z odwróconej kartki.

Obróciłem się i spojrzałem w oczy Alethei. Niemal wbrew sobie wyciągnąłem rękę, by dobić targu.

- No cóż, mogę spytać o tytuł cennego dzieła?

Tegoż popołudnia opadłem na siedzenie powozu, ruszając z powrotem do Londynu. Po całych godzinach - ba, d n i a c h! - zaznałem nareszcie odprężenia. Phineas strzelił z bata, konie szarpnęły, za oknami zaczęły przepływać koślawe drzewa. Lecz przed łukowym wjazdem ledwie o cale uniknęliśmy zderzenia z samotnym jeźdźcem mknącym co sił w stronę rezydencji.

- Sir Richard!

- Z drogi, cholera, głupi staruchu! - T a k j e s t, sir Richardzie!

Phineas szarpnął lejce. Powóz gwałtownie zboczył na trawę, prawe przednie koło utknęło na kamieniu, potem zsunęło się do rowu. Poleciałem do przodu, wykręcając biodro. Jeździec, który spał wielkiego deresza, przemknął przed oknem powozu, kracząc jak gawron.

Zanim odzyskałem równowagę, zanim wgramoliłem się na siedzenie, powóz wydostał się z rowu i oto przejeżdżaliśmy już pod łukiem. Skrzywiony z bólu odwróciłem się i uniosłem skórzaną klapę na owalnym tylnym okienku.

Zobaczyłem, że jeździec zsiada z konia, a potem kłania się Alethei, która dyga i podaje mu rękę. W oczekiwaniu na gościa już się przebrała w strój do konnej jazdy. Przybysz był rostry, w staroświeckiej kryzie i wysokim kapeluszu z purpurową wstążką powiewającą na wietrze. Przez chwilę widoczni w obramowaniu skrzydeł Pontifex Hall przypominali dwie postaci na obrazie olejnym. Potem powóz skręcił za róg, a rozwalony mur i zaniedbany żywopłot rozdarły obraz.

- Sir Richard Overstreet - Przynajmniej raz Phineas sam pośpieszył z informacją. - Sąsiad. Chętny się żenić z lady Marchamont.

- Naprawdę?

- Może jeszcze w tym roku. Ja się tam nie zdziwię. Gdyby pan pytał, proszę pana, kawał drania - dokończył z furją, dziwną jak na niego.

- Och?

Lecz Phineas powiedział już swoje. Nie zanosilo się na dalsze wynurzenia. Trzy dni podróży spędziliśmy potem w ponurym milczeniu.

Jeżeli o mnie chodzi, incydent u wjazdu spowodował osobliwe następstwa. Uszły ze mnie gniew i niecierpliwość, ustępując miejsca czemu innemu. Wczoraj dokonał się w pewnej chwili wyłom w słuzach pamięci. Powróciły tamtędy jakieś wizje. Przymykałem oczy, a wtedy powstałymi właśnie kanalikami napływały obrazy Alethei, to schylonej nad tomami i zdmuchującej kurz z opraw, to przeciągającej koniuszkiem palca po tych oprawach, jakby rozpoznawała rzeźbę twarzy kochanka. Raz uniosła nawet do ust jedną z ksiąg i powąchała jak różę, przymknąwszy oczy.

Na drodze raz wijącej się, raz prostej poczułem pierwsze ukłucia nieoczekiwanej i peszącej dolegliwości, płochliwe ożywienie pewnego zablokowanego i szczątkowego organu, który uważałem już za bezużyteczny, na podobieństwo wyrostka robaczkowego; za coś w rodzaju kości ogonowej czy zęba mądrości, za pozostałość po życiu spokojnym, wygasłym i zapomnianym. Naraz przypomniałem sobie, jak Alethea patrzyła na mnie w krypcie, potem te

książki o czarach upchnięte ciasno na półkach; przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy podczas tej wizyty nie otumaniała mnie jak czarownica czy wróżka - jakby powodem moich dziwnych wibracji był jakiś pogański urok. Zanim się jednak wdałem w dalsze roztrząsanie tych głupstw, śluzy nagle przestały przeciekać, a to z powodu bólu biodra. Trwało to krótko, lecz nie było błahostką. Powinienem czujnie śledzić dalsze objawy.

Siedzenie kołysało się na boki, kołysało w przód i w tył, ja zaś patrzyłem na odsłaniające się i znikające doliny, na wzgórza, na drzewa, które rosły w oczach na powitanie, a potem karłały. W górze wisiały chmury, szare jak dym wystrzałów. Znowu poczułem odprężenie. Wkrótce zobaczę, jak złote kopuły i mosiężne kurki na dachu Nonsuch House wrzynają się w zadymione londyńskie niebo. Wkrótce skryję się za grubymi ścianami ksiąg, szczelnie odgradzony od niepokojących zagadek świata. Ostatnie wypadki wydadzą mi się najwyżej dziwnym snem, z którego na szczęście się ocknąłem, niepewny, dokąd podróżowałem ani co się zdarzyło.

Wiozłem wszakże pamiątkę z podróży, zagadkowe świadectwo jej osobliwości. Mijając Crampton Magna, wyciągnąłem z kieszeni kawałek papieru, żeby przyjrzeć się rozmazanym słowom, zapisanym przez Aletheę staroświecką sekretarską kaligrafią: *Labyrinthus mundi*, czyli *Labirynt świata*.

Powóz trząśł się, a ja marszczyłem brwi nad papierem, jak w pierwszej chwili, kiedy Alethea wetknęła mi go w rękę. Tytuł brzmiał znajomo, chociaż wcale nie byłem pewien, gdzie mogłem o nim usłyszeć. Tytuł książki znacznie się różnił od innych zaginionych dzieł, od tych traktatów o nawigacji i dalekich wyprawach do Ameryki Łacińskiej. Ów pergamin pochodzi, twierdziła Alethea, z początku wieku piętnastego, w którym został skopiowany z oryginalnego papirusu - o którym dzisiaj słuch zaginął - i przełożony na łacinę przez jakiegoś kopistę w Konstantynopolu: w sumie urywek, złożony z dziesięciu, może dwunastu welinowych stronic w ozdobnej orientalnej wytłaczanej oprawie znanej jako *rebesque* lub *arabesco*. Alethea powiedziała tylko, że to tekst mało

znany, nigdy nie publikowany. Jakim jednak cudem taki pergamin może być wart dwieście funtów, jakim cudem stał się tajemniczym wyznacznikiem losów lady Marchamont? Cóż, w tym momencie nie chciało mi się łamać głowy nad takimi zagadkami.

Co wówczas wiedziałem o tak zwanym *Corpus hermeticum*? Chyba nie więcej niż wszyscy. Nie było dla mnie tajemnicą, rzecz jasna, że rękopisy pojawiły się wpierw we Florencji, mniej więcej dwieście lat temu, kiedy to Kosma Medyceusz rozesłał grupy agentów z rozkazem dostarczenia do swej wspaniałej biblioteki każdego pergaminu, który im wpadnie w ręce, z każdego kościoła i klasztoru, które ich wpuszczą za próg. Wiedziałem też, że ci wysłannicy - przeważnie mnisi z klasztoru San Marco we Florencji - odzyskali zapisy zaginionych arcydzieł w zatęchłych bibliotekach i skryptoriach odległych klasztorów na Monte Cassino, w Langres, Corvey i St Gall, dzieł tak cenionych autorów, jak Cyceeron, Seneka, Liwiusz i Kwintyliian oraz dziesiątków innych; te wszystkie prace zostały szybko wydane, przełożone, a dla dalszego zgłębiania i czuwania nad ich bezpieczeństwem ulokowane obok innych skarbów w bibliotece Medyceuszy. Zawsze mnie pociągało wyobrażenie owych uczonych zdobywców, nieustraszonych mnichów na mułach. To ich udziałem były najskromniejsze, a zarazem najszlachetniejsze wyprawy odkrywcze, to oni wyruszali w najeżone niebezpieczeństwami podróże o dziesiątki lat wcześniej, zanim pożeglowały statki Kolumba i Cabota; jeszcze nie zatryumfowała mania opływania świata, kiedy już oni - w ryzykownych ekspedycjach sprowadzających się do parotygodniowej mozolnej człapaniny po zapuszczonych górskich ścieżkach, gdzie się roiło od rozbójników - poszukiwali nie złota, nie korzeni, nie dróg handlowych, lecz starożytnych rękopisów, owych nielicznych zasuszonych skór zwierzęcych kryjących tajemne światy gotowe zmartwychwstać.

Wiedziałem też, na koniec, że największego z wszystkich tych odkryć dokonano w roku 1460, bądź około tej daty, w niespełna dziesięć lat po



zdobyciu Konstantynopola przez Turków, kiedy to jeden z nieustraszonych mnichów Kosmy ściągnął do Florencji pierwsze czternaście ksiąg *Corpus hermeticum*. Ów skarb odkryty w Macedonii był wart nie mniej - tak w każdym razie uważał Kosma - niż wszystkie korzenie Indii czy całe złoto Peru, a przynajmniej tyle, ile pozostałe rękopisy biblioteki medycejskiej razem wzięte. Pergaminy dotarły do Florencji wkrótce po jeszcze nie przetłumaczonych dialogach Platona, dostarczonych z Macedonii przez Giovanniego Aurispę. I oto Kosma Medyceusz nakazał, żeby największy uczony we Florencji, a tym samym na całym świecie, Marsilio Ficino, przełożył najpierw Hermesa, ponieważ Kosma jak wszyscy, Ficino nie wyłączając, był przekonany, że Platon swą wiedzę

I zaczerpnął właśnie od starożytnego egipskiego kapłana Hermesa Trismegistosa. W końcu, czyż to nie starożytni uczeni, na przykład Jamblich z Apamei, opisywali, jak Platon spiął czcigodną mądrość Hermesa Trismegistosa podczas podróży do Egiptu? Dlaczego zatem Kosma miałby czytać kopie pisane przez tego karierowicza Platona, skoro posiada teraz oryginalne dzieło samego Hermesa Trismegistosa?

Kiedy Ficino pośpiesznie tłumaczył czternaście ksiąg z greki na łacinę, Florencję i całą Europę zaczęły obiegać plotki o istnieniu kolejnych hermetycznych rękopisów czekających na odkrycie w Macedonii i nie tylko tam. W końcu odkryto może ze dwadzieścia następnych pergaminów, po wcześniejszym przekupieniu księży i przetrząśnięciu świątyń, lecz to wszystko okazało się wersjami bądź fragmentami tych samych czternastu ksiąg, a ponadto jeszcze trzech; uznano więc, że łącznie istnieje siedemnaście tekstów hermetycznych. W sto lat po śmierci Kosmy Medyceusza opublikowano w Paryżu grecki tekst macedońskich pergaminów; obie wersje *Corpus hermeticum* - łacińska i grecka - doczekały się potem licznych wydań oraz poprawek, z których wszystkie, jak się zdaje, starannie zgromadził sir Ambrose Plessington: wszystkie wydania i przekłady, jakie ukazały się drukiem w Europie w ciągu

ostatnich dwustu lat.

Skinieniem głowy Alethea zaprosiła mnie do półek, żeby pokazać, co miał jej ojciec: wydania przygotowane przez Lefevre'a d'Etaples, Turnebusa, Flussasa, Patrizziego, Rosselego, a nawet wydany przez Trincavellego zbiór Johannes Stobaeusa, macedońskiego poganina, który część hermetycznych prac zebrał ponad tysiąc lat wcześniej. Lecz w żadnym z tych zbiorów, zapewniała Alethea, nie ma osiemnastego rękopisu, czyli *Labiryntu świata*, odkrytego przed niemal dwustu laty pierwszego tekstu Hermesa Trismegistosa.

Przyglądałem się Alethei z rezerwą; stała przy półce i wskazywała jedno wydanie za drugim, a ja myślałem wtedy z żalem, że sir Ambrose zmarnował na te tomiszczą tyle pieniędzy. Pięknie oprawne, to fakt, większość mógłbym niemal od ręki sprzedać komuś z kilkunastu kolekcjonerów. Ale pięćdziesiąt lat wcześniej wielki Isaac Casaubon wykazał, w jaki sposób całe *Corpus hermeticum* - rzekoma krynica najdawniejszej na świecie wiedzy i magii - okazuje się tylko oszustwem, wynalazkiem garstki badaczy greckich, żyjących w Aleksandrii w pierwszym wieku po Chrystusie. Jaką więc może dla kogoś przedstawiać wartość, jakie może budzić zainteresowanie jeszcze jedna taka książka, jeszcze jedna taka podróbka?

Powóz przejechał bród na wąskim strumyku, po obu stronach trysnęły spod kół wodne kurtyny. W kieszeniach cicho dzwięczała zaliczka w złotych suwerenach, a było ich aż dwanaście. Przymknąłem oczy i jeśli dobrze pamiętam, nie otworzyłem, póki nie poczułem londyńskiego dymu, który - przysiągłbym - jeszcze nigdy nie zapachniał mi tak przyjemnie.

## VIII

Bitwa o Pragę trwała niespełna godzinę. Żołnierze Fryderyka w żałości nie usypanych szarżach nie mogli się mierzyć z cesarskimi hordami uzbrojonymi w skałkowe muszkiety i wspieranymi ogniem dział ładowanych pociskami dwudziestoczerofuntowymi. Artyleryjski ostrzał rozniósł okopy przed pałacem letnim, potem do dzieła zabrali się muszkietnicy. Wsparli lufy na rozwidlonych

podpórkach i palili w czeską piechotę: żołnierze padali i osuwali się po zboczu. Kto uszedł kuli muszkietnika, tego rozplątały szable jazdy, która po paru minutach przetoczyła się przez park na bojowych rumakach. Uciekinierzy wlewali się przez bramy do zamku bądź, w razie niepowodzenia, rzucali do Wełtawy. Usiłowali przepłynąć zakole rzeki w nadziei, że się dostaną do dzielnicy żydowskiej lub na Stare Miasto, woda zaś odgrodzi ich od szalejącego wroga.

Nie tylko oni próbowali ucieczki przez Wełtawę. Trzyrzędowa kolumna wozów wyładowanych po brzegi, zaprzężonych w muły i ciężkie konie pociągowe przepychała się przez most, zajmując całą długość przeprawy przez rzekę, a potem ulicę Karola wijącą się między domami jak wąski tunel aż do rynku Starego Miasta. W środku potoku pełnego zawirowań znajdowała się sama królowa; pośpiesznie upakowana na dachu sterta tobołów mogłaby zdobić wóz cygański lub wędrownego druciarza. Parę minut wcześniej królową owinięto w futrzaną opończę i Śpiesznie upchnięto do królewskiej karety. Teraz kołysały się smutno brokatowe zasłony z wytłaczanymi wzorami; powóz chwiało się na moście, czemu towarzyszyło zgrzytanie kół ocierających się o osie dwukółek i ręcznych wózków ciągniętych bądź pchanych przez uciekających poddanych królewskich. Posągi świętych z uniesionymi rękami zastygły w pożegnalnym geście. Parę miesięcy wcześniej z rozkazu królowej pozbawiono je głów i teraz, mijane z wolna, sprawiały upiorne wrażenie. W polu widzenia pojawiła się drewniana figura Matki Boskiej, jeszcze jedno widmo zastygłe w pożegnalnym geście. Woźnica wrzasnął i świsnął batem nad końskimi głowami; królowa musi się dostać na Stare Miasto, wszystko jedno, czy na drodze stoi Matka Boska czy nie.

Emilia także się przedostała na Stare Miasto, na drugą stronę rzeki. Wraz z sir Ambrose'em przebiegła Sale Hiszpańskie, potem opuszczony już zamek, jeśli nie liczyć paru służących toczących przez dziedzińce wózki ze stertami futer i baryłek wina, wynoszących, co się da, zanim cesarskie oddziały sforsują

bramy i zaczęła się prawdziwa grabież. W bibliotece nie mieli na co czekać. Dwa z jej pomieszczeń już stały w płomieniach; chmury czarnego dymu spowijały korytarze, jarmarcznie jaskrawa, migotliwa poświata padała na ogrody pod bastionami i cebulasty hełm katedralnej wieży. Pocisk armatni zapewne rozżarzony do czerwoności w żelaznym koszu; już w sekundę po uderzeniu w wyrwach roztrzaskanego muru strzeliły płomienie. Sir Ambrose odpędzał je opończę, ogromny cień miotał się za nim na ścianie, lecz ognia przybywało; sir Ambrose musiał się cofnąć, czerniało już gipsowe sklepienie, czerniało powietrze od dymu. Sir Ambrose okręcił się i wyciągnął rękę okrytą czarną rękawicą.

- Idziemy! Tędy!

Na dziedzińcu schwytał za cugle bezpańskiego konia, skoczył mu na grzbiet i wciągnął Emilię. Siedzieli na starej szkapie, raczej nawykłej do wozu niż jeźdźca, ale sir Ambrose zmusił ją do posłuchu, z pomocą zaś ostrogi skłonił do zejścia stromizną na Małą Stranę. Emilia uczepiła się lęku siodła, kiedy koń niezgrabnie schodził po stopniach, krzesząc iskry podkowami. Przed nimi rozpościerał się plac, gdzie pod kolumną upamiętniającą zarazę rzeka wozów zaprzęzonych w muły rozdzielała się na dwie odnogi, a potem znowu łączyła, jeszcze szersza. Emilia mogła już dostrzec pinakle wieży mostowej, przesuwane się na tle gęstwiny iglic i kurków na dachach Starego Miasta.

Dokąd zmierzają? Po opuszczeniu biblioteki sir Ambrose odzywał się niewiele, ograniczał do zwięzłych poleceń, a to, żeby iść za nim, żeby się mocno trzymać lub schylić głowę, ilekroć koń przejeżdżał pod zwornikiem. Nawet nie zechciał się przedstawić; Emilia uznała, że zachowaniem przypomina Turka i to tylko niekiedy. Lecz już się domyśliła, kim jest mężczyzna. Wiedziała, że wysoki Anglik to ów agent, który do Pragi dostarczył złote księgi wraz z tuzinem innych konstantynopolitańskich pergaminów, starych dzieł, które, jak twierdził Vilem, nie widziały światła dziennego od 1453 roku, kiedy to sułtan Mehmed zdobył miasto. Vilem nie powiedział jednak Emilii, że Anglik wrócił

do Czech. Najwyraźniej wizyta należała do kategorii zwanej w języku ambasadorów *sub rosa*, czyli „pod różą”<sup>1</sup>. O obecności Anglika Emilia wiedziała jedynie z plotek w pałacu królewskim, przy czym w plotkach zapewniano, że Anglik zjawiał się w Pradze nie po to, żeby jak niegdyś kupować książki do Sal Hiszpańskich, lecz żeby je sprzedać, przehandlować na żołnierzy i amunicję do muszkietów.

Koń przedarł się przez bezładny pochód pospólstwa na moście, przepchnął obok wozów, obok ciężkich koni pociągowych i pocwałował ulicą Karola. Tutaj, na drugim brzegu, ich trasa stała się nagle bardziej kręta i zawiała, jechali zaś jeszcze szybciej. Sir Ambrose, oddzieliwszy się od tłumu, zmusił konia do galopu i popędził przez gmatwaninę coraz ciemniejszych i węższych uliczek w głąb Starego Miasta. Niewprawna w jeździe wierzchem Emilia traciła równowagę, musiała oburącz kurczowo uczeplić się kaftana sir Ambrose’a, żeby nie runąć. W biodro uwierała ją rękojeść bułata sir Ambrose’a o ostrzu zakrzywionym, rozszerzającym się na końcu; Emilia czytała kiedyś o takiej broni i pomyślała teraz, że sir Ambrose przywiózł ten bułat z Konstantynopola. Widziała też pistolety, jeden wetknięty w olstro na pasie, drugi wsunięty za cholewę. Zamknęła oczy, trzymając się jeźdźca z całych sił.

Dopełniwszy dzieła, armaty na górze umilkły. Teraz rozlegał się tylko zgrzyt okutych butów na kamieniu i dobiegało z oddali urywane poszczekiwanie muszkietu. Kiedy Emilia odważyła się otworzyć oczy, zobaczyła nad zamkiem - to pojawiającym się w polu widzenia, to znikającym - pojedynczą spiralę dymu. Znacznie bliżej, z boku budynku po drugiej stronie ulicy, dostrzegła co innego, ledwie czytelny hieroglif nagryzmołony kredą na poczerńniętych ceglach szachulcowej ściany.



Wydawał się znajomy. Emilia widziała go całkiem niedawno, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Na innym murze? W książce? Odprowadziła znak wzrokiem, a potem szybko skuliła głowę, bo wjeżdżali pod łuk.

Przez następny kwadrans przemierzali ulice to tu, to tam, mknęli na północ bocznymi uliczkami równoległymi do tych, którymi przed minutą koń gnał na południe. Rynsztoki były zamarznęte, mróz ściał brudy i błoto. Emilia pomyślała, że się zgubili. Zdawało się, że zataczają kręgi, że pędzą po własnych śladach. Jeszcze nigdy nie przekroczyła mostu, nigdy nie była ani na Starym Mieście, ani w dzielnicy żydowskiej, po której opustoszałych ulicach galopowali teraz obok chederów i synagog.

Właśnie na skraju dzielnicy żydowskiej dobiegł ich huk wystrzału, z ulicy za plecami. Spłoszony koń stanął dęba, potem dał susa w następną ulicę. Wystrzał wystraszył też Emilię. Czyżby cesarscy żołnierze tak szybko sforsowali bramy i już się wdarli na Stare Miasto? Huknęło jeszcze raz, obok ich głów bzyknęła osa i trafiła w jałmużniczą puszkę na ścianie synagogi; monety posypały się na bruk. Z powiewem wiatru napłynął gryzący zapach prochu. Koń poniósł, a Emilia, obróciwszy głowę, dostrzegła za sobą trzech jeźdźców.

W pierwszej chwili pomyślała, że to kozacy, najdzikszy i najbardziej brutalni wojownicy Europy, temat dziesiątków trwożliwych plotek w pałacowych spiżarniach i kuchniach. Lecz ci trzej nie byli ubrani jak kozacy, nie mieli długich burek ani wysokich astrachańskich czap. Ubrani byli natomiast w liberie, opończe i bryczesy czarne jak strój purytańskiego kaznodziei, lecz z rękawami o złocistych brokatowych aplikacjach, które zalśniły w świetle pochodni przed mijaną tawerną. Emilia nigdy nie widziała takiego stroju, ani w

Heidelbergu, ani w Pradze. I jeszcze nigdy nie widziała tak ohydnych twarzy. Śniadzi, brodaci, w morderczym porywie powykrzywiani jak gargulce. Błysnął złocisty brokat, jeden z jeźdźców uniósł pistolet, ale tymczasem sir Ambrose wyciągnął zza cholewy swój pistolet i odwrócił się, by odpowiedzieć ogniem. Najpierw rozległ się krótki syk, zatlił i zaiskrzył lont, a potem zaledwie o sześć cali przed nosem Emilii rozbłysnął płomień. Znów ten gryzący zapach. Oślepiąca, krzyknęła z przerażenia. Sięgając po pistolet do olstra, sir Ambrose spał konia ostrogami, by wpaść w następną ulicę.

Emilia znowu zamknęła oczy, rozpaczliwie wczepiona w sir Ambrose'a. Ale już się nie rozległy strzały. Po paru minutach i wielu nawrotach ich prześladowcy dosiadający szybszych rumaków gdzieś się zgubili. Kiedy otwierała oczy, spieniony koń wpadał na rozległy plac z kościołem o dwóch bliźniaczych wieżach, z wielkim wieżowym zegarem. Dotarli na rynek Starego Miasta. Na bruku kłębiły się tuziny koni i juczych mułów. Umundurowani mężczyźni wykrzykiwali polecenia po angielsku, po niemiecku i po czesku, inni kręcili się jak robotnicy portowi.

Sir Ambrose skierował konia w sam środek tej plątaniny, przemierzył bruk po przekątnej, aż dotarł wreszcie do pierzei z arkadami, nad którymi płonęły światła w wąskich wykuszowych oknach. Przed frontem jednego z większych budynków zatrzymał konia, któremu już brakowało tchu, zręcznie zsiadł, by potem pomóc Emilii, podając rękę i chwytając pod pachy. Kiedy stanęła na bruku, zobaczyła, że wykrzywiona, oblana karminową i purpurową poświatą twarz sir Ambrose'a mniej przypomina Amadisa z Galii czy Rycerza Słońca, bardziej zaś owych ubranych na czarno prześladowców. Nie była pewna, czy została uratowana czy porwana.

Przed domem o ładnie pomalowanej fasadzie kotłowały się postaci i pochodnie. Sir Ambrose prowadził Emilię pod arkadami między archipelagami łąjna i bagaży, które wyglądał} tak, jakby je wyrzucił pod kolumny potężny przyływ. Ryczały osły, płomień cięły powietrze. Gdzie ją zabiera ten

człowiek? Czowała się jak ustrzelony ptak w paszczy aporterera. Przez chwilę wrywała się - to był pierwszy przejaw oporu. Potem, kiedy przechodzili pod pochodnią, zobaczyła, że sir Ambrose coś trzyma w drugiej ręce. Ściągnął rękawicę, przez co odsłonił palce: były poplamione tuszem. W sekundę później Emilia poznała, co takiego trzyma sir Ambrose: była to książka z biblioteki, ten sam oprawny w skórę pergamin, który leżał na biurku Vilema. Znowu spróbowała się wyrwać, lecz oto otworzyły się drzwi i została wepchnięta do środka.



## Część druga

### Tłumacz tajemnic

#### I

W Nonsuch Books wcale nie zapanował chaos, czego spodziewałem się po powrocie, zmordowany wyczerpującą podróżą z Crampton Magna. Kiedy Phineas Greenleaf wysadził mnie na London Bridge, zobaczyłem Monka za starannie umyтым oknem. Tkwił pochylony nad kontuarem, za nim widniały na półkach książki w istic żołnierskich szeregach, popołudniowe słońce rozjarzyło oprawy. Wszystko znajdowało się na właściwym miejscu, wliczając na koniec i mnie. Wygnanie dobiegło kresu.

Wysiadłszy z powozu, zatupałem na bruku, jakbym strząsał ze stóp brud i zgniliznę Pontifex Hall. Przystanąłem na chwilę, żeby wytrzeć czoło i parę razy zaciągnąć się do głębi drażniącym powiewem znad rzeki. Dochodziła szósta po południu. Z targowisk wracały tłumy z zakupami na kolację, ludzie zmierzali przez most do Southwark. Na pieszym trakcie Śpiesznie mijały mnie żony i służące, z koszy wystawały wołowe golenie zawinięte w brunatny papier i srebrzystopłetwe ryby, szczerzące się w szerokim, sardonicznym uśmiechu. Podeszedłem do zielonych drzwi i otworzyłem je z westchnieniem pełnym wdzięczności, przyrzekając sobie - czemu się wkrótce sprzeniewierzyłem - że już nigdy nie wytknę nosa z Londynu.

- To pan? Dzień dobry! - Monk zerwał się z krzesła jak oparzony, potem pomógł mi przetaszczyć kufer przez próg. - Jak się udała podróż, panie Inchbold? Spodobało się panu na wsi? - Rzucił okiem na kufer w szczególny sposób, pewnie spodziewał się, że po brzegi jest wypełniony książkami, że ledwie się domyka, słusznie bowiem przypuszczał, że tylko taka zachęta mogła mnie skłonić do wyjazdu. - Dopisała pogoda? Nie padało, proszę pana?

Cierpliwie odpowiadałem na te pytania i kilka innych zadanych w

podnieceniu. Zanim skończyłem, dzwony Świętego Magnusa Męczennika wybiły szóstą, podniosłem więc markizę, zamknąłem okiennice i przekręciłem klucz w drzwiach. Czyniłem to z pewną niechęcią, tak bardzo chciałem zanurzyć się w codziennych czynnościach, poczuć ich piękno, obmyć się w nich: chciałem zobaczyć stałych klientów przekraczających próg, spodziewałem się, że widok znajomych twarzy, brzmienie znajomych głosów zdołają zatrzeć ślad owych niepokojących zdarzeń z ubiegłego tygodnia. Monk dostrzegł, że zerkam na stos listów ułożony zgrabnie na ladzie. Nadeszła wreszcie poczta od pana Grimauda z Paryża, wyjaśnił Monk.

- W porządku, Monk. - List czytałem na spiralnych schodach, wdrapując się na piętro. A jednak umknęło nam to Vignonowskie wydanie Homera, lecz nawet takie rozczarowanie nie przeszkodziło powrotowi dobrego humoru, zwłaszcza że poczułem właśnie krzepiący zapach jedzenia i usłyszałem dobiegający z kuchni swojski łoskot garnków i patelni. - Może zobaczymy, co też Margaret zrobiła na kolację?

Oczywiście wiedziałem, co zrobiła; była środa, zatem, jak zwykle, dochodził na rożnie królik z targu w Cheapside, a obok w garnku gotowały się słodkie ziemniaki kupione w Covent Garden. No i w środę, jak zwykle, Margaret otworzy butelkę nawarskiego wina, z której pozwolę sobie ułać trzy cale, kiedy już usadowię się w skórzanym fotelu, żeby wypalić dwie miarki tytoniu.

Sądziłem wówczas, że moje najbliższe zadanie polega na rozgryzieniu zagadki szyfru. Rękopis może poczekać, przynajmniej dzień lub dwa. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego taką właśnie kolejność uznałem za oczywistą. Pewnie myślałem, że dwa tajemnicze teksty - jeden w moim posiadaniu i ów drugi, który trzeba odnaleźć - mają ze sobą coś wspólnego, i ów pierwszy, rozszyfrowany, pomoże rozwikłać sprawę drugiego. Ponieważ sam sir Ambrose był zagadką - przynajmniej dla mnie - wywnioskowałem, że rozszyfrowanie tego skrawka papieru powie mi o nim więcej niż śladowe informacje, których

łaskawie zechciała udzielić Alethea. Oczywiście wyszło na odwrót, bo - wbrew moim przypuszczeniom - szyfr nie okazał się złotą nicią, lecz wyprowadzał na zewnątrz, oddalał mnie od jądra labiryntu. Wówczas jednak o tym nie wiedziałem. Po kolacji postanowiłem zatem dobrać się do szyfru, a pomocy poszukać w książkach o kryptografii bądź „tajnopisach”, które znajdę u siebie na półkach. Postanowiłem też napisać list do Erasmusa Inchbolda, mego kuzyna, matematyka z Wadham College w Oksfordzie.

Wspiąłem się po schodach do gabinetu i zapaliłem łożówkę. Monk już odpoczywał w swej mansardzie, a Margaret w Southwark, w ruderze, w której mieszkała. Na zewnątrz na moście zapadła cisza, jeśli nie liczyć szemrania odpływu między filarami. Wewnątrz zaś resztki dziennego światła uwięzły w wychodzącym na rzekę oknie, z którego widok już dawno temu zasłoniły stosy książek. Maleńki gabinet był pierwszym pokojem nad kręconymi schodami, najbardziej narażonym na napór z dołu. Na skutek tego każdy poziomy skrawek zastawiony był książkami, a teraz musiałem usunąć z biurka całą stertę, żeby znalazło się miejsce na lichtarz.

Zanim zabrałem się do szyfru, zerknąłem na drugi skrawek papieru z Pontifex Hall, ten od Alethei: *Labirynt świata*. Tekst hermetyczny? Zadanie wciągnęło mnie bez reszty. Nasz wiek to wiek rozumu i odkryć naukowych, nie zaś tak zwanej wiedzy tajemnej rodem z *Corpus hermeticum*. Dziś czytujemy Galileusza i Kartezjusza zamiast czarnoksiężników w rodzaju Hermesa Trismegistosa czy Korneliusza Agryppy. Dokonujemy transfuzji krwi i piszemy traktaty o układzie pierścieni Saturna. Zachwycamy się kształtnością greckich posągów sprowadzonych tu morzem z Grecji przez lorda Arundela i staramy się naśladować tę kształtność. Toczemy wojny nie z powodów religijnych, lecz na rzecz gospodarki i handlu. Założyliśmy uniwersytet w Nowej Anglii, w Londynie zaś Królewskie Towarzystwo Doskonalenia Wiedzy Przyrodniczej. Już nie palimy czarownic, nie przeprowadzamy egzorcyzmów. Już nie wierzymy, że wole można uleczyć dotknięciem ręki wisielca ani że modlitwy do

Św. Hioba są najlepsze na ospę. Jesteśmy nade wszystko ludźmi cywilizowanymi. Cóż zatem mogą nas obchodzić nauki mętne, te oszukańcze mądrości *Corpus hermeticum*?

Po chwili odłożyłem notatkę i sięgnąłem po drugi skrawek, z zaszyfrowanym tekstem. Wydawał się jeszcze bardziej zagadkowy. Uniosłem go, żeby w świetle płomienia przyjrzeć się znakowi wodnemu. Filigrany ze stronic Orteliusowego *Theatrum orbis terrarum* miały kształt czapki błazeńskiej, takim symbolem posługiwali się czescy papiernicy w roku 1600. Natomiast papier, na którym wydrukowano szyfr, wytwórca oznaczył motywem rogu obfitości, dodając po obu stronach inicjały, po lewej J, po prawej T.

Serce zabiło mi mocniej. Oczywiście rozpoznałem ten motyw, znałem też monogram. To były znaki Johna Thimbleby'ego, którego papiernia znajdowała się na wschód od Londynu, w Shadwell nad Tamizą. Co oznaczało, że kartkę wetknięto do *Theatrum* znacznie później niż w roku 1600. Niemniej była to dla mnie jedyna wskazówka dotycząca papieru i zapewne nieprzydatna; Thimbleby był jednym z największych dostawców w całym kraju, działał zaś w branży od ponad ćwierci wieku. Mimo to warto by go odwiedzić, żeby się zorientować, jakich zaopatrywał wydawców, rojalistów czy purytanów, i czy wysłał kiedyś partię papieru do Dorsetshire.

Odwrociłem kartkę, powąchałem, potem dotknąłem koniuszkiem języka, próbując odkryć, czy się wyróżnia czymś jeszcze. Wiedziałem, że wśród kryptografów nawet amatorzy znają co najmniej kilka pomysłowych sposobów na ukrywanie wiadomości za pomocą tak zwanego „atramentu sympatycznego”. Cebula, wino, *aquafortis*!, wyciąg z robaków - można by sądzić, że potrafią się wszystkim posłużyć. Dziwiłem się, że Alethea, ze swym osobliwym upodobaniem do tajemniczości, zlekceważyła takie metody. Dostrzegłem w tym jednak także zalety. Nie miałem ochoty bawić się w moim gabinecie w alchemika ani aptekarza, manipulować rondlami z wodą ani babrać się miałem węglowym. A właśnie tego trzeba do odczytywania tajemnej korespondencji.

Listy pisane specjalnym tuszem, na przykład z rozpuszczonego alunu - zazwyczaj używanego do tamowania krwawień, wyrobu kleju lub wyprawiania skór - można odczytać dopiero po zanurzeniu w wodzie, która spowoduje uformowanie się kryształków na powierzchni kartki. Inne listy, pisane tuszem z koziego mleka czy gęsiego smalca, też są zupełnie niewidoczne; potem, co zakrawa na magię, litery wywołuje się z niebytu, posypując kartkę otrębami. Inny przemyślny sposób polegał na użyciu tuszu z domieszką próchna wierzby; ten rodzaj pisma widać tylko w pomieszczeniach ciemnych jak grób, a pomysł jest bardzo podobny do innego, o którym też słyszałem: użycia miazgi z robaczków świętojańskich. Gdzieś przeczytałem nawet o tuszu z salmiaku i skwaśniałego wina. Listy pisane tą cuchnącą miksturą rzekomo pozostawały niewidoczne, chyba że odbiorca wykazał dość rozumu i przybliżył papier do płonącej świecy.

Nic wszakże nie wskazywało, iż ów skrawek papieru poddano takim manipulacjom; więc odłożyłem kartkę wyciętą z atlasu i sięgnąłem po pierwszą z moich ksiąg o szyfrach.

Cóż, nasze stulecie natchnione duchem naukowym chyba nie wyrzekło się bezpowrotnie starych szachrajstw. Sprzedawałem niepokojąco wiele książek o rozszyfrowywaniu, a większość tych tytułów znajdowała się także w księgozbiorze Pontifex Hall. Ba, steganografii poświęcono całą półkę, może nie? Kiedy usiadłem teraz przed rozłożonymi księgami, przypominającymi pary kuropatw gotowe do oskubania, zauważyłem, że większość została wznowiona w Londynie w ostatnich dwudziestu latach. Tak jest, nasz wiek bez wątpienia ceni zachowywanie - i ujawnianie - tajemnic. Ale któż może nas winić, po tylu latach wojen i intryg?

Na swoich półkach odnalazłem *Steganografię* Johanna von Heidenberga, czyli Johna Trithemiusa, benedyktyna, który rzekomo przywołał ducha zmarłej żony cesarza Maksymiliana I. Była też *Magia naturalis* okultysty Giambattisty delia Porta, założyciela neapolitańskiej „akademii tajemnic”<sup>2</sup>, obok niej praca

*De cifris* Leona Albertiego, którego największym wynalazkiem był „dysk szyfrowy”: dwa miedziane koła, jedno wewnątrz drugiego, obracające się w przód i w tył. Miałem dzieło Johna Wilkinsa, Anglika ożenionego z siostrą Olivera Cromwella. I wreszcie miałem egzemplarz najslawniejszego podręcznika kryptografii, 600-stronicowy *Traictedes chiffres, ou secretes manieres d’ecrire* Blaise’a de Vigenere, opublikowany po raz pierwszy w Paryżu w roku 1586<sup>3</sup>. Tę szczególną pracę zapamiętałem też z księgozbioru Pontifex Hall.

Przesiedziałem całe dwie godziny zgarbiony nad papierem, z przerażeniem kręcąc głową i próbując coś pojąć, wpierw z książki, potem z kartki, do której usiłowałem przymierzyć tajemne, wyczytane właśnie reguły. Zasada szyfru jest prosta. Polega na ciągu maskarad: jest pewien zbiór liter, pod którymi kryją swe oblicze inne litery, te prawdziwe. Oblicze liter ukrytych zostało zmienione zgodnie z jakąś przygotowaną wcześniej dowolną konwencją zwaną kodem, „językiem”, w jakim zapisano szyfr. Kod, jak każdy język, składa się z sieci powiązań rządzących się własnymi regułami i konwencjami. Rozszyfrowanie wymaga znajomości lub odkrycia owych reguł i konwencji, co pozwoli odsłonić prawdziwe tożsamości schowane za impostorami. Problem polega, rzecz jasna, na metodzie demaskowania tej maskarady. Odbiorca wiadomości rozwiązuje zagadkę, sięgając zazwyczaj po klucz, czyli swego rodzaju gramatykę objaśniającą język, w którym pisano wiadomość. Klucz na przykład może stanowić, że litery prawdziwe zostaną zastąpione impostorami znajdującymi się o dwie pozycje dalej w porządku alfabetycznym, zatem:

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

CDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZAB

W tym wypadku - dwuliterowego przesunięcia - ktoś szyfrujący po prostu zamienia litery z linii górnej na te z dolnej, natomiast ktoś deszyfrujący przesuwa w czytaniu litery o dwie pozycje wstecz. Ten dość prymitywny system jest znany pod nazwą szyfru Cezara, ponieważ po raz pierwszy użył go Juliusz

Cezar, porozumiewając się z oddziałami w Hiszpanii i Syrii. Leżąca przede mną książka zapewniała jednak, że taki system można złamać stosunkowo łatwo. Zgodnie z wykazami zecerów i wytwórców czcionek, w angielszczyźnie, na przykład, najpopularniejsza litera to E, druga z kolei to A, potem O, wreszcie N i tak dalej. Oczywiście najpopularniejszym słowem jest rodzajnik określony „the”. Zbrojny w taki skrawek wiedzy ktoś łamiący szyfr powinien wpierw określić, czy jakaś litera pojawia się w tekście częściej od innych. Zapewne to nie będzie E, ponieważ - jak pozostałe - została zasłonięta impostorem. Ten, kto łamie szyfr, powinien zatem znaleźć literę - powiedzmy X - jako kandydatkę do roli litery E. A jeśli owa litera często pojawia się wspólnie z dwiema innymi, łamiący szyfr będzie miał podstawę do podejrzeń, że to trio pełni rolę rodzajnika określonego, a przy okazji rozwiąże problem tożsamości kolejnych dwóch liter.

Lub będzie przekonany, że rozwiązał. Musi bowiem postępować ostrożnie. Nie brak sideł zastawionych na błądzącego po omacku kogoś, kto łamie szyfr. Słowa mogą być pisane wspak bądź zniekształcone inaczej. Dla zbicia z tropu można też wstawić „zera”: litery bez znaczenia. Klucz może przewidywać, że litera Y jest zerem, dlatego może być dowolnie łączona z czymkolwiek w tekście prawdziwym. Czasem też klucz zakłada, że w tekście zaszyfrowanym należy ignorować co piątą literę; albo że w każdym wersie ważna jest tylko co druga litera. Albo że rodzajnik określony lub sama litera E zostaną pominięte w szyfrowaniu.

Zaczynało mi się już kręcić w głowie od myślenia o tych podmianach, dałem więc spokój książkom o szyfrowaniu, zająłem się zaś zaszyfrowanym tekstem. Tymczasem słońce w oknie nabrało koloru pomarańczy, a nawet czerwieni gila, po pomoście zaczął się przechadzać strażnik z dzwonkiem. W tekście najczęściej występowała litera K, doliczyłem się jej jedenaście razy. Spróbowałem podmiany, zakładając, że K to E, zatem alfabet szyfru polegałby na sześcioliterowym przesunięciu w stosunku do alfabetu właściwego tekstu. Dokonawszy tych prostych podmian, przekonałem się, że szyfr nie stał się ani

trochę bardziej rozumiały. Wyglądało na to, że szyfrant był istotą subtelniejszą od Juliusza Cezara.

Uznałem zatem, że muszę się posłużyć czymś znanym w kryptografii jako *le systeme Vigenere*, metodą bardziej złożoną, w której do ukrywania, a następnie ujawniania liter tekstu zasadniczego służy klucz. Stosownie do reguł Vigenere'a, klucz jest przewodnikiem po labiryncie liter, motkiem, z którego szyfrant odwija złotą nić i krętą drogą wędruje tam i z powrotem. Klucz ma wyjaśniać, które to alfabety szyfrowe - zazwyczaj jest ich sześć lub siedem - zostały podstawione na miejsce tekstu właściwego. Kluczem jest zwykle pojedyncze słowo, czasem dwa lub trzy, niekiedy cały zwrot. Sam Vigenere poleca stosowanie zwrotu, albowiem im klucz jest dłuższy, tym trudniej dobrać się do szyfru.

Jeszcze raz ogarnęło mnie zniechęcenie na myśl o czekającym zadaniu. Otworzyłem trzeszczący egzemplarz *Traicte*

Vigenere'a, raz po raz grzęznąc w akapitach pisanych archaiczną francuszczyzną, a jednocześnie próbując coś pojąć z długich kolumn i tablic literowych wypełniających stronę za stroną. Wyglądało na to, że bez klucza szyfru złamać się nie da, bo w odniesieniu do pojedynczego szyfru można zastosować nawet tuzin kodów.

Nie od razu odkryłem, że *le systeme Vigenere* w gruncie rzeczy nie jest aż taki tajemniczy, przynajmniej nie sam zamysł; niemniej jako metoda szyfrowania jest pomysłowy, a przede wszystkim porażająco skuteczny. Podczas zgłębiania *Traicte* zaczynałem postrzegać wielkiego Vigenere'a jako czarodzieja czy sztukmistrza, który posługiwał się słowami i literami zamiast chemikaliami i płomieniami; który zdawał się przetwarzać słowa i litery magicznymi zaklęciami bądź gestem różdżki.

Metoda Vigenere'a, jak metoda Cezara, polega na polialfabetycznych podmianach, lecz te podmiany są znacznie bardziej złożone i zróżnicowane, literę właściwego tekstu może bowiem zastąpić dowolna inna z dwudziestu



pięciu alfabetów szyfru. Litera A tekstu właściwego może zostać zastąpiona przez C, jak w alfabecie Cezara. Lecz z tego nie wynika, że literę B tekstu pierwotnego zastąpi podczas szyfrowania litera D; z takim samym prawdopodobieństwem może być zastąpiona przez każdą z dwudziestu czterech pozostałych liter. Co więcej, kiedy w zaszyfrowanym tekście ponownie pojawi się C, to wcale nie musi reprezentować litery A tekstu właściwego, A bowiem mogło już zmienić przypisany sobie impostor. Dzieje się tak, ponieważ w tabeli zamian Vigenere'a dowolna litera tekstu właściwego widoczna na osi horyzontalnej może zostać zastąpiona przez każdą inną znajdującą się niżej na osi wertykalnej, i właśnie ta inna wchodzi do tekstu zaszyfrowanego:

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

BCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZA

CDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZAB

DEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABC

EFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCD

FGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDE

GHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEF

HIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFG

IJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGH

JJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHI

KLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJ

LMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJK

MNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKL

NOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLM

OPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMN

PQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMNO

QRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOP

RSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQ

STUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQR

TUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPS  
UVWXYZABCDEFGHIJKLMNQRST  
VWXYZABCDEFGHIJKLMNQRSTU  
WXYZABCDEFGHIJKLMNQRSTUV  
XYZABCDEFGHIJKLMNQRSTUVW  
YZABCDEFGHIJKLMNQRSTUVWX  
ZABCDEFGHIJKLMNQRSTUVWXY  
ABCDEFGHIJKLMNQRSTUVWXYZ

Zatem litera B tekstu właściwego, znajdująca się na górnej poziomej linii, może zostać zastąpiona przez dowolny z dwudziestu pięciu znaków umieszczonych pionowo pod nią w dwudziestu pięciu możliwych alfabetach szyfrowych. O tym, który z dwudziestu pięciu alfabetów należy wybrać, szyfrant dowiaduje się za pomocą klucza, paru liter o logicznej strukturze, Owszem, ale wywołujących efekt magiczny, działających jak zaklęcie rzucone na pośledniejszy metal, który w cudowny sposób transmutuje i przemienia się nagle w sztabki złota. Czar działa, kiedy litery klucza nakłada się na litery tekstu zaszyfrowanego w całych ciągach powtórzeń; podczas każdego powtórzenia każda litera klucza zostaje dobrana w parę z inną literą tekstu zaszyfrowanego. Oto i transmutacja. Litery zaszyfrowanego tekstu przemieniają się zależnie od alfabetu, który stosuje szyfrant na podstawie instrukcji zawartej w kluczu. To, co następuje potem, jest gładką i ciągłą podmianą liter, metamorfozą tekstu, w której ukryty zapis krystalizuje się jak ałun w wodzie i w zgodzie ze stosowanym wzorem odzyskuje pierwotną strukturę. Akt rozszyfrowywania staje się tak prosty i oczywisty jak odwrócenie kart do gry, żeby zobaczyć, która jest którą, jak zdarcie atłasowej maski, żeby odsłonić twarz złoczyńcy.

Spodobał mi się niezmiernie pomysł klucza, którego można użyć do otwarcia najbardziej złożonych tajemnic, owego słowa czy frazy, niemal podobnych boskiemu *fiat*, „niech się stanie”, które potrafi przeistoczyć przypadkowość lub chaos w uporządkowany wzór. Mimo wszystko Vigenere

nie był sztukmistrzem. Nie, jego system należał do naszego nowego wieku, czasów Keplera, Galileusza i Francisa Bacona, w których zostały odrzucone zewnętrzne łuski, natomiast ziarno prawdy wystawiono na widok wszystkich oczu. System Vigenere'a potwierdzał moją wiarę w moce ludzkiego rozumu, zdolne zgłębić każdą tajemnicę. Zatem cóż nadzwyczajnego było w moim przekonaniu, że z pomocą skrawka papieru i związanych z nim paru tajemnych sylab zdołam zgłębić tajemnice sir Ambrose'a Plessingtona?

Tyle że jeszcze nie znałem klucza. Kiedy strażnik obwoływał dziesiątą, bezradnie odłożyłem książki na bok. Deski ratunku wciąż upatrywałem w osobie mego kuzyna Erasmusa. Latami sprzedawałem mu książki o kryptografii i nawet dobiegły mnie plotki, że rozszyfrowywał dokumenty dla Cromwella. Uznałem więc, że jak nikt inny będzie wiedział, co począć z pomieszаныmi literami. Natomiast nie powinienem zdradzać przypuszczeń, że zaszyfrowano tu wskazówki otwierające drogę do skarbów sir Ambrose'a. *Mój drogi Erasmusie*, rozpocząłem, nieco zaskoczony drżeniem ręki.

Do reszty zapadła ciemność, a dzwony Św. Magnusa wybiły jedenastą, kiedy skończyłem. Wiedziałem, że się muszę pośpieszyć, żeby zdążyć na dyliżans z nocną pocztą. Tknięty dziwnym poczuciem pilności sprawy, sięgnąłem po płaszcz. Zaraz potem, też z nienacka, tknęło mnie coś innego, równie nagląco.

*Nie ma się czego obawiać, panie Inchbold. Zapewniam...*

Już w płaszczu, wzdrygnąłem się na widok zaszyfrowanego tekstu na biurku; maleńka szczelina nieufności z pierwszego wieczoru w Pontifex Hall rozwarła się szerzej. Uklęknąłem przy biurku, podważyłem w podłodze dwie luźne deski i wsunąłem skrawek papieru między kawałki drewna. Po chwili namysłu dodałem tam spis brakujących książek, wezwanie od Alethei i moją zaliczkę w wysokości dwunastu suwerenów, słowem wszystko, co wskazywało na związek z Pontifex Hall. Potem starannie wstawiłem deski na miejsce, nakryłem dwiema stertami książek i omijając inne sterty, ruszyłem ku

spiralnemu zejściu.

- Proszę pana?

Byłem w połowie schodów. U ich szczytu wychynęła twarz Monka na wpół ukryta pod szlafmycą. Wystraszył mnie.

- Przejdę się trochę - zawołałem. Nawet w półmroku zauważyłem, jak unosi brwi ze zdumienia. Rzadko wychodziłem na dwór po zmroku i na ogół nie dalej niż do Wesołego Przewoźnika. Jeśli Londyn może budzić lęk za dnia, to z moich skromnych doświadczeń wynikało, że nocą sprawy wyglądają znacznie gorzej. Moja determinacja ulotniła się w mgnieniu oka. - To tylko krótka przechadzka - dodałem. - Muszę nadać list.

- Pozwoli pan, pójdę. - Zaczął schodzić po krętych schodach. Do jego licznych obowiązków należało też wysyłanie listów.

- Nie, nie. - Zniechęciłem go gestem. - To wszystko przez siedzenie w powozie - wyjaśniłem, zginając nogi i klepiąc się po pośladkach. - Spacer dobrze mi zrobi. A teraz, Monk, proszę, do łóżka.

Szlafmyca zniknęła. Po chwili znalazłem się na dworze, na pieszym trakcie. Za bramą miasta ulice były ciemne i puste. Rzadko stojące latarnie - ciąg żółtych otoków na tle budynków - ledwie oświetlały drogę. Gdzieś w oddali słychać było dzwonek strażnika. Wtuliłem głowę w ramiona i przyśpieszyłem kroku, ścigając własny cień, a poruszałem się tak niepewnie, jakbym stąpał po jajkach.

Najbliższa poczta mieściła się na Tower Street, koło Botolph Lane. Trafiłem bez trudu; wrzuciłem list w otwór żelaznej skrzyni przytwierdzonej łańcuchem do ściany, a słysząc nocny dzwon, pośpieszyłem przez Fish Street z powrotem. Żałobne bicie postawiło na nogi dwóch strażników, którzy zabrali się do zamknięcia bram na moście. Brona już opadała. Przemknąłem pod nią w samą porę, znów czując błogość na widok rysującej się na tle nieba czarno-białej oczekującej mnie bryły Nonsuch House.

W pół godziny później z żelaznej skrzyni wybrano listy i przekazano do

działu krajowego, na najwyższym piętrze Poczty Generalnej. Tam, w świetle ogarka, wśród stert nalepek i znaczków, urzędnik przeciął sznurek nożem do piór, ostrożnie złamał opłatkową pieczęć i słowo w słowo przepisał cały list. Następnie zszedł z kopią po schodach do większego pomieszczenia, gdzie jakiś mężczyzna za biurkiem bębnił po blacie palcami prawej ręki. Siedział plecami do drzwi.

- Panie Valentine - szepnął urzędnik nazwiskiem Ottermole.

- Co tam masz?

- Jeszcze jeden list, proszę pana. Z Nonsuch House. Zaskrzypiała skóra, a sir Valentine obrócił się na krześle.

Urzędnik położył na biurku kopię, wrócił na piętro, tam złożył list wzdłuż zagięć i ostrożnie zapieczętował na nowo kroplą wosku. Teraz zniósł go na dół. Przy drzwiach stało sześć wzmocnionych mosiądzem toreb. Tymczasem pan Valentine zniknął. Na zewnątrz na małym dziedzińcu dla powozów zaprzęgano konie do czekającego już dyliżansu, który miał dotrzeć do Oksfordu po mniej więcej piętnastu godzinach i zameldowaniu się na pięciu stacjach pocztowych.

Ottermole wspiał się znowu po schodach do biura przesyłek krajowych. Wystarczyło wyjść na chwilę, a na biurku już się piętrzyła nowa sterta złożonych i zapieczętowanych listów. Westchnął, siadł przy ogarku i sięgnął po nóż do piór, żeby przeciąć sznurek kolejnego listu. Zanosił się na długą noc. Jak zwykle.

## II

Spowity listopadową mgłą praski zamek za rzeką wyglądał statecznie i spokojnie. Nocą napadało mnóstwo śniegu. Na dziedzińcach umilkły i znieruchomiały fontanny; tańczące strumienie zamarły na przejściach i bramach zaległa świeża, gruba na parę cali biała powłoka. Poniżej szaniców wciąż widać było zarysy ogrodów i alejek obsadzonych przyciętymi drzewami, a ów wzór naruszały nieregularne zagłębienia znaczone cieniem. Przed paroma godzinami wygasł pożar w Salach Hiszpańskich; w bibliotece niewiele

zostawiono żeru dla płomieni, ale w powietrzu tkwił bez ruchu upiorny obłok czarnego dymu. Zdawało się, że cały zamek unosi się, niemy, zawieszony, jakby wstrzymywał oddech w oczekiwaniu. A potem dobiegły odgłosy strzelaniny; wpięraw odległej, która przetaczała się coraz bliżej, rozlegała coraz głośnieją. Teraz już niewiele upłynie czasu, najwyżej dzień, zanim żołnierze sforsują rzekę, a po niej bramy Starego Miasta. Potem już mogą nadjechać kozacy, o których szeptano z takim lękiem.

Z ust Emilii stojącej na balkonie domu na Starym Mieście unosiły się obłoczki pary; dwórka wsłuchiwała się w zgiełk wzbierający na dole. Trwał exodus. Gromady mężczyzn zmagaly się z kosztami troczonymi do jucznych mułów, mocowały z płachtami naciąganymi na przeładowane ciężkie wozy bądź wózki, których koła bezładnie żłobiły śnieg. Mężczyźni uwijali się przez całą noc. Zebrało się ponad pięćdziesiąt pojazdów, w większości załadowanych i zaprzężonych w pociągowe konie albo w żółte woły sennie kolebiące głowami na boki. Cały ten orszak wił się wokół placu, by zniknąć w zasnutych mgiełką uliczkach. Paziowie w liberjach truchtali po śniegu tam i z powrotem, paru forysiów przecwałowało wzdłuż wozów, klnąc po angielsku i niemiecku. Po drugiej stronie placu, pod ratuszową wieżą z zegarem kuto konie pociągowe. Stłumione podzwanianie młotka dobiegało na balkon o ułamek sekundy później po zamachu kowalskiego ramienia, sprawiając, że widowisko wydawało się nieprawdziwe, obłąkańcze, jak malowidło, które ożyło, ale w sposób niedoskonały.

Powietrze było mroźne; Emilia zacisnęła dłonie na zimnej jak lód poręczy, wychyliła się i patrzyła na zachód, w dal, gdzie za czapami śniegu na kominach, za krytymi wikliną i gliną szczytami dachów widniała odległa o pięć mil Biała Góra w całunie szarej mgły. Nocą zdobyto pałac letni. Wyróżniło żołnierzy i dworzan, nie rozróżniając. Spojrzenie Emilii wędrowało w dół po stoku nad Wełtawę, wkładało się w luki między szachulcowymi murami domów, gdzie od czasu do czasu rozbłyskiwały rdzawe ostrza. Emilia dostrzegła

też makabryczny balet ciał spływających z prądem i wirujących z rozrzuconymi ramionami, z rozwiniętymi połami kurt podobnymi do anielskich skrzydeł. Morawska piechota. Nocą próbowali przepłynąć Weltawę i dotrzeć do bezpiecznego Starego Miasta. Nie udało się.

Bezpiecznego? Odwróciła oczy, odstąpiła o krok od balustrady i ciaśniej owinęła płaszcz wokół ramion. Przez całą noc powtarzano pogłoski, jedną gorszą od drugiej. Wojska z Siedmiogrodu nie dotarły, podobnie jak żołnierze angielscy, jazdę węgierską wybito, reszta zaś przeszła na stronę cesarską. Pierwsi kozacy schodzili już po stoku, kierując się na most, którego bramy długo nie wytrzymają. Katolicy tryumfowali. Praga zostanie splądrowana, a uwięzieni mieszkańcy wydani na tortury; chyba że wcześniej pójda pod miecz, tak jest, co do jednego, niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Jednakże króla Fryderyka nie schwytają. Zdążył już zbiec do swej twierdzy w Kłodzku, przynajmniej tak zapewniała inna plotka. Natomiast królowa wciąż była tutaj, w tym budynku, i sama czyniła przygotowania do wyjazdu. Przez całą noc Emilia słyszała przenikliwe piski jej małpy, łomot drzwi, przez które to wpadały, to wypadały chmary doradców i ambasadorów. O tej porze Emilię i inne dwórki wzywał paż lub dzwonek, miały bowiem uczestniczyć w trwającym godzinę rytuale spowijania królewskiej osoby w warstwy jedwabiu i adamaszku, potem zapinania guzików, wiązania wstążek, zakładania klejnotów, kręcenia loków rozgrzаныmi żelazkami, słowem miały uczestniczyć w magicznym przeobrażeniu drobnej, kruchej Elżbiety w królową Czech. Lecz tego ranka nie zapukał żaden paż, nie zadźwięczał żaden dzwonek. Może o Emilii zapomniano? Nie było też nawet śladu po Vilemie, ani w domu, ani na placu, z kominów na Złotej Uliczce nie wzbijała się ani jedna strużka dymu. Tak więc Emilia stała na balkonie; nie miała co jeść, nie miała co czytać, po prostu czekała.

Z dołu dobiegł krzyk, spojrzała więc i zobaczyła brnącego po śniegu sir Ambrose'a Plessingtona. Przynajmniej on nie przepadł. Zanim zniknął wczoraj

wieczorem, zaprowadził ją bez słowa na górę do pokoju, nie wypuszczając spod pachy oprawnego w skórę pergaminu. Dziś rano nie było po pergaminie ani śladu, natomiast sir Ambrose doglądał ładowania skrzyń z książkami na jeden z wozów, wpierw podważał wieka ostrzem bułata, potem zabijał młotkiem. W sumie było tych skrzyń ze sto. Po raz nie wiadomo który Emilia zastanawiała się, co ubiegłej nocy robił w bibliotece sir Ambrose. Może to on stoi za zniknięciem Vilema? Ci dwaj chyba się znają, dociekała. Może nawet Vilem należy do jakiegoś mrocznego spisku, w wyniku którego Anglik zjawił się w Pradze... Wiedziała od Vilema, że prócz tysięcy woluminów znajduje się w bibliotece tajne archiwum, zamknięta podziemna komora kryjąca książki najcenniejsze, a nawet niebezpieczne, bo wzmiankowane w *Index librorum prohibitorum*, czyli kościelnym katalogu dzieł zakazanych. Do tego tajemniczego sanktuarium miała dostęp jedynie garstka. Co roku setki uczonych podróżowały do Pragi, żeby studiować w bibliotece; zjawiali się - jak jaskółki czy kukułki - z nadejściem wiosny. Jednak żaden z tych ludzi nigdy nie dostąpił prawa chociażby spojrzenia na księgi tajemnego archiwum. Nawet Vilemowi, ich opiekunowi, nie wolno było ich czytać. Zbiór zawierał, zdradził kiedyś Vilem, prace takich reformatorów religii, jak Hus czy Luter, a także rozprawy ich uczniów, wyznawców oraz dziesiątki dzieł innych heretyków. Były tam także dzieła sławnych astronomów. W archiwum przechowywano zarówno *De revolutionibus orbium coelestium* Kopernika, rozprawy Galileusza o przyptywach, jak i różnorakie traktaty, czy to o komecie z roku 1577, czy nowej gwiazdzie zaobserwowanej w gwiazdozbiornie Łabędzia - słowem, dzieła stojące w sprzeczności z czczoną wiedzą Arystotelesa. Vilem nie pochwalał takich utajnień, zwłaszcza kiedy dotyczyły rozpraw naukowych. Ileż to wieczorów na Złotej Uliczce strawiła Emilia na wysłuchiwanie żalów Vilema na *Index librorum prohibitorum*. Upierał się, że takie księgi jak Galileusza i Kopernika mają służyć wzniecaniu debat wśród uczonych i astronomów, mają stanowić wyzwanie dla starych przesądów, oświecać nieuków, mają służyć wielkiemu



rozprzestrzenieniu wiedzy. Wszelka zawarta w nich wiedza, jakakolwiek by była, będzie niebezpieczna tylko wtedy, kiedy pozostanie ukryta przed resztą świata przez bezimienną garstkę ludzi, którym - jak kardynałom Świętego Oficjum - marzy się godne tyranów władanie większością.

Patrzyła teraz na sir Ambrose'a, który sprawdził, a potem zabił gwoździami kolejną skrzynkę; ciekawe, czy wraz z innymi tomami zabrano z biblioteki także tamten tajny zbiór. Może należał do niego widziany wczoraj wolumin, może to było dzieło, którego Rzym się lęka i którego czytania zakazał? Wprawdzie Emilia niewiele rozumiała ze zdradzieckiego grzęzawiska polityki w Czechach, wiedziała jednak, że Anglik, podobnie jak Fryderyk i Elżbieta, jest orędownikiem religii protestanckiej, a zarazem wrogiem cesarza Ferdynanda i jego stryjecznego brata, króla Hiszpanii. Z dworskich plotek wynikało, że sir Ambrose przed trzema laty wziął udział w wyprawie innego angielskiego śmiałka i orędownika protestantyzmu, którego flota pożeglowała do Gujany w nadziei na wydarciu z rąk Hiszpanów kopalni złota. Wyprawa sir Waltera Raleigha skończyła się prawdziwą katastrofą. Nie odnaleziono ani mitycznej kopalni, ani poszukiwanej drogi z Orinoko na Południowy Pacyfik. Nie sprawiono też krwawej łaźni Hiszpanom w bitwie i nie przegnano ich z wybrzeży Gujany. Na domiar złego sir Walter Raleigh został za te niepowodzenia skrócony o głowę. Sir Ambrose - jeżeli rzeczywiście brał udział w wyprawie - jednak przeżył. Teraz Emilia zastanawiała się, czy zagadkowy powrót sir Ambrose'a do Pragi to misja tego samego rodzaju, czyli jeszcze jedna próba zadania ciosu znienawidzonym katolikom, a jeśli tak, to czy mężczyźni ścigający ich wczoraj wieczorem po uliczkach Starego Miasta są agentami jakiegoś kardynała czy biskupa...

- Panienko...

Po drugiej stronie placu astronomiczny zegar właśnie wybijał ósmą. Emilia odwróciła się; w drzwiach stała służąca, mnąc w dłoniach koronkową chusteczkę. Wyglądała na zapłakaną. Z głębi korytarza dobiegał głos królowej, z

dołu z rynku ryczenie wołu, a w ślad za nim gniewne przekleństwa sir Ambrose'a.

- Proszę iść - szepnęła dziewczyna. - Przygotowali powóz.

Musiała jeszcze upłynąć godzina, zanim konwój poprzedzony oddziałem konnych wyruszył w drogę uliczkami Starego Miasta. Patrząc na wijącą się rzekę zaprzęzonych w konie ciężkich wozów, powozów, wózków, jucznych mułów z koszami i sakwami, można by pomyśleć, że do tej żalosalnej karawany przetoczono całą zawartość praskiego zamku. Jeden za drugim pojazdy pełzły wąskimi uliczkami, po dwa w rzędzie; zanurzone w śniegu po osie zmierzały na wschód przy akompaniamencie wołów ryczących, jakby je prowadzono na rzeź. Pod kopytami smaganych i poganianych zwierząt kruszyły się na ulicach cienkie tafle lodu, sztywniały na mrozie postronki. Posuwano się powoli i w nieładzie. Na całe minuty konwój przystawał, nieruchomiał, w tym czasie jeźdźcy z czoła usiłowali butami i kolbami muszkietów odgarnąć z drogi śnieg. Potem ten śnieg zaczął topnieć, ulice zamieniły się w grzęzawisko, przejazd stawał się jeszcze trudniejszy. Przez pół godziny czoło karawany dotoczyło się zaledwie do połowy ulicy Celetnej.

Emilii przypadło miejsce przy końcu tej rzeki, w jednym z mniejszych powozów, którym jechała wciśnięta między dwie inne dwórki. Trzęsła się pod stajennym kocem, poruszała palcami, chuchała na nie, zacierała dłonie, klaskała, potem wpychała głęboko pod kozuch, a ów ciąg rytuałów był tyleż gorączkowy, ile daremny. Kręciła się, bo chciała spojrzeć przez tylne okienko na plac, a potem na zamek, nie tyle wypatrując ścigających kozaków, jak inne, ani nawet trzech czarno odzianych jeźdźców. Już za późno, pomyślała, przejeżdżając obok bezładnie stłoczonych pustych drewnianych kramów pod murami husyckiego kościoła. Opuszczają Pragę. Teraz już Vilem nie zdoła jej odnaleźć, nawet jeżeli jeszcze żyje.

Ciaśniej owinęła kolana kozuchem i odwróciła się, żeby spojrzeć na czerwone, opuchnięte słońce wznoszące się nad stromym dachem Baszty

Prochowej, w której cień wpelzała teraz karawana. Powóz utknął w błocie i trzeba go było podsadzić drągiem. Konni klęli z powodu zwłoki. Potem żołnierze szeroko rozwarli wrota baszty wychodzące na zaśnieżone pola, między którymi ciągnęła się droga jeszcze bardziej błotnista, o jeszcze głębszych, zalanych wodą koleinach. Lecz karawana posuwała się teraz szybciej, wiała między wzniesieniami, to wyżej, to niżej, jakby nawet muły i woły wiedziały, że są już za murami miasta, wystawione na ogień nieprzyjaciela. Odgłosy strzelaniny wciąż dobiegały z okolic zamku, lecz ogień z flank słabnął, w miarę oddalania się karawany odzywał się coraz rzadziej, bardziej przypadkowo, aż wreszcie ostatni czescy buntownicy zostali wyłapani lub wybici.

Przez resztę dnia konwój sunął błotnistą drogą, mijając ciąg warownych miast, które wydały się Emilii miniaturami Pragi, ze strzelistymi wieżami obserwacyjnymi, kolumnami upamiętniającymi zarazę, rynkami, gdzie na ratuszach kurki u szczytu wieży z ogromnym zegarem wskazywały wiatr. Żołnierze strzegli warownych bram, pod rzeźbionymi w kamieniu herbami. Konwój przetaczał się ulicami, milczący mieszkańcy odprowadzali go wzrokiem, na koniec zanurzał się w następnej bramie, po przeciwległej stronie miasta. Po paru godzinach natrafiali na miasta już rzadziej. Pojawiły się coraz gęstsze lasy, przybyło śniegu na poboczach. Zniknęły ślady działalności człowieka, jeśli nie liczyć z rzadka rozrzuconych, na wpół przysypanych śniegiem kamiennych drogowskazów i paru zamków w oddali, które przysiadły w dolinach lub - wieńcząc wzgórza - rysowały się na tle nieba.

Dokąd zdążała ta karawana uciekinierów? Plotki na temat celu podróży mknęły przez cały dzień tam i z powrotem, od głowy do ogona pełznącego węża. Niektórzy utrzymywali, że konwój zmierza do Budziszyna, lecz zaraz potem pojawił się jeździec z ponurą nowiną, że elektor saski - łowca niedźwiedzi i pijak, luteranin nienawidzący kalwinistów jeszcze bardziej niż katolików - wkroczył na Łużyce i obiegił miasto. Potem krążyła pogłoska, że karawana zmierza do Brna, póki z innej pogłoski nie zaczęło wynikać, że Stany

Morawskie wycofały się z czeskiej konfederacji. Rzekomo wysłano też listy do kuzyna królowej, księcia Brunswick - Wolfenbüttel, jej niegdysiejszego zalotnika; proszono w nich, żeby zgodził się przyjąć uciekinierów na swoich ziemiach. Książę udzielił jednak odpowiedzi nieeleganckiej, bo pełnej wahań; wyjaśniał mianowicie, że wpierw musi się skonsultować z matką, tej zaś, jak pech to pech, w tej chwili nie ma w Wolfenbüttel. Wobec tego spekulowano gorliwie na temat miast Hanzy, lecz szybko przypominano sobie, jak to Fryderyk pożyczył znaczne sumy od kupców z Bremy i Lubeki i tych pieniędzy, niestety, nie pokwapił się zwrócić. Potem plotkowano o powrocie do Heidelbergu, wyborze desperackim, bo Palatynat, o czym wszyscy wiedzieli, okupowały właśnie wojska hiszpańskie. Równie nieprzekonująca była plotka o Siedmiogrodzie; wprawdzie siedmiogrodzki książę Gabor Bethlen był żarliwym kalwinistą, lecz jego ziemie leżały niebezpiecznie blisko krain sultana tureckiego, którego janczarzy jakoby właśnie przypasywali szable. Ostatecznie na kurczącej się liście możliwości czołowe miejsce zajął Brandenburg, ponieważ elektor brandenburski, Jerzy Wilhelm Hohenzollern, był nie tylko dobrym kalwinistą, lecz także kuzynem królowej, zatem człowiekiem, który zapewne jej nie odtrąci. Konwój dzieliło jednak od Brandenburga prawie dwieście mil - oraz Karkonosze.

O zmroku konwój dowlókl się do małego, pełnego wież miasteczka, odległego zaledwie o dwanaście mil od bram Pragi. Miasteczko dzieliła rzeka - o ośnieżonych nabrzeżach, płyciznach skutych lodem, o zbiegających zakolach - płynąca pod murami obronnymi, a dalej pod tyłami kupieckich domów, stojących w prostym, istic żołnierskim szeregu. To Łaba, ktoś powiedział. Konwój ciężko dotoczył się na opustoszały plac, gdzie zarządzono dla wszystkich postój; zmordowane zwierzęta już kulały. W gasnącym świetle Emilia zdołała dostrzec karetę królowej, ogromną, z zasłonami i miękkimi obiciami, zawieszoną na grubych rzemieniach. Karetę musiała ciągnąć szóstka masywnych koni. W środku siedziała królowa opatulona w obszty futrem pled,

obstawiona belami ubrań i, jak się okazało, książkami. Królowa, podobnie jak Emilia, nie wybierała się nigdy w najkrótszą nawet podróż bez potężnej porcji lektur. Natomiast niewiele brakowało, żeby królowa wyruszyła z Pragi bez jednego z książąt, najmłodszego Ruperta. Podobno odnalazł go w ostatniej chwili królewski szambelan i wcisnął do karocy. Teraz trójka książąt podróżowała w ślad za matką, w rym książę Rupert, w ramionach mamki. Kiedy powóz dwórek wjechał na plac, Emilia dostrzegła też sir Ambrose'a. Siedział na wielkim perszeronie i z końskiego grzbietu doglądał karawany na całej długości, istny suweren, wyszczekujący rozkazy po angielsku i czesku z wierzchowca wyrzucającego spod kopyt grudy gliny i śniegu.

Po sporym zamieszaniu *demoiselle d'honneur* skierowała dwór ki do żałośnie wyglądającej gospody Złoty Jednorożec przy bocznej uliczce wychodzącej na kalwiński kościół. Dwórki zgodnie uznały, że to smutny upadek w stosunku do czasów, w których nieodzowną częścią podróży z królową były bankiety i łuki tryumfalne w każdym mieście, posłuchania dla szlachty, wreszcie całe zastępy mieszczan ściągających z głów kapelusze i zginających kolana.

Emilię zakwaterowano w maleńkiej izdebce, w której na gołych deskach podłogi walały się szcurze odchody. Przez dłuższy czas dygotała na wąskim posłaniu; mimo wyczerpania nie mogła zasnąć. W sąsiednim pokoju ktoś płakał; był to płacz cichy, zdławiony, spazmatyczny, nieukojonny. Na zewnątrz ktoś od przypadku do przypadku bił w dzwon kościelny, dobiegało też skrzypienie nóg na śniegu. Po godzinie Emilia opatulona w koce wstała z łóżka i usiadła przed brudnym, upapranym oknem. Z nieba pierzchły chmury, wzeszedł księżyc bliski pełni. Rozpakowywanie konwoju jeszcze się nie skończyło. Na środku placu Emilia zdołała dostrzec sir Ambrose'a, który wspierał się na szpicrucie i wydawał rozkazy żołnierzom roznoszącym paszę dla wołów i koni. Przymrużyła oczy, wpatrując się w barczystą postać. Mężczyzna był dla niej zagadką. Od opuszczenia Pragi nie odezwał się do niej słowem. Nie wytłumaczył ani swojej obecności w bibliotece, ani przyczyn przerażającej ucieczki ulicami Starego

Miasta. Nie dał najmniejszego znaku, że coś się między nimi wydarzyło, ani nawet, że rozpoznaje Emilię. Nie wiedziała, czy ma się obrazić, czy odetchnąć z ulgą.

Co planuje sir Ambrose? Nie mając nic do czytania w podróży, niewiele widząc przez okienka, jeśli nie liczyć śniegów czy skał, mogła całymi godzinami zastanawiać się nad pergaminem z biblioteki, pościgiem trzech konnych, a nawet nad zagadkową postacią samego sir Ambrose'a. Nasuwały się bowiem najrozmaitsze wątki. Wiosną i latem, o czym wiedziała, na zamek praski trafiały całe grupy obcokrajowców. I nie byli to zwykli studenci ani uczeni, owi pokorni pielgrzymi podróżujący pocztowymi dyliżansami lub na grzbietach parchatych mułów. To byli przybysze innego rodzaju, często w mundurach, czasem zaopatrzeni w listy polecające książąt albo biskupów z najróżniejszych zakątków cesarstwa, a także z Francji, Hiszpanii i Włoch. Vilem powiedział, że to „ścierwniki”. Huczały plotki, jak tłumaczył, że szukając pieniędzy na wojsko, król Fryderyk jest gotów sprzedać skarby Sal Hiszpańskich, setki malowideł, zegarów, szaf, nawet teleskopów i astrolabiów wykonanych przez samego Galileusza. W tajemnicy przed czeską szlachtą sporządzono pięćsetstronicowy katalog, który następnie trafił do europejskich potentatów. Wkrótce ich agenci zaczęli się pojawiać na praskim zamku, wyprzedzając armie grabieżców.

Rzecz jasna, w ogromnym katalogu znalazło się też mnóstwo książek z biblioteki. Fryderyk chce je sprzedać jak straganiarz handlujący na ulicy kapustą, skarżył się gorzko Vilem. I rzecz jasna kupców nie brakowało, książki nie były wyjątkiem, zwłaszcza kiedy chodziło o te najcenniejsze, łącznie ze złotymi księgami z Konstantynopola. Podobno w Rzymie kardynał Baronius - człowiek nadzorujący gargantuiczne zadanie: katalogowanie Biblioteki Watykańskiej - zainteresował praskim zbiorem samego papieża. Musiało to być niełatwe zadanie, szydził Vilem, bo Paweł V to figura prostacka, obrzydliwy filister; ten sam człowiek, który w roku 1616 ocenzurował Galileusza i umieścił

na indeksie dzieło Kopernika. Lecz Jego Świątobliwość ma teraz najwyraźniej chętkę nie tylko na skarby Pragi, ale i na odziedziczoną przez Fryderyka Bibliotekę Palatynacką - najwspanialszy na świecie zbiór protestanckich nauk.

A teraz wyglądało na to, że dzieła z praskiego księgozbioru zwabiły do miasta jeszcze kogoś, następnego agenta, równie tajemniczego. Drżąca z zimna Emilia patrzyła, jak sir Ambrose nadzoruje żołnierzy wnoszących na noc pod dach bezlik skrzyń i kufrów. Bagaż królowej już był rozładowany, konie w stajniach. Ostatni ludzie z konwoju kręcili się po rynku i ciemnych bocznych uliczkach, gdzie woły pokasływały i porykiwały albo wtykały pyski w uwieszone na szerokich łbach wory z paszą. Żołnierze pracowali szybko i bezgłośnie, klucząc między pojazdami; jeden z nich, zmagając się ze skrzynią ściąganą z wozu, poślizgnął się na śniegu. Skrzynia runęła, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Niezdara!

Sir Ambrose ostro smagnął szpicrutą po pośladkach żołnierza leżącego twarzą do ziemi, potem wyciągnął bułat i gwałtownym ruchem podważył wieko uszkodzonej skrzyni. Emilia uniosła się i nachyliła do okna. Skrzynia nie była wypełniona książkami, jak tyle innych, kryła natomiast dziesiątki owiniętych w słomę buteleczek i słoic, z których kilka się stłukło, a ich zawartość rozlała się po śniegu. Ciecz musiała straszliwie cuchnąć, bo żołnierze śpiesznie odsunęli się o parę kroków, krztusząc się i zatykając nosy. Sir Ambrose uklęknął jednak na śniegu i starannie posprawdzał butelki, zanim na nowo zabił wieko.

Widok zaintrygował Emilię. W pierwszej chwili pomyślała, że butelki pochodzą z królewskich piwnic; czyż Otakar nie zapewniał, że Fryderyk wraz z wszystkim innym wyprawił z Pragi nawet swoją kolekcję win? Lecz te butelki były za małe, wyglądały raczej na flakony czy kolby. Uznała więc, że pochodzą z któregoś z licznych zamkowych laboratoriów. Na praskim zamku pełno było takich tajemniczych pomieszczeń; kto spędził w Pradze rok, musiał o nich usłyszeć. Opowiadano, że nieprzeliczeni alchemicy i okultyści cesarza Rudolfa

uprawiają tajemne praktyki w specjalnych komnatach ukrytych w Wieży Matematycznej. W bibliotece mnóstwo było nie tylko ich prac publikowanych, o których Vilem opowiedział kiedyś Emilii - egzemplarzy *Basilica chymica* Croëlla<sup>1</sup>, *Novum lumen chymicum* Sendivogiusa<sup>2</sup> i *Magna alchemia* Thurneyssera<sup>3</sup> - lecz i rękopisów; na setki liczone dokumenty zapisane dziwaczными kodami, znakami astrologicznymi i inną bazgraniną. Emilia zastanawiała się więc, czy sir Ambrose przewozi może przez zaśnieżone pustkowie te wątpliwe arcydzieła, wraz z proszkami i cieciami pochodzącymi z tajemnych laboratoriów. Rozgrywają się tu jakieś dziwne sprawy, co do tego nie miała wątpliwości. Może, na domiar wszystkiego, sir Ambrose jest alchemikiem, jeszcze jednym z oddanych zabobonom czarnoksiężników Rudolfa.

Odsunęła o parę cali zasłonę przeżartą przez mole i przycisnęła czoło do lodowatej szyby, usiłując raz jeszcze spojrzeć na sir Ambrose'a. Ale mężczyzna już zniknął w mroku, niosąc drewnianą skrzynię.

### III

Ósma. Jasnoróżowymi, szaroperłowymi strugami sączyło się do Londynu światło poranka. Miasto było na nogach już od wielu godzin: kipiało, podzwaniało, śpiewało, czekało, łoskotało, wzdychało. Na przekór porze roku niebo zalegała jednak ciemność. Jak okiem sięgnąć od Smithfield do Ratcliff i dalej, aż ku ujściu rzeki, wzbijały się w niebo gruzłowate pasma dymu, wplątywały w poranne powietrze, wżerały w nie jak zastępy dżinnów wypuszczonych z butelki. Wracały potem w postaci drobnutkiego czarnego proszku, okrywały miasto, wgrzyzały się w nie; przed tym niestrudżonym obsypywaniem nie było ucieczki. Sadza już powlekła półcie wędzonego bekonu wiszące na Leadenhall Market, podobnie wszystkie kołnierzyki, runda kapeluszy, markizy i parapety okienne, jak miasto długie i szerokie. A zanosilo się, że będzie jeszcze gorzej; już wczesny poranek był zapowiedzią skwaru, gdzie zaś skwar, tam smród. Odór szlamu mieszał się nad Tamizą ze słodszyimi



wyziewami melasy, cukru i rumu napływającymi z na wpół walących się składów i wytwórni bezładnie stłoczonych na nabrzeżach i z drażniącą wonią wodorostów i ślimaków zostawionych przez odpływ. Z wiatrem ze wschodu, niezwykle o tej porze roku, niósł się w górę rzeki cuchnący obłok, zasnuwał bezkresną siatkę ulic zabudowanych domami z cegły, podwórzy i uliczek nie znajdujących słońca, wdzierał się w uchylone drzwi, okna, w każdy zakamarek i wnękę.

Fetor skoczył mi do gardła i zakłuł w płuca tuż za północną bramą London Bridge wychodzącą na Fish Street Hill. Po jakichś dwudziestu minutach powinienem dojść do Małej Brytanii, pierwszego przystanku tego ranka. Stamtąd miałem ruszyć na południe do St Paul's Churchyard i Paternoster Row.

Potem, jeżeli nadal nic nie znajdę, chciałem podjechać koczem do Westminsteru. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że na coś natrafię w tej gęstwinie straganów z używanymi książkami koło Westminster Hall ani nawet w księgarniach St Paul's Churchyard bądź Małej Brytanii. Kuśtykając, wsparty na kosturku, wtuliłem nos w uniesiony wcześniej kołnierz, próbując bez powodzenia odgrodzić się od smrodu. Szykował się długi dzień.

Przed godziną przy śniadaniu uznałem, że pora już poszukać pergaminu sir Ambrose'a. Teraz zaś, jeszcze nie w pół drogi do Fish Street Hill, już żałowałem wcześniejszego postanowienia. Nie tylko dlatego, że na ulice wyległy tłumy i cuchnęło; wczorajszy przegląd katalogów i półek spełznął na niczym, w różnych wydaniach i odpisach *Corpus hermeticum* nie znalazłem bowiem żadnej wzmianki o *Labiryncie świata*. Tak, szykuje się długi dzień. Wtuliłem głowę w ramiona i Śpiesznie ominąłem ciżbę gapiącą się na pociągowego konia, który upadł na środku ulicy, leżał teraz na grzbiecie i dziko wymachiwał kopytami.

Co w tym dziwnego, że w zasadzie trzymałem się z dala od londyńskich ulic? Spiesznie przemierzałem tor przeszkód na chodniku: rozlatujące się kramy, targowych tragarzy zgiętych pod obdartymi ze skóry kozimi tuszami. Drogę

zastawiali też starcy, jedni ciągnęli wózki z ostrygami, inni nieśli tace, na których piętrzyły się grzebienie i różki z tuszem. Usunąłem się, żeby przepuścić dwóch takich, ale popchnięty z tyłu wdepnąłem prosto w świeże łajno w rynsztoku. Kiedy ocierałem but o krawężnik, o mało nie wpadłem pod kopyta ciężko człapiącego konia. Odskoczyłem w bezpieczne miejsce, klnąc na głos, a scence towarzyszył chóralny prostacki rechot.

Dobrze znane poniżenia nie popsły mi jednak humoru. Może nawet pogwizdywałem sobie. Dlaczego? Otóż ubiegłej nocy - a właściwie o czwartej nad ranem - znalazłem klucz i rozszyfrowałem tajemniczą kartkę wydartą z *Theatrum orbis terrarum* Orteliusa.

Skoro przez cztery dni nie doczekałem się odpowiedzi od kuzyna, pomyślałem, że pewnie wyjechał na wakacje, jak zawsze do Pudney Court w Somersetshire, szacownej ruiny, niegdyś gniazda srodze już przerzedzonego klanu Inchboldów.

Zatem ubiegłego wieczoru postanowiłem, że po zamknięciu księgarni sam się uporam z zaszyfrowanym tekstem. Jeszcze raz usiadłem w gabinecie przy świecy; po jednej stronie biurka podparłem egzemplarz Vigenere'a, kartkę położyłem po drugiej. Zanim strażnik obwołał pierwszą, zdołałem pochłonąć z *Traicte* tyle, że już orientowałem się w tablicy podmian; owszem, doceniwszy jej nadzwyczajną pomysłowość, wiedziałem jedno: tablica na nic się nie zda bez klucza.

Do drugiej w nocy próbowałem wielu prawdopodobnych - a potem coraz mniej prawdopodobnych - słów i zwrotów, poczynając od imienia sir Ambrose'a, a w końcu samej Alethei, które to imię, o czym od początku wiedziałem, musi pochodzić od  $\alpha\lambda\eta\theta\epsilon\iota\alpha$  czy też *aletheia*, greckiego słowa oznaczającego prawdę, przez które to pojęcie filozofowie ateńscy rozumieli proces odsłaniania, akt wydobywania na światło dzienne czegoś, co spoczywa w ukryciu, w ciasnej szczelinie. Lecz nawet tak obiecujące imię nie wydobyło na światło dzienne żadnych ukrytych prawd, przynajmniej nie przez szyfr, a

namnożyło tylko nedorzeczności, ja zaś, kiedy przerwałem pracę, uświadomiłem sobie szczególną ironię, widoczną w zderzeniu tego znaczącego imienia z samą lady Marchamont, osobą nieskłoną wiele ujawniać. W godzinę później mruczałem, przeklinałem, zgarbiony nad biurkiem gryzmołem bez końca jakieś figury, zapalając knot nowej świecy od ogarka poprzedniczki. To niemożliwe, powtarzałem sobie, absolutnie niemożliwe, na nic te wymęczone prace. Rozszyfrowanie może zająć całe miesiące, a nawet wówczas z tej kartki może niewiele wynikać.

W końcu, wyczerpany, odchyliłem się na krześle i wpatrywałem w dopalającą się ostatnią świecę, która syczała i pluła jak rozdrażniony kociak. Przez okno dolatywał ciepły powiew, potrząsał okiennicami, zdmuchiwał płomyk. Nagle poczułem się zmęczony jak nigdy dotąd. Na wpół śniąc, przymknąłem oczy; na chwilę zamajaczył mi wyniosły zarys Pontifex Hall w monumentalnym obramowaniu wjazdowego łuku, ze zwornikiem opatrzonym inskrypcją ukrytą w cieniu, porośniętą plamami mchu i porostów, spod których wyzierały ledwie czytelne słowa. ITT. LITTE. LITTER...

Kiedy wspominałem ów moment później, w dniach, które dopiero miały nadejść, klucz wydawał mi się uderzająco oczywisty, wręcz zbyt łatwy. Bądź co bądź, to osobliwe motto sir Ambrose'a ryto w Pontifex Hall na co drugim kamieniu, naznaczono nim tysiące książek. W tamtej chwili jednak czułem tylko rozczarowanie; przecież mogłem odkryć klucz wcześniej, o parę godzin, a nawet dni. Teraz już rozszyfrowywanie stroniczki stało się procedurą prostą, znajdowałem litery na skrzyżowaniu osi, a potem obserwowałem, jak systematycznie wyłania się otwarty tekst: tajemne przesłanie.

Brałem litery motta, poniżej pisałem litery szyfru:

LITTERASCRIP<sup>T</sup>AMANETLITTERA  
AWWYMXIVCQILXMXEMCSWWMRVFG

I tak dalej - jedna litera maksymy, jedna szyfru. Posługując się tabelą Vigenere'a, sięgałem po odpowiedni alfabet tekstu otwartego, zawsze wskazany

przez literę szyfru wyszukaną pionowo poniżej w tabeli, a potem na lewym skraju wybranego alfabetu znajdowałem właściwą wartość. Po takim podstawianiu zaczął się wkrótce wyłaniać tekst, tak intrygujący, że w chwili pojawienia się pierwszych słów z trudem mogłem utrzymać pióro w drżącej dłoni i dalej zmierzać do celu.

LITTERASCRIP TAMANETLITTERA  
AWWYMXIVCQILXMXEMCSWWMRVFG  
PODFIGIDRZEWEMLEZYZLOTYROG

*Pod figi drzewem leży złoty róg.* Wpatrywałem się w te słowa z niedowierzaniem, ciekaw, czy w Pontifex Hall jest jakiś figowiec i czy moje pierwsze instynktowne przypuszczenia są jednak słuszne: że z początkiem wojny domowej sir Ambrose ukrył swe skarby gdzieś w majątku, pozostawiając jako wskazówkę tylko ten skrawek. Cóż, jeżeli w Pontifex Hall był gdzieś figowiec, Alethea powinna coś o tym wiedzieć.

Po dalszych podmianach wskazówki stawały się coraz mniej czytelne, zwłaszcza jak na współrzędne pozwalające odnaleźć skarb. Pracowałem szybko; czułem się jak Kepler bądź jak Tycho de Brache schylony nad gryzmołami, obliczający uniwersalne prawa harmonii kosmicznej. Na koniec po czterdziestu pięciu minutach wyłoniły się następujące cztery wersy:

POD FIGI DRZEWEM LEŻY ZŁOTY RÓG

MATERIA TAJEMNIC I KSZTAŁTÓW NIEPRZYBRANYCH

ONA POSĄG POSTAWI NA COKÓŁ

LABIRYNT ŚWIATA OBJAŚNI WYBRANYM.

Moją euforię z powodu odkrycia osobliwego wiersza umniejszył tylko fakt, że - prócz przyprawiającej o drzenie serca aluzji do *Labiryntu świata* - wynikało zeń niewiele więcej niż z bezładnych liter, z których go odcedziłem. Najwyraźniej figowiec, złoty róg i labirynt składały się na inny kod - kontekstowy, niestety, odporny na metody czy rady wielkiego Vigenere'a; kod, który do topografii Pontifex Hall odnosił się - jeśli się odnosił - w sposób bardzo

zawoalowany. Zanim położyłem się do łóżka, jeszcze przez godzinę próbowałem dopatrzeć się sensu w tych wersach. Wpierw pomyślałem, że może to fragment wiersza lub sztuki, więc wdrapałem się po Jaggardowskie wydanie *folio* Shakespeare'a, potem po *Przemiany* Owidiusza, gdzie mowa o labiryncie kreteńskim. W labiryntowej historii Tezeusza nie przypomniałem sobie jednak żadnego złotego rogu. Złotą nić, owszem, ale róg? Mimo to odniesienie do labiryntu zmuszało do podejrzeń, że szyfrowana notka ma coś wspólnego z sir Ambrose'em. Złoty róg - motek, który w dziwacznym wersie obiecuje „objaśnić” labirynt - to także potrącenie znajomej struny. Podobnie jak figowiec, aluzja do jakiegoś epizodu z klasycznej mitologii czy historii.

Nazajutrz, zbudziwszy się po trzech tylko godzinach męczącego snu, przypomniałem już sobie, gdzie się natknąłem na odniesienie do złotego rogu. Wertując kiedyś różne wydania tekstów hermetycznych, natrafiłem na tyle wzmianek o Konstantynopolu - wspaniałym ośrodku nauk, w którym mnich Michał Psellos skompilował z syryjskich fragmentów większość tego, co znamy dziś pod nazwą *Corpus hermeticum* - że zaciekało mnie samo miasto. Przerzyłem się przez półki poświęcone geografii i podróżom, na których w końcu znalazłem to, czego szukałem: gargantuiczną *Geografię* stoika Strabona. Zanim Monk przygotował na śniadanie wędzone śledzie, zdążyłem przerzucić połowę ogromnego tomiska, by znaleźć w końcu fragment, którego szukałem. W Księdze VII - zawierającej między innymi opisy krain z pogranicza Europy i Azji - Strabon nawiązuje do „Rogu Bizantyńczyków”, zatoki ukształtowanej na podobieństwo jeleniego rogu, której topografię i lokalizację odmalowuje w zestawieniu z innym jeszcze portem „pod drzewem figowym”.

Przeczytałem ten fragment raz, potem jeszcze raz, i znowu, co zajęło mi dobre pięć minut. Czy te odwołania to coś więcej niż zbieg okoliczności? A skoro tak, to róg w rozszyfrowanym wersie odnosi się do portu w Konstantynopolu, teraz Stambule: do portu zwanego właśnie Złotym Rogiem. A jeśli weźmiemy w rachubę jeszcze tę następną aluzję, nieoczekiwaną, do innego

portu o nazwie „pod drzewem figowym”?

Te odkrycia, podobnie jak rozszyfrowany tekst, nie podsuwały jednak żadnych doraźnych odpowiedzi ani dalszych koncepcji. Odniesienie do starożytnego Bizancjum wcale nie rozjaśniało sensu czterowiersza, nie mówiąc o rozplataniu labiryntu; nie tłumaczyło, dlaczego Złoty Róg - pasmo wody - został nazwany „materia”, jakby chodziło o dywan czy nawet, kto wie, budowlę. Mogłem się tylko zabrać do zgadywania, dlaczego finezyjnie zaszyfrowany wiersz, wetknięty między stronice atlasu Orteliusa, wskazuje na punkt zetknięcia się dwóch kontynentów, na port odległy od Pontifex Hall o jakieś tysiąc pięćset mil. Nie wiedziałem wówczas, że sir Ambrose w swych książkowych łowach dotarł do samego Konstantynopola, chociaż miałem wrażenie, że jeden z przywilejów przyznanych przez cesarza Rudolfa - wśród trumiennych pergaminów w Pontifex Hall - dotyczył podróży do ziem sułtana osmańskiego.

Tak więc przy wędzonych śledziach zastanawiałem się, czy szyfr ma coś wspólnego z biblioteką sir Ambrose’a i czy w ogóle ma coś wspólnego z zaginionym rękopisem hermetycznym. Przy tak niewielu dowodach trudno było o jakąś pewność. Pomyślałem jednak, że zaszyfrowany wiersz może się stanie jaśniejszy dzięki rękopisowi, więc jeszcze przed ostatnim kęsem postanowiłem ruszyć na poszukiwania.

Moja euforia szybko się ulotniła, bo - czego się obawiałem - łowy w sklepach i na straganach nie okazały się owocne ani przyjemne. W Smithfield panował odór tak dojmujący, że sieroty w Christ’s Hospital rozpoczynały pierwszą lekcję przy zamkniętych oknach, mimo upału. Poniżej wschodniego muru Christ’s Hospital księgarze z Małej Brytanii zaciągnęli w oknach zasłony nasączone chlorkiem. Kiedy tam dotarłem, zasłaniaли nosy chusteczkami i rozkładali na stoiskach książki, z których okładek trzeba było w ciągu całego dnia trzykrotnie zetrzeć sadzę. Po trzech godzinach kręcenia się przy tych stertach osiągnąłem tylko tyle, że rozboleły mnie nogi, a nos i kark paliły,

wystawione na piekące słońce, bo dym węglowy już się na tyle rozwiął, że przepuszczał promienie; tępo patrzący obojętni księgarze zapewniali, że nigdy nie mieli do czynienia z książką ani rękopisem zatytułowanym *Labirynt świata*.

Na nogi postawiła mnie dopiero pinta mocnego piwa z Lambeth, którą zakropiłem lunch; potem złapałem kocz do Westminster Hall, gdzie okazało się, rzecz jasna, że mam nie więcej szczęścia niż w Małej Brytanii czy na Paternoster Row. Dzień nie poszedł jednak całkiem na marne, bo zdołałem się czegoś dowiedzieć o praskim wydaniu *Theatrum orbis terrarum* Orteliusa, chociaż nie zadźwięczał tu żaden ton współbrzmiący z moją ówczesną wiedzą o sir Ambrosie Plessingtonie i jego utraconym pergaminie. Wszyscy księgarze i straganiarze mieli na składzie egzemplarze *Theatrum*, jeden miał nawet rzadkie wydanie antwerpskie, druk samego wielkiego Plantinusa. Nikt jednak nie słyszał o wydaniu praskim, nigdy też takiego wydania nie sprzedał. Wiadomość o nim zaskakiwała księgarzy tak samo, jak wcześniej mnie. Pomyślałem więc, że albo źle przeczytałem finalik, albo owo rzekome wydanie z roku 1600 to falsyfikat. Miałem już wracać do domu, kiedy pod arkadą Nowej Giełdy na Strandzie wpadł mi w oko sklep kartograficzny Molitor & Barnacle. Dobrze znałem tę firmę. Często ją odwiedzałem za czasów praktykanckich, niezmiennie uważając za najciekawsze miejsce w Londynie; w owych czasach jeszcze marzyłem o podróżach po świecie, zamiast o ucieczce od niego, jak dzisiaj. Przysyłany tu przez pana Smallpace'a na zakupy, bobrowałem czasami po pomieszczeniu, godzinami wertowałem mapy, studiowałem metalowe globusy, zapominając o celu, w jakim mnie przysłano, aż w końcu pan Molitor, pobłażliwy staruszek, wyganiał mnie dopiero w porze zamykania.

Teraz też się ta pora zbliżała; wszedłem do środka i zobaczyłem, że większość globusów i astrolabiów zniknęła, podobnie jak mapy świata, pięknie rytowane kopie Ptolemeusza i Merkatora, które pan Molitor rozwieszał na ścianach jak w kabinie okrętowej. Od mojej ostatniej wizyty upłynęło osiem lub dziewięć lat. Pan Molitor też zniknął; zmarł na suchoty w roku 1656, co wyjawiał

uprzejmie pan Barnacle. Przykro mi się zrobiło, że na sklep przyszły ciężkie czasy i że pan Barnacle, teraz już dżentelmen posunięty w latach, nie poznał mnie. Jego widok, zgarbionego nad kontuarem i ciężko dyszącego, podziałał jak wiadro zimnej wody: zobaczyłem samego siebie za lat dwadzieścia lub trzydzieści.

Niemniej pan Barnacle nic nie stracił z biegłości w swym fachu. Wiedział o praskim wydaniu *Theatrum*, chociaż nigdy nie miał go w rękach. To wielka rzadkość, wyjaśnił, coś cenniejszego od wydań Plantinusa, bo wydrukowano bardzo niewiele egzemplarzy. Są cenne nie tylko z powodu rzadkości. To pierwsze wydanie pośmiertne, Ortelius zmarł bowiem na rok czy dwa przed publikacją. Flamand, podejrzewany o protestantyzm, był jednak przez ćwierć stulecia kosmografem królewskim przy dworze hiszpańskim. Po śmierci króla Filipa w roku 1598 Ortelius wyruszył do Pragi na zaproszenie cesarza Rudolfa II, zmarł jednak przed objęciem stanowiska cesarskiego geografa. Pan Barnacle nawiązał do legendy krążącej wśród kartografów, niemniej całkowicie niepotwierdzonej, że Orteliusa otruto. Praskie wydanie ukazało się w rok później, może dwa. Legenda też powiada, że wydanie zawiera swego rodzaju wariant, chociaż pan Barnacle nie potrafi dokładnie powiedzieć jaki. W każdym razie wielki kartograf miał zostać zamordowany właśnie z powodu tego nowego szczegółu.

- Wariant? Co pan przez to rozumie?

- Chodzi o to, że wydanie z roku 1600 różni się od pozostałych, włącznie z drukowanymi u Plantinusa. Na ten temat własną teorię miał pan Molitor - sięgając na półkę po atlas, pan Barnacle najwyraźniej mówił to w zaufaniu. Kiedy otworzył okładkę, zobaczyłem mapę Oceanu Spokojnego, w kartuszu zaś napis NOVUS ORBIS. - W grę wchodzi szczególny rodzaj odwzorowania, którym Ortelius posłużył się w praskim wydaniu. - Znów się odwrócił, zaskakująco zwawo, i sięgnął po inny tekst. - O układ długości i szerokości geograficznej.

W pozostałych wydaniach użyta została siatka Merkatora. Wie pan coś o



niej?

- Trochę. - Przyglądałem się, jak z chrzęstem otwiera sławny atlas Merkatora; kiedy w praktykanckich czasach śniłem na jawie, studiowanie tego atlasu sprawiało mi wyjątkową radość. Nie ciągnie mnie do matematyki; daleko mi do tego. Moim *metier* są słowa, nie liczby. Potrafiłem jednak chociaż trochę docenić wyczyn Merkatora, przedstawienie kuli, czyli Ziemi, na płaszczyźnie, owo spłaszczenie świata i umieszczenie go w księdze, przy zachowaniu jakich takich proporcji.

- Stworzył to odwzorowanie dla żeglarzy - objaśniał pan Barnacle, postukując w arkusz złamanym żółtym paznokciem, potem poprawił na nosie okulary z soczewkami niemal tak grubymi jak moje. - Zostało opracowane w roku 1569, w wielkim stuleciu podróży i odkryć. Układ długości i szerokości geograficznej tworzy siatkę złożoną z linii równoległych przecinających się pod kątem prostym, dzięki czemu żeglarze mogą wykreślać kurs po liniach prostych zamiast krzywych. Najbardziej to się przydaje, rzecz jasna, przy pokonywaniu oceanów.

Paznokciem kciuka przeciągnął po mapie na ukos, po loksodromie podobnej do pajęczej nitki na siatce kwadratów. Potem odsunął nagle oba atlasy i sięgnął po jeden z globusów - po ogromny tekturowy model o czterostopowej chyba średnicy, na lakierowanym postumencie - i zakręcił. Błękitne oceany i cętkowane lądy migotały za mosiężnym pierścieniem na równiku.

- Lecz mapa to nie glob - ciągnął, patrząc na mnie sponad wielkiej wirującej kuli. - Każda mapa wiąże się ze zniekształceniami. Merkator każe południkom biec równoległe, chociaż dobrze wiadomo, że południki nie są równoległe, w przeciwieństwie do równoleżników.

- No tak - mruknąłem oszołomiony widokiem globu, który wciąż szybko wirował; morza i lądy przemykały, piszczała oś. - Południki zbiegają się na biegunach. Odległości między nimi kurczą się, w miarę jak południk oddala się od równika na północ czy południe.

- A południki Merkatora nie zbiegają się nigdy. - Znów dziobał palcem mapę. - Pozostają równoległe, co zniekształca odległości na trasach wschód-zachód. Zatem Merkator zmienia też odległości między równoleżnikami, powiększa je w miarę przechodzenia od równika do biegunów. Dlatego mówimy o jego „puchnących” równoleżnikach. Te zmiany skutkują zniekształceniami rosnącymi ku biegunom. Na dalekiej północy i dalekim południu lądy są przesadnie powiększone, bo równoleżniki i południki wydłużono w celu zachowania linii równoległych przecinających się pod kątem prostym. Dlatego siatka Merkatora sprawdza się, jeżeli ktoś żegluje wzdłuż równika lub na niezbyt od niego odległych szerokościach, natomiast niewiele z niej pożytku dla kogoś badającego szerokości odległe.

- Niewiele z niej pożytku - przytaknąłem skwapliwie - jeśli ktoś szuka północno-zachodniego przejścia do Chin. - Przypomniałem sobie, jak to w dzieciństwie śledziłem na mapie podróże Frobishera, Davisa i Hudsona, tych wielkich bohaterów angielskich, przez pokryte lodem morza Arktyki i labirynty wysp przedstawionych u góry globusów pana Molitora.

- Albo na trasie morskiej na północny wschód przez Archangielsk i Nową Ziemię. Otóż to. Albo w południowo-zachodnim przejściu na Południowy Pacyfik, przez Cieśninę Magellana lub wokół Hornu.

Przewracał karty atlasu i wskazującym palcem postukiwał po cieśninach i przejściach. Gdy uniósł głowę, poczułem woń próchniejących zębów i zatęchłego wytartego ubrania. Przez moment miałem wrażenie, że w soczewce okularów pana Barnacle’a odbija się jakiś kształt za moimi plecami, w wykuszowym oknie; samotna postać tak pochylona, jakby chciała coś wypatrzeć. Pan Barnacle pochylił głowę i odbicie zniknęło.

- Widzi pan, wszystkie te nowe trasy morskie, jeśli są, można już odkryć tylko w strefie wysokich szerokości geograficznych, w pobliżu biegunów, czyli tam, gdzie siatka Merkatora na nic właściwie się nie zda. Z tego powodu żeglarze nigdy ich nie odkryli. I z tego też powodu Hiszpanie i Holendrzy

pracowali nad nowymi, lepszymi metodami odwzorowania. W 1616 roku Holendrzy odkryli nową drogę na Pacyfik między Cieśniną Magellana i przylądkiem Horn, tak zwaną Cieśninę le Maire'a - poślinił palec, żeby rozłożyć następny arkusz - biegnącą wzdłuż pięćdziesiątego piątego równoleżnika. Ich floty korzystały z tego nowego przejścia, żeby wyjść na Pacyfik i zaatakować Hiszpanów nieopodal Guayaquil i Acapulco. Takie trasy mają więc oczywiste znaczenie strategiczne - mówił pan Barnacle - ale potrzebny był klucz do odnajdowania, coś, co przeprowadzi nawigatorów przez labirynt wysp i przesmyków.

Pan Molitor opowiadał się za takim oto wytłumaczeniem: w Sewilli około roku 1600 matematycy i kartografowie w służbie Filipa II udoskonaliли nową metodę odwzorowywania na mapach, która zachowywała siatkę Merkatora, likwidując wszakże jej zniekształcenia, dzięki czemu żegluga w wyższych szerokościach geograficznych stawała się łatwiejsza. Tym samym mogły zostać odkryte krótsze drogi do Indii i Chin, a także sławny zaginiony kontynent *Terra australis incognita*, o którym powiadano, że winien leżeć gdzieś na Południowym Pacyfiku, w strefie wyższych szerokości geograficznych.

- A Ortelius? - Wpatrywałem się w odwrócony atlas, licząc w duchu na to, że naprowadzę pana Barnacle'a na sprawę, którą drążę. - Czy mógł coś wiedzieć o tej nowej siatce?

Pan Barnacle energicznie przytaknął.

- Oczywiście, że mógł. W końcu był kosmografem królewskim. Mógł nawet pomagać w jej wykreśleniu. Ale po śmierci Filipa w 1598 Ortelius wyjechał z Hiszpanii do Pragi. Licząc, co niewykluczone, że za sowytą opłatą zdoła dostarczyć tajemnice nowej siatki cesarzowi Rudolfowi lub komu innemu. W owych czasach Praga była siedliskiem fanatycznych protestantów, wrogich Hiszpanii i Habsburgom. Może więc został w odwecie zamordowany przez hiszpańskich agentów. - Wzruszył ramionami i zatrasnął atlas. - Przekonująca pogłoska, lecz nie do udowodnienia, jak i ta, że zaginęły wówczas blachy

drukarskie. Niektórzy twierdzą, że je skradziono, czego nie da się sprawdzić. - Uśmiechnął się blado i jakoś bezradnie, potem znów wzruszył ramionami. - Zresztą nie ocalał żaden egzemplarz. Nieliczne wydrukowane zaginęły lub je zniszczono co do sztuki podczas plądrowania Pragi z początkiem wojny trzydziestoletniej.

Otóż nie, pomyślałem, kuśtykając przez próg w parę minut później, by znów się zanurzyć w upale; przed oczami stanął mi zniszczony przez wodę wolumin w zagadkowym laboratorium, otóż nie wszystkie egzemplarze przepadły. Pętając się bez celu w pobliżu Charing Cross, zastanawiałem się, czy to jednak nie strata czasu. Jakież związki zachodzi między *Theatrum* Orteliusa i hermetycznym tekstem, który zlecono mi wytropić? Między nową mapą świata i rękopisem zaliczanym do mądrości zaprzyszłych? Potem jednak przypomniałem sobie pana Barnacle'a mówiącego o erze odkryć i przyszło mi do głowy, że może natknąłem się przypadkiem na jakiś zwiątek, chociażby odległy, z wyprawą sir Ambrose'a do Gujany, jeżeli do wyprawy rzeczywiście doszło.

Odpędziłem od siebie tę myśl. Uznałem, że wyobraźnia, podobnie jak nogi, poniosła mnie za daleko. Pora wracać do domu.

Musiałoby być po szóstej, kiedy przywołałem dryndziarza przed Trąbkę Pocztyliona (gdzie w maleńkim ogródku pod morwą pokrzepiłem się kolejną półkwartówką piwa) i ruszyłem w drogę powrotną ku London Bridge zdany na prądy i wiry wieczornego ruchu. Przysnąłem po paru minutach, ale gdzieś na Fleet Street obudziły mnie krzyki. Tu pewnie było jeszcze gęściej od pojazdów, bo przez parę minut kocz ledwie się posuwał. Znowu się zdrzemnąłem, potem znowu zbudziłem, ale teraz wyrwało mnie ze snu buczenie rogu wydającego na przemian dwa dźwięki. Uniosłem się, siadłem prosto i odsunąłem firankę pewien, że zobaczę Fleet Bridge, a za nim Ludgate. Tyle że nie jechaliśmy przez Fleet Street.

Wychyliłem się przez okno i rozejrzałem po ulicy. Chyba zmyliliśmy drogę. Nie poznawałem żadnej oberży wywieszanej nad trakt, żadnej piwiarni,

w ogóle nie znałem tej ulicy, wąskiego pustego przesmyku zasnutego czarnym dymem.

- Dryndziarz! - Załomotałem dłonią po budzie. Czy ten idiota zmylił drogę?

- Tak, proszę pana?

- Gdzie nas wywlokłeś, człowieku?

Obrócił się na koźle, istny niedźwiedź o grubej szyi, z łuszczącym się od słonecznej spiekoty nosem. Uśmiechnął się z wysiłkiem, obnażając drewniane protezy.

- Na Fleet Street był wypadek. Wywalił się wóz, proszę pana, koń padł. Więc pomyślałem, że jeżeli panu nie przeszkadza...

- Gdzie jesteście? - przerwałem mu.

- Whitefriars, proszę pana. - Kłapnął protezami. - Alsatia. Pomyślałem, że podjedziemy do Fleet Bridge od Water Lane, proszę pana, potem...

- Alsatia?

Wąski przesmyk nabrał bardziej złowrogiego kolorytu. Miał podejrzaną reputację. Niebezpieczna Alsatia rozciągała się za cuchnącymi osadami Fleet River, istnego ścieku; było tego z tuzin uliczek i Bóg wie ile podwórek, przejść, a cały obszar rościł sobie pretensje do zwolnienia spod jurysdykcji miejskiej i władzy sędziów, przyznanego wcześniej w tym wieku przez króla Jakuba. Za sprawą takich przywilejów dzielnica stała się schronieniem łotrów i złoczyńców wszelkiej maści. Bajlifowie i komornicy wchodzili tam na własne ryzyko, zresztą jak wszyscy inni na tyle obrani z rozumu, żeby się pętać na południe od Fleet Street. Przypuszczałem, że dźwięk rogu, który mnie zbudził, był sygnałem jakiegoś czato wnika, ostrzeżeniem dla innych, że oto pojawiają się obcy. Chociaż dzielnica sprawiała teraz niewinne wrażenie, bo słońce okryło ją warstwą starego złota, ani myślałem ryzykować.

- W tej chwili nas stąd wywieź - nakazałem woźnicy.

- Tak, proszę pana.

Kocz ruszył, skręcił, szkapa poczłapała w bok, a potem powlokła się wąską uliczką, do której z obu stron przyłgnęły walące się budynki o szybach powleczonych brudem i sadzą. Co głębsze wyrwy w dziurawej drodze pozatykano byle jak chrustem. Wydawało się, że w pobliżu nie ma nikogo. Po prawej mieliśmy Tamizę, co chwilę widzianą za pustymi parcelami, zasłanymi gruzem; wzdłuż brzegu ciągnął się rząd podejrzanych przystani. Ulicą przemknęły czarne widma: tumany pyłu węglowego. Jechaliśmy wzdłuż rzeki; kocz kołysał się na boki, bo drewnianozęby dzikus na koźle beztrosko omijał przeszkody: zerwane dachówki, potrzaskane żarna, obręcze i połamane klepki dawno opróżnionych beczek piwa. Wkrótce poczułem śmierdzący muł Fleet; po minucie odciął nam drogę brzeg, a wtedy zaczęliśmy wracać przejazdem, który moim zdaniem mógł prowadzić wszędzie, tylko nie ku Fleet Street.

- Na miłość boską, człowieku!

- Jeszcze minutę, proszę pana...

Lecz po minucie nadal podskakiwaliśmy i zataczaliśmy się obok odnogi rzecznej, koła dorożki wciąż chlupotały w błocie. Powierzchnię Fleet okrywał kożuch, w powietrzu zawisła chmura owadów. Zasłoniłem nos chusteczką i wstrzymałem oddech. Aż nagle dostrzegłem przez okno coś znajomego, oto skrawek rysunku - czyżby robota dzieciarni? - nabazgrany kredą na ślepej ścianie:



Wykręcałem głowę, kiedy przejeżdżaliśmy koło niego. Co to za dziwny hieroglif? Karykatura człowieka? Mężczyzna-rogacz? Diabeł? Byłem pewien, że wcześniej widziałem już ten znak. Ale gdzie? W książce?

- Cholera jasna!

Odwróciłem się i spojrzałem w stronę kozła.

- Co się stało?

- Moja wina, proszę pana. - Kocz stanął. - Chybaśmy się wpakowali w ślepy zaułek.

- W ślepy zaułek...?

Rysunek poszedł w zapomnienie. Otworzyłem drzwiczki, wyszedłem i natychmiast wpadłem po kostki w jakiś muł. Konie stały po pięciny w szlamie, ugrzęzły też koła kocza. Spojrzałem w górę. Zobaczyłem przed nami dzwonnice więzienia Bridewell i wieżycę St Bride, ale niewiele więcej, jeśli nie liczyć kilku ruder w gęstniejącym cieniu. Było już później, niż sądziłem, słońce zaszło za ząbkowane nieregularnie zwieńczenia pałacu Whitehall, w niektórych budynkach zamigotały świece. Alsatia budziła się do życia.

- Pan pozwoli, proszę pana.

Woźnica odrzucił bat, zeskoczył z kozła i obdarzył mnie przymilnym uśmiechem. Właściwie już mnie wprowadził z powrotem do kocza, kiedy znów podniosłem wzrok znad grzędawiska i zobaczyłem światło w najbliższym budynku, sądząc z wyglądu - tawernie. Szyld lekko poruszany wiatrem skrzypiał. Zerknąłem na niego, szukając napisu. Zdołałem dostrzec głowę jakiegoś zwierzaka i błysk złotej farby.

- Chodźmy proszę pana - dryndziarz napierał. - Nic panu nie jest?

- W porządku. - Ledwie go słyszałem. Nie patrząc, wcisnąłem mu w rękę szylinga. - Masz tu pieniądze, bierz. - Ruszyłem już w stronę tawerny. - A teraz jedź sobie.

- Proszę pana...? - dobiegł mnie głos pełen niedowierzania.

- Jedź.

Błoto zasysało mi buty, z każdym krokiem musiałem wyciągać nogi z grzędawiska. Po paru sekundach trafiłem jednak na twardszy grunt, na ceglana dróżkę; tawerna rosła w oczach. Otworzyły się drzwi, na ceglach załśnił trójkąt światła. Ruszyłem, zezując jeszcze na szyld. I znowu zobaczyłem łuszczący się wizerunek, lecz teraz wyraźniej: był to koźli łeb z połączanymi rogami. Wyżej

widniały słowa: Złoty Róg.

#### IV

Już od progu atakowała nozdrza woń stęchłej beki i dymu węglowego z przymieszką trocin i toczonego przez robactwo smołowanego drewna; woń izby, w której nie zagościły miotła ani wosk, a przede wszystkim światło ani świeże powietrze. Potem w środku, kiedy źrenice zżyły się z półmrokiem, zorientowałem się, jaki tu zapach dominuje naprawdę: otóż kawy. Złoty Róg nie był tawerną, lecz kawiarnią.

Drzwi zatrzęsły się za mną, a ja zanurzyłem się w dymie z kominka; przeszedłszy parę kroków, pilnie rozglądałem się za jakimś krzesłem. Ostatnim lokalem, jakiego mógłbym się spodziewać w sercu Alsatii, była kawiarnia, chociaż właściwie nie powinienem się dziwić, bo już wówczas, w roku 1660, człowiek miał wrażenie, że kawiarnie pootwierano przy każdej ulicy. Dotychczas przestąpiłem próg tylko jednej, Głowy Greka, w którym to przestronnym lokalu pełno było niedoszłych aktorów i poetów; tamtejszą sympatyczną atmosferę trudno by jednak uznać za wprowadzenie w zaduch i mroki Złotego Rogu.

Znalazłem trójnożny zydel i usiadłem możliwie z dala od kominka i dławiącego się ognia.

- Czym mogę służyć, proszę pana?

Niski, brzuchaty kelner, który wyrósł przede mną, wycierał ręce w brudny fartuch. Za nim dwa podejrzane, niechlujne typy wdały się w poważną dysputę, dalej siedział odwrócony tyłem samotny mężczyzna, który wszedł chwilę wcześniej, ten wycinał nożem odciski z dłoni. Potoczyłem wzrokiem po prymitywnym umeblowaniu, maleńkim kominku, poźółkłych, pozwijanych ogłoszeniach na ścianach; ciekaw byłem, jaka to splątana nitka może łączyć Złoty Róg z Pontifex Hall. Nagle zwątpiłem, czy związki i zależności, które dostrzegam - szyfr, klucz do szyfru, dziwny wiersz, Strabon, wreszcie ta kawiarnia Złoty Róg - rzeczywiście istnieją, niezależnie od mojej wyobraźni.



Czy z tego zbioru tropów coś wynika, czy to tylko przypadki i zbiegi okoliczności?

Był tylko jeden sposób, żeby się zorientować. Sięgnąłem do kieszeni po pensa.

- Poproszę kubek kawy.

Nie pojawiły się żadne znaki ani tajemne moce; przynajmniej jeszcze nie teraz. Zanim dopiłem tę kawę - gorzki, mulisty napar - w pomieszczeniu przybyło klientów. Przychodzili w pojedynkę, po dwóch, w wytartych ubraniach i połatanych kurtach. Cichą, porwaną wymianę zdań punktowały wybuchy gardłowego śmiechu. Kelner krążył między stolami a kontuarem, na tacy szczękały naczynia. Zdawało się, że wszyscy czekają na coś, co ma się wydarzyć, lecz nic się nie wydarzyło. Myliłem się, przypisując tej nazwie jakieś znaczenie; to był z pewnością zbieg okoliczności, nic więcej. Pewnie pod nazwą Złoty Róg znajdzie się co najmniej kilka tawern czy kawiarni, które nie mają nic wspólnego z Pontifex Hall; a już najmniej ta.

Szafkę zauważyłem później, dopiero po paru minutach. Zapełniona osobliwościami, którymi właściciele kuszą zwykle klientelę, stała w kącie. Ze swego zydła mogłem dostrzec te zbiory, jeszcze żałośniejsze niż gdzie indziej; jakiś kredens czarownicy, na który to wabik nie da się nabrać najbardziej naiwny z gości. Kiedy wstałem i podszedłem do kąta, powodowała mną nie tyle jednak naiwność, ile ciekawość.

Było tam jeszcze ciemniej; w całej salce absolutnie nikt się nie interesował tą przygotowaną bez przekonania wystawą. Kartki zapisane drżącą ręką, z błędami ortograficznymi, objaśniały, czym są nieciekawe obiekty - w sumie kilka - jakby skulone ze wstydu za szkłem. Pochyliłem się i spojrzałem spod przymrużonych za okularami powiek. Fragment ubioru nadzarty przez robactwo zachwalano jako skrawek całunu Edwarda Wyznawcy, a obok niepozorną gałąź na wpół spróchniałą przedstawiono jako konar z drzewa, o które otarła się strzała niosąca śmierć królowi Wilhelmowi II Rudemu. Inny,

jeszcze bardziej niepozorny odłamek pochodził, jeśli wierzyć kartce, z grobowca saskiego króla Seberta.

Niemal wybuchnąłem śmiechem na widok tych podrabianych pamiątek, lecz mą uwagę przyciągnęła inna kartka. Pożółkła, poskręcana, oparta o tył szafki, zapewniała, że parę cali kwadratowych wystrzępionego grubego płótna to fragment marsła z *Brilomarta*, okrętu, który uczestniczył w ekspedycji sir Waltera Raleigha w górę Orinoko w 1617 roku. Zmarszczyłem brwi i nachyliłem się jeszcze raz. Nie miałem wątpliwości, że ów strzęp to takie samo kanciarstwo jak reszta eksponatów, lecz dzięki niemu przypomniał mi się przywilej z trumny w Pontifex Hall dotyczący budowy *Philipa Sidneya*.

A potem zobaczyłem w szafce ostatni eksponat, w najwyższej mierze makabryczny. Ten także znajdował się w głębi, wyglądał zaś na odciętą głowę ludzką. Znów nachylony, wybałuszyłem oczy na tę przerażającą osobliwość, zapewne owoc barbarzyńskiego, pierwotnego kultu. Widok był straszny. Zmierzwione brązowe włosy spadały z czoła koloru łoju, niżej dwie wytrzeszczone gałki oczne spoglądały jedna w sufit, druga w podłogę. Lewa powieka opadła, jakby w mrugnięciu, a groteskowo grube i czerwone wargi, jak ladacznicy, wykrzywił cyniczny, chytry grymas. Że głowa to imitacja z wosku i aksamitu zauważyłem dopiero wtedy, kiedy zdumiał mnie tekst na arkusiku wspartym o wystający podbródek, zapisany tym samym dziecinnym charakterem co pozostałe kartki:

*Głowa Automatona z Królestwa Czech niegdyś własność*

*Jego Cesarskiej Wysokości Rudolfa II*

Powlokłem się do stołu; tymczasem za oknami ściemniło się, dym z kominka kłębił się pod stropem. Podniosłem kubek drżącymi rękami. Zastanawiałem się, czy makabryczna głowa to autentyk, czy też coś podobnego do pozostałych eksponatów. Jak tutaj trafiła z Pontifex Hall? Przez żołnierzy Cromwella? Może przeszła przez łapska innej zgrai rabusiów?

Przesiedziałem na zydłu jeszcze z pół godziny. Coraz bardziej zmęczony,

rozdrażniony zerkalem co pewien czas w stronę woskowej głowy, która - jak mogłoby się przywidzieć - zadowolona z siebie, też porozumiewawczo puszcza do mnie oko zza szkła. Porcja kawy zamiast koić, na co liczyłem, chyba do reszty mnie rozstroiła. Niemniej, kiedy w pobliżu zjawił się kelner, wziąłem się w garść i wskazując szafkę, spytałem, skąd mają coś takiego. Kelner oświadczył, że nie ma pojęcia, kiedy to coś trafiło do Złotego Rogu ani skąd się wzięło. Zaskoczenie i zdumienie jegomościa były przekonujące, najwyraźniej nie zauważył dotychczas ani szafki, ani tym bardziej jej przerażającego mieszkańca.

Kiedy zdecydowałem się wracać do domu, pożałowałem, że tak szybko odprawiłem kocz. Powrót na Fleet Street wydawał się ryzykiem, mogło być niebezpiecznie. Wiedziałem, że wypadnie wędrować piechotą, bo trudno liczyć, że w tę uliczkę zabłąka się jakaś dorożka, zwłaszcza po zmierzchu. Zmierzając ku drzwiom, tłumilem rodzące się w głowie wyobrażenia wszelkich możliwych nieprzyjemnych przygód.

Wtedy to dokonałem ostatniego odkrycia owego wieczoru. Już wychodząc, zauważyłem, że przy ościeżnicy drzwi naklejono ręcznie pisane ogłoszenie. Niby nic dziwnego, na ścianach tej kawiarni pełno było najróżniejszych ogłoszeń. Ze swego zydła mogłem przeczytać ze dwadzieścia albo i czterdzieści zapowiedzi teatralnych, upstrzonych przez muchy ogłoszeń kupieckich, nieprzyzwoitych ballad drukowanych na dużych arkuszach z podobizną lisa, ponadto rysunki, w tym nieprzyzwoite, niektóre wyrżnięte na ławkach i stołach albo nagryzmołone na belkach. Przeszedłem więc obok ogłoszenia, właściwie nie zwracając uwagi, ale kiedy stanąłem przy drzwiach, żeby przepuścić innych, dopiero wówczas moją uwagę przyciągnął napis: pociemniały druk z płytki miedzianej.

ZAWIADOMIENIE O AUKCJI

Która odbędzie się w

ZŁOTYM ROGU

Dzielnica Whitefriars,  
19 dnia Lipca o godzinie 9 Rano,  
Kiedy to wiele najróżniejszych i osobliwych

KSIĄŻEK

Wystawionych będzie na

WIDOK PUBLICZNY

I sprzedanych na aukcji

O 300 pozycjach

Przez Doktora

SAMUELA PICKVANCE'A

Paru klientów wsunęło się do środka, paru zanurzyło w mroku ulicy, ja zaś stałem i wpatrywałem się w ogłoszenie. Aukcja książek? To tak, jakbym się natknął na wydanie Homera czy Wergiliusza w lasach Gujany. Miałem wrażenie, że znam w Londynie wszystkich z książkowej branży, wliczając aukcjonerów, mimo to nigdy nie słyszałem o kimś nazwiskiem Pickvance, jeśli to prawdziwe nazwisko. Ciekaw byłem, co to za „najróżniejsze i osobliwe” książki wystawi na sprzedaż i jacy kolekcjonerzy mogą się stawić na przetarg. Najbardziej jednak mnie dziwiło, dlaczego ów jegomość wystawi książki na aukcję akurat w Złotym Rogu. Tego jednak mogłem się dowiedzieć bez trudu, ponieważ do aukcji, dziewiętnastego lipca, pozostały tylko dwa dni.

Alsatia wydawała się niemal senna, kiedy wkroczyłem na płyty stanowiące coś w rodzaju ścieżki; wieczorne powietrze było chłodne i przyjemne po istnym piekle Złotego Rogu. Złudzenia wkrótce pierzchły. Poczulem odór Fleet, a jacyś maszerujący w stronę kawiarni mężczyźni ze szpadami czy bułatami u pasa, czterech czy pięciu, potrącili mnie i zepchnęli na bok. W mroku uwijały się jakieś inne figury. Teraz Alsatia była budzącą się bestią. Wstrząsnął mną dreszcz na myśl o czekającej drodze.

Za dwa dni wypadnie tu jednak wrócić. Wiedziałem to już w chwili, w której odwróciłem się, żeby po raz ostatni spojrzeć na poroża i napis, które w

skąpej poświęcie wydawały się złocistymi hieroglifami. Nagle nabrałem pewności: musi istnieć jakiś związek między pergaminem, którego szukam, i owymi „najróżniejszymi i osobliwymi” książkami doktora Pickvance’a.

Droga powrotna do Nonsuch House przebiegła, jak się okazało, bez przygód. Po śladach kół zszedłem ku rzece, tam zaś przy jednej z przystani węglowych trafiłem na przewoźnika drzemiącego przy wiosłach. Za dwa szylingi zgodził się przewieźć mnie w dół rzeki, z prądem, bo ruszył już odpływ. Wetknął wiosła w dulki, stęknął i odbił, ja zaś ułożyłem się w łodzi i wpatrywałem w coraz cieńsze pasmo światła na brzegu. Budynek i wieżyczki odsuwały się z wolna, wyprzedził nas jakiś kuter. Wiosła zanurzały się i unosiły, zanurzały i unosiły, na płyciznach pióra nabierały mułu, by zaraz oddać tę porcję wodzie. Spadzisty dach Złotego Rogu malał, kurczył się, zniknął. Po paru minutach mogłem zobaczyć wschodzący księżyc na tle kominów na London Bridge. Przymknąłem oczy i poczułem, że łódź wsuwa się między kamienne filary, a potem z wdziękiem daje nura o pięć stóp w dół, wprost w ryczącą ciemność, w nagły pęd piany i powietrza.

Na trzęsących się nogach wysiadłem na brzeg, kiedy już wynurzyliśmy się po drugiej stronie; okazało się, że na moście w moim narożniku Nonsuch House pali się jeszcze światło. Monk już leżał w łóżku, ale Margaret marynowała jeszcze w kuchni ostrygi. Złajała mnie za spóźnienie na kolację, na duszoną głowiznę, którą zjadłem na zimno sam, już w gabinecie, skonany. Po półgodzinie i ja wpełzłem do łóżka. Długo leżałem nieruchomo, nasłuchując bulgotania odpływu między filarami, starając się uspokoić oddech. Przez chwilę zdawało mi się, że wciąż wpadam między gigantyczne nogi mostu; a wszystko pode mną zapada się, jak wtedy łódź, ja zaś wiszę w powietrzu, w pustce, w upojeniu. Zasypiając, myślałem nie tylko o ogłoszeniu na ścianie Złotego Rogu, lecz i o liście opatrzonym znajomą pieczęcią, który czekał na mnie oparty o książkę na biurku.

Droga nad Łabę była mordegą, ale w następnych dniach, kiedy karawana powozów i wozów zostawiła za sobą Czechy, dla podróżnych nastał czas jeszcze gorszy. Z posępnego nieba zaczął padać śnieg, wprawdzie nieliczne płatki sfruwały powściągliwie, jakby bez celu, potem sypnęło gęściej. Wichury ze wschodu mknęły niestrudzenie nad półksiężycem Karpat, potem Wyżyną Morawską, by wreszcie uderzyć w Karkonosze, gdzie były wśród głazów i zasp, między którymi przedzierała się karawana. Minęła kilka miasteczek, później były już tylko wioski, po paręnaście domów przyklepionych do stromych zboczy jak jaskółcze gniazda. Potem i wioski skurczyły się do kilku domostw, a wkrótce całkiem zniknęły. Zniknięciem groziła też droga w paru miejscach właściwie nieprzejezdna, a to z powodu osunięć skalnych, a to głębokiego śniegu. Służba poszeptowała, że podróż o tej porze roku to barbarzyństwo. W końcu nawet z wojnami - co dotyczy też Ferdynanda, którego Walonowie i Irlandczycy utknęli w Pradze, żeby się oddać grabieży - czeka się do wiosny. Mimo to co ranka - bez względu na pogodę, chociażby najgorszą, bez względu na stromość dróg i na to, ilu podróżnych nabawiło się gorączki i ile koni ochwaciło się w wichurze, przez otarcia czy rozszczerzone kopyta - wznawiano smutną podróż. Wkrótce w śnieżnym krajobrazie zabrakło oznak życia, z wyjątkiem wilków pojawiających się przy drogach wijących się po lasach stromymi zakosami. Wilki pokazywały się najpierw w pojedynkę, potem w stadach po dziesięć, dwanaście, wychylały się zza granitowych złomów, postępowały z dala za wozami. Potem nabrały śmiałości i podchodziły tak blisko, że Emilia widziała żółte ślepia i ostre zarysy pysków. Chude, niedożywione jak żebracy szły w rozsypkę, gdy się rozlegał stłumiony huk rusznicy. Odgłos broni trwożył też pasażerów, przez karawanę, od czoła po kraniec, zaczęły bowiem kursować plotki, że cesarscy najemnicy ruszyli żywo w pościg, chociaż trudno było sobie wyobrazić kogoś, nawet kozaków, kto zdoła pędzić po tak zdradzieckich drogach.

Pierwszy etap tej podróży skończył się wreszcie dziewiątego dnia o

zmierzchu. Karawana przepelzła mozolnie obok klasztoru, potem zboczem w dół i zatrzymała się nie przed jakimś zajazdem, jak zazwyczaj, ale przed zamkiem, w którego murach w wąskich otworach strzelniczych płonęły i migotały światła. Ściśniętej w powozie Emilii, której przemarzły nogi, wydawało się, że słyszy szum rzeki. Nachyliła się, zerknęła przez szczelinę w zasłonie i zobaczyła grupę mężczyzn w długich płaszczach, w kapeluszach z szerokimi rondami, Śpiesznie przemierzających dziedziniec, na którego obrzeżu stały dziesiątki pojazdów najróżniejszej wielkości. Unoszona brona zgrzytała i tarła o mur, potem rozwarły się z hukiem ciężkie wrota. Ktoś powiedział „Wrocław”. Dotarli na Śląsk.

Wygnany dwór spędził w starym piastowskim zamku prawie tydzień. Wrocław nie był celem podróży, zaledwie etapem ucieczki. Emilię wraz trzema innymi dwórkami umieszczono w izbie wprawdzie pozbawionej okien, za to wystawionej na tajemnicze przeciągi niosące śnieżny pył. Królowa sypiała w komnacie w pobliżu. Z dotarciem karawany do Wrocławia dotknęła ją niebezpieczna choroba i Emilia w ogóle jej nie widywała. Królową odwiedzali tylko lekarze, kręcili się, wchodzili i wychodzili z królewskich apartamentów, obnosząc wydłużone, ponure twarze. Po dniu czy dwóch zamek obiegły plotki, że królowa umarła. W dzień później mówiło się tylko o śmierci nie narodzonego dziecka, inna bowiem plotka, bardziej wiarygodna, zapewniała, że królowa jest przy nadziei. Na koniec rozpowiadano o matce i dziecku razem, że wyzionęli ducha oboje. O prawdę było równie trudno jak o drewno na opał czy o paszę. Spadło jeszcze więcej śniegu. Zamarzła Odra. A potem, czwartego dnia spędzanego w zamku, złożył Emilii wizytę sir Ambrose Plessington.

Była sama i czytała książkę. Usłyszawszy pukanie, nie podniosła się z wąskiego łóżka, ponieważ i ona, jak królowa, była niedysponowana. Już drugi dzień z rzędu czuła się źle. Miesięczne bóle pojawiły się wcześniej, ale bez miesięcznego krwawienia. Emilię bolała głowa, bolały zęby, nie spała. Nawet czytanie stało się udręką. Z braku własnych książek musiała sięgać po tomy ze

zbioru królowej. W ostatnich dniach zgłębiała *Odkrycie wielkiego, bogatego i pięknego Cesarstwa Gujany* sir Waltera Raleigha z rozkosznymi opisami ciepłego klimatu i grobowców wypełnionych skarbami. Ukołysało ją to do snu - zasypiała po raz pierwszy od ponad doby, kiedy obudziło ją pukanie. Oczywiście zaskoczył ją widok sir Ambrose'a. Przez całe dwa tygodnie nie odezwał się do niej ani słowem, co więcej, nie okazał najmniejszego zainteresowania. Ona, odwrotnie, śledziła każde jego poruszenie. Przez szybkę powozu czy okno zajazdu przyglądała się, jak sir Ambrose czuwa nad ładowaniem i rozładowywaniem skrzyń, jak jedzie obok powozu królowej z bułatem kolebiącym się u biodra. Kiedy indziej galopował i znikał, wyprzedzał konwój, wynajdował górskie przejścia i przełęczę bądź wypatrywał śladów polskich oddziałów, a opowiadano, że wielu z tych ludzi zabił i zostawił na żer wilkom. Za wyczyny zapłaciły aż trzy wierzchowce sir Ambrose'a; okulały i trzeba je było zabić, ale sir Ambrose mimo trudów wyglądał znakomicie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

Wszedł zwinnie, w wielkich butach, w bobrowym kapeluszu wypełniał sobą całą izdebkę. Zmuszony pochylić głowę pod nadprożem, przypominał mężczyznę wkraczającego do namiotu pod polem bitwy. Wyprostowany wyglądał jeszcze bardziej z żołnierską, z bułatem u boku i pistoletem u drugiego. Lecz niósł też latarnię, pod pachą zaś książkę. Ukłonił się i zamilkł; jego ruchliwość nagle przeistoczyła się w bezruch. Przekrzywił głowę jak malarz, który krytycznie przygląda się modelowi.

- Spała pani?

- Nie, nie - wreszcie zdołała coś wykrztusić. Wyprostowała się na łóżku, a *Odkrycie* Raleigha przycisnęła do piersi jak tarczę. - Nie, proszę pana. Czytałam, to wszystko.

Podszedł bliżej; pod butami zachrzęściła słoma, spojrzenie ciemnych oczu uważnie taksowało Emilię. Pióro u kapelusza omiotło belkę sufitu.

- źle się pani czuje, pani Molyneux?



- Nie - wyjąkała znowu. Nie miała ochoty nikomu opowiadać o swoich dolegliwościach, a już najmniej sir Ambrose'owi. - Mam się doskonale, dziękuję. Zazwyczaj czytam w łóżku - wyjaśniła, podniosła książkę i poczuła, że oblewa ją rumieniec.

- Ach. - Skinął, poruszając ogromnym kapeluszem. - No właśnie. Mówiono mi, że jest pani zamiłowaną czytelniczką. Właśnie, istna Donna Kichota. - Przez mgnienie oka uśmiechnął się do siebie, potem podrapał po brodzie wskazującym palcem. - Prawdę mówiąc, panno Molyneux, sprowadza mnie tutaj ten pani uroczy zwyczaj. - Wysokie skórzane buty zaskrzypiały, kiedy nachylał się i kładł tom na stoliku przy drzwiach. - Królowa zechciała sprawić pani przyjemność i przesyła jeszcze jedną książkę. Wraz z pozdrowieniami. - Ukłonił się i odwrócił do wyjścia.

- Ależ proszę... - Opuściła nogi z łóżka. - Jakie są nowiny? Królowa niedomaga?

- Nie. Ma się doskonale. Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co pani słyszy. - Zatrzymał się na progu i mrugnął. - Ani we wszystko, co pani czyta.

- Przepraszam?

- To sir Walter Raleigh. - Na ogorzałej od wiatru twarzy pojawił się szeroki uśmiech, sir Ambrose rondem kapelusza wskazał książkę w rękę Emilii. - Gujana nie jest takim rajem, jak opisuje sir Walter. Życzę miłego dnia, panno Molyneux.

Wyszedł i zniknął w głębi korytarza, zanim Emilia zdążyła zapytać o Vilema, o cokolwiek. Ale nagle poczuła, że nabiera otuchy. Sir Ambrose musiał się dowiedzieć o jej zamiłowaniu do lektur od Vilema. A może od królowej? Nie, chyba od Vilema, pomyślała. Bo skąd sir Ambrose wiedziałby o jej upodobaniu do romansów rycerskich? Emilia musiała uważać, żeby nie zdradzić się przed królową z tą słabością, królowa bowiem nie cierpiała niczego co hiszpańskie.

W minutę potem wróciły do izby wszystkie dwórki. Na wieczór

zaplanowano nabożeństwo dziękczynne w kościele z okazji wyzdrowienia królowej, a później ucztę. Przez dwadzieścia minut młode damy szczebiały radośnie, oblekając się jak za dawnych czasów w swe powłóczyste konchy, w szkarłaty i purpury, koronki i wstążki jak w Pradze czy Heidelbergu, jakby ostatnie dni były sennym koszmarem, z którego, dzięki Bogu, zdołały się przebudzić. Dopiero po ich wyjściu Emilia otworzyła w końcu książkę zostawioną przez sir Ambrose'a. Była to jeszcze jedna opowieść rycerska, *Palmerin z Anglii* Francisca de Moraesa<sup>1</sup>. Kiedy zaś odwróciła okładkę, znalazła między stronicami kartkę zapisaną znajomym charakterem.

Zobaczyła Vilema jeszcze tego wieczoru, w piwnicach, jak nakazywała notatka. W tym czasie reszta dworu całym sercem oddawała się ekstatycznym i ogłuszającym uciechom. Zaczęła się feta. Muzycy ściągnięci z miejscowej karczmy dęli w krzywule, potrząsali tamburynami i donośnie śpiewali po polsku, tymczasem tancerze wściekle i zuchwale śmigali po posadzce zrujnowanej sali, tworząc jeden wir łokci i frunących spódnic. Szeroko otwarto bramy zamku i wpuszczono cnych wrocławian, tak mieszczan, jak i żebraków. Przepychająca się między nimi Emilia nie zdołała rozpoznać ani jednej twarzy. Nie miała też pojęcia, skąd się wzięło jadlo. Półmiski wołowiny i sarniny, bażantów i kur, pieczonych dzików, tuziny przepiórek, nawet paw podany z piórami, do tego misy ostryg, serów, jaj na twardo, słodczy, orzechów, śliw, persymon, pomarańczy sewilskich, lodów topiących się pod wpływem ciepła dziesiątków pochodni i jeszcze większej liczby świec - tym wszystkim częstowano wygnańców, którzy zaledwie przed paroma dniami niemal zamarli na śmierć na pustkowiu, jedli robaczywy chleb i zmarznięte na kamień kawałki solonej gęsi. Wśród tych ludzi nie było jednak Vilema. Upłynęła godzina, zanim Emilii udało się wymknąć, zejść do podziemi i tam dopiero w starej piwnicy winnej znalazła Vilema pochylonego nad skrzynią z książkami.

Jego widok wstrząsnął Emilią. Vilem był we Wrocławiu od ponad dwóch tygodni, dotarł tu, zanim spadły śniegi, ale na nikim podróz tak się nie odcisnęła

jak na nim. Był zaniedbany, chudy jak nigdy. Porwane, pomięte spodnie i kaftan wisały na nim jak na strachu na wróble. Może i do niego dobrała się choroba? Vilem to chuchro, o tym Emilia wiedziała; niejedną wieczór przy Złotej Uliczce spędziła na pielęgnowaniu, skarżył się bowiem na to i tamto. Teraz gromki kaszel zmusił go nagle do zgięcia się wpół.

- Vilem...?

To ponowne spotkanie wypadło inaczej, niż myślała. Był tak zajęty doglądaniem stanu skrzyń - otwierał jedną po drugiej, sprawdzał tomy zawinięte w impregnowany materiał, cackał się z nimi, zanim na nowo wepchnął pakuły między woluminy - że nawet nie zauważył Emilii. Pośpieszyła ku niemu, lawirując między pustymi stojakami na wino i dziesiątkami skrzyń. Wieka były w większości otwarte, w świetle pochodni lśniły maleńkie złocene litery. Emilia zorientowała się, że książki pakowano w skrzynie w porządku alfabetycznym. Abulafia; Agricola; Agryppa; Artefius; Augurello. Potem Bacon; Biringuccio; Böhmen; Borbonius; Bruno. Nazwiska niewiele jej mówiły, podobnie tytuły. *De occulta philosophia. De arte cabalistica.* Wyglądało to na bezbożne dociekania. *Zwierciadło alchemii. Occulta occultum occulta.* Co królowa, zaprzysiężona przeciwniczka papizmu i zabobonu, miałaby wyczytać z takich rzeczy? FICINUM, widniał napis na grzbiecie jednego z najgrubszych tomiszczy, PIMANDER MERCURI TRISMEGISTI.

- Vilem!

Kiedy wreszcie dostrzegł Emilię, nie okazał z tego powodu większej radości niż ze znalezienia ulubionej księgi na dnie skrzyń, w których grzebał jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut. Mało tego, w ciągu paru najbliższych dni Vilem chyba troszczył się bardziej o książki niż o Emilię. Podobnie jak Otakara, najwyraźniej opętały go obawy, że zbiór, jak to określił, może popaść w złe ręce, zostać zrabowany, spalony, może też przepaść na zawsze w archiwach Ferdynanda lub Świętego Oficjum. Już później Vilem powiedział Emilii, że doglądał „pierwszej wysyłki”: przewozu mniej więcej pięćdziesięciu

skrzyń z książkami. Nad drugą wysyłką czuwał sam sir Ambrose, dlatego Vilema nie zdziwiła wiadomość o samotnym Angliku w bibliotece. Dopiero kiedy Emilia opisywała tamto wydarzenie - siedzieli teraz oboje na beczkach po winie - Vilem wykazał jakieś zainteresowanie jej losem. Chociaż, kto wie, może go bardziej obchodził ów tom oprawny w skórę, który Emilia zauważyła wtedy na stole. Vilem zmusił ją, żeby opowiedziała dwukrotnie o wypadkach tamtego wieczoru, lecz potem, zaintrygowany, zapewniał, że z jej opisu nie zdoła rozpoznać książki ani tamtych jeźdźców. Natomiast bardzo go zainteresowała wiadomość o wyjątkowej oprawie. Zeskoczył z beczki, przykucnął na podłodze i przez chwilę szperał w jednej ze skrzyń, pomrukując do siebie i chrząkając.

- Mówisz, że ta oprawa - zawołał przez ramię - wyglądała mniej więcej tak? - Obrócił się, przyciskając do piersi gruby wolumin.

W świetle pochodni Emilia dojrzała wytłoczone na skórze zawile esy-floresy: zbiór spirali, pierścieni i zakrętasów, który ni stąd, ni zowąd skojarzył jej się z kapryśnymi liniami ogrodowego labiryntu na zamku praskim, na który patrzyła z wyższych pięter pałacu królewskiego. Barwne obcięcie stronic przypominało ten tom ze Złotych Ksiąg, które Vilem pokazał Emilii przed miesiącem. Skinęła.

- Właśnie tak, zgadza się. I chyba ten sam wzór.

- Dziwne... bardzo dziwne. - Vilem skręcał w palcach kosmyk włosów z zaniedbanej brody, wpatrując się w przetłoczenia. - Mówisz jednak, że strony nie były barwione? - Emilia pokręciła głową, a Vilem zamruczał wprost w poplamioną kryzę: - Ależ to dziwne, mmm, naprawdę.

- Myślisz, że ta księga pochodziła z Konstantynopola?

- Kto wie - Vilem przytaknął. Myśl wyraźnie go pobudziła. - Może z Konstantynopola. Okładka o niczym nie przesądza, to jasne. Ale opisujesz zdobnictwo arabskie, znane jako *rebesque* lub *arabeska*, używane przez introligatorów stambulskich. W bibliotece było mnóstwo takich książek, ale *ta*, o której mówisz, i jak opisujesz... hm...

Vilem otworzył książkę i powoli przerzucał purpurowe kartki, wertował stronice, zrobione - Emilia przypomniała sobie, co jej opowiadał - ze skór nie narodzonych cieląt, których trzeba było czasem aż pięćdziesięciu na jeden tom. Welin, tak to się nazywa. Cielęta ogłuszano, czekano cierpliwie, aż się wykrwawią, a potem obdzierano z delikatnej skóry. Sztuka już zapomniana, zapewniał Vilem.

- Co to mogło być? - Emilia wpatrywała się w jego twarz, niepewna, czy Vilem mówi wszystko, co wie. - Coś bardzo cennego? Tak uważasz?

Wzruszył szczupłymi ramionami i ostrożnie odłożył książkę.

- To mogło być cokolwiek, co bądź. Ale, zgoda, myślę, że coś cennego. Może bardzo cennego. Zwłaszcza jeśli z Konstantynopola. Widzisz, tamte biblioteki i klasztory były największymi w świecie składnicami starożytnej wiedzy.

Powiedział to z namaszczeniem, skubał brodę i patrzył gdzieś dalej szklanym wzrokiem. Z sali na górze docierało przez krzyżowe sklepienie tupanie tancerzy, lecz Vilem nie zwracał na nie uwagi.

- W ciągu paru ostatnich wieków najwięcej prac autorów greckich i rzymskich odnaleziono w Konstantynopolu, właśnie tam. I to były odkrycia, zauważ, bezcenne. Jedenaście sztuk Arystofanesa... siedem Ajschylosa... wiersze Nikandera i Muzajosa... Hezjoda *Prace i dni*... pisma Marka Aureliusza... a przecież jeszcze, na miłość boską, *Elementy* Euklidesa! Gdyby nie kopiści z Konstantynopola, nie przetrwałoby do naszych czasów żadne z tych dzieł. Przepadłyby bez śladu, co do jednego. O ileż świat byłby bez nich uboższy!

Emilia statecznie przytaknęła, w gruncie rzeczy rozbawiona żarliwą przemową, którą słyszała już wcześniej. Wiedziała jednak, że Vilem czuje jakąś mocną więź z tymi skromnymi ludźmi, których zadaniem było zebrać i ocalić dokumenty pochodzące z płonących lub oblężonych bibliotek Aleksandrii, Aten i Rzymu. W spełnieniu takiego zadania Vilem z pewnością widział teraz rolę dla

siebie.

- Ale Turcy...

- No tak - przerwał jej - Turcy. Zgadza się. Kataklizm! Tragedia! Ileż bezcennych rękopisów przepadło w 1453, kiedy sułtan zdobył Konstantynopol? Lub raczej - dodał - ile bezcennych rękopisów nie zostało jeszcze odkrytych na nowo?

Znów przytaknęła, czując pierwsze uklucia, zapowiedź kurczu żołądka. Nagle podziemie wydało jej się ciasne i duszne, oddychała z trudem. Uszczelnione pakułami skrzynki śmierdziały smołą; od tej gryzącej woni, jak i wielu innych w ostatnich dniach, zrobiło jej się niedobrze, przede wszystkim poczuła mdłości. Przypomniała sobie pobyt w luku statku *Prince Royal* podczas podróży z Margate do Holandii przed siedmioma laty. Nabawiła się wtedy choroby morskiej. Teraz bolała ją głowa i dręczyły zawroty, zupełnie jak wtedy. Czowała, że głowa kręci się w jedną stronę, a żołądek w drugą, jakby była na pokładzie tamtego cuchnącego, miotanego sztormem statku.

Wzięła jednak głęboki oddech i spróbowała skupić się na słowach Vilema. Dobrze znała tę historię, oczywiście, Vilem ją opowiadał chyba po raz szósty. Kiedy sułtan Mehmed II zdobył Konstantynopol w roku 1453, jego żołnierze zrabowali setki cennych rękopisów z kościołów i klasztorów, a nawet z samego pałacu cesarskiego. Zaledwie nieliczne z tych dzieł odzyskali nieustraszeni wysłannicy, tacy jak Jacopo da Scarperia, Ghiselin de Busbecq czy wreszcie sir Ambrose. Vilema na równi urzekała i przerażała historia ich odkryć; otóż starożytne rękopisy, zdarzało się, ratowano na niewiele dni przed wymazaniem z nich tekstu, bo do tego się zabierali ich posiadacze, kupcy gotowi sprzedać sam pergamin do ponownego zapisania. Ileż innych skarbów dawnej nauki mogło się znaleźć na cienkiej jak ostrze noża krawędzi między zniszczeniem a odkryciem? Jedyne pergamin z dziełami Katullusa odnaleziono - utrzymywał Vilem - jako szpunt w beczce wina w werońskiej tawernie.

- ...a księgi Cheremona<sup>2</sup>. Na jego traktat o hieroglifach egipskich

powołują się zarówno Michał Psellos młodszy i Jan Tzetzes<sup>3</sup>, ale tego traktatu już nikt nie zobaczył, nikt od chwili zdobycia Konstantynopola. Więc może uda się jeszcze odnaleźć inne książki i zwoje. Wiemy, że Ajschylos napisał ponad dziewięćdziesiąt sztuk, z których przetrwało tylko siedem; zachowała się mniej niż połowa *Dziejów* i *Roczników* Tacyta, jedynie piętnaście ksiąg z oryginalnych trzydziestu, a i połowa tego, co jest, to fragmenty. Albo Kallimach!<sup>4</sup> Napisał osiemset tomów, z których znamy tylko urywki. Niewykluczone, że w Stambule czekają na odkrycie nieznane jeszcze dzieła samego Arystotelesa. Bo jego sława wśród starożytnych opierała się na pewnych dialogach - tak zwanych pismach ezoterycznych i hipomnematycznych - lecz żadnego z tych tekstów nikt już nie widział ani czytał od stuleci. - Vilem przerwał na chwilę, potem powoli przeniósł spojrzenie na twarz Emilii. - Widzisz, to takie właśnie książki sir Ambrose spodziewał się znaleźć w Stambule.

Przytaknęła nieśpiesznie. Podróże sir Ambrose'a do Stambułu to był materiał na legendy, przynajmniej dla Vilema. Wiele dzieł, które Anglik ściągnął z powrotem z ziem sułtana - jak traktat Arystotelesa dotyczący badań astronomicznych,

*αστρολογικη ιστορια*, dzieło wymieniane przez Diogenesa Laertiosa, lecz jeszcze nie widziane w Europie - można zaliczyć do największych skarbów biblioteki, zapewniał Vilem.

- Jako jeden z wysłanników Rudolfa działał już w roku 1606 - powiedział.  
- W tym roku nareszcie się skończyła długa wojna z Turkami i podróż w krainy osmańskie stała się bezpieczniejsza. Ale sir Ambrose Plessington podróżował do Stambułu nawet wcześniej, zapewne jako tłumacz któregoś z angielskich poselstw. Podobno poznał się z samym wielkim wezyrem i to on pierwszy uzyskał dostęp do cesarza poprzez Mehmeda Agę, sułtańskiego ambasadora w Pradze. Sir Ambrose przedstawił Rudolfowi rękopis *Carmina de mystica philosophia* Heliodorusa, bezcenne dzieło nauk okultystycznych, dawną własność Konstantyna VII; ono gdzieś tutaj jest. I potem Rudolf wysłał go w

kolejne misje. Sir Ambrose negocjował odkupienie niektórych pergaminów od sułtana. Inne, ukryte, powynajdował na miejskich bazarach i w meczetach. W takich miejscach - Vilem podniósł głos, by można go było usłyszeć, mimo zgiełku dobiegającego z góry - zdołał odkryć palimpsesty.

- Przepraszam, co takiego?

- Palimpsesty - powtórzył Vilem. - Stare pergaminy, z których wymazano tekst oryginalny, by go zastąpić nowszym. Pergaminu często używano wielokrotnie. Zawsze było wielkie zapotrzebowanie na pergamin. Czasami jednak nie zdołano usunąć całkowicie tekstu oryginalnego lub zaczynał on przezierać spod późniejszego zapisu. Sir Ambrose zdołał odtworzyć pierwotne teksty sposobami alchemicznymi, przez ożywienie węgla w oryginalnym tuszu. Jeden z tych palimpsestów to dzieło Arystotelesa o astronomii, inny to komentarz do Homera napisany przez Arystofanesa z Bizancjum<sup>5</sup>. - Wyciągnął rękę, wskazując skrzynie. - One też są gdzieś tutaj. Ale jeśli chodzi o tom, który widziałaś, to... - Vilem wzruszył wąskimi ramionami. - O ile wiem, sir Ambrose od jakichś dziesięciu lat nie odwiedzał osmańskich krain, więc nie mam pojęcia, skąd się wziął ten tom. Ani co to za tekst.

Vilem teraz zamilkł, zsunął się z beczki i wrócił do pracy. Sprawdzał każdy wolumin, by się upewnić, że nie jest upakowany za ciasno ani za luźno. Zabawa w sali na górze toczyła się coraz głośniejsze; dudnienie i głuchy łomot dobiegały aż tu przez kamienne sklepienia. Emilia czuła się otumaniona i wyczerpana jak nigdy dotąd. Już nie obchodził jej sir Ambrose ani pergamin z biblioteki, już jej nie obchodziły książki, o które Vilem troszczył się jak matka o dzieci. Już jej nie obchodziła nawet królowa. Emilia chciała tylko, żeby ta podróż się skończyła, żeby dwór dał sobie spokój z dokuczliwymi wędrówkami. Brandenburg - tylko to miasto obchodziło teraz Emilię. Przyłgnęła myślą do Brandenburga. Zaczęła nawet sobie wyobrażać ich oboje żyjących razem, tylko dla siebie. Może pracować jako szwaczka, a Vilem może być księgarzem lub wychowawcą syna jakiegoś zamożnego Brandenburczyka. Mogliby mieszkać



razem w maleńkim domku pod murami zamku tego pana.

- Jak myślisz, czy dwór wyruszy do Brandenburga? - spytała w końcu.

- Królowa może wyruszyć, gdzie zechce - odburknął Vilem - do Kostrzyna, do Spandau, do Berlina, wszędzie, gdzie zechcą ją przyjąć. - Znowu nachylił się nad skrzynią. - Ale Brandenburg nie zapewni na długo schronienia. Zresztą jak każde inne miejsce w cesarstwie, skoro przyjdzie co do czego.

- Och? - Szwaczka i wychowawca pierzchli; maleńki domek umknął aż za groźny, krwawy horyzont. - Dlaczego tak to wygląda?

- Bo Brandenburczycy to kalwiniści, w tym rzecz. - Vilem wzruszył ramionami. - Padną łupem sąsiadów, luteranów z Saksonii, którzy już zagarnęli Łużyce. Nie mówiąc o tym, że Jerzy Wilhelm otrzymał cesarski mandat od Ferdynanda. - Vilem zaczął odwijać jeden z tomów. - Nie słyszałaś najświeższej plotki? Cesarz udzielił Brandenburczykowi rady, żeby ten nie umartwiał się, znosząc na swoich ziemiach obecność króla czy królowej Czech. Nie, nie, nie... - Pokręcił głową. - W Brandenburgii królowa może się czuć bezpieczna najwyżej parę tygodni. A książki też nie będą tam bezpieczne. Zresztą bezpieczne nie będą w całym cesarstwie, nigdzie - dodał. - Dlatego nie pojedę za królową do Brandenburga.

- Nie? - Emilia miała wrażenie, że ze strachu żołądek ciąży jej jak ołów. - To gdzie, w takim razie...?

Parę minut wcześniej Vilem tłumaczył Emilii - która próbowała opowiedzieć o straszliwej bitwie i o trupach spływających rzeką - że mało go obchodzi los Czech, a jeszcze mniej losy czeskiej pary królewskiej, dwojga durniów i utracjuszy, jakże skorych do roztrwonienia swych skarbów w zamian za żołnierzy i armaty. Mówi się, że Fryderyk za schronienie w Lubece zaoferował hanzeatyckim kupcom Pałatynat, wraz z książkami Biblioteki Pałatynackiej. To jaki jeszcze diabelski interes gotów jest ubić? Przehandlować bezcenne książki z Sal Hiszpańskich w zamian za bezpieczeństwo? Dlatego Vilem woli trzymać książki z dala nie tylko od grasujących wojsk habsburskich,

ale i od króla Fryderyka.

Na schodach rozległ się zgrzyt podkutych obcasów wzmocniony pogłosem, ale Emilia to zlekceważyła. Zsunęła się z beczki. Krzyżowe sklepienie zawirowało jej nad głową.

- Co ty opowiadasz? To gdzie chcesz jechać, skoro nie do Brandenburga?

- No tak... - Chyba w ogóle jej nie usłyszał. Uniósł nie odwinięty tom, jak ksiądz dziecko nad chrzcielnicą. Nad spoconym czołem Vilema kłębiła się para.

- Wielki Kopernik, jak widzimy, znosi podróż doskonale.

- *Herr* Jirasek...

Stukot butów ucichł. Niechlujny, a co gorsza pijany paż złożył niezgrabny ukłon. Vilem nachylał się nad kolejną skrzynią, znowu w postawie hołdowniczej. Emilia cofnęła się o parę kroków, próbując wymacać za sobą beczkę. Zagryzła wargi do krwi. Tak: Vilema obchodzą tylko te książki. Nic więcej.

- *Fraulein*... - Kolejny niezdarny ukłon. Chłopak złapał się za krawędź beczki, żeby sobie ułatwić zadanie. - *Mein Herr?* Państwo są proszeni łaskawie - ręką odzianą w rękawicę zasłonił usta, tłumiąc czkanie - są proszeni łaskawie na górę, do sali bankietowej. Na przyjęcie - wciąż się potykał na spółgłoskach - na cześć naszej królowej.

Z góry dobiegał łomot; zaimprovizowano tam kręgle, rozstawiono gliniane skorupy, kapelusze, a po posadzce pokulały się sewilskie pomarańcze, wpadając pod nogi dworzan z zapalem tańczących kadryle i gawoty. Ktoś toczył beczkę wina z łoskotem gromu, zerwała się zatem radosna wrzawa. Paż chwiejnie zawrócił ku schodom, niemal przewrócił się, a potem wdał w powrotną wspinaczkę. Emilia siedziała już na beczce, trzymając się żelaznych obręczy.

- Dobito targu - powiedział w końcu Vilem. Mówił cicho, chociaż paż zniknął. - Dobrego targu - szepnął. Dodał coś jeszcze, lecz jego słowa zagłuszył łoskot następnych beczek przetaczanych na górze i jeszcze jedna radosna

wrzawa, niosąca się nie tylko przez strop, ale i po schodach.

- Dobito targu? - Emilia nachyliła się, żeby coś usłyszeć.

- Do Anglii - powiedział Vilem schylony nad skrzynią i zaraz powtórzył, jakby do siebie: - Tam pojedziemy. Do Anglii.

## VI

Wczesnym rankiem Alsatia była cicha i spokojna; czuło się klimat niemego oczekiwania. Kiedy kocz zatrzymał się u wlotu Whitefriars Street, rzędy budynków w przymglonym powietrzu wyglądały jak zwid, podobne do płóciennych zastawek czekających, aż wezmą je w ręce teatralni robotnicy i zabiorą do składu dekoracji. Zdawało się, że poprzez nie można zobaczyć tutejsze pierwsze zabudowania, wcześniejsze o stulecia: ocienione krużganki, kościelną wieżę z tuzinem dzwonów, cicho stąpających mnichów we włosiennicach z białymi kapturami, wchodzących i wychodzących z biblioteki bądź wspólnie szepczących w kaplicy poranne modlitwy czy śpiewających glorie. Oczywiście w zeszłym stuleciu klasztor rozwalono, podobnie jak Pontifex Abbey. Odtąd nie było już biblioteki, kaplicy ani mnichów w białych kapturach, pozostały tylko milczące resztki - potrzaskana kolumna, ułamek muru, parę krnąbrnych cegieł obrośniętych gwiazdnicą lub perzem. Na resztkach załęgły się natomiast tawerny, piwiarnie oraz inne instytucje, raczej bezimienne, lecz niewątpliwie służące występki.

- Chyba n i e t ę d y, proszę pana?

- Tędy; jedź przed siebie.

Wskazywałem drogę dryndziarzowi, który zarzekał się, że jego noga nigdy nie postąpiła w Alsatii, i który najwyraźniej chciał wytrwać w owym niepokalanym stanie, póki nie sięgnąłem po bodziec w wysokości dodatkowych dwóch szylingów. Próbowałem przypomnieć sobie przypadkową trasę, którą przemierzyłem przedwczoraj wieczorem; przykucnąłem i wysunąłem głowę przez okienko, wystawiając twarz na słońce. Po obu stronach stały krzywe budynki, wznoszone jak po pijanemu; opadłe drzwi, pozamykane okiennice.

Tym razem chwili wjazdu nie uświetnił róg, nic nie zahuczało; może dwa dni temu, kiedy przysypiałem, róg był tylko tworem wyobraźni? A może są w użyciu inne, bardziej subtelne sygnały, jakiś bezgłośny język, a wyrażona tym językiem wiadomość już mknie od domu do domu? Przypomniałem sobie zasłyszana kiedyś plotkę o Alsatii, że wszystkie te tawerny przypominają plaster miodu, pełno w nich pakamer, podwójnych podłóg, ukrytych przejść, dziesiątków miejsc tajemnych, w których ukrywają się zbiegowie i przemytnicy lub tkwią tam ich łupy. Pod zakopconą powierzchnią z drewna, kamienia i strzechy, za deskami, którymi obite są ściany i przejścia, istnieje w głębi druga Alsatia. Po raz chyba dwunasty tego ranka obróciłem się na siedzeniu i zerknąłem na ulicę za sobą. Nic. Po minucie dostrzegłem szyld pokryty łuszczącą się farbą.

Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać po tej aukcji. Do lata roku 1660 byłem tylko na czterech czy pięciu; nie z niedbalstwa ani dlatego, że mnie nie obchodziły. Aukcję książek, jak kawiarnie, były zjawiskiem nowym. Prawdę mówiąc, jedno i drugie jakoś się wiązały. W owych czasach większość aukcji odbywała się w wynajętych kawiarniach, na przykład w Głowie Greka, gdzie aukcjoner, zazwyczaj były księgarz, dyrygował wyprzedazą niekiedy tysiąca tomów, których właściciel doświadczył bankructwa lub zgonu. Były to imprezy hałaśliwe i tłumnie odwiedzane. Aukcjoner zapowiadał je w biuletynach, wywieszał zawiadomienia, wcześniej też przygotowywał katalogi z listą tytułów. Zjawiali się zawsze ci sami ludzie - księgarze i kolekcjonerzy - gotowi podbijać stawkę z okazji tego wydania Homera czy tamtego wydania Arystotelesa.

Na tym polegały aukcje, jak mogłem się z rzadka przekonać. Ta w Złotym Rogu zapowiadała się jednak inaczej. Przede wszystkim nie ogłoszono jej w gazetach. Nie odnalazłem żadnej wzmianki, chociaż uważnie przejrzałem wydania z ubiegłych dwóch tygodni. Nie zobaczyłem też żadnego ogłoszenia poza Złotym Rogiem, chociaż wybrałem się na oględziny ślepych ścian,

narożników, pręgierzy i innych miejsc, w których tak chętnie nakleja się plakaciki, zajrzałem też do paru tawern i kawiarni. Wreszcie nikt z garstki moich najbardziej zaufanych i dyskretnych klientów, których ośmieliłem się zapytać, nie słyszał nigdy o doktorze Pickvance ani kawiarni Złoty Róg, ani tym bardziej o zapowiadanej aukcji. W ich spojrzeniach pojawiała się natomiast niedowierzanie, kiedy słyszeli, że Złoty Róg znajduje się w Alsacji przy brzegu Fleet. Równie dobrze mógłbym opowiadać, że się wybrałem w podróż do Patagończyków lub Indian z plemienia Ottawa.

Bardzo chciałem się czegoś dowiedzieć o pergaminie, o wierszu, nawet o Złotym Rogu, moje odkrycia z ubiegłych dni przedstawiały się bowiem mizernie. Spędziłem przy półkach parę godzin, szukając wiadomości o *Corpus hermeticum*. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać; na początek nie przyszło mi do głowy nic lepszego, niż przejrzeć wydania Lefevre'a i Turnebusa, te zaś powiodły mnie wstecz do garstki pisarzy greckich i rzymskich, którzy z kolei poprowadzili mnie naprzód nieoczekiwanymi przesmykami i drożynami splatającymi się w zawile, hipnotyzujące wzory. Zacząłem odkrywać, w jaki sposób teksty hermetyczne stały się swoistym podziemnym nurtem, który na wpeł dostrzegany wije się przez niemal dwa tysiąclecia. Wypływają tu i ówdzie na powierzchnię - w Aleksandrii czy Konstantynopolu - potem wymykają się, nikną w niewidzialnych kanałach, pod pustynią, łańcuchem górskim lub miastem obróconym w perzynę przez żołnierzy... żeby potem nagle odnaleźć się gdzie indziej, o setki lat później, tysiące mil dalej.

Większość wczesnych komentatorów była przekonana, że owe teksty pojawiły się najpierw w Hermopolis w Egipcie, w mieście uważanym przez starożytnych za najstarsze miejsce na ziemi. Książki uchodziły za objawienia kapłana znanego Egipcjanom jako Tot, a później Grekom jako Hermes Trismegistos bądź Hermes Po Trzykroć Wielki, którego Boccaccio nazywa *interpres secretorum*, czyli „tłumaczem tajemnic”. Tot był egipskim bogiem

pism i mądrości, który - jak zapewnia Sokrates w *Fedrosie* - dał światu arytmetykę, geometrię oraz listy, a w wolnych chwilach wynalazł rozrywki: gry w warcaby i w kości. Powiadano, że mądrości Tota wyryto najpierw na kamiennych tablicach, dopiero potem skopiuowano na zwoje papirusowe, które później, w trzecim stuleciu przed Chrystusem, za panowania Ptolemeusza II, zostały przeniesione do świeżo powstałej Biblioteki w Aleksandrii, gdzie Ptolemeusze zamierzali przechowywać kopie wszystkich dzieł, jakie kiedykolwiek napisano. I to w Aleksandrii, w wielkiej bibliotece wśród tysięcy tekstów i uczonych, kapłan imieniem Maneton, sławny znawca dziejów Egiptu, przełożył odkrycia Tota z hieroglifów na grekę.

Właśnie tu, w Aleksandrii, strumień wzbiera i osiąga szerokość Nilu. Teksty rozprzestrzeniają się, docierają z wielkiej biblioteki do każdego zakątka świata antycznego i odtąd przez siedem wieków żaden godzien uwagi traktat - czy na temat astrologii, historii, anatomii czy medycyny, wszystko jedno - nie może uchodzić za zadowalający bez chociażby garstki odwołań do egipskiego kapłana, którego odkrycia zgodnie uznano za wszechźródło nauk. Lecz potem, po wielkim rozlewie, rzeka nagle traci wody. Zwalnia bieg, zwęża się, dzieli, by - po panowaniu cesarza Justyniana, który zamknął Akademię Ateńską i spalił greckie zwoje w Konstantynopolu - zniknąć. Odtąd przez następne siedem wieków nikt nie słyszy o tekstach hermetycznych. Potem, z początkiem dziewiątego stulecia odpisy pojawiają się w nowym mieście Bagdad wśród sabejczyków, sekty niemuzułmańskiej, która przywędrowała z północnej Mezopotamii. Sabejczycy uznali odkrycia Hermesa Trismegistosa za swe pismo święte, a ich największy nauczyciel i autor Tabit Ibn Qurra<sup>1</sup> powołuje się na teksty sabejskie jako „wiedzę tajemną”. Jednak część owej wiedzy nie została przesadnie utajniona, szybko bowiem trafiła w ręce muzułmanów. Rychło po czasach Tabita można odnaleźć wzmiankę o Hermesie Trismegistosie w pracy *Kitab al-uluf* muzułmańskiego astrologa Abu Ma ‘shara, a hermetyczny tekst *Szmaragdowa tablica*, fragment większego dzieła znanego jako *Księga tajemnic*

*stworzenia i sztuki natury*, doczekał się przestudiowania przez alchemika ar-Raziego.

Ledwie owych arabskich autorów zabrakło, a w Bagdadzie strumień zmarniał i wysechł, znowu z powodów religijnych i politycznych. Z końcem jedenastego wieku całemu cesarstwu została narzucona rygorystyczna ortodoksja muzułmańska i nikt już nie słyszał o sabejczykach w Bagdadzie. Lecz prace hermetyczne niemal natychmiast pojawiają się znowu, teraz w Konstantynopolu - o którym aluzyjnie napomknął zaszyfrowany tekst - gdzie w roku 1050 Michał Psellos, mnich i uczonec, otrzymuje zniszczony rękopis w języku syryjskim, którym posługiwali się sabejczycy. A po kolejnych czterystu latach jeden z tych manuskryptów, przepisany tymczasem przez kopistę na pergaminie, potem wywieziony z Konstantynopola po zdobyciu miasta przez Turków, trafia do biblioteki Kosmy Medyceusza we Florencji.

Jak tu wpasować *Labirynt świata* w tę długą i zawiłą historię? Wzmianki o *Labiryncie* nie znalazłem ani wśród wydań *Corpus hermeticum*, ani w żadnych komentarzach, nawet w *Stromatach* Klemensa Aleksandryjskiego<sup>2</sup>, który wylicza tytuły kilkudziesięciu prac napisanych przez Hermesa Trismegistosa. Wyglądało na to, że *Labirynt świata* jest jeszcze bardziej zagadkowy, głębiej utajony niż reszta tych ksiąg.

Zniechęcony postanowiłem pójść innym tropem; złapałem łódź do Shadwell. Przewoźnik powiosłował aż do papierni Johna Thimbleby'ego, z którym przez wiele lat łączyły mnie interesy. Jak się spodziewałem, Thimbleby potwierdził, że znak „JT” na kartce znalezionej między stronicami to jego filigran. Nie był jednak w stanie dokładniej powiedzieć, kiedy zrobiono ów papier ani komu mógł zostać sprzedany.

Wyrób, przyznał Thimbleby, w nie najlepszym gatunku. Chyba zauważyłem, jaki to liche, cienki papier? Niemal przezroczysty, kiedy się spojrzy pod światło. Jak zdążył zżółknąć, jak się pozwił. Co znaczy, że chyba pochodzi z partii wyrabianych w latach czterdziestych, zapewne między rokiem

1641 a 1647. Wówczas Thimbleby był głównym, chociaż nie wyłącznym dostawcą maszyn drukarskich dla rojalistów, w tym dla królewskiego drukarza, który tropem rzędnych, okrążanych wojsk królewskich objeżdżał kraj i drukował ich propagandowe teksty tak szybko, że ledwie nadążali je pisać. W owych czasach papier był podłej jakości, bo popyt dramatycznie górował nad podażą.

Thimbleby zabrał mnie do samego zakładu, gdzie dwaj ludzie zanurzali ramy w ogromnej kadzi pełnej dziwnej owsianki. Zazwyczaj papier wyrabia się w ten sposób, objaśniał Thimbleby, wskazując owsiankę, z której mieszaniem zmagął się trzeci robotnik: ze szmat, skrawków starych książek i broszur, różnych innych resztek zbieranych przez szmaciarzy; tnie się to na paski, drze na strzępy, gotuje w kadzi, marynuje w zsiadłym mleku, pozwala temu fermentować przez parę dni, a potem tak właśnie cedzi na formach z drucianej siatki. Kiedy brakuje szmat, zaczyna się improwizacja. Wodorosty, słoma, stare sieci rybackie, skórki od bananów, kłęby lin, nawet krowie łajno i przegniłe, przeznaczone na spalenie całuny z kostnic; Thimbleby musiał używać, czego popadnie. W rezultacie powstawał papier wątpliwej jakości, tak czy owak wysyłany wojskom rojalistów. Sprawdziwszy zapisy, Thimbleby mógł powiedzieć tyle, że w 1642 większe partie przesłał do Shrewsbury, w 1645 do Worcesteru oraz Bristolu i w 1646 do Exeter. Co roku produkował jednak setki ryz, powiedział, i zagadkowy arkusz może pochodzić z każdej.

Wróciłem wieczorem do Nonsuch House z niejasną tylko i ogólną wskazówką na temat czasów, w których sir Ambrose mógł zaszyfrować wiersz. Obliczenia Thimbleby'ego zabrzmiały jednak obiecująco. Jeżeli wiersz został zaszyfrowany w latach czterdziestych - w chwili wybuchu wojny domowej bądź podczas samej wojny - to moja teoria może być dorzeczna. Szyfr musi się odnosić do skarbu, w tym pergaminu - ukrytych albo w Pontifex Hall, albo gdzie indziej - przy czym skarb miałby zostać odzyskany po przyszłej klęsce ludzi Parlamentu, kiedy sir Ambrose bezpiecznie powróci do Pontifex Hall.



Skarbu jednak nie odnaleziono. Dlaczego? Dlatego że sir Ambrose Plessington został zamordowany, jak twierdzi Alethea? Ale kiedy? Uświadomiłem sobie, że nie wiem, kiedy zginął sir Ambrose. Pewnie przed końcem wojny, przed rokiem 1651, w czasach wywłaszczenia Pontifex Hall; nie mogłem jednak sobie przypomnieć słów Alethei.

Zanim wsunąłem kartkę z powrotem pod podłogę, przez chwilę przyglądałem się jej uważnie przy świecy; wpierw obejrzałem znak wodny, potem linijki ciasno pisane jedna pod drugą, wreszcie ledwie widoczny odcisk papierniczego sita, tworzący na powierzchni siatkę. Pomny wywodów Thimbleby'ego, zastanawiałem się, z czego powstał ten akurat kawałek papieru. Z sieci rybackiej? Ze stron książki czy broszury, z których starto farbę drukarską? A może to był całun z zapomnianego szkieletu? Jakież to dziwne, pomyślałem, że każda kartka, najbardziej nieskazitelnej bieli, wszystko jedno, z jakim filigranem i czym zapisana, zawsze kryje pod powierzchnią inny tekst, inną tożsamość, coś niewidzialnego, zawsze jest palimpsestem, zawsze jest jak zapisana sympatycznym tuszem, który ujawnia się dopiero po posypaniu magicznym proszkiem bądź zbliżeniu do płomienia. Jakiego trzeba proszku, jakiego płomienia, żeby wyszła na jaw wiadomość od sir Ambrose'a, żeby ją znowu ożywić?

Wsunąłem szyfr między legary, obok innego skrawka papieru, chyba też w poślednim gatunku, zapisanego zużyтым gęsim piórem. Był to list od Alethei, datowany przed pięcioma dniami, przyniesiony zaś przez Monka z Poczty Generalnej. Byłem ciekaw, cóż za tajemniczy komunikat kryje się za rozmazującym się tuszem, za uprzejmymi a zagadkowymi słowami zakłętymi w staroświeckie gryzmoły lady Marchamont.

Przeczytałem go uważnie jeszcze raz; poczułem wzburzenie w żołądku, a za mostkiem jakieś nieznane, natarczywe i przeszywające klucie.

*Łaskawy Panie,*

*Proszę wybaczyć, że niepokoję kolejnym listem. Chcę wiedzieć, czy mogę*

*Pana spotkać za tydzień, 21 lipca o szóstej po południu. Może Pan o mnie pytać w Pulteney House, od północnej strony Lincoln's Inn Fields. Powiem na razie tyle, że weszły w grę ważne okoliczności.*

*Będę Pana oczekiwać. Obawiam się, że jak zwykle trzeba zadbać o dyskrecję.*

*Wielce zobowiązana,*

*Alethea*

Jak zwykle trzeba zadbać o dyskrecję, pomyślałem niewesoło w godzinę później, już w łóżku; przypomniał mi się ów szelak, w którym Alethea odcisnęła swą pieczęć bądź w którym ktoś odcisnął imitację jej pieczęci. Najwyraźniej Alethea nie dbała o dyskrecję wobec poczty; zadziwiająca beztroska u kogoś tak obsesyjnie strzegącego tajemnic. Z początku nie brałem ostrzeżeń Alethei zbyt poważnie. Przeczytawszy list parę razy, zdołałem nawet przekonać sam siebie, że może się mylę i listu wcale nie otwierano. Ale nazajutrz, w drodze do Shadwell i w drodze powrotnej, miałem niejasne wrażenie, że ktoś mi depce po piętach. Albo tylko obserwuje. Nie zaszło nic szczególnego, jedynie ciąg przypadków; gdyby nie ów list, który, jak tyle rzeczy ostatnio, wystawił moje nerwy na próbę, w ogóle nie zwróciłbym na nie uwagi. To była łódź z samotnym wioślarzem, która odbiła od kei w chwilę po mojej. To była postać, której odbicie zobaczyłem za sobą w szybie drzwi, kiedy z Thimblebym wchodziliśmy na obiad do Starej Kropy. A po południu była to para przymrużonych oczu wpatrujących się we mnie z drugiej strony półki przez wąską lukę, kiedy bobrowałem po zakamarkach księgarni na London Bridge od strony Southwark. Nawet Nonsuch House wydał mi się jakoś zmieniony. Wchodzili zupełnie nie znani mi ludzie i pobieżnie rzuciwszy okiem na półki, wychodzili, niczego nie kupując; inni kleili się do okna, a potem wtapiali w tłum. Kiedy wyszedłem, żeby podnieść markizę, jakiś człowiek po drugiej stronie nagle się ożywił i jakby tknięty poczuciem winy, ruszył zaraz na spacer.

Nie. To nic nie znaczy. W każdym razie tak sobie stanowczo

powiedziałem, wyruszając nazajutrz do Alsatii. Tylko dlaczego, w takim razie, co minutę wykręcałem szyję, żeby z obawą zerknąć za siebie, niepewny, co zobaczę w maleńkim owalu tylnego okienka kocza?

Nic się jednak w owalu nie ukazało, zapomniałem o tajemniczych ścigających mnie postaciach, co więcej, zapomniałem niemal o wszystkim, łącznie z Aletheą i „nowymi ważnymi okolicznościami”; tak w każdym razie było w chwili, w której mijalem kelnera w drzwiach Złotego Rogu.

Punktualnie o dziewiątej doktor Samuel Pickvance podszedł do stołu, obcesowo stuknął młotkiem w blat i odchrząknął, żeby uciszyć zgromadzonych. Miał może czterdziestkę z okładem; był wysoki i chudy, z głębokimi zatokami na czole, wydatnym nosem i cienkimi, ascetycznymi wargami, skręconymi w nieco pogardliwym grymasie. Wyrósł przed nami na podwyższeniu, na którym czuł się jak sędzia pokoju na swej ławie, a raczej jak ksiądz przed ołtarzem, dzierżąc młotek jak dzwonek na komunię lub kropidło. Zastukał po raz drugi, jeszcze głośniej, sala w końcu ucichła. Ceremonia mogła się rozpocząć.

Wsunąłem się na jedno z nielicznych wolnych krzeseł, w ostatnim rzędzie najbliżej drzwi. W Złotym Rogu nadal było ciemno; paliła się tylko świeca z knotem z sitowia, a w padającym ukośnie promieniu słońca kłębił się dym, jakby z przewróconego rusztu. Doktor Pickvance uniósł latarnię, którą ceremonialnie zapalił stoczkiem podanym przez asystenta, młodego rudzielca. Teraz rząd głów przede mną nabrał szczegółów, nie wyłączając automatona w kącie. Szczęrzył do mnie zęby, przebiegły i zadowolony.

Wchodząc przed chwilą do pomieszczenia, trafiłem w środek kłębiącej się cizby, jakże lubianej przez kieszonkowców. Większość zebranych pozajmowała już miejsca na tych czterdziestu paru krzesłach w rzędach przed podwyższeniem, gdzie stał już stół, a zaraz mieli się pojawić Pickvance ze swym akolitą. Miałem nadzieję, że wypatrzę kogoś znajomego, klienta lub księgarza, jednego bądź dwóch. Ale nie rozpoznałem dosłownie nikogo, nawet przy płonącej latarni. Widok sali zbił mnie z tropu. Publiczność Pickvance'a -

chyba taką nam wyznaczono rolę - nie różniła się zbytnio od klientów, których widziałem tu wieczorem przed dwoma dniami, mało tego, to chyba byli ci sami ludzie. Większość w skórzanych bryczesach, wymiętych koszulach, pogniecionych filcowych kapeluszach niemal nasuniętych na oczy; paru innych siedziało w czarnych samodziałach, z ponurymi minami kwaków czy anabaptystów. Dziwna rzecz, bo było też paru kawalerów<sup>3</sup>, wyglądali na zamożnych nikczemników z tymi wyniosłymi uśmieszkami, obleśnym mruganiem, nogą założoną na nogę, starannie wypielęgnowanymi brodami w szpic. Cóż za tajemnicze przedsięwzięcie mogło tu ściągnąć tak źle dobraną kompanię?

Z chwilą rozpoczęcia aukcji, kiedy wywołano pierwsze pozycje, zrozumiałem, dlaczego nie zdołałem tu wypatrzyć nikogo znajomego, dlaczego nikogo z obecnych nigdy nie widziałem u siebie w księgarni, dlaczego nie ma tu księgarzy, a w każdym razie żadnego markowego księgarza, którego bym znał. Doktor Pickvance okazał się nie tyle kapłanem, nie tyle sędzią pokoju, ile szarlatanem z kramu na Jarmarku Bartłomiejowym, nabijającym w butelkę łatwowną gawiedź. Był to skończony nieuk lub oszust, bo nawet z ostatniego rzędu mogłem zobaczyć, jak koloryzuje, wychwalając każdy tom, który asystent - przedstawiony jako pan Skipper - unosił wysoko, żeby mogło się napatrzyć całe zgromadzenie. Skandal. Tom oprawny w płótno introligatorskie czy nawet zwyczajne bywał przedstawiany jako „przepiękna doublure” bądź „najświetniejszy levant”<sup>4</sup>; wszystko, co trafiło na aukcję, było „robotą ręczną” „repousse”, „wykwintne” i „przepiękne”, przy czym to jest Aldine’a, tamto Plantinusa, oprawiane specjalnie przez „królewskiego introligatora świętej pamięci króla Karola” lub nawet przez „niezrównanego Nicholasa Ferrara z Little Gidding”.

Kusiło mnie, żeby wstać i obnażyć te groteskowe banialuki, ale Pickvance rzucił chyba na wszystkich urok. Często zaczynał licytację od pensa czy dwóch, ale zebrani szybko podbijali do szylinga, potem do funta, a po minucie czy

dwóch łomotał młotek, a to kuriozum wykrzykiwało tryumfalnie:

- Sprzedana! Za trzydzieści szylingów! Dzentelmenowi w drugim rzędzie!

Te oszukańcze, budzące zgrozę zagrania sprawiły, że jedną czy dwie pozycję sprzedano, zanim zdążyłem się zorientować, o jakiego rodzaju wolumin chodzi. Na pierwszy ogień rzucono oprawne zbiory rozpraw politycznych i religijnych, w tym broszury prześladowanych sekt: ranTERSÓW, kwakrów i najliczniej reprezentowanego tu Bractwa z Bunhill<sup>5</sup>, innymi słowy były to teksty naruszające Ustawę Antybluźnierczą<sup>6</sup> uchwaloną przez Parlament przed dziesięcioma laty. Właśnie z tego powodu nie tknąłby ich żaden szanujący się sprzedawca, w każdym razie żaden sprzedawca, któremu zależało na dłuższym pozostawaniu w branży, bo sekretariat stanu regularnie wysyłał do księgarń i sklepów swoich ludzi, mających odszukać i spalić wszelkie, jakie im wpadną w ręce książki bluźniercze i broszury wywrotowe.

Moim zdaniem to mógł być powód, dla którego doktor Pickvance urządził tę aukcję w Złotym Rogu: chciał ująć oczu owych wywiadowców. Żadna bowiem z oferowanych dotąd pozycji nie mogła liczyć na certyfikat sekretariatu stanu. Którego brak nikomu nie przeszkadzał w licytacji. Ze zdumieniem przyglądałem się, jak odziani w czerń sekciarze rywalizują o broszury z paroma skropionymi wodą różaną kawalerami, którzy z uśmiechem na ustach traktowali najbardziej lubieżne nawoływania Bractwa z Bunhill jak swoisty dowcip. Przypuszczałem jednak, że pojawienie się w Alsatii książkowych wywiadowców jest równie prawdopodobne, jak pojawienie się bajlifów czy komorników, słowem - jeżeli można tak to ująć - byliśmy bezpieczni, tu bowiem nie sięgało ramię prawa.

Wkrótce pozycje stawały się coraz bardziej szokujące, a licytacyjna rywalizacja coraz bardziej zacięta. Po półgodzinie pojawiły się jakieś pośpiesznie wykonane drzeworyty i ryciny przedstawiające malowniczo i ze szczegółami lubieżne poczynania paniczów i dziewczek kuchennych bądź dam i ich woźniców czy ogrodników. Pojawiły się też cienkie tomy wierszy

najwyraźniej amatorskich, które też traktowały o podobnych zażyłościach, a także tomy prozy cnej powagi medycznej z ilustracjami przedstawiającymi bardzo pomysłowe, lecz absolutnie nieprawdopodobne pozycje seksualne zapewniające - tym akrobatom, którzy się poważą - wręcz niewyobrażalne rozkosze.

Po wywołaniu nowej pozycji doktor Pickvance bądź pan Skipper wymachiwali tymi dziełami jak rozgorączkowani lalkarze, żeby każdy mógł się napatrzeć. Niekiedy Pickvance czytał cienkim głosem fragmenty; szklily mu się wówczas oczy, pot perlił na czole, pan Skipper stał zaś pokornie z boku, z coraz bardziej purpurową twarzą.

Dość się napatrzyłem i nasłuchałem. Te prostackie stronice nie miały nic wspólnego z moimi poszukiwaniami. Dziesięć czy dwanaście następnych pozycji może korespondowało z taką literaturą okultystyczną, jaką widziałem w Pontifex Hall, ale książki na aukcji były w znacznie gorszym stanie, oprawne w gorszą skórę, przeważnie cielecą, i - jak sędzę - trudno by szukać w tych tomach ekslibrisów sir Ambrose'a Plessingtona. Zbierałem się do wyjścia. Ledwie jednak z trzaskiem odstawiłem krzesło i wstałem, usłyszałem, jak Pickvance zapowiada nową pozycję, zapewne nieróżniącą się wiele od poprzednich kilkudziesięciu.

- Dżentelmeni! Oto przed wami pozycja sześćdziesiąt sześć! - wołał tym napastliwym tonem. - Z przesławnej kolekcji Antona Schwarza von Steiner!

Drgnąłem na dźwięk tego nazwiska, wiedziałem bowiem, że już kiedyś je słyszałem. Przyglądałem się tomowi, którym wymachiwał Pickvance; jego palce zaciśnięte na książce były dziwacznie powykrzywiane, jakby zdeformowane od urodzenia. I zaraz sobie przypomniałem. Wychodzę z krypty w Pontifex Hall, o dwa stopnie przede mną Alethea, która opisuje wyczyny sir Ambrose'a, opowiada o jego negocjacjach na rzecz Świętego Cesarstwa Rzymskiego i zakupie całej biblioteki pewnego austriackiego arystokraty, słynnego kolekcjonera literatury okultystycznej, nazwiskiem - już teraz byłem pewien -

von Steiner.

Licytacja pozycji sześćdziesiąt sześć zaczęła się od dziesięciu szylingów. Stawkę podbijało przede wszystkim dwóch konkurujących mężczyzn; pierwszy w rzędzie frontowym, drugi w moim, o dwa lub trzy miejsca na lewo. Pickvance podjudzał do podwyższania ceny. Dwadzieścia szylingów... trzydzieści... trzydzieści pięć...

Zaschło mi w ustach, ciarki wzdłuż kręgosłupa czułem jak spływanie kropeli rtęci. Surowo spojrzałem na tom, który pan Skipper trzymał nad głową, to wstępując uroczyście na podwyższenie, to z niego schodząc. Jaka jest szansa, zważywszy koszmarny dotąd pułap propozycji Pickvance'a, że tom naprawdę pochodzi ze zbioru Schwarza, a tym bardziej z biblioteki cesarskiej? A jednak zostało wykute ogniwo, wprowadzie wątle, które może połączyć sir Ambrose'a Plessingtona ze Złotym Rogiem, a w każdym razie z doktorem Samuelem Pickvance'em.

Nachyliłem się nad krzesłem i oblizałem usta. W sali zapadła nieznośna cisza. Mężczyzna w moim rzędzie przestał podbijać cenę. Pickvance uniósł młotek.

- Trzydzieści pięć szylingów po raz pierwszy... po raz drugi...

Zanim sprzedano pozostałych trzysta pozycji, dzwony St Bride wybiły czwartą. Pokuśtykałem na zewnątrz, mrugając i mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, potrącany i popychany przez wypływającą falę uczestników aukcji, z którymi po tylu wspólnie spędzonych godzinach poczułem jakieś nieproszone powinowactwo. Chcąc od nich uciec, zszedłem ku Fleet i jakiś czas stałem na brzegu, patrząc na wodę, ieraz kotłującą się, bulgocącą w miarę powolnego wzbierania przyływu. Kiedy w końcu głosy za mną ucichły, sięgnąłem do poły płaszcza.

Zważywszy poziom tej osobliwej aukcji, tom wystawiony jako pozycja sześćdziesiąt sześć raczej się wyróżniał: autentyczny marokin z solidnym szyciem, bezdrzewny papier nienaruszony, nienadzarty przez wilgoć ani

robactwo. Był to egzemplarz *Magische Werke* Korneliusza Agryppy von Nettesheim, wydany w Kolonii w 1601 roku przez osobnika nazwiskiem Manfred Schloessinger. O pracy wiedziałem niewiele prócz tego, że jest niemieckim przekładem *De occulta philosophia*, księgi zaklęć, w której między innymi można znaleźć pierwszą wzmiankę o słowie „abrakadabra”. Dałem za nią prawie pięć funtów, o wiele za wiele. Nie zdołałbym jej sprzedać za dwa funty, co dopiero mówić o pięciu. Jednak zainteresował mnie nie tytuł, nie autor, ale ekslibris na wewnętrznej stronie okładki. Składały się nań herb, motto *Spe Expecto* i wygrawerowane poniżej ciężkim gotyckim pismem nazwisko: Anton Schwarz von Steiner.

Ekslibris nie musi być autentyczny, wiadomo. Księgarz uczy się nie ufać takim drobnym identyfikującym znakom. Jak to mówią: książki nie oceniaj po okładce ani ekslibrisie. Ten, na przykład, mógł zostać odklejony na mokro z innej książki - prawdziwej własności von Steinera - a potem przyklejony na wewnętrznej okładce niczym nie wyróżniającego się egzemplarza *Magische Werke* Agryppy. Bywają księgarze bez skrupułów, którzy uciekają się do takich praktyk, byle podwyższyć wartość książki; tego nie mógłbym wykluczyć w wypadku Pickvance'a. Zresztą ekslibris nie musi być Steinerowski, lecz podrabiany, kto wie. W takim razie nie rozpoznam oszustwa, dopóki nie zobaczę prawdziwego ekslibrisu von Steinera, na co się nie zanosilo w najbliższej przyszłości.

Z drugiej strony, tłumaczyłem sobie, wiadomo, jak doszło do splądrowania cesarskiej biblioteki w Pradze i rozproszenia zbiorów w czasie wojny trzydziestoletniej. Czego na praskim zamku nie zrabowali żołnierze w chwili wybuchu wojny, to w trzy dziesięciolecia później zagarnęła szwedzka królowa Krystyna. Całkiem możliwe, że ekslibris jest autentyczny, a książka jakoś zawędrowała do Anglii. Mógł ją ściągnąć sir Ambrose, zapoznawszy się z nią przy okazji załatwiania cesarskich transakcji. Niewykluczone, że w interesach z Rudolfem Anglik nie zawracał sobie głowy drobiazgami i



zatrzymywał niektóre tomy z myślą o własnym zbiorze, w swoim czasie mogącym się niemal równać z kolekcją cesarską. Lecz jeśli tak, to dlaczego tom nie stoi na półce w Pontifex Hall? I dlaczego na przedniej wyklejce nie ma ekslibrisu sir Ambrose'a? A jeśli został zrabowany lub zaginął jak tyle innych, to dlaczego Alethea nic o nim nie wspomniała?

Zamknąłem okładkę; nie wiadomo skąd, przypomniałem sobie, że Agryppa zwany „księciem czarnoksiężników”, przyjaciel i Erazma, i Melanchtona, sekretarz cesarza Maksymiliana, lekarz i astrolog na dworze Franciszka I, uchodził za czołową europejską powagę w dziedzinie tekstów hermetycznych. W każdym razie ktoś szukający związku między jego *Magische Werke* a hermetycznym pergaminem skradzionym z Pontifex Hall mógł liczyć na jedno: na długotrwałe udręki. Tom - autentyczne schwarzianum bądź nie - może nie mieć nic wspólnego ani z sir Ambrose'em, ani z jego zaginionym pergaminem. Czyżbym więc wyrzucił w błoto pięć funtów i zmarnował cały dzień przeznaczony na pracę?

Może nie. Wyłowilem z kieszeni kartę, którą wręczył mi z podwyższenia Pickvance wraz z moją zdobyczą, do której docisnąłem się, lawirując między krzesłami. Z bliska aukcjoner wydawał się niższy i starszy. Głębokie bruzdy porły suchotniczą twarz, a w białka oczu - a raczej żółtka, zważywszy przebarwienie - wpleciona była czerwona siateczka. Długie palce, co zauważyłem wcześniej, były dziwnie powykrzywiane, może artretycznie, a może nawet łamane. Ciekawe, czy wydał go na torturę kleszczy któryś z Cromwellovskich sekretarzy stanu, a może dłoń przetrąciło mu po prostu opadające okno. Odbierając egzemplarz Agryppy z tych przerażających szponów, zdobyłem się na śmiałość i zapytałem, kto zgłosił książkę na aukcję.

- Mogę być zainteresowany innymi pracami podobnego pochodzenia - powiedziałem ściszym głosem. - To znaczy ze zbioru von Steinera.

Pytanie najwyraźniej zdumiało Pickvance'a. Mnie zaś przyszło do głowy nie pierwszy raz, że tom może pochodzić z kradzieży; byłby to jeden więcej

powód urządzenia aukcji właśnie w Złotym Rogu. Zasoby Pickvance'a - te, które nie były falsyfikatami - mogły przecież być łupem z obrabowanych bibliotek w tych majątkach rojalistów, które jak Pontifex Hall splądrowano albo skonfiskowano. Odpowiedź nie rozwiała moich podejrzeń. Wyniszczona twarz wyciągnęła się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- To przecież tajemnica handlowa.

Odwrócił się do kogoś innego, ale złapałem go za rękaw. Przypuszczałem, że brzęk paru złotych suwerenów bez trudu rozproszy nieliczne skrupuły czy względy, na które zważa Pickvance; powiedziałem mu tym samym ściszym głosem, że mój klient chętnie zapłaci sownie - znacznie więcej niż pięć funtów - za odpowiedni tom. Zastygł, a potem powoli obrócił się, żeby mi się przyjrzeć. Przez chwilę nie byłem pewien, może popełniam błąd... a Pickvance jest może kimś więcej niż szarlatanem lub złodziejem. Tak czy owak Pickvance nagle wyzbył się zastrzeżeń i ochoczo rzucił na przynętę.

- No, zapewne. Możliwe, tak, możliwe, że coś się znajdzie w tym rodzaju.

- W jego głosie pojawiła się teraz nuta szacunku. Pewnie obmyślał plan mnożenia „schwarzianów”, jak powiadał, mnożenia podrabianych tekstów. - Będę musiał, rzecz jasna, przeczesać moje katalogi. Ale tak, tak, mogę coś znaleźć...

Teraz nadeszła moja kolej rzucania się na przynętę.

- Ma pan katalogi? I prowadzi rejestry sprzedaży? Pytanie potraktował jak obrazę.

- Słucham? Oczywiście, że mam. I że prowadzę.

- Ależ tak, oczywiście - naciskałem uprzejmie i poważnie. - Czy zatem mógłbym, tak się zastanawiam, sprawdzić...

Przerwał mi krzyk zza pleców. Kawalerowie i Bractwo z Bunhill zaczęli napierać, domagając się swych plugawych nabytków, pan Skipper, który chciał ich zaspokoić, próbował odciągnąć ode mnie Pickvance'a. Aukcjoner coś wymruczał w fular, potem znów się odwrócił ku mnie i pogrzebał w kamizelce

przerażającymi, zmasakrowanymi palcami.

- Jutro - szepnął, zanim rozdzieliła nas fala ciał. Spoglądając teraz na wizytówkę, zdałem sobie sprawę, że jutro wieczorem w Pulteney House będę miał co opowiedzieć Alethei, coś ważnego, jeśli moje spotkanie z Pickvance'em przyniesie owoce. Nie miałem pojęcia, na co natrafię w jego katalogach ani co z tego wyniknie. W spisach nabywców i sprzedawców może się znaleźć nazwisko kogoś, kto wystawił na aukcję Agryppę. Może się znaleźć trop prowadzący do pergaminu, a chociażby prowadzący z powrotem do biblioteki sir Ambrose'a i kogoś, kto ją splądrował. Kimkolwiek bowiem był ów rabuś, mógł sprzedać książki - koniec końców kradzione - tylko za pośrednictwem takiego wyzbytego skrupułów aukcjonera jak Pickvance.

Ruszyłem z powrotem ku Złotemu Rogowi, do którego dotarło już paru klientów. Było jeszcze wcześnie, chyba dochodziła piąta. Z poczuciem winy, nie mówiąc o zaskoczeniu, uświadomiłem sobie, że nie śpieszy mi się do Nonsuch House; jeszcze nie teraz. Może powinienem się przespacerować na most, odbyć leniwą przechadzkę. Zrobiło się ładnie, przyjazny dzień czuło się nawet w Alsatii. Kanał Fleet nie cuchnął tak straszliwie, można się w końcu przyzwyczaić. Mocniejszy wiatr rozpraszał wyziewy i obłoki owadów. Niósł też chmury które wlokły się z wolna po niebie na wschód. Pomyślałem, że dobrze by było wpaść po drodze do tawerny. Albo kawiarni.

Wetknąłem w połą płaszcz *Magische Werke*, a potem jeszcze raz, jakby szukając wskazówki, przyjrzałem się skrawkowi papieru w dłoni. Zwykła karta kupiecka z herbem - pewnie fałszywym - i cztery linijki starannie rytowanego tekstu:

Dr Samuel Pickvance

Księgarz & Aukcjoner

Pod Głową Saracena

Arrowsmith Court, Whitefriars

Tak więc jeszcze raz powinienem się udać do Alsatii, lecz ta perspektywa

już nie napawała mnie lękiem. Podobnie jak perspektywa wyprawy na Lincoln's Inn Fields. Nagle niepokojąco wyraziście stanęła mi przed oczami twarz Alethei; uświadomiłem sobie, że właściwie wyczekuję spotkania. Wędrując do domu przez Fleet Street, gdzie oczywiście zajrzałem do tawerny, zacząłem się zastanawiać, co się ze mną dzieje. Nabrałem śmiałości, pozwalałem sobie na nieprzewidywalność, stawałem się kimś obcym dla siebie, jak w jakiejś reakcji alchemicznej Agryppy z Nettesheim; jakby głęboko we mnie dokonywała się gruntowna i zatrważająca transmutacja.

## VII

Pulteney House stał w środku pierzei sześciu czy siedmiu bliźniaczych domów wychodzących na błonie w północnej części Lincoln's Inn Fields: miały te same ceglane fasady białe pilastry i wysokie okna, w których odbijało się dwadzieścia słońc. Podszedłem tam jedną z kilkunastu publicznych drózek prowadzących przez wybujałe zarośla kurzyślady i szarot, zlany potem po długim marszu późnym popołudniem. Nogi ledwie mnie niosły, koszula lepiała się do pleców. Osłoniłem oczy przed niskim słońcem i rozejrzałem się.

Lincoln's Inn Fields były kiedyś najmodniejszą dzielnicą Londynu; to tutaj mieszkali nasi lordowie i nasze damy - z nieszczęsnego dworu Karola I - pławiący się w zuchwałym, bezczelnym bogactwie. Ale za czasów Cromwellowskiej republiki pośpieszyli do Holandii i Francji, domy zaś przez ubiegłych dziesięć lat stały puste. Teraz nie unosił się nad nimi dym, w oknach nie rozbłyskiwało światło, a z bliska mogłem dostrzec łuszczącą się farbę, tu i ówdzie wybite szyby, pokłady sadzy na parapetach i wypukłych ozdobnych odlewach. Kute żeliwne furty i ogrodzenia zarośniętych dziś perzem ogrodów powyrywano. Pomyślałem, że poszły na Cromwellowskie muszkiety i działa.

Pulteney House był w odrobinę lepszym stanie. Drzwi strzegła młoda morwa, w wypolerowanych szybach skrzyły się słoneczne klejnoty. Za oknem widać było tylko fałdę ciężkiej zasłony ze złotymi frędzlami. O ile pamiętałem, Alethea nie napomykała o londyńskim domu sir Ambrose'a ani lorda

Marchamont, więc manipulując potężną kołatką - lwią łapą - doszedłem do gorzkiego wniosku, że Pulteney House należy pewnie do Richarda Overstreeta, z którym to mężczyzną - jeśli wierzyć Phineasowi Greenleafowi - zaręczyła się teraz lady Marchamont. „Ważne okoliczności” odnoszą się pewnie do planów ślubnych.

Zaskoczyło mnie zatem, że drzwi otworzył nie kto inny jak Phineas Greenleaf we własnej osobie. Niczym nie zdradził, że mnie poznaje, rzecz dziwna, skoro wspólnie spędziliśmy w podróży sześć dni, dzieląc parę razy izbę do spania i zaznając bliskości wręcz upokarzającej. Skrzydło drzwi uchylił tylko na tyle, żebym mógł się wślizgnąć; potem poprowadził mnie w głąb korytarza do czegoś w rodzaju salonu, gdzie za zielonymi jak cisy zasłonami panował mrok.

- Zechce pan tu poczekać, proszę pana.

Słyszałem wspinanie się po niewidocznych schodach, potem skrzywienie podłogi na piętrze. Zdawało się, że wydarzenia stają się swymi replikami; że rządzi nimi jakiś deprymujący i niepokojący schemat. Pierwszego wieczoru w Pontifex Hall Phineas podobnie zostawił mnie samego w bibliotece i podobnie powędrował po schodach do chlebobawczyni. Więc nie zdziwiłem się zbytnio, widząc, że to jednak nie salon. Phineas znowu zostawił mnie pośrodku biblioteki. Bądź czegoś, co było biblioteką w szczęśliwszym wcieleniu. Rzędy półek ogołocono z książek do czysta, tu i ówdzie brakowało nawet samych półek. Czyżby poszły na opał, pomyślałem, grzać pułk żołnierzy Cromwella? Parę innych rzeczy uratowało się wszakże od całopalenia czy grabieży, na jednej ze ścian wisiał zmasakrowany przez mole gobelin, był kominek z marmuru i łupku, były dekoracyjnie ustawione szczypcy do węgla i ruszt. Cztery wyściełane krzesła otaczały okrągły palisandrowy stół.

Biblioteka nie była jednak ogołocona całkowicie. W półmroku wyśledziłem stertę grubych tomów na stoliku; podejrzewałem, że te książki przywiozła Alethea w nadziei, że z ich pomocą skróci godziny spędzane w

powozie. Otworzyłem okładkę egzemplarza leżącego na wierzchu przekonany, że na wyklejce zobaczę ekslibris sir Ambrose'a. Od razu jednak zauważyłem, że książka podobnie jak trzy jej towarzyszkę jest znacznie nowsza od woluminów z Pontifex Hall. Nad okładkami unosił się jeszcze zapach świeżo wyprawionej skóry.

Nowe książki? Zaskoczyło mnie to odkrycie. Cóż za tym stoi, u licha, że pani na Pontifex Hall chce mieć jeszcze więcej książek? Usiadłem i zacząłem przerzucać kartki pierwszego tomu; czułem przyjemną mieszankę ciekawości i kosztowania zakazanego owocu. Ciekawe, jaki wybór tekstów mogła zabrać ze sobą. Uczone tomiska w przekładzie Ficina: Platon albo Hermes Trismegistos? Tomy poświęcone czarom, może nawet nekromancji?

Wszystkie książki dotyczyły jednak zagadnień bardziej przyziemnych i nie powiedziałbym, że ciekawszych niż towarzystwo posępnego i gburowatego Phineasa Greenleafa. Zmarszczyłem brwi na widok stron tytułowych, bo ośmieliłem się zajrzeć do wszystkich tomów, po czym odkładałem je zaraz na miejsce. Dotyczyły zagadnień testamentowych i prawa własności. Nazwiska, owszem, dość znane, jeśli jednak zadałem sobie kiedyś trud otwarcia któregoś z takich dzieł, to kończyło się na przeczytaniu najwyżej strony. A tutaj zakładka świadczyła o przebrnięciu przez trzy czwarte *Traktatu o testamentach i ostatniej woli* Hobhouse'a, pod którym leżał legendarnie mętny *Kamień probierczy własności i jej cesji* Blackacre'a. Kartki były rozcięte do końca, podobnie jak w trzecim tomiszczu, gargantuicznym *Prawie wykupu oraz praktyce Najwyższego Sądu Cywilnego* Phillimore'a. Chyba tylko ostatnia książka - pod tytułem *Postanowienia prawa i prawa kobiet* - miała coś wspólnego z lady Marchamont, jaką poznałem. Tutaj kartki też były rozcięte do końca, na marginesach zaś nagryzmołono uwagi znajomym, spazmatycznym charakterem pisma.

Tymczasem zaskrzypiał sufit, ktoś lekkim krokiem przemierzał przestrzeń na górze. Odłożyłem ostatni tom i znowu usiadłem na krześle, obolały z wysiłku. Widocznie nie doszedłem jeszcze do siebie po trudach - spędziłem w

Alsatii większą część ranka i kawał popołudnia - albo po wstrząsie wywołanym odkryciem. Potarłem dłonią policzki i czoło, potem kilka razy zaciągnąłem się gęstym, rozgrzanym powietrzem, jakbym je pił z ciężkiej gurdy. Wyłowilem w kieszeni egzemplarz *Magische Werke* Agryppy i ostrożnie położyłem na stole obok innych książek. Tak jest, dzisiaj daleko zaszedłem. Sporo się dowiedziałem.

Z przymkniętymi oczami wsłuchiwałem się w odgłos kroków i skrzypienie stopni, kiedy Alethea schodziła po schodach. Czekając na jej nadejście, rozsiadłem się wygodnie. Zastanawiałem się, ile powinienem jej powiedzieć.

Tego dnia wyruszyłem do Alsatii wcześniej rano, tym razem łodzią, każąc przewoźnikowi wiosłować w górę rzeki. Arrowsmith Court, kiedy tam wreszcie trafiłem, okazał się takim właśnie miejscem, jakiego należało się spodziewać, w którym Pickvance może prowadzić podejrzany handelek: skrawek zabłoconych kocich łbów, przy nim z trzech stron usmolone sadzą budynki mieszkalne, ściśnięte, za to sięgające czterech lub pięciu pięter. Gromada wychudłych kotów uwijała się na stercie rybich ości, a tymczasem parę innych lizało się na progach i parapetach. Nocny deszcz sprawił, że mętne kałuże połączyły się w jedną sadzawkę, cuchnącą jak ściek. Kiedy ją obchodziłem, ktoś z wyższego piętra wylał przez okno nocnik. Odskoczyłem dosłownie w ostatniej chwili. Otóż to, pożałowałem się przed sobą: mam dowód, że jestem na miejscu, to tu.

Głowa Saracena wznosiła się na wprost zwieńczonego łukiem wąskiego wejścia na dziedzińczyk. Z szyldu nad drzwiami spoglądał śniady wąsacz o dzikim nieubłaganym wejrzeniu. Sama tawerna była zamknięta. Przylegał do niej sklep tytoniowy, z drugiej strony inny, o mniej czytelnym przeznaczeniu, oba z gomółkami butelkowego szkła w oknach, grubo powleczonymi brudem i sadzą, oba zamknięte na cztery spusty. Z drzwiami sklepu tytoniowego sąsiadowały mniejsze, z napisem na zaśnieżonej mosiężnej tabliczce: „Dr Samuel Pickvance - księgarz i aukcjoner”.

Pociągnąłem za wysłużony sznur od dzwonka, a w chwilę później bardzo dyskretnie wpuścił mnie i poprowadził na górę przez pięć biegów schodów pan Skipper; tłumaczył, że doktora Pickvance'a absorbują inne zajęcia, niemniej on, pan Skipper, będzie zaszczycony, służąc mi pomocą. Zobaczyłem, że „kantor” to pojedyncze pomieszczenie z dwoma biurkami, paroma krzesłami oraz akcesoriami zapewne nieodzownymi w fachu introligatorskim: stosem owczych skór, kamieniem do młotkowania sfalcowanych arkuszy w przeciwległym kącie, wyborem świdrów z prasami do szycia i polerkami rozrzuconymi po pozostałych kątach. Była też prasa drukarska, ogromna machina, istny potwór, ku której skierował teraz kroki pan Skipper, usadziwszy mnie przy jednym z biurek. Na blacie piętrzyła się sarta katalogów oprawnych w brudnobrązową skórę, w sumie ponad dwadzieścia.

- Życzę powodzenia - wymamrotał z posępnym uśmiechem, a potem odwrócił się, zapewne pochłonięty kleceniem nowych „arcydzieł” na kolejną aukcję Pickvance'a.

Zdjąłem ze sterty pierwszy z tomów i otworzyłem.

Przez osiem najbliższych godzin - podczas których za całe pokrzepienie musiał mi starczyć mało pociągający pieróg z królika, przyniesiony z paszteciami przez pana Skippera - zgłębiałem katalogi, a pewne fakty z życia tajemniczego doktora Pickvance'a rysowały się przede mną coraz wyraźniej. Mogłem wywnioskować, że Pickvance organizuje aukcje mniej więcej dwa razy do roku, co najmniej od roku 1651, czyli od zakończenia wojny domowej i uchwalenia przez Parlament Ustawy Antybluźnierczej. Wszystkie aukcje odbywały się zapewne potajemnie, wszystkie bowiem przeprowadzono w Alsatii, z czego mniej więcej połowę w Złotym Rogu, pozostałe zaś w kilku pobliskich tawernach i piwiarniach, przy czym raz lub dwa w Głowie Saracena. Wystawiane dzieła najwyraźniej należały do tej samej kategorii co sprzedane w Złotym Rogu, przy czym na niektórych aukcjach zgromadzono aż pół tysiąca pozycji. W katalogu przy każdej z nich odnotowano autora, tytuł, datę druku,



rodzaj oprawy, liczbę stron i ilustracji, stan książki i wreszcie jej pochodzenie. Ostatni szczegół dodał mi otuchy. Zauważyłem bowiem, że Pickvance bądź jakiś jego skryba zapisywali nazwiska nie tylko osób wystawiających na aukcję przedmiot czy książkę, lecz także nazwiska nabywców.

Niemniej podejrzewałem, że wiele tu fałszywych nazwisk, fałszywych źródeł i pozycji; w 1651 roku Cromwell skonfiskował liczne majątki rojalistów, więc przez kantor Pickvance'a przewinęły się zapewne zasoby ich bibliotek bądź książki opatrzone ich podrobionymi ekslibrisami. Zauważyłem, że katalog aukcyjny z roku 1654 wymienia „książki należące niegdyś do sir George'a VILLIERSA, księcia BUCKINGHAM, z jego prześwietnego zbioru w York House na Strandzie”. Wiedziałem, że część owego „prześwietnego zbioru” - rzeczywiście, jednego z najznakomitszych w Europie - została rozgrabiona już po wojnie domowej, kiedy York House uległ konfiskacie. W parę lat później jej drugą część sprzedał na aukcji syn, drugi książę Buckingham, rojalista, kiedy zabrakło mu środków na wygnaniu w Holandii. Te katalogi nie pozwalały jednak ustalić, czy

Pickvance sprzedawał tomy zrabowane z kolekcji Buckinghama w dobrej wierze czy nie.

Serce mi krwawiło na widok dziesiątków tytułów ze zbiorów York House. Oto nasz wiek: wielkiej wnikliwości i smaku, wiek estetów i kolekcjonerów, takich jak Buckingham czy zmarły król Karol, lecz także wiek wielkich profanacji. Ileż takich skarbów jak Buckinghama zostało dla Anglii straconych za sprawą naszych wojen? Za sprawą zabobonnego purytańskiego fanatyzmu? A jeśli kohorty Cromwella nie zniszczyły dzieł sztuki - odkuwając głowy posągom, rzucając obrazy Rubensa do Tamizy - to sprzedawały je za pensa czy dwa agentom króla hiszpańskiego i kardynała Mazarina, a nawet takim pozbawionym skrupułów handlarzom jak doktor Pickvance. Zauważyłem, że w katalogach Pickvance'a znaczna część pozycji pochodziła z sal aukcyjnych Antwerpii; w ciągu paru ubiegłych dziesięcioleci stały się one izbą

rozrachunkową, gdzie po śmiesznych cenach sprzedawano zachłannym książętom Europy łupy z licznych europejskich wojen. Truchlałem na myśl o moim zadaniu, sięgając po następny katalog. Jakim cudem zdołałem wykopać *Labirynt świata* spod góry tych skradzionych tomów?

W katalogu najnowszym, pierwszym, jaki postanowiłem zbadać, znalazłem egzemplarz Agryppy z moim nazwiskiem. Pod tą pozycją zapisano, że *Magische Werke* pochodzi z wiedeńskiego zbioru Antona Schwarza von Steiner. O wiele bardziej zainteresował mnie jednak ostatni właściciel, który wystawił tom na sprzedaż za pośrednictwem Pickvance'a. Nigdy nie słyszałem o człowieku nazwiskiem Henry Monboddo. Nie odnotowano żadnego śladu wędrówki, jaką książka przebyła od Steinera do Monbodda, więc nie mogłem się dowiedzieć, jak ten ostatni wszedł w posiadanie tomu: czy książka dotarła do Anglii z poręki sir Ambrose'a Plessingtona, a zatem została zrabowana z Pontifex Hall. Jedyłą wskazówką pozwalającą bliżej zidentyfikować Monbodda był adres domu w Huntingdonshire, wpisany do katalogu ołówkiem. Brakowało zaś wzmianki, czy Monboddo żyje czy zmarł, jak często bywa w wypadku właścicieli książek trafiających na aukcje. Zapisałem nazwisko i adres na skrawku papieru, potem przerzuciłem resztę katalogu, szukając na próżno innej pozycji, którą mógł wystawić na sprzedaż Monboddo bądź jakiś jego spadkobierca.

Tak czy owak, egzemplarz Agryppy, a nawet tajemniczy Monboddo były to dla mnie cele drugorzędne. Wróciłem do pierwszego katalogu, tego z roku 1651, żeby przeryć go aukcja po aukcji, rok po roku, uważnie; żeby nie przeoczyć żadnego znajomego nazwiska ani tytułu mogących prowadzić do Pontifex Hall. Powoli upływały godziny. Dochodziła już czwarta, kiedy sięgnąłem po przedostatni katalog, w nim zaś znalazłem zapis aukcji sprzed zaledwie czterech miesięcy:

*Catalogus Variorum et insignium Librorum*  
*Selectissimae Bibliothecae*

## Czyli

### Katalog zawierający różnorodność starożytnych i nowoczesnych Angielskich i francuskich ksiąg o Teologii, Historii i Filozofii

Aukcja odbyła się w Złotym Rogu 21 marca, wystawione na sprzedaż pozycje najwyraźniej niczym się nie różniły od oferowanych na pozostałych aukcjach. Sunąłem palcem do końca strony, odwróciłem ją i tak samo zbadłem następną. Widziałem już niemal podwójnie. Byłem skonany, myślałem mętnie, więc kiedy dotarłem do zapisu niemal na końcu katalogu, nie odczułem zaskoczenia ani wstrząsu; musiałem notę przeczytać parę razy, zanim dotarło do mnie jej znaczenie:

*Labyrinthus mundi* czyli *Labirynt świata*. Fragment. Dzieło filozofii okultystycznej przypisywane Hermesowi Trismegistosowi. Łaciński przekład z oryginału greckiego. 14 stron rękopisu na najdelikatniejszym welinie. Oprawa arabeskowa. Stan pierwszorzędny. Data i pochodzenie nieznane.

W zapisie przeoczono nazwisko sprzedawcy, a może pominięto świadomie. Natomiast nazwisko nowego właściciela - nabywcy *Labiryntu* przed czterema miesiącami - czytelnie zapisano ołówkiem. Brzmiało: Henry Monboddo; chyba nic nie mogłoby mocniej mną wstrząsnąć, uwalniając mózg z odrętwienia. Starannie przestudiowałem zapis. Monboddo zapłacił za ów fragment piętnaście szylingów, psi pieniądz, pomyślałem, mając w pamięci uparte zapewnienia Alethei, że to coś bardzo cennego i że za odzyskanie rękopisu zapłaci każdą cenę. Tak czy owak, niewątpliwie natrafiłem na cel poszukiwań. Nie wspomniano o ekslibrisie, chociaż brak mnie nie zaskoczył; pewnie Pickvance albo poprzedni właściciel usunął ekslibris, zwłaszcza ten ostatni może nie chciał się chwalić egzemplarzem skradzionym z Pontifex Hall.

Zdumiewała mnie jednak cena, tych piętnaście szylingów. Czyżby Pickvance bądź anonimowy właściciel nie mieli pojęcia o prawdziwej wartości rękopisu? Nie dopuszczałem myśli, że Pickvance sprzeda cokolwiek poniżej

rzeczywistej wartości, taniej chociażby o pensa. Uznałem więc, że Alethea dramatycznie przecenia wartość fragmentu. Niewykluczone, że sprzedany za piętnaście szylingów nie był cenniejszy od pozostałych rzeczy na aukcji.

Nie miałem dość odwagi, żeby zapytać pana Skippera, co wie o Henrym Monboddo - bądź co bądź Alethea nalegała na zachowanie dyskrecji - zatem po przepisaniu noty zamknąłem i odłożyłem katalog na stertę. Parę minut później, już na ulicy, ruszyłem lekkim krokiem na przechadzkę po Alsatii. Uznałem, że węzeł gordyjski jest bliski przecięcia. Trzeba odnaleźć Henry'ego Monbodda, złożyć szczodłą propozycję - sięgając po pieniądze Alethei - a potem zainkasować wynagrodzenie. Zamknę w ten sposób sprawę na dobre i wrócę do spokojnego, nieruchawego żywota. Dobry dzień, powiedziałem sobie. Niewykluczone, że zacząłem pogwizdywać.

Trwałem w tym nastroju - zmęczony, lecz pełen optymizmu - kiedy na korytarzu rozległy się coraz głośniejsze kroki. Z zapalem poderwałem się z fotela. Nadeszła lady Marchamont.

Dziesięć minut potem siedziałem przy ogromnym stole w jadalni, słuchając usprawiedliwień Alethei z powodu okropnego stanu, w jakim się znajduje Pulteney House. W drzwiach biblioteki wyglądała niczym *mentis gratissimus error*, „zachwycająca zjawą”, jak pisał Horacy. Mimo upału była ubrana jak w Pontifex Hall: skórzane wysokie buty, obszerny czarny kaptur. Nabrałem przekonania, że Pulteney House nabyła bardzo niedawno, a tę myśl podsunęły mi książki na bibliotecznym stoliku. Jako wdowa stała się w myśl naszych praw „niezamężna”. Już nie była „zamężna”, zatem przysługiwało jej prawo kupowania i sprzedawania nieruchomości oraz mienia; gdyby zechciała, mogłaby się nawet procesować przed Najwyższym Sądem Cywilnym. W rzeczywistości trafne okazały się jednak moje pierwsze podejrzenia, bo na schodach, w drodze do jadalni Alethea wyjaśniła, że sir Richard Overstreet, „sąsiad” (jak go nazwała), „był tak uprzejmy” i użyczył jej Pulteney House, swą własność. Pontifex Hall nie jest już miejscem bezpiecznym, dlatego musiała na

razie przyjechać do Londynu; jeszcze nie wie, na jak długo. Uważała jednak, że powinniśmy się oboje spotkać, żeby „wymienić wiadomości”, bez względu na ryzyko.

Pontifex Hall już nie jest bezpieczny? Zaskakujące. Dlaczego, u licha? Czyżby podziemne strumienie podmyły fundamenty? A może chodzi o coś groźniejszego?

- Prawda, że Pulteney House stał pustką od niemal dziesięciu lat - opowiadała teraz - więc wygodnie tu nie jest. Rury popękały, pozatykały się, dlatego nie ma wody. Obawiam się, że warunki są tu jeszcze bardziej opłakane niż w Pontifex Hall. - Uśmiechnęła się przelotnie, potem chyba po raz dziesiąty zerknęła na egzemplarz *Magische Werke* Agryppy, który wciąż ściszałem w dłoni. - Proszę, panie Inchbold. - Wskazała stół z podaną właśnie przez Bridget sarniną z jednego z jelenich parków sir Richarda. - Zaczniemy? Sądzę, że mamy wiele do omówienia.

Płomień stojącej między nami świecy nie ustawał w czarodziejskim tańcu, ja zaś opowiedziałem Alethei wszystko, czego się dowiedziałem w ubiegłych paru dniach; ściślej: prawie wszystko. Zastanawiałem się, ile powinienem wyjawic. Postanowiłem nie wspominać o szyfrze ani podejrzaniach, że ktoś mnie śledzi. Opowiedziałem natomiast o Złotym Rogu, o dziwacznej aukcji, o doktorze Pickvance, na koniec o ogromnej stercie katalogów, przez którą przekopałem się zaledwie dwie godziny temu. Zauważyłem, że nazwisko Henry Monboddó nie zrobiło na Alethei takiego wrażenia jak na mnie. Jedliśmy właśnie deser, krem żółtkowo-śmietankowy na winie. Po chwili ciszy zapytałem Aletheę, czy o nim kiedyś słyszała.

- Ależ oczywiście - odrzekła najzwyczajszym tonem, potem zamilkła, zapatrzona we własne odbicie w srebrnej półkuli wazy na zupę. W rozszerzonych źrenicach Alethei widziałem odbicie świecy, dwa piękne płomienie. Wreszcie odłożyła łyżeczkę, wzięła serwetkę i ostrożnie musnęła usta. - Prawda jest taka - wyrzekła w końcu - że na dzisiejszy wieczór

zaprosiłam pana do Pulteney House z powodu Henry'ego Monbodda. - Och?

- A tak. - Wstała od stołu, ja w ślad za nią, może odrobinę za szybko. Po winie kręciło mi się w głowie. - Proszę za mną, panie Inchbold. Muszę panu coś pokazać. Widzi pan, ja też coś odkryłam w związku z Henrym Monboddem.

Poprowadziła mnie korytarzem, potem przez małą rotundę do sypialni. Najwyraźniej sir Richard postarał się, żeby ta przynajmniej część Pulteney House była bardziej przyjazna dla jego gościa; ściany świeżo oklejono tapetą, w pomieszczeniu stało łóżko z czterema kolumnkami, krzesło i lustro, na którego zmatowiałej powierzchni zobaczyłem dziwaczne, skrócone odbicie siebie samego, zgarbionego w drzwiach. Przy łóżku stał na podłodze kufer podróżny, a spod wieka wystawały pomięte fragmenty garderoby. Zamarłem na progu, podobny do drewnianej figury Indianina w sklepie tytoniowym.

- Proszę, panie Inchbold. - Alethea wskazała krzesło i schyliła się nad kufrem. Okno było otwarte, słyszałem delikatny szelest atlasowych zasłon. - Nie zechce pan usiąść?

Ruszyłem ku krzesłu; czujnie i z niepokojem przyglądałem się Alethei grzebiącej w kufrze. Wpierw przedzierała się przez warstwę strojów - pod jej palcami zwijały się w kłęb koszule i bluzy - by dotrzeć do głębszych pokładów. W końcu znalazła to, czego szukała: plik papierów. Wyjęła go i podała.

- Następny spis - wyjaśniła, siadając na brzegu łóżka.

- Taki jak w Pontifex Hall? - Dobrze pamiętałem tamten dokument: sześć niezwyklej stron, każda z podpisami czterech depozytariuszy.

- Niezupełnie. Ten sporządzono niemal trzydzieści lat później. I jak pan widzi, zawiera tylko książki. To zawartość biblioteki w Pontifex Hall w roku 1651.

- Tuż przed konfiskatą majątku.

- Tak. Lord Marchamont wycenił bibliotekę jeszcze przed wyjazdem na wygnanie. Zamierzał sprzedać cały zbiór. Byliśmy... cóż, w trudnym położeniu. Ale nie znalazł się kupiec.

Nie w tamtych czasach. To znaczy nie znalazł się ktoś taki, komu lord Marchamont zechciałby sprzedać ten zbiór. Więc potem rozważał możliwość przewiezienia biblioteki do Francji. Żeby przetransportować książki na pokładzie *Belphoebe* z Portsmouth przez Kanał, zaangażował nawet oficera, z garstki tych, którzy nie zdezerterowali do Cromwella. Cały plan spalił jednak na panewce, tak to jest. *Belphoebe* poszedł na dno na wysokości wyspy Wight niespełna dwa tygodnie przed przewidzianym nadejściem ksiązek z Pontifex Hall. Sztorm niespotykanej mocy. Ale katastrofa morska okazała się dobrodziejstwem dla zbioru. Nie muszę panu tłumaczyć, do czego by doszło w przeciwnym razie.

Nie musiała. Sporo bibliotek, przewiezionych podczas wojny domowej do Francji dla bezpieczeństwa, stało się po śmierci właścicieli dobrem korony francuskiej, na podstawie *Droit d'Aubain*<sup>1</sup>. Po zejściu ze świata lorda Marchamont ów los spotkałby niechybnie kolekcję sir Ambrose'a.

- Spis znalazłam w krypcie z dokumentami własności - ciągnęła lady Marchamont - na dnie trumny, w dzień po pana wyjeździe. Bo gdyby pan jeszcze był, z pewnością bym go panu oddała. - Uniosła się i nachyliła się ku mnie. - Zobacz pan, że bardzo szczegółowy.

- Czyli że pergamin figuruje w wykazie?

- Oczywiście. Lecz to nie ta wiadomość jest rodzyńkiem. Proszę, zechce pan spojrzeć na ostatnią stronę. Zobacz pan, jak sporządziła opis zbioru i wycenę osoba, której lord Marchamont zlecił sprzedanie tych ksiązek.

Dokument liczył co najmniej pięćdziesiąt stron, w sumie nieogarnione mrowie autorów, tytułów, wydań, cen. Zakręciło mi się w głowie. Za wiele katalogów jak na jeden dzień. Zauważyłem jednak, że ostatnia strona jest czysta, jeśli nie liczyć paru słów u dołu: *Cały zbiór wyceniony na sumę 47 000 funtów szterlingów w dniu dzisiejszym, 15 lutego 1651, przez Henry'ego Monbodda z Wembish Park, Huntingdonshire.*

Poczułem ściskanie w żołądku; znad kartki spojrzałem w uważne oczy

Alethei.

- Henry Monboddo - szepnęła zadumana. - Dobrze znany wśród rojalistów na wygnaniu, w Holandii i we Francji.

- Więc pani go znała?

- Znałam. - Sięgnęła po spis i ostrożnie włożyła do kufra. - To znaczy spotkałam przy jakiejś okazji, raz czy dwa. Pracował wówczas w Antwerpii. - Łóżko skrzypnęło, kiedy znów przysiadła na brzegu. Handlarz obrazami, dziełami sztuki, pośrednik. Sprzedał zawartość wielu bibliotek i galerii, także z York House. Wie pan, co to za kolekcja?

Skinąłem głową; pamiętałem o katalogu Pickvance'a z roku 1654 i opisie pozycji z „nadzwyczajnego wprost zbioru” drugiego księcia Buckingham.

- To dla nas wszystkich były ciężkie czasy. Buckinghamowi też brakowało pieniędzy. Skonfiskowano York House, a liczne skarby, zgromadzone jeszcze przez jego ojca, rozgrabili ludzie Cromwella. Cóż, w 1648 Monboddo, żeby podreperować finanse księcia, sprzedał ze dwieście obrazów. Po niezłej cenie, bo właśnie podpisano pokój westfalski, co oznaczało, że dostawy z rabunku stoją pod znakiem zapytania. Prawdę mówiąc, ten strumień wysechłby zupełnie, gdyby nie nasze tutejsze zawieruchy, w Anglii.

- Czyli Monboddo rozprzedawał zbiory, obrazy i książki uchodźców, którzy stawali się niewypłacalni? Służył tym, którym skonfiskowano dobra?

Przytaknęła.

- Znajdował nabywców tych kolekcji. Książąt krwi i diuków, którym marzyło się doposażenie bibliotek i serwantek. Monboddo miał stosunki na dworach całego chrześcijańskiego świata. Kiedy mój ojciec skupował dzieła dla cesarza Rudolfa, nieraz robił interesy z Monboddem.

- Chce pani powiedzieć, że sir Ambrose znał Henry'ego Monbodda?

- Tak. Oczywiście znacznie wcześniej, o całe lata. Monboddo prowadził negocjacje z takimi agentami jak mój ojciec i otrzymywał sowite prowizje. - Spojrzenie Alethei spoczęło na egzemplarzu Agryppy, który wciąż ściszałem w



dłoni. - Nie wykluczam nawet, że w Wiedniu negocjował z ojcem zakup kolekcji von Steinera. Ale też o działalności Monbodda różnie powiadano - dodała. - Wśród jego klientów podobno byli nie tylko rojaliści, którym zabrakło na podatek od dóbr.

Przerwała na chwilę, żeby spomiędzy fałdów spódnicy wyciągnąć przedmiot, który nie od razu rozpoznałem w tym kiepskim świetle: była to fajka, którą Alethea zaczęła wprawnie nabijać tytoniem. Myślałem, że mi ją poda, ale ku memu zaskoczeniu zobaczyłem, że pewnym ruchem sama wtyka sobie fajkę między trzonowe zęby w kąt ust. Na twarzy Alethei zajaśniał pomarańczowy odblask stoczka, którym zapalała cybuch.

- Proszę wybaczyć - powiedziała, wydmuchując dym i powiewając stoczkiem, by go zgasić. - To tytoń z Wirginii. Suszone przy ogniu liście *Nicotiana trigonophylla*, prawdziwie wyborny gatunek. Sir Walter Raleigh utrzymywał, że palenie szkodzi, lecz moim zdaniem poobiednia fajka świetnie wpływa na trawienie, szczególnie gliniana. Mój ojciec miał niegdyś „kalumet” - ciągnęła, a obłok dymu zaległ dzielącą nas przestrzeń. - W tej fajce był gliniany cybuch, natomiast ustnik z trzciny z zatoki Chesapeake. To był prezent; sir Ambrose dostał kalumet od wodza wirginijskich Nantikoków.

- Wirginijskich? - Sir Ambrose Plessington, ów Proteusz, ów dekalgon, którego każdy bok i kąt kryły własne tajemnice, wystąpił w kolejnej postaci. Ale zjawilem się tu z innych powodów. - Wspomniała pani, że Monboddo...

- No tak, tak, rozmawialiśmy o Monboddo, nie o moim ojcu. Ani o Raleighu. - Odchyliła się i usadowiła na łóżku, wsparta na porzrzuconych poduszkach, z wielką spletaną grzywą na tle wezgłowia. - Powiedziałabym, że o Henrym Monboddo krążyły różne opowieści, niemal legendy.

- Co za legendy?

- Hm... Od czego zaczniemy? - Trzymając w dłoni cybuch, wpatrywała się przez chwilę w baldachim, jakby szukała inspiracji. - Weźmy chociażby to - zaczęła - że w 1627 negocjował zakup Kolekcji Mantuańskiej. Był wtedy

agentem króla Karola, obracał dziełami sztuki. Tyle wiedzieli wszyscy. Działał też jako agent księcia Buckingham. Chodzi mi o pierwszego księcia Buckingham: sir George'a Villiersa, wielkiego lorda admiralicji. Monboddó przeczesywał europejskie dwory i studia, służąc obu i ściągając do Anglii dzieła oraz wszelkiego rodzaju artystyczne przedmioty. Książki, obrazy, posągi... wszystko, co się mogło spodobać tym dwóm wielkim koneserom. - Gliniana fajka zakołysała się i rozjarzyła mi przed nosem, Alethea zaś wciągała nieśpiesznie głęboki haust dymu. - Słyszał pan o Kolekcji Mantuańskiej?

Skinąłem głową.

- Oczywiście. - Kto nie słyszał? Dziesiątki obrazów Tycjana, Rafaela, Correggia, Caravaggia, Rubensa, Giulia Romano, wszystko zakupione przez króla Karola za 15 tysięcy funtów; niezły interes, nawet za tę cenę. Płótna wisały w galeriach pałacu Whitehall, dopóki Cromwell ze zgrają barbarzyńców nie sprzedał ich na spłacenie długów. Moim zdaniem to była hańba rządów Cromwella, ograbienie całego naszego narodu.

- W latach dwudziestych zbankrutował w Man tui przemysł jedwabniczy - ciągnęła Alethea - z tego powodu Gonzagom bardzo brakowało pieniędzy. Król Karol również potrzebował funduszy, skoro jednak chodziło o obrazy, zwłaszcza o malowidła tak wspaniałe i cenne jak Kolekcja Mantuańska, nie zawracał sobie głowy podobnym drobiazgiem. Nie wierzył własnym uszom, kiedy przekazano mu po raz pierwszy doniesienia z Mantui. Nałożono specjalny podatek, a resztę pieniędzy zebrał Monboddó do spółki z królewskim finansistą, sir Philipem Burlamaqui. W tym samym czasie Burlamaqui gromadził środki na wyposażenie stu okrętów Buckingham; ta flota miała dokonać inwazji na Ile de Re i przyjść z odsieczą protestantom obleżonym w La Rochelle przez wojska kardynała Richelieu. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności - szepnęła. - Król musiał wybierać między obrazami a okrętami.

Wybrał jednak obrazy. Dobrze znałem tę historię. Przedłożył malowidła nad życie swoich marynarzy i nad życie hugenotów; ogołocił flotę, żeby

zapłacić Mantuańczykom. Angielscy marynarze, pięć tysięcy ludzi, zmarnieli z głodu na zbutwiałych okrętach lub zostali wycięci przez Francuzów, a kto wie, ilu hugenotów zginęło w La Rochelle. Wyprawa okazała się jeszcze większą katastrofą niż wcześniejszy o dwa lata rajd Buckinghama na Kadyks. Zatem obrazy z Kolekcji Mantuańskiej - wszystkie te podobizny Maryi Dziewicy i Świętej Rodziny - zostały zbroszone protestancką krwią, opłacono je życiem Anglików i mieszkańców La Rochelle.

- Przepiękny zbiór stał się hańbą protestanckiej Europy - powiedziała - podobnie jak skarby zgromadzone przez Buckinghama w York House. Bo Buckingham nie tylko dowodził dwiema nieudanymi wyprawami; Buckingham zaaranżował także małżeństwo króla Karola z siostrą Ludwika XIII, a potem wypożyczył francuskiej marynarce okręty, których Richelieu użył do rozprawienia się z La Rochelle, a następnie z angielską flotą obsadzoną przez głodnych marynarzy. Więc cóż w tym dziwnego, że Cromwell chciał sprzedać obie kolekcje, tę z York House i tę z Whitehall? - Zamilkła i w zamyśleniu pociągała fajkę. - I w tym momencie, panie Inchbold, pojawiają się następne plotki.

Zmarszczyłem brwi; usiłowałem pochwycić krętą nić, połączyć w głowie obsadę: Buckingham, Monboddo, król Karol, Richelieu.

- Więc mówi pani, że Monboddo był zamieszany w sprzedaż Kolekcji Mantuańskiej, podobnie jak obrazów z York House?

- Tak mi się zdaje.

- Czyli że zwąchał się z Cromwellem?

- Nie, z kimś innym. Nie ustawały plotki, że Monboddo jest tajnym agentem kardynała Mazarina, pierwszego ministra Francji, protegowanego Richelieu. Dobrze wiadomo, że Mazarin miał nadzieję dobrać się do skarbów wyprzedawanych przez Cromwella. Monboddo oczywiście zacierał starannie ślady, podobnie Mazarin, ale mój mąż uwierzył w końcu tym plotkom. I dlatego odprawił Monbodda, a zwolniwszy go z roli agenta, postanowił nie rozstawać

się z ani jedną książką, chociaż w tamtych latach byliśmy biedni jak myszy kościelne.

- Dlaczego jednak lord Marchamont był tak przeciwny tej sprzedaży? Kolekcja byłaby stracona dla Anglii, to prawda. Z wielką szkodą. Ale wtedy już nie prowadziliśmy wojny z Francuzami. W tamtych czasach Francuzi uchodzili za naszych sojuszników w wojnie Cromwella z Hiszpanią.

- Tak, lecz tu chodziło o zasady. O inne względy. Zawahała się, jakby niepewna, czy mówić dalej. Wreszcie, kiedy między nami rozsnął się jeszcze jeden obłoczek dymu, wytłumaczyła, że tego rodzaju transakcja naruszałaby ostatnią wolę ojca: zapis testamentowy, który zastrzegł, że kolekcji nie wolno dzielić ani rozproszyć, nie wolno też sprzedać w części ani w całości żadnemu katolikowi. Rzym wraz z jego *Index librorum prohibitorum* jest wrogiem wszelkiej prawdziwej wiedzy. Sir Ambrose był przekonany, że Rzym nie opowiada się za szerzeniem myśli, lecz raczej za jej tłumieniem. Zarówno dzieła Kopernika, jak i Galileusza zostały wyklęte, podobnie jak

Kabała i inne magiczne księgi żydowskie, które zgłębiali tacy pisarze jak Marsilio Ficino. W 1558 roku postanowiono karać śmiercią każdego, kto się waży drukować lub sprzedawać zakazane księgi. Kiedy w roku 1564 opublikowano *Index librorum prohibitorum*, z Rzymu zbiegły setki księgarzy, a za nimi ruszyły tysiące Żydów wygnanych przez Piusa V, podejrzewającego ich o podżeganie do protestantyzmu. Wkrótce na tym samym wozie co Żydzi znaleźli się hermetycy. Wydawca i tłumacz wielojęzycznego wydania *Corpus hermeticum* został przez inkwizycję potępiony jako heretyk, a największy ze wszystkich hermetystów, Giordano Bruno, spalony na stosie. Jego zbrodnią było opowiedzenie się za teoriami Kopernika.

- Och, wiem, że w pana uszach, panie Inchbold, wszystko to zapewne brzmi dziwnie, jak majaczenia jakiejś fanatyczki. Lecz mój ojciec wykazywał w tej mierze najwyższą stanowczość. Wierzył w reformację, w rozprzestrzenianie wiedzy, w światową wspólnotę uczonych, w utopię poznania podobną tej, którą

Francis Bacon opisał w *Nowej Atlantydzie*. Ojciec uważał więc, że byłoby katastrofą, gdyby chociaż jedna książka wpadła w ręce takiego, powiedzmy, kardynała Mazarina, wychowanka jezuitów. - Alethea znów zamilkła, potem zniżyła głos, jakby w obawie, że ktoś podsłucha. - Widzi pan, mój ojciec już raz wyratował książki z jezuickich płomieni.

- To znaczy? - Pochyliłem się na krzesło. - W jaki sposób? - Przypomniałem sobie jej określenie ksiązek owego wieczoru w Pontifex Hall, że to „uchodźcy”; powiedziała też, że część z nich ocalała z katastrofy morskiej. Ciekaw byłem, czy ma już na języku coś o „interesach” i „wrogach”, o których mówiła.

- Przed kardynałem Baroniusem<sup>2</sup>. - Dobiegł mnie odgłos leciutkiego stuknięcia ustnika o zęby. - Kustoszem Biblioteki Watykańskiej. Może zna pan jego prace? Pisał obszernie o *Corpus hermeticum*. Można natrafić na to w jego dwunastotomowej historii Kościoła katolickiego, *Annales ecclesiastici*. W owym czasie kardynał Baronius był jednym z czołowych światowych znawców pism Hermesa Trismegistosa. Sięgnął po pióro, żeby obalić twierdzenia zawarte w dziele teologa hugenockiego Duplessisa-Mornaya<sup>3</sup>. W 1581 Duplessis-Mornay wydał traktat hermetyczny pod tytułem *De la verite da la religion chretienne*. Dedykował go Henrykowi z Nawarry<sup>4</sup>, zresztą później został jego doradcą. Dzieło przełożył na angielski sir Philip Sidney.

- Jeszcze jeden stronnik protestantów... - mruknąłem, pamiętając, że Sidney, który poległ w walce z Hiszpanami, był zaś wielką postacią na dworze królowej Elżbiety, użyczył nazwiska statkowi budowanemu przez sir Ambrose'a, jak orzekał przywilej z 1616 roku.

Przymknąłem oczy i próbowałem zebrać myśli. Nazwisko Baronius nie było mi obce, chociaż nie z powodu Duplessisa-Mornaya ani *Corpus hermeticum*. Nie; kardynał tego nazwiska był człowiekiem odpowiedzialnym za przetransportowanie - za kradzież - Bibliotheca Palatina w roku 1623, po najeździe katolickich wojsk na Palatynat. To był jeden z najbardziej

oburzających skandali wojny trzydziestoletniej. Około 196 skrzyń z książkami z największej biblioteki niemieckiej, z europejskiego centrum wiedzy protestanckiej, przewiozły przez Alpy karawany mułów, przy czym każdemu zawieszono na szyi srebrną tabliczkę z takim samym napisem: *fero bibliothecam Principis Palatini*<sup>5</sup>. Odtąd książki i rękopisy przepadły raz na zawsze w głębinach Bibliotheca Vaticana.

Zniknęły czy nie zniknęły? Otworzyłem oczy. Wino i dym wdzierający się pod powieki ćmiły mi mózg, lecz przypomniałem sobie, co jeszcze mówiła Alethea, mianowicie, że w Heidelbergu sir Ambrose pracował jako agent elektora Palatynatu. Zaczęła mi się z wolna krystalizować pewna myśl.

- Do Pontifex Hall trafiły książki z Biblioteki Palatynackiej. Pani o tym opowiada, prawda? Kardynał Baronius nie zagrabił jednak wszystkiego. I sir Ambrose uratował resztę przed...

- Nie, nie, nie... - Fajka przemknęła przez powietrze łukiem, jakby uciekając w popłochu. - Nie z Palatynackiej.

Czekałem na dalszy ciąg, lecz wirginijski tytoń najwyraźniej wprowadził Aletheę w przyjemny i leniwy nastrój. Wyciągnęła się na łóżku i postukała cybuchem w kamień kominka. Odchrząknąłem i obrałem inną taktykę.

- A czy to kardynał Mazarin - spytałem jak najdelikatniej - bądź jego agenci, był tym, który... którzy...

- ...który zamordował lorda Marchamont? - jej głos nie całkiem wyraźnie dobiegał spomiędzy sterty poduszek. - Możliwe. W każdym razie swego czasu tak uważałam. Mego męża zamordowano w Paryżu. Mówiłam panu? Jechaliśmy naszym powozem przez Pont Neuf, kiedy napadnięto nas w pobliżu miejsca, w którym Ravailiac zasztyletował Henryka z Nawarry. Męża tak samo jak króla Henryka - ciągnęła spokojnie - ugodzono sztyletem w kark. Morderców było trzech; konni, w czerni. Czarne liberie ze złotą obszywką. Nigdy nie zapomnę ich widoku. Było ciemno, ale dano mi ich zobaczyć, rozumie pan? Dano zobaczyć mundury, twarze. Bo to było pomyślane jako ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie z czyjej strony? Kardynała Mazarina?

- Przez pewien czas właśnie tak myślałam. Ale pod wpływem zdarzeń zmieniłam zdanie. Teraz jestem przekonana, że morderców wynajął Henry Monboddo.

Obliziałem wargi i ostrożnie wziąłem oddech.

- Dlaczego Henry Monboddo miałby...

- Ze względu na *Labirynt świata* - głos Alethei dobiegał z dusznej ciemności. - Dlatego, panie Inchbold. Taki to powód. Chodziło o pergamin. Nie o resztę kolekcji, tylko o ten pergamin. Monboddo był jak opętany. Znalazł kupca, który koniecznie chciał to nabyć. Kogoś, kto pragnął, żeby mego męża zamordowano. A teraz mam wrażenie, że się spełniają najgorsze obawy męża - dodała po sekundzie, głosem znowu słabnącym. - Jeśli jest prawdą, co pan mówi, to znaczy że w końcu pergamin dostał się w ręce Monbodda.

Obok okna rozbłysnął i przygasł płomynek. Błonia za oknem były ciemne i milczące. Pod bokobrodami czułem ciarki, na ramionach gęsią skórkę. Z dołu dobiegało powolne szuranie stóp Phineasa i artretyczne poskrzypywanie podłogi. Spojrzałem na łóżko, na którym Alethea siedziała teraz wyprostowana, objąwszy kolana rękami. Wręcz czułem wbity we mnie wzrok.

- Umowa jest umową - odezwała się w końcu.

- Umowa, proszę pani?

- Tak, panie Inchbold. - Łóżko jęknęło, kiedy wstała. Padł na mnie długi cień. - Wizyta w Wembish Park będzie nie od rzeczy, prawda? Trzeba odzyskać rękopis. Musimy się pośpieszyć, zanim Monboddo sprzeda go swemu klientowi. Powinien pan jednak uważać - szepnęła, prowadząc mnie ku schodom - bardzo uważać, naprawdę. Niech pan mi wierzy, panie Inchbold: Henry Monboddo to człowiek niebezpieczny.

Po godzinie byłem już w Nonsuch House; znów przysypiałem w gabinecie nad fajką i *Don Kichotem* w przekładzie Sheltona. Na most dotarłem bez przygód, nikt mnie nie śledził. W każdym razie tak mi się wydawało;

zmysły miałem stępione, noc była czarna jak smoła. Parę razy zdrzemnąłem się; woźnica musiał mną potrząsnąć, kiedy dotarliśmy na miejsce. A teraz nie byłem w stanie dopilnować żaru w fajce ani skupić się na *Don Kichocie*, brnąłem przez stronice, nie mogąc się w nich dopatrzeć ani krzty sensu.

*Wizyta w Wembish Park będzie nie od rzeczy...*

Tak: ledwie wyczuwalny meandrujący zapaszek, za którym postępowałem, nabrał mocy i naprowadzał teraz - natarczywie i jednoznacznie - na Wembish Park i Henry'ego Monbodda. Ale po fali optymizmu, która wcześniej ogarnęła mnie w Alsatii, nie było ani śladu. Pomyślałem o zamordowanym na Pont Neuf lordzie Marchamont, potem o samotnych postaciach depczących mi po piętach.

*Henry Monboddo to człowiek niebezpieczny...*

Podniosłem się i podszedłem do okna. Niebo było czarne i bezgwiazdne; w mieście wygasły światła, jeśli nie liczyć latarni na kołyszących się rufach nielicznych handlowych statków w Limehouse Reach, daleko w dole rzeki. Zapewne rozwijały żagle i szykowały się do wyjścia w morze z początkiem odpływu, bo już było słychać znajome bulgotanie wśród nabrzeży.

Jeszcze raz ziewnąłem, na szybach osiadł obłoczek pary. Dosłyszawszy z bliska ciche podzwanie, z podłogi, zerknąłem i dostrzegłem rozbłysk. Klucz. Z namysłem obracałem go w ręce; przy świecy przyglądałem się połyskującemu wypolerowanemu mosiądzowi. Dała mi ten klucz Alethea, kiedy rozstawaliśmy się w ciemnym atrium Pulteney House. Otwierał małą żelazną szkatułę, ukrytą pod kamiennym rombem u szczytu grobu na cmentarzu św. Olafa przy Hart Street, niedaleko północnego przyczółka London Bridge. We wszelkich przyszłych kontaktach mamy się posługiwać tą szkatułą, zapowiedziała Alethea, ponieważ jej poczta jest otwierana, co uznałem za spostrzeżenie mocno spóźnione. Nie możemy też, ostrzegła, spotykać się w Pulteney House, skąd chyba się wkrótce wyprowadzi. Zatem wszelkie listy będzie zostawiać na cmentarzu, ukryte w grobie kogoś, kto nosił nazwisko Silas Cobb.



Wsunąłem klucz do kieszeni i wziąłem książkę. Znowu wyjadę z Londynu, pomyślałem, nieznaną trasą, zapewne najeżoną niebezpieczeństwami. Czulem się jak stary rycerz z romansu: zubożały hidalgo ze złamaną włócznią i potrzaskaną tarczą, którego kaprys ukochanej rzuca w świat pełen intryg i czarów, on zaś mimo to zmierza nieugięcie ku nieosiągalnemu celowi.

Potem jednak przypomniałem sobie, że Alethea nie jest moją ukochaną, że w Wembish Park nie czekają na mnie czary, że wreszcie cel wydaje się teraz - zważywszy na poczynione dziś odkrycia - wcale nie taki odległy.

## VIII

Zanim cienkie tafle lodu w hamburskich kanałach zamieniły się w grube zimowe kry frachtowiec *Bellerophon* o wyporności trzystu ton podniósł cumy i ruszył w ostatni etap liczącej dwa tysiące mil podróży z Archangielska. Zapisy w dzienniku pokładowym nosiły grudniowe daty roku 1620. Chociaż było już dobrze po Świętym Marcinie, kiedy morze staje się najniebezpieczniejsze, najbardziej nieobliczalne, przejście Łabą do Cuxhaven zaczęło się całkiem dobrze. *Bellerophon* żwawo niesiony odpływem mijał zatłoczone stragany targu rybnego w St Pauli po prawej burcie, a po lewej kilka warsztatów powroźniczych i krytych dwuspadowymi dachami składów. Dalej, na głębszych już wodach, stały zgrabne fluty floty hanzeatyckiej poskrzypujące na kotwicach, a każdy kadłub oblegało z pół tuzina lichtug i barek aprowizacyjnych. Na ich tle *Bellerophon* sprawiał pierwszorzędne wrażenie; w napiętych sztagach pogwizdywała bryza, kremowe żagle z trzaskiem wypełniały się wiatrem natychmiast po rozwinięciu. Chociaż jego ładownie były pełne moskiewskich futer, żaglowiec sunął po Łabie żwawo i gładko. Kadłub niósł się wysoko nad wodą, a cienie żagli przebarwionych areką chyżo pomykały po postaciach robotników, którzy taszczyli deski do składów, dźwigali beczki z islandzkim dorszem lub wory angielskiej wełny albo po prostu przykucnęli na nabrzeżach. Na śródokręciu *Bellerophona* paru marynarzy powiewało czapkami, podczas gdy wysoko nad nimi na tle stalowoszarego, plującego śniegiem

grudniowego nieba majtkowie wspinali się lub opuszczali po drablinkach, przemieszczali po rejach, ciągnąc brasy i rozwijając topsle, które wydeptane przez wiatr jeszcze szybciej popychały żaglowiec na słonawej fali odpływu.

Iglica na wieży Michaeliskirche już się skurczyła za rufą, tymczasem na policzkach kapitana Humphreya Quiltera, który z pokładu rufowego doglądał pracujących, osiadały i topniały płatki śniegu. Rejs z Archangielska nie należał do łatwych. Dwina zamarzła niemal dwa tygodnie przed czasem. *Bellerophona* i jego załogę zaledwie dni dzieliły od uwięźnięcia w lodowym uścisku. Już raz, dwa lata wcześniej, Quilter utknął w lodach Dwiny, kiedy wejście do zatoki kompletnie zamarzło w pierwszym tygodniu października. Nikt po takim przeżyciu nie ma ochoty na powtórkę. Sześć miesięcy przemarzania do kości w ściętej lodem paszczy Dwiny, sześć miesięcy czekania na wiosenne odwilże i tajanie lodów, tamtego roku spóźnione o trzy tygodnie. Te rejsy zawsze były niebezpieczne. Tym razem statek umknął lodom Archangielska, ale na środku Morza Białego natarły na niego wściekłe wichury. *Bellerophon* dowlókł się do portu w Hammerfest ze złamanym bezanmasztem, a potem, po naprawie, znów dopisało mu szczęście, bo tylko dzięki odpływowi jeszcze raz wykpił się z lodów.

Teraz, w cztery tygodnie później, kapitan Quilter mógł się odprężyć. Ostatni etap, z Hamburga do Londynu, powinien być najłatwiejszy, mimo grudnia, mimo nieprzewidywalnej grudniowej pogody i nasilających się pogłosek, że dla rejsów nastaje czas złowrogi. Wkrótce bowiem miały nadejść ciężkie czasy na wszelką żeglugę, wśród lodów czy nie, w pogodę czy w sztorm. Porty i szlaki morskie miały zostać zamknięte dla wszystkich jednostek z wyjątkiem okrętów wojennych, nad morzami zawisło bowiem widmo nowych bitew. Cały kontynent był beczką prochu, która czeka na iskrę sunącą po krótkim lonce. A wybuch, podejrzewał Quilter, nie oszczędzi nikogo.

Stał pewnie, rozkraczony na skrzypiącym pokładzie, i chłonał powiewy wiatru, smakował je, coraz zimniejsze, coraz bardziej słone. Na lewo od dziobu

przesuwały się wrzosowiska, słone bagna, groble z wałami wikliny. Znał dobrze to ujście, każdą mieliznę i łachę; nie musiał nawet zaglądać do map zwiniętych w kabinie. Statek powinien dojść do Cuxhaven wczesnym popołudniem, a po dwóch dniach - przy sprzyjającym wietrze i dobrej pogodzie na Morzu Północnym - do brzegów Anglii. Wiedział, że to i tak za długo dla czterdziestu sześciu ludzi załogi spragnionych powrotu do domu po pięciu miesiącach w morzu, ale przynajmniej mogą liczyć na brzęk pieniędzy w kieszeni, mimo że przyobiecany ładunek wismarskiego piwa gdzieś wsiąkł między Lubeką i Hamburgiem. Cóż, dobrze poszło, warto się było trudzić. Dla wszystkich będą wypłaty i naddatki, nie mówiąc o sowej dywidendzie dla akcjonariuszy na królewskiej giełdzie. *Bellerophon* krył pod pokładem niemal pięćset bel pierwszorzędnych futer kupionych od Lapończyków i Samojedów w angielskim forcie w Archangielsku. Wiozą do Anglii dostatek futer bobrowych; Quilter obliczał, że starczy tego na kilkaset kapeluszy, nie mówiąc o dziesiątkach pięknych futer piżmaków i lisów, o sobolach i gronostajach na togi dla stu co najmniej sędziów, o skórach niedźwiedzi i reniferów, przy czym te pierwsze, w całości z pazurami i zmumifikowanymi łbami, i te drugie, z nietkniętymi porożami, skończą podobnie: zawisną na ścianach albo pokryją podłogi w przeróżnych wielkopańskich rezydencjach. Ostatniej zimy panowały tęgie mrozy, nawet jak na moskiewskie miary (tak w każdym razie zapewniali Samojedzi), futra były więc grubsze niż zwykle - i cenniejsze.

Pod pokładem krył się też inny ładunek, bardziej tajemniczy, za który kapitan Quilter nie zapłacił ani talara portowego cła. Obrócił się i rzucił okiem na luk. To prawda, że tajemniczy ładunek czyni z niego zwykłego przemytnika, ale nie miał wyboru. Od dostawcy z Liineburga nie dotarło dwieście beczek piwa, co oznaczało, że *Bellerophon* powinien załadować parędziesiąt łasztów taniej soli liineburskiej w roli balastu. W Londynie trudno sprzedać sól liineburską, nawet gdyby skądś się znalazła w krótkim terminie, a tak się złożyło, że nie. Zabrakło też barwnika indygo, zabrakło surówki żelaza, słowem

zabrakło balastu i Quilter zgodził się - może zbyt skwapliwie - zabrać pod pokład te tajemnicze skrzynie nie zapisane w księdze portowego rejestratora, które później, już w Anglii, też miały ominąć izbę celną. Tak się przynajmniej przedstawiał plan. Kapitan miał na tym zarobić dwa tysiące tutejszych talarów, czyli prawie 400 funtów, z których połowa już spoczęła na dnie kapitańskiego kufra. Nie ma co, powiedział do siebie Humphrey Quilter na widok twierdzy Gluckstadt przed dziobem na sterburcie, naprawdę dobrze poszło, jak rzadko kiedy.

W całej tej historii coś jednak Quiltera niepokoiło. Skąd, na przykład, ów człowiek pod Złotym Winogronem znał jego nazwisko? Skąd się dowiedział o tamtym ładunku wismarskiego piwa, które gdzieś wsiąkło? I kim są pasażerowie, których po namowach i za dodatkową opłatą paru talarów Quilter zgodził się w końcu zaokrętować i ukryć pod pokładami? Może to jacyś szpiegzy, od których musi się dziś roić w każdym europejskim porcie? W takim razie dla kogo szpiegują? A ów obcy z tawerny, John Crookes? Też jest szpiegiem?

To zawsze była branża szczególna, żadną miarą sielanka. Quilter wsłuchiwał się w znajomy odgłos, w szum płócien w górze, kiedy falujące białe kłęby żagli łyły coraz mocniejszy wiatr znad rzeki. Propozycja pojawiła się dwa dni wcześniej wieczorem w tawernie w Altstadt po stronie doków; Quilter siedział nad mocnym piwem i wędzonym morszczukiem w towarzystwie swego bosmana Pinchbecka i kilku marynarzy z *Bellerophona*, którzy obiegli stoły i moczyli nosy w kuflach. Wieczór z wolna upodabniał się do innych wieczorów w Hamburgu: picie, karty i może prostytutka z Kónigstrase, a potem chybotliwa droga powrotna na trap czekający na burcie. Lecz kiedy na wieży Peterkirche rozdzwoniły się zajadle dzwony, jakiś mężczyzna szparko przekroczył próg i zajął miejsce przy wolnym stole koło Quiltera. Zwróciwszy na siebie uwagę kapitana, przedstawił się: jest Anglikiem, nazywa się John Crookes, z firmy Crabtree & Crookes, importującej towar z hanzeatyckich miast do Anglii.

Przekonywał nad szklaneczką holenderskiego dżinu, że to dzięki jego firmie hanzeatycka flota na coś się przydaje; to dzięki Crabtree & Crookes statki Hanzy nie pływają do Anglii z pustymi ładowniami. Tylko że teraz, opowiadał szeptem, jest z tym sporo nieprzyjemności; źródłem są kłótnie między Hamburgczykami i Duńczykami, których król właśnie zbudował Gliickstadt, ogromną twierdzę parę mil dalej z biegiem rzeki. Ponieważ angielski król Jakub ożenił się z siostrą tego króla - wrogiego i wojowniczego Duńczyka, któremu marzy się rządy zarówno Łabą, jak i Bałtykiem - żaden statek z hanzeatyckiej floty nie kwapi się przewozić angielskich ładunków. Tutaj Crookes wyciągnął z wewnętrznej kieszeni sakiewkę i - nie spuszczać z oczu Quiltera - ruchem konika szachowego posunął ją po stole.

- Mówiąc bez owijania w bawełnę, kapitanie Quilter - odezwał się ściszym głosem - potrzebuję statku. Bądź jakiejś jego części. A teraz... - puknął wskazującym palcem skórzaną sakiewkę - ciekaw jestem, czy pan, Anglik, współziomek, widzi jakiś sposób, żeby mi przyjść z pomocą.

W sakiewce spoczywało tysiąc talarów. Nazajutrz wieczorem, już dobrze po zmierzchu, wniesiono ładunek na pokład, nie zapalając żadnych pochodni ani kaganków; wygaszono nawet cztery latarnie rufowe. W sumie było tego dziewięćdziesiąt dziewięć skrzyń. Opłacono dokerów, żeby zapewnić szybki załadunek i trzymanie języka za zębami; ostatnia rzecz, jakiej pragnął Quilter, to uprzedzić któryś z nadrzecznych gangów grasujących na nabrzeżach Londynu i Gravesend, że pod pokładem *Bellerophona* znalazł się cenny ładunek. Statek zostałby wytypowany do grabieży jeszcze przed wyjściem z Hamburga.

Quilter przyglądał się z góry poczynaniom na pomoście; przygryzał wargi, potem knykie. Dokerzy już przetaszczyli skrzynie przez furtę do ładowni; marynarze, dogadując i próbując zgadnąć, co kryją skrzynie, nie mogli jednak przewidzieć katastrofy, którą na nich wkrótce sprowadzi ów dziwny ładunek. Ciężkich skrzyń było tyle, że Quilter obawiał się przez moment przeciążenia i nierównowagi statku. Szybko się jednak okazało, że do obaw nie

ma powodu: *Bellerophon* sunął raźnie w dół Łaby, znakomicie zbalastowany. Po jakimś czasie słońce wychynęło zza chmur nad przednimi rejami, tymczasem na horyzoncie wyrosły iglice na wieżach Cuxhaven: widok znajomy i upragniony.

Kapitan Quilter pozwolił sobie na uśmiech pełen satysfakcji. W górze łopotały liki: marynarze rozwijali kolejny żagiel. Przez pokład przemknął cień, a potem chmura odpłynęła i wróciło słońce. Pogoda powinna się utrzymać. I po dwóch dniach *Bellerophon* powinien wejść na Tamizę, a wcześniej na Norę, kotwicowisko, na którym tajemnicze skrzynie miały zostać przeładowane na pinasę, po czym kapitan Quilter z kolejnym tysiącem talarów w kieszeni zapomni o tych skrzyniach na zawsze.

W minutę później Quilter był już w kapitańskiej kabinie, zarzuconej mapami i kompasami. *Bellerophon* kierował się ku Zatoce Helgołandskiej, kiedy z oddali dobiegło bicie dzwonów kościelnych, zły omen. Kapitan niczego nie dosłyszał, nie ogarnęły go też żadne wątpliwości na widok innego frachtowca, *Gwiazdy Lubeki*, który nieoczekiwanie pojawił się w pobliżu i szedł równoległym kursem po prawej burcie. Kapitan nie słyszał i nie widział, studiował bowiem sfatygowane portolano, mapę nawigacyjną z zaznaczonymi mieliznami i wrakami, między którymi wchodzi się na kotwicowisko Nore i dalej, Tamizą, do portu w Londynie.

Podróż z zamku we Wrocławiu do Hamburga trwała ponad trzy tygodnie. Śnieg zasypał i Czechy, i Palatynat, i Śląsk. Wygłodniałe armie w końcu więzły bezradnie w zaspach na całe dni, czy to z dala od chłopskich zagród, czy wśród zdumionych wieśniaków. Od Heidelbergu na zachodzie po Morawy na wschodzie cesarscy żołnierze grupkami przycupnęli na kwaterach bądź tkwili po uda w śniegu, usiłując dokopać się odrobiny paszy dla zabiedzonych koni. Ogrody i dziedzińce praskiego zamku zalegał śnieg na trzy stopy. Rabowano bez wytchnienia przez pięć dni od chwili ostatecznego wyłamania bram; przepowiednie Otakara spełniły się w najstraszniejszy sposób. Plądrowano pałace jeden po drugim, Sale Hiszpańskie, podobnie kościoły, a nawet grobowce

i cmentarze, jeśli zasłyszana plotka pozwalała liczyć na trupy o złotych zębach. Ograbiono domy na Złotej Uliczce i laboratoria w Wieży Matematyków, a to z racji innych plotek, mianowicie że szajka różokrzyżowców, alchemików Fryderyka, odkryła sposób przemieniania węgla w złoto. Nie wiadomo, czy znaleziono to złoto, czy chociażby znaleziono ów węgiel, natomiast zamek i Stare Miasto kryły taką obfitość skarbów, że wielu grasujących żołnierzy musiało w końcu wynająć woły do dźwigania sakw z łupem.

Po długiej *via dolorosa*<sup>1</sup> z Pragi dwór uciekinierów stanął we Wrocławiu na Śląsku na sześć dni. O świcie siódmego karawana, a raczej jej część, zaczęła się posuwać na północ, potem na zachód wzdłuż zakoli Odry; w porannej poświacie wyglądała jak wynędzniałe stado wędrownych zwierząt. Wciąż przystawano. Po dniu wędrówki załadowano skrzynie na siedem barek, lecz wprawdzie zaczęła zamarzać Odra, potem Łaba, a ludzie z bosakami musieli rąbać lód. Mimo to pękł kadłub jednej barki, trzeba ją było wyciągnąć na brzeg i zostawić, co znowu oznaczało zwłokę przed wznowieniem wędrówki, jak zawsze powolnej. Słupy graniczne wynurzały się, potem znikwały za rufą. Frydland. Saksonia. Brandenburgia. Meklemburgia. Rosły w oczach posterunki poboru myta - obsadzone strażnikami, zbrojne w działa - i mały. W każdym płacono sowitą łapówkę, więc nikt nie wchodził na pokład, nie otwarto też żadnej skrzyni.

W sumie podróż z Wrocławia liczyła z górą trzysta mil w prostej linii, lecz wzięwszy pod uwagę lód, chłód i meandry Łaby, wydawała się znacznie dłuższa; była to pełna udręki, przejmująca żegluga przez piaskowcowe przełomy, obok miast, których budynki skuliły się za obronnymi murami na lesistych wzgórzach. W końcu barki dotarły do ośnieżonych, smaganych wiatrem wrzosowisk, gdzie z rzeźbionych wichurą zasp sterczały jak ruiny nieliczne zagrody dla owiec i jałowce. Dopiero później - kiedy Łaba rozszerzyła się, uwolniła od lodu, kiedy zaroily się na niej barki węglowe i łodzie rybackie - wynurzyło się słońce i poprawiła pogoda. W dzień później rzeka jeszcze

bardziej się rozszerzyła, prąd nabrał szybkości, a ruch tak zgęstniał, że graniczył z chaosem. Nad podmokłymi pustaciami wyrosła gromadka wież i iglic.

Trąc odmrożone palce, Emilia nawet nie próbowała się domyślać, gdzie trafili, ani odgadywać, ile minęło dni od wyruszenia z Wrocławia. Nic nie powiedziała, kiedy barka wsunęła się między dwie inne i przybiła do ruchliwego nabrzeża. Nic też nie powiedziała, kiedy sześciu mężczyzn pod wodzą wysokiego zarządcy nabrzeża zeszło na barkę po trapie. Mimo że było po zmierzchu, nie zapłonęła żadna latarnia, a wskakujące na pokład postacie sprawiały wrażenie cieni.

Vilem wziął Emilię za rękę i razem zeszli na ląd; wspięli się po śliskiej skarpie, a to, co się działo niżej, oświetlały zaledwie świece nadbrzeżnej tawerny. Skrzynie wynoszono do jednego z bezładnie stłoczonych przy brzegu magazynów. Z tyłu zarządca nabrzeża wyszczekiwał polecenia po niemiecku. Vilem mocniej zacisnął rękę na przegubie Emilii.

W Hamburgu spędzili trzy dni w Gange-Viertel w Altstadt. Każdą noc Emilia spędziła w innym Gasthausie, w każdym miała pokój dla siebie, właściwie ciasną celkę, w której co rano budziła się w oczekiwaniu na wezwanie królowej, na dzwonek z sąsiedniego pomieszczenia. Lecz dzwonek już się nie odzywał; zamilkł na dobre od nocy, w której Emilię wyrwano z łóżka, dano dwie minuty na spakowanie, a potem wspartą na ramieniu sir Ambrose'a sprowadzono nad Odrę. Widząc popłoch podczas tego wyjazdu i wyraz twarzy Vilema - bo był tam także Vilem, jedną ze skrzyń mocował u szczytu sterty na wozie - wywnioskowała, że w końcu ich dogonili najemni kozacy. Dopiero później odkryła, że nie uciekają przed kozakami; raczej przed królową i jej dworem. Dopiero kiedy pojaśniało, kiedy wzeszło słońce, skrząc się niewyraźnie nad zamglonym horyzontem, Emilia zauważyła, że jak okiem sięgnąć, nigdzie nie ma karety królowej obładowanej stertami książek i pudeł na kapelusze. Teraz było ich tylko troje oraz kilku robotników, Ślązaków nie mówiących po angielsku ani po niemiecku.



O co tu chodzi? Jaki ubito interes? Patrząc na skrzynie wynoszone na brzeg, Emilia zastanawiała się, czy ich po prostu nie zrabowano; może sir Ambrose to herszt piratów i tyle. W krótkich chwilach spędzanych wspólnie Vilem zapewniał, że o zamiarach Anglika wie niewiele; tyle tylko, że w Londynie ma na nich czekać człowiek nazwiskiem Henry Monboddó. Obraca dziełami sztuki, mówił Vilem; handluje obrazami i zaopatruje bogatych lordów w cenne malowidła, rękopisy i różne inne staroświadczenia, które był w stanie wyłuskać z rąk książąt i potentatów Francji, Włoch czy cesarstwa. Wcześniej sir Ambrose wiele razy robił z nim interesy, Monboddó bowiem zdołał także wyłuskać nieco staroświadczenia i eksponatów, które trafiły do zbiorów cesarza Rudolfa. Lecz teraz wygląda na to, że Monboddó znalazł nowego klienta. Vilem nie miał pojęcia kogo. Drugiego wieczoru w Altstadt Vilem wyznał jednak to, co Emilia podejrzewała wcześniej. Są ścigani.

Siedzieli oboje przy stole w jej pokoiku nad szachownicą w świetle jednej jedynej świecy w ósmioramiennym świeczniku i rozmawiali szeptem. Vilem recytował dobrze znaną litanie; zapewniał, że nie ma pojęcia, kto ich ściga, nie wie też, czy ścigający mają coś wspólnego z ludźmi w czarno-złoty uniformach. Nie wie, czy ludzie w czarno-złoty uniformach są na służbie kardynała Baroniusa, czy cesarza, czy kogoś innego. Przyznał jednak, że wśród setek książek, które wraz z sir Ambrose'em wywieźli z Pragi w dziewięćdziesięciu dziewięciu skrzyniach, były też te należące do tajnego zbioru, czyli wyjęte spod prawa przez Święte Oficjum jako herezje. Czy jedną z nich jest tamten pergamin? Vilem zarzekał się, że nie wie. Niemniej kardynałowie-inkwizytorzy nie będą zachwyceni tym, że książki wydostały się z praskiego zamku, ani tym, że zbiór trafi do nawiedzanej herezją Anglii. A wśród książek znajdujących się w skrzyniach są tak kontrowersyjne traktaty jak dzieło Kopernika, które Emilia zobaczyła w piwnicy winiarza we Wrocławiu. Właśnie to dzieło, *De revolutionibus orbium coelestium*, zostało zakazane przez Kongregację Indeksu<sup>2</sup>, mówił dalej Vilem, w następstwie zatargu Galileusza z

inkwizycją w roku 1616. Pisma Galileusza - wydane i niewydane - też się znajdowały w praskich archiwach. A Galileusz w oczach Rzymu jest pisarzem najbardziej niebezpiecznym.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu skrzyniach można było prócz tego znaleźć inne dokumenty. Sekretny skarbiec Sal Hiszpańskich znacznie się rozrósł w paru ostatnich latach i to nie tylko z powodu gorliwości Kongregacji Indeksu. W archiwach znajdowały się też sterty pergaminów dokumentujących, jak twierdził Vilem, różne poczynania największego imperium świata. Otóż kilka lat wcześniej Ferdynand<sup>3</sup>, jeszcze jako arcyksiążę Styrii, podpisał umowę z królem hiszpańskim, swoim kuzynem. Traktat zbliżał habsburskie domy panujące - austriacki i hiszpański - które miały odtąd dokładać wspólnie starań, żeby zgnieść znajdujących się między ich królestwami protestantów. W owych czasach nie brakowało małżeństw tej samej krwi. Dokumenty z sewilskich archiwów trafiały do Biblioteki Cesarskiej w Wiedniu i na odwrót. Filip wysłał nawet do Wiednia egzemplarz *Padrón Real*, mapy swych posiadłości w Nowym Świecie. Wiedeń przestał być jednak bezpiecznym miastem, zagrażali mu Turcy i Siedmiogrodzianie. W ciągu ostatnich paru lat wiele dokumentów z Biblioteki Cesarskiej przesłano na wszelki wypadek do tajnego archiwum w Salach Hiszpańskich na praskim zamku. A potem, wiadomo, wszystko się zmieniło. Zdetronizowanego przez Czechów Ferdynanda zastąpił protestant.

Emilia przymknęła oczy i poczuła, że pokój zaczyna wirować. Król Hiszpanii? Żałosne zawrodozenie wiatru w kominie przypominało wycie wilczego stada. Kardynałowie inkwizycji? W zimnym powiewie zamigotała świeca, zaśniły woskowe sople. Cóż za straszną puszkę Pandory otwarto na praskim zamku? Nie po raz pierwszy uświadomiła sobie niebezpieczeństwo - większe niż dojmujące zimno i kry na Łabie - na które ich wystawił sir Ambrose. Czyż sam Anglik nie jest zagrożeniem, kimś, kogo trzeba się bać na równi z tajemniczymi prześladowcami?

W kilka minut później do pokoiku Emilii zapukał właśnie sir Ambrose i

wszedł energicznym krokiem. Wydawało się, że jest w radosnym nastroju. Wręczył obojgu paszporty i świadectwa zdrowia - sfalszowane i wystawione na fałszywe nazwiska - a potem zwrócił się do Vilema:

- Jeśli moje informacje są wiarygodne, to trudno, boję się, że i to ci się przyda. - Sięgnął po mieszek z cielecej skórki. - Gdyby nas złapano, to sam rozumiesz. Podobno sięgają po bardzo nieprzyjemne metody przekonywania.

- Metody przekonywania? - Vilem wziął mieszek i rozwiązał tasiemkę. Siedząca w kącie Emilia zobaczyła wysypujące się na dłoń Vilema maleńkie ziarenka; trzy lub cztery.

- *Strychnos nux vomitica*\* - wyjaśnił sir Ambrose. - Pochodzi z indyjskiego drzewa. Sprowadzona, jak podejrzewam, przez jezuickich misjonarzy. Wiadomo, że bezbolesna i bardzo szybka. Widziałem, jak takie ziarnko działa na kosa. - Na chwilę przerwał. - Myślę, że jedno poskutkuje, a już na pewno dwa.

- Ale jak mam...? - Vilem zmarszczył brwi. - Co?

- Jak mam tych ludzi przekonać, żeby to połknęli?

Sir Ambrose przez chwilę wydawał się zmieszany, a potem wybuchnął śmiechem.

- Mój drogi chłopcze! - wykrzyknął. Odgrywał scenę co się zowie, wycierał policzki chusteczką i tłumił kolejne wybuchy wesołości. - Ależ nie, mój drogi, nie. One są dla ciebie. To ty musisz je połknąć, gdybyś na swe nieszczęście dał się złapać. No nie, paradne...

Nazajutrz nocą przemycono Emilię na pokład *Bellerophona*; w egipskich ciemnościach przeprowadzono przez nabijany listwami trap, potem sprowadzono w głąb ładowni, na dolny pokład, w wypełnioną zatęchłym powietrzem najniższą położoną przestrzeń na statku. W ciasnej kabinie - jeszcze jednej celi, do której wepchnięto Emilię - unosił się zapach prochu i trujących wód z zęzy. Kiedy *Bellerophon* sunął w dół Łaby, Emilia samiuteńka w tej dziupli patrzyła przez bulaj, jak morze nabiera koloru pustyni, jak się burzy przy

brzegu. Potem, po paru milach na morzu, kiedy w polu widzenia pojawiły się piaskowcowe klify Helgolandu, nagle i dramatycznie poczuła się źle i oto całymi dniami leżała teraz zwinięta na hamaku, słuchając skrzypienia kadłuba, czując dźwiganie się i zapadanie *Bellerophona* na tym morskim bezmiarze. Odwiedził ją lekarz okrętowy, który podał napar z imbiru i rumianku. Ale już wówczas Emilia dobrze wiedziała, że jej dolegliwości nie uśmierzy się ziółkami; że to coś poważniejszego i znacznie wspanialszego niż choroba morska.

## IX

Dotarłem na Hart Street, gdzie w sąsiedztwie braci bożogrobców, w cieniu Tower Hill i budynku Marynarki wznosi się kościół Św. Olafa. Już z bliska zobaczyłem otwarte na oścież wrota, a dalej nawę z jarzącymi się świecami i gromadkę parafian zmierzających ku wyjściu. Kończyło się nabożeństwo wieczorne. Przecisnąłem się przez tłumek, obszedłem róg, a potem przemknąłem falistą ścieżką wiodącą na cmentarz, którego bramę wieńczyły dwie kamienne czaszki. Ich oczodoły gapiły się na mnie ponuro. Wkraczając na stare miejsce pochówków, miałem nadzieję, że wyglądam jak należy, szacownie i poważnie, nie zaś jak pochłonięty ciemnymi sprawkami szubrawiec, chociaż, co tu kryć, w istocie nim byłem.

Nazajutrz po wizycie w Pulteney House zostawiłem Toma Monka już drugi wieczór z rzędu samego na straży Nonsuch House. Niewykluczone, że zaczął mnie podejrzewać o jakiś romantyczny związek; zabawna myśl, ale mógł na nią naprowadzić bukiet, który ścisnąłem w dłoniach. Skądinąd ów rytuał - kwiaty nagrobne - był dla mnie czymś powszednim. Przez ostatnie pięć lat dreptałem co niedzielę na cmentarz przy kościele św. Magnusa Męczennika, gdzie tuląc bukiet do piersi, lawirowałem wśród ofiar zarazy, konsumpcji i dwudziestu innych nieszczęść ku znajomej granitowej płycie otoczonej czterema maleńkimi rombami. Z lekkim ukłuciem w sercu, z poczuciem winy i żalu uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu nie odwiedzam grobu Arabelli; od

nadejścia pierwszego listu Alethei i wyjazdu do Pontifex Hall. Zacisnąłem w dłoni łodygi i niepewnie ruszyłem przed siebie.

Większą część dnia spędziłem w pałacu Whitehall w biurach Ministerstwa Skarbu, gdzie sprawdziłem ogrom ksiąg i deklaracji podatkowych. Liczyłem na to, że dowiem się czegoś więcej o Henrym Monboddo, zanim przyjdzie mi się z nim zmierzyć. Zawczasu ostrzeżony, zawczasu uzbrojony, jak mawiała moja matka. Zastanawiałem się nad kolejnym wypadem do Alsatii, żeby wypytać Samuela Pickvance'a, wołałem jednak uważać i nie wzbudzać podejrzeń aukcjonera. Mimo wszystko Pickvance może być w zмовie z Monboddem. Wybrałem się zatem do Whitehall, gdzie przewoźnik dowiózł mnie rankiem, wiosłując pod prąd rzeki o tej porze ruchliwej i rojnej.

Pałac Whitehall był podówczas chaotycznym labiryntem złożonym z około trzydziestu szachulcowych budynków krytych strzechą, gdzie na korytarzach, w pomieszczeniach i na ogrodzonych placykach panował taki sam tłok, kłębiło się tyle samo węglowego dymu i leżało tyle samo szcurzych odchodów, ile w pierwszym lepszym zakątku Londynu. Nie powiedziałbym, że to odpowiednie miejsce dla króla lub tylko królewskiej kochanki. Przecisnąłem się przez ciąg ciasnych przejść i ciemnych dziedzińców, by dotrzeć w końcu do rzędu nijakich, smołowanych budynków, służących dokumentowaniu królewskiego skarbu. Miałem nadzieję, że z deklaracji podatkowych, gdzie wpisuje się zajęcie, dowiem się czegoś o przedsięwzięciach Monbodda, z ksiąg zaś chciałem się dowiedzieć, jakie jeszcze może posiadać nieruchomości prócz Wembish Park. Nie powiem, że w ogóle nie wierzyłem Alethei, ale jej zapewnienia traktowałem bardzo sceptycznie. Przekonywałem sam siebie, że to sceptycyzm zdrowy. Ufność jest matką nabranych. Po prostu chciałem ustalić parę obiektywnych faktów dotyczących Monbodda.

Szukanie trwało długo, a szło jak po grudzie. Dopiero po przerzuceniu ksiąg wstecz do roku 1651 natrafiłem na wzmianki o Henrym Monboddo, pewnie dlatego, że podobnie jak Alethea ostatnie dziewięć lat spędził na

wygnaniu. To jednak, czego się doczytałem w zapisach, całkowicie zgadzało się ze słowami Alethei. Henry'ego Monbodda wymieniono jako kupca sprzedającego obrazy i cenne księgi, a zarazem za panowania Karola I przez pięć lat kustosa Biblioteki Królewskiej w St James's Palace. Nie było jednak żadnych wskazówek naprowadzających na tożsamość jego klienta, tego kogoś, kto tak gorliwie pragnął się dobrać do *Labiryntu świata*. W księdze podatkowej z roku 1651 roku jako adres Monbodda figurował Wembish Park, a także dom w Covent Garden; w dwie godziny później sprawdziłem na miejscu, dom okazał się ruiną. W zapisie wymieniono też biuro w Cheapside, które, jak się przekonałem, przeistoczyło się w warsztat wyrobów srebrnych, gdzie mistrz zapewnił, że nic nie wie o żadnym Henrym Monboddo.

Zanim wyszedłem z Whitehall Palace, strzeliło mi do głowy, żeby przeszukać adnotacje związane z sir Richardem Overstreetem. Nie urósł w moich oczach, kiedy się przekonałem, że w spisach figuruje jako prawnik. Cóż, powiedziałem sobie, nie każdy prawnik to zaraz kawał drania, okazało się zaś, że sir Richard przed ucieczką na wygnanie w roku 1651 robił błyskotliwą i lukratywną karierę. Wpierw praktykował prywatnie jako notariusz, a potem w 1644 został mianowany zastępcą prokuratora generalnego. Później zajmował stanowiska w Marynarce i Ministerstwie Spraw Zagranicznych; w tym ostatnim jako poseł nadzwyczajny w Madrycie. Wchodził nawet w skład ambasady rojalistów w Rzymie.

Zgarbiony nad pomarszczonymi dokumentami, zastanawiałem się przez chwilę, czy sir Richard, wzorem wielu ludzi z naszych sfer wyższych, jest kryptokatolikiem, a może nawet szpiegiem, papieskim lub hiszpańskim. Była to myśl szalona, wiedziałem jednak, że w 1645 wyruszyła do Rzymu tajna misja, która miała zapewnić wojskowe wsparcie przeciw Cromwellowi w zamian za nawrócenie się króla Karola wraz z doradcami na katolicyzm. Lecz nie znalazłem wskazówki, że rzymska podróż sir Richarda miała związek z tą misją. Zresztą ta garstka faktów nic nie mówiła o charakterze człowieka, jego

motywach ani nawet wyznaniu; podobnie w wypadku Henry'ego Monbodda. Podziękowałem więc urzędnikowi za pomoc, a potem powędrowałem przez walący się labirynt ku schodom.

Szukając teraz drogi na cmentarzu, dostrzegłem wśród kamiennych nagrobków dwoje czarno ubranych żałobników; po przeciwległych stronach cmentarza stali mężczyzna i kobieta. Jej twarz zasłaniał welon, jego - kapelusz z szerokim rondem. Minąłem kępę cisów i podszedłem do pierwszego rzędu nagrobków. Czulem, że przeszukując cmentarzyk, zwracam na siebie uwagę i sprawiam niedorzeczne wrażenie. Późnopołudniowe cienie kładły się na świeżo skoszone siano, a mnie skoczyło do oczu ze sto płyt na wzgórkach ziemi, stojących pod różnymi kątami, w nierównych rzędach z luką tu i ówdzie, jak plony, które nie wszędzie wzeszły.

Grób Silasa Cobba odnalazłem na środku cmentarza, zarośnięty i po części zasłonięty gałęziami rosnącego nad nim cisu: granitową płytę wieńczyła trupia czaszka o zapadniętych oczodołach. Zanim znalazłem grób, jedno z żałobników zniknęło, miałem jednak wrażenie, że śledzi mnie to drugie, mężczyzna, i że nie odsłaniając twarzy, przygląda się z ukosa mojej niewydarzonej wędrowce. Postanowiłem, że po jego odejściu przyjrę się pomnikowi, przed którym stoi. Potem wziąłem głęboki oddech, poszukałem w kieszeni klucza i jeszcze raz przeczytałem napis:

Hic iacet

SILAS COBB

1585- 1620

Soli Deo laus et gloria in saecula

Zaskoczyło mnie, że o tablicę opiera się bukiet hiacyntów i rumianków. Czy ktoś wciąż opłakuje pana Cobba, nawet po czterdziestu latach? Może leciwa wdowa? Przez głowę przemknęła mi trzeźwa refleksja, że w czterdzięci lat po mojej śmierci nikt nie położy kwiatów na moim grobie; w czterdzięci dni też nie, skoro już na to zeszło. Jeszcze bardziej zaskoczyła mnie sama płyta.

Pozostałe granitowe nagrobki w tym rzędzie nosiły również daty z lat dwudziestych, o ile jednak tamte cmentarne wezgłowia okrył mech, o ile napisy już nadgryzł ząb czasu, o tyle tablica Silasa Cobba wydawała się nowa i nie na swoim miejscu. Ten granit na pewno nie przeleżał tutaj czterech dziesięcioleci.

Uklęknąłem przy grobie; głowę obsypały mi miękkie igły cisowe, a ja ulokowałem kwiaty pod nagrobkiem. Grób zarósł po części pokrzywami, które odgarnąłem kosturkiem. Potem wsunąłem palce pod spód. Skruszona glina była ciepła, nasączona zapachem zbutwiałych bulw. Wystarczyło odgarnąć parę garści, żeby natrafić na ukrytą we wgłębieniu szkatułę. Czuję się jak uczeń, który wydobywa niby-skarb zakopany na jesieni. Włożyłem klucz do zamka i przekręciłem; wieczko odskoczyło z trzaskiem, zaskakująco głośno. Wstrzymałem oddech i spojrzałem przez ramię między poruszone wiatrem gałęzie cisu. Drugi żałobnik zniknął.

W szkatule nie znalazłem listu od Alethei, natomiast zostawiłem skrawek papieru potwierdzający, że zgodnie z umową i życzeniem Alethei ruszę do Wembish Park. Potem przekręciłem klucz, wsunąłem szkatułę na miejsce, zasypałem gliną i zacząłem się przekradać między rzędami wysmaganego przez deszcze i zawieje granitu. Dziwiło mnie, że Alethea, z jej obsesją tajemniczości, nie nalegała na użycie szyfru bądź niewidzialnego tuszu.

Tymczasem kościelne okna były już ciemne. O tej porze Hart Street wyglądała na opustoszałą. Ruszyłem przez cmentarzyk na ukos w przeciwną stronę, na południowy wschód ku Seething Lane, która też się wyludniła. Nie znosiłem pętania się poza domem za dnia wśród tłumów i w smrodzie, ale nocny Londyn był jeszcze gorszy. Doskwierało mi nieprzyjemne mrowienie między łopatkami, jakby tam usiadł wielki ptak, nieśpiesznie trząskając dziobem i rozłożył osmolone sadzą skrzydła. Było coś złowrogiego i groźnego w wyglądzie domów przy Seething Lane, które wygnane za bramę jakby przykucnęły i zbiły się w ciemności w gromadkę. Za nimi wznosił się wielki, ciemny masyw Ministerstwa Marynarki.



Przystanąłem przy jakimś grobie, żeby się przyjrzeć ogromnemu kształtowi wznoszącemu się nad zasłoną cisów. Przypomniałem sobie przywilej upoważniający sir Ambrose'a do wyprawienia się na Orinoko, a także skrawek płótna w Złotym Rogu, rzekomo strzęp marsla z *Britomarta*. Kto wie, może należy wrócić nazajutrz do poszukiwań? Może dziennik okrętowy *Philipa Sidneya* wciąż istnieje, może jest jeszcze w Marynarce ktoś, kto zdoła mi opowiedzieć o udziale sir Ambrose'a w wyprawie sir Waltera Raleigha do Gujany? Zastanawiałem się leniwie, czy może istnieje związek, nawet luźny, między podróżą Raleigha a *Labiryntem świata*. Bądź co bądź Alethea utrzymuje, że Monboddo był agentem w służbie księcia Buckingham obracającym dziełami sztuki, wiedziałem zaś, że Buckingham, wielki lord admiralicji, wspierał gujańską eskapadę. Nie zapomniałem, że inne braki w księgozbiorze Pontifex Hall - a było wśród nich *Odkrycie wielkiego, bogatego i pięknego Cesarstwa Gujany* Raleigha - zajmowały się w taki czy inny sposób odkryciami w hiszpańskiej Ameryce. Może jednak czepiam się słomki?

Oczywiście wiedziałem niejedno o niefortunnej wyprawie Raleigha. Jako praktykant w księgarni pana Smallpace'a pochłaniałem opisy podróży Raleigha i Drake'a jak powieści przygodowe. Wciąż miałem na składzie trochę książek o wyprawie Raleigha na Orinoko, w tym relacje z pierwszej ręki spisane przez ludzi z pokładu *Destiny* bądź innych okrętów tej floty. Wróciwszy z Pontifex Hall, szybko je przejrzałem, niemniej żadna nie zawierała wzmianki o jednostce *Philip Sidney* ani o sir Ambrosie Plessingtonie.

Cóż to za opowieść, ta wyprawa Raleigha! Morski śmiałek spędza w więzieniu trzynaście lat za knucie przeciw staremu i przebiegłemu królowi, ten zaś wypuszcza śmiałka na wolność pod warunkiem wypełnienia wiecznie dziurawych królewskich szkatuł, czyli odnalezienia za oceanem legendarnej, odległej o tysiące mil kopalni złota w głębi nieznannej krainy pełnej wrogich wojsk. Tę historię mógł pieśnią opiewać Homer lub piórem Shakespeare: oto bohater pełen przywar, oto zdradziecki król, szczwani doradcy, niewykonalne

zadanie, tragiczna śmierć, a wszystko wpisane w lodowaty świat zdrady i chciwości. Z dawna myślałem, że w Raleighu można się dopatrzeć repliki Jazona wysłanego po złote runo przez uzurpatora Peliasa, albo repliki Bellerofona, który podróżuje do Likii, wysłany przez rozgniewanego a zdradzieckiego Projtosa na bój z Chimera i który - jak Raleigh - przewozi wystawiony na siebie wyrok, list śmierci. Kto twierdzi, że już minął wiek herosów?

Główne rozdziały smutnej epopei Raleigha są powszechnie znane. W kwietniu roku 1617 wyruszył z Londynu na czele floty, zostawiając za sobą skłócone stronnictwa i potężnych nieprzyjaciół. Jego projekt wspierał nowy faworyt króla Jakuba I, sir George Villiers, późniejszy książę Buckingham; wspierało też ów projekt dworskie stronnictwo antyhiszpańskie: Partia Wojny pod przewodnictwem earla Pembroke i arcybiskupa Canterbury. Pembroke i Canterbury przepchnęli młodego Villiersa, żeby obalić cieszącego się pełnią wpływów królewskiego faworyta Somerseta i powstrzymać wspierające go stronnictwo prohiszpańskie. Lecz nawet pochlebstwa Villiersa nie zdołały skłonić króla do zaniechania prohiszpańskiej polityki. Instrukcje dla Raleigha nakazywały wprawdzie odnalezienie kopalni złota, ale ten sam dokument zabraniał wszelkich ataków na hiszpańskie okręty i osady. Zapis stanowił, że gdyby Raleigh złamał te warunki, to hrabia Gondomar, hiszpański ambasador w Londynie i najpotężniejszy wróg Raleigha, może zażądać jego głowy.

Sprawy, co bywa, przyjęły z miejsca zły obrót. W drugim dniu wyprawy, kiedy jeszcze nie zniknął za horyzontem przylądek Land's End, poszedł na dno podczas wichury jeden z czternastu okrętów z sześćdziesięcioma ludźmi. Kiedy po ośmiu morderczych miesiącach znękana sztormami i skorbutem flota zawinęła do ujścia Orinoko, chory Raleigh został w Trynidadzie na pokładzie *Destiny* w zbyt kiepskim stanie, żeby kontynuować wyprawę. Nadeszła pora sucha, poziom wód opadł, żegluga po Orinoko stanowiła jeszcze większe ryzyko niż zwykle. Lecz Raleigh nie mógł czekać, wybrano zatem pięć okrętów na

podróż w górę rzeki. Sądono, że kopalni trzeba szukać w głębi lądu, o setki mil dalej, w pobliżu nieuchwytnego El Dorado, miasta „ludzi lśniących złotem”, leżącego rzekomo pośrodku jeziora. Legendę o mieście i jego nieprzebranych bogactwach powtarzali wszyscy hiszpańscy kronikarze, konkwistadorzy zaś, ci błędni rycerze dżungli, przemierzali w pogoni za El Dorado rzekę Orinoko i jej dopływy przez siedemdziesiąt lat. Nikt nigdy nie zobaczył miasta ani jego legendarnych kopalni złota, z wyjątkiem - podobno - człowieka nazwiskiem Juan Martin de Albujar, uciekiniera z ekspedycji Maravera de Silvy z 1566 roku, która, co dziwne, nie zostawiła żadnych kronik.

Kopalni nie odnaleźli też ludzie Raleigha. Zamiast tego flota natrafiła na znacznie uboższą miejscinę San Tomas, wczepioną w brzeg Orinoko siedzibę hiszpańskiego garnizonu złożoną ze stu bambusowych chat, glinianego kościoła i zbrojną w parę zardzewiałych dział. Wtedy doszło do katastrofy. Wymiana ognia, zabici. Poszukiwania zarzucono, flota popłynęła do Boca de la Sierpe - w „paszczę węża” - i błyskawicznie się rozproszyła. Raleigh i jego ludzie wracali do domu w niesławie. Raleigh symulował chorobę, potem obłęd, wreszcie próbował ucieczki do Francji. Został jednak schwytany i znów wtrącony do tych samych lochów krwawej Tower. Dochodzenie w sprawie tragicznej wyprawy prowadził sir Francis Bacon. W październiku 1618 roku Raleigh został ścięty na żądanie Gondomara. Oficjalnie z powodu zdrady, jakiej miał się dopuścić wobec króla.

Nie byłem jednak pewien, jak w tę tragiczną opowieść wpleść sir Ambrose’a Plessingtona. Czy *Philip Sidney* był jednym z okrętów nieszczęsnej floty? A jeśli tak, to jak powiązać *Labirynt świata*, Henry’ego Monbodda i wyprawę sprzed lat w gujańską dżunglę?

Pełen wątpliwości długo patrzyłem spod przymrużonych powiek na Ministerstwo Marynarki, jakby budynek krył w sobie odpowiedź. Potem odwróciłem się i ruszyłem ku miejscu, w którym wcześniej stał drugi z żałobników. Pod rozłożystą markizą cyprysa, którego gałęzie zwieszały się aż

na Seething Lane, znajdował się grób z maleńką granitową kolumnką. Spodziewałem się kopczyka świeżej ziemi zarzuconego bukietami, tymczasem kamień był spękany, grób zaniedbany, a napis ledwie czytelny. Wynurzony z ziemi korzeń cyprysa przypominał upiorne, sterczące kolano. Ostrożnie nachyliłem się i wyteżyłem wzrok. Kamień miał, zdaje się, upamiętniać małe dziecko nazwiskiem Smethwick - imię było nieczytelne - zmarłe w trzeciej ćwierci zeszłego wieku. Nie chciało mi się wierzyć, że to dziecko jeszcze ktoś oplakuje, uznałem więc, że się pomyliłem co do grobu i pewnie co do intencji żałobnika. Zresztą, czy ja sam nie zachowuję się podejrzanie, zakradając się na cmentarz o zmierzchu, a potem klucząc jak widmo? W owych czasach na cmentarzach działy się najokropniejsze rzeczy. Mężczyzna wziął mnie pewnie za „wskrzesiciela”, któregoś z tych cmentarnych złodziei, którzy wykopują świeże ciała, żeby je sprzedać praktykantom felczerskim i studentom medycyny. W ten sposób dodałem sobie wreszcie otuchy i ruszyłem z powrotem, ku złowrogo patrzącym trupim czaszkom, powstrzymując chęć ucieczki przed parą szponów wbijających mi się coraz głębiej w plecy, w żywe mięso.

Do domu wróciłem piechotą. Później mogłem się zastanawiać, co by się stało, gdybym wziął kocz i wrócił do Nonsuch House pięć minut wcześniej. Dryndziarze jednak gdzieś zniknęli, zacząłem więc kuśtykać i po dwudziestu minutach znalazłem się na moście. W drodze do Nonsuch House wszystko wyglądało zwyczajnie, kiedy jednak doszedłem do zamkniętej już apteki, zobaczyłem na środku jezdni Toma Monka; blady jak ściana, oszołomiony, zataczając się, zmierzał ku mnie. Za nim widać był wpółotwarte zielone drzwi Nonsuch House krzywo zwisające na ościeżnicy.

- Pan Inchbold...!

Przed księgarnią zebrali się gapie, istna gawieź stłoczona przed ulicznym pokazem osobliwości; ni to widzowie, ni przechodnie szeptem dzielili się uwagami jak na widok wypadku, kiedy pociągowy koń kopnie dziecko lub padnie trupem na ulicy. Monk dokolebał się do mnie, wczepił mi się w rękaw i

jąkał coś niezrozumiale.

Odsunąłem go, precyzyjnie się i ostro szarpnąłem gałkę. Drzwi zachwiały się i jeszcze bardziej przekrzywiły, zawiasy boleśnie zazgrzytały. Ściślej: górne zawiasy, bo wygięte dolne zwisały na ukos z rozlupanej ościeżnicy. Całość groziła, że runie od jednego dotknięcia. Mimo to, z gardłem ściśniętym z lęku i gniewu, poszerzyłem szparę o parę cali, na tyle, żeby wejść do środka.

Poślizgnąłem się na czymś; kiedy przyzwyczailem się do mroku, zobaczyłem, że moje książki - chyba wszystkie - ściągnięto z półek i rozrzucono po podłodze; zaścielały każdy jej skrawek. Leżały setkami na chaotycznie usypanych stosach, w porwanych oprawach, jakby czekając na spalenie; powiew zza zniszczonych drzwi poruszał zagiętymi rogami kartek, przewracał stronice między okładkami rozwartymi jak skrzydła lub stojącymi jak niezdarnie rozbity namiot. Czuło się zaduch, zapach kurzu i skóry - stare, wysłużone rzeczy, których przyjemna swojska woń wzmocniła się jakimś cudem, jak podczas gotowania, stworzyły niewidoczny, lecz wszechobecny obłok, podobny do wirów dymu armatniego nad wątlymi ruinami.

Złapałem równowagę i zanurzony po kostki w książkach, potykając się, powędrowałem do kontuaru; zatoczyłem pełen krąg, nie mogąc sobie uświadomić zasięgu zniszczeń, a co dopiero ich celu. Na środku sklepu padłem na kolana, ledwie pamiętając o stojącym za mną Monku. Mój bezcenny azyl, przystań chroniąca przed wrzawą świata - wszystko przepadło, zniszczone. Pierś zaczęła mi drżeć jak dziecku. Pamiętam dotyk rąk na ramionach, lecz nie pamiętam, czyje to były ręce ani co się zdarzyło potem.

Mało tego, z paru następnych godzin też niewiele sobie przypominam: jedynie przemierzanie sklepu jakby pod wodą, w stanie oszołomienia; wraz z Monkiem, smutni, poznajemy rozmiar katastrofy, podnosimy książki, przeglądamy, ubolewamy nad zniszczeniem tomu lub - rzadziej - trzeźwo cieszymy się z nieoczekiwanego ocalenia. Wkrótce się przekonałem, że

ucierpiały też orzechowe półki, powyrywane ze ścian; leżały teraz na podłodze, skrzyżowane pod najróżniejszymi kątami, potrzaskane jak takielunek po sztormie. W innym wypadku uznałbym, że takie spustoszenia to robota całej armii, ale Monk, opowiedział, że było tylko trzech ludzi, a wszystko trwało może pięć minut. Dali drapaka, kiedy Tom, usłyszawszy hałas, zszedł po kręconych schodach i zajrzał do księgarni. Najwyraźniej czegoś szukali, powiedział, ściągali z półek książkę po książce, gorączkowo kartkowali i rzucali na podłogę, sięgając po następną. Lecz był i taki, który uniesionym ramieniem zgarniał na podłogę zawartość całej półki albo wyrywał regał z mocowań, nawet nie rozglądając się za konkretnym tomem.

- Nastraszyli mnie, jak się patrzy - powiedział Tom z rozbieganymi na samo wspomnienie oczami - przyznaję bez bicia.

- Jak myślisz, Monk, kim są? To łapsy?

- Łapsy, proszę pana?

Dochodziła już północ. Siedzieliśmy jak zwykle przy kontuarze, mistrz i praktykant, jakby ta wypróbowana pozycja mogła przywrócić coś z dawnej, a teraz pogwałconej równowagi. Dziesiątki porozdzieranych książek wciąż zaścielały podłogę, udało nam się jednak ustawić z powrotem parę regałów i ulokować na miejscu te nieliczne tomy, które mogły się obyć bez introligatorskiej pomocy.

- Łapsy sekretarza stanu - odpowiedziałem. - Chyba pamiętasz?

Sprawił wrażenie jeszcze bardziej spłoszonego. Coś niecoś już wiedział o tych pachółkach, bo dwa lata temu sekretarz stanu John Thurloe<sup>1</sup> kazał im węszyć w Małej Brytanii i na London Bridge. Złożyli nam wizytę zaledwie dwa dni potem, gdy w Nonsuch Books zjawiała się ciężarna kobieta po odbyciu, jak zapewniła, męczącej podróży barką z Oksfordu. Monk patrzył z obawą i niedowierzaniem, kiedy na kontuarze doszło do powicia trojaczków, znalazły się na nim bowiem trzy egzemplarze rozprawy Sexby'ego *Zabicie nie zbrodnic*<sup>2</sup> nawołującej do unicestwienia Cromwella. Dwa dni później wieczorem

załomotali w drzwi łapacze. Nieszczęsny Monk został wyrwany ze snu, wciśnięto mu w twarz latarnię, a donośny głos zażądał podania nazwiska. Monk nie zapomniał tego epizodu.

- Nie... to nie łapsy - odrzekł. - Cudzoziemcy.

- Cudzoziemcy?

- Tak. Francuzi. Może Turcy. Prawie czarni na twarzy, proszę pana. Istni piraci, cali na czarno. Jeden ze złotym kolczykiem w uchu. Drugi z nożem - dodał z powagą.

- Coś mówili?

- Ani słowa, proszę pana.

- Coś zabrali? Jakieś książki?

- Nie, proszę pana. - Pokręcił głową. - Ja w każdym razie nie widziałem.

- Właśnie. Wygląda na to, że niczego nie brakuje, prawda? - Tom znowu pokręcił głową. Jak na razie zdołaliśmy się doliczyć wszystkich woluminów, chociaż nazajutrz powinienem jeszcze raz przeryć katalog. - Którędy uciekli?

- W stronę Southwark. Poleciałem za nimi, ale byli szybsi, nie ma co. - Wbił spojrzenie w kontuar. Bawił się rękami na podolku.

- Rozumiem, Monk. Dziękuję - powiedziałem. - Spisałeś się.

Wyciągnąłem się na krześle, przymknąłem oczy i próbowałem pomyśleć. Przez chwilę gotów byłbym nawet uwierzyć, że spustoszenie nie ma nic wspólnego z wydarzeniami ostatnich dni. Może to były łapsy, mimo wszystko. Może nowy sekretarz stanu zaangażował do brudnej roboty Francuzów. Ale czego tu mieli szukać? Może nowy król staje się dla księgarzy taką samą zmorą jak Cromwell. Postanowiłem nazajutrz zasięgnąć języka w Małej Brytanii i na Paternoster Row. Może kogoś jeszcze odwiedzili nieproszeni goście?

Otworzywszy oczy, stwierdziłem, że Monk przygląda mi się uważnie. Poczęstowałem go uśmiechem dodającym otuchy.

- Tak, dobrze się spisałeś - powtórzyłem. - Bardzo dobrze.

Obawiam się jednak, że to nie koniec; mamy jeszcze coś do zrobienia tej

nocy.

- O?

Skinieniem wskazałem drzwi, krzywo i dziwacznie zwisające na zawiasie. Za nimi widać było jezdnię. Co parę minut jakiś przechodzień zaglądał do środka, by zaraz cofnąć głowę i Śpiesznie się oddalić.

- Jutro znajdę stolarza i ślusarza - powiedziałem. - Ale dziś w nocy...

Sięgnąłem pod kontuar i wyciągnąłem pistolet. Na widok broni Monk wytrzeszczył oczy. Ciężki i niezgrabny pistolet z ogromnym zamkiem skałkowym mógł napędzić strachu; wiele lat temu kupiłem go od ślepego, jednonogiego weterana wojny domowej, który upodobał sobie zebranie akurat pod drzwiami księgarni. Nie miałem pojęcia, czy zadziałają krzemień i krzesiwo, nawet nie wiedziałem, ile podsypać prochu na panewce. Owszem, stary inwalida udzielił mi lekcji, lecz nigdy się nie spodziewałem, że zrobię z nabytku użytek; pistolet kupiłem, żeby ulżyć nędzy.

- Tej nocy będziemy na zmianę pilnować księgarni - powiedziałem. - Na wypadek, gdyby kogoś skusiły nasze zbiory. - Położyłem na ladzie śmiertcionośne narzędzie. - Bądź gdyby nasi przyjaciele zechcieli wrócić.

Nieprzyjemne perspektywy przyprawiły Monka o jeszcze większy wytrzeszcz oczu, zdobyłem się więc na kolejny zachęcający uśmiech, niestety, łudząco podobny do bolesnego grymasu.

- Kładź się do łóżka - powiedziałem łagodnie. - Zbudzę cię za dwie godziny.

W końcu całą noc przesiedziałem sam. Zabrałem się do oprawiania na nowo paru książek, chociaż co dziesięć minut zostawiałem krosno introligatorskie i podkradałem się do drzwi, żeby zerknąć na jezdnię i wypatrzeć jakiś ślad życia, pilnie nasłuchując, czy ktoś, kto się zakradł, nie umyka chyłkiem. Nie było nikogo, z wyjątkiem nocnego strażnika, starego zartretyzowanego jegomościa, wzbudzającego umiarkowane zaufanie. Był na wpół ślepy. Jedno oko pokryte bielmem kojarzyło się ze zdechłą rybą,



tymczasem toczył po mnie tym drugim i ze srogim wyrazem twarzy radził naprawić drzwi, w przeciwnym bowiem razie wystawię na zbyt mocną pokusę biedne duszyczki, one zaś nie zdołają się tej pokusie oprzeć. Potem powlókł się dalej, kołysząc latarnią.

Dopiero kiedy świt rozjaśnił niebo na wschodzie, dałem spokój krosnu i obudziłem Monka. Wdrapując się po schodach w drodze do łóżka, wreszcie puściłem wodze myślom, a przed oczami stanęli mi trzej czarno odziani zabójcy, którzy zamordowali w Paryżu lorda Marchamont. Czyżby ci sami? Niewykluczone, chociaż zakrawa to na niedorzeczność. Skoro zabójcy byli agentami Henry'ego Monbodda, co podejrzewa Alethea, skoro Monboddo zawładnął teraz pergaminem, co sam odkryłem, to czego szukają u mnie na półkach? Może służą komu innemu, może nawet samemu kardynałowi Mazarinowi? Wgramoliłem się do łóżka i próbowałem zasnąć. Jest jeszcze wiele rzeczy, pomyślałem, których się muszę dowiedzieć.

Przeleżałem na boku parę godzin, nie mogąc zasnąć ze zmęczenia; wpatrywałem się w ścianę, nasłuchiwałem tkwiących w niej kołatków. Ów znajomy odgłos nagle nabrał złowróżbnego i uroczystego brzmienia, jakby owady pożerały belki i podpory skromnego życia, które sobie wybudowałem. Jakby Nonsuch House miał się zapaść i wypluć mnie koziołkującego wprost w nurt rzeki, sześćdziesiąt stóp niżej.

## X

*Bellerophon* opuścił słodkie wody Łaby w Cuxhaven i wziął kurs na zachód wzdłuż Wysp Fryzyjskich, obok zaśnieżonych łańcuchów solnisk i grobli, obok piaskowych wyrobisk i falochronów sterczących z szarego morza jak żebra. Przez prawie cały dzień załoga sondowała głębokość i pilnowała dziesięciu sążni pod kilem. Drugiego dnia *Bellerophon* o zmierzchu zmienił kurs na południowo-południowo-zachodni, zostawił za sobą holenderskie wybrzeża, podniósł więcej żagli i skierował dziób pod wiatr ku Anglii. W dwie godziny później kapitan Quilter z lunetą przy oku dostrzegł z pomostu brzegi.

Wszystko szło zgodnie z planem. Opuścił lunetę i schował do kieszeni sztormowej kurty. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, *Bellerophon* za osiem godzin dotrze na kotwiczowisko Nore, do czekającego tam *Albatrosa*.

Od tej jednak chwili wszystko poszło nie tak. Już potem, bilansując katastrofę, kapitan Quilter mógł winić nie tylko własną chciwość - połakomienie się na dwa tysiące talarów - ale jeszcze bardziej ciemnotę załogi. I nie chodziło o nieznamość fachu, bo Quilter zamustrował marynarzy najlepszych, najbardziej doświadczonych, najsprawniejszych; chodziło o tę niepokalaną ciemnotę, która rodzi najgorsze przesady wśród ludzi zdanych na łaskę i niełaskę żywiołów. Tak jest, marynarze to bractwo przesądne, nie da się ukryć. Pod Złotym Winogronem Quilter podpatrzył ich dziwne rytuały; kupowali od starych wiedźm handlujących po portowych tawernach makabryczne talizmany mające przynieść szczęście: czepki noworodków. Ludzie żywili jakąś dziwną, niczym nieuzasadnioną wiarę, że któraś z tych wysuszonych, pomarszczonych błon (Quilter podejrzewał, że to świńskie pęcherze) może ich uratować przed utonięciem. A jeszcze wcześniej, kiedy flauta unieruchomiła *Bellerophona* w Zatoce Dwińskiej, przyłapał zachowującą się podejrzanie grupkę: ci ludzie mamrotali zaklęcia, a potem wyrzucili za rufę kij od miotły, jakby taka błahostka - nie zaś obrót Ziemi (co wie każdy wykształcony człowiek), ruchy gwiazd na niebie, koniunkcja planet, zaćmienia, wznoszenie się Oriona i Arcturusa bądź pół tuzina innych wydarzeń niebieskich mających za nic nikły obszar ludzkich poczynań - mogła wpłynąć na siłę równie potężną i nieprzewidywalną jak wiatr!

No i były potem te kościelne dzwony. Kiedy *Bellerophon* przechodził koło Cuxhaven, ich upiorne bicie słyszano na górnym pokładzie; niezawodny znak, że statek i załogę czeka nieszczęście, bo żaden omen nie trwożył tak żeglarzy, jak usłyszany na morzu kościelny dzwon. W dzień później z kokpitu wspiął się lekarz okrętowy i zameldował, że trzech ludzi choruje; rozkłada ich gorączka. Zaledwie w dwie klepsydry później nadeszła wiadomość o kolejnych

chorych, ale kapitan musiał się skupić tymczasem na poważniejszych niebezpieczeństwach.

Co sprawiło, rozważał później, że wiatr zadał akurat wtedy, pod koniec rannej wachty, kiedy słońce już było wysoko? Wiatrowskaz na wancie aż zadygotał. Nikt się tym nie przejął, przecież niebo było czyste i jasne, wiatr równy; ludzie - spośród nie złożonych chorobą - tkwili na ogół w mesach na zwiniętych talrepach i mierzyli się wzrokiem znad trzymanyh w ręku kart. Znad wschodniego horyzontu nadciągał jednak z wolna front burzowy, nieubłagany, siny, sunął po niebie jak cień nadchodzącego olbrzyma. Belki pokładu głośno zaskrzypiały, do włazów chlusnęła woda. Potem nad dziobem i forkasztem wykwitła piana, pierwszy pióropusz, z którego sfrunęły kłujące jak śrut krople. Trapy i pokłady zadudniły pod nogami biegnących na miejsca marynarzy. Na śródokręciu majtkowie na kolanach otwierali szpigaty, tymczasem innych, ledwie wystawili głowy z włazów, wysłano na rozchybotane drablinki. Kiedy w górze, w takt rozkazów krzyczącego Pinchbecka, w pośpiechu refowali żagle, niebo już ryły pierwsze widły błyskawic.

Szczęście, które dopisało załodze uratowanej między Scyllą Dwiny a Charybdą Morza Białego, chyba się teraz odwracało. Pinchbeck złapał się obiema rękami grotmasztu i aż ochrypł od wrzasku, tymczasem wielka fala runęła na śródokręcie i sprawiła, że przeleciał przez pokład, zataczając się jak pijany awanturnik. Podniósł się tylko po to, żeby zaraz paść znowu, kiedy rufa pogrążyła się w odmętach, zaraz potem spłynęły z niej potoki lodowatej wody. Ludzie przelecieli ze śródokręcia na rufę, przewracając się jak kręgle. Później w topiel wryła się dziobnica, bukszpryt rozciął toń i ludzie poprzewracali się w drugą stronę. Te znane sekwencje przerodziły się w panikę, kiedy przez pokład zaczął się nieść rozpaczliwy krzyk z kilkunastu gardeł.

- Ster prawo na burt! Dawać tu linę! Ster lewo na burt! Trzech ludzi przywiązało się do rumpla, który stawał dęba, poniewierał nimi jak nieokiełznany koń; lina paliła im ręce, jednemu przełamała przegub.

- Pod wiatr! Mocno! Tak trzymać!

Potem zaś, kiedy jeden z majtków frunął w dół z rozpostartymi ramionami, a jego wrzaski pochłonęła wichura, ktoś zawołał:

- Człowiek za burtą!

Niestety, można było tylko ściągnąć żagle i modlić się. Z rozkołysanego pokładu kapitan Quilter patrzył w bezsilnym gniewie, jak nad głowami majtków szamocących się na rejach gwałtownie rozwiera się niebo, jak kurtyny deszczu gęstnieją, zasłaniają czubki masztów. Sztorm potraktował jak osobistą obrazę, jak impertynencki, wprawiający w furję atak hiszpańskiego korsarza. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnego potrójnego pierścienia wokół księżyca o wschodzie słońca, żadnego halo wokół Wenus wczoraj o zachodzie, nawet nie było stadka nawałników nad żaglowcem przed półgodziną, żadnego znaku, który zawsze poprzedza gwałtowne załamanie pogody; przecież wiedzę Quiltera ugruntowały lata doświadczenia. Żywioty nie grały fair.

Na zalewanym przez fale pokładzie Quilter poślizgnął się, gruchnął ciężko na tyłek, jakieś szubrawe wiadro wyrznęło go w kostkę. Cisnął je za burtę, klnąc, ile wlezie, i podniósł się. Przemoczona mapa oblepiła mu głowę, zanim zdołał ją złapać i zerwać. Trzepotała teraz na burcie jak oszalała mewa, a Quilterowi w strugach ulewy zamajaczył nagle na zawietrznej brzeg; teraz raczej zagrożenie niż schronienie. Po to uszedł cało z lodów Archangielska i Hammerfestu, pomyślał ponuro, żeby się roztrzaskać u własnych wybrzeży.

Nie byli jedyni; roztrzaskanie groziło nie tylko *Bellerophonowi* i jego załodze. Za rufą na sterburcie o dwa strzelenia z łuku przez grzywy przewalał się inny statek, zapadał między fale. Na grotstendze płonęły dwie lampy wzywające ratunku. Po minucie wystrzelono tam z działa, przez moment widać było błysk, kłęb dymu, lecz huk ledwie się przebił przez strugi wody i wichurę. Wkrótce poszły bukszpryt i fokmaszt, przy czym ten ostatni, jak zauważył Quilter, runął od uderzenia pioruna, a za burtę wypadło dwóch ludzi. Wyciągnąwszy lunetę, Quilter zdołał na tyle długo utrzymać równowagę, żeby

rozpoznać *Gwiazdę Lubeki*, inny frachtowiec idący z Hamburga do Londynu. Najwyraźniej przesunął się im balast albo mieli w kadłubie dziurę i nabrali tony wody, jednostka paskudnie przechyliła się na bakburtę, maszty kładły się nad szalejącymi falami. Quilter liczył tylko na to, że *Gwiazda Lubeki* zachowa przyzwoity dystans, nie zdryfuje na *Bellerophona* i nie pójdą razem na dno...

W ciągu dwóch następnych godzin *Gwiazda Lubeki* częściej znikwała, niż pojawiała się w zasięgu wzroku. Dopiero po przełomie, kiedy mijano najgorsze, a słońce przewrotnie słało snopy światła spomiędzy rozdartych chmur, widać ją było na nowo. Przez ten czas *Bellerophon* dryfował z wiatrem pod gołymi masztami, w niebezpiecznym przechyle na sterburtę. Quilter wiedział, że szkody są znacznie cięższe niż te na Morzu Białym. Żagle poszły w strzępy, złamał się rumpel. Na tylnym pokładzie leżała na ukos stenga bezana, która przeszyła dwóch marynarzy, trzeciemu zaś roztrzaskała czaszkę. Kto wie ilu ludzi poszło za burtę. Najgorsze zaś było to, że statek szorował kilem po krawędzi piaszczystej łachy, a potem z ogłuszającym traskiem uderzył w podwodną skałę. Prawdopodobnie przebił dno i z każdą chwilą nabierał wody, oni zaś mieli zaledwie minuty na zatkanie dziury żaglem lub worami pakułów. Wiedział, że musi coś zrobić, w przeciwnym razie zginie ocalała dotychczas reszta, stanie się pokarmem dla ryb, a statek drewnem zbieranym na opał na brzegu, który teraz rósł w oczach.

Quilter precyzyjnie przesunął się przez najbliższy luk. Na głównym i środkowym pokładzie deski były śliskie, pokryte tym, co wylało się z beczek i wypadało ze schowków. Pokłady nachyliły się pod kątem 45 stopni, trzeba było na nich balansować jak na spadzistym dachu. Powietrze wypełnił wkrótce nieznośny ciężki odór, Quilter chyba za późno zauważył, że na deski powylewały się też nocniki. Na pokładzie działowym śmierdziało jeszcze gorzej.

- Zęza.

Pinchbeck, który dołączył do Quiltera, zatykał nos brudną chusteczką. Uważnie torowali sobie drogę przez zapaskudzony, zasłany czym popadnie

pokład. Woda wlewała się przez furty strzelnicze, na tym pokładzie pełnym przemoczonych ładunków armatnich i klinów było jej już pół cala. Quilter słyszał dobiegające z kokpitu krzyki chorych.

- Wymieszane wszystko jak zupa - dodał bosman stłumionym głosem.

- Nie szkodzi - warknął Quilter. - Bierz ludzi na dół do pomp. I wyciągnijcie płótna ze składu żagli. I wór z pakułami, jeżeli się nawinie. Skoro już mamy przeciek, to albo się go zaraz zatka, albo się potopimy. - Bosman spojrzał na kapitana z przestachem. Quilter niecierpliwie machnął ręką. - Zmiataj! Na jednej nodze! I odszukaj każdego, który się jeszcze rusza - krzyknął w ślad za odchodzącym. - Do ładowni, przesuwać ładunek!

Quilter zszedł jeszcze niżej po trapie, sam. Mesa i pomieszczenie do spania były puste, kołyszące się puste hamaki, bezwładnie zwisające z belek, kojarzyły się z jakąś dżunglą. Na najniższym pokładzie Quilter przekonał się ze zdumieniem, że orlopdek też opustoszał. Liczył, że znajdzie tu trójkę tajemniczych pasażerów, z pewnością tracących zmysły z przerażenia, ale nikogo nie było. Jak dotąd poprzestawali na własnym towarzystwie; na żadne z nich Quilter nigdy nie natknął się na wyższych pokładach. Jeszcze parę godzin temu pomyślał o nich nie bez rozbawienia: mięczaki. Teraz zobaczył, że kabiny są puste.

Odgłosy życia usłyszał dopiero na trapie ładowni. Smród zęz wdzierał się w nozdrza jeszcze ostrzej, w miarę schodzenia zółć zbierała się Quilterowi w gardle. Głosy z dołu. Tam chyba trwała jakaś kłótnia. Quilter zdjął olejową latarnię kołyszącą się u belki i zszedł po trapie, trzymając się jedną ręką poręczy.

Ładownia ucierpiała najbardziej. W świetle migocącej lampy Quilter ujrzał przemieszane, skotłowane, splątane futra wśród resztek materiałów sztauerskich i skrzyń, z których parę przekoziółkowało i uderzyło w grodzie. Inne, potrzaskane i otwarte, suwały się to tu, to tam, w rytm przechyłów. Quilter chwiejnie postąpił parę kroków; wytężył słuch, żeby zrozumieć, co dobiega z

przeciwległego końca ładowni, i starał się nie myśleć o kataklizmie, który dotknął futra. Kapitanowi zagradzało drogę parę skrzyń, z których wysypało się trochę książek.

Książki? Quilter kopniakiem usunął je z drogi, potem uniósł latarnię i ruszył dalej, czując, jak woda cieknie mu do butów. Po co firma Crabtree & Crookes ekspeduje do Anglii książki? Skąd tyle tajemniczości? Parę razy woził kontrabandę, ale furty załadunkowej jego statku jeszcze nigdy nie przekroczyła książka. W świetle kołyszącej się lampy przyglądał się porozrzucanym tomom. Do kilku, zauważył, już się dobrała woda. Przemoczone i spęczniałe stronice wyglądały jak plisy koronkowej kryzy.

Podniósł wzrok. Po przeciwnej stronie ładowni majaczyło paręnaście niewyraźnych kształtów, ich cienie dygotały i przeskakiwały po grubo ciosanych deskach.

- Hej, wy tam! Co tu się dzieje?

Nikt się nie odwrócił. Omijając przeszkody, Quilter ruszył ku nim. Znowu książki. Szukając na deskach oparcia dla nóg, poczuł drewnienie wnętrza. Zmowa? Bunt? Jeżeli tak, to na *Bellerophonie* Quilter już zdmuchnął niejedno zarzewie buntu.

- Jazda, do roboty! - ryknął do znieruchomiałych kształtów. - Mamy przeciek. Słyszycie czy nie? Trzeba przesunąć ładunek. Ustawić pompy. Ruszać się, ale już! Zanim potoniemy!

Nadal nikt nie drgnął. A potem Quilter dostrzegł błysk ostrza i usłyszał:

- Nie podchodzić, powiedziałem!

Kapitan uświadomił sobie, że rozkaz nie jest skierowany do niego. Rząd postaci cofnął się o parę kroków przy wtórze niezrozumiałego, ale wyrażającego protest mamrotania. Quilter zbliżył się na tyle, że mógł już w półkołu światła rozróżnić twarze: może dziesięciu ludzi załogi przyparło do ściany trójkę obcych. Z nich jeden, ów większy mężczyzna, wznosił bułat.

Cóż to za historia? Trzymając się wręgi, Quilter podszedł jeszcze bliżej, a

potem wzdrygnął się i gwałtownie wessał powietrze. Co to takiego, w imię...

Zastygł w pół kroku. Pod butem uniesionej nogi leżało coś, co wypadło z rozbitej skrzyni, a okazało się przeogromną zuchwą wielkości łuku, z połyskującymi złowrogo zębami. Kapitan opuścił latarnię i mrugał, zmieszany i zaniepokojony. Skąd się to wzięło, u diabła? Przekroczył to coś, żeby znowu się wzdrygnąć, bo obok zuchwy leżało coś jeszcze bardziej zdumiewającego, ciało dwugłowego kozła zwieńczone czterema rogami. Stwór się wydostał ze szczątków rozbitego słoja, z którego płyn rozlany na deskach cuchnął jeszcze gorzej niż zęzy. Co to, na Boga żywego...?

Wkrótce ukazały się inne szkarady i potwory, które pamięć Quiltera zdołała z niedowierzaniem odtworzyć dopiero później, po latach wplatając je w nocne koszmary. Wysypywały się ze skrzyń, kiedy kapitana rzuciło w drugą stronę; kędziory i poprzekrzywiane czułki, usta słodkie i wabiące, straszliwe a lubieżne. Straszdyła na ogół nie występowały w postaci cielesnej, lecz rzeźb - były to groteskowe i złowrogie istoty z dwiema głowami i tuzinami kończyn młócących powietrze - bądź na stronicach ogromnej księgi, przewracających się bezładnie z każdym zakołysaniem statku. Przekraczając tę rozwartą księgę, Quilter zobaczył demona rogatego jak buhaj, gwałcącego młodzieńką dziewczynę ogromnym czarnym członkiem. Kiedy statek stoczył się z fali, wiedźma z pomarszczonymi piersiami kąsała kark nagiego mężczyzny, leżącego pod nią na brzuchu. Przerażony Quilter wpatrywał się w stronicę, czując ciarki na karku pod przemokniętą kurtą. Statek znów się zatoczył. Znowu pojawił się demon.

Ale stanowczo najgorszy był człekokształtny wytwór w jednej ze skrzyń tuż pod ścianą - ów obraz mógł towarzyszyć kapitanowi w koszmarach sennych aż do grobu - był to mężczyzna leżący na wznak z jakąś twarzą podobną maską, którego sztywne kończyny drgały, szamotały się, jakby ta bestia usiłowała wstać z trumny. Nawet lalkowate oczy obracały się gorączkowo, a głowa wykręcała i podskakiwała jak łebek zaciekawionego ptaka. Paru oszołomionych, zdębiałych



marynarzy też wpatrywało się w dziwo; jeden zęgnął się raz po raz i mamrotał pod nosem modlitwy. Quilter stał jak zaczarowany. Ależ tak, poruszały się nawet te uśmiechnięte wargi, jakby twór próbował mówić, poczęstować jakąś upiorną pogroźką.

- O, pan kapitan! Wreszcie pan postanowił dołączyć do nas. Głos ocucił Quiltera. Przestał wpatrywać się w szaleńczo gestykujący twór, uniósł wzrok i zobaczył, że mężczyzna z bułatem kłania się, a następnie, już wyprostowany, czubkiem broni wypisuje w powietrzu wstępne figury. Stojący kręgiem marynarze szybko cofnęli się o krok.

- Czy zechce pan odwołać swą załogę, kapitanie? W przeciwnym razie będę zmuszony poderżnąć im gardła.

- Diabeł - szyderczym tonem odezwał się marynarz Rowley, weteran portowych bójek. I on był uzbrojony.

Quilter dostrzegł wielkie szydło z komory żaglowej. Co tu się dzieje? Paru innych też zaciskało w dłoniach namiastki broni, wyciory, jakiś łańcuch, nawet kije od mioteł. Unieśli je teraz groźnie jak uzbrojona w widły gromada wieśniaków, która dopadła w opłotkach miejscowego wampira.

- Mało namordowałeś ludzi do tej pory? - Rowley wysunął się o krok.

- Wiedz, że nigdy czegoś takiego nie robiłem. Z tylnego rzędu dobiegł niepewny głos.

- Czarnoksiężnik! - pisnął młodziutki majtek. - Morderca!

- Brzmi to jak kwestia w teatrze - odparł obcy z uprzejmym uśmiechem, tnąc ostrzem cuchnące powietrze. - Ale może tę sztukę odegramy później, przyjaciele? I gdzie indziej? Słyszeliście, co mówi kapitan. Nasz statek...

Przerwał mu Rowley; runął naprzód z gardłowym krzykiem i wytkniętym przed siebie szydłem. Akurat w tym momencie statek gwałtownie położył się na sterburtę, jakby do zęz wdarło się więcej wody. Zataczający się marynarze uczepili się skrzyń, największy zaś pechowiec stracił podczas skoku równowagę i upadł na kolano; szydło w jego ręku na próżno kłuło powietrze. Kiedy

próbował wstać, poczuł na obojczyku ostrze miecza.

- Bękart - wysyczał przez zaciśnięte zęby; musiał odchylić się do tyłu oparty na pośladvach. Czubek miecza nie ustępował, naciskał mocniej, przeciął skórę. Pojawiła się kropelka ciemnej krwi i spłynęła na kołnierz. - Diabeł! Morderca!

- Rowley! - Quilter utorował sobie drogę przez ciżbę. - Na miłość boską, mamy przeciek. - Usiłował odepchnąć wszystkich od zbitej pod ścianą trójki. Co się dzieje z tymi ludźmi? Czy nikt nie słyszy huku wody przelewającej się w zęzach? Zaledwie o parę stóp pod nimi jest dziura, wdzierające się morze słyhać jak toczący się w przestworzach grom. Woda może się w każdej chwili wedrzeć do ładowni, a wtedy *Bellerophon* pójdzie na dno jak kamień. - Słyszysz czy nie? Przesunąć ładunek! W tej chwili! Zanim zatoniemy.

Dalej nikt się nie ruszał. A potem statek zatrzęsł się ciężko i uniósł, kil przeszorował po mieliźnie, wreszcie statek gwałtownie przechylił się na sterburtę. Marynarze zsuwali się po zagraconej ładowni, wpadali sobie w ramiona jak kochankowie. Quilter też stracił równowagę, a zanim zdołał się podnieść, poczuł, że ktoś pada na niego i ociera się o jego nogę. Kiedy obrócił się, żeby pomóc, zobaczył parę wybałuszonych, wlepionych w niego niewidzących oczu osadzonych w szyderczej masce. Stwór wyrzucony z trumny stoczył się teraz po pokładzie. Quilter kopnął go w brzuch, przyprowadzając o jeszcze gwałtowniejsze drgawki. Kiedy znowu się odwrócił zobaczył na pokładzie ładowni inną poskręcaną postać: Rowleya.

To wydarzyło się w okamgnieniu. Przed sekundą marynarz upatrzył szansę i runął naprzód z krzykiem, mierząc szydłem w brzuch obcego. Niestety, przeciwnik okazał się dla Rowleya za szybki. Dwoje kompanów obcego odskoczyło w tył, ale on sam usunął się zaledwie o pół kroku, a potem kilkoma leniwymi ruchami przegubu jeszcze raz wypisał kilka znaków, tym razem czerwonych, wprost na grdyce marynarza. Rowley zakaszłał, jakby zakrztusił się ością, a przód płaszcza swego zabójcy zbryzgał plamkami krwi. Potem

wypuścił z ręki szydło i padł na mokre deski, w drgawkach, ściskając słabnącą dłonią gardło i tocząc szklistymi oczami, istny bliźniak ohydnej maskary wierzgającej i drgającej o parę stóp dalej.

Podnoszący się właśnie z desek Quilter wpatrywał się w mężczyznę, który stał teraz nad Rowleyem, ocierał ostrze broni i marszczył brwi na widok krwawych plam na swym płaszczu, jakby zdziwiony, skąd się tam wzięły. Jego kompani kulili się w cieniu, Rowley zaś leżał nieruchomo, wzbierała tylko cynobrowa kałuża wokół jego głowy.

- W porządku. Są jeszcze jakieś pytania?

Tłumek odstąpił o krok. Mężczyzna starannie wsunął broń za pas. Ryk z dołu narastał, jakby z zęz, obnażywszy kły, wspinała się dzika bestia o płonących ślepiach.

- Nie słyszę. W takim razie proponuję, żebyśmy przyszli z pomocą kapitanowi.

Quilter, który tymczasem podniósł się i stał niepewnie, przeniósł pełne niedowierzania spojrzenie ze zbrozonego krwią ciała na stojącą nad nim postać. Po raz pierwszy zapomniał o wdzierającej się wodzie i o tym, że mogą w niespełna kwadrans potonąć, dać się zmiażdżyć.

- Przyszli z pomocą...?- Dyszał z wysiłku i wściekłości. - A jakim, u diabła, prawem...

Ledwie otworzył usta, pokład po raz trzeci przekrzywił im się pod nogami. Pchnięty siłą bezwładu Rowley przetoczył się, młóćąc powietrze bezwładną ręką, i przewrócił na wznak, jakby i on tknięty został złowrogimi czarami człowieka stojącego nad nim okrakiem. Oszołomieni marynarze niepewnie cofnęli się dalej. A potem w ładowni zabulgotało czoło wlewającej się wody.

Chociaż Quilter zdołał się wiele domyślić, to istotę sporu pod pokładem poznał dokładniej potem. Zapewne marynarze na widok książek i eksponatów - szczątków diabelskich, jak je nazywał w duchu Quilter - winę za sztorm i za ów

nagły wybuch gorączki przypisali Ambrose'owi Plessingtonowi (tak później przedstawił się mężczyzna). Bo jak inaczej można tłumaczyć tragiczną odmianę losu? Jedyne karą Wszechmocnego za szatańskie książki i potwory w czeluściach statku. A jak odwrócić nieszczęście i uratować statek? Wyrzucając za burtę haniebne skrzynie.

Sir Ambrose nie przystał na tę linię rozumowania. Utrzymywał, że marynarze grabili, chociaż kapitan nie mógł pojąć, skąd komuś - nawet takiemu, kto trzyma w schowku czepek noworodka - może przyjść chętka na owe makabryczne skarby. W końcu podtrzymał żądania swego pasażera i nakazał zatrzymać w ładowni dziewięćdziesiąt dziewięć skrzyń. Mogą posłużyć za balast, jeśli się je przesunie - byle s z y b k o, s z y b k ona bakburtę.

Zatem w ciągu najbliższej półgodziny - kiedy cuchnąca woda miarowo przelewała się przez pokład ładowni, po kątach sięgając już stopy - ekipa pracownicy przenosiła skrzynie wyżej. Po ulokowaniu w nich z powrotem makabrycznej zawartości - przerażające zadanie, od którego mdliło najbardziej śmiałych marynarzy - skrzynie na nowo zabito, a potem na bakburcie ustawiono na paletach, solidnie związano i zaklinowano sztauerskim drewnem zebrany z pokładu. Zadaniem drugiej grupy było wycięcie łuków w pokładach, żeby czekająca już w pogotowiu trzecia ekipa z wiadrami z żaglowego płótna mogła zacząć wybieranie wody. Lecz wkrótce Quilter zdał sobie sprawę, że rozpaczliwe wysiłki zdadzą się na nic; to było widać, kiedy połowa załogi i on sam wspięli się po trapach i dotarli do forkasztelu. Katastrofalny przechył *Bellerophona* w ogóle się nie zmniejszył. To była tylko kwestia czasu, sprawa najwyżej pięciu minut, zanim statek z ładunkiem i wszystkim pójdzie na dno.

Tyle dobrego, że ustała ulewa, ale wiatr z północnego wschodu nadal dął z całej siły. Wodne garby pędziły ku statkowi z białymi kosami piany. Na przednim pokładzie Pinchbeck z garstką ludzi usiłował zatamować przeciek na sterburcie na dziobie. Dwóch marynarzy, pomagając sobie bosakiem, zanurzało w pobliżu wyrwy kosz owinięty w płótno żaglowe; liczyli na to, że utrafią

koszem dostatecznie blisko wyrwy, a wówczas można by z kosza wytrząsnąć kłęb lin i pakułów, prąd wody może by wciągnął je w wyrwę i zatkał. Wcześniej Pinchbeck próbował przeciągnąć pod dziobem żagiel, ale bez powodzenia. Teraz płótno odpływało bezradnie w tył za bakburtą, jak jakaś ogromna kałamarnica, wydymająca macki, powracająca na swe podmorskie leże. Do komory żaglowej posłano trzech ludzi po następny żagiel, ale Quilter już widział, że to na nic; widział, że to wszystko daremne. Mógł dostrzec na zawietrznej, już niedaleko, Margate Hook, ogromną mieliznę na wpół wynurzoną przez odpływ. Zrozumiał, że nie ma nadziei. Statek rozbija się o rafę, zanim ludzie wrócą z komory.

- Już prawie nie ma wody pod kilem, kapitanie! - wrzasnął bosman, przekrzykując wycie wichury, kiedy kosz po raz dziesiąty zanurzał się w wodzie. - Odpływ! Wszystkiego cztery sążnie! Weszliśmy na mieliznę. Żagiel nie przejdzie pod spodem. Za duży wiatr! - Przerwał, żeby wskazać ludzi, którzy rękami zgrabiałymi z zimna mocowali się z koszem i bosakiem. - Kosz też nie!

- Próbuje dalej!

Kiedy kosz zniknął mu z oczu i dobiegło stłumione pluśnięcie. Quilter wstrzymał oddech. *Bellerophon* jeszcze bardziej położył się na bok; skrzywiony u szczytu fokmaszt niemal leżał w wodzie. Nie sposób było ustać na iście górskim zboczu fordeku, nie trzymając się czegoś. Tymczasem pierwsze fale przelały się przez krawędź prawego nadburcia. Za sterburtą majaczył i wabił brzeg, niebezpiecznie bliski. Quilter nawet słyszał krzyk mew, pomyślał też, że chyba czuje zapach pastwisk. Więc to tak, że śmierć się na nich zasadziła zaledwie o strzał z muszkietu od brzegu? Kiedy w zasięgu wzroku są drzewa i stada spokojnych owiec żujących w zadumie? Po paru sekundach kosz wynurzył się na powierzchnię, przy wtórze chóru przekleństw.

- Nic z tego, kapitanie! Beznadziejna sprawa! - Pinchbeck wyprostował się i otarł czoło zakrwawioną chustą. - Ja powiem tyle: schodzimy!

Lecz Quilter odwrócił się, porażony, nie słyszący, wpatrywał się w

chmury na wschodzie rozpoczynające inwazję na ląd. Miał zlodowaciałe palce i policzki, niemal po kostki stał w wodzie. Rafa Margate Hook wydawała się jeszcze bliższa, niewyraźnie mrugała stara drewniana latarnia morska. Najdalej za minutę fale rzucą wszystkich na rafę.

- Powiadam, że schodzimy ze statku - powtórzył Pinchbeck, odwrócił się do ludzi, nie usłyszawszy od Quiltera ani słowa. - Przygotować szalupy!

- Za późno - mruknął do siebie Quilter, kiedy paru marynarzy ruszyło na rufę ku łodziom na żurawikach. Zaraz zatrzymał ich jednak krzyk ze śródokręcia.

- Kapitanie! - krzyczał marynarz z oka, uczepony fokmasztu jedną ręką, a drugą wskazujący za rufę. - Niech pan popatrzy! Statek! Tam!

Quilter przymrużył oczy i spojrzał pod wiatr. Za sterburtą z tyłu pojawił się statek; bez fokmasztu i bukszprytu, z resztą masztów nagą lub okrytą strzępami płótna. Głęboko zanurzony kadłub bezradnie dryfował, jedna z rej obracała się jak łopaty wiatraka. Jeszcze bardziej zmrużywszy oczy, Quilter dostrzegł, że na pokładzie rufowym jest paru ludzi, a grupa innych zмага się z szalupą opuszczaną na fale wdzierające się już na śródokręcie. Nawet z tej odległości Quilter mógł przeczytać nazwę na dziobie. *Gwiazda Lubeki*. W sekundę potem dojrzał, że trzech mężczyźni na rufie ubrani są na czarno. Widziani przez mgiełkę sprawiali wrażenie cieni.

Oto jednak statek zniknął z pola widzenia, bo właśnie kadłub *Bellerophona* uderzył w podwodną krawędź Margate Hook i zaczął się rozpadać. Wdarł się na rafę do połowy kilu, deski i belki zatrzeszczały przeraźliwie, maszty runęły, zanim dygocący statek zatrzymał się, wbity bukszprytem i dziobnicą pod wystające kamienie. Potem przechylił się w męczarniach na sterburtę, a wtedy trzasnął bukszpryt, cały zaś kadłub przełamał się, deski poszycia wygięły i potrzaskały, drewniane szpunty wystrzeliły z konstrukcji jak korki. W kilka sekund potem szalejąca woda runęła na potrzaskane pokłady, a kapitan Quilter wraz z załogą wyfrunęli za burtę wprost

w szarą paszczę morza.

## XI

Kiedy znów się znalazłem na Seething Lane, ogromny cień budynku Marynarki nasunął się na kościół Św. Olafa. W świetle dnia budowla wydawała się jeszcze większa, masywna konstrukcja z wykuszowymi piętrami i smołowanymi belkami przypominała ogromną fregatę, która osiadła na lądzie w środku Londynu. Wrażenie spotęgowało się, kiedy minąłem wartownię i przestąpiłem próg ciężkich dębowych drzwi, które właśnie otwarto. Drewniana podłoga jak pokład, dziesiątki urzędników i gońców kłębiące się jak marynarze gotujący się do odparcia sztormu; za otwartymi drzwiami dużego gabinetu zobaczyłem dwóch czy trzech kapitanów naradzających się nad mapą, na rogach przytwierdzoną do stołu przyciskami w kształcie kotwic. Widok przystojnych twarzy, osmalonych słońcem tropiku, przypomniiał mi, że kiedy tkwię w domu, w mojej księgarni, w tym samym czasie inni mężczyźni żeglują na krańce świata, badają nowe kontynenty, zmierzają w górę tajemniczych rzek. Poczulem się tu beznadziejnie nie na miejscu.

Od splądrowania księgarni minęły dwa dni. Już wczoraj wczesnym popołudniem firma Nonsuch Books zaczęła normalnie funkcjonować; prawie normalnie. Z moich doświadczeń wynika, że najstraszniejszą katastrofę można naprawić za pomocą falcerki, świdra i krosna introligatorskiego. Z głębi księgarni całymi godzinami dobiegały odgłosy gorączkowych, nieprzerwanych prac. Stolarz naprawił zielone drzwi i ulokował znowu na zawiasach, ślusarz wymienił zamek na jeszcze mocniejszy. Stolarz wymierzył też i zawiesił pięć nowych półek z orzecha, ja zaś szybko zapełniłem je książkami. Wraz z Monkiem zebraliśmy resztę tomów z podłogi i zajęliśmy się odświeżeniem najbardziej uszkodzonych. Uznałem, że możemy w pełni sił wrócić do branży po jednym, najwyżej dwóch dniach.

Rankiem zostawiłem księgarnię pod opieką Monka i znowu wybrałem się na Seething Lane, tym razem nie po to, żeby się czaić na przykościelnym

cmentarzyku św. Olafa, lecz do Ministerstwa Marynarki, wyjątkowo obiecującego przy szukaniu tropów sir Ambrose'a i śladów podróży do cesarstwa Gujany. Jeśli się dowiem więcej o sir Ambrosie, pomyślałem, może się dowiem więcej o moich tajemniczych przeciwnikach, nawet o samym Henrym Monboddie. Miałem nadzieję, że kto wie, może się jeszcze zachował dziennik pokładowy *Philipa Sidney'a*, lub jego mapy morskie czy inne pamiątki. Liczyłem też na to, że na własne oczy zobaczę egzemplarz raportu lorda kanclerza dotyczący katastrofalnej wyprawy Raleigha z lat 1617-1618.

Spędziwszy w ministerstwie dwie godziny, nie stałem się jednak ani trochę mądrzejszy. Wciąż wysiadywałem ławkę, kiedy dzwony św. Olafa wybijały dziewiątą, potem dziesiątą. Kapitanowie w mundurach zdobionych aplikacjami wchodzili i wychodzili ze zwiniętymi mapami pod pachą. Zgarbieni nad biurkami urzędnicy żwawo wymachiwali piórem, podczas gdy pod nogami innych energicznie skrzypiała podłoga. Wezwania doczekałem się dopiero o jedenastej, po to tylko, żeby rozpocząć wędrówkę od jednej ciasnej nory do drugiej. Nikt z urzędników nie słyszał - jak brzmiały zapewnienia - o kapitanie nazwiskiem sir Ambrose Plessington; nikt też nie miał pojęcia, gdzie można znaleźć dziennik pokładowy bądź raport lorda kanclerza. Któryś z tych ludzików podsunął, że może w dawnej siedzibie ministerstwa na Mincing Lane, lecz inny uznał, że raczej w Tower, gdzie trafiły, jak twierdził, niektóre dokumenty z kanclerskiego archiwum. Trzeci wyjaśnił, że ministerstwo popadło w stan zamętu, ponieważ wylano starych Cromwellowskich komisarzy, a nowi, z królewskiego mianowania, chyba nie potrafią zlokalizować dokumentów sprzed czterdziestu lat, skoro jeszcze się nie nauczyli drogi do własnych biur i beznadziejnie błądzą po budynku.

Minęło południe, zanim wyszedłem z Marynarki z mocnym przekonaniem, że pora poszukać śladów sir Ambrose'a gdzie indziej. Lawirowałem w tłumie, zmierzając ku nabrzeżu Tower, gdzie tkwiące przy pomostach dziesiątki lichtug i pinek przypominały cierpliwe trzody. Przez



dziesięć minut przemierzałem nabrzeże, to wchodząc, to schodząc, wpadając na dokerów z łoskotem przetaczających beczki i klnąc pod nosem, aż wreszcie znalazłem wolną łódź i wgramoliłem się do środka.

Rejs do Wapping zajął niemal trzydzieści minut z powodu przyływu. Na tę wioseczkę w dole rzeki, odległą od Tower o milę, składało się niewiele ponad jeden czy dwa rzędy domów na palach, wywieszonych nad brzegi Lower Pool. Z mego pokoju w wieżycze czasem mogłem dostrzec tamtejszy skład drewna i wieżę kościoła, lecz moja noga jeszcze tam nie postąpiła. Tego dnia wszakże miałem nadzieję odnaleźć starego jegomościa nazwiskiem Henry Biddulph, który w Wapping przemieszkał najlepszą część swych siedemdziesięciu lat. Był urzędnikiem archiwum Marynarki do roku 1642, kiedy to większość floty przeszła na stronę Cromwella, a wierny królowi Karolowi Biddulph stracił stanowisko. Wówczas poświęcił się pisaniu historii floty od czasów Henryka VIII. Była to praca o gargantuicznym zakroju. Po osiemnastu latach i wydaniu trzech tomów autor nie doszedł jeszcze do wyprawy hiszpańskiej Wielkiej Armady z 1588 roku. Nie udało się też sprzedać zbyt wielu egzemplarzy, chociaż pieczołowicie trzymałem na składzie wszystkie trzy tomy. Z biegiem lat Biddulph stał się jednym z moich najlepszych klientów. Podejrzewałem, że o okrętach wie tyle, ile ja o książkach. Po parę razy na miesiąc odwiedzał Nonsuch House, ja zaś wynajdowałem dla niego dziesiątki książek. Miałem teraz nadzieję, że udzieli mi w zamian paru informacji.

W Wapping „kapitan” Biddulph (jak nazywali go sąsiedzi) był osobistością, chociaż dom, do którego drogę wskazano mi w jedynej tutejszej tawernie, prezentował się bardzo skromnie: drewniane maleństwo z dziurawym dachem i zachwaszczonym ogródkiem. Dwa okna frontowe wychodziły na rzekę, dwa na znajdujący się z tyłu skład drewna, skąd dobiegał przerażający hałas młotków i pił. Widocznie nie był w stanie przeszkodzić Biddulphowi, właśnie pogrążonemu w pracy nad czwartym tomem, kiedy zastukałem do drzwi końcem kosturka. Biddulph zaraz mnie poznał i zaprosił.

Zawsze go lubiłem. Był dziarskim staruszkim o wesołych niebieskich oczach i mniszej obwódce z białych włosów, nastroszonych nad uszami jak u sowy. Kiedy ogarnąłem wzrokiem bałagan w gabinecie, z przyjemnością rozpoznałem w Biddulphie bratnią duszę. Najwyraźniej wszystkie pieniądze obracał na książki lub półki, na których je umieszczał. Ba, większość książek oprawnych w marokin prezentowała się lepiej niż ich właściciel, w znoszonych bryczesach i zniszczonej skórzanej kamizeli. Widywałem go dotychczas tylko u siebie w Nonsuch House, więc dość osobliwe wydało mi się spotkanie tutaj, na odmiennym gruncie, w maleńkim gniazdku z zawieszonymi na ścianie pożółkłymi rycinami okrętów. Przez okno zakradł się rudy kocur i wskoczył Biddulphowi na kolana, ja zaś nie bez szczypty smutku uświadomiłem sobie, jak mało wiem o moich najwierniejszych klientach.

Po obiedzie, na który Biddulph podał długie płaty węgorka z rusztu, przeszliśmy do gabinecie, gdzie namówił mnie do skosztowania nowego napoju zwanego rumbullionem bądź w skrócie rumem. Był to płyn z piekła rodem; zdawał się parzyć przelyk i ćmił mózg.

Zauważywszy mój grymas, Biddulph wesoło zachichotał.

- Dwa razy mocniejszy niż brandy. Marynarze z Indii Zachodnich mówią o nim „diabłóbój”. Destylowany z melasy. Pewien znajomy kapitan szmugluje dla mnie dodatkowy antałek wprost z Jamajki. Zostawia go w Wapping, zanim zacumuje przy Legal Quays<sup>1</sup>. - Jeszcze raz zachichotał, lecz potem jego spojrzenie spoważniało, w niebieskich oczach zaśniła ciekawość. - Tak, ale nie przyjechał pan przecież do Wapping, żeby się napić rumu.

- Rzeczywiście, nie - wyszeptałem, usiłując złapać oddech, bo napój właśnie awanturował mi się w piersiach. - Nie, proszę pana. Zjawilem się, bo chciałem się czegoś dowiedzieć o pewnym okręcie.

- O okręcie? - Wyglądał na zaskoczonego. - No dobrze. Co to za okręt?

W pierwszej chwili Biddulph nie skojarzył ani nazwy *Philip Sidney*, ani nazwiska kapitana. Lecz kiedy wyjaśniłem, dlaczego podejrzewam, że okręt

wziął udział w ostatniej wyprawie Raleigha, Biddulph zaczął zerkać ku śliwowym belkom nad głową i mrużyć po nosie „Plessington, Plessington”, jakby nazwisko było zaklęciem. Po chwili klasnął w dłonie, płosząc rudego kocura.

- Tak, tak, tak... Teraz sobie przypominam. Oczywiście. Jasne. Kapitan Plessington! Jak mogłem zapomnieć? - Wcześniej wypchał sobie policzek prymką tytoniu, a teraz przerwał, by posłać strumień soku z ust wprost do spluwaczki pod nogami. - To dlatego, że żyję teraz w innym stuleciu - powiedział, wskazując na stół do pracy, gdzie wśród innych tomów dostrzegłem też egzemplarz Fazeby'ego<sup>2</sup> *Wiernego przedstawienia zniszczenia Niezwyciężonej Armady*. Zrozumiałem, że Biddulph wreszcie dotarł do kluczowych wydarzeń z roku 1588. - Spędzam teraz tyle czasu pod panowaniem królowej Eli, że czasem ta skołowana mózgownica zawodzi. Ale kapitan Plessington, tak, owszem, pamiętam jego okręt. - Energicznie pokiwał głową. - Oczywiście, że pamiętam, panie Inchbold. Bardzo dobrze pamiętam. - Lecz nagle potakująca głowa zamarła, a wesołe niebieskie oczy zwężyły się. - Czego pan chce się dowiedzieć o tym okręcie?

Wzruszyłem ramionami.

- Czegokolwiek; wszystkiego, co pan powie. Mam wrażenie, że Plessington otrzymał zgodę na zbudowanie okrętu w 1616. Interesuję się jego wyprawą, jeśli w ogóle się odbyła.

- Och, odbyła się, panie Inchbold. - Biddulph znów potakiwał, głaszcząc kocura, który wyciągnął mu się na kolanach. - A pan ma szczęście, bo mogę panu powiedzieć o tym zezwoleniu. To, i znacznie więcej, skoro pan sobie życzy. Widzi pan, w owych czasach pracowałem w Marynarce, byłem zastępcą sekretarza, widziałem więc przeróżne kontrakty i księgi rachunkowe *Philipa Sidneya*. - Spojrzał na mnie, unosząc białą brew. - Te dokumenty, panie Inchbold, składają się w dziwną opowieść.

Dzięciołowaty łoskot w składzie drewna jakby przycichł na chwilę;

słyszałem tylko fale przelewające się między palami podtrzymującymi dom. Bawiłem się filiżanką i bardzo się starałem, żeby to, co powiem, zabrzmiało od niechcienia:

- A cóż to może być za dziwna opowieść?

- Bo cała wyprawa była dziwna, panie Inchbold. I pan z pewnością o tym wie. Ale proszę o chwilę cierpliwości... - Znowu zerknął ku belkom, powoli żując prymkę ukrytą w wydętym policzku. - Starzy ludzie muszą rozgryzać sprawy krok po kroku. Stary mózg z łatwością miesza jedno z drugim.

- Ależ oczywiście, panie Biddulph. - Poczulem w gardle pulsowanie, mocne i powolne. Odchyliłem się na krześle i pociągnąłem jeszcze jeden palący łyk rumbullionu.

Stary mózg Biddulpha nic jednak nie stracił ze zwykłej przenikliwości i niedługo trzeba było czekać na przywołanie szczegółów.

- Pozwolenie wydano, jeśli pamiętam, latem roku 1616 - wyjaśnił po krótkim namyśle, wciąż się wpatrując w splekane belki. - Tuż po uwolnieniu Raleigha z Tower. Zaraz potem ruszyła budowa okrętu, w stoczni w Woolwich, tej samej, z której wyszły nasze najwspanialsze liniowce. To tam zbudowano *Harry'ego Grace d Dieu* dla Henryka VIII i *Royal Sovereigna* dla świętej pamięci króla Karola. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie - dodał po chwili.

- A *Philip Sidney*? - podpowiedziałem, kiedy już zaczynała nam grozić cisza.

- No właśnie. *Philip Sidney*. Ten okręt budował sam Phineas Pett, mistrz nad mistrze. A to było nie lada zadanie nawet dla skutnika jego klasy. Sześćset ton wyporności i ponad sto dział na pokładzie. Jednostka jeszcze większa niż *Destiny*, którą zresztą też zbudowano w Woolwich. Trzeba było całych ośmiu miesięcy od chwili, w której konie nasunęły belki stępki na miejsce, aż do wiosennego wieczoru, kiedy okręty drgnął i zsunął się po natłuszczonej pochylni w wody przyływu. Byłem wtedy w stoczni. Sam książę Karol czynił

honory, wzniosł kielich wina. Wówczas niemal chłopiec. *Pobłogosław, Panie, tę nawę i wszystkich, którzy nią pożegłują...* No cóż, czcza gadanina - mruknął ponuro - zważywszy na to, co się potem stało. Pamiętam, że pomyślałem: Ten okręt to cud, najświetniejszy, jaki pod żaglami wyjdzie w morze.

- Z powodu rozmiarów?

- Nie tylko. Widzi pan, w Marynarce nikt z nas się nie spodziewał, że w ogóle zostanie ukończony. Wyprawa Raleigha od początku zakrawała na szaleństwo. Wszyscy wiedzieli, że sir Walter to bufon. Wpierw była ta sprawa odkrycia kolonii na wirginijskich bagnach. Potem trzynaście lat spędził w Tower na obmyślaniu zwariowanych planów odkrycia jakiejś kopalni w środku gujańskiej dżungli. Moim zdaniem szaleństwo czystej wody. W końcu ten biały szpat z *Lwiego Szczenięcia* sprawdzany w Izbie Złotniczej przez nadzorcę Mennicy...

- Przepraszam - przerwałem. - *Lwie Szczenię...*? - Nazwa brzmiała znajomo.

Ruchem głowy wskazał jedną z rycin zawieszonych na ścianie nad biurkiem, przedstawiającą okręt.

- Okręt Raleigha z pierwszej wyprawy do Gujany.

- Ach... no tak. - Przypomniałem sobie *Odkrycie wielkiego, bogatego i pięknego Cesarstwa Gujany* Raleigha, niegruby tom, który kiedyś ulokowałem na swych półkach, wymieniony też na przygotowanej przez Aletheę liście książek zaginionych z Pontifex Hall. Przepadł wraz z *Labiryntem świata*. - Oczywiście.

- Jak już mówiłem, biały szpat przywieziony z Gujany w 1595 zawierał jedynie dwadzieścia uncji złota na tonę rudy. Śmieszna ilość; chyba nikomu nie opłaciłoby się drążyć kopalni w Anglii, a co dopiero o tysiące mil dalej, w sercu dżungli. Było też faktem, że nikt nigdy nie nakreślił wiarygodnej mapy Orinoko, tego nie zrobili nawet Hiszpanie, mimo że najlepsi saperzy ze Szkoły Nawigacji i Kartografii w Sewilli włączyli się po dżunglach Gujany przez całe

dziesięciolecia. Co do kopalni złota, to Hiszpanie mogli polegać tylko na słowach paru torturowanych dzikusów, a przecież wiadomo, że ofiara tortur zawsze powie torturującemu wszystko, co tamten chce usłyszeć, nawet rzeczy najbardziej fantastyczne. - Przerwał, by znowu strzyknąć do spluwaczki. - Najgorszy ze wszystkiego był jednak hiszpański ambasador.

- Gondomar - mruknąłem.

- Otóż to. Wszyscy wiedzieli, jaki ma wpływ na króla Jakuba. Gondomar rządził królem chyba skuteczniej niż Buckingham, wtedy jeszcze zwyczajny sir George Villiers. I to Gondomar rozgłaszał, jak dalece nie podoba mu się koncesja dla Raleigha. Widzi pan, dla niego Raleigh to był tylko korsarz, taki sam jak Drake. Wkrótce też rozeszły się pogłoski, że i Villiers już nie jest zachwycony przedsięwzięciem. Więc przez te osiem miesięcy wyczekiwaliśmy, kiedy cieśle Perta rzucą narzędzia albo kiedy nadejdzie taki ranek, że zbudzimy się i zobaczymy na pochylni *Sidneya* spopielonego po stępkę.

Wiatr niósł przez okno słonawy smród przyływu. Przyglądałem się mewie, która przemknęła za uniesionym oknem, potem kołyszącemu się masztowi pinki halsującej powoli pod prąd. Biddulph zamilkł, a stukot młotków w składzie drewna wydał się głośniejszy niż dotychczas.

- Jednak nie zdarzyło się nic z tego - odpowiedziałem. - Okręt pożegłował.

- A tak, pożegłował. - Biddulph przesunął grudę tytoniu pod drugi policzek i wzruszył ramionami. - Chciwość wzięła górę zarówno nad obawami, jak i zdrowym rozsądkiem; tak się zazwyczaj dzieje. Pieniądze na wyposażenie okrętu i opłacenie załogi już zebrano, wyłożyli je inwestorzy londyńskiej giełdy, więc obawy i zdrowy rozsądek mogły doprowadzić do bankructwa połowy Londynu. Ergo, w czerwcu 1617 *Sidney* wyszedł z Londynu do Plymouth, gdzie miał dołączyć do reszty floty. To też widziałem. Podnosi kotwice i płynie z Woolwich z biegiem Tamizy. Mam jeszcze przed oczami nazwę wymalowaną pozłotą na tarczy herbowej - powiedział zamyślony, potem dodał: - Szczególna

nazwa jak na okręt, prawda? Nazwisko poety.

- Tak - odrzekłem. - Szczególna. - Już wcześniej uświadomiłem sobie, że może istnieć związek między okrętem a jedną z ksiązek poświęconych filozofii hermetycznej, którą parę dni temu odkurzałem, *Spaccio delia bestia trionfante* Giordana Bruna<sup>3</sup>, dziełem ezoterycznym, gloryfikującym religię starożytnych Egipcjan. Bruno zadedykował rozprawę sir Philipowi Sidneyowi, który był nie tylko poetą i dworzaninem, lecz także żołnierzem; poległ w walce z Hiszpanami w Niderlandach.

- Mówiłem już, że widziałem, jak rusza w dziewiczy rejs - ciągnął Biddulph. - Ale pomyślałem, że widzę ten okręt może po raz ostatni. Że *Sidney* może już nie wróci do Londynu.

- Przez Gondomara? - Zdawało mi się, że znam tę część historii. Kiedy Raleigh wyszedł z Plymouth, flota hiszpańskich okrętów wojennych w La Coruña podobno podniosła żagle. - Mówiło się, że Hiszpanie zamierzali tę flotę przechwycić.

- Nie, to było coś więcej. - Zmienił pozycję na krzesło; z siedzenia wyłaziło tu i ówdzie końskie włosie. - Na moim stanowisku miałem wtedy dostęp do ksiąg okrętu. Czytałem nie tylko to, co dotyczyło wyposażenia i zaopatrzenia *Sidneya*, lecz i to, co dotyczyło innych okrętów. Odpowiadałem za przygotowanie wszystkich umów Marynarki, a także za wszystkie listy Marynarki wychodzące, przychodzące, za przygotowanie ich do podpisu i wysyłki. Te dokumenty przeważnie dotyczyły zakupu zapasów, drewna, olinowania, żagli i tak dalej. Widzi pan, flota okrętów to trzoda żarłocznych potworów. Trzeba je poić i karmić, szorować i szczotkować jak cenne konie wyścigowe, a potem odziać w płótna, jak piękne damy u modniarki i krawcowej. Doglądałem też wszystkich planów skutniczych i modeli - dokończył - wraz z umowami za te prace.

- I czego się pan dowiedział?

Biddulph zachował kamienny wyraz twarzy.

- Że kapitan *Sidneya* ani myśli płynąć pod prąd Orinoko. Bo powiem panu, panie Inchbold, że okręt kapitana Plessingtona różnił się od pozostałych w tej flocie.

Przełknąłem ślinę. Rumbullion i łoskot młotków przyprawiły mnie o okropny ból głowy.

- Różnił się? W jaki sposób?

- *Sidney* to był liniowiec - tłumaczył Biddulph. - Co oznacza, że mógł na pokład zabrać sto, a nawet więcej dział. *Destiny* wyposażono w zaledwie trzydzieści sześć. Rzecz jasna przy takiej ciężkiej artylerii *Sidney* musiał mieć głęboko zanurzony kil, jak większość naszych liniowców. To dlatego nasze okręty wojenne górują nad holenderskimi - dodał ciszej, jakby w obawie, że może jakiś holenderski szpieg pęta się pod sfatygowanymi palami. - I to dlatego Cromwell zdołał tak gładko pokonać Holendrów w 1654. Holendrzy potrzebują okrętów wojennych o małym zanurzeniu, żeby się mogły poruszać po własnych wodach przybrzeżnych, a skoro te okręty muszą mieć małe zanurzenie, nie mogą wziąć na pokład artylerii tak ciężkiej jak nasze. Ergo, dysponujemy znacznie większą siłą ognia. Wyposażone w parę trzydziestodwufuntówek nasze okręty liniowe mogą ich floty zemleć na miazgę. Natomiast Hiszpanie ze swoim fregatami... no cóż, to całkiem inna sprawa - dodał z żalem.

- A *Philip Sidney*? - znów musiałem podpowiedzieć. - Miał głębokie zanurzenie?

- Właśnie. Ten okręt wspaniale się nadawał do masakrowania Holendrów, niestety kiepsko do wypraw po rzekach Gujany. Przy takim zanurzeniu nie miał szans żeglować po Orinoko.

Widzi pan, panie Inchbold, była jeszcze jedna dziwna historia dotycząca tej podróży. Sam sobie stawiałem pytanie, dlaczego flota Raleigha miała zawinąć do Gujany w grudniu bądź styczniu, kiedy na tamtej rzece żeglują się najtrudniej. Żeby wpłynąć Orinoko w głąb lądu, nawet w pobliżu głównego ujścia, potrzeba jednostki o pięciu lub sześciu stopach zanurzenia, i to tylko



biorąc pod uwagę przejścia, które można odnaleźć podczas przyływu. W porze deszczowej. Zatem w styczniu...

- No tak - skinąłem - styczeń to pora sucha. - Zachodziłem w głowę, co może znaczyć ta informacja. - A jeśli działa miały tylko zapewnić obronę? Może głównym celem budowy *Philipa Sidneya* nie była żegluga w górę rzeki? Może *Sidney* miał tylko zarzucić kotwicę przy brzegu? Sir Ambrose mógł z łatwością popłynąć w górę Orinoko szalupą czy inną małą jednostką.

- To prawda. - Wzruszył ramionami i przerwał, żeby znów, z wigorem grenlandzkiego wieloryba wyrzucającego fontannę wody, strzyknąć strumieniem tytoniowego soku. - Okręt Plessingtona, rzecz jasna, miał szalupę na rufie. Lecz były różne rzeczy, których nie miał. Widzi pan, prócz beczek słodkiej wody i marynowanej wieprzowiny na inne okręty załadowano wszelkiego rodzaju sprzęt do kopania i badań. Kilofy, łopaty, taczki, wózki, żywe srebro. Na moim biurku leżała sterta umów, sterta rachunków. Do tego trzeba dodać kontrakty dla żołnierzy i załogi, w większości, powiedzmy szczerze, bandziorów cuchnących kryminałem albo zamtuzem, bo najlepsi marynarze z Londynu i Plymouth uznali wyprawę za szaleństwo.

- A *Philip Sidney*?

No właśnie, to było najdziwniejsze. Na pokład *Philipa Sidneya*, opowiadał Biddulph, nie trafił sprzęt badawczy; nie było żadnych narzędzi górniczych, do kopania, nic. W każdym razie nic takiego nie odnotowano w Ministerstwie Marynarki. Żadnej takiej umowy nie podpisał ani nie opieczętował zastępca sekretarza. Jedynie żołnierze i działa, a wszystko przeprowadzane, jak uznał młody Biddulph, w najgłębszej tajemnicy. Podobnie z innymi rzeczami: plikami papierów z wykresami i tablicami; nie umie jednak powiedzieć, czego dotyczyły. Nie miał pojęcia o takich sprawach. Niemniej skomplikowane rysunki i wszelkiego rodzaju tabele z matematycznymi obliczeniami wiązały się z konstrukcją *Philipa Sidneya* i jego wyposażeniem. Znak czasu, tak uważa. Gdzieś w Ministerstwie Marynarki była książka

zatytułowana *Wynalazki chowane w tajemnicy, przydatne i niezbędne dzisiaj dla obrony tej Wyspy i stawienia czoła Cudzoziemcom, nieprzyjaciółom Boga, Prawdy i Religii*. Jej autorem, objaśnił Biddulph, był Szkot nazwiskiem John Napier<sup>4</sup>.

- Z tego względu jest mało prawdopodobne, że pan tę książkę znajdzie u siebie na półce, panie Inchbold. To dokument poufny. Wydrukowany w niewielu egzemplarzach.

- John Napier? Boję się, że nie nadażam. To był, zdaje się, matematyk?

Rzeczywiście, przyznał Biddulph. Napier, człowiek wielu talentów, to pierwszy matematyk, który posłużył się przecinkiem dziesiętnym; w roku 1614 dokonał swego największego odkrycia: logarytmów. W owych czasach, tłumaczył Biddulph, otwierały się ogromne nowe światy, nie tylko w Ameryce czy na Południowym Pacyfiku, lecz także w matematyce i astronomii. Ludzie pokroju Galileusza i Keplera dokonywali takich samych odkryć na niebie, jak wcześniej Magellan i Drake na oceanach. W 1610 roku Galileusz po raz pierwszy zobaczył przez swój teleskop księżyc Jowisza. Do roku 1612 Kepler doliczył się na niebie tysiąca i jednej gwiazdy, o dwieście więcej, niż odnotował Tycho de Brache. Parę lat wcześniej Kepler, zagorzały protestant, przerwał obserwację gwiazd, żeby wyliczyć sir Walterowi Raleighowi najbardziej efektywną metodę składowania pocisków na pokładzie działowym. Ta nowa wiedza, mówił dalej Biddulph, pasowała jak ulał do wypraw po złoto i do wojen religijnych. Matematycy i astronomowie byli na służbie królów i cesarzy. W Szkocji, w obawie przed kolejną hiszpańską Armadą czy katolicką inwazją, Napier snuł skomplikowane plany swoich „chowanych w tajemnicy wynalazków”, z których jednym było gigantyczne zwierciadło, mające za pomocą słonecznego żaru zapalać nieprzyjacielskie okręty na Kanale. Jego logarytmy szybko posłużyły za pomoc w nawigacji Edwardowi Wrightowi<sup>5</sup>, uczonemu z Cambridge, autorowi *Pewnych błędów w nawigacji, wykrytych i poprawionych*.

- Wojna stała się wyrafinowaną sztuką - wywodził Biddulph - prowadzono ją bowiem za pomocą tajemniczych liczb i skomplikowanej geometrii. Podobnie nawigacja. Francis Bacon wykreślił plany lepszych i większych statków handlowych; wyporność 1100 ton, długość stępki 115 stóp, grotzagiel szerokości 75 stóp. I eksperymentował w poszukiwaniu nowych metod ustawiania i przestawiania całych rzędów żagli, żeby przyspieszyć rejsy przez ocean. Opowiadano nawet, że to sam Bacon zaprojektował *Sidneya*; a to już byłby niezły numer, z tego, co wiem. Jak większość ludzi w owym czasie, Bacon płaszczył się przez Villiersem. Jeżeli Villiersowi zachciałoby się okrętu, Bacon by go na pewno zaprojektował. Przecież York House, swój dom na Strandzie, Bacon sprzedał Villiersowi, kiedy się tamtemu ów dom zamarzył. A Villiers zaproponował, żeby tam właśnie lokować wszystkie książki i obrazy, które zaczął gromadzić...

- Zatem chce pan powiedzieć, że co? - odważyłem się wtrącić. - *Że Philip Sidney* był uzbrojony... bo ja wiem... w jedno Z tych gigantycznych zwierciadeł Napiera?

Zacząłem się zastanawiać, czy mimo wszystko Biddulpha nie zawodzi umysł. Potem jednak przypomniałem sobie, że *Pewne błędy w nawigacji, wykryte i poprawione* Edwarda Wrighta jteż się znajdowały na liście ksiąg, które zniknęły z Pontifex Hall; że to jeszcze jeden z tomów zabranych z biblioteki wraz z *Labiryntem świata*.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział spokojnie. - Tłumaczę tylko, w jaki sposób się okazało, że *Philip Sidney* został przygotowany do całkiem innych zadań niż poszukiwanie złota nad Orinoko.

- A to oznacza?

- Może nic nie oznacza; może nic szczególnego. Jak pan zauważył, na pełnym morzu czyhają najrozmaitsze zagrożenia. Byłoby szaleństwem nie brać na pokład tylu dział, ile zdoła unieść okręt. Żeby jednak zrozumieć prawdziwe cele podróży *Sidneya*, trzeba zrozumieć, jak stały sprawy w tamtych czasach.

Mam na myśli zarówno sytuację w Marynarce, jak i w kraju.

- Prawdziwe cele?

Biddulph zamilkł. Przymknął oczy, przez chwilę myślałem nawet, że zasnął.

Czułem, że w tym ciasnym pokoiku zaczynam się pocić i dusić. Na końcu języka miałem już to samo pytanie, lecz Biddulph nagle otworzył oczy i z ciężkim stęknieniem stanął na równe nogi. Kot śpiący w zgięciu ramienia zamrugał w żółtawym snopie słońca.

- Tak. Prawdziwe cele. Może jednak wybierzemy się na spacer, panie Inchbold? - Podrapał kota za uchem i spojrzał na mnie oczami zmrużonymi w ostrym świetle. - Opowiem panu wszystko na przechadzce. Widzi pan, odrobina peregrynacji czasem odświeża stary, zmęczony mózg.

Wyszliśmy z domku, tymczasem przypływ ustąpił miejsca odpływowi i teraz większość jednostek na Lower Pool zmierzała ku celom w dole rzeki. Skrzypiały dulki, chlupotały wiosła, w łagodnym powiewie szumiały żagle. Szliśmy nabrzeżem ku Shadwell, a słońce grzało nam ramiona. Ja i mój kosturek musieliśmy się namęczyć, żeby dotrzymać kroku Biddulphowi, zwawemu jak skowronek. Zwalniał tylko po to, żeby zerwać prymulki na brzegu, wskazać jakąś osobliwość krajobrazu bądź dowieść galanterii wobec dam z Wapping, powracających z targu w Smithfield z koszykami, z których wyzierała dzisiejsza kolacja. Przeszliśmy niemal milę, aż do Limehouse Stairs. Dopiero w drodze powrotnej, pod słońce zmuszające do mrużenia oczu, Biddulph powrócił do opowieści.

Przypominała ona, przynajmniej w ujęciu Biddulpha, któryś z owych popularnych wówczas w teatrach dramatów zemsty w stylu Johna Webstera czy Thomasa Kyda. Były w niej dworskie intrygi, zmienne sojusze, spiski i kontrspiski, krwawe spory, przekupstwo seksualne i pieniężne, nawet trucie, całość zaś odgrywana z makabryczną lubością w tej samej zawsze obsadzie biskupów, dworskich pochlebców, hiszpańskich szpiegów, donosicieli,

skorumpowanych urzędników, morderców i rozwiedzionych hrabin z pokalaną opinią.

Tak, pomyślałem, mijając z Biddulphem galerię rozciągniętych i suszących się na słońcu rybackich sieci błyszczących od soli: z tego dałoby się wykroić pierwszorzędny teatr. Po jednej stronie stronnictwo wojenne pod przywództwem arcybiskupa Canterbury, zagorzałego kalwinisty rwącego się do wojny ze znenawidzonymi Hiszpanami. Po drugiej: stronnictwo hiszpańskie pod arystokratycznym przywództwem Howardów, zamożnej kryptokatolickiej rodziny, trzymającej króla w garści dzięki ich marionetce, gładkolicemu młodemu Szkotowi nazwiskiem Robert Carr, mianowanemu hrabią Somerset. Ów Somerset, hiszpański szpieg, przekazywał Gondomarowi całą korespondencję między królem Jakubem a jego ambasadorami. Jednak w roku 1615 Somerset popadł w niełaskę, ponieważ jego nowo poślubiona małżonka z rodu Howardów została oskarżona o otrucie sir Thomasa Overbury'ego, sprzeciwiającego się małżeństwu królewskiego faworyta z kobietą, której zła sława była czymś wyjątkowym nawet na owe czasy. Po tym ciosie zarówno Gondomar, jak i Howardowie zorientowali się, że stracili wpływ na dwór.

W tym właśnie momencie zaczyna hasać po scenie nowa postać, sir George Villiers, kolejny gładkolicy młody człowiek, który w staraniach o względy starego lubieżnego króla szybko zastąpił uwięzionego Somerset. Villiersa wychował i popierał arcybiskup Abbott, zaciekły wróg Howardów. Wśród licznych pomysłów arcybiskupa był i taki: zamierzał osadzić Villiersa na miejscu hrabiego Nottingham - jeszcze jednego Howarda - czyli na stanowisku wielkiego lorda admiralicji. Niegdyś bohater roku 1588<sup>6</sup>, Nottingham był już trzęsącym się osiemdziesięciolatkiem, którego z łatwością wodzili za nos pozbawieni skrupułów krewni i skorumpowani podwładni w Ministerstwie Marynarki, nie mówiąc o tym, że wciąż otrzymywał sową pensję od hiszpańskiego króla.

- Z wejściem Villiersa do Marynarki miały nastać nowe porządki -

tłumaczył Biddulph. - Miał nastąpić koniec z wykorzystywaniem naszych okrętów jako narzędzia Howardów i partii hiszpańskiej. Miał nastąpić koniec z Ministerstwem Marynarki jako gniazdem złodziei i donosicieli, przegniłym z korupcji od piwnic po dach. Przed Marynarką znowu miał zostać postawiony cel. Miały powstać nowe i lepsze okręty, a flota wojenna miała zacząć funkcjonować jak za króla Henryka<sup>7</sup>.

Akcja nabrała przyśpieszenia, bo w tym momencie zaczęły się pojawiać na scenie nowe postaci: kurierzy i posłańcy z całej Europy. Przybywali do pałacu Lambeth z zaszyfrowanymi papierami, przeschumowanymi dokumentami kryjącymi wieści niepomyślne dla partii wojennej. Nie tylko tę, że w Niemczech uformowała się Liga Katolicka, żeby stawić czoło Unii Protestanckiej, ale i tę, że sama Unia się rozpada. Frakcja Abbotta i Pembroke'a coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że rozejm między Hiszpanami i Holendrami lada chwila zamieni się w kanonadę, że w Niderlandach na tych samych polach bitewnych, na których przed trzydziestoma laty oddał życie Sidney, wybuchną nowe wojny: takie, których Anglia pod panowaniem Jakuba i partii hiszpańskiej nie chce ani do których nie jest przygotowana. Najgorsze wszakże nowiny przywiózł z Pragi kurier w czerwono-złoty barwach De Questera; w raporcie przedstawiono, w jaki sposób Habsburg, arcyksiążę Styrii Ferdynand, zostanie wkrótce wybrany na cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a to dzięki błogosławieństwu swego kuzyna i brata stryjecznego, króla Hiszpanii. Ferdynand nie tylko będzie mógł użyć hiszpańskich wojsk dla przywrócenia w cesarstwie katolickich porządków wszędzie, gdzie mu się spodoba, lecz może także cofnąć List Majestatyczny, który wydał Rudolf II, biorąc w opiekę czeskich protestantów.

- Zatem dla takich ludzi, jak Abbott i Pembroke, a także dla Villiersa cel był jasny. Protestantyzm chwiał się jak nigdy dotąd, panie Inchbold, nie tylko w Europie, ale i w Anglii. Król Jakub stracił poparcie purytanów, którzy przestali wierzyć, że jego panowanie doprowadzi do prawdziwej reformy Kościoła.

Pojawiło się prawdziwe niebezpieczeństwo schizmy, rozłamu w Kościele anglikańskim albo wewnętrznej zapaści, a również tego, iż Rzym wykorzysta chwilę chaosu i zechce odzyskać utracony obszar. Kiedy cofam się do tamtych czasów, wydaje mi się, że Biblię Króla Jakuba z 1611 roku<sup>8</sup> wydano z myślą o narzuceniu konformizmu kongregacjom anglikańskim, ale publikacja oczywiście przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego, bo oto nagle w Anglii byle gręplarz, byle króliczy rzezak nabierał przekonania, że może głosić słowo Boże. Parafia za parafią protestantyzm zaczynał się dzielić na przeróżne sekty i separatystyczne ruchy. A więc w roku 1617 trzeba było czego? Mistrzowskiego posunięcia, tryumfu, śmiałego ciosu w samo serce hiszpańskiego imperium. Czegoś, co zdoła połączyć protestantów w walce z bliźniaczymi potęgami Rzymu i Madrytu.

Kuśtykałem ramię w ramię z Biddulphem i próbowałem nadążyć za tymi wirami, prądami, przeciwprądami, za tymi przyływami i odpływami, za nurtem, którym *Philip Sidney* ruszył z biegiem Tamizy ku swemu tajemniczemu przeznaczeniu po drugiej stronie świata, gdzie gęste dżungle i rzeki nie zapisane na mapach dzielą tysiące mil od zwalczających się angielskich obozów i skłóconych sekciarzy. Potknąłem się na zardzewiałej łapie kotwicznej, a odzyskawszy równowagę, spojrzałem przed siebie, na rysujący się w dali London Bridge rozpięty nad rzeką za wiązką kominów Shadwell.

- Flota skarbów - szepnąłem po sekundzie, właściwie do siebie.

- Otóż to - odrzekł Biddulph. Zatrzymał się i spojrzał przez rzekę ku Rotherhithe. - Okręty Raleigha nie wyruszyły po złoto, lecz po srebro. I dlatego miały zjawić się w Tierra Firme w porze suchej. Nie po to, żeby żeglować po zdradliwej Orinoko w poszukiwaniu kopalni złota, której przede wszystkim w ogóle mogło nie być, lecz żeby zaatakować flotę skarbów ze srebrem, która jak co roku miała wyjść z Guayaquil do Sewilli. Gała ta flota była warta jakieś dziesięć, może dwanaście milionów peso. Suma co się zowie; można nią było opłacić armię najemną do obrony Palatynatu, Niderlandów bądź innych ziem, na

których byłaby potrzebna.

Ruszyliśmy znowu; teraz przechadzaliśmy się wolniej, opuściwszy runda kapeluszy, żeby osłonić oczy przed słońcem. Próbowałem zrozumieć to, co zaczął opowiadać: że flotę Raleigha finansowali zdesperowani książęta niemieccy szykujący się do wojny, że finansował ją książę Nassau, angielscy kupcy, którzy 'liczyli na rozszerzenie handlu z opanowaną przez Hiszpanów Ameryką, że finansowali ją także najrozmaitsi kalwiniści tak z Anglii, jak i z Holandii, śniący o wojnie religijnej z Hiszpanami i wypędzeniu katolików z Anglii, Holandii i cesarstwa. W taki sam sposób, w jaki król Filip wypędził setki tysięcy Morysków z Hiszpanii zaledwie dwa czy trzy lata wcześniej.

- Pochwyceniu tej floty, czy nawet zatopieniu, towarzyszyłby oddźwięk we wszystkich ziemiach cesarstwa, w każdym zakątku katolickiego świata. Od roku 1592, od przechwycenia *Madre de Dios*, nie tknięto żadnej floty hiszpańskiej, żadnej eskadry. Nawet sam Drake - tu Biddulph odwrócił się i rękę z laską skierował ku czemuś w oddali za rzeką: ku miejscu, gdzie w suchym doku w Deptford stała *Golden Hind*<sup>9</sup> - nawet on nie zdołał dobrać się do tej floty w roku 1596.

Więc tak się ów śmiały plan przedstawiał. Z flagowym *Philipem Sidneyem* flota miała w drastyczny sposób złamać warunki kontraktu Raleigha i zaatakować doroczny konwój, który wychodzi z Nombre de Dios. Stronnictwo wojenne wierzyło, że król Jakub nie odwoła się do klauzuli kary śmierci zawartej w kontrakcie Raleigha; nie tylko dlatego, że Villiers oraz jego zwolennicy mieli już wpływ na Ministerstwo Marynarki i na dwór, i nawet nie tylko dlatego, że na skutek całego przedsięwzięcia powinny zmaleć wpływy Gondomara. Król nie powinien się powołać na tę klauzulę z bardzo prostego powodu: po przywołaniu innej klauzuli z tego samego kontraktu okaże się, że stary chciwy król, największy rozrzutnik w całej Europie, miał otrzymać na własny prywatny użytek jedną piątą ładowni okrętów powracającego Raleigha - jedną piątą skarbów z najbogatszego konwoju na ziemi.



Sprawy zaczęły się jednak kiepsko układać jeszcze przed wyjściem floty z Plymouth. Biddulph winił za katastrofę nie tylko żywioły, nie tylko pecha czy złe planowanie, ale też hiszpańskich szpiegów, od których roilo się w pałacu Whitehall i w Ministerstwie Marynarki. Z dokumentów przeszmurowanych z Madrytu wiadomo było, że jeden z informatorów Gondomara - ktoś o kryptonimie „El Cid” bądź „The Lord” - zajmuje w Marynarce ważne stanowisko, z czego Biddulph wnioskował, że to sam stary Nottingham. Niewykluczone zatem, że srebrna flota została odpowiednio wcześniej przestrzeżona. Możliwe nawet, że pozostała w porcie Guayaquil w Peru. Mogła też pójść na południe, opływając przylądek Horn, którego nękane wicherą cieśniny Hiszpanie wciąż kontrolowali, mimo najświeższych grabieży dokonanych przez Holendrów. Tak czy inaczej, flota Raleigha pożeglowała w końcu ku Orinoko, zamiast w stronę jakże obiecujących bogactw Nombre de Dios.

Jeżeli chodzi o ten moment wyprawy, Biddulph widział już wszędzie hiszpańskich szpiegów i spiskowców. Tak zwany niesprowokowany atak ludzi Raleigha na San Tomas był w istocie, zapewniał Biddulph, sprytnym spiskiem mającym zdyskredytować wyprawę w oczach króla Jakuba, dobrze uknutą znową *agents provocateurs*<sup>10</sup> Gondomara, z których jedni znajdowali się na pokładzie okrętów Raleigha, a inni w samym San Tomas.

Gondomar ani stronnictwo hiszpańskie nie przejęli się atakiem na hiszpańską osadę w Gujanie, przeciwnie, przywitali go z radością, więcej, sprowokowali go. Raleigh niewiele miał do zyskania w Gujanie, za to wszystko do stracenia, nie wyłączając własnej głowy. Lecz co ważniejsze, ów epizod wtrącał w niełaskę Villiersa, Abbotta i całe stronnictwo wojenne, podczas kiedy Howardowie, *bien intencionados*<sup>11</sup> Gondomara, mogli znowu wziąć w zarząd Ministerstwo Marynarki i króla Anglii.

- A co stało się z *Philipem Sidneyem* po tym, jak flota poszła w rozsypkę?
- spytałem, znów się zastanawiając, jak dalece powinienem wierzyć w opowieść

Biddulpha usnutą ze spisków i kontrspisków. - Kapitana Plessingtona nie było w grupie atakującej San Tomas. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

- I wątpię, żeby pan się kiedyś dowiedział, co robił kapitan Plessington - odrzekł Biddulph. - Nawet w dochodzeniu Bacona nie rozgryziono wszystkich szczegółów. Zresztą mam wrażenie, że nikt się do tego nie palił. - Ponuro zachichotał. - Oczywiście oficjalna wersja jest taka, że po rajdzie na San Tomas flota Raleigha uległa rozproszeniu. Wiadomo, że Raleigh próbował namówić swoich kapitanów do zaatakowania meksykańskiej floty ze skarbami, tej z Nowej Hiszpanii, która powinna wyjść z Veracruz. W końcu jednak większość okrętów ruszyła w ślad za *Destiny* do Nowej Fundlandii, skąd okręty po zapełnieniu ładowni rybą wróciły do Anglii. Wyobraża pan sobie miny inwestorów? - Biddulph potrząsnął sowimi kępkami włosów. - Nowofundlandzki dorsz zamiast peruwiańskiego srebra! A może pan sobie wyobrazić oburzenie tych książąt i diuków w Niemczech i Holandii, kiedy się dowiedzieli, że ich religia ma się ostać dzięki wsparciu, ni mniej, ni więcej, paru skrzyń solonej ryby!

Tak oto tragedia mieszała się z farsą, a książęta Europy osuwali się w przepaść. Z biegiem miesięcy coraz więcej kurierów przekraczało progi pałacu Lambeth i Ministerstwa Marynarki. Wiedeń obiegli Siedmiogrodzianie; na Siedmiogród wyprawili się Polacy; na Polaków napadli Turcy - potworny cykl ciosów i kontruderzeń, odpłaty złem za zło. Europa stała się szczerzącą kły bestią kąsającą własny ogon. Rokowania zerwano, traktatów nie ratyfikowano. W Pradze dwaj katoliccy delegaci na zgromadzenie Stanów Czeskich zostali wyrzuceni z zamkowego okna, przeżyli jednak, spadli bowiem na stertę gnoju. Co przez świętoszków całej Europy zostało uznane za znak od Boga. Kolejne armie przypasały miecze. Na niebie ukazały się trzy komety, astrologowie zaś uznali je za niezbity dowód rychłego końca świata.

- I nie całkiem się pomylili - zauważył ponuro Biddulph - bo potem nastąpiło trzydzieści lat najgorszych wojen, jakie świat widział.

Przez chwilę w milczeniu wędrowaliśmy brzegiem. Wciąż próbowałem to wszystko zrozumieć, odkryć spójny i wspólny rys tych wszystkich osobliwych poczynań, na wpół utajonych dziwnych wydarzeń i zagadkowych aktorów, wszystkiego, co się wiązało, jednak bardzo luźno - jak mogłem skojarzyć - z opowieścią Alethei o Henrym Monboddo i *Labiryncie świata*.

Teraz Biddulph jął streszczać kolejną nowinę, którą wkrótce dostarczył do Ministerstwa Marynarki zdyszany kurier. Wydarzyło się to późną jesienią 1618 roku, niedługo po pojawieniu się komet i zaprowadzeniu Raleigha na szafot specjalnie zbudowany dla niego na dziedzińcu pałacu Westminster. Z raportu wynikało, że hiszpański galeon *Sacra Familia*, należący do floty wychodzącej z Meksyku, poszedł na dno z całą załogą w pobliżu hiszpańskiego portu Santiago de Cuba. Faktem było, że zatonął, natomiast towarzyszące temu okoliczności okazały się bardziej tajemnicze. W budynku Marynarki szeptano, że najpierw żołnierze z *Philipa Sidneya* dokonali abordażu, a potem zatopili galeon. Bo *Philip Sidney* nie wrócił do Londynu. Okazało się, że krążył przy brzegach Indii Zachodnich, jak i parę innych okrętów floty Raleigha; w 1596 podobnie zrobił pokonany Drake.

Wkrótce nadszedł inny meldunek, że *Philip Sidney* zatonął w rejonie Indii Zachodnich, a w ślad za tym meldunkiem jeszcze inny, że ludzie z *Philipa Sidneya* opanowali *Sacra Familia*, wreszcie dotarł i trzeci, że *Sacra Familia* po prostu zatonęła podczas wielkiego sztormu. Z tych plotek zwłaszcza jedna cieszyła się długowiecznością, do tego stopnia, że ze sfery plotek przeniosła się w o ileż świetniejsze królestwo mitu. Przez lata była atrakcją tawern Tower Hill i Rotherhithe, gdzie się zbierali marynarze. Podobnie jak inne głosiła, że *Philip Sidney* ścigał galeon, a potem, po salwie burtowej, przyglądano się z jego pokładów tonięciu galeonu z załogą. Ów galeon jednak nie przypominał innych.

- Znam tę plotkę - powiedział Biddulph - bo musiałem jej wysłuchiwać dziesiątki razy. Dotyczy pewnych pasażerów na pokładzie *Sacra Familia*. Można powiedzieć, blindziarzy. Którzy ratowali się uczepieni szczątków bądź

dopłynęli do brzegu.

- O kogo chodziło? - Słuchałem teraz uważnie. - O marynarzy hiszpańskich?

Pokręcił głową.

- Nie. To nie hiszpańscy marynarze. To w ogóle nie byli marynarze. - Zachichotał jakby do siebie, potem strzyknął strumieniem soku tytoniowego na trawę. Niemal doszliśmy do Wapping, przed nami gromadka przewoźników wygrzewała się na słońcu na schodach Nowego Żurawia. - To były szczury. Załoga *Philipa Sidneya* widziała szczury płynące do brzegu po zatonięciu *Sacra Familia*. Setki szczurów. W wodzie roiło się od nich, niektóre podpłynęły do burty *Sidneya*. Wiem, oczywiście; który statek nie jest zaszczurzony? Tylko że widzi pan, to nie były jakieś tam szczury pierwsze z brzegu. Nikt z marynarzy nie widział czegoś podobnego. Dwukrotnie większe od szczurów *Philipa Sidneya*. Wielkie krzepkie stworzenia, szarorudej maści, o krótkich łapach i ogonach. - Kiedy przerwał na chwilę, uśmiechnięta twarz zatrzęsała mu się w podnieceniu. - Bo w istocie, panie Inchbold, te stwory to były szczury bambusowe.

Nigdy o nich nie słyszałem.

- Myślałem, że szczur to szczur.

- Nic podobnego. Jonston w *Historii naturalnej czworonogów* wylicza pół tuzina odmian, w tym szczura ryżowego i trzcinowego. Jednak osobliwość tego akurat szczura bambusowego polega na tym, że się żywi pędami bambusa.

- Bambusa? Nie wiedziałem, że w Meksyku są bambusy.

- Ja też nie - odrzekł. - Tam ich nigdy nie widziano. I nigdzie w całych Indiach Zachodnich.

- To skąd się wzięły te szczury, skoro nie z Meksyku ani z Indii Zachodnich? Wzruszył ramionami.

- Czy to nie oczywiste? Musiały się dostać na pokład *Sacra Familia* gdzieś, gdzie rosną bambusy. A gdzie rosną bambusy, jeśli nie na wyspach

Pacyfiku? Na przykład na Wyspach

Korzennych? Jonston powiada, że szczur bambusowy szczególnie licznie występuje na Molukach.

- Zatem *Sacra Familia* był na Molukach?

- Albo na innej wyspie na Pacyfiku. Zgadza się. Zagadką jest, co okręt tam robił, bo hiszpańskie wyprawy na Pacyfik były wtedy rzadkością. W 1595 Mendaña odbył ostatnią wyprawę w poszukiwaniu Wysp Salomona, za nim Quiros i Torres w 1606. Potem właściwie nic się nie działo. Cały Pacyfik szybko stał się domeną najzaciętszych wrogów Hiszpanii, Holendrów, którzy odszukali nowe przejście na Południowy Pacyfik przez Cieśninę le Maire'a. Teraz większość szlaków kontrolują okręty holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

- To znaczy, że *Sacra Familia* odnalazła widocznie inny szlak! - wykrzyknąłem zapalczywie, bo przypomniałem sobie treść kontraktu sir Ambrose'a, w którym była mowa o odkryciu nowej drogi na Południowy Pacyfik. - Szlak prowadzący na Ocean Spokojny w górnym biegu Orinoko.

Biddulph spojrzał na mnie zaskoczony.

- Na to nigdy nie wpadłem - odrzekł, kręcąc głową. - Nigdy też nie pojawiła się taka plotka. Ale myśl interesująca, przyznaję. Wszelako, czy *Sacra Familia* coś odkrył czy nie, dotarł szlakiem takim czy siakim, wydaje się pewne, że okręt był na Pacyfiku. Tyle że został zamaskowany, miał uchodzić za część meksykańskiej floty skarbów. Rejs miał pozostać najgłębszą tajemnicą; kiedy *Sidney* zaatakował *Sacra Familia*, hiszpańska załoga wyrzuciła za burtę mapy nawigacyjne, inne, dziennik okrętowy, dziennik podróży, wszystko, co mogłoby zdradzić misję. Powiedziałbym, że się pozbyli wszystkiego z wyjątkiem zapachu.

To była ostatnia i chyba najciekawsza część opowieści. Otóż okręt *Sacra Familia* nabrał wyjątkowego zapachu, wyczuwalnego nawet na odległość. Nie był to zwykły zapach okrętu na morzu, żaden tam odór gnijących zapasów,

wody zęzowej, mokrego drewna ani prochu, żaden tam smród z nocników przewracanych podczas sztormu. Przeciwnie, był to piękny zapach, który jakby sunął nad oceanem ku *Philipowi Sidneyowi*; rozkoszna woń przypominała marynarzom kadzidło lub perfume. Zdawało się, że unosi się nad wodą jeszcze przez całe godziny po zatonięciu płonącego okrętu. W plotkach zarzekano się, że nadzwyczajny zapach nie pochodził z ładunku, który, powiedzmy, trafił na pokład na Mołukach; nie, to był zapach samego okrętu, woń w jakiś tajemniczy sposób wydzielala się z belek i masztów.

- Nigdy nie miałem pojęcia, co myśleć o tych opowieściach, o szczurach i pięknym zapachu. Z wyjątkiem jednego: jeśli w tych opowieściach tkwi ziarno prawdy, okręt *Sacra Familia* był po prostu czymś innym, niż się zdawało.

Tak, pomyślałem zaintrygowany: ta wyprawa była równie tajemnicza jak *Philipa Sidneya*, a losy okrętów jakoś związane.

- Bardzo mi przykro, panie Inchbold - powiedział, otwierając z uprzejmym uśmiechem drzwi swego domu - ale obawiam się, że już nic więcej panu nie opowiem. Plotki i pogłoski to wszystko, nic więcej nie wiem o tej historii.

Po powrocie do domku Biddulpha zostałem poczęstowany jeszcze jedną porcją rumbullionu. Przez następną godzinę wysłuchiwałem innych teorii, które mój gospodarz wykonywał, korzystając z dobrodziejstw wolnego czasu; w tym „mroczonej sprawy” (jak się wyraził) zabójstwa Buckinghama w 1628 roku, dokonanego nie przez wręcz niepoczytalnego purytańskiego fanatyka, jak odnotowano w kronikach, lecz przez agenta kardynała Richelieu zręcznie upozowanego na wręcz niepoczytalnego purytańskiego fanatyka. Teraz jednak słuchałem Biddulpha tylko jednym uchem. Zastanawiałem się natomiast, jak to jest, że sir Ambrose jeszcze raz - przynajmniej z mojej perspektywy - znika za horyzontem i unika przybrania wyraźnego kształtu. Pamiętałem też o zagadkowym wydaniu *Theatrum orbis terrarum* Orteliusa z 1600 roku i przywilejach sir Ambrose'a w pomieszczeniu, w którym Alethea trzyma

dokumenty własności, wreszcie zastanawiałem się, jak to jest, że sir Ambrose był w Pradze w roku 1620, oddzielony dwoma latami i sześcioma tysiącami mil od tajemniczych przygód w hiszpańskich Indiach. Rozważałem, czy istnieje głębszy związek między tymi dwiema nieszczęsnymi wyprawami, może jakiś niewidoczny wątek spleciony z owym zaginionym hermetycznym tekstem, który z taką determinacją tropią teraz moja tajemnicza klientka i ów Henry Monboddó? A może to Biddulph właśnie zaszczepił mi ów dziwaczny sposób rozumowania, w myśl którego dwa zdarzenia, chociażby najodleglejsze w czasie lub przestrzeni, zawsze będą się jakoś za sobą wiązać?

Potem przypomniałem sobie, o co przed godziną czy dwiema zamierzałem zapytać. Teraz wychodziłem już z domku i żegnałem Biddulpha. Słońce skryło się za odległą sylwetką Nonsuch House, wody rzeki nabrały szarości mewiego skrzydła. Wyczuwałem, że gdzieś wewnątrz mnie rumbullion nie zaprzestał ukradkowych machinacji. Na frontowym stopniu straciłem równowagę, w uszach słyszałem słabe dzwonienie, które po wyjściu na dwór zmieniło wysokość. Nasze dwa cienie rozciągnęły się na całej długości maleńkiego ogródka.

- Ciekaw jestem - powiedziałem, kiedy już uścisnęliśmy sobie dłonie - czy spotkał pan kiedyś kapitana Plessingtona. Może odwiedził budynek Marynarki?

- Nie. - Biddulph pokręcił głową. - Nigdy go nie poznałem. Nie spotkałem ani razu. Widzi pan, był człowiekiem znacznie ważniejszym, zbyt ważnym, żeby się zadawać z kimś takim jak ja, wówczas mizernym zastępcą sekretarza. Nie; widziałem go tylko raz, owego wieczoru, kiedy *Philip Sidney* podniósł cumy i pożeglował z biegiem Tamizy. Widziałem go, zresztą nie najlepiej, w świetle rufowej latarni, bo stał na tylnym pokładzie.

- A podczas tych wszystkich przygotowań do wyprawy...?

- Och, od takich spraw Plessington miał przedstawiciela. Wszystko załatwiał ten przedstawiciel albo intendent *Sidneya*.

- Przedstawiciela?

- Tak. - Biddulph zmrużył powieki, czoło okryły mu bruzdy. Bryza otuliła nam plecy i pomarszczyła toń. - Zaraz... Jak się, u diabła, nazywał? Po prostu tyle lat spędziłem pod rządami królowej Eli, że moją starą mózgownicę okrywa mgła, zwłaszcza jeżeli chodzi o nazwiska. Ale nie... chwileczkę! - Drobną twarz nagle się rozświetliła. - Nie, nie; jednak pamiętam nazwisko. Swoją drogą dziwne. Monboddo - oznajmił triumfalnie. - Otóż to. Henry Monboddo.

## XII

Nie ma widoku bardziej wzniosłego, powiada filozof Lukrecjusz, od katastrofy morskiej. I rzeczywiście, zagłada *Bellerophona* dostarczyła dramatycznych wrażeń gapiom, którzy porzuciwszy chałupy i zagrody, zgromadzili się na smagany wicherą wybrzeżu Chislet Marshes. Statek rozbił się na Margate Hook nieco po piątej po południu. Już wcześniej nabierał wody przedziurawiony na śródokręciu, teraz fale pchnęły go dziobową częścią sterburty na rafę - największą i najniebezpieczniejszą na całym wybrzeżu Kentu; Sekundy dzieliły statek od wdarcia się górą setek ton wody, potem niezdarnie przewalił się na bok. Połamane maszty ogołoczone z rej i want wyglądały jak zburzone wieże. Spod gór wody walących się na kadłub tryskały białe pióropusze, potem spienione kaskady przewalały się przez przedni pokład. Fala zmyła wszystkich z pokładów wprost w szalejące morze, ale gorszy los czekał ludzi zaciekle pracujących przy pompach w głębi statku. Rozgniotły ich beczki i bale pędzące po przechylonych pokładach jak rozszałałe byki. Belki, które szły w drzazgi przetrąciły kark albo strzaskały czaszkę innym, pod walącymi się szczątkami uwięźli w pułapkach jeszcze inni pechowcy i potonęli, kiedy fale runęły przez włazy. Zanim na Margate Hook *Bellerophon* rozpadł się na tysiąc kawałków, nie było już na nim żywych, nikt nie ocalał wewnątrz statku.

Wrak żwawo czyszczono. Na błotnistym kawałku wybrzeża, gdzie zapłonęły trzy ogromne stosy drewna, zebrała się niemal setka gapiów. Jaskrawe płomienie nadały scenerii koloryt niemal odświętny. Katastrofa zbłąkanego



statku na rafie Margate Hook stanowiła osłodę życia, jakże rzadką na tym pustkowiu na skraju Kentu. Ludzie mieli nadzieję na powtórkę sławnego wydarzenia sprzed trzech lat, kiedy w tym samym miejscu niczym ostryga rozwarła się *Scythia*, dzięki czemu prości rybacy i zbieracze małży chodzili pijani jak lordowie, zmuszeni opróżnić dwieście beczek madery. Kiedy morze dostatecznie się uspokoiło, zepchnięto na wodę kilkanaście kutrów i łodzi. Do świtu wyciągnięto na brzeg ze dwadzieścia skrzyń i ponadto trzynastu przemoczonych, obdartych marynarzy.

Znalazł się wśród nich kapitan Quilter. Ponad dziesięć godzin przetrwał uczepiony jednej z dziewięćdziesięciu dziewięciu przemycanych skrzyń, kołysanej i przewracanej przez wielkie fale, przez przyływ i odpływ spychanej to ku lądowi, to ku morzu. Podczas ponownego przyływu Quilterowi zamajaczyły przed oczami ogniska, a skrzynia z głośnym stukiem poszorowała po płyciźnie. Wyczerpany i przemarznięty po tylu udrękach kapitan jeszcze nie dotknął stopami gruntu, a już do wody śpiesznie weszli trzej mężczyźni; mniemani jego zbawcy zepchnęli go z powrotem w fale. Skrzynię wyciągnęli na brzeg i ustawili przy pozostałych dwudziestu.

- Wy tutaj, ludzie, nie macie prawa dobytku! - Podniósł się o własnych siłach i brnął z chlupotem przez błoto, potem przez piach ku grupie postaci otaczających jedno z ognisk. Z wody wyciągano następne skrzynie i kufry, tymczasem niewielka karawana wózków zaprzęzonych w osły i załadowanych zdobyczą ruszyła już krętą drogą przez mokradła. - Te skrzynie pochodzą z rozbitego statku i zgodnie z prawem stanowią własność *Bellerophona*, którego jestem kapitanem...

Mignął łom i Quilter znów padł na kolana. Ręka kapitana szperała przy pasie w poszukiwaniu pistoletu, w który uzbroił się z myślą o gangu Rowleya, ale broń, oczywiście, przepadła. Teraz nawet ta resztką ładunku ze statku - z czego tak niewiele mógłby zwrócić inwestorom z londyńskiej giełdy - zniknęła w łapskach nadbrzeżnych rabusiów.

Garstkę swych marynarzy odnalazł w ciepłe innego ogniska; mieli sine wargi i dygotali. W ciągu ostatniej godziny trzech wyciągniętych na brzeg zmarło, w tym Pinchbeck. Ciała ułożono obok ośmiu innych, które wyrzuciła na brzeg fala. Kieszenie przemoczonych peleryn i hajdawerów opróżnili ci za mali albo za słabi, żeby się dostać do większych bogactw, w skrzyniach. Serce Quiltera zamarło na ten widok. Rabusie rozpychający się nad ciałami wyglądali niewinnie jak trzepocące skrzydłami ptactwo, ale Quilter był zbyt otępiły i słaby, żeby ich odpędzić.

Niektóre hieny okazały się przecież bardziej gościnne. Rozbitkom rozdano koce, odkrojono pajdy chleba i kawały sera, zjawiała się nawet butla, z której marynarze niepewnie raczyli się brandy. Po jakichś piętnastu minutach wyzionął ducha następny żeglarz. Quilter zaś poczuł, że dzięki zdwojonemu błogosławieństwu brandy i ognia wstępuje weń życie na nowo. I właśnie wtedy rozległ się wystrzał muszkietu. Najpierw nikt nie był pewien, z której strony. Quilter myślał przez chwilę, że kulę przeznaczono dla niego, lecz potem zobaczył, że rabusie z wrzaskiem chowają się za skrzynie lub między ciała, w poszukiwaniu osłony. Potem poniosło się po plaży echo drugiego wystrzału.

Quilter podpełznął po błocie i wodorostach za nasiąkniętą wodą beczkę. Nad wrakiem *Bellerophona* rozszerzyły się na niebie pierwsze jaśniejsze pasma i objęły cały horyzont: dniało. Deszcz zamienił się w delikatną mżawkę, rafę Margate Hook przykrył przypyływ. Na myśl, że to idealna pogoda żeglarska, Quilter poczuł bolesne klucie. Patrzył na wyrzucony na brzeg fragment kilu kołysany falami. Ciszę znowu rozerwał huk wystrzału, a Quilter skrył głowę za beczką. Dym płonącego przed nim, trzaskającego ogniska zasnuł plażę, płomień zmuszał cienie do tańca. Quilter uniósł po chwili głowę przekonany, że ujrzy sir Ambrose'a Plessingtona brodzącego przy brzegu z bułatem u pasa i wymachującego pistoletem. Ujrzał tymczasem kołyszący się na horyzoncie statek: *Gwiazdę Lubeki*, a raczej jej Upiora.

Hanzeatycki frachtowiec ledwie było widać za kurtynami piany. Wciąż

fatalnie przechylony, niebezpiecznie szedł z wiatrem pod gołymi kikutami, był jednak cały i płynął. Marynarze Wciągalali resztki żagli na resztki masztów. Lecz muszkiet wypalił gdzieś bliżej.

Po plaży po raz czwarty przetoczył się odgłos wystrzału. Nie żałując przekleństw, rabusie poszukali schronienia głębiej, w zaroślach. Quilter dostrzegł, że manipulują przy pasach, sięgają po sztylety i staroświeckie pistolety z lontami, które teraz, w mżawce, z pewnością nie zapłoną.

Quilter spojrział w lewo, gdzie na tle szczątków, zza kłębu dymu wyłoniła się łódź pod żaglem, to łopocącym, to wydętym. Po sekundzie zdołał dostrzec postać na dziobie: mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, jakby składał hołd. Lecz nie chodziło o hołdy, Quilter od razu wiedział, że przybysz mierzy z muszkietu do postaci, które jeszcze się kręciły przy stosie skrzyń. Po piątym wystrzale któraś z nich krzyknęła przeraźliwie jak kania i runęła wyprężona na piasek. Spod dziobu rozkołysanej łodzi trysnęła piana.

To jednak sir Ambrose Plessington, uznał Quilter. Drań czystej wody ocaleje, a porządny człowiek, jak stary poczciwy Pinchbeck, idzie na tamten świat. Dwie pozostałe postaci, zapewne kompani sir Ambrose'a, tkwiły zgarbione na rufie, ledwie widoczne zza wydętego żagla. Więc i oni ocaleli. Teraz tu zmierzają, żeby żądać resztek swego cennego ładunku, tych bluźnierczych szczątków, kto wie, może odpowiedzialnych za straszliwe nieszczęście.

Przetoczył się zza beczki i z trudem stanął na nogach. Łódź była już na płyciźnie, żagiel łopotał, a człowiek na ławce wpierał się w parę wiosła. Quilter pokuśtykał przez wodę spienioną przy brzegu, wymachując rękami jak londyńczyk, który na ulicy gorączkowo próbuje zatrzymać kocz.

- Sir Ambrose! - Quilter wszedł głębiej w wodę. Łódź osiadła na brzegu, a mężczyzna z dziobu przesadził burtę. - Sir...

Zanim kula z muszkietu świsnęła mu koło ramienia i zmusiła do ponownej ucieczki za beczkę, Quilter już wiedział, że ów mężczyzna to nie sir

Ambrose, łódź zaś nie ma nic wspólnego z *Bellerophonem*.

Z odległości ćwierci mili także Emilia obserwowała trzech mężczyzn. Sama wylądowała na plaży przed godziną. Tak się złożyło, że kapitan miał rację. Emilia, Vilem i sir Ambrose rzeczywiście uszli cało z tonącego *Bellewphona*. Odcięli jedną z szalup, przecięli podtrzymujące ją pętle z żaglowego płótna i wdrapali się do środka zaledwie dziesięć minut przed roztrzaskaniem statku. Rejs do brzegu, niewiele przekraczający milę, wydał się bardziej niebezpieczny i straszny niż cała podróż z Wrocławia do Hamburga. Potrzaskały burty, nie było wiosel; szalupa tak przeciekała, że po godzinie Vilem i sir Ambrose musieli wybierać wodę kapeluszami, a Emilia spódnicą. Łódź jakimś cudem utrzymała się na powierzchni. Przez dziesięć godzin prądy znosiły tę trójkę do i od brzegu; już majaczyły przed nimi ogniska, to znów rozmywały się i nikły. Kiedy ucichła wreszcie wichura, podniesiono postrzępiony kawał płótna. Piętnaście minut później usłyszeli szorowanie dna po kamieniach i wryli się w piach.

Teraz Vilem z sir Ambrose'em wywlekali na brzeg skrzynie, ciągnęli po kamieniach porośniętych morskazynem, po omułkach, których skorupy trzaskały pod nogami. Na łódź załadowali pięć skrzyń z książkami. Sir Ambrose tłumaczył, że resztę trzeba będzie podnieść z dna. Na szczęście w Erith jest ekipa ratowników posługujących się specjalnymi dzwonami do nurkowania, a nawet „łodzią podwodną”, genialnym wynalazkiem pewnego mądrego Holendra, Corneliusa Drebbela<sup>1</sup>, którego sir Ambrose poznał kiedyś w Pradze. Z usług tych ludzi korzystają kupcy i inwestorzy z londyńskiej giełdy, chcąc odzyskać ładunek z owych ponad trzydziestu statków, które co roku osiadają lub rozbijają się na Goodwin Sands czy innych mieliznach u ujścia Tamizy. Łódź podwodna - inżynierski majstersztyk zbudowany z balsy i obciążony skórą grenlandzkich fok, wyposażony w płetwy i nadmuchiwane pęcherze - gładko upora się z zadaniem.

- Musicie jechać do Londynu - powiedział sir Ambrose, zmagając się z

kolejną skrzynią. - Natychmiast. Będzie na was czekał Monboddo. I Buckingham. Poślę jak najszybciej wiadomość do Ministerstwa Marynarki.

Vilem uchwycił drugi koniec skrzyni i podniósł ją z błota, potem obaj przenieśli skrzynię za linię przyływu i postawili na piasku. Wieko odskoczyło, odsłaniając wnętrze, kilka tomów wypadło na zewnątrz. Mężczyźni pomaszerowali ku szalupie po kolejną skrzynię. Wkładając książki na miejsce, Emilia rozpoznała ostatni, rozwany, przesiąknięty wodą gruby tom. Widziała go wcześniej w Salach Hiszpańskich, nosił tytuł *Anthologia Graeca* i był zbiorem stworzonym niegdyś w Konstantynopolu przez badacza nazwiskiem Cephalas; zaledwie parę miesięcy temu Vilem czytał jej aforyzmy właśnie z tej książki<sup>2</sup>. Oryginalny pergamin odkryto wśród rękopisów Biblioteki Palatynackiej w Heidelbergu, chociaż przekład wydrukowano w Londynie.

Odwróciła książkę, zanim jednak zamknęła przemoczoną skórzaną okładkę, z której unosił się zapach mokrych butów, Emilia rzuciła okiem na środek otwartej strony, widoczny w świetle odległych ognisk.

*Gdzież jest twa podziwiana piękność, dorycki Koryncie, gdzie twa korona z wież? Gdzie skarby pradawne, gdzie świątynie nieśmiertelnych, gdzie sale i gdzie żony Sysyfidów, gdzie dziesiątki tysięcy tych, którzy tu byli? Bo nawet ślad się twój nigdzie nie ostał, o ty, najbardziej cierpiący, wojna zaś zmiotła i do czysta pożarła wszystko...*

Vilem czytał jej ten fragment w pewien ponury wrześnieowy wieczór, kiedy do Pragi dotarła wiadomość, że armia generała Spinoli najechała Palatynat i wkrótce obiegnie Heidelberg, a wraz z miastem - w łańcuchu przemocy rozciągniętym w przeszłość i przyszłość, przez stulecia i półkule, opasującym ruiny Koryntu i Konstantynopola - resztki Biblioteki Palatynackiej razem z rękopisem *Anthologia Graeca*.

Usłyszała urywany krzyk z drugiego końca plaży. Biegli spłoszeni rabusie; potykali się, spod obcasów frunęły w górę bryły błota i piachu. Niemal machinalnie wsunęła książkę do kieszeni, a potem próbowała na nowo założyć

wieko.

- ...na Strandzie. - To mówił sir Ambrose. Nieśli z Vilemem następną skrzynię. - York House. Nad rzeką. Miałem już z nim do czynienia.

- Tak?

- Jeden z najlepszych. Obrazy, rzeźby, książki. Niewątpliwie szacowna postać. Tyle ci powiem, że niejedno cacko sprzątnął sprzed nosa zachłannemu hrabiemu Arundelowi.

Vilem ciężko dyszał.

- Zna plan?

- Oczywiście. Od samego początku. Nie przejmuj się. - Spowita wodorostami skrzynia ciężko upadła na piasek. - Da sobie radę.

- I można mu ufać?

- Ufać? - Sir Ambrose zachichotał, potem spojrzał na Vilema, uniósłszy brew. - Och, Monboddó to solidna firma, nie bój się. Będziecie oboje bezpieczni. Jeżeli dostaniecie się do Londynu - dodał i skinął w kierunku rabusiów, którzy ślizgając się i potykając, brnęli ku nim. Za nimi zbliżali się trzej mężczyźni z łodzi. - Gorzej, bo chyba zgubiłem pistolet - rzekł beztrąsko sir Ambrose. Bez pośpiechu ruszył do szalupy. - Nie mówiąc o bułacie. Wygląda na to, moi drodzy, że znowu mamy kłopoty.

W owych czasach na drogach angielskich żaden powóz nie mógł się równać szybkością z dylizansami Poczty Zamorskiej De Questera. Każdy pojazd De Questera tak zaprojektowano i zbudowano, żeby siedemdziesięciomilową trasę z Londynu do Margate bądź z powrotem pokonywał w czasie krótszym niż pięć godzin, nawet z kilkoma pasażerami i z ciężkim ładunkiem dziesięciu worków poczty przytroczonych do skórzanego dachu bądź wiezionych w środku. Na orczyce i odboje przeznaczano najlżejsze gatunki sosny, osie smarowano grafitem, koła montowano na resorach i opasywano żelaznymi obręczami. Całą tę konstrukcję ciągnęły zaprzęgi berberyjskich koni, specjalnie hodowanych do tego celu w stadninach Cambridgeshire. I oto teraz, gdy świt

rozjaśnił niebo nad Chislet Marshes, śmigły wehikuł De Questera stanowił niezwykle widok, toczył się bowiem ciężko między bagnami, kołysał, podskakiwał, sunął jeszcze wolniej niż zmierzająca w przeciwną stronę karawana zaprzęzonych w osły wózków ze skrzyniami. Nawet w tych stronach ów odcinek drogi cieszył się złą sławą z powodu dziur, wybojów i skłonności do powstawania grząskich kałuż już po pierwszych kroplach deszczu. Woźnica Foxcroft kierujący zaprzęgiem na tej zdradliwej drodze próbował coś dostrzec spod planeki przez mgiełkę i mżawkę. Z Margate wyjechał przed sześcioma godzinami; na worki poczty z Hamburga i Amsterdamu już teraz czekano w Londynie. Foxcroft dotarłby tam na czas, w pogodę czy w burzę, gdyby zamiast tego nędznego objazdu wzdłuż nękanych wichrami wybrzeży wybrał główną drogę przez Canterbury i Faversham. Nie ważył się jednak jechać głównym traktem, podobnie jak nie ważył się już zakładać czerwono-złotej liberii Poczty De Questera. Rozpoczął się spór przed Sądem Apelacyjnym o to, czy monopol De Questera narusza prawa lorda Stanhope, naczelnego poczmistrza; ten ostatni właśnie uruchomił swoich kurierów - zdaniem Foxcrofta zgraję bandziorów - wożących listy do Hamburga i Amsterdamu. Niespełna miesiąc temu Foxcroft wpadł w zasadzkę tuż za murami Canterbury, w dwa tygodnie później w Gad's Hill rzucono się na innego woźnicę. W obu przypadkach napastnicy wyglądali na zwykłych rozbójników, lecz dla nikogo nie było tajemnicą, że za napaściami kryją się zbiry lorda Stanhope. Dlatego Foxcroft od dwóch tygodni skazany był na tę okrężną trasę, tak odludną, że najbardziej zdesperowanemu bandycie nie przyszłoby do głowy czyhać tu na kogokolwiek, zwłaszcza w ponury i zimny grudniowy poranek.

Dlatego Foxcroft wprost nie dowierzał własnym oczom, kiedy za zakrętem zobaczył karawanę osłów ciągnących wózki, a za nimi na plaży pożogę: ogień, dym, pomykające postaci. Kolejna zasadzka ludzi lorda Stanhope? Przerażony, zaklął i ściągnął lejce, lecz było już za późno, berberyjskie konie cicho zarżały, a zaraz potem stanęły dęba w uprzęży

spłoszone hukiem podobnym do muszkietowego wystrzału. Foxcroft zachwiał się i na chwilę stracił równowagę; potem zacisnął lejce w jednej ręce, drugą uczeplił się krawędzi kozła. Zanim rondo kapelusza nasunęło mu się na oczy, zobaczył w dali coś podobnego do wraku.

Konie szarpnęły i pociągnęły przez błoto, przepchnęły się obok osłej karawany i poniosły wąską drogą ku plaży i pomarańczowym ogniskom. Dyliżans skrzypiał i trzeszczał - przechylony, chwilami tylko na dwóch kołach - biorąc pędem następny zakręt i obrzucając pecynami błota zarośla po obu stronach. Foxcroft miał wrażenie, że widzi między nimi zbitą garstkę ludzi. Lecz w tym momencie koło uderzyło o kamień, a Foxcroft zaczął podskakiwać na koźle jak ukarana wiejska megiera uwiązana do stołka nurzanego w wodzie.

Nie minęła minuta, a dyliżans błotnistą drogą dotarł na brzeg, jeszcze bardziej błotnisty. Tymczasem koła znowu najechały na kamienie i Foxcroft wyfrunął z kozła; teraz obiema rękami trzymał się kurczowo siedziska, a zwisające nogi ledwie cal dzielił od wirujących szprych. Foxcroftowi nie tylko spadł kapelusz, poleciały też dwa worki poczty. A potem - kiedy koła o żelaznych obręczach wryły się w piach - pojazd szarpnął i zwolnił. Foxcroft usłyszał kolejny wystrzał, tym razem znacznie bliższy. Konie znowu stanęły dęba. Foxcroft wymacał stopą poprzeczną belkę i desperacko podciągnął się na kozioł.

Dopiero wtedy zauważył tę gromadkę cieni, pięć czy sześć śpieszących ku niemu postaci. No tak, zasadzka. Odwrócił się po bat, ale bat przepadł z kapeluszem i workami poczty. Foxcroft ściągnął lejce, konie jeszcze raz wspięły się na tylne nogi, koła uwięzły w piachu, pojazd stanął.

- Wio! Ruszaj!

Foxcroft sięgnął za siedzenie po muszkiet, ale muszkiet i torba śrutu też przepadły. Obrócił się na koźle, żeby stawić czoło napastnikom, a było ich jeszcze więcej niż w Canterbury. Konie zaparty się, potem pociągnęły, lecz wóz, którego orczyca i osie ryły piach, podjechał najwyżej parę cali. Konie jeszcze



raz szarpnęły; koła wreszcie znalazły oparcie na kamieniach, dyliżans ruszył przy akompaniamencie trzeszczącej skóry.

Foxcroft pojął, że już za późno. Siepacze jego lordowskiej mości - kilku chłopa - niemal siedzieli mu na karku.

- Matko Boska! - szepnął, szykując się do skoku.

Zza beczki z alozą wyrzuconej za burtę *Gwiazdy Lubeki* kapitan Quilter śledził zabłąkany sześciokonny dyliżans. Z beczki przestrelonej kulą muszkietu ciekła na piasek marynata. Quilter dosłyszał krzyk z zarośli, a obróciwszy głowę, zobaczył dyliżans pędzący ku morzu, którego drogę w błocie znaczyły pogubione worki.

Quilter uchwycił obręcz beczki i uniósł się o parę cali. Piasek pod kolanami był miękki i głęboki jak poducha. Teraz dobiegł go inny krzyk, z przeciwka. Po tamtej stronie plaży Quilter dostrzegł grupkę pędzącą ku dyliżansowi. Na skraju plaży pojazd zarył w błoto, w piach i znieruchomiał. Konie stawały dęba, wierzgały, samotna postać na koźle usiłowała rozplatać lejce.

Przez zasłonę mżawki Quilter, już na stojąco, wpatrywał się w dziwną scenę. Dyliżansu dopadło troje ludzi, tymczasem woźnica uporał się z lejcami i pojazd szarpnął, a potem ruszył z kopyta. Pozostała trójka, w tym mężczyzna z muszkietem, była zaledwie o parę kroków za tamtymi i szybko ich doganiała.

- Wio! Jazda!

- Na górę! - To był sir Ambrose, który pomagał komuś ze swej kompanii, podsadzał kobietę na kozioł. - Tak jest! Ruszaj!

Ścigający mężczyzna przyklęknął. Muszkiet rozbłysnął, zakaszłał, nad lufą wykwitł obłoczek. Dyliżans toczył się jednak dalej, kołysał z boku na bok jak okręt na wzburzonym morzu. Drugi kompan sir Ambrose'a, szczupły mężczyzna bez kapelusza, też zdołał się ucześcić pojazdu; przylgnął do drewnianego kufra na bagaże. Sir Ambrose natomiast biegł obok, unosząc coś wysoko, chyba jakąś szkatułę. Mężczyzna w mundurze ładował muszkiet,

człowiek rozpięty na kufrze natężał szczupłe ciało.

W tej sekundzie uwagę Quiltera przyciągnęło wszakże coś innego. Od którejś latarni *Bellerophona* bądź od któregoś paleniska musiał się zająć proch rozsypany z baryłki lub beczka spirytusu, bo oto ogłuszająca eksplozja wstrząsnęła ziemią i niebem. Quilter runął na kolana; wpatrzony w morze widział pomarańczowe gejzery ognia, bajeczny popis pirotechniczny, przy którym bladły nie tylko ogniska, lecz nawet spłoszone wschodzące słońce ukryte za chmurami. Potoki ognia wciąż wlewały się do morza, kiedy Quilter przypomniał sobie o dylizansie. Odwrócił się, spojrzął, lecz dylizans i jego pasażerowie zniknęli z pola widzenia. Przeczesując wzrokiem wybrzeże, dostrzegł tylko ich prześladowców: trzech mężczyzn, których czarno-złote peleryny kąpały się teraz w miedzianej poświacie tysięcy spadających i płonących szczątków statku.

### XIII

Nazajutrz rano czułem się nieszczególnie. Podniebienie drażnił jakiś osobliwy słodkawy posmaczek, język wysechł na kołek. Z łóżka podniosłem się chwiejnie, mocno wsparty o słupek, bo dokuczała mi słabość wszystkich członków; zaraz potem uświadomiłem sobie, że jestem śliski od potu, a pościel zawilgła, jakbym gorączkował bądź oddawał się we śnie jakimś mozołom. Przestraszyłem się, że dopada mnie febra lub coś gorszego (od śmierci Arabelli stałem się po trosze hipochondrykiem), ale po chwili z ulgą przypomniałem sobie Biddulphowy rumbullion. Przed oczami stanął mi zeszły wieczór: Wapping, Orinoko, Villiers, Monboddo, wciąż przybywało szczegółów. Cicho jęknąłem i zapadłem się w fotel, zdany przez kilka minut na słuchanie mewich wrzasków; srebrzyste ptaki żerowały w nadrzecznym błocie, trzepotały skrzydłami i darły się wniebogłosy. Miałem wrażenie, że przypominam sobie sen, pełen przemocy koszmar. Widocznie jeszcze jedno niepokojące następstwo wczorajszego raczenia się rumbullionem.

Po śniadaniu - zjadłem rzodkiewki z czarnym chlebem, popiłem

porannym naparem - i spędzeniu kwadransa na sedesie poczułem się nieco lepiej. Zszedłem do księgarni, żeby teraz przez kwadrans odprawiać stare rytuały: więc markiza, okiennice, odryglowanie drzwi, porządkowanie kontuaru, przy czym ta dreptanina upływała w przyjemnym otumanieniu, jakby zdumiewało mnie, że księgarnia stoi nienaruszona, ja zaś bezpiecznie tkwię w środku. Tego ranka żywiczny zapach orzecha i sosny - słodko-cierpka woń lasu - wziął górę nad zaduchem spod znaku bukramu i bezdrzewnego papieru. Teraz księgarnia jest lepsza niż nowa, oceniłem, patrząc na półki i zawiasy zielonych drzwi. Czuję się jak kapitan, którego okręt przeszedł po katastrofie pierwszorzędny remont w dalekiej stoczni, a teraz nastaje pora powrotu zza mórz.

Tak, poczułem się już lepiej. Po wyprawieniu Monka na Poczta Generalną wyszedłem na dwór i pętałem się chwilę po pieszym trakcie, czując na skórze poranne słońce i gapiąc się załzawionymi oczami na jezdnię w jedną i w drugą stronę, jakbym próbował się rozeznac w okolicy na podstawie któregoś z przydrożnych znaków. Znienacka wyraziście stanął mi przed oczami ten sen.

Zazwyczaj nie przejmuję się snami. Nieliczne, które pamiętam, okazują się nieciekawe, niejasne, niespójne, niezadowolające. Ale ostatnia noc była inna. Po powrocie z Wapping odpoczywałem w łóżku z egzemplarzem *Don Kichota*, w którym doszedłem do rozdziału szóstego, do miejsca, w którym proboszcz z balwierzem przeprowadzają rewizję, a potem palą zawartość biblioteki szalonego, nieszczęsnego Kichota i niszczą źródło jego fantastycznych urojeń. Śniłem powtórkę tego epizodu, lecz przetworzoną, bo we śnie płonęły nie książki don Kichota, lecz moje. Zastraszony i przerażony patrzyłem na szajkę szydzących sprawców, którzy zrzucają tomy z półek, ciskają w ognisko całymi naręczami i ani myślą przestać, uwijają się, wynurzają z ciemności w świetle płomieni, znów zanurzają w mroku. Wkrótce noc pochłonęła te postaci, a ja znalazłem się w Pontifex Hall, sam, wpierw w bibliotece, gdzie ogień trawił półki, a w kilka sekund potem już na zewnątrz, w labiryncie z żywopłotu, skąd

przyglądałem się, jak wielkie macki czarnego dymu wynoszą ku niebu żarzące się szczątki, skrawki stronic spadające potem na ziemię, spopielone jak po wybuchu wulkanu. Wtedy to Pontifex Hall przeobraził się w płonący statek, a sen zakończył grzmotem walących się belek. Zbudziłem się; to *Don Kichot* osunął mi się z brzucha i spadł na podłogę.

Teraz głowiłem się, jaki właściwie wyciągnąć wniosek z niepokojącego łańcucha obrazów. Platon powiada, że wszelkie sny są zwiastunami nadchodzących wydarzeń, a prorocze wizje docierają do duszy za pośrednictwem wątroby. Hipokrates z kolei utrzymuje, że sny zapowiadają chorobę, a nawet szaleństwo. Żadnego z tych wyjaśnień nie nazwałbym krzepiącym. Postanowiłem więc odwołać się do rady Heraklita, który twierdzi, że wszelkie sny to niedorzeczność, zatem najlepiej nie zwracać na nie uwagi.

Wciąż stałem na pieszym trakcie pod markizą, zagapiony jak kretyn, kiedy z Dowgate wrócił Monk z pocztą. Przyszły dwa listy: z Antwerpii od księgarza i z Saffron Walden od sędziwego duchownego w stanie spoczynku. Przesząpiłem za Monkiem próg zielonych drzwi. Czekał nas kolejny dzień.

W godzinę później złapałem kocz na Seething Lane. Nie zamierzałem składać na nowo wizyty Silasowi Cobbowi ani Ministerstwu Marynarki, liczyłem raczej na rozmowę z kancelistą od św. Olafa. W kościele zjawiłem się podczas modlitwy porannej, wsunąłem się więc w ławkę z tyłu i przerzucałem *Księgę Modlitw*<sup>1</sup>, jeden z tych tomików, do których palenia przyłożyli się ze wszystkich sił Cromwell i jego dowódca. Byłem skrępowany; miałem dziwne poczucie winy. Przesiadywanie w kościele nigdy mnie nie pociągało, inaczej niż Arabelle, która chodziła czasem na dwa nabożeństwa dziennie. Nie miałem nic przeciwko praktykowaniu, przeciw purytanom z ich buntowniczymi zgromadzeniami ani przeciw Kościołowi Ustanowionemu z jego kadzidłami, ołtarzami za balustradą i innymi quasi-papistowskimi obrzędami. Lecz w głębi serca przypominam chyba kwaków, wierzących w tak zwane światło wewnętrzne, do którego wzniesienia nie trzeba księży ani sakramentów.

Siedząc tak w strudze słońca wpadającej przez przybrudzone szkło, nie zgłębiałem jednak zagadnień duchowych. Myślałem o Henrym Monboddo i sir Ambrosie Plessingtonie; zastanawiałem się, czy jakiś zagadkowy związek łączy ich przygody w hiszpańskiej Ameryce z *Labiryntem świata* bądź *Corpus hermeticum* z grupą fanatyków protestanckich. Te bezowocne rozważania przerwał koniec nabożeństwa; wstałem i ruszyłem między ławkami naprzeciw wychodzących wiernych. Nie wiedziałem, czy mój wygląd, jak zwykle niedbały, oraz widoczne skutki wczorajszego picia nie sprawią, że wydam się pastorowi skruszonym grzesznikiem, przychodzącym błagać o wybaczenie strawienia żywota na rozpuście. Lecz pastor nic nie dał poznać po sobie, nie miał żadnych zastrzeżeń i skierował mnie do zakrystii. Tam wyjaśniłem kanceliście, że chciałbym przejrzeć rejestry parafialne, pragnę się bowiem czegoś dowiedzieć o jednym z parafian - przodku, jak zapewniłem - pochowanym na tutejszym cmentarzu. Kancelistę chyba ucieszyło, że może się do czegoś przydać. Po dłuższym myśkowaniu wyciągnął z jednej z szaf grubą księgę oprawną w wołową skórę, z zapisami z roku 1620. Zaproponował miejsce przy swym biurczku, a potem zniknął we wnętrzu kościoła, już pustym, jeśli nie liczyć starej kobiety ze szmatą, zmywającej posadzkę.

Trzy życiowe przystanki wyznaczały podział księgi parafialnej: chrzest, małżeństwo i śmierć. Szybko przeskoczyłem do tej ostatniej części. Czytanie w zakrystii, w ponurej scenerii, działało przygnębiająco. Owszem, wiedziałem, że zanim parafialni kanceliści zaczęli zestawiać i wydawać spisy zgonów wraz z przyczynami, co czynią dziś, powód śmierci często zapisywano w księdze parafialnej. Byłem jednak nieprzygotowany na te małe kroniki odejść towarzyszące każdemu nazwisku i dacie, kolumna za kolumną, strona po stronie: apopleksje, puchliny wodne, zapalenia opłucnej, gorączki plamiste, krwotoki, „mężobójstwa”, zagłodzenia, zarazy, otrucia, samobójstwa i tak dalej: niekończący się katalog dawno zapomnianych tragedii. Trafiła się nawet nieszczęsna dusza „rozszarpana przez Niedźwiedzia, zbiegłego z jamy

niedźwiedziej w Southwark”. Inną „w St James’s Park pożarł Krokodyl”. Odnotowano także zgony natury mniej oczywistej, mężczyzn lub kobiet „znalezionych na ulicy martwych” bądź „zabitych na skutek upadku”; przy paru innych nazwiskach widniał dopisek „śmierć z nieznanego powodu”.

Okazało się, że zgon Silasa Cobba wypadnie zaliczyć do bardziej tajemniczych kategorii. Jego nazwisko odkryłem po jakichś trzydziestu minutach niemal na końcu księgi, na stronach grudnia, szczególnie niebezpiecznego dla parafian św. Olafa. Notka jednak rozczarowywała. Rozmazaną kursywą zapisano po prostu, iż Silasa Cobba „znaleziono martwego w rzece poniżej York House”. Nic więcej. Ani słowa o zawodzie, adresie, krewnych. Żadnych bliższych wskazówek.

Uznałem te badania za stratę czasu. Zamknąłem księgę, podziękowałem kanceliście i dopiero w drzwiach koś cioła nagle przypomniałem sobie, co wczoraj mówił Biddulph: że York

House należał niegdyś do Francisa Bacona, przypuszczalnego konstruktora *Philipa Sidneya*, i że Bacon sprzedał w końcu tę siedzibę księciu Buckingham. Ów ulokował tam swoje książki i obrazy, gdzie pozostawały do czasu, kiedy jego syn musiał je sprzedać, korzystając z usług agenta, którym był nie kto inny (twierdziła Alethea), tylko Henry Monboddo.

Poczułem, że z podniecenia jeżą mi się bokobrody... rychło jednak uznałem, że wymyśliłem osobliwą bajkę, łatwą do obalenia. Związek między Cobbem a Baconem bądź Buckinghamem czy też Cobbem a Monboddem okaże się w najlepszym razie odległy. Nawet związek między Cobbem a York House z setkami malowideł może być tylko szczególnym zbiegiem okoliczności, jako że w zależności od przypływu woda mogła ponieść ciało milę czy dwie w górę rzeki lub w dół, zanim je wyłowiono poniżej York House. Do Tamizy Cobb mógł wpaść - bądź go do niej wrzucono, żywego lub umarłego - właściwie w każdym miejscu od Chelsea Reach po London Bridge. Ówczesne gazety pełne były opowieści o takich krótkich podróżach: zropaczeni ludzie rzucali się z

ogrodzeń mostów, a po paru dniach ciała wyławiano trzy lub cztery mile niżej z biegiem rzeki.

Przed wyjściem z kościoła przyszło mi do głowy spytać kancelistę o grób Cobba, który wyglądał na nowszy od sąsiednich, a zwłaszcza znacznie nowszy niż groby z rocznika 1620. Kancelista wzruszył tylko ramionami; zwyczaj kładzenia nowego nagrobka na starym grobie jest dość rozpowszechniony, tłumaczył. Mało tego, ludzie, którzy zrobili majątek, często dodają splendoru swym rodowodom i ulepszają miejsca spoczynku przodków; bywa wręcz tak, powiedział kancelista, że ekshumuje się kości z zapomnianych działek pod murem cmentarza i grzebie na nowo w bardziej prestiżowym otoczeniu, na przykład pod posadzką kościoła, w przejściu bądź w krypcie, gdzie nowe miejsce spoczynku upamiętnia się marmurową płytą, a nawet posągami. W ten sposób, mówił, w pół wieku po śmierci jacyś prości przewoźnicy czy handlarze ryb stwierdzają ze zdumieniem, że leżą w towarzystwie książąt, admirałów oraz własnych podobizn kutych w marmurze lub lanych w brązie, dumnie wystawionych na pokaz. Wyjaśnił jednak, że kościół nie prowadzi oficjalnego rejestru takich udoskonaleń.

- Może się pan poradzić szlifierza lub kamieniarza, którzy robili nagrobek - podsunął. - Zazwyczaj umieszczają swój znak lub nazwisko z tyłu kamienia nagrobego.

Nie miałem jednak ochoty podkradać się znowu do grobu Cobba i to w biały dzień, w tym upale nie ciągnął mnie też hałas i kurz warsztatu kamieniarskiego, zwłaszcza że czułem jeszcze skutki Biddulphowego rumbullionu. Wróciłem więc do Nonsuch House, by spróbować coś sklecić z rzeczy, których się dowiedziałem; niepewny zresztą, czy w ogóle się czegoś dowiedziałem.

Reszta dnia zeszła mi na zwykłych obrzędach wśród półek i klientów. Miły balsamie rutyny, o którym Horacy powiada *laborum dulce lenimen*, „słodka pociecho mych znojów”! Potem zjadłem obiad przyrządzony przez

Margaret, wypilem dwie szklanice wina, wypaliłem fajkę, wreszcie jak zwykle o dziesiątej położyłem się do łóżka ze wspartym na brzuchu Wolframowskim *Parsifalem*, który tego wieczoru zajął miejsce *Don Kichota*. Chyba zasnąłem wkrótce po tym, jak nocny strażnik obwołał jedenastą.

Nigdy dobrze nie sypiałem. W dzieciństwie byłem notorycznym lunatykiem. Dziwne transy i wędrówki o północy regularnie trwożyły moich rodziców, sąsiadów, wreszcie pana Smallpace'a, który przyprowadził mnie kiedyś do Nonsuch House bosego i zmieszanego, przyłapanego na nocnej wędrówce aż do południowej bramy mostu. Kiedy podrosłem, te nocne niepokoje przerodziły się w napady bezsenności, która dręczy mnie do dzisiaj. Mogę całymi godzinami leżeć, nie śpiąc, bezustannie sprawdzać zegar, wstrząsać i przyklepywać poduszkę, obracać materac, jakbym się wdał w zapasy z przeciwnikiem; jeśli w końcu ogarnie mnie sen, w minutę później może go spłoszyć najłżejszy hałas bądź niezborne marzenie senne, które tymczasem ulatuje z pamięci. Przez lata wynajdowałem przeróżnych aptekarzy, ci zaś przepisywali mi przeróżne medykamenty. Pintowym garnkiem spijałem jakieś cuchnące syropy ze złotowłosu i maku (Owidiusz powiada, że maki kwitną u wlotu Jaskini Snu). Posłuszny wskazówkom, na godzinę przed udaniem się na spoczynek nacierałem skronie mieszanką soku z sałaty, olejku różanego i kto wie czego jeszcze. Niemniej żaden z kosztownych eliksirów ani o minutę nie przyśpieszył zaśnięcia.

Gorzej, bo Nonsuch House staje się po zmroku miejscem obcym, nawet budzącym lęk, zwłaszcza po śmierci Arabelli; wszechobecny pogłos pomnaża jęki i skrzypienie podłogowych desek, stukot okiennic, zawodzenie komina, szemranie okapów, kołatanie chrząszczy, popiskiwanie i tupot szcurów. Wiązowe rury na zewnątrz drżą i jęczą, kiedy woda zamarza w nich na lód i kiedy taje. Mam się za człowieka myślącego racjonalnie, lecz w tych miesiącach po śmierci Arabelli co noc budziłem się gwałtownie raz po raz, wstrząśnięty, sztywny z przerażenia, potem kuliłem się pod narzutą jak przerażone dziecko,



nasłuchując, jak pluton duchów i demonów szepce moje imię i zabiera się do swych potajemnych prac w moich szafach i na korytarzach.

Tej nocy obudził mnie i przestraszył taki właśnie hałas. Poderwałem się na łóżku i zacząłem po omacku szukać pistoletu na nocnym stoliku. Rozważałem, czy sypiać z nim pod poduszką, podobno ludzie tak robią w obawie przed włamywaczami, bałem się jednak, że wystrzeli, kiedy się będę przewracał we śnie; był zresztą o wiele za duży i tylko przysparzałby niewygód pod maleńką poduszką z gęsiego puchu. Zatem kładłem pistolet na stoliku, nabity, podsypyany, odwrócony lufą od wezglowia. Reszta amunicji leżała w szufladzie w ładownicy, którą jednonogi weteran sprzedał mi wraz z bronią; o dziwo, ołowiane kule w liczbie trzydziestu nie wyglądały groźnie: przypominały skamieniałe odchody jakiegoś gryzonia.

Po paru sekundach gorączkowego macania znalazłem pistolet, zacisnąłem palce na osadzie lufy i wstrzymałem oddech: wsłuchiwałem się w natrętny odgłos. Zdawało mi się, że to jakieś ciche pobrzękiwanie czy podzwanianie, może pary ostróg. Lecz panowała cisza. Sen, powiedziałem sobie. Może dzwonek nocnego strażnika.

*Kli-kli, kli-kla, kli-klań...*

Zasnąłem, kiedy to znowu mnie dobiegło, już wyraźniej. Był to jakiś nieznany odgłos, nie należał do zwykłego repertuaru budynku: słabe, lecz natarczywe podzwanianie, jak dzwonek wzywający na obiad lub pęk kluczy na łańcuszku gospodyni.

Może jak człapanie kopyt i chrobot kół, ale minęły już całe godziny od nastania nocnej ciszy, bramy pozamykano i żaden konny pojazd nie powinien przemierzać jezdni.

Podniosłem się jeszcze raz, zmacawszy pistolet lewą ręką. Zapaliłem świeczkę i spojrzałem na zegarek, którego też musiałem szukać na stoliku. Po drugiej. Hałas nagle ustał, jakby jego sprawca usłyszał sam siebie i zamarł. Przełożyłem nogi przez krawędź łóżka, wyobrażając sobie napastnika, który

gdzieś przywarł do ściany, wstrzymuje oddech i nasłuchuje.

*Kli-kli, kli-kla, klu-KLAN!*

Skradałem się korytarzem, potem wzięwszy głęboki oddech, zszedłem pierwsze kilka stopni w dół, tymczasem odgłos nabierał mocy. Po ciemku miałem kłopoty z równowagą, ale zdołałem ominąć trzeci stopień od góry, który skrzypiał, i piąty od góry, wyższy o cztery cale od reszty - żeby potknęli się na nim nieostrożni włamywacze. Nie chciałem budzić Monka. Pewnie wystraszyłby się śmiertelnie, zobaczywszy, jak się czaję we własnym domu, uzbrojony. Nie chciałem też płoszyć intruza, który - już byłem pewien - jest albo w środku, w księgarni, albo usiłuje dostać się przez zewnętrzne drzwi, bo ów odgłos to podzwanianie pęku wytrychów.

*Kli-kli, KLI-KLA-da...*

Poczułem ukłucie strachu na karku. Drżąc, wzięłem oddech, zacisnąłem rękę na broni i bosą stopą poszukałem następnego stopnia. Podzwanianie ucichło, teraz jednak usłyszałem trzaśnięcie zamka, potem dotarło do mnie skrzypienie obracających się cal po calu nowych zawiasów w zielonych drzwiach. Zamarłem z kaleką nogą zawieszoną w powietrzu. Deski podłogi poskarżyły się cicho, kiedy intruz przekradał się przez księgarnię. Oblizalem wargi i zmacałem następny stopień.

Potem przydarzyło się nieuniknione. Strome kręte schody miały stopnie wąskie, wytarte, nierównej wysokości, ja zaś byłem chromy, wpół ślepy bez okularów zostawionych w sypialni. Kiedy szukałem miejsca na kolejny krok, chroma noga osunęła się z krawędzi stopnia, a ja runąłem z krzykiem na podest. Gorzej, bo młócąc rękami powietrze w ciemności, wypuściłem pistolet. Z głośnym łomotem staczał się przede mną po schodach.

Zaczerpnąłem powietrza i zamarłem. Zapanowała głucha cisza. Przeleżałem parę sekund na podeście, potem podniosłem się i przykucnąłem. Dom ogarnęła taka cisza, że już uznałem to wszystko za pomyłkę lub sen, za odgłos wiatru bądź skrzypienie i drganie budynku podczas przyływu. Zaraz

jednak dobiegło mnie wyraźnie stąpanie, w chwilę później szepty.

Poczułem, jak moje ciało tężeje i zbiera się do ruchu. Wciąż mogłem sięgnąć po pistolet. Intruzów było jednak co najmniej dwóch; jeżeli ich uprzedzę i sięgnę po broń, mam tylko jeden strzał. Skulony na podeście, bałem się nawet oddychać.

Minęło kilka strasznych sekund, wreszcie zasyczał stoczek. Potem w górę podpełzło światło, na ścianie zamajaczyły cienie. Wreszcie zdołałem się ruszyć, cofałem się bokiem po wąskim podeście, macając za sobą schody biegnące na górę. Było jednak za późno. Para butów zaskrzypiała ledwie kilka stóp niżej. Usłyszałem ciche skwierczenie pochodni, potem głośny łoskot, kiedy znaleźli pistolet. Za parę sekund dopadną mnie.

Obróciłem się i jak ślepy poszukałem stopni. Zanim znalazłem oparcie, zimna ręka schwyciła mnie za kark.

Nonsuch House liczył sobie podówczas osiemdziesiąt lat. Zbudowano go w Holandii w roku 1577, następnie w częściach dostarczono morzem do Londynu, gdzie element po elemencie dopasowano bez użycia gwoździ i zmontowano wszystko, dom, układankę wykuszy, cebulaste kopuły. Stał w połowie mostu, na północ od jego niewielkiej zwodzonej części, której drewniane koła zębate sześć razy dziennie skrzypiały i jęczały. Sześciokrotnie wstrzymywano co dzień ruch na jezdni na dwadzieścia minut, w dole zaś ruszała żegluga na fali przyływu bądź odpływu: barki i łodzie zmierzały w górę rzeki z ładunkiem słoju i suszonych łupaczy, łodzie aprowizacyjne i pinki płynęły w dół z bekami piwa i cukru dla kupców z Tower Dock, czasami sunął tędy nawet jacht króla w drodze na regaty w Greenwich, kołysząc masztami, z trzaskaniem żagli. Na moście zapadała wówczas cisza, konie i rozpychający się piesi przystawali przed zjawiskową paradą dwudziestu lub trzydziestu statków i łodzi. Jako praktykant ja także zamierałem z podziwu na widok jezdni unoszącej się ku niebu i wypełnionych wiatrem, wybrzuszonych jak kamizele olbrzymów żagli sunących przed oknami. Czasami pan Smallpace wołał do mnie przez całą

przestrzeń księgarni, ja zaś posłusznie wracałem do obowiązków: do stert książek.

Owszem, ten rytuał robił wrażenie, ale wprawiał Nonsuch House w dygotanie, szczególnie w moim kącie, bezpośrednio przylegającym do zwodzonego mostu, który sześć razy dziennie trząsał się i jęczał z wysiłku. Kiedy obracały się koła i unosiły dźwigary, czułem pod nogami drzenie desek, słyszałem brzęk szyb w oknach. Zdarzało się, że spadały książki z półek, kubki i talerze z kredensów, miedziane garnki i połcie mięsa ze spiżarnianych haków. Co gorsza, po śmierci pana Smallpace'a odkryłem, że jedna z pionowych belek w gabinecie przesunęła się tak bardzo, że odstawała już od sufitu; jedna ze ścian niebezpiecznie wybrzuszała się na zewnątrz.

Musiałem coś zrobić. Ściągnąłem czeladnika kowalskiego, żeby ujarzmił niesforną, przemieszczającą się belkę. Podczas remontu, za dziurą wybitą w przegniłej trzcinowo-glinianej ścianie, odsłoniła się niewielka wnęka. Czeladnik szybko tę dziurę poszerzył: zaprowadziła do pomieszczenia wysokiego na siedem stóp, szerokiego na trzy, które od biedy mógłbym zamienić w dodatkowy pokój. Badania polegające na opukiwaniu pogrzebaczem ujawniły, że wejściem do pomieszczenia jest ukryta kłapa w suficie, której deski uchodzą za podłogę maleńkiego schowka na buty piętro wyżej.

Mogłem tylko zgadywać, kto wybudował sekretne pomieszczenie. W środku nic nie znalazłem, z wyjątkiem drewnianego półmiska, łyżki, obtłuczonego srebrnego lichtarza i podartych resztek, zapewne skórzanej kamizelki. Spodziewałem się, że znajdę tu - jeśli w ogóle coś znajdę - kilka starych naczyń liturgicznych bądź resztki księżego stroju, wiedziałem bowiem, że w budynkach wznoszonych za panowania królowej Elżbiety księża kryjówki były czymś powszechnym, były to klatki pod schodami bądź pod kamieniami paleniska, gdzie ukrywali się księża rzymskiego obrządku lub inne ofiary naszych prześladowań religijnych.

Owego wieczoru przysiadłem w tej izdebce przy świeczce płonącej w

starym lichtarzu, podciągnąłem kolana pod brodę i próbowałem sobie wyobrazić, kto tu się ukrywał: braciszek franciszkanin we włosiennicy, może nawet jezuita? Przez chwilę wręcz go widziałem: ów człowieczek klęczy na macie z sitowia, szepce *miserere*, ostrożnie bierze oddech w ciasnocie i ciemności, a tymczasem odlegli zaledwie o cale sądowi łapacze szukają go, nawołują się hasłami, opukują rękojeściami pałaszy podłogę i boazerię. Nie byłem żadnym papistą, lecz miałem nadzieję, że ten ktoś, kimkolwiek był, zdołał jednak uciec i uratować wiedzione w tajemnicy życie: ciche, ascetyczne, niemal hermetycznie zapieczętowane; za taką egzystencją zawsze sam tęskniłem. Pewnie dlatego zatrudniwszy cieślę mającego wypełnić tę izdebkę, w ostatniej chwili pod wpływem impulsu zmieniłem zdanie i kazałem pomieszczenie zostawić, skrywając je tylko za nową ścianą, potem pobieloną, obitą boazerią i zastawioną półkami z książkami. Izdebka stała się znów niewidzialna.

Nigdy nie zamierzałem jej wykorzystać, uchowaj Boże! Chciałem ją pozostawić na pamiątkę, to wszystko. W następnych latach niewiele o niej myślałem, chociaż po wizytach łapaczy przydała się do ukrycia paru traktatów i pamfletów narażonych na konfiskatę i spalenie. O jej istnieniu wiedział tylko Monk, nieodmiennie nią zachwycony. Często słyszałem, jak wewnątrz tupie, oddając się pewnie jakimś tajemniczym zabawom. Kiedyś podniosłem klapę w schowku na buty i zajrzałem do środka, żeby się przekonać, że Monk wyposażył pomieszczenie w najrozmaitsze rzeczy, trójnożny stół, świece, koc, coś do czytania, a nawet wygrzebany skądś stary nocnik. Podejrzewałem, że snuje plany urządzenia sobie siedziby. W sumie ta klitka rozmiarów sypialenki Monka może i była wygodniejsza.

Siedząc w fotelu któregoś wieczoru, usłyszałem energiczne łomotanie zza ściany, ruszyłem więc po schodach i zastałem Monka na przybijaniu gwoździami do drewnianej klapy trzech par starych butów. Wyjaśnił, że wpadł na pomysł, który zaraz zademonstrował: otóż jeśli któryś z nas otworzy włącz i

wślizgnie się do izdebki, te buty zostaną na miejscu, również kiedy zamkniemy za sobą klapę. W ten sposób wejście pozostanie zamaskowane. Niegłupie, prawda? Wyłonił się z dziury i ciężko dyszał. Rzeczywiście niegłupie, przyznałem. Nie musiałem pytać Monka o źródło natchnienia. Zaledwie trzy wieczory wcześniej wpadli do nas łapacze i przystawili Monkowi do twarzy płonąca latarnię.

- Dobra robota - powtórzyłem. Postanowiłem oszczędzić mu wymówek o buty, których właściwie nie nosiłem. - To wcale zmyślne. - Potem zajrzałem z góry do izdebki i pomyślałem o księdzu skulonym w ciemnościach, modlącym się o ratowanie życia prowadzonego potajemnie i cichej misji. - Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli tego wypróbować.

Zamknęliśmy drzwi i wypełziliśmy ze schowka. A potem przez całe miesiące, i dłużej, nie myślałem o maleńkiej celi ukrytej za ścianą mego gabinetu.

- Panie Inchbold. - Szept. Ręka zacisnęła się mocniej na moim karku. - Tędy, proszę pana. W górę. Za mną...

Wchodziliśmy szybko, nasze cienie skakały przed nami po stopniach. Obok gabinetu, obok sypialni, zakręt na podeście, a potem jeszcze jeden bieg krętych schodów. Z dołu ścigały nas błyski pochodni i Śpieszne dudnienie. Koniec ze skradaniem. Ścigający wołali nas, potem usłyszałem łomot i przekleństwa, przewrócili się bowiem na zdradzieckim piątym stopniu nad podestem. Potem podnieśli się, znowu zakłeli i wznowili pościg. Słyszałem, jak wykrzykują moje nazwisko.

Tymczasem wdrapaliśmy się na górę. Prowadził Monk, zwinnie przeciskając się przez korytarzyk, ja kuśtykałem parę kroków za nim, otepiały ze strachu, oglądając się i czekając, kiedy u szczytu schodów pojawi się pierwsza głowa. Nie miałem pojęcia, co Monk zamierza, wiedziałem tylko, że ucieka, aż wreszcie wpadłem na niego. Przystanął przed schowkiem na buty i teraz elegancko podtrzymywał uniesioną klapę, jakbyśmy wsiadali do karety.

- Pan pierwszy, proszę pana.

Uklęknąłem i opuściłem się w mrok, zaciskając palce na krawędzi włazu, aż znalazłem na stołku oparcie dla stóp. W sekundę później lekko jak kot zeskoczył Monk i ostrożnie zamknął zamaskowane wejście. Znaleźliśmy się w całkowitej ciemności, z góry nie wpadała nawet strużka światła. Nie mogłem dostrzec sylwetki Monka, nic, chociaż czułem jego bliskość; odległy o parę cali tłumiał sapanie. Obróciłem się, lecz uderzyłem o coś. Wnętrznosci podeszły mi pod gardło. Wpadłem w panikę. Ciemność wydawała się czymś wręcz materialnym, gęstym.

Obróciłem się znowu, by teraz uderzyć w ścianę. Klitka była niewiele większa od trumny. Chciałem już stąd uciec, lecz wówczas poczułem dłoń Monka na ramieniu; nad głową zaś rozległ się łomot butów, jakby wkraczała cała armia. Intruzi trafili na górę. Jakiś głos wykrzykiwał moje nazwisko. Macałem w ciemności, szukając stołka. Głośno trzasnęły drzwi. Byłem bliski zemdlenia...

Nie zemdlałem. Siadłem na stołku, który podsunął Monk, i przez następne parę godzin wsłuchiwaaliśmy się w hałasy nad nami, zwróceni twarzami ku górze, ku niewidzialnej klapie, skamieniali i cisi, tymczasem napastnicy - trzech lub czterech - otwierali drzwi, opukiwali pałaszami i laskami każdy cal domu. Goście byli bardzo staranni. Klatka schodowa, kamienne ościeżnice kominka, gzyms nad nim i kamienie pod paleniskiem, stropy i podłogi, schowki, boazerie, łóżka, zasłony, każda krusząca się cegła bądź nadżarta przez robaki belka, tknięto dosłownie wszystko. Trzykrotnie słyszeliśmy ich nad sobą, tupali w korytarzu przed schowkiem na buty, otwierali drzwi schowka i opukiwali w nim ściany. Jednakże trzykrotnie zatrzaskiwali drzwi, a kroki i opukiwania cichły. W chwilę później usłyszałem ciche stukanie zaledwie o parę cali od ucha; końcem laski starannie badano ścianę mego gabinetu. Ścianka była jednak gruba, przestrzeń wypełniona mieszaniną gipsu, gliny i sitowia, płytszy odgłos był pewnie stłumiony, a może w ogóle niesłyszalny. Opukiwanie ustało.

Westchnąłem z ulgą, a na ramieniu poczułem dłoń Monka.

- Wszystko w porządku, proszę pana?

- Tak jest - wyjąkałem trochę za głośno. - W porządku.

Trząsałem się okropnie. Miałem nadzieję, że tego nie zauważy; zresztą uznałem, że to już bez znaczenia. Podczas tej próby chyba się odwróciły role praktykanta i mistrza. Od pierwszej chwili naszej ucieczki po schodach to on był cierpliwy i odważny, ja zaś, jego zagubiony patron, byłem kłębkim strachu i jeszcze narzekałem. Denerwowałem się okropnie w zamknięciu. Po paru zaledwie minutach spędzonych na stołku zaczęły mnie boleć plecy; potem zeszywniały mi nogi, jeszcze po chwili poczułem, że mój pęcherz gwałtownie domaga się opróżnienia. Później nie mogłem złapać tchu w gęstniejącym powietrzu. Gulgotało mi w piersi, przepona drgała i falowała, kiedy tłumiałem szczekliwy kaszel; bo nawet kaszel mógł nas wydać. Zagryzłem wargi; próbowałem zaczerpnąć sił i otuchy z myśli o księdzu, który w tej celi tkwił przed nami, może w bardzo podobnych okolicznościach ów człowieczek całował obrazek z Barankiem Bożym, odmawiał różaniec, recytował pod nosem litanie do Wszystkich Świętych. Myśleć o nim - tylko na to było mnie stać, żeby powstrzymać się od skomlenia.

Tymczasem Monk w tej celi ciasnej i ciemnej jak grób czuł się chyba w swoim żywiole. Jakby od dawna przygotowywał się na taką sytuację lub jakby wcześniejsze doświadczenia z intruzami okazały się ciężką próbą i uczyniły zeń kogoś cierpliwego i mądrego, kto już nie jest moim posłusznym podwładnym, lecz skutecznym i stanowczym przywódcą, zdolnym do przewidywania i ocen. To on postanowił, że nie możemy sobie pozwolić na zapalenie świecy, to on znalazł koc i okrył mnie, to on szeptem dodawał otuchy, zapewniał, że nie zabraknie nam powietrza i że mamy szansę ucieczki... wreszcie to on - kiedy głośno trzasnęły zielone drzwi, a wszędzie zapadła cisza - zdołał mnie przekonać, że w domu wciąż na nas czyha jeden z napastników, stoi absolutnie nieruchomo, cicho i czeka, aż wyjdziemy, do czego przedwcześnie byłem



gotów. Parę minut później usłyszeliśmy, oczywiście, stłumiony kaszel w gabinecie. Więc odczekaliśmy jeszcze parę godzin, zanim i ten wyszedł. Potem Monk splótł z dłoni siodełko i podsadził mnie. Wdrapałem się do schowka na buty, zaciągnąłem powietrzem, a potem zanurzyłem w rozjaśnione o świetle korytarze i pomieszczenia jak ocalały rozbitek wypełzający z resztek katastrofy.

Teraz nie było jednak żadnej katastrofy, ani w domu, ani w składzie książek na dole. To w niczym nie przypominało napadu sprzed paru dni. W półmroku wędrowaliśmy na palcach przez pokoje, z dala od okien - jeszcze jedna mądra rada Monka - i rozglądaliśmy się za jakimiś śladami zdarzenia. Tak to jednak wyglądało, jakby poza nami nikogo nie było w domu; jakby ostatnie godziny były tylko wspólnie prześnionym koszmarem. Nawet znalazłem pistolet na najniższym stopniu schodów, najwyraźniej nietknięty. Jedynym śladem wizyty gości była woń dymu z pochodni zmieszana ze zwykłym domowym zaduchem.

- Jak pan sądzi, kto to? - Teraz, przemierzając znane korytarze, Monk powrócił do roli pełnego szacunku praktykanta. - Te same typy co przedtem?

- Nie, nie przypuszczam. - Byliśmy teraz w księgarni i oddawaliśmy się oględzinom zielonych drzwi. - Nie przyszli po książki, prawda? Inaczej niż tamci.

Przytaknął i przez chwilę rozglądaliśmy się w milczeniu. Nikt nie tknął żadnej książki. Wciąż stały w równych szeregach, w jakich je ustawiliśmy zaledwie parę dni temu. Ci ludzie nie przyszli też po pieniądze. Zamek żelaznej szkatuły pod moim łóżkiem był nietknięty, podobnie sakiewka z monetami za kontuarem i - co ważniejsze - zapas suwerenów i papierów pod podłogą. Z domu nie zginęło nawet ćwierć pensa. Było więc jasne, że na mojej twarzy musi w końcu spocząć pełne zakłopotania, pytające spojrzenie Monka.

- Uważa pan, że przyszli po pana, tak?

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się, żeby uniknąć dociekliwego spojrzenia. Zająłem się oględzinami zamka w drzwiach; był nietknięty, jak

wszystko inne. Włamywacze, kimkolwiek byli, znali się na rzeczy.

Lecz potem moją uwagę przykuło coś przy drzwiach, plama ziemi. Uklęknąłem, żeby się przyjrzeć. To był zbrylony szary proszek, bardzo drobny, twardy w dotyku, lekko opalizujący w porannym świetle.

- Co to takiego, proszę pana? - Monk zaglądał mi przez ramię.

- Kokina - odpowiedziałem po chwili. - Wapień.

- Wapień? - Podrapał się pogłowie i głośno dyszał. - Z kamieniołomu?

- Otóż nie, nie z kamieniołomu. Z morza. Widzisz? - Dmuchnąłem w ów pył, żeby pokazać maleńki fragment wyglądający jak ułamek kości. - To zmiżdżone muszle sercówek.

Przecięgnął palcem po proszku.

- O rety, proszę pana! Skąd tutaj muszle? Uważa pan, że to oni przynieśli...

- Jasne, że tak uważam. - Wyprostowałem się, wciąż się przyglądając drobnym okruchom na dłoni. - Kokiny używa się do budowania nawierzchni - wyjaśniłem. - Podjazdów przed rezydencjami, czegoś w tym rodzaju. Musieli to wnieść na butach.

Monk uroczyście pokiwał głową, jakby liczył na dalsze objaśnienia, lecz się ich nie doczekał. Po minucie strzepnąłem pył z dłoni i stanąłem przed oknem za zamkniętymi okiennicami. Była już ósma. Patrzyłem przez żaluzje; poranne słońce pokryło za mną podłogę pasami, a na zewnątrz, na jezdnię rzucało długie cienie. Pasy światła raziły mnie i przyprawiły o ostry, promieniujący ból z tyłu głowy. Schyliłem się jednak i - jak robiłem to już kilka razy w ciągu ostatnich dwóch dni - potoczyłem wzrokiem po jezdni w jedną i w drugą stronę. Wszczął się poranny ruch; jezdnię wypełniała swojska kakofonia pokrzykiwań, dźwięczących kopyt, szczęku żelaznych sztab i zasuw sprzed otwieranych sklepów na moście. Przed nimi wyrosli jak spod ziemi praktykanci z miotłami i sprząkali w plamach słońca.

Patrząc na rozwój tej scenki, czułem bolesne pulsowanie pod mostkiem.

To mój ulubiony moment w ciągu dnia, pora otwierania okiennic, opuszczania markizy, woskowania kontuaru, szaf z książkami, czyszczenia paleniska, rozniecania ognia, nastawiania czajnika z wodą na pierwszą kawę, potem pora wypoczynku za kontuarem i czekania, aż pierwszy z klientów otworzy zielone drzwi i wejdzie do środka. Podejrzywałem tego ranka, że ów rytuał już się nie powtórzy. Bo nie wiadomo, myślałem, kto się może dzisiaj pojawić na moście i wkroczyć do sklepu... Bo nie wiadomo, kto jest na zewnątrz, co za złowroga znakomitość wyposażona w tajemne moce chowa się na gankach, może w bramach, obserwuje zielone drzwi i czeka następnej okazji... Nie powiedziałem bowiem Monkowi jednego: że kokiną są pokryte podjazdy i ścieżki pałacu Whitehall - i to ona trzeszczała pod moimi stopami, kiedy wędrowałem do biur Ministerstwa Skarbu.

Z posępnego zamyślenia wyrwał mnie głośny pisk, zaraz potem zadźwięczały szyby, a belki księgarni niecierpliwie zadrżały pod nogami. Zerknąłem przez szczelinę okiennicy i zobaczyłem, że zwodzony most unosi się ku niebu jak wskazówka ogromnego zegara, że przęsło rzuca teraz cień na front księgarni. Jezdnię zaległa dobrze znana cisza. Wozy i koczki zbijały się w gromadę przed moim magazynem, tymczasem płowożółte żagle łowiły wiatr i z trzaskaniem sunęły przez otwarty przepływ. Ostatnie z nich przewinęły się nieśpiesznie przed oknem po paru minutach. Potem koła drgnęły liny napięły się, drewniane tryby zaskrzypiały, belki podłogi zadrżały, a most położył się na swoim miejscu, pojękując jak starzec. Jezdnia znowu ożyła, pojazdy ruszyły po kocich łbach z kopyta, jak zawsze o tej porze, w otoczce zwykłej wrzawy, złożonej z trzeszczenia, skrzypienia i przekleństw.

No tak, właśnie się rozpoczęły te wszystkie swojskie rytuały. Ale uświadomiłem sobie nagle, że już nie będę ich częścią od tego ranka, że nie otworzę księgarni, że po raz pierwszy w moim życiu zawodowym odwrócę się od swych obowiązków. Mój stateczek nie zawija do macierzystego portu, jak mi się wydawało, mknie jak szalony, nie trzyma się kursu, pędzi ku nieznanym

wodom bez map i kompasu. Kiedy parę chwil później wdrapywałem się na kręte schody, kurczowo lgnąc do ściany, wiedziałem, że Nonsuch House - moja opoka i schronienie od lat dwudziestu - już nie jest miejscem bezpiecznym.

## Część trzecia

### Labirynt świata

#### I

Tak oto rozpoczęło się moje pełne udręk życie tułacze, burzliwy czas wygnania z Nonsuch House. Z początku nie miałem pojęcia, dokąd mógłbym uciec. Wspinając się po schodach i zmierzając do sypialni, rozważałem zupełne porzucenie Londynu, lecz wkrótce przemyślałem sprawę gruntowniej. Jak dotąd zaledwie kilka razy wytknąłem nos za granice miasta: dwa razy byłem na targu książek w Ely, trzy razy na takim samym targu w Oksfordzie, z tego samego powodu raz aż w Stourbridge. Zdarzyła się też ta dłuższa i bardziej mozolna podróż do Pontifex Hall, od której - jak sądzę - zaczęły się wszystkie moje nieszczęścia.

Pomyślałem, żeby poszukać schronienia w Wapping, szybko jednak uznałem, że nie ma co narażać nieszczęsnego Biddulpha ani dokładać mu brzemion; Biddulph ma dość własnych obaw, dość własnych tajemnic do upilnowania. Potem, pakując zmianę bielizny do niewielkiej skórzanej torby na książki, pomyślałem o moich klientach, pewnej ich garstce. Byli to szacowni, spokojni uczeni, którzy, gdybym zechciał, pewnie przygarnęliby mnie z zadowoleniem na noc czy dwie, może nawet na dłużej. Lecz jakie im przedstawię wytłumaczenie? Zapiąłem torbę i zarzuciłem na ramię. Nie; w całym Londynie pozostało tylko jedno miejsce dla takich uciekinierów jak ja, jedno jedyne.

Kiedy znalazłem się na dole, Monk już otworzył księgarnię i paru klientów - pogodne, znajome twarze - myszkowało po półkach. Skinąłem im, a potem szeptem powiadomiłem Monka, że na parę dni muszę opuścić Nonsuch House; prowadzenie interesu znów zdaję w ręce Monka. Zerknął na skórzaną torbę, lecz nie wydawał się ani trochę zdziwiony. Zważywszy na wypadki paru

ostatnich nocy, mógł się spodziewać po szefie takich nagłych kaprysów. Poczulem bolesne ukłucie, opuszczając Monka, jakbym to ja, jedyny na świecie, mógł go chronić i ocalić. Po raz ostatni ogarnąłem wzrokiem księgarnię i wyslizgnałem się na zewnątrz, gdzie szybko wmieszałem się w gęsty tłum na pieszych traktach mostu, zbity po pięciu ludzi w rzędzie.

Po paru minutach przekroczyłem bramę Southwark. Zrobiło się luźniej. Obejrzałem się za siebie i nie żałując kosturka, pokuśtykałem ścieżką ku schodkowym nabrzeżom, gdzie wyszukałem przewoźnika. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i spytał, gdzie płyniemy.

- W górę rzeki - odpowiedziałem.

Wyciągnął wiosła, włożył w dulki i odbił od pomostu; przyglądał mi się podejrzliwie, pewnie dlatego, że - nie bacząc na słoneczną pogodę - naciągnąłem płachtę na drewniane pałaki łodzi i skuliłem się pod tym przykryciem śmierdzącym stęchlizną. Wyglądałem z kryjówki, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi, czy nikt nie poszedł za mną na nabrzeże. Poniżej rzeka właściwie była pusta, jeśli nie liczyć paru zakotwiczonych na płyciznach rybackich kutrów, na których ludzie Śpiesznie skracali żagle w oczekiwaniu na kolejne podniesienie zwodzonego mostu. Nonsuch House widziany poprzez ich maszty wznosił się nad pomostami, potem zmalął zasnuty lekką mgiełką, by wreszcie rozplynać się w powietrzu.

- Czym mogę służyć, proszę pana? Gdzie pana zawieźć?

- Alsatia - odrzekłem. Potem zanurkowałem pod plandekę i nie wychynałem spod niej, póki dno łodzi nie otarło się o stopnie nabrzeża przy węglowej przystani koło Złotego Rogu.

Pokój wynająłem przy Abbey Court w tawernie Pod Półksiężycem, mniej więcej pośrodku (jeśli można tego dociec) labiryntu placyków i zaułków, jakim jest Alsatia. Mieścił się na najwyższym piętrze, gdzie można się było dostać tylko wąską i krętą klatką schodową, którą poprowadziła mnie pani Fawkes, właścicielka, drobna ciemnowłosa kobieta. Jej spokojne i nacechowane ogłada

zachowanie wydawałoby się bardziej na miejscu w żeńskim klasztorze niż w tawernie w środku Alsatii. Do książki gości wpisałem się jako „Silas Cobb”, następnie zapłaciłem z góry za dwie doby szylinga, ów zaś szyling upoważnia, jak wyjaśniła cichym głosem pani Fawkes, nie tylko do łóżka, lecz także do śniadania i obiadu. Gdybym zaś potrzebował jeszcze jakiejś przyjemności - piwa, tytoniu, usług pokojówki - miałem bez wahania i zwłoki powiadomić właścicielkę. Czyniąc aluzję do młodych dam - zerkających zza zasłon w drzwiach podczas naszej wspinaczki po schodach - pani Fawkes skromnie spuściła oczy o tarninowym odcieniu. Zapewniłem, że nie oczekuję po sobie takich potrzeb.

- Prawdę mówiąc - zapuściłem rękę do kieszeni po następnego szylinga i wsunąłem go w dłoń pani Fawkes - ważne jest to, żeby mnie tutaj nikt nie niepokoił. Dosłownie nikt, w dzień ani w nocy. Rozumie pani?

Z zachowania pani Fawkes wywnioskowałem, że takie życzenia gości nie są tu czymś wyjątkowym.

- Rozumie się, panie Cobb - szepnęła z uśmiechem, po czym skromnie spuściła wzrok wpierw na łańcuszek u pasa, potem na czarnego kota, który dotrzymywał nam towarzystwa na schodach. - Dopóki jest pan pod moim dachem, nikt, ale to nikt panu nie przeszkodzi. Moje słowo.

Potem odeszli, pani Fawkes z kotem, ja zaś położyłem torbę na łóżku i rozejrzałem się po pokoju. Mały, spartański, przypominał mnisią celę, z umeblowaniem złożonym z krzesła o drabinkowym oparciu, stolika i łóżka na czterech słupkach, ze sfatygowanym materacem. Wcale czysty pokój zupełnie mi wystarczał. Przez maleńkie okienko mogłem dostrzec dzwonnice Bridewell Prison, a za nią, dużo dalej, północny kraniec London Bridge, który to widok wielce mnie krzepił i czynił moje wygnanie - przyzwyczajając się do tego słowa - nieco znośniejszym. Jeszcze rozdygotany, usiadłem na łóżku, wziąłem oddech i pogratulowałem sobie wyboru.

Kiedy przed godziną lądowałem w Alsatii, byłem przygnębiony i zbity z

tropu. Wykończony przejściami minionej nocy nie miałem żadnego planu poza jednym: żeby wzorem tylu innych poszukać w tej okolicy schronienia. Wpierw zamierzałem wynająć pokój w Złotym Rogu, potem w Głowie Saracena, lecz odrzuciłem te pomysły. W obu miejscach mogłem się natknąć na doktora Pickvance'a, a przecież nie wiedziałem, jakie stosunki łączą go z Henrym Monboddem. Zresztą tawerna Pod Półksiężycem robiła wrażenie przyzwoitsze - jeżeli to właściwe słowo - niż inne takie domy. Kiedy stanąłem przed nią, właśnie otworzyły się drzwi, a pani Fawkes - w asyście czarnego kota, który towarzyszył jej chyba wszędzie, niczym kot czarownicy - zegnała kilku bogato odzianych dżentelmenów. Poza tym budynek wydawałby się wręcz pusty, gdyby nie młode damy, zerkające zza zasłon kryjących ich pokoje.

Tak, powiedziałem sobie, wyciągając się na materacu: tu powinienem być bezpieczny. Niemniej wyjąłem z torby pistolet i położyłem przy łóżku.

Zasnąłem niemal zaraz, żeby zbudzić się dopiero wczesnym wieczorem, kiedy na London Bridge rozbłyskują pierwsze żółtawe światła. Mój kieszonkowy zegarek powiadomił, że spałem prawie dziesięć godzin.

Obróciłem się, wciąż zaspany, półprzytomny, wstałem z łóżka i wyciągnąłem z torby dwa flakoniki: dwa z trzech nabytków, w które zaopatrzyłem się przed wynajęciem pokoju. Pierwszy flakonik zawierał wyciąg z jeżynowych liści kupiony u aptekarza nazwiskiem Foskett; ów wyjaśniał mi, jakim to znakomitym środkiem na owrzodzenie ust bądź innych naszych „miejsc wstydliwych” - mówiąc, to mrugnął - jest ów preparat wytworzony w jego własnym laboratorium. W odpowiedzi puściłem do niego oko, nie odwołując się do wiary w to, w co chciał wierzyć.

W czajniku zagotowałem wodę, wlałem do środka ów jeżynowy wyciąg, zamieszałem, a potem z drugiego flakonika dodałem trzy gramy ługu kupionego w tym samym sklepie. Teraz, już całkiem rozbudzony, drżącymi rękami pozamykałem oba flakoniki. Kiedy mikstura wystygła, wlałem ją do miednicy, a potem nasączyłem nią włosy, brodę, nawet brwi. Wszystko jedno, czy Foskett o



tym wiedział czy nie, jego preparat mógł służyć nie tylko do uśmierzenia dolegliwości wenerycznych. Lusterko potwierdziło, że moje włosy i broda - szpakowatego szatyna - stały się teraz kruczoczarne. Na dodatek przystrzygłem brodę w szpic, zgodnie z modą, której hołdowali kawalerowie.

Potem zająłem się ostatnim porannym nabytkiem, ubiorem ze składu gotowych rzeczy na Whitefriars Street. Złożyłem i schowałem mój skromny strój księgarza - wytarty kaftan, bryczesy z prześwitującym siedzeniem, pończochy z puszczoneymi oczkami - i sztuka po sztuce oblekłem się w nowy kostium. Wpierw purpurowy kaftan ze złotymi guzikami, potem para zdobionych tasiemkami bufiastych spodni, odpowiednie jedwabne pończochy, wreszcie czarny welwetowy kapelusz z powiewającą purpurową wstążką i odwiniętym na bakier rondem. Postać tak rzucała się w oczy, że z pewnością nikt w niej nie rozpozna Isaaca Inchbolda, nawet ja sam. Nie, pomyślałem, przyglądając się krytycznie swemu odbiciu w ciemnej okiennej szybie: nikt się nie zorientuje, kiedy ruszę wieczorem załatwiać swoje sprawy.

Zadowolony z rezultatów posłałem po kolację. Wkrótce przyniosła ją jedna z tak zwanych pokojówek, dziewczyna o rozłożystych biodrach, różowych policzkach, mówiąca z wiejskim akcentem. Postawiła kolację na stole, z podziękowaniem przyjęła dwupensówkę, potem dyskretnie wyszła, nawet nie spojrzawszy na mnie. Posiłek, smażony łupacz z pasternakiem, był wcale smaczny i zjadłem go z apetytem. Z przyjemnością wypilem też szklankę dubeltowego piwa. Kilka minut potem schodziłem już po schodach, wsunawszy pistolet za pas nowych spodni.

O tej porze Pod Półksiężycem pełno było gości, których chrapliwe śmiechy przemieszane z kwileniem skrzypiec dobiegały aż na schody. Trzeszczenie stopni zwróciło uwagę kilku mieszkanek pokoi za kotarami, zza fałdów wyłaniały się pulchne i rumiane twarze, a tam gdzie zasłony były odsunięte, widać było pokoje oświetlone świecami, z lustrami i wazonami pełnymi świeżych kwiatów. Poczulem tchnienie perfum, zapach dymu

tytoniowego, dobiegły mnie też stłumione chichoty. Schyliłem głowę ukrytą pod kapeluszem, lecz przedtem zdążyłem jeszcze dostrzec swoje odbicie w jednym z dwóch luster: czarnowłosy zbir w zawadiacko przekrzywionym kapeluszu, połyskujący guzikami. Tylko mój wierny kosturek - którego nie chciałem się pozbyć - świadczył o poprzedniej tożsamości. Znacznie później miałem rozgryzać ciąg dziwnych zdarzeń, który mnie zaprowadził tutaj, lecz teraz nie mogłem się nadziwić, jak doszło do tego, że ja, przestrzegający prawa obywatel, skromny księgarz, kroczę oto po schodach burdelu w środku Alsatii, nocą i w przebraniu.

Niebo już pociemniało, kiedy znalazłem się na Abbey Court. Zanim ruszyłem na północ, rozglądałem się przez chwilę: wyblakły drogowskaz na rogu posłużył mi za punkt orientacyjny. Zmierzając ku Fleet Street, minąłem Arrowsmith Court, a w wąskim prześwicie mignęła na chwilę makabryczna podobizna Turka łypiącego na mnie okiem. Okna Głowy Saracena jarzyły się pomarańczowo, lecz te w pokojach pana Pickvance'a były zasłonięte okiennicami i ciemne. Wciąż zmierzałem na północ; pistolet ocierał mi udo, skałkowy zamek dźgał w biodro. Za rowem w Blackfriars między nowo wzniesionymi budynkami wisiało pranie, na sznurach przysiadły jasne jaskółki koszul i bluzek, podobne do chorągwi jakiejś zaginionej procesji. Na Whitefriars Street śmignął przede mną lis z opuszczonym pyskiem i uniesioną kitą. Uznałem to za jakiś znak, podobnie skrawek rysunku grubo kreślonego kredą na walącym się parkanie, który dostrzegłem w kilka sekund później: ów symbol - rogatego człowieka - widziałem już dwukrotnie, także w Alsatii. Przy czym uzmysłowiłem sobie zaraz: to nie rogaty człowiek, nie diabeł, lecz istota w skrzydlatym kapeluszu; nie tylko alchemiczny symbol żywego srebra, lecz także astrologiczny symbol planety Merkury.

Niemal zapomniałem o znaku i ruszyłem dalej. W końcu w Londynie roi się od szarlatanów stawiających horoskopy i gryzmołących proroctwa. Mało tego, gazetki pełne są opisów, jak sam król Karol zasięga rady naszego

najslawniejszego astrologa, wielkiego Eliasa Ashmole'a, by ten, stawiając horoskop, wskazał najpomyślniejszą datę posiedzenia Parlamentu. A potem przypomniałem sobie, że Merkury, posłaniec bogów, patron kupców, w tym takich jak ja, to imię nadane przez Rzymian Hermesowi Trismegistosowi. Hermes Trismegistos zaś to autor *Corpus hermeticum*, do którego oczywiście należy *Labirynt świata*.

Wpatrując się w gryzmoł, stałem przed parkanem jak zaczarowany. Czy to jakiś groteskowy figiel? Zbieg okoliczności? Trop? Interpretacja wydawała się czymś niewykonalnym, wzorem wszystkich moich dotychczasowych odkryć.

Odwróciłem się i Śpiesznie powędrowałem na północ, czemu towarzyszyło postukiwanie ołowianych kul w kieszeniach moich spodni. Powiew przybierał na sile, popiół węglowy zmieciony z bruku nagłym podmuchem wychłostał mi policzki. Przyśpieszyłem. Po minucie otwarła się przede mną Fleet Street: uniosłem rękę, przywołując wolnego dryndziarza.

Jeszcze raz wyruszyłem do kościoła Św. Olafa. Bramę zabudowań kościelnych przekroczyłem w jakieś pół godziny później; cmentarz był pusty, jeśli nie liczyć jednego jedyne przybysza po przeciwległej stronie koło Seething Lane i grabarza kopiącego przy świetle latarni świeży grób. Cmentarny gość odwrócony tyłem chyba mnie nie zauważył, podobnie grabarz, którego głowa ledwie wystawała znad krawędzi grobu. Szpadel wbijany w mokrą londyńską glinę zgrzytał, a trafiając na kamień, dźwięczał.

Nie przyniosłem Alethei żadnej wiadomości. Jeszcze przy kolacji w Półksiężycu zastanawiałem się, czy jej powiedzieć o rym, że jacyś nieznajomi dwukrotnie wdarli się do księgarni, przez co wyniosłem się z Nonsuch House, w obawie o własną skórę. W końcu postanowiłem, że nic nie powiem. Po głowie Alethei, jak i Biddulpha krąży dosyć szalonych myśli, nie ma co tego mnożyć. Postanowiłem też nic nie mówić o nowym adresie Pod Półksiężycem.

Chociaż poleciła sprawdzać szkatułę co wieczór, jednak tą drogą jeszcze

nie otrzymałem żadnego listu od Alethei; byłem więc zaskoczony, nawet uradowany, znalazłszy w skrytce skrawek papieru. Zamek otworzyłem najciszej, jak umiałem. Nie chciałem zwrócić uwagi nieznajomego, który wpatrywał się w Seething Lane, jakby czekał na kogoś, kto wejdzie przez bramę na cmentarz. Nachyliłem papier, żeby nań padło migotliwe światło latarni grabarza, i zacząłem czytać; na tę wiadomość czekałem od paru dni. Dobięły końca przygotowania do podróży, pisała Alethea. Zaprzężony w cztery konie powóz będzie na mnie czekał w High Holborn pod Trzema Gołębiami nazajutrz o siódmej rano. U dołu widniał jej podpis zdobiony zakrętasem.

Zamknąłem szkatułę, lecz zamiast zniszczyć kartkę, złożyłem ją ciasno i schowałem do kieszeni. Bez wahania postanowiłem posłuchać polecenia; na pewno jutro rano znajdę się w powozie. Nie zachwyciła mnie myśl o pokazaniu się na zewnątrz za dnia, lecz Huntingdonshire może się okazać dla mnie bezpieczniejsze niż Londyn.

Po pięciu minutach byłem z powrotem na ulicy. Wędrowałem w ciemności, zatrzymywałem się na każdym skrzyżowaniu lub rozwidleniu i rozglądałem po wąskich, zabudowanych czynszowymi domami ulicach za wolną dryndą. Nic się nie pojawiło. Żywej duszy. Dalej więc przemierzałem w ciemności ulice tak puste, jakby wybuchła zaraza lub wojna.

Zaledwie po dwudziestu minutach dotarłem do przejścia i wyszedłem na rozległy obszar Strandu. Stąd dzieliło mnie tylko parę kroków od Alsatii, o której - ja, wyrzutek - zaczynałem myśleć jak o domu.

## II

Dyliżans powoli przemierzał Chislet Marshes. Foxcroft kierował konie nadmorską błotnistą drogą do jednego z zajazdów pocztowych De Questera. Po zmianie zmordowanych berberów zaczął się dalszy ciąg mozolnej podróży. Przez cały dzień siwe mgły snuły się nad plantacjami chmielu, nad rowami, lecz Foxcroft w obawie przed zbirami lorda Stanhope nie odważył się zapalić latarni. Nie zapalił jej także po zmierzchu. Dyliżans sunął na oślep po zarośniętych

traktach bydłych, po ścieżkach wiodących przez zdziczałe sady.

Tymczasem liczba nieproszonych pasażerów zmalała do dwojga. Ów większy mężczyzna - jedyny z dziwnego tria, który raczył się w ogóle odezwać - wysiadł w Heme Bay. Pozostali towarzysze Foxcrofta, skuleni teraz pod kocem, kryli się między workami poczty. Foxcroft kilka razy usiłował ich wciągnąć w rozmowę, ale bez powodzenia. Karmił ich nieodmiennie serem i czarnym chlebem z zajazdów pocztowych, dodając po kubku cydru. Proponował nawet po łyku wina z bukłaka, lecz wymówili się bez słowa, kręcąc tylko głowami. Kobieta czasami obracała się i spoglądała na drogę za dyliżansem, natomiast mężczyzna, szczupły, drobny gość, milczał jak zakłęty. Tulił do piersi coś wielkości głowy cukru, przypominającego wysadzaną kamieniami szkatułę.

- Co to takiego, hmm? Skarbczyk?

Odpowiedzią z głębi dyliżansu było milczenie. Foxcroft szarpnął lejce, konie przyspieszyły kroku, zadzierając łby i wyrzucając w powietrze płaty piany. Za parę minut powinni się znaleźć na tracie do Londynu, na którym byli bardziej narażeni na napaść łotrów Stanhope'a. Jeżeli jednak dyliżans wpadnie w zasadzkę, napastników można ugłaskać jakimś łupem, rozważał Foxcroft, chociażby tą szkatułą. Tylko z tego powodu Foxcroft znosił obecność tych dwojga. Dzięki nim mógł uniknąć kolejnego guza.

- To pański, co? - Obrócił się na siedzeniu. - Niekiepski, trzeba przyznać.

Wciąż ani słowa odpowiedzi. W ciemności Foxcroft z trudem dostrzegał zarys dwóch głów, odległych od siebie ledwie o parę cali. Szczupły człowieczek uparcie wpatrywał się we własne stopy. Może nie rozumieją po angielsku? Foxcroft wiedział, jak każdy, że w Londynie roi się od cudzoziemców, przeważnie Hiszpanów, księży lub szpiegów bądź księży i szpiegów zarazem. Plaga hiszpańska była znakiem czasu. Władca Hiszpanii i jego ambasador tyranizowali starego króla Jakuba. Najpierw współczesny Francis Drake, czyli sir Walter Raleigh, położył głowę pod topór, bo się odważył walczyć z Hiszpanami na ich terytorium. Potem król Jakub powypuszczał z więzień

księży, a nawet ośmielił się rozprawiać o ślubie swego syna - jakby mało było na świecie partii - akurat z hiszpańską księżniczką! Teraz, na domiar złego, stary kretyn okazuje się zbyt wielkim kutwą, żeby wysłać wojsko na pomoc własnej córce, krew z krwi, kość z kości, chociaż hiszpańskie hordy właśnie napadły na niemieckie ziemie zięcia.

Pasażerowie, podtrzymał się na duchu woźnica, nie wyglądają jednak na Hiszpanów. Chociaż nie mógł się przyjrzeć kobiecie uważniej, miał wrażenie, że jest nieprzeciętnie pociągająca, chociaż brudna i zabiedzona jak zmokła kura; młoda, prawie dziewczynka. Co tu robi, u licha, z tym nedorajdą, chyba że chodzi o szkatułę, którą gość tuli do cherlawej piersi?

Minęła jeszcze jedna godzina: zapachy wsi ustąpiły przed miejskimi, ciszę raz po raz wypierał hałas. Dylizans z poszóstnym zaprzęgiem przemknął po ciemku traktem londyńskim, z którego szybko skierował się nad rzekę ku Gravesend. Foxcroft zamierzał przeprowić się z Gravesend do Tilbury promem dla koni, a potem jechać do Londynu wzdłuż północnego brzegu Tamizy, gdzie raczej nie należało się spodziewać zabijaków lorda Stanhope. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, dylizans dotrze do Aid Gate akurat w porze otwierania bramy; potem pozostawała już mała przejażdżka ulicami do głównej stacji De Questera w Cornhill. Lecz Foxcroft nie miał zielonego pojęcia, co począć z dodatkowym ładunkiem, parą tajemniczych pasażerów.

Szkoda sobie suszyć głowę. Kiedy w końcu dylizans dotarł do Gravesend, trzeba było poczekać prawie dwie godziny na następny kurs promu do Tilbury. Foxcroft zakrzętnął się koło zmiany koni, potem powłóczył się ulicami, aż znalazł otwartą piwiarnię, gdzie w ogólnej sali wysuszył trzy pintowe kufle i rozprawił się z gołębiami w cieście; wrócił potem na stację pocztową i zdążył jeszcze zobaczyć, jak prom wypływa garstkę pasażerów. O swoich Foxcroft zapomniał, przynajmniej do chwili, w której po zapłaceniu dwóch szylingów za przeprawę znalazł się na promie na środku ciemnego nurtu; dopiero wtedy sobie przypomniał. Odwrócił się na koźle i ze zdumieniem zauważył, że ulotnili się,

rozpłynęli w powietrzu wraz ze skrzącym się bagażem.

Tymczasem Vilem i Emilia płynęli już wynajętą puchówką pod prąd do odległego o dwadzieścia mil Londynu. Niewielka krypa wyszła z portu w Gravesend przed godziną; wpierw, przed komorą celną, lawirowała między stojącymi na kotwicy statkami handlowymi i łodziami, potem wydostała się na środek nurtu pełnego wirów. Rejs do portu przy Billingsgate, jak zapowiadał przewoźnik, potrwa co najmniej trzy godziny, nawet z przypiływem. Droga z Billingsgate do celu zajmie im jeszcze godzinę.

Pod kadłubem bulgotała woda; skulona i drżąca Emilia schowała się głębiej pod płócienną budą. Jeszcze cztery godziny zimna i strachu. Po raz pierwszy od bardzo dawna wiedziała wreszcie, dokąd zmierzają. Vilem powiedział, że mają dotrzeć do York House, rezydencji na Strandzie, w pobliżu Charing Cross; czeka tam na nich Henry Monboddo. Vilem otrzymał polecenie, żeby szkatułę z pergaminem oddać do rąk własnych Monbodda, tylko jego. Monboddo zna się na takich operacjach. Łódź kołysała się na rzecznej fali, a Vilem opowiadał. Monboddo to przyjaciel księcia Karola, teraz zapełnia galerie York House zgodnie z ekstrawaganckimi i wyszukаныmi upodobaniami nowego właściciela, George'a Villiersa, księcia Buckingham.

Rzeka skręcała na północ. Emilia wpatrywała się w niknące światła Gravesend. Nazwisko nie było jej obce. Praskie plotki zapewniały, że Buckingham zabrał się do wyposażania floty wojennej, która zaatakuje Hiszpanów na Morzu Śródziemnym. Nie wiadomo, czy tę flotę w końcu wyposażyli, czy wyszła w morze czy nie, w każdym razie nikt o ataku nie usłyszał.

- Więc to dla niego te książki? Dla księcia Buckingham?

Vilem pokręcił głową, uniósł wzrok znad szkatuły zaciśniętej między butami i spojrzał na przewoźnika, który rytmicznie postękiwał przy każdym pochyleniu się nad żerdzią. Z bokobrodami, w skórzanej kamizeli, witał ich wcześniej podejrzliwym spojrzeniem spod budy na łodzi; w słabym świetle

świeczki jeszcze bardziej podejrzliwie wpatrywał się w szkatułę. Sir Ambrose ostrzegwał Vilema, że przewoźników na Tamizie opłacają albo sekretarz stanu, albo hrabia Gondomar, ambasador hiszpański, więc Vilem dołożył facetowi jeszcze dwa szylingi za dyskrecję. Dopłata sprawiła, że stary, osiwiały drań nabrał jeszcze większych podejrzeń, zwłaszcza że Vilem zażądał, by płynąć w górę rzeki bez zapalania latarni.

- Nie, nie dla niego - szepnął Vilem, nachylając się bliżej. - Buckingham, jak i Monboddo, to tylko pośrednicy, przedstawiciele innej osobistości, kogoś znacznie potężniejszego.

- Naprawdę? - Emilia też się nachyliła. Ktoś potężniejszy niż wielki lord admiralicji? Z pokrytej nalotem soli płachty nad głowami snuł się zapach stęchlizny. Zesztywniałe płótno łopotało na zimnym wietrze. - W takim razie dla kogo?

Dla najbogatszego i najbardziej wybrednego kolekcjonera w całej Anglii, oto dla kogo. Monboddo i sir Ambrose zapełniali nie tylko biblioteki palatyna Fryderyka i cesarza Rudolfa, wyjaśniał Vilem, lecz także swego rodaka, samego księcia Walii, najwspanialszego znawcy sztuki w Anglii. Młody książę Karol nie jest ikonoklastą, w przeciwieństwie do swej siostry Elżbiety i jej purytańskich pastorów, gotowych na każdym kroku zwęszyć ślad papizmu lub bezceństwa. Nie, Karol tak kocha obrazy i pamiątki przeszłości, jak jego siostra nimi gardzi. Powszechnie wiadomo, że Karol liczył na nabycie wielkiej kolekcji z Mantui po zubożałych Gonzagach, mówił Vilem, natomiast rzadziej się słyszy, że równie mocno pragnie nabycia skarbów Biblioteki Palatynackiej i Sal Hiszpańskich. Dlatego te tysiące książek, rękopisów i najróżniejszych cennych przedmiotów to nie tylko wartościowe uzupełnienie królewskiej biblioteki w pałacu St James's, ale też jedyny już środek utrzymania w ryzach szalejących Hiszpanów, tym samym zachowania wolności i tolerancji religijnej w połowie Europy.

- O? - Emilii stanęły przed oczami zasuszone węże i groteskowy, podobny



do uśmiechu grymas zmumifikowanych głów. - A w jaki sposób?

Vilem powoli zacierał ręce. Emilia czuła, że jest podekscytowany. Wyglądało na to, że nieobecność sir Ambrose'a dobrze mu robi: w ostatnich tygodniach ani razu tak się nie rozgadał.

- Nie muszę ci mówić - szeptał - że obu zbiorom zagraża wpadnięcie w łapy Hiszpanów bądź kardynała Baroniusa, chyba że wcześniej rozprawią się ze zbiorami żołnierze albo rabusie na bagnach. Książę zamierza jednak sprzedać w całości zbiory swego krewniaka: pełną zawartość obu bibliotek wraz ze skarbami Sal Hiszpańskich. Nie mam pojęcia za ile, ale książęcy finansista Burlamaqui od trzech miesięcy gromadzi środki. Fryderyk użyje później tych pieniędzy na wyposażenie wojsk, które uwolnią od najeźdźców Czechy i Palatynat.

Emilię plan zaskoczył, bo pamiętała nerwową reakcję Vilema na plotki o potajemnych inwentaryzacjach i dobijaniu targu z biskupami i książętami - „ścierwnikami”, jak o nich mawiał - ślącymi agentów i emisariuszy do Pragi na poszukiwanie tego, co jeszcze da się złupić ze zwłok Czech.

- Więc te praskie plotki nie były wyssane z palca? Że mimo wszystko Fryderyk zamierza sprzedać zbiory?

- No tak, ale cała strategia jest bardziej złożona - odrzekł Śpiesznie - nie chodzi o prostą zamianę książek na amunicję do muszkietów. Zbiór ma pozostać nietknięty, a skrzynie z książkami i rękopisami same staną się środkami, które przepędzą katolików z Czech i z Palatynatu. Taki jest w każdym razie zamysł sir Ambrose'a uzgodniony z księciem Buckingham i księciem Walii. Ale cały plan trzeba przeprowadzić w najgłębszej tajemnicy - dodał uroczyście.

Emilia ciaśniej otuliła ramiona kocem skradzionym z dyliżansu De Questera.

- Z powodu Hiszpanów - powiedziała. Vilem skinął głową.

- Ani król Filip, ani Gondomar nie mogą się dowiedzieć o planie, to pewne. Burlamaqui gromadzi pieniądze w sekrecie, bo wiele sum trafia do niego

za pośrednictwem bankierów włoskich i hiszpańskich. Nie może też spalić na panewce plan zaręczyn księcia z infantką. Odrażająca jest ta dwulicowość, fakt, ale się opłaca, bo ręka infantki oznacza sześćset tysięcy funtów. A za tę sumę można kupić mnóstwo książek i obrazów, prawda? Nie mówiąc o tym, że w nadchodzących latach starczy na utrzymanie pod bronią mnóstwa dobrych żołnierzy, najlepszych zaciężnych wojsk w Europie. Pomysłowe? Użyć pieniędzy króla Hiszpanii na odzyskanie Czech i Palatynatu?

I na zachowanie Biblioteki Palatynackiej, podobnie jak skarbów Sal Hiszpańskich?

Emilia spojrzała za Vilemem wpatrującym się w prześwit w płachcie. Czy są na wodzie sami, czy płynie też jakaś inna łódź, ledwie widoczna w świetle latarni kutra straży? Jak dotąd rzeka była pusta, jeśli nie liczyć jakiejś barki węglowej czy konwoju łodzi rybackich ze stertami świeżo złowionej makreli. Ilekroć w pobliżu przepływały taka barka lub łódź, Emilia i Vilem kulili się pod płachtą i odwracali twarze. Lecz od dziesięciu minut niczego nie dostrzegli.

- Na tym nie koniec planu - Vilem wrócił do opowieści. - Sytuacja nie jest taka prosta. Trzeba brać pod uwagę jeszcze inne względy.

Pojawienie się w Anglii ksiąg i skarbów trzeba zachować w tajemnicy przed samym królem Jakubem. Sprzedaży nie można przeprowadzić „normalnymi kanałami”, jak nazwał to Vilem - czyli przez kontynentalną sieć pośredników i finansistów - bo sprawę wykryje któryś z licznych agentów księcia Arundela, jednego z najbogatszych angielskich kolekcjonerów, amatora posągów i innych dzieł, książek nie wyłączając. Arundel to jeden z Howardów, katolik należący do potężnej rodziny znanej tyleż z nienawiści wobec księcia Buckingham, ile z bliskich związków z hiszpańskim ambasadorem. Nie jest też żadną tajemnicą, że w ostatnich paru latach król Jakub stał się marionetką Gondomara, zabawką w rękach Hiszpanów. Chyba nie trzeba Emilii przypominać, że król Jakub otrzymuje od króla Hiszpanii pięć tysięcy *felipes* rocznej pensji? Że podczas czeskiego powstania stanął po stronie Filipa? Że nie

przyszedł z pomocą swojej rodzonej córce ani jej mężowi? Że zdradził ich, wydał katolikom, podobnie jak zdradził przed dwoma laty Raleigha? Zatem ani król, ani większość dworzan i ministrów, w tym Arundel, nie zostali wtajemniczeni. Arundel zaraz doniesie Gondomarowi, Gondomar królowi, a król Jakub - „zdziecinniały stary dureń” - uzna to wszystko za zwykły rabunek.

- Tak, tak - kończył Vilem - nie ma najmniejszej wątpliwości, że król Jakub takiego człowieka jak sir Ambrose uzna za zwyczajnego pirata. I sir Ambrose'a czekałby niechybnie los Waltera Raleigha...

Pychówka powoli pokonała zakole i wyszła na wody Long Reach. Kilka kutrów rybackich odbiło od nabrzeża Greenhithe i ruszyło ku ujściu Tamizy. Emilia patrzyła, jak się zmagają z przyływem, jak suną pod skośnymi żaglami mającymi jak duchy. Vilem znów milczał. Przesiadła się na twardej ławce; teraz zastanawiała się, co jest prawdą w opowiadaniu Vilema, a co starannie opracowanym zmyśleniem.

Na fali przyływu łódź posuwała się z każdym odepchnięciem żerdzi o całą długość, pokonała kolejne zakole, by przejść na Erith Reach, gdzie przy jednym brzegu rozciągały się redy, a na drugim stały ludwisarnie i kuźnie kotwicowników. Do świtu brakowało z górą godziny i tylko tyle trzeba było, żeby dopłynąć do Londynu, chociaż zmienił się wiatr i powiewy nadlatywały teraz z zachodu. Emilia poczuła pierwsze ślady dymu i londyńskich woni, jakby zbliżała się do cuchnącej nory prastarego potwora. W dali wyłaniały się i znikały iglice, wieżyczki, romboidalne kształty składów ciemnych i milczących, statki handlowe, od których monstrualnych kadłubów odbijał się odgłos zanurzania żerdzi. Odwróciła się i wyjrzała poza ciemny zarys postaci przewoźnika. Czy za nimi na rzece ktoś wiosłuje?

Spojrzała na Vilema, lecz ten najwyraźniej nic nie dostrzegał. Niemal w pół zgięty, wlepił wzrok w szkatułę.

Kryła tekst hermetyczny, czternaście stron starego rękopisu w arabskiej oprawie, ów tekst zaś, zapewnił Vilem, jest wart więcej niż

pozostałe skrzynie razem wzięte. Była to wykonana przed dwustu laty kopia jeszcze starszego dokumentu dostarczonego do Konstantynopola przez zbiega, kopistę z Harranu, który uciekł przed prześladowaniami bagdadzkiego kalifa. Kiedy Konstantynopol został zdobyty przez jednego z potomków kalifa, sultana osmańskiego Mehmeda II, rękopis zdołał uratować inny kopista, który wykradł go z klasztoru w Magnanie, zanim bibliotekę i skryptorium splądrowali Turcy. Teraz, po kolejnych dwustu latach, rękopis znowu wykradziono, żeby go ratować, znowu w obawie przed pożogą: kolejną wojną religijną, tym razem w królestwie Czech.

Emilia nic nie wiedziała o *Corpus hermeticum*. Lecz nazwę skojarzyła z kilkoma książkami, o które potykała się na zamku we Wrocławiu owej nocy, kiedy wydano ucztę; z tamtych tytułów wynikałoby, że chodzi o jakieś poczynania bezbożne. Vilem przysięgał jednak, że w tekstach hermetycznych nic bezbożnego nie ma. Więcej, niektóre fragmenty jakoby przepowiadają nadejście Chrystusa. Na *Corpus* składa się, wyjaśniał dalej Vilem, dwadzieścia parę ksiąg, a ile w ciągu wieków przepadło podczas najazdów i wojen, tego nikt nie wie. Niektóre zajmują się zagadnieniami filozoficznymi, inne teologicznymi, a jeszcze inne - najmocniej przykuwające uwagę czytelników i komentatorów - poświęcone są sztuce alchemii i astrologii.

Emilia uznała to za nonsens. Jakim cudem czternastostronicowy rękopis - parę skrawków kozłej skóry zasmarowanych mieszanką sadzy i gumy arabskiej - może dla kogoś stanowić wartość, która skłania do morderstwa?

Vilem wciąż opowiadał, łódź zaś zdążyła krętym szlakiem wzdłuż brzegów Hornchurch Marshes, to obracała się, to prostowała kurs w niebezpiecznych prądach i wirach każdego zakola. Słowa wysypywały się z Vilema tak szybko, że Emilia ledwie nadążała. *Corpus hermeticum* to opis całego wszechświata, mówił, magicznego miejsca, w którym każda cząstka - od księżyców Jowisza po najmniejszą drobinę kurzu - tworzą nici składające się na odwiecznie promieniującą sieć; każdy atom we wszechświecie jest powiązany z

każdym pozostałym atomem. Cząstki przyciągają się, poza tym wpływają wzajemnie na siebie, zatem istnieje delikatna, lecz zasadnicza więź między, na przykład, krążeniem krwi w ciele i wędrówką gwiazd po niebie. Te zdumiewające zależności można odkryć poprzez odczytanie tajemnych znaków zapisanych na powierzchni lub w głębi każdej żywej istoty, a skoro zostaną wykryte, można nimi manipulować, można je wykorzystywać, zatem można goić rany, leczyć choroby, przepowiadać albo uprzedzać wydarzenia, ba, można objaśniać, a nawet odmieniać losy całych królestw. Człowiek zdolny odczytać zjeżone hieroglify tajemnych pism jest magiem: posiada zdumiewające moce, zdolny obrócić wpływy niebios dla własnych celów. Każda książka z opisem tych tajemnych znaków, zestawem i objaśnieniami... no cóż, wartości takiego tomu nie da się ocenić.

- Czyli że ten pergamin to jakaś księga magiczna? - w końcu Emilia odważyła się przerwać. - Dlatego jej zapragnął książkę Karol?

- Tak się może wydawać, pewnie. Książkę chce bez wątpienia przyozdobić tym pergaminem swą bibliotekę w pałacu St James's. Lecz może jest też inny powód. - Vilem uniósł wzrok znad szkatuły. - Bo ten rękopis kryje nie tylko moce magiczne, lecz teraz także polityczne.

Dziś miejsce *Corpus hermeticum* w panteonie literatury to nie taka prosta sprawa, wyjaśniał. Rzym nabrał podejrzeń wobec hermetycznych tekstów. Rzeczywiście, niektóre może zapowiadają nadejście Chrystusa, zwłaszcza kiedy nad interpretacją pochyla się życzliwie watykańscy konsultorzy. Lecz inne nauki hermetyczne stanowią zagrożenie dla ortodoksji. Niepokój budzą zwłaszcza fragmenty poświęcone strukturze wszechświata i boskości słońca. Ostatecznie sam Kopernik na początku *De revolutionibus orbium coelestium* cytował *Asclepiusa*, heretycką księgę, która detronizuje Ziemię na rzecz Słońca. Jeszcze gorsze niebezpieczeństwo, polityczne, stwarzają ci, którym wpadły w ręce stronicie tekstów hermetycznych pojawiające się teraz w dziesiątkach nowych wydań i przekładów. Takim filozofom jak Bruno i Duplessis-Mornay marzyło

się położenie kresu religijnym wojnom protestantów z katolikami w drodze propagowania hermetyzmu jako substytutu chrześcijaństwa. Natomiast w oczach Rzymu hermetycy, jak i Żydzi, byli sojusznikami sprawy protestanckiej pragnącymi podkopać władzę papieską. Co nie jest podejrzeniem bezpodstawnym. Jeszcze przed rokiem 1600, w którym zamęczono Bruna, te książki stały się magnesem dla heretyków i reformatorów wszelkiej maści. Dziesiątki sekt i tajemnych stowarzyszeń pączkowały jak Europa długa i szeroka, wyrastały jak grzyby po deszczu: okultyści i rewolucjonisci, nawaryjczycy i różokrzyżowcy, kabaliści i magicy, liberałowie, mistycy, fanatycy i fałszywi mesjasze wszelkiej maści: wszyscy domagali się reformy duchowej, przepowiadali upadek Rzymu i cytowali starożytne pisma Hermesa Trismegistosa, pojmowane jako podwaliny powszechnej reformacji.

- Kontreformacja traci grunt pod nogami - tłumaczył Vilem - mimo wojsk Maksymiliana, mimo stosów inkwizycji. Otworzyła się puszcza Pandory, a Rzym usiłuje ją zatrzasnąć wszelkimi dostępnymi środkami. Czary i magię zrównuje z kwestionowaniem dogmatów. Literatura kabalistyczna trafiła na *Index librorum prohibitorum*, a Francesco Patrizzi, jeden z tłumaczy *Corpus hermeticum*, został w 1592 roku potępiony przez inkwizycję. Jezuici z Collegio Romano otworzyli własny indeks, listę ksiąg, na której prace Paracelsusa i Henryka Korneliusza Agryppy umieszczono obok dzieł Galileusza. Johann Valentin Andreae<sup>1</sup>, założyciel różokrzyżowców, został przez kardynałów inkwizycji obwołany heretykiem. Traiana Boccaliniego<sup>2</sup>, mentora Andreae i stronnika Henryka z Nawarry, zamordowano w Wenecji, samego zaś Henryka, gwiazdę przewodnią, na której skupiały się te wszystkie nadzieje, zasztyletowano w Paryżu. Ruch okazał się jednak niepowstrzymany, stugłowy jak Hydra. Po śmierci Nawaryjczyka wzeszły nowe nadzieje, pojawiła się nowa oś, do której ciągnęło wszystko i wokół której wirowało.

- Elektor Palatynatu - szepnęła Emilia. - Król Fryderyk.

- Tak. - Vilem wzruszył ramionami. - Ta nadzieja też się okazała smutną

iluzją.

Powoli przesunęło się przed nimi parę migocących światel na brzegu. Łódź zboczyła teraz na Gallion's Reach, omijając pomosty wysunięte w czarną jak smoła toń. Kilwater pychówki ożywił zakotwiczone rzędem lichtugi: kadłuby zakołysały się na niewielkiej fali. Za pomostami i błotnistym brzegiem leżała bezimienna wioska, gdzie czepiały się ziemi nędzne chałupy. Płynęli ponad dwie godziny, lecz rzeka niewiele się zwężyła. Chwilami wydawało się, że brzeg przepadł.

- Więc ten pergamin zagraża ortodoksji. - Emilia zaczynała pojmować, jakie stawki wchodzi w grę, przynajmniej tak się jej zdawało. - Rzym się spodziewa, że go ukryje; że zatai zapisane tu herezje, zanim się rozprzestrzenia i zakorzenia.

- Bardzo możliwe. Dla Rzymu straszne jest teraz wszystko, co zagraża dogmatom; każdy rozłam to katastrofa dla Rzymu walczącego z protestantyzmem. Groźbą był Galileusz ze swymi księżycami, ale cztery lata temu uciszyło go Święte Oficjum; kardynał Bellarmine przestrzegł Galileusza, żeby ten się nie ważył napisać już ani słowa w obronie heretyka Kopernika. Pojawienie się innego dokumentu wspierającego czy to kopernikanizm, czy inną herezję, będzie poważnym ciosem, szczególnie dziś.

- Zwłaszcza kiedy za dokumentem stoi taka powaga jak Hermes Trismegistos?

- Otóż to. Jeśli zatem na manuskrypcie położą rękę kardynałowie i biskupi, to trafi on do odległych i tajnych archiwów Biblioteki Watykańskiej zamkniętych na cztery spusty. Może nawet zostanie zniszczony. - Jeszcze raz Vilem spojrzął na szkatułę, na której zaciskał stopy. - Jest oprócz tego coś jeszcze, czego nie umiem pojąć - powiedział powoli. - W ciągu ostatnich paru lat autorytet Hermesa Trismegistosa został zakwestionowany, nawet zniszczony. Nie przez teologów rzymskich, lecz protestanckich, przez hugenotów.

Niedawno odbyła się dysputa, mówił Vilem, między protestanckim

uczonym Isaakiem Casaubonem a katolikiem, kardynałem Baroniusem, kustoszem Biblioteki Watykańskiej, człowiekiem - zapewniał Vilem - który chce teraz zagarnąć dla Rzymu zarówno Bibliotekę Palatynacką, jak i rękopisy z Sal Hiszpańskich. Przed laty kardynał opublikował potężne studium historii Kościoła, *Annates ecclesiastici*, w którym Hermes Trismegistos przedstawiony został jako jeden z proroków nieżydowskich, obok Hydaspesa i ksiąg sybillińskich. Ten traktat podziwiali nauczyciele Vilema, jezuici z Clementinum, ale potem poddał go druzgocącej krytyce Casaubon, Szwajcar, hugenota, zaproszony do Anglii przez króla Jakuba I. W swym opus magnum *De rebus sacris et ecclesiasticis exercitationes XVI* wydanym w roku 1614 Casaubon rzekomo dowiódł ponad wszelką wątpliwość, iż całość *Corpus hermeticum* to fałszerstwo; nie jest dziełem starożytnego kapłana egipskiego z Hermopolis Magna, lecz szajki Greków z Aleksandrii sporządzonym w drugim wieku po Chrystusie. Ludzie ci wysmażyli pasztet z Platona, Ewangelii, żydowskiej Kabały oraz paru strzępów filozofii egipskiej i tą składanką zdołali miećuczonych, księży i królów przez ponad tysiąc lat.

Kołysali się na boki wraz z łodzią; Vilem ponuro kręcił głową. Nie trzyma się to kupy. Dlaczego sir Ambrose tak się zaangażował w wywiezienie z Pragi *Labiryntu świata*? Sir Ambrose, dobry protestant, z pewnością zna pracę Casaubona. I dlaczego, skoro rzekomo chodzi o falsyfikat, tak bardzo chce się dostać do rękopisu kardynał? Bo ścigający ich od Pragi ludzie, wyjawiał Vilem, to agenci kardynała Baroniusa.

- Nie można tego otworzyć? - Spojrzenie Emilii też spoczęło na szkatule.  
- Jest tu gdzieś klucz do tego zamka?

Vilem znowu pokręcił głową.

- Jeden jedyny ma sir Ambrose. Nic nie wiem o innym. Łódź weszła teraz na głębię i bystre prądy Woolwich. Na bakburcie widać było suche doki, a w nich szkielety nieukończonych liniowców. Emilia przesunęła się na przeciwległą stronę, skąd mogła obserwować toń za łodzią. Ludzie z



poходniami i latarniami kręcili się koło wejść do stoczni i wśród drewnianych żurawi rysujących się na tle nieba. Kiedy suche doki znalazły się za rufą, Emilia w rozbłyskującym na wodzie przez sekundę odbiciu światła dostrzegła inną łódź, a raczej zarys płóciennej budy, pod którą kryły się jakieś postaci. Dzieliło ich około stu jardów. Wysunęła głowę spod plandeki.

- Ile zostało do Billingsgate?

Przewoźnik zanurzył żerdź, napał na nią, potem wyciągnął; uchwyt powędrował w górę.

- Będzie jakieś osiem mil - mruknął przed ponownym zanurzeniem żerdzi. - To ze dwie godziny - dodał po chwili. - Jeśli zdążymy przed odpływem.

Emilia znów się schowała pod płócienną budą, skąd obserwowała wodę przed dziobem. Pojawiło się przed nimi następne zakole, potem prosty odcinek rzeki z niebezpiecznymi prądami. Mokradła Greenwich wyglądały na opustoszałe, ale po drugiej stronie stało na kotwicy przy brzegu sześć wielkich żaglowców pływających do Indii; latarnie na nadburciach oświetlały gęszcz kołyszących się w górze masztów. Za statkami rozpościerały się magazyny Kompanii Wschodnioindyjskiej. Zbliżyli się do tych nabrzeży, teraz kursem na południe. Emilia odwróciła się i w świetle okrętowych latarni dostrzegła za nimi łódź. Od Woolwich przybliżyła się o kilka długości, co najmniej. Na rufie pracowało dwóch przewoźników, natomiast pasażerowie - trzy mroczne postaci - skryli się pod plandeką. Emilia dostrzegła coś w ręku Vilema.

- Weź jedną - powiedział.

- Co to?

- Ci tam, na łodzi - szepnął - to ludzie kardynała. - Podsunął rękę o parę cali. - Osiem mil. Nie damy rady...

Na sterburcie zamajaczył wielki magazyn Kompanii Wschodnioindyjskiej, bryza niosła zapach melasy. W krótkim rozbłysku światła Emilia poznała, co Vilem trzyma: skórzaną sakiewkę od sir Ambrose'a. *Strychnos nux vomitica*. Instynktownie skuliła się pod plandeką.

- Co do szkatuły... - Światło już się odsunęło, znowu siedzieli w ciemności. W górze wrzasnęła mewa, Vilem skulił się z zaciśniętą w dłoni sakiewką, potem wziął na kolana szkatułę i cicho jęknął. - Cóż, obawiam się, że pójdzie za burtę. Takie są instrukcje.

- Czyje?

Cisza. Vilem wlepił wzrok w szkatułę. Emilia patrzyła teraz wyżej. Na brzegach przybywało przystani, na które z tyłu napierały labirynty budynków. Łódź zataczała się, szła to w jedną, to w drugą stronę, fala rozbiła się na dziobie, woda spryskała twarz Emilii i przemoczyła jej spódnicę. Nabrali szybkości, ale w zdradzieckim prądzie stracili panowanie nad puchówką. Przewoźnik klął i zmagał się z łodzią, używał żerdzi jako steru, próbował trzymać się kursu. Kiedy zwolnili, puchówkę prześcignął jej własny ślad na wodzie, a łódź zakołysała się jeszcze mocniej. Po chwili zelżał napór prądów, przewoźnik znowu zaczął ociężale pracować żerdzią. A ścigający znów nadrobili parę długości.

Następną godzinę Emilia przesiedziała na skraju ławki. Co chwilę obracała się, patrząc to wstecz, to przed siebie. W Greenwich przemierzyli jeszcze jeden ostry łuk rzeki, przy wtórze przekleństw przewoźnika przeszli przez jeszcze gwałtowniejsze prądy spychające łódź na boki. Na niebie przybyło różowych i pomarańczowych odcieni, słabł przypływ. Wkrótce na rzece zaczął się ruch, dziesiątki lichtug ciągnęły do Legal Quays poniżej Tower, a kutry z węgorzami i ostrygami do Billingsgate. Między nimi lawirowały armady szalup i pinek, sunęły z biegiem rzeki pod wydętymi żaglami. Ścigający skracali dystans, lecz za Shadwell zaczęli odstawać, musieli zwolnić w ławicy jednostek kręcących się po Lower Pool jak stado rozzłoszczonych ptaków.

Kiedy Emilia wyteżyła teraz wzrok, zobaczyła już łuki London Bridge spinające rzekę. Ale za sobą znowu widziała tamtą łódź. Zlany potem przewoźnik z całych sił napierał na żerdź, lecz na próżno. Już się zrównali z zatłoczonymi pomostami przed komorą celną, ale od ścigającej łodzi dzieliły ich tylko dwie długości. Ludzie kardynała wypełzli spod płóciennej budy; w

promieniach wschodzącego słońca Emilia dostrzegła teraz opalone czoła i czarne jak gagat mundury ze złotymi pasami. Mieli na szyjach kryzy, jeden zaś - który przykucnął na dziobie - zaciskał w dłoni sztylet. Odwróciła się: Vilem klęczał na deskach, tuląc szkatułę.

- Za późno... - Wypełznął spod płachty i ruszył na dziób. Teraz zmagał się ze szkatułą, którą próbował przełożyć przez burtę. - Już nie ma mowy o York House - stęknął. - Nie damy rady. Nie ma mowy nawet o Billingsgate!

- Nie!

Emilia wspięła się na ławkę, ocierając gołenię, potem niezgrabnie objęła Vilema i uchwyciła szkatułę, lecz Vilem odepchnął dziewczynę. Dźwignął ładunek i jeszcze raz wychylił się za burtę ze skarbem w wyciągniętych rękach.

Emilia podniosła się z pokładu, a w tym momencie w rufę puchówki uderzył dziób ścigającej łodzi. Usłyszała przekleństwa przewoźnika, puchówka zakołysała się, zatoczyła i uderzyła bokiem w łódź napastników. Zderzenie było gwałtowne. Padając na deski, Emilia zdążyła jeszcze zobaczyć znikającą za burtą parę butów.

- Vilem!

Zanim Emilia się podniosła, łódź zakołysała się jak szalona. Zostali napadnięci. Raczej słyszała, niż widziała, jak dwóch ludzi kardynała zmagają się z przewoźnikiem. Nieszczęsny stary drań dzielnie bronił się żerdzią, zanim sztylet rozplątał mu skórzaną kamizelę, a potem brzuch. Padł na kolana z ostatnim przekleństwem na ustach, potem zwałił się na deski rufy, ale w tej samej chwili na puchówkę wpadł z tyłu od sterburty kuter rybacki, wcześniej zepchnięty z kursu przez Śpiesznie płynących napastników. Ludzie kardynała powpadali na siebie, potem runęli jak dłudzy na rufę. O deski zastukał sztylet.

- Emilia!

Obok przepływał kuter; z rozpędu szedł pod prąd pod trzepocącym żaglem, maszt kołysał się na wszystkie strony, na rufie kapitan usiłował ustać na nogach. Emilia dostrzegła Vilema leżącego na brzuchu na rozkołysanym

pokładzie, zaplątanego w sieci i na wpół przysypanego lawiną srebrzystych ryb.

- Emilia! Skacz!

Kuter szedł teraz szybciej, sunął obok dryfującej psychówki, łapał wiatr w żagiel. Emilia wspięła się na rozkołysaną ławkę i już szykowała się do skoku, kiedy jakaś ręka schwytała ją za spódnicę i pociągnęła w tył. Tymczasem w psychówkę wbiła się czwarta i ostatnia łódź, szalupa z kilkunastoma pasażerami. Ręka puściła, a Emilia poczuła, że przefruwa nad wodą tych pięć stóp powietrza i mgiełki dzielących ją od kutra.

### III

Wsie i pola pod wodą. Deszcz padał niestrudzenie całą noc, lało jeszcze o świcie, kiedy czarne jak węgiel niebo nad Epping Forest nabierało popielatego odcienia. Padało tak rzęsiście, że wystąpiły z brzegów stawy rybne i krzemionkowe wyrobiska. Lesiste, podszyte mchem strony zamieniły się przez noc w moczary. Najgorsza burza już przeszła, wciąż jednak dął wiatr z południowego zachodu i lało. Dęby i buki stały pośrodku strumieni, jak rzucone na mieliznę okręty; pnie drzew powalonych przez wichurę bądź strzaskanych piorunem przegradzały najbardziej wietrzne odcinki drogi z Londynu.

W głębi lasu, w pobliżu domów tamtejszych leśniczych i strażników doglądających zwierzyny i tępiących szkodniki, zachlupotała woda pod kopytami czwórki koni zaprzężonych do krytego skórą powozu rozbryzgującego błoto Epping Road. Było nieco po siódmej. Zmierzające na północ przez Essex konie słaniały się z wysiłku, mokre grzywy łopotały jak proporce, spod kół powozu frunęły pecyny błota. W najniższym punkcie drogi, gdzie woda wylewająca się z krzemionkowego wyrobiska była najgłębsza, powóz stanął jak wryty. Woźnica tego ranka już trzykrotnie usuwał powalone pnie. Teraz strzelił z bata nad końskimi zadami i poczęstował zwierzęta głośnym wyzwiskiem. Szamotały się przez chwilę, spinały, ale kolasa ani drgnęła.

- Co się dzieje? - Podniosłem skórzaną klapę i wyjrzałem przez okno. Twarz usiały mi kropelki, jak na spienionym morzu.

- Ugrzęźliśmy - poskarżył się woźnica. Z pluskiem zeskoczył w błoto. Grzążł, tracąc równowagę przy każdym kroku. Przemókł do nitki. - Spokojnie, proszę pana - wymruczał pod nosem i nasunął kapelusz na czoło. - Wyciągnę nas migiem.

Siadłem z powrotem; wyciągnąłem z kieszeni ciastko owsiane i klinek ciemnego sera. Byliśmy w drodze od ponad godziny, ruszyliśmy jeszcze po ciemku. Zgodnie z obietnicą powóz czekał na tylnym dziedzińcu stajennym pod Trzema Gołębiami, już zaprzężony. Spodziewałem się, że znowu zobaczę Phineasa, ale bez żalu przyjąłem fakt, że do Wembish Park zabierze mnie inny woźnica. Krzepki, przysadzisty gość przedstawił się jako Nat Crump. Okazał się bardziej rozmownym towarzyszem drogi niż Phineas, chociaż równie zgryźliwym. Usadowiłem się z tyłu kolasy - innej niż powóz, którym jechałem do Pontifex Hall - i zabrałem do śniadania, słuchając przekleństw Crumpa, krzyków zachęty i smętnych uwag na temat nielitościwej pogody.

- Było jechać inną drogą - powiedział. Pod tylne koło podłożył grubą gałąź. Wrzasnął na konie; uprzęże napięły się i zatrzeszczały. Pojazd szarpnął, podskoczył, zgrzytnęły koła w stalowych obręczach, lecz ujechaliśmy raptem parę cali i znowu ugrzęźliśmy. Zaniepokoił mnie widok wody sięgającej tylnej osi. Crump i konie stali w niej po kolana. - Było jechać na Puckeridge - powiedział, szykując lepsze podparcie. - Tam jest wyżej niż tu.

- Na Puckeridge? - Kołysałem się wraz z kolasą. Nad nami giął się niebezpiecznie wiąz. - No to dlaczego, u licha, jedziemy tędy?

- Tak kazali - powiedział i gniewnie stęknął z wysiłku. - Jak każą, to każą, nie? - Przerwał i spojrzał w moją stronę. Wyglądało na to, że obarcza mnie winą za całą historię. - Kazali przez las.

- Czemu?

Ujął mocno szprychę i krawędź koła; butem, z którego ciekło, zaczął naciskać gałąź. Krzyknął, konie z przedniej pary napały, posunęły się o krok, lecz nic nie pomogło; utknęły w grzęzawisku. Koła ani drgnęły, nie posunęły się

nawet o cal. Woźnica znowu zaklął, brodząc z trudem.

- Czemu? - Końcem kija zaczął wydłubywać błoto sprzed kół. - A czemu nie wzięliśmy powozu lorda Marchamont? Temu samemu. Bo tak bezpieczniej.

Zaśmiał się kwaśno; szukając wytchnienia, powiódł w krąg grubym ramieniem po otaczających lasach, gestem właściciela. Kapelusz spadł mu do wody i teraz widać było zmoczoną deszczem jasną strzechę przywierającą ciasno do czaszki. Wcześniej, na ciemnym jeszcze dziedzińcu stajennym pomyślałem, że go chyba poznaję, ale potem uznałem - nie pierwszy i nie ostatni raz w tych dniach - że nie powinienem dowierzać intuicjom. Chyba i on wydawał się zaskoczony moim wyglądem, ciemnymi włosami i przystrzyżoną w klin brodą; może dlatego się dziwi, pomyślałem, że nie pasuję do rysopisu. Tak czy inaczej, zabrał mnie bez gadania.

- Przez las - słowa dobiegły spomiędzy sapania i stękania. Wyszukał inną gałąź, która miała posłużyć za punkt oparcia, potem dojrzał w wodzie do tylnej osi i znowu majstrował przy kole. Powóz kołysał się na wszystkie strony jak łódź na fali. - Bo nikt się do nas nie przyklei. Tu nie ma prawa.

Podniosłem skórzaną klapę na tylnym okienku i spojrzałem na drogę wijącą się za nami pod baldachimem konarów. Jeszcze nie ustąpiła poranna szarówka. W skąpym świetle mogłem dostrzec parę danieli, które spoglądały na nas z młodniaka, kozła i łanię gotowe do ucieczki. Poza tym żywej duszy, nawet kłusowników, którym Epping Forest zawdzięczał złą sławę. Koszmarna pogoda sprawiła, że drogi opustoszały. Od wjazdu na Epping Road spotkaliśmy tylko zbłąkaną furę zmierzającą do Londynu i wózek zaprzężony w kuca.

- Wio! Jazda!

Jedna z gałęzi pękła z trzaskiem i przełamała się; pojazd gwałtownie szarpnął i skoczył do przodu, niewiele brakowało, a rozciągnąłbym się na podłodze. Kłapa odsłoniła okno, przez które zobaczyłem, jak spod kół suną fale i łamią się na błotnistym brzegu rozlewiska. Crump próbował dosięgnąć uchwytu z boku kolasy, wreszcie wciągnął się na górę. Znowu byliśmy w

drodze na północ, rozpruwaliśmy gęstą zasłonę z drzew i deszczu. Rozsiadłem się wygodniej. Zapowiadała się dłuższa podróż. Do Wembish Park mogliśmy dotrzeć w najlepszym razie nazajutrz po południu.

Turlaliśmy się chwiejnie przez resztę ranka, przemierzając powoli kolejne mile. To drzemałem, to czuwałem, wciąż przekraczałem granicę snu i jawy. Byłem zmordowany, nie zdołałem bowiem wrócić do Alsatii przed północą, a w Półksiężycu po zmroku nastawał rejwach, istny sabat czarownic, więc udawało mi się zasnąć tylko chwilami. Na schodach nie ustawał tupot, w sali na dole rzępoliły skrzypce. Wśród głośnych wybuchów śmiechu tancerze zabawiali się na korytarzach jak dom długi i szeroki. Spokój nastał w końcu na godzinę czy dwie przed świtem, więc pukanie do drzwi i głos jednej z pokojówek zbudziły mnie o wiele za wcześnie; podopieczna pani Fawkes powiadomiła przez drzwi, że na dole już czeka drynda.

Podróż do Wembish Park rozpoczęła się pod znajomym znakiem. W pobliżu Chancery Lane znowu zobaczyłem figurę nagryzmołoną kredą na murze: hieroglif, który Marsilio Ficino - jak pamiętałem z czasów zagłębiania się w hermetykę - nazwał *crux Hermetica*. Poniżej prymitywnie, bo kredą częściowo zmytą przez deszcz, zapisano jedną tylko frazę, niczym podpis pod obrazkiem: *My, Niewidzialne Bractwo Różokrzyża*.

Zaintrygowany oparłem się wygodniej i zastanawiałem, czy dobrze odczytałem podpis. Jakiś kawał? Jak na autentyk wyglądało to zbyt wymyślnie, zbyt intrygująco. Rzecz jasna słyszałem o tajemnym stowarzyszeniu znanym jako Bractwo Różokrzyża. Niedawno, kiedy przerzucałem kilka rozpraw dotyczących filozofii hermetycznej, przebrnąłem przez ich dziwną historię. Byłem zaskoczony, że bractwo nie pojawiło się w opowieści Biddulpha o protestanckich konspiratorach. Wiedziałem o nich tylko tyle, że różokrzyżowcy to działające potajemnie grono protestanckich alchemików i mistyków, którzy z początkiem wieku przeciwstawiali się katolickiej kontreformacji. Jako orędownika swej wiary wspierali Henryka z Nawarry, a po jego zasztyletowaniu

w 1610 roku - Fryderyka V, elektora Palatynatu. Od ich hasła i plakatów zaroilo się na murach Heidelbergu i Pragi w roku 1616 bądź 1617, czyli mniej więcej wtedy, kiedy Ferdynanda Styryjskiego wyznaczono na króla Czech. Różokrzyżowcy musieli na Ferdynanda - wychowanka jezuitów - patrzeć z przerażeniem i wstrętem, lecz ich afisze i manifesty były dziwnie optymistyczne, przepowiadały reformowanie polityki i religii w całym cesarstwie. Reformy miały zostać wprowadzone za pomocą sztuk tajemnych, jakich nauczał Marsilio Ficino, pierwszy tłumacz *Corpus hermeticum* na łacinę. Za pomocą „naukowej magii” zawartej w tekstach hermetycznych i w *Libri de Vita* Ficina Bractwo Różokrzyża miało nadzieję obrócić zdewaluowane i poczerńnię ruiny nowoczesnego życia - ów świat sporów religijnych, wojen i prześladowań - w coś w rodzaju Złotego Wieku czy Utopii, mniej więcej tak, jak zamierzało w swych laboratoriach produkować złoto z grudek węgla i gliny.

Pragnienie reformowania wydało mi się zupełnie zrozumiałe. Bo cóż takiego mogli ujrzeć różokrzyżowcy, spoglądając na ostatnie sto lat w Europie? Pnie i szafoty przesiąknięte krwią protestancką. Była przecież rzeź hugenotów w noc Św. Bartłomieja, były stosy w Smithfield i Oksfordzie za panowania królowej Marii. Były okropności hiszpańskiej inkwizycji i Świętego Oficjum, były też wojny Hiszpanów w Niderlandach, w których postradał życie sir Philip Sidney. Byli luterańscy duchowni wypędzeni ze Styrii i spalenie dziesięciu tysięcy protestanckich księzek w Grazu, z którego to miasta wygnano też Keplera. Był Kopernik, zastraszany i uciszany, był też Galileusz wezwany w 1616 roku do Rzymu na przesłuchanie przed Robertem Bellarmine, jednym z kardynałów inkwizycji, którzy na Campo de'Fiore spalili filozofa hermetycznego Giordana Bruna. Był Tommaso Campanella torturowany i więziony w Neapolu. Był Wilhelm Orański zamordowany przez hiszpańskich agentów i Henryk IV zasztyletowany przez Ravaillaca na Pont Neuf.

W końcu częścią tej tragicznej litanii stali się sami różokrzyżowcy. Nie odkryli kamienia filozoficznego, nie nacieszyli się Złotym Wiekiem, ponieważ



w roku 1620 wojska Ligi Katolickiej króla zmiażdżyły Fryderyka i czeskich protestantów. Niewątpliwie bracia Różokrzyża byli w większości zabobonnymi szarlatanami i niemądrymi idealistami, mimo to żal mi było, że ci ludzie - którzy swymi księgami, chemikaliami i marną magią pragnęli odeprzeć coś, co postrzegali jako zło kontrreformacji, jako zło Hiszpanii i Habsburgów - w końcu zginęli, pochłonięci przez okropności wojny trzydziestoletniej.

Tego ranka w podskakującym na Chancery Lane koczku uświadomiłem sobie nagle co innego. Skojarzyłem, że praskie manifesty Bractwa Różokrzyża pojawiły się niemal w tym samym czasie, w którym flota Raleigha - sfinansowana przez inne grono żarliwych protestantów - podniosła żagle w wyprawie do Gujany. Co więcej, najślawniejszy traktat różokrzyżowców, *Alchemiczne zaślubiny Christiana Rosencreutza*, którego egzemplarz odnalazłem u siebie na półkach, wydany został w Strasburgu w roku 1616, tym samym, w którym Raleigha uwolniono z lochu w krwawej Tower. I znowu się zastanawiałem: może sir Ambrose ze swym hermetycznym tekstem stanowi jakieś ogniwo wiążące dwie fatalne awantury: pierwszą z Raleighem w Gujanie, drugą z Fryderykiem w Czechach? Nie miałem pojęcia. Lecz kiedy przerzucąłem niedawno egzemplarz *Alchemicznych zaślubin*, zauważyłem coś jeszcze, coś bardziej wymownego niż data wydania. Na marginesach i stronie tytułowej książki umieszczono maleńkie ryciny: symbole Merkurego, które wyglądały tak samo, jak rysunki gryzmołone teraz na murach Londynu.

Kocz dotarł do Bishopsgate, gdzie właśnie otwarto bramy, żeby przepuścić stado gęsi pędzonych na targ na rzeź. Zasunąłem zasłonę na okienku i przymknąłem oczy; powóz skrzypiał i trzeszczał, a ja nie mogłem się uwolnić od myśli o tych dziesiątkach prac alchemicznych w Pontifex Hall, o tamtejszym dobrze wyposażonym laboratorium; zastanawiałem się, czy ojciec Alethei, zagorzały protestant, był też różokrzyżowcem. Zaraz jednak straciłem wątek, bo w uszy wdarło mi się radosne gęganie, hałaśliwy rozgwar stworzeń nieświadomych losu, który je spotka za kilka minut.

- Głodny pan jest?

- Hmm... - Ocknąłem się, ale przez parę sekund byłem tak zdezorientowany, że nie mogłem się poruszyć ani odezwać.

- Staniemy coś zjeść, proszę pana?

Usiadłem prosto i spod kłapy wyjrzałem przez okno; byłem speszony, mrugałem; czułem się wytrącony ze swego miejsca, co dokuczało mi podczas każdego wyjazdu z miasta na wieś. Za oknem przewijał się powoli płaski krajobraz: na wpół zatopione pola i pastwiska za rzędami drzew. Wciąż lało jak z cebra, deszcz bębnił po skórzanym dachu.

- Ile jeszcze zostało do Cambridge?

- Godzina - odrzekł Crump.

- Nie. - Opadłem z powrotem na siedzenie. - Jedź dalej. W rzeczywistości droga do Cambridge zajęła z górą dwie godziny, lecz przez ten czas deszcz przestał padać, a wiatr wreszcie rozpędził chmury. Zachwycający zachód słońca przed godziną pokrył różem stado owiec na równinie, na tutejszych kredowych glebach. Wystawiłem głowę przez okno i poczułem wilgotny powiew we włosach; dostrzegłem też w oddali za nami zabłocony powóz zaprzężony w czwórkę koni, a za powozem jeźdźca na dereszku. Nie przejąłem się zbytnio tym widokiem. W pobliżu Cambridge aż się roiło na drodze od wszelkiego rodzaju pojazdów, jeźdźców, dyliżansów zmierzających do Londynu bądź Colchester. Opadłem na siedzenie i przymknąłem oczy.

Zamierzaliśmy przenocować w Cambridge, a o świcie ruszyć do Wembish Park. Crump zaproponował zajazd pocztowy o nazwie Herb Introligatora, koło Magdalene College, z widokiem na rzekę, zachęcał. Chętnie się zgodziłem. Jak dotąd Crump okazywał się pierwszorzędnym przewodnikiem.

Od tej wszakże chwili podróż napotykała na zdumiewające przeszkody. Może zawiniły zapadające ciemności, może zmęczenie Crumpa, może zatłoczone uliczki z rzędami domów o wywieszonych piętrach. Może zawinił też opór koni, które buntowały się przed każdą bramą, każdym ciemnym

zaułkiem i szarpały uzdy. W każdym razie pewność siebie - z jaką odnajdował drogę przez Epping Forest i pięćdziesiąt mil znękanego przez burzę traktu - najwyraźniej opuściła Crumpa. Przez najbliższe trzy kwadransy kręciliśmy się po ciasnych uliczkach, niewiele szerszych niż na rozpostarcie ramion, mijaliśmy college za college'em, zajazd pocztowy za zajazdem, kręciliśmy się w kółko, wyciągaliśmy i wykręcaliśmy szyje, bładzili po groblach i mostach po to tylko, żeby się natknąć na rów czy ślepy zaułek, przy czym nie natrafiliśmy ani na Magdalene College ani na Herb Intrologatora. W końcu Crump zaprosił mnie na kozioł: miałem rozglądać się za zajazdem, on miał się skupić na powożeniu.

Kozioł z trudem mieścił dwóch ludzi, mimo to jechaliśmy razem przez dłuższy czas, ocierając się ramionami, stopa w stopę na podnóżku. Crump zamilkł, wlepił oczy w ulicę, a ja kręciłem się na wszystkie strony, patrzyłem na przydrożne znaki, przy tym uważniej przyjrzałem się samemu Crumpowi. Kawał byka, jasnooki i jasnowłosy, z pijackim nochalem i cerą jak sewilska pomarańcza. Już go kiedyś spotkałem - teraz byłem pewien - ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Może krzątał się przy robotach w Pontifex Hall, pomyślałem, może sączył kawę w Złotym Rogu?

Przez chwilę miałem wrażenie, że coś mi świta, majaczy na horyzoncie pamięci, ale właśnie wpadliśmy w dziurę i musiałem się wczepić w krawędź siedzenia, żeby nie spaść. W tej pozycji poczułem ucisk na biodrze; za pasem Crumpa tkwił pistolet. Spojrzałem na jego twarz i zaniepokoił mnie jej nowy wyraz: zmartwienie, a może lęk, wyraźnie wpisane między wytrawione pogodą i niepogodą bruzdy.

- Może tu się zatrzymamy? - spytałem; wskazałem pobliski zajazd, którego brudny dziedziniec stajenny czuć było z daleka. Dwa razy mijaliśmy znak tej oberży. - Chyba ujdzie. Co za różnica? Wszystkie zajazdy są takie same.

- Zamknij usta, otwórz oczy - odwarknął; nerwowo poruszył zuchwą i ostro szarpnął lejce. - Bo coś przegapisz.

Minęliśmy Świętego Jerzego i Smoka, a dalej Kij Pastuszy, Baranią Łopatkę, Wiązkę Sitowia, Wesołego Lwa, Pod Bukłakiem, Maciorę z Prosiętami i jeszcze kilka zajazdów czy tawern, których Crump nie raczył brać pod uwagę. Postanowiłem zeskoczyć na ulicę i ruszyć swoją drogą - z Crumpem czy bez niego - do pierwszej lepszej gospody. Lecz kiedy się podniosłem, starając się zachować równowagę na podnóżku i szykując do skoku ponad kołem na most, zobaczyłem nagle Herb Introligatora: ciężką bladoniebieską bryłę z połyskującymi oknami, spadzistym dachem. Budynek wcinał się w niebo jak starożytna wieża świątynna. Stał na wprost nas za rzeką, u wylotu wąskiego mostu, na który Crump skierował konie.

- To tam - powiedziałem i usłyszałem swojski bulgot: rzeka Cam opływała filary mostu. - Zobacz! Herb Introligatora.

Crump się nie odezwał. Mocno zacisnął szczęki, obejrzał się przez ogromne ramię, szarpnął lejce, konie przyśpieszyły i poszły szybkim kłusem. Może nic nie usłyszał, może moje słowa zagłuszył szum wody. Klepnąłem go w rękę i pokazałem budynek - dojeżdżaliśmy do końca mostu, a w tym pośpiechu mogliśmy minąć zajazd - lecz moja dłoń natrafiła na coś zimnego i twardego. Crump trzymał w ręce pistolet.

- Wio! Jazda! Wio!

Konie tak pognały przez most, że niemal wyfrunąłem z kozła. Przy wtórze przekleństw Crumpa łapałem równowagę; zobaczyłem, że już nie jesteśmy sami. Zaprzężony w czwórkę koni zabłocony kocz nadjeżdżał z naprzeciwka i zagradzał nam drogę, jadący przodem mężczyzna na siwym dereszcu najwyraźniej na nas nacierał.

Mąciło mi się głowie; spojrzałem na Crumpa. Wykrzywiony, znów zaklął, potem uniósł pistolet i wymierzył w postać stojącą w strzemionach. Deresz obrócił się bokiem do kamiennych balustrad, broń wypaliła, sypiąc snop jaskrawych iskier, niektóre ukłuły mnie w policzek. Kolasa zatoczyła się jak pijana, konie spłoszone hukiem runęły do przodu. Przywarłem do krawędzi

siedziska, Crump manipulował lejcami i kolejnym ładunkiem. Za parę sekund mieliśmy się znaleźć obok tamtego pojazdu.

- Na Boga, zrób coś, pomóż! - Crump wcisnął mi pistolet i ładunek. Piasta koła szorowała po balustradzie, obijaliśmy się nawzajem głowami, bo kocz wciąż się zataczał. - Pozabijają nas!

Nie wziąłem pistoletu; spadł i zastukotał na moście. Kiedy kocz się wyprostował, odsunąłem się od Crumpa, obróciłem na siedzeniu i niezgrabnie wspiąłem na rozkołysany dach pojazdu, gdzie przykucnąłem, trzymając się mocno krawędzi. Potem - nie zważając na krzyki Crumpa i nie patrząc w dół - wyskoczyłem za balustradę wprost w huczący, pełen wirów nurt rzeki Cam wezbranej po deszczu. Kiedy wpadałem z pluskiem do wody, kiedy wessała mnie toń, kiedy potem płynąłem pod środkowym przęsłem i dalej z biegiem rzeki obok Herbu Introligatora, nie rozbrzmiewał mi w uszach huk wezbranej wody, lecz co innego: podobne do grzechotki kłapanie drewnianych zębów Crumpa.

W końcu przypomniałem sobie, gdzie go widziałem. Potem przez dłuższy czas nie myślałem o niczym: prąd niósł mnie w dół, a cały świat stał się nagle ciemnością i ciszą.

Za mostem Magdaleny rzeka Cam płynie na północny wschód ku Isle of Ely; o kilka mil dalej - na skraju torfiastych mokradeł pociętych kanałami odwadniającymi jeszcze przez Rzymian - wody Cam wpadają do Great Ouse, następnie płyną na północ do morza, do zatoki Wash, przez trzydzieści mil przemierzając sięgające za widnokrąg, przejmująco smutne pustkowia.

Po całodziennym ulewie mokradła były jeszcze bardziej podtopione, nurt rzeki bardziej rwący i zdradliwy. Nie miałem pojęcia, jak daleko uniosła mnie Cam. Wiedziałem tylko tyle, że się ocknąłem przemoczony i przemarznięty na pokładzie lichtugi. Pchał ją pod prąd człowiek z mokradeł zdążający na targ, staruch nazwiskiem Noah Bright żyjący z wybierania torfu. W górze przesuwwały się gwiazdy, z boku błotniste brzegi. Wykasływałem wodę z płuc, łowiłem

gorączkowo powietrze. Od skoku do rzeki upłynęły godziny, a może dni.

Z podróży powrotnej do Cambridge pozostały mi tylko niewyraźne wspomnienia: stary torfiarz zgięty nad żerdzią, lichtuga pełznąca po wodzie, ciemny nadrzeczny krajobraz przesuwany się za burtą, słodkawy zapach suszonego na słońcu torfu, do którego przywarłem policzkiem. Popychający lichtugę pod prąd Bright z werwą wygłaszał jakiś monolog, nie miałem jednak pojęcia, o czym rozprawia, właściwie nie słuchałem, nie wtrącałem się. Myślałem przez cały czas o Nacie Crumpie, o tym, co zobaczyłem, kiedy się stuknęliśmy głowami na moście: był to garnitur drewnianych zębów, gniewnie wyszczerzony jak u przestraszonego kundla.

*Na Fleet Street był wypadek. Wywalił się wóz, proszę pana, koń padł.*

Wstrząsnęło mną to odkrycie. Nie miałem pojęcia, co o nim sądzić. Tak czy inaczej, Crump był tym dryndziarzem, który mnie dowiózł do Alsatii. Tyle już wiedziałem. Rzekomym objazdem, rzekomo przypadkowo Crump zawiózł mnie pod Złoty Róg. Tego już byłem pewien, dałbym sobie rękę uciąć.

*Na Fleet Street był wypadek...*

Na razie wiem tyle, uzmysłowiłem sobie, że parę dni temu ktoś nazwiskiem Nat Crump śledził mnie od Westminster aż do Rogu Pocztyliona, gdzie - na pozór przypadkiem - zabrał mnie z ulicy do kocza i dowiózł - też na pozór przypadkiem - w miejsce, w którym musiałem zobaczyć Złoty Róg, jeśli nie byłem ślepy. Trasa musiała być starannie zaplanowana, dzięki czemu wyszukany plan mógł wyglądać na przypadek, na pomyślny zbieg okoliczności, na łut szczęścia. Zatem wszystko, co się wydarzyło od pierwszego wypadu do Alsatii, i wszystko, co się wydało płynnym tego następstwem - aukcja, egzemplarz Agryppy, katalog - mogło zostać zainscenizowane. Podobnie, rzecz jasna, podróż do Wembish Park. Wyprowadzono mnie w pole, wabiono na coraz głębsze i bardziej niebezpieczne wody. Jeżeli dom w Wembish rzeczywiście istnieje, to bez wątpienia - jak wszystko inne - jest tylko przykrywką. Ale przykrywką czego? I czyją?

*Chybaśmy się wpakowali w ślepy zaułek...*

A elokwentny torfiarz, Noah Bright, który stoi nade mną na rufie lichtugi? Co o nim sądzić? Gada, ale chyba przygląda mi się uważnie, wlepia we mnie ślepie czujne i bystre jak stary legawiec. Zdołałem mu wyjaśnić, że handluję książkami, nazywam się Silas Cobb i do Cambridge przyjechałem z Londynu, pomyszkować po sklepach i straganach Market Hall. Wpadłem do rzeki, bo wcześniej bez umiaru korzystałem z gościnności jednej z tak licznych w Cambridge tawern. Nie miałem pojęcia, czy Bright wierzy w pośpiesznie skleconą bajkę i czy mogę mu ufać. Nabrałem nagle podejrzeń wobec każdego. Zastanawiałem się, czy stary torfiarz jest kolejnym Crumpem bądź Pickvance'em, aktorem ściągniętym do odegrania roli, marionetką, przy czym nie wiadomo, kto zza kulis pociąga za sznurki. Czy znalazł mnie w rzece tylko przypadkiem, zbiegiem okoliczności? Może nawet mój skok z mostu był jakoś precyzyjnie kontrolowany, określony przez katalog czynników, którego autor i cele kryją się w cieniu? Rozmyślałem, gdzie biegnie granica takiej manipulacji. Teraz nie byłem pewien, może Biddulph z opowieściami o Ministerstwie Marynarki i *Philipie Sidneyu* to ktoś podstawiony, może to jeszcze jedna inscenizacja? Czy rysunki nagryzmołone na londyńskich murach i osobliwości w zakurzonej gablocie przeznaczone były tylko dla moich oczu...

- Co, u diabła...

Nurt gwałtownie obrócił lichtugę, krypa ostro wykręciła na sterburtę. Woda rozbijała się o nadburcie, obok mnie zakołysał się ładunek torfowych kostek. Zobaczyłem, że Bright przestał popychać lichtugę; przykucnął na rufie i uważnie wpatrywał się w wezbraną rzekę. Na wodzie przed nami lśniło słabe odbicie świateł Cambridge. Byliśmy o milę z okładem na północ od mostu Magdaleny. Latarnia na ławce zachybotła się, niewiele brakowało, a wpadłaby do rzeki. Znowu spojrzałem na Wrighta, czując na karku i ramionach falę dreszczy.

- Co się dzieje?

- O tam - szepnął i skinął ku brzegowi. - Coś tam jest nad wodą.

Zobaczyłem na brzegu ciemny kształt na wpół ukryty w mokrej turzycy, wyglądał jak jakieś ziemno-wodne stworzenie, które w połowie wypełzło z wody. Podkradło się do niego światło latarni; Bright zanurzył żerdź w mule i odepchnął się, ostrożnie prowadząc przód lichtugi przez zdradziecki prąd. Niemal stracił równowagę, kiedy zakołysaliśmy się na rwącej wodzie, ale utrzymał kurs, używając żerdzi jak steru. Po paru sekundach dno cicho zgrzytnęło i osiadło na błocie. W turzycy dostrzegłem wyprostowane ramię. Bright wyciągnął żerdź z wody i westchnął.

To był człowiek; z rozpostartymi ramionami leżał na brzegu twarzą do ziemi, nogi wciąż tkwiły w wezbranej rzece. Bright powiódł żerdzią po brzegu, tuż nad wodą. Zanim szturchnął leżącego, zanim podważył ramię i obrócił go na plecy, już było oczywiste, że to nieboszczyk. W upiornym świetle latarni widziałem gardło rozplątane od ucha do ucha; głowa niemal odcięta zakolebała się przerażająco. Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła, i odwróciłem się, tymczasem Bright już wysiadł z lichtugi; brodził po kolana w wodzie i uniósł wysoko latarnię. Nie zdążył dojść do ciała, kiedy nurt porwał obu. Zanim zgasła latarnia, zanim popłynęło obrócone ciało leżące w trawie, zdążyłem na moment zobaczyć twarz: nos jak kartofel, a niżej para drewnianych szczęk zaciśniętych w przyływie niemej furii.

#### IV

Jedno z moich bardzo wczesnych wspomnień to widok ojca, który pisze. Był kopistą, pisanie stanowiło jego zawód, dziedzinę podporządkowaną różnym ścisłym i złożonym rytuałom. Wciąż mogę przywołać obraz ojca siedzącego nad zniszczonym sekretarzykiem: błagalnie zgarbiony, z włosami opadającymi na twarz, obraca w szczupłej dłoni indyckie pióro. Ojciec był kimś niepozornym z wyglądu, jak ja, drobnym, noszącym się ciemno mężczyzną o smutnych, zmęczonych oczach maskonura. Lecz widok ojca, który pisze, ów cud piszącej ręki był olśnieniem. Stawałem z uniesioną świecą przy sekretarzyku, ojciec



mieszał tusz albo przycinał nożem pióra, uważnie jak chirurg podczas najdelikatniejszej operacji. Następnie zanurzał przycięte pióro w rożku z tuszem, a potem - to już była magia - zaczynał zapisywać rozpostarty na blacie pergamin przetarty kredą i pumeksem.

Co pisał? Nie wiedziałem. To były czasy niewinności, jeszcze nie miałem w ręku elementarza, nie umiałem odcyfrować krągłych głów ani zdobnych członków, z których składały się dziwne znaki kreślone tuszem. Dlatego urzekały mnie tak nieodparcie jak hieroglify faraonów. W rzeczywistości biedny ojciec musiał przepisywać najnudniejsze w świecie akapity. Dokumenty nadania praw, zapisy sądowe, parafialne i tak dalej. Życie kopisty było nie lada harówką. Dopiero z czasem pojąłem, że wciąż pochylone ojcowskie plecy to skutek garbienia się nad biurkiem, a przyćmiony wzrok wziął się stąd, że zazwyczaj ojca nie stać było na świece. Raz w tygodniu uwalniał się od trudów i opuszczał maleńką mansardę służącą za gabinet; wędrował wtedy po sklepach wytwórców tuszu, sprzedawców pergaminów lub oddawał owoce swego mozołu biurom sądowym i archiwom Inns of Chancery<sup>1</sup>, od których płacy, jakże niepewnej, zależało jego utrzymanie. Kiedy podrosłem, towarzyszyłem czasem ojcu w wędrowkach przez londyńskie ulice. Z pergaminem zwiniętym pod pachą - albo schowanym w wysłużonej torbie na pasku przewieszonym przez szyję - stawał się w budynku Clement's bądź którymś z innych, a ja siadałem w spokojnym przedpokoju i przyglądałem się przez otwarte drzwi, jak mój zgarbiony ojciec w brudnej kryzie nieśmiało, drżącymi rękami rozwija na stole swe dzieła przed surowymi, nieskorymi do uśmiechu urzędnikami sądowymi o wąskich, mysich twarzach.

Dobrze pamiętam te wypadki, nawet dziś. Ulicami wędruje para trzymająca się za ręce, odwiedza obce, złowrogie budynki, wkracza do światów władzy i przywileju jakże odległych od naszego maleńkiego domku i splamionego tuszem ojcowskiego sekretarzyka. Dwa razy paziowie w jedwabiach prowadzili nas do samego Biura Pieczęci w Whitehall. Ale

najczęściej podczas cotygodniowych odysei odwiedzaliśmy Chancery Lane, przy tej bowiem ulicy, po jej wschodniej stronie, nieopodal domu gry w Bell Yard - jeszcze jednej instytucji ulubionej, niestety, przez mego nieszczęsnego ojca - wznosiła się Rolls Chapel<sup>2</sup>.

Ojciec, skłaniający się ku ateizmowi, często żartował, że Rolls Chapel to jedyny kościół, jaki odwiedza. Z zewnątrz budynek rzeczywiście wyglądał świątynnie. Kamienna sześcioboczna dzwonnica o witrażowych oknach górowała nad rojem adwokatów i urzędników na Chancery Lane. Usiane ćwiekami dębowe wierzeje wiodły do prezbiterium, za którym w długiej nawie gęsto było od ławek. Nie zapełniali ich wszakże pobożni parafianie z modlitewnikami, lecz oprawne w marokin ciężkie księgi bądź wysokie na trzy stopy sterty papierów i pergaminów. Przybysze - skupieni w grupkach w północno-zachodnim kącie - nie zanosili modłów do Boga, lecz do lorda kanclerza, a ściślej do jego pomocnika, naczelnika archiwów sądu kanclerskiego, który w prezbiterium zasiadał na ławie niczym ksiądz i wysłuchiwał suplikacji. Rolls Chapel miała niegdyś być kościołem - wzniesiona, jak opowiadał ojciec, dla nawróconych Żydów - lecz dawno temu sama zmieniła wyznanie; teraz w dzwonnicy i w krypcie pod szarą kamienną posadzką kryje ogromny zbiór dokumentów sądu kanclerskiego.

Na widmo z dzieciństwa - na tego maleńkiego Isaaca Inchbolda w szarobrunatnym surduciku i podziurawionych przez mole rajtuzach - natknąłem się nazajutrz rankiem po powrocie do Cambridge, kiedy sadowiłem się w ławce pod oknem. Słońce padało na witraże, na kamiennej posadzce skrzyły się bukiety światła, które tak dobrze pamiętałem z odległych czasów, gdy siadywałem tu rankiem, machałem nogami, kopałem klęcznik i czekałem, aż ojciec zejdzie z wieży lub wyjdzie z krypty. Teraz, jak i wtedy, w Rolls Chapel było cicho, wewnątrz zapełniała stęchła woń starych pergaminów i wiekowych kamieni.

W Rolls Chapel nie było jednak pusto. Z mojej ławki widziałem dziesiątki

urzędników i kopistów ostrożnie lawirujących między klęcznikami i stallami chóru, ławkę dzieliłem zaś z grupą może dwunastu dżentelmenów, z których większość wyglądała mi na kawalerów. Natomiast za przeżartą przez robactwo balustradą prezbiterium naczelnik archiwum, grubas w purpurowej szacie, przewodził posiedzeniu grupki prawników w perukach z końskiego włosia. Wyciągnąłem z kieszonki zegarek, sprawdziłem godzinę, a potem skierowałem niespokojne spojrzenie ku wejściu na dzwonnice, ku maleńkim drzwiom, za którymi przed chwilą zniknął urzędnik. Nad drzwiami widniał napis ROTULI LITTERARUM CLAUSARUM. Westchnąłem i schowałem zegarek. Rozpaczliwie śpieszyłem się, wystawiony na poważne niebezpieczeństwo; zresztą nie tylko ja, również Alethea.

Minęły dwa dni od wyjazdu do Cambridge. Wróciłem do Alsatii poprzedniego wieczoru po całodziennej podróży. Zdązałem gorączkowo do Londynu, uświadomiłem sobie bowiem coś strasznego, a odkrycie przyprawiało mnie o dreszcze. Zrozumiałem, że ów dziwny szereg powiązań - wszystko, co na mój użytek zainscenizowała nieznana osoba (albo osoby) - prowadzi prostą drogą do szyfrowanego zapisu wetkniętego w egzemplarz Orteliusa, do tekstu, który najwyraźniej miałem odnaleźć i odczytać. Co oznaczało, że ktoś zastawiający pułapkę - wszystko jedno kto - ma dostęp do Pontifex Hall i tamtejszego laboratorium. Zapewne w grę wchodzi jedna z dwóch osób, Phineas Greenleaf albo sir Richard Overstreet, a może obaj, w zмовie. Tak czy inaczej, sprawca nie tylko miał dostęp do Alethei, ale i cieszył się jej zaufaniem. Jeden z nich, najpewniej sir Richard, zamordował Nata Crumpa.

Byłem wciąż wstrząśnięty wydarzeniami ostatnich dni. Jeszcze nie stać mnie było na dociekanie, dlaczego Crump musiał zginąć ani jak inne wątki - włamanie do Nonsuch House, Henry Monboddo i jego tajemniczy klient, wyprawa na Orinoko - wiążą się z nieuchwytnym pergaminem, alfą i omegą tej tajemnicy, Świętym Graalem, który najwyraźniej wymyka się coraz bardziej z zasięgu ręki.

Pojąłem wszak nagle, jak mógłbym przeciąć ten węzeł gordyjski, jak mógłbym - mimo wszystko - dotrzeć do sedna tajemnic Henry'ego Monbodda i Wembish Park... a później do tożsamości owego kogoś będącego sprężyną sprawy. Zbir nie zatarł bowiem doszczętnie śladów. Już wiedziałem, że odpowiedzi nie należy szukać w Wembish Park, lecz tu, w Londynie, na Chancery Lane, a kryje się ona w paru liniijkach tekstu zapisanego na pergaminie.

W Rolls Chapel zjawiłem się rankiem, wciąż w przebraniu, po bezowocnej wyprawie do Pulteney House, ciemnego i najwyraźniej opustoszałego. Swoją sprawę wyłuszczyłem urzędnikowi siedzącemu za biurkiem koło chrzcielnicy, ten zaś z szyderczym uśmieszkiem zakomunikował, że to, czego potrzebuję, jest nieosiągalne, wszyscy bowiem urzędnicy nadzorujący poufne dokumenty są właśnie szalenie zajęci, co muszę zrozumieć. Nikt, wyjaśnił, nie zdoła zrealizować mego zlecenia w ciągu paru dni, co najmniej paru dni.

- Akt Uwolnienia od Kary i Zapomnienia - wyjaśnił i wzruszył cherlawymi ramionami.

- Przepraszam?

- Regulowanie spraw nieruchomości - powiadomił z szyderczą wyższością. - Urzędnicy właśnie szukają dokumentów dowodzących własności majątków, które skonfiskował Parlament i które teraz mogą trafić w ręce prawowitych właścicieli.

- Właśnie dlatego tu jestem!

- Rzeczywiście? - Uniósł oczy znad biurka i bezceremonialnie zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, z najwyższym niedowierzaniem, że też osoba tak pośledniej, wręcz marnej powierzchowności może mieć w ogóle jakiś związek z arystokratycznym majątkiem, skonfiskowanym czy nie. - Cóż, musi pan czekać na swoją kolej, jak wszyscy. - Skinieniem wskazał galerię rozpartyich w ławkach kawalerów, a potem bez pośpiechu spojrział znów na mnie. - Chyba

że, rzecz jasna...

Facet leciuteńko zakaszłał, zasłaniając usta maleńką dłonią zdobną w koronkowy mankiet, i zerknął ku prezbiterium. Westchnąłem w duchu i sięgnąłem po szylinga. Wiedziałem, że chciwość to kluczowa cecha jurystów, ale nie miałem pojęcia, że przeniknęła w szeregi pomagierów. Kiedy monety nie skwitowało żadne dwuznaczne spojrzenie, sięgnąłem po następnego szylinga. Monety wyparowały, rozplynęły się w powietrzu. Urzędnik studiował papiery na biurku.

- Proszę tam usiąść.

A potem nic, przez godzinę. W prezbiterium odbyły się dwa postępowania, powodów odprawiono. Urzędnicy i prawnicy dreptali to tu, to tam, szperali w stosach tomów na ławkach i w zakrystii po prawej stronie. Po kamiennych płytach pełzły ku mnie świetliste ogrody, niemal sięgały czubków moich butów, a ja, jak za dawnych czasów, niecierpliwie kopałem wyściełany klęcznik. W końcu usłyszałem swoje nazwisko: w maleńkich drzwiach dzwonnicy stał urzędnik, młody chudzielec.

- Może pan teraz obejrzeć zapisy - zakomunikował urzędnik za biurkiem.

- Pan Spicer wskaże drogę.

Wdrapywanie się nie należało do przyjemności. Za poręcz służyła postrzępiona stara lina, a na spiralnych schodach było tak ciasno, że co krok ocierałem się ramieniem o centralny słup z piaskowca. Starąłem się dotrzymać kroku zwinnemu panu Spicerowi, ale wystarczyło kilka stopni, żebym wyobraził sobie napierające na mnie tony kamienia i żebym poczuł ten sam mroźny dreszcz paniki jak przed paroma dniami w księżym schowku w Nonsuch House. Nie znośłem zamkniętych przestrzeni, zawsze mi przypominały, jak sądzę, to wiekiuste zamknięcie, które się o mnie upomni. Co gorsza, pan Spicer nie uważał za stosowne użyć świecy, musiałem więc przewiercać się przez zatęchłe mroki, z rzadka rozpraszane poświatą z okienka, a właściwie szczeliny strzelniczej.

Cieężko dysząc, dotarłem wreszcie na górę, gdzie w niewielkim sześciokątym pomieszczeniu czekał już na mnie pan Spicer. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego nie zapalił świecy na schodach; w pomieszczeniu piętrzyły się pęki pergaminów, niektóre pozszywane arkusz do arkusza i zwinięte w grube szpule średnicy paru stóp. Dziesiątki drewnianych skrzynek porozstawianych gdzie popadnie zajmowały większą część pomieszczenia; wystawało z nich jeszcze więcej pergaminów, niektóre pociemniałe, niektóre nowe.

Przemknąłem wzrokiem po zwojach i skrzynkach, po przywieszkach z jaskrawymi pieczęciami woskowymi podobnymi do frędzli. Był to świat mego ojca, kopisty. Lecz widok intrygował mnie z innego powodu, wiedziałem bowiem, że jest tu zapisana, w tych papierach czy pergaminach, tożsamość prześladowcy. Ileż dokumentów przestudiowałem w poszukiwaniu odpowiedzi? Księgi podatkowe nieruchomości, przywileje, spisy parafialne, katalogi aukcyjne, różne wydania *Corpus hermeticum* i opowieści o podróżach Raleigha, a wszystkie wiodły na manowce. Lecz teraz - nareszcie - byłem o krok od poznania prawdy. Wiadomość musi być tu, na którymś pergaminie.

- Tutaj złożono wszystkie testamenty, koncesje, nakazy sądowe, przywileje i statuty wydane w kraju - wyjaśniał z niejaką dumą Spicer, który dostrzegł moje oszołomienie. - Widzi pan tylko nadwyżkę; te dokumenty nie zmieściły się w krypcie ani zakrystii. W krypcie mamy z górą siedemdziesiąt pięć tysięcy pergaminów na mniej więcej tysiącu zwojów.

Ruszył do biurka i nachylił się, żeby wysunąć chrobocącą, głęboką szufladę, z której wyciągnął - udając, że stęka - oprawne w skórę ogromne tomiszcze *in folio*. Miało grubość co najmniej stopy.

- Jestem człowiekiem zapracowanym - westchnął, siadając na krześle - co pan zapewne raczył zauważyć. Więc jeśli nie ma pan nic przeciw temu...

- Ależ oczywiście, od razu przejdę do rzeczy. - Przybliżyłem się i wsparłem na lasce. - Poszukuję tytułu własności.

- Nie pan jeden - mruknął pod nosem. Potem skrzypnęła skóra, pan Spicer otworzył okładkę kartulariusza i wziął do ręki szkło powiększające. - Doskonale. Tytuł własności. - Polizał kciuk i przerzucił ciężkie stronic. - Z którego roku? Pora roku też się przyda, jeśli pan łaskaw. Lato? Jesień?

- Właśnie... w tym sęk. - Zdobyłem się na pochlebny uśmiech. - Nie jestem pewien, w którym dokładnie roku doszło do transakcji.

- To tak wygląda... Zatem, pan pozwoli, jak brzmi nazwisko nabywcy?

- I znowu sęk. - Poglębilem uśmiech. - Widzi pan, liczę, że właśnie tego się dowiem: nazwiska właściciela.

- I nie zna pan daty zakupu? Nawet z grubsza? No cóż - widząc, że kręcę głową, wycedził przez ściągnięte, skóre do odmów wargi - mam wrażenie, o ile nie urazi pana porównanie, że stawia pan wóz przed koniem. Musi pan znać albo jedno, albo drugie, nazwisko albo datę. Z pewnością pan to zrozumie. - Ogromna okładka znowu zaskrzypiała i przy wtórze delikatnego głuchego uderzenia została zamknięta. - Jak mówiłem, panie Inchbold, jestem człowiekiem zapracowanym. - Jeszcze raz się nachylił i z powrotem ulokował kartulariusz w szufladzie. - Mam nadzieję, że trafi pan po schodach do wyjścia.

- Nie, nie, chwileczkę. - Nie zamierzałem łatwo dać za wygraną. - Mam nazwisko - powiedziałem. - Nawet dwa, jeśli pan pozwoli.

W starannie zapisanych kolumnach księgi Spicer nie zdołał jednak znaleźć żadnej wzmianki o żadnej nieruchomości w Huntingdonshire należącej do sir Richarda Overstreeta - bo to nazwisko podałem jako pierwsze - ani do Henry'ego Monbodda. W końcu znalazł jednak w kartulariuszu zapis związany z nieruchomością właściciela nazwiskiem Monboddo. Lecz imię brzmiało Isabella. Tymczasem upłynęła prawie godzina. Schylałem się, usiłując odczytać zapis widziany odwrotnie, górą w dół, starannie wykaligrafowany przez jakiegoś poprzednika pana Spicera. Dom stanowi wdowie dożywocie, wyjaśniał Spicer znudzonym, jednostajnym głosem, ustanowione na rzecz Isabelli przez jej męża, owszem, zgadza się, Henry'ego Monbodda. Spicer jeszcze głębiej nachylił się

nad lupą. Nieograniczone prawo własności, a nieruchomości nazywa się Wembish Park.

- No właśnie - wyjąkałem. - To jest...

- Wdowie dożywocie - nie zważając na mnie, ciągnął Spicer - zostało ustanowione w testamencie sporządzonym przez Henry'ego Monbodda w roku 1630. Potem zostało ograniczone przez Parlament, następnie skonfiskowane, a wreszcie przywrócone właścicielce na podstawie Aktu Uwolnienia od Kary i Zapomnienia.

- Przywrócone Isabelli Monboddo?

- Właśnie. Tutaj została wymieniona jako wdowa po Henrym Monboddo.

- Jako wdowa? To kiedy w takim razie umarł Henry Monboddo?

- To nie spisy parafialne, panie Inchbold. Kartulariusz nie informuje nas o faktach tego rodzaju.

- Oczywiście - łagodząc cichym tonem. Próbowałem uchwycić sens wiadomości. Monboddo nie żyje? I Alethea nic o tym nie wie? Nachyliłem się jeszcze bliżej. - Zatem... Właścicielką majątku jest Isabella Monboddo?

- Była właścicielką. Bo na to wygląda, że Wembish Park trafił w inne ręce, po niedawnej transakcji.

Pochylił się nisko nad stronicą, jak jubiler badający pod lupą kamień rzadkiej wartości. Mogłem tylko dostrzec, jak kolumny kurczą się lub rozdymają albo wirują pod szkłem powiększającym. Potem odwrócił trzeszczącą kartę, odłożył szkło i po raz pierwszy od dwudziestu minut spojrzał na mnie.

- Tak - powiedział. - Majątek został sprzedany. Wygląda na to, że niedawno. Akt sprzedaży zarejestrowano zaledwie przed kilkoma tygodniami. Chociaż, rzecz jasna, w hrabstwie sekretarz sądu pokoju mógł go zarejestrować o miesiąc wcześniej. Miewamy niewielkie zaległości...

- Tak, oczywiście, przecież ten obrót nieruchomościami... - Ledwie śmiałem odetchnąć. - A komu został sprzedany?

- O! Cóż - zdobył się na uśmiech - tego nam kartulariusz nie wyjaśnia.



- Dobrze, ale akt własności? Zapis notarialny? - Z trudem powstrzymałem chęć wyrwania mu z ręki księgi i przeczytania wpisu samemu. - Mówi pan, że został zarejestrowany?

- Oczywiście, został zarejestrowany. Takie jest prawo, jak zapewne panu wiadomo.

- Dobrze, więc gdzie można znaleźć ten zapis?

Spicer jakby nie słyszał pytania. Wziął lupę i jeszcze raz pochylił się nad stronicą jak pilny, zapracowany uczeń. Po paru sekundach wyciągnął jedno z piór, starannie odprawił ceremonię przycięcia czubka, a potem - wciąż przyglądałem się temu z bliska - zapisał na wygrzebanym z szuflady skrawku papieru liczby, podobne do szczeciniastych zarośli, które z trudem udało mi się odczytać: CXXXIIIIZ. DCCLXXVIII. LVIII.

- Proszę, to dla pana - powiedział i czubkiem wskazującego palca przesunął ku mnie tę zaszyfrowaną wiadomość. - Mam wrażenie, że właśnie o to panu chodzi.

Ująłem kartkę za brzegi, żeby nie rozmazać atramentu. Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na Spicera, który przyglądał mi się z uśmiechem, pełen zadowolenia z siebie.

- Co to jest? Co pan ma na myśli?

- Krypta, panie Inchbold. - Rozległ się pożegnalny trzask zamasyście zamykanego kartulariusza. Uśmiech pierzchnął z twarzy Spicera. Urzędnik ulokował pióro w rogowym kałamarzu i wsunął do szuflady szkło powiększające. - Tam pan znajdzie to, czego szuka. W krypcie.

Wąskimi krętymi schodami zszedłem do nawy; słońce zdążyło już się przesunąć i teraz świeciło przez okna zachodnie. W kaplicy ubyłoby ludzi; w prezbiterium dwaj urzędnicy odbywali jakąś przyciszoną naradę. Powiosłowałem kosturkiem wzdłuż nawy, niemal mdlejąc z głodu; od wczoraj nic nie miałem w ustach. Lecz nie czas na jedzenie, pomyślałem, nie teraz. Zaciskając w ręku skrawek papieru, uchwyciłem się ławki i przełożyłem kaleką

nogę nad stołkiem. Trudno, za wiele zostało do zrobienia, żeby myśleć o żołądku.

Drzwi znajdowały się z przodu, blisko prezbiterium, pod którym zapewne rozciągała się krypta. Nad drzwiami widniała ta sama inskrypcja co nad wejściem na dzwonnice: ROTULI LITTERARUM CLAUSARUM. Drzwi rozwarły się z takim samym skrzypieniem i wychodziły na równie wąskie schody o równie niskich stopniach. Było tu ciemno, jeśli pominąć wątlą poświatę na samym dole. Zanurkowałem pod potrzaskaną drewnianą belką, wziąłem głęboki oddech jak przed skokiem w głębiny i zacząłem schodzić.

W krypcie miał czekać urzędnik nazwiskiem Appleyard, jego zadaniem było odcyfrować zapis i odnaleźć dokument. Zdążyłem jednak odgadnąć, że numery odnoszą się do odpowiedniej półki i zwoju. Na dole w katakumbie zobaczyłem numery na półkach i skrzyniach, podobnie ponumerowane były pudła i dziesiątki zwojów opasanych wstążkami. Niemniej nie zdołałbym sam odszukać właściwego zwoju. Po oswojeniu się z półmrokiem zobaczyłem, że krypta to w istocie ogromny labirynt rozciągający się daleko poza prezbiterium, sięgający nawy, a dalej, jak mogłem sądzić, obszaru Chancery Lane, może nawet rozciągał się pod sporą częścią Londynu. Wąskie korytarze, szerokości najwyżej dwóch stóp, opatrzone u góry jak balkonem półką ze zwojami pergaminów, z których grube miały średnicę talerza, cienkie nie większą niż ustnik fajki. Te korytarze ginęły w mroku po obu stronach, rozpełzały się, dzieliły, zamieniały w jeszcze ciaśniejsze odnogi. Tylko dzięki temu, że jestem niewysoki, z brzuchem skromnych rozmiarów, mogłem ostrożnie posuwać się najszerszym z przejść, zdążając ku wątlej poświacie i maleńkiemu stolikowi pana Appleyarda. Latarnia była przygaszona, a pan Appleyard spał jak suseł.

Budzenie zajęło minutę, może i dwie. Kruchy staruszek z bujnym wieńcem siwizny nad uszami i łysą kopułą powyżej zżółkł na podobieństwo pergaminów, które go zewsząd otaczały. Delikatnie potrząsnąłem jego ramieniem raz i drugi. W końcu zachrapał, zakaszłał, wzdrygnął się,

wyprostował i zamrugał, odsłaniając jasne oczy.

- Tak? - Gmerał rękami po blacie. - Co to? Kto? Położyłem na stoliku papier i wyjaśniłem, że przysłała mnie z dzwonnicy pan Spicer.

- Szukam aktu własności. Nazywam się Inchbold.

- Inchbold... - Ręce pana Appleyarda zamarły w pół ruchu nad suszką. Pomilczał, mocno zmarszczył czoło i wskazującym palcem dotknął koniuszka nosa, pogrążony w jakiejś prywatnej zadumie. - Z Inchboldów z Pudney Court? Z Somersetshire?

Pytanie mnie zaskoczyło.

- To dalecy krewni.

- Oczywiście. Ale Henry Inchbold już nie był takim dalekim krewnym? Prawda? Bo zgadza się nie tylko nazwisko, ale i słyszę ten sam głos.

Byłem zupełnie zbity z tropu.

- Pamięta pan mego ojca?

- Bardzo dobrze. Piękny wybór charakterów pisma. Pamiętam w sądowych dokumentach tę jego zdecydowaną kreskę w wysokich literach. - Wzruszył ramionami i w uśmiechu odsłonił bezzębne usta. - Widzi pan, nawet teraz są mi nieobce radości wzroku.

W końcu uświadomiłem sobie, że Appleyard, mrugający i macający po biurku, jest ślepy jak Homer. Poczulem serce w gardle. To żart, jakaś drwina Spicera? Jakim cudem ślepiec - nawet taki, najwyraźniej obdarzony świetną pamięcią - może być przewodnikiem po zakamarkach krypty?

- Lecz mam wrażenie, panie Inchbold, że nie przyszedł pan pogadać sobie o ojcu.

- Nie.

- Ani o Pudney Court. Chyba że szuka pan tamtejszego tytułu własności? Bo, widzi pan, ten dokument też pamiętam. Piękny przykład ozdobnego pisma urzędowego sprzed tak zwanej reformy kaligraficznej w trzynastym wieku. Reforma - prychnął lekceważąco. - Ja bym powiedział kastracja.

- Nie - odrzekłem - nie chodzi o Pudney Court, lecz o majątek w Huntingdonshire.

- Aha. - Pożółkła głowa zakołysała się.

- Chodzi o rezydencję o nazwie Wembish Park. Mam wrażenie, że niedawno ją sprzedano. - Zabrałem z biurka skrawek papieru. - Pan Spicer podał mi oznakowanie półki. Mogę przeczytać?

Rzekomy szyfr był prostszy, niż się zdawało. Pergaminu należy szukać na półce numer CXXXIII, w zachodnim skrzydle krypty. Stąd „Z” w zapisie, wyjaśniał Appleyard. Numer DCCLXXVIII dotyczy zwoju, na który nawinięto tytuły własności z bieżącego roku. Sam zaś dokument powinien być pięćdziesiątym ósmym pergaminem, co oznacza, że się znajduje mniej więcej w połowie zwoju, „jeśli dobrze pamiętam”. Appleyard mówił i zarazem wymacał przed sobą drogę w korytarzu, przeliczał mijane półki, poruszał się zaś tak żywo i zwinnie, że z trudem dotrzymywałem mu kroku. W jednej ręce trzymałem kosturek, w drugiej latarnię, której Appleyard radził nie upuszczać, jeżeli nie chcę, żeby jej płomień ogarnął czterysta lat historii w ujęciu urzędowym.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył wreszcie, przemierzwszy jak kret ciąg rozgałęziających się i coraz węższych przejść. - Numer jeden-trzy-trzy. Zgadza się?

Uniosłem wyżej latarnię. W jej świetle pojawił się napis na pożółkłym i zwiniętym kawałku papieru przytwierdzonym do końca półki: CXXXIII.

- Zgadza się - odrzekłem.

- Zatem reszta należy do pana, panie Inchbold. Sądzę, że jest pan biegły w łacinie...

- Oczywiście.

- I w urzędowych charakterach pisma? Kanclerskim? Sądowym?

- Na ogół tak.

- Nic dziwnego. Pański ojciec... - Zmagał się ze zwojem, który

pomagałem zdjąć z półki. Obwiązany czerwoną wstęgą pęk dokumentów był nieporęczny, nadspodziewanie ciężki. - Przeczytać musi pan tutaj. Przykro mi, że nie ma lepszego miejsca. Lecz ten korytarz wraz z następnym powinny starczyć.

- Korytarz wraz z następnym?

- No bo, rzecz jasna, musi pan rozwinąć zwój. Niech pan uważa na latarnię. O nic więcej nie proszę.

Po wygłoszeniu tego poczłapał w głąb korytarza; mamrotał coś pod nosem, zostawiwszy mnie z dziwną zdobyczą w ramionach. Przykucnąłem, zmuszony słuchać trzaskania w stawach. Kiedy rozwiązywałem wstęgę - powoli, jakbym rozpakowywał cenny dar - słyszałem stłumiony huk, odgłosy toczenia się czegoś nad głową. Zatem krypta sięgała Chancery Lane. Czy dzięki temu stary urzędnik odnajduje drogę w korytarzach? Bo słyszy? Czy też obdarzony jest, jak Tereczasz, zdolnościami nadprzyrodzonymi?

Rozwiązałem wstęgę i wsunąłem do kieszeni, żeby się nie zapodziała. Potem obciążylem koniec zwoju kosturkiem opartym o ścianę i ostrożnie zacząłem rozwijać ogromną szpulę. Po minucie dotarłem na czworakach do wylotu korytarza; czułem się jak Tezeusz czołgający się przez labirynt, rozwijający złotą nić Ariadny. Tak trafiłem do następnego korytarza, który po paru krokach ostro skręcał pod kątem 120 stopni. Potem znowu ostro zakręcał w przeciwnym kierunku. Z obu stron napierały na mnie półki. Zwój stawał się coraz cieńszy, rozwinięty płat coraz dłuższy. Co odkryję na końcu? Minotaura? A może wyjście z labiryntu, wprost na światło dzienne? Czołgałem się teraz w dół, korytarz nieco opadał. 66... 65... 64... 63...

Wreszcie dotarłem do dokumentu: w połowie zwoju i korytarza. Wstrzymałem oddech, chociaż ów pięćdziesiąty ósmy tytuł własności na zwoju sądu kanclerskiego numer DCCLXXVIII na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od reszty dokumentów: to kawałek pergaminu długości może osiemnastu cali, z pieczęcią przywieszoną u dołu, gdzie dokument został rozcięty, a

następnie przyszyty do krawędzi poprzedniego. I cóż? Czego się mogłem spodziewać? Że co zobaczę? Postawiłem na posadzce latarnię i usiadłem po turecku z pergaminem rozciągniętym na kolanach.

Byłem przekonany, że po rozwinięciu dokumentu i dotarciu do aktu własności poznam w kilka sekund nazwisko sprawcy. Tymczasem studiowałem akt z góry na dół, potem z dołu do góry i trzeba było co najmniej minuty, zanim uświadomiłem sobie w końcu znaczenie tego pergaminu. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, były podpisy u dołu, oba nieczytelne. Podobnie podpisy świadków, zapewne urzędników. Obróciłem dokument na drugą stronę i wstrzymałem oddech. Wciąż czekałem na rozwiązanie zagadki, chociaż od razu zauważyłem u góry poszarpaną linię. Pociągnąłem wskazującym palcem po strzępach - pergamin był niewątpliwie przecięty na dwoje, był umową - i naraz ożyło wspomnienie, by potem nagle się ulotnić. Już widziałem podobny dokument, już widziałem podobną umowę. Lecz w tym ułamku sekundy nie zdołałem przypomnieć sobie, gdzie i kiedy.

*Scient presentes et futuri quod ego Isabella Monboddo...*

Pierwsza linia, pisana czarnym tuszem, biegła krzywo w dół. Wyszła spod ręki kopisty, którego umiejętnościom - mimo eleganckich zaokrągleń i ostrych jak sztylet pociągnięć właściwych kaligrafii kanclerskiej - daleko było do kunsztu mego ojca. Sama kaligrafia tak mnie zahipnotyzowała, że dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co czytam.

*Scient presentes et futuri quod ego Isabella Monboddo quondam uxor Henry Monboddo in mea viduitate dedi concessi et hac praesenti carta mea confirmavi Alethea Greatorex...*

Lecz potem, kiedy ze stronicy przemówiły już słowa, zrozumiałem ich sens. Mimo to wciąż nie mogłem uwierzyć. Chociaż miałem pergamin przed oczami. W ciasnym ciemnym korytarzu mrużyłem oczy, trzymając dokument tak blisko światła, że brzeg zwoju dotykał obudowy latarni. Przedzierałem się wzrokiem przez gąszcz znaków, przerzucałem wzrok na początek pergaminu i

czytałem uważnie na nowo.

*Niechaj żywi i potomni wiedzą, że ja, Isabella Monboddo, niegdyś żona Henry'ego Monbodda, żyjąca obecnie we wdowieństwie, darowuję - co niniejszym dokumentem potwierdzam - Alethei Greatorex, pani Marchamont na Pontifex Hall w Dorsetshire, wdowie po Henrym Greatoreksie, baronie Marchamont, wszelkie grunta, zabudowania, łąki i pastwiska, wraz z przylegającymi żywopłotami, brzegami i rowami, ze wszystkimi przynoszonymi przez nie zyskami i przynależnymi prawami oraz obowiązkami, które posiadam w Wembish Park, w Huntingdonshire...*

Nie mogłem czytać dalej. Dokument wypadł mi z rąk; osunąłem się i uderzyłem o półkę, zdrętwiały i wstrząśnięty, wciąż niezdolny uwierzyć w to, co przeczytałem. Widocznie trąciłem zwój nogą, bo na koniec zapamiętałem tylko widok szpuli, która potoczyła się kilka stóp po pochyłym korytarzu, a potem, nabierając rozpędu, zaczęła się rozwijać na całą długość, odsłaniając dokumenty jeden za drugim, aż wchłonęła je ciemność następnego korytarza.

## V

Billingsgate dzieliła od York House niespełna mila w górę rzeki; nadbrzeżne, wdzierające się w nurt magazyny i manufaktury ustępowały tu miejsca rezydencjom ściśniętym tak, że tworzyły nad Tamizą istną palisadę. Przesuwały się jedna za drugą: wieńczone łukami bramy wychodziły na nadrzeczne ogrody i zakotwiczone niżej łodzie. York House wznosił się na zachodnim skraju tego szeregu, w pobliżu Nowej Giełdy, gdzie rzeka skręca na południe ku obdrapanej gmatwaninie pałacu Whitehall. Pod kamiennymi stopniami wiodącymi do nadwodnej bramy i przystani kłębiły się i pieniały wiry; do kamiennych ścian po obu stronach przywarły podczas przyływów mięczaki. Drewniane smołowane pachołki obok stopni służyły do cumowania łodzi wielowiosłowej, w której lakierowanym kadłubie odbijał się zniekształcony jak w krzywym zwierciadle nadrzeczny krajobraz skąpany w rannym słońcu. Za bramą rozciągał się ogród: wierzby płaczące, nisko przycięte osiki, zaniedbane

granaty rzucały patykowate cienie na koronkowy ogród ziołowy i klomb pełen zeschniętych badyli po kwiatach. Wokół starannie przyciętego żywopłotu uwijały się wróble, dziobiąc ziarna i zostawiając na szronie hieroglify, których niskie słońce nie zdołało jeszcze stopić.

Emilia wspięła się na szczyt schodów, a tam zaskoczył ją widok rezydencji, jednej z największych nad rzeką, do niedawna siedziby lorda kanclerza - aż tak zrujnowanej. Puste oczodoły okien i szczerbata balustrada spoglądały na sterty kamiennych bloków porzrzucanych przed zachodnim skrzydłem. Kosze cegieł i dachówek stały pod ścianą wschodniego skrzydła; drewniane rusztowanie zasłaniało do połowy mur o kruszącej się powierzchni. Z desek zwisały liny kołyszące się na wietrze jak stryczki. Z wnętrza dobiegał stukot młotków.

Była ósma rano. Na Charing Cross rozbrzmiewał róg wyruszającego w drogę pocztowego dyliżansu lorda Stanhope. Emilia z Vilemem szli właśnie przez ogród ku wejściu dla dostawców. Emilię bolały zębra i lewe kolano, to był skutek przygody sprzed godziny: Vilem w ostatniej chwili złapał Emilię za ramię, przewlókł przez burtę sunącego z prądem rybackiego kutra i wciągnął na pokład. Kiedy kuter przybił do Billingsgate, oboje wyszli na ląd; kulejąc, ociekając wodą przeszli przez targ rybny, potem na drugą stronę rzeki przez London Bridge. Czekały jakieś łodzie. Najwyraźniej ludzie kardynała zawieruszyli się w gęstwinie masztów i żagli.

Drogę do York House przemierzali powoli, odwrócił się bowiem bieg rzeki; kiedy odbijali ze stopni przed tawerną pod Starym Łabędziem, nadszedł już odpływ. Wprawdzie Vilem wybrał dwóch najbardziej krzepkich osobników i najkształtniejszą jednostkę, mimo to podróż pod prąd zajęła niemal godzinę. Gorzej, bo przewoźnikom szło jak po grudzie odnalezienie domu. Essex Stairs... Strand Bridge... Somerset Stairs... z łodzi wszystkie wyglądały tak samo. Emilia jedną ręką mocno trzymała się mokrego kaftana Vilema. On sam nie zważał na nią, przysiadł na dziobie z uniesioną głową, jakby coś wietrzył. W pewnym



momencie wskazał rezydencję w połowie szeregu.

- A oto Arundel House.

Emilia zobaczyła pałac przesuwający się po prawej: przed nim ogród w zimowej szacie wypełniony nie ludźmi, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, lecz dziesiątkami posągów. Pod drzewami stała gromada postaci w długich szatach, wyprostowanych, znieruchomiałych, o ramionach zamartwych w pół gestu i niewidzących marmurowych oczach patrzących ponad rzeką na Lambeth Marsh. Inne mocowały się ze sobą, jeszcze inne - o potrzaskanych ramionach i torsach - w heroicznym pozach leżały na trawie na wznak, wpatrzone w chmury na niebie, jak ciała na polu bitwy. Pod skrzydłem budynku Emilia mogła zobaczyć więcej ułomków, przemieszaną bez ładu i składu stertę, która z daleka wyglądała jak szczątki urn i frontonów, których kawałki zbieleły na kość w promieniach słońca zagasłych dawno temu. W górze na zworniku łuku widniał napis ARUNDELIUS.

Nazwa brzmiała znajomo. Emilia wyciągała szyję, a ogród powoli oddalał się, górował nad rozchodzącym się na boki śladem łodzi na wodzie; dziewczyna próbowała sobie przypomnieć, co Vilem opowiadał przed paroma godzinami o Arundelu i Howardach, o ich rywalizacji z Buckinghamem.

- To z Konstantynopola - Vilem niemal szeptał. - Najświetniejszy zbiór w całej Anglii, a może i na świecie. Arundel ma agenta przy Wysokiej Porcie, ten zaś przysyła je do Londynu całymi skrzyniami. Przekupuje imamów. Przekonuje, że posągi służą bałwochwalstwu, więc należy je usuwać z pałaców i łuków tryumfalnych. Reszta posągów pochodzi z Rzymu, gdzie Arundel ma stosunki wśród papieskich dostojników.

- I dobre stosunki z kardynałem Baroniusem? Vilem ponuro przytaknął.

- Arundel i jego agenci pracowali dla Baroniusa, zastawiali się, próbowali przechwycić, co mogli, z Sal Hiszpańskich i z Biblioteki Palatynackiej. Z Rzymu dochodziły pogłoski, że dobito targu. Arundel odda rękopisy hermetyczne, a w zamian papież zgodzi się na wywóz pewnej liczby

posągów, do których hrabiemu śmieją się oczy. Zgodzi się też na wywóz egipskiego obelisku, który stoi teraz na miejscu dawnego Cyrku Maksencjusza. I na wywóz paru ozdób z Palazzo Pighini. Podejrzewam, że Arundel pragnie to wszystko postawić w swoim ogrodzie. Widok byłby co się zowie. Rzymskie zabytki w sercu Londynu.

Teraz Emilia Śpiesznie odgarniała zwisające gałęzie wierzbowe, nurkowała między osikami, żeby dogonić i uczeplić się Vilema, który przekradł się wokół ozdobnego ogrodu ziołowego York House i wyprzedzał ją o trzy stopnie, cały czas oburącz trzymając szkatułę. Pod rusztowaniem, obok kosza cegieł widniało boczne ocienione wejście. Kiedy Vilem niepewnie zastukał w drzwi, rozległa się natychmiast kakofonia skowytów i warczenia. Cofnęli się oboje. Vilem zmagał się ze szkatułą. Po drugiej stronie drzwi wściekle szorowały pazury.

- Spokój, cicho, Achilles! Nie rusz!

Stłumiony głos za drzwiami niewiele pomógł, bestie ani myślały ucichnąć. Po paru sekundach rozległo się chrobotanie judasza. Emilia dostrzegła mrugnięcie jakiegoś władczego oka.

- Kto tam?

Vilem nie odpowiedział tylko uniósł szkatułę na wysokość judasza; widocznie uznał, że lepiej tak się przedstawić. Rozległo się jeszcze głośniejsze skowytanie, potem chrobot sztab przesuwanych w drewnianych wyżłobieniach. Drzwi zaskrzypiały, otwarły się, a zza nich wychynęły cztery wrzaskliwe i zaślinione mordy. Sfora gończych. Emilia cofnęła się i potknęła, obcasy poślizgnęły się na zamarzniętej ziemi.

- Achilles! Anton! Nie rusz!

Psy wypadły na dwór, przesadzały się nawzajem jak trupa akrobatów. Emilia cofnęła się dalej, potknęła się o kosz, a potem podciął jej nogi jeden z szalejących psów. Psi ogon trafił ją we wgłębienie pod kolanem i Emilia z krzykiem przewróciła się na trawę. Po sekundzie poczuła na gardle i rękach

gorące oddechy sfory, a potem nosy i języki tych psów o giętkich grzbietach.

- Sól - spokojnie wyjaśnił głos dobiegający gdzieś z góry. - Przepadają za smakiem soli. Najwyraźniej, moja droga, spociłaś się. - Rozległo się głośnie klaśnięcie. Przez gmatwaninę uszu i ogonów Emilia dostrzegła jakąś postać w liberii, człowiek drapał pod brodą jedno z rozdokazywanych zwierząt. - Do nogi, łobuzy! Do nogi! August! Achilles! Anton! Dobre chłopaki!

- Przyszliśmy w ważnej sprawie - powiedział Vilem; stał przestraszony przy drzwiach z wciąż uniesioną szkatułą, tymczasem pozostałe dwa psy, smukłe i nakrapiane, wspięły się na tylne łapy i drapały go po brzuchu i piersi, jak dzieciaki obmacujące kieszenie w poszukiwaniu słodczy. - Mamy rozmawiać z panem Monboddem!

- W takim razie proszę do środka - odrzekł lokaj, chichocząc. - Tylko bądźcie tacy dobrzy i uważajcie na dywany, zgoda? Otóż to. Bo hrabia ma słabość do dywanów. Orient, jak widzicie. Ten jest przepiękny. Ręcznie tkany. Z samej Turcji. - Wprowadził psy do środka. - Prezent od wielkiego wezyra.

Pod ścianami korytarza stały rzędem popiersia i marmurowe posągi podobne do tych w ogrodzie Arundel House; z ukruszonymi starożytnymi nosami czy wargami przypominały synlityków. Niektóre wciąż tkwiły w drewnianych skrzyniach wypchanych słomą, niczym poeci i cesarze w trumnach. Może łupy z Arundel House, pomyślała Emilia. Dalej chyliły się nad nimi ze ścian portrety w ciężkich ramach zawieszzone na hakach; inne wciąż zapakowane w papier i owinięte szpagatem stały na sztorc na podłodze.

Przechodząca Emilia ledwie je zauważyła. Oblegała ją coraz większa psia sfora, która mogła z bliska przyprawić o głuchotę. Ogony w podnieceniu tłukły o ściany i płótna. Ślina kapiąca z różowych jęzorów tworzyła lśniące klejnoty na dywanie wezyra, a dywan zdawał się nie mieć końca.

- Dobre chłopaki - przekrzykiwał wrzawę lokaj w tunice koloru kaczej zieleni. - Dzielne chłopaki! Zuchy!

Prowadził ich przez ciąg pokoi, wyglądających coraz gorzej. Można było

sądzić, że wewnątrz domu, podobnie jak mury, jest albo w stanie rozpadu, albo rekonstrukcji, przy czym trudno było ocenić, jak jest naprawdę. Weszli za lokajem po schodach, przemierzili jeden bieg, potem korytarz, by wreszcie znaleźć się w komnacie, która omal pękała od nadmiaru popiersi, ułamków urn, skrzyń i portretów opartych o na wpół wykończoną dębową boazerię.

- Zechcecie tu zaczekać.

Sługa zniknął wraz z psami, krążącymi wokół niego po szaleńczych orbitach z chrobotaniem pazurów przypominającym odgłos kości na stole gry. Przy otwartym oknie było przeraźliwie zimno. Emilia poczuła skurcz w sercu. Obróciła się, by sięgnąć po rękę Vilema, ale ten przeszedł już na drugą stronę komnaty i przykucnął przy na wpół wykończonych półkach. Były zastawione książkami, a w kącie po przeciwnej stronie okna książki leżały też w trzech skrzyniach wyścielanych słomą. Vilem zdejmował właśnie tom z półki, kiedy zaskrzypiała wypaczona podłoga. Emilia zobaczyła białą kryzę, czarny kaftan i błysk złotego kolczyka.

- To z Węgier - zahuczało. - Bibliotheca Corvina. - Głos brzmiał głęboko i pięknie, jak mówcy lub polityka, ale posiadacz głosu, tyle udało się Emilii dostrzec w półmroku, był niewysoki i przysadzisty. - Chociaż powinienem powiedzieć, że z Konstantynopola, dokąd te książki wywiózł wezyr Ibrahim, po tym jak Turcy w 1541 najechali Budę i splądrowali Corvinę.

Vilem z wrażenia o mało nie upuścił tomu na podłogę. Teraz niechętnie się podnosił. Z dołu niósł się po schodach skowyt psa, potem dobiegło trzaśnięcie drzwi.

- Na wewnętrznej stronie okładki można zobaczyć ekslibris Korwina<sup>1</sup> - kontynuował czarnowłosy przybysz swym basso profundo. - Zakup wynegocjował twój przyjaciel, sir Ambrose. Mam wrażenie, że odkrył książkę wśród inkunabułów w pałacu sułtańskim. - Obrócił się, żeby zlustrować komnatę; spojrzenie prześlizgnęło się po Emilii, a potem z dużo większą uwagą spoczęło na inkrustowanej szkatule stojącej teraz pośrodku podłogi. - Sir

Ambrose nie przybył z wami?

Vilem, wciąż z książką w ręce, pokręcił głową.

- Nie. Mieliśmy trochę trudności. Sir Ambrose...

- Hrabiego też nie ma, co mówię z żalem. Pilne sprawy w Marynarce. Szkoda, *Herr* Jirasek. Na pewno Steenie chciałby cię osobiście oprowadzić po bibliotece. Niemniej, może go zdołam zastąpić? Do usług. - Wypaczona podłoga znowu gniewnie zatrzeszczała, kiedy podszedł i złożył wytworny ukłon. - Nazywam się Monboddo. Henry Monboddo.

Monboddo wyprostował się i po zwichrowanej podłodze podszedł do światła padającego z okna; jak aktor wkraczający na środek sceny, pomyślała Emilia. Dopiero wówczas kryza, kaftan i kolczyk przeistoczyły się w pełną postać. Monbodda, niewiele wyższego od Vilema, wyróżniała aura władczości, którą uwydatniał nie tylko głos - jak ciężki kamień młyński kruszący bele aksamitu - lecz także orli nos, starannie przycięta broda i bujne czarne włosy, gęste i lśniące jak drogocenna sierść jakiegoś ziemno-wodnego zwierzęcia. Emilia zauważyła też, że w ciemnych oczach zapala się jakiś nonszalancki ognek, jakby w którymś kącie komnaty Monboddo dostrzegał - może nawet przez ramię Vilema - coś dziwnego, lecz inspirującego, przedmiot lub sytuację, które tylko on zdoła docenić.

- W imieniu hrabiego muszę przeprosić - ciągnął Monboddo - za stan tego domu. Trzeba tu koniecznie wprowadzić ulepszenia, żeby w należyty sposób zaprezentować zbiór rzeźb, obrazów i, rzecz jasna, książek,

- To zbiór... wręcz znakomity - wyjąkał Vilem.

- No cóż... *mein Herr*, czyżbym ważył się twierdzić, że pan tu przybył na jarmark? - Zachichotał cicho i lekko zatupał nogarni w lśniących butach. Po chwili jednak spoważniał. - To nie to samo, obawiam się, co zbiory Arundela. Lecz oczywiście wszystko zostanie rozmieszczone znacznie lepiej, kiedy tylko - szerokim gestem wskazał rachityczną zabudowę - zostaną ukończone półki i gabloty. Widzisz, będzie na to przeznaczony cały budynek, nawet najmniejsza

szafa czy izba. Steenie odkupił dzierżawę od sir Francisa Bacona. A teraz negocjuje kupno innej nieruchomości, Wallingford House, także w pobliżu Whitehall. Wicehrabia Wallingford sprzedaje budynek po bardzo przystępnej cenie. - Znowu rozległ się śmiech, gęsty i lepki jak melasa. - Widzisz, dobito targu. Wallingford sprzeda go za jedyne trzy tysiące funtów, w zamian za życie swojej kuzynki, lady Frances Howard.

Wydało się w tym momencie, że nonszalanckim spojrzeniem Monboddó wypatrzył w ponurym zakamarku pomieszczenia jakąś scenę jeszcze śmieszniejszą niż dotychczas, przez co bardziej pociągającą. Grymas drwiny na szerokich rysach sprawia, pomyślała Emilia, że Monboddó przypomina uczniaka napawającego się wspaniałym psikusem. Wytrącona z równowagi szybko spojrzała gdzie indziej: przez okno zobaczyła, że lakierowana łódź Buckinghamia odbija od nabrzeża i wpływa na środek nurtu, kierując się dziobem w dół rzeki. W łodzi siedziały dwie postaci w zielonych liberjach.

- Może słyszałeś o lady Frances? Nie? To kuzynka hrabiego Arundela - wyjaśnił. Jakby chcąc stłumić kolejny dźwięczny chichot, klasnął w dłonie nad brzuchem odzianym w aksamit, zdobnym w łańcuszek zegarka. - Teraz siedzi w Tower, zupełnie opuszczona, tylko czeka, aż kat zapuka do drzwi. Może do Pragi dotarły jakieś wieści o tym strasznym skandalu? O otruciu biednego starego sir Thomasa Overbury'ego? O niełasce, która dotknęła Somerseta? Nie, nie, nie - pomachał ręką ozdobioną kryzowym mankietem; wydawał się teraz poważniejszy - jasne, że nie. Dlaczego miały dotrzeć? Wy, Czesi, mieliście na głowie ważniejsze sprawy niż nasze błahe londyńskie sprzeczki. Ale chodźcie... - Wykonał zamaszysty, teatralny gest. - Czy mogę mieć ten zaszczyt i pokazać wam trochę skarbów Steeniego?

Przez następne trzydzieści minut Monboddó dumnym krokiem przemierzał pomieszczenie za pomieszczeniem. Towarzysząca mu para słuchała donośnego basu w pogłosie kruszących się rynków i wypaczonej boazerii. Skarby robiły nie lada wrażenie, nawet jeśli wrażenia nie robił York House.

Monboddó rozpakowywał sztukę po sztuce, potem unosił do światła, a smagła twarz promieniała dumą. Zdawało się, że gruntownie zna historię każdego dzieła, także sekretną, czy pochodziło z biblioteki w Neapolu, będąc zdobyczą z włoskiej kampanii Karola VIII z 1495 roku, czy z rzymskiego kościoła, zagrabione następnie w 1527 przez Frundsberga, kiedy landsknechci wdarli się do papieskiego oratorium Sancta Sanctorum i splądrowali grób samego Św. Piotra; czy za pojawieniem się dzieła stało inne wydarzenie z obszernego repertuaru bitew, grabieży i najrozmaitszych potworności. Monboddó ze szczerym upodobaniem odwoływał się do tych historii osnutych wokół rozlewu krwi, kradzieży, zdrad i zniszczeń. Emilii - która szła z tyłu, spoglądając na wyjęte z ram płótna i ściągnięte z cokołów marmurowe rzeźby - wydawało się, że w cennych dziełach zgromadzonych przez Buckinghama mieszają się piękno i groza; że za każdym błyskiem pozłoty, za każdym szlachetnym kamieniem kryją się przemoc i cierpienie. Wyprowadzał ją z równowagi widok rąk Monboddó gładzących wszystkie te wspaniałości: grubych kłykci porośniętych kępką czarnych włosów. Nie wyglądały na ręce konesera i kolekcjonera - obyte z gładzeniem waz i dotykaniem skrzypiec - raczej na łapska rozpustnika i dusiciela.

Przetaczała się nad nią oracja o potwornościach. Kartagina. Konstantynopol. Wenecja. Florencja. Miasta piękna i śmierci. Heidelberg. Praga. Odwróciła się do okna; między listwami na szkło widniała płowa powierzchnia rzeki z paroma kołyszącymi się żaglami. Zniknęła natomiast łódź z obsadą, zmierzająca w dół rzeki.

- ...A teraz odbył podróż z Czech do Londynu - straszna litania recytowana stentorowym głosem dobiegła końca - taką jak wy. - Monboddó wkładał z powrotem kielich do skrzyni wyłożonej słomą, a jego pełne wargi nad czarną jak smoła brodą wygięły się w uśmiechu pełnym samozadowolenia. - To dar dla Steeniego od króla Fryderyka, wyraz uznania za wsparcie sprawy czeskich protestantów. Dotarł zaledwie przed paroma miesiącami, tuż przed

kolejną bitwą. Ale akurat wam nie muszę chyba opowiadać o tych zamieszkach, prawda?

Nie spuszczał z Vilema spojrzenia lśniących czarnych oczu, ten zaś nieśpiesznie pokręcił głową. Twarz Monbodda nagle przybrała wyraz uroczysty i oficjalny.

- A skoro już o tym mowa... - Monboddo patrzył na szkatułę, którą Vilem ścisnął w ramionach. - Wydaje mi się, *Herr* Jirasek, że mamy coś do załatwienia. Sprawę jakichś kolejnych zbłąkanych skarbów? Lecz może omówimy szczegóły przy śniadaniu? Wyglądacie, moi drodzy, na zmordowanych!

Wniesiono krzesła, a potem zastawiony stół. Podano pieczone podroby wieprzowe, danie chłopskie, za co Monboddo przeproszał; z mrugnięciem wyjaśnił, jak bardzo Steenie gustuje w tego rodzaju podłej strawie, a to dlatego, że jego matka była niegdyś służącą. Vilem ani Emilia nie byli w stanie przełknąć więcej niż parę kęsów, natomiast Monboddo niezrażony popolitością potrawy jadł z takim apetytem, że zamilkł na dłużej, pozwalając Vilemowi opowiedzieć całą historię podróży. Cierpliwie, niczego nie tając, Vilem opowiedział o wraku *Bellerophona*, o *Gwieździe Lubeki* i odzianych w liberie prześladowcach, o rabusiach na plaży, o planach sir Ambrose'a, by wynająć ratowników z dzwonami do nurkowania i podnieść z dna skrzynie, oraz o planach wynajęcia statku, by przewieźć uratowane rzeczy.

Vilem skończył, lecz nie dlatego, że doszedł do końcowego wniosku. Oszołomiony i zaniepokojony zamilkł nagle, a dom pogrążył się w ciszy. Tylko chłodna, wyzbyta zapachu bryza niosła przez okno bicie odległego kościelnego dzwonu. Gobelinowe zasłony poruszyły się leniwie; Emilią zaś usłyszała plusk wioseł, a potem zobaczyła łódź z ozdobnym fryzem na burcie powoli wpływającą do przystani. Ostrożnie przeniosła wzrok na Monbodda.

Rozpierał się na wyściełanym krześle i kiwał w powietrzu nogą w czarnym bucie. Zdawało się, że znowu uśmieszek igra mu na twarzy, że



Monboddoo powstrzymuje się od głośnego rechotania, jakby Vilem opowiadał historię zawiłą, lecz zabawną, jakąś pieprzną anegdotę, której puentę Monboddoo już zna. Czknął niegłośno i wytarł brodę grzbietem dłoni. Spojrzenie czarnych oczu skierowane na czubek buta utkwiał teraz w Vilemie. Rozległ się plusk wiosła, a niespokojny but znieruchomiał.

- No tak, no tak - filozoficznie powiedział Monboddoo i westchnął z głębi przepastnej piersi. - To cios dla sprawy, to jasne. Prawdziwa tragedia. Uciec przed armiami Ferdynanda po to, żeby się rozbić u brzegów Anglii! Mój Boże, Steenie będzie wstrząśnięty, możecie wierzyć. Podobnie księżę Walii. Będzie porażony. A z tego, co Steenie mówi o swej intryżce, wynikałoby, że Burlamaqui już się zjawił z pieniędzmi. Bóg jeden wie, skąd te pieniądze i jakich fantastycznych baśni Burlamaqui naopowiadał włoskim bankierom. Ale nie wszystko przepadło, zgadza się? W żadnym wypadku. Powiadasz, że dzwony dla nurków? Łódź podwodna? - Widocznie Monboddoo uznał tę myśl za całkiem zabawną. - Cóż, sir Ambrose jest co najmniej zaradny. A pergamin... no właśnie... czy ocalał chociaż pergamin?

Spojrzenie Monboddoo skierowało się ku szkatule, która jakby przyczaiła się między stopami Vilema, siedzącego sztywno i prosto na skraju krzesła.

- Właśnie - odrzekł po chwili Vilem - pergamin. Dopilnowaliśmy pergaminu.

- Właśnie, pergamin - powtórzył Monboddoo. - Szczęście, że chociaż tyle.

Westchnął marzycielsko i zamilkł. Monboddoo wpatrywał się w nową sztukaterię na suficie, we wzór złożony z zawijasów i płatków spowijających herb Buckingham. Za głową Monboddoo Emilia widziała przez okno dwie postaci w zielonych liberiach, które przyciągały lśniąca łódź do najniższego stopnia przystani. Bo teraz na pokładzie byli także inni ludzie, również w liberiach. Uderzywszy w pachołek, łódź głucho zadudniła. Potem gobelin znów się poruszył, zasłaniając widok.

- Ciekawe, czy masz klucz? - bas wypowiedział to od niechcienia.

Vilem jakby się wzdrygnął. Uniósł głowę, jak gdyby wyczuł ledwie uchwytną woń, niczym jeleń, który na leśnej polanie usłyszał cichy trzask gałązki.

- Klucz, proszę pana?

- Tak. Do tej skrzynki. Czyżby sir Ambrose ci go nie powierzył? Szkoda - rzucił znów jakby mimochodem, a Vilem z szeroko rozwartymi oczami nerwowo i energicznie pokręcił głową. - Wielka szkoda. To by nam znacznie oszczędziło trudu.

A potem leniwym ruchem wygiął się na obitym jedwabiem oparciu, aż zatrzeszczało krzesło. Monboddo zacisnął włochatą łapę na narzędziu wspartym o okienny parapet. Był to żelazny łom.

- I jak myślicie, moi drodzy? - Zamachał łomem w powietrzu. - Ośmielimy się to otworzyć?

- Nie - wyjąkał Vilem. - Musimy poczekać na...

Lecz Monboddo już się schylił i grubymi łapskami pochwycił szkatułę. Roztrzęsiony Vilem chwiejnie podniósł się z krzesła. A potem z zewnątrz, z dołu dobiegł chrzęst kroków w zamarzniętym ogrodzie.

Dobranie się do szkatuły zajęło parę minut. Mocna, zrobiona z mahoniu znad Orinoko, sama też była swego rodzaju skarbem. Wśród licznych rudolfińskich szkatuł zebranych w Salach Hiszpańskich zaliczała się do najcenniejszych, inkrustowana klejnotami - brylantami z Arabii, afgańskimi lazurytami, egipskimi szmaragdami - i dwudziestoczerokaratowym złotem z kopalń w meksykańskich górach, transportowanym przez ocean pod pokładami hiszpańskiej floty skarbów. Mimo to znamienity koneser Monboddo wykazał niewiele szacunku wobec piękności i wartości szkatuły. Vilem nie zdążył zaprotestować, a Monboddo uderzył gwałtownie łomem raz, drugi i trzeci, mierząc w wieko i zawiasy.

- Niech pan przestanie. - Vilem pochwycił tęgie ramię odchylone przed zadaniem kolejnego ciosu. - Niech pan da spokój, zanim... - Lecz zaraz potem

leżał rozciągnięty na podłodze, bo ów większy mężczyzna obrócił się i solidnie poczęstował go pięścią.

- Kto ma ochotę na krwawą kiszkę - warknął Monboddó znad kryzy i znowu huknął w wieko - ten musi zarznąć wieprza.

Przykucnął na piętach koło szkatuły, stękając, z czerwoną twarzą, jakby siedział na stolcu. Na czole w głębokich zmarszczkach perlił się pot. Monboddó podłożył łom pod klamrę, pod żelazne ucho, pod kłódkę, próbując je wyłamać.

- Cholera!

Łom wysunął się, zamek zadźwiewał. Wieko pisnęło, jakby w proteście, a Monboddó wyprostował się, zamachnął z furią i zadał jeszcze jeden cios. Rozległ się tępy brzęk. Błękitne i lśniące jak wałki okruchy strzaskanego klejnotu rozsypały się po podłodze i potoczyły w kąt. Vilem, który już podniósł się z podłogi, wymamrotał kolejny protest. Tymczasem Emilia cofnęła się o krok. Usłyszała stukanie do drzwi na dole i nagłe poruszenie psów.

- Achilles! Anton! Nie rusz, nie rusz, nie rusz! Monboddó klęczał teraz na skrzyni, sapał i kłął; płaski dziób łomu wepchnął pod klamrę i całym ciężarem ciała napierał na drugi koniec, pchając go w dół obiema rękami. Głowa trzęsła mu się z wysiłku. Złoty zawias klamry jeszcze raz pisnął, metal wygiął się, a jeden z nitów wyskoczył.

- Nareszcie jesteśmy w domu, moi drodzy!

Skomląc i tupiąc, gończe pędziły po schodach. Emilia miała wrażenie, że jazgot psów zagłusza co innego, odgłos ostróg i butów, to ludzie wstępowali na pierwsze stopnie. Spojrzała na Vilema, ten jednak wlepił wzrok w szkatułę. Odskoczył drugi nit. Monboddó hałaśliwie wywlekał łom z pociętej klamry; opuścił głowę jak atakujący byk, dyszał ciężko, z każdą próbą coraz bardziej purpurowy. W szkatule coś zagrzechotało, jakby przesunęła się jej zawartość.

- August! Aime! Nie rusz!

Do pomieszczenia wpadł pierwszy pies, za nim trójka kompanów, z których jeden skoczył na zardzewiałą zbroję na drewnianym stojaku. Puklerz i

hełm z przyłbicą zadźwięczały, a potem puklerz poszorował po podłodze, hełm zaś potoczył się ku Monboddowi. Koneser nawet nie mrugnął. Do pomieszczenia wdarły się jeszcze cztery psy i rzuciły na resztki jedzenia na stole.

- Na Boga...!

Klamra z głośnym skrzypnięciem wyłamała się z zawiasów. Monboddo jeszcze raz zapiał tryumfalnie. Oparł na piętach gruby zad, wciąż tkwił schylony nad skrzynią, do której ściekał pot z nosa; twarz klęczącego obok Vilema była zadziwiająco blada. Emilia przymrużyła oczy w półmroku. Zastygła w tym oku cyklonu: jazgocie skaczących psów, szczekaniu talerzy i zbroi, tupocie butów. Szkatuła znowu zaskrzypiała, kiedy Monboddo naparł na nią włochatymi łapami rabusia. I oto powoli otworzyło się wieko.

- Achilles!

Wewnątrz znajdowała się następna szkatuła, kubek w kubek podobna do pierwszej, począwszy od polerowanego mahoni i złotych zawiasów, skończywszy na drogich kamieniach. Monboddo uniósł ją do światła i ściągawszy brwi, uważnie obejrzał zdobione boki. Odrzucił węszącego psa. Vilem z wyciągniętą szyją wciąż stał obok Monbodda i też wyglądał na zdumionego. Monboddo podniósł wieko, by w drugiej szkatule znaleźć trzecią, jeszcze mniejszą, następnie jeszcze mniejszą czwartą; był to ciąg drewnianych skorup, które Monboddo odrzucał, jedną po drugiej.

- Co jest? Co jest? - Sięgnął po piąte pudełko niewiele większe od tabakier. Obrócił byczy łeb i prześwidrował wzrokiem Vilema, który zbladł jeszcze bardziej. - Co to ma znaczyć? To dowcip? Co wyście zrobili? - Z całej siły rzucił szkatułką o ścianę; ta roztrzaskała się, odsłaniając kolejną, szóstą. - Kpisz sobie ze mnie? Rękopis! Gdzie, do cholery, jest pergamin!

Przestały podzwaniać ostrogi, ucichły teraz nawet psy. Monboddo podniósł się z trudem, miażdżąc butami potłuczone szkło. Emilia wpatrzona w potraskane skrzynki poczuła, że stojący obok Vilem wzdrygnął się.

- Szlachetni panowie - Monboddó zwrócił się ku drzwiom. - Mam dla was złą nowinę. Sir Ambrose ze swymi przyjaciółmi zabawił się naszym kosztem.

Żelaznym łomem wskazał mahoniowe szkatuły. Emilia uniosła wzrok, by w słabym świetle padającym z okna zobaczyć w drzwiach trzech mężczyzn w ciemnych liberiach ze złoceniami. Potem podłoga skrzypnęła żałościwie. Pierwszy z nich wkroczył do komnaty.

## VI

Czy było kiedyś tak ulewne lato? Ilekroć wspominam tamte dni, mam wrażenie, że z ołowianego nieba leją się strumienie. Słońce na całe tygodnie skryło się za sunącymi po niebie posępными chmurami; mógłby to być październik, listopad, ale nie lipiec. Przelewające się rynsztoki zasilają wezbraną Tamizę. Ze sznurów i parapetów zniknęły festony bielizny, bo brakło słońca do suszenia prania. Rzeki występowały z brzegów; toczyły wody przez zmarniałe pola, podmywały drogi i mosty. Przestrzegano teraz postów i dni umartwień. Zapanowało przekonanie, że nieprzerwane deszcze to kara Boża: Pan obrócił swój gniew przeciw ludowi Anglii, ten bowiem nie pokwapił się karać królobójców. Zanim rok dobiegł końca, w Holandii dosięgnięto zdrajców i powieszono na Charing Cross, wśród nich Standfasta Osborne'a. Ogromne tłumy stłoczyły się na Whitehall i Strandzie, żeby się sycić widowiskiem; tysiące głosów wiwatowały, kiedy ciała odcięto, a do dzieła przystąpili rzeźnicy. Brzuchy jednego za drugim królobójcy zostały fachowo rozplątane, całą zaś długość ociekających krwią trzewi rzucono na płonące stosy, na których syczały i skwierczały pod ponurym październikowym niebem. Czegoś podobnego nie widziano od czasów królowej Marii, kiedy wydano na męki protestantów w Smithfield, i od czasów królowej Elżbiety, kiedy wydano na męki jezuitów w Tyburn. Śmierć zdawała się karą zbyt łagodną dla Cromwella, więc zwłoki wywleczono z grobowca w Westminster Abbey, zawieziono na wózku do Tyburn, gdzie je powieszono, a potem ścięto. Przegniły korpus pochowano pod szafotem, natomiast czaszkę wysmołowano, nadziano na pikę i umieszczono na

budynku Westminster Hall, skąd ponuro patrzyła na tłumy Śpiesznie krzątające się koło straganów z książkami i rycinami. Chłopcy rzucali w nią kamieniami, inni śmiali się i radośnie pokrzykiwali na widok kruków bijących się o dostęp do oczodołów. Zemsta, zemsta - w owych czasach wszystkich zaprzętała zemsta.

Czy zemsta zaprzętała i mnie? Czy to dla zemsty wybrałem się w tę ostatnią, pamiętną podróż, gorączkujący i chory? Czyżbym liczył, że poszukam odplaty, kiedy podczas ulewy wyruszałem z Alsatii, usadowiony z tyłu pocztowego dyliżansu powoli przepychającego się przez Strand i Charing Cross, żeby ruszyć potem na zachód?

W przeciwieństwie do wcześniejszych poranków ów ulewny, w dniu wyjazdu, stoi mi przed oczami jak żywy. Jeszcze był lipiec, lecz już wznoszono szafoty, przygotowując nasze skromne *auto-da-fe*. A może początek sierpnia? Zupełnie straciłem rachubę czasu. Ile dni upłynęło mi na majaczeniach od powrotu z archiwum w Rolls Chapel do Alsatii? Cztery? Pięć? Tydzień? Niewiele pamiętałem; wręcz białą plamą była droga powrotna z mrocznego labiryntu pod Chancery Lane do tawerny Pod Półksiężycem. Jak to się stało? Wróciłem na piechotę czy koczem? O której godzinie znalazłem się wreszcie w swoim maleńkim pokoiku, oszołomiony i przestraszony?

Następne dni, czy może tydzień, były czymś potwornym. Zapadłem w sen pełen koszmarów, z którego co pewien czas budziłem się złany potem i obolały, niezdolny się ruszyć, omotany lepką pościelą jak przerażone zwierzę w zastawionej sieci. Chwilami zdawało się, że w pokoiku jest nieznośnie gorąco, potem, że panuje przenikliwy ziąb. Byłem głodny, spragniony, ale zbyt słaby, żeby wstać. Kołatało mi w głowie jakieś mętne wspomnienie kroków na korytarzu. W pewnej chwili, po zmierzchu, uświadomiłem sobie, że słyszę dzwonięcie kluczy i pisk zawiasów; potem w drzwiach zobaczyłem twarz zaniepokojonej służącej. Pani Fawkes musiała się zjawić potem. Chyba przyszedł ktoś jeszcze, mężczyzna, który szurał nogami po skrzypiącej

podłódze, nie wiem kto. W każdym razie obejrzał mi język, przyłożył ucho do piersi i przytknął grzbiet dłoni do mego czoła. Pewnie trząsałem się w gorączce; taki był skutek spływu rzeką Cam oraz trudów, podróży, niedojadania. Nigdy nie byłem okazem zdrowia. Moje ciało na równi z duchem łaknęło regularności i przestrzegania nawyków. Na domiar złego, przybrała na sile astma. Z mych piersi dobiegał rozdzierający charkot i chyba wprowadził otoczenie w panikę. W chwili przytomności, jednej z nielicznych, pomyślałem, jak zdziwią się moi klienci i co wykrzykną na wieść, że zacny księgarz Isaac Inchbold zmarł był niedawno w burdelu.

Pani Fawkes nie pozwoliła mi jednak umrzeć; może mając na względzie przyszły rachunek. W każdym razie w najbliższych paru dniach doznawałem różnorodnych łask, których nie szczędziły mi kolejne pokojówki. Co parę godzin karmiono mnie łyżką, a to bulionem, to kleikiem, obolałe członki masowano gienzowymi rękawicami. Cyrulik upuścił mi krwi, która w naczyniu wydawała się jasna i eteryczna jak żywe srebro. Potem zdołałem chwiejnie zejść po schodach do parówki - udogodnienia wówczas nieznanego - gdzie wykąpałem się w cysternie, zapewne służącej (sądząc po malowanych kaflach, po których hasały różowe nimfy) celom niekoniecznie leczniczym. Niemniej kąpiel pomogła, podobnie jak reszta starań, i po pewnym czasie poczułem się lepiej.

Aż nadszedł ów ranek, zasnuty po horyzont deszczowymi chmurami. Wstałem z łoża boleści, ubrałem wynędzniałe członki w strój kawalerów, który ktoś zapobiegliwie uprał i starannie złożył, wziąłem w garść kosturek i pokuśtykałem na dół wypłacić się pani Fawkes za gościnę. Przez okno przy każdym z podestów dostrzegałem zanurzające się między dachy, kurczące się w miarę schodzenia wieżyczki i wimple Nonsuch House, znajome, wciąż takie same, ale zarazem nierzeczywiste, jakby budynek był zjawą, makieta, sennym zwidem. Zwodzony most ospale wznosił się ku niebu, bezgłośnie jak w pantomimie. Na ostatnim podeście widok zniknął mi z oczu, ja zaś - chybotając się, wsparty na kosturku - poczułem nagle, że dławi mnie żal; że zostałem

beznadziejnie odcięty od mej przeszłości.

- Ależ panie Cobb... - Panią Fawkes najwyraźniej zdumiał widok złotego suwerena, którego wsunąłem jej w dłoń. - Ależ... Gdzie pan się wybiera, proszę pana?

- Nazywam się Inchbold - powiedziałem. Obrzydły mi już kłamstwa. - Isaac Inchbold. - Ruszyłem ku drzwiom. Właśnie lunęło. Przyglądałem się strumieniowi wody spływającemu środkiem ulicy. Odwróciłem się jeszcze. - Pojadę do Dorsetshire - powiadomiłem panią Fawkes. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jaką to ciemną nić wysnuwał i nawijał na motek mój trawiony gorączką mózg, kiedy leżałem w łóżku wstrząsany dreszczami i zlany potem. - Mam niecierpiącą zwłoki sprawę w Dorsetshire.

W owych czasach z Londynu wiodło sześć dróg pocztowych: rozchodziły się promieniście jak sznury wielkiej sieci, w której centrum czaili się naczelny poczmistrz i jego zwierzchnik, sir Valentine Musgrave, nowy sekretarz stanu. W te promienie nowego królewskiego monopolu, w oka sieci, wplatała się delikatniejsza, wręcz niewidzialna pajęczyna poczt pomniejszych i „popularnych przewozów”: niezależnych kurierów obsługujących miasteczka targowe i odległe obszary królestwa, których nie zdążyły spenetrować dyliżanse Poczty Generalnej. Te pomniejsze linie były żałosne, prymitywne, źle zorganizowane, jednak gdyby nie one, szpiegowanie czy przemyt - a także dostawy zakazanych książek - natrafiłyby na znaczne trudności. W 1657 Cromwell bez powodzenia próbował brać je w rzyż, a teraz, jak podejrzewałem, mogły stanowić *modus operandi*<sup>1</sup> licznych wrogów nowego króla, stać się tajemnymi kanałami nowych form buntu. Na taki pojazd - pierwszy z kilku podobnych - przesiadłem się na zachód od Salisbury; kolaska była mała, powolna, niewiele lepsza od krytego wozu i przemierzała kapryśną, dziwaczną trasą wiejskie okolice, w co trzeba było wliczyć dziesięćmilowe objazdy, zalane wioski i wymuszone przystanki, albowiem na połączenie do miasta następnym wehikułem - jeszcze mniejszym, wysoko wyładowanym gąsiorami



musztardy z Tewkesbury i miodu z Hampshire - przyszło mi czekać aż trzy godziny. Ostami powóz, którym się zabrałem - i który dowiózł mnie wreszcie do Crampton Magna - był jednak znacznie większy i szybszy niż poprzednie. Nosił też znajomy symbol, wymalowany na drzwiach *crux Hermetica*<sup>2</sup> w kolorze zachodzącego słońca, ledwie widoczny między smugami błota przypominającymi zastarzałą rdzę.

Właśnie dobiegał końca czwarty dzień mej podróży, było późne popołudnie. Współpasażerowie dawno się rozeszli. Stałem pod ociekającą markizą sklepu tytoniowego połączonego z pocztą i wpatrywałem się z niedowierzaniem w ten wizerunek, niepewny, czy nawiedzają mnie zwidy. Może nie do końca uwolniłem się od gorączki? Czy nie ma ucieczki ze sfery znaków i wskazówek, nawet tu, w bezimiennej wiosce, na końcu świata?

- Merkury - wyjaśnił stary, okrągłoplecy woźnica imieniem Jessop. Zauważył, że przyglądam się drzwiom. Nakładał koniom uprzęż i spinał z dyszlami. - Kurier bogów. A dylizans to część dawnej floty De Questera - dodał z niejaką dumą i postukał kostkami w ochlapane drzwi. - Ma ponad czterdzieści lat, ale chodzi jak ta lala. Znak Merkurego to była część godła De Questera.

- De Questera? - Gdzie usłyszałem to nazwisko? U Biddulpha?

- Matthew De Quester - odrzekł woźnica. - Odkupiłem dylizans od firmy, kiedy straciła przywilej. To było wiele, wiele lat temu. Nie zdziwiłbym się, proszę pana, gdyby pana nie było jeszcze na świecie.

Z wysiłkiem wdrapał się na kozioł i dał znać, żebym wsiadał. Wspiąłem się do powozu przepełniony lękiem. Potem przez parę godzin, kiedy zmordowane konie człapały po pęczyny w błocie, zastanawiałem się, czy zdołam kiedyś dotrzeć do sedna tych dziwnych spraw; czy tajemnicza prawda, którą ukrywa Alethea, zawsze musi mi umykać. Zdawało się, że wszystkie moje dochodzenia to tylko mnożenie zanieczyszczeń, popiołów. Czułem się jak alchemik, który po całych godzinach trudów, po niekończących się destylacjach,

dekokcjach i rektyfikacjach patrzy nie na olśniewającą bryłkę złota, o której tak marzył, lecz raczej na *caput mortuum*<sup>3</sup>, bezwartościowy osad, resztki spalonych chemikaliów. W tych kilku ostatnich dniach zaczynałem wątpić w mój zdrowy rozsądek. Ja, który uważałem się za człowieka tak racjonalnego i mądrego, przekonałem się nagle, że nic nie wiem, natomiast wątpię we wszystko. Jakby się rozkruszyły wszystkie wygodne pewniki.

- Wreszcie na miejscu, proszę pana.

Głos Jessopa wyrwał mnie z ponurej zadumy. Za okienkiem ujrzałem kościelną wieżę górującą nad gromadką lichych wiejskich domostw. Nadciągały latarnie, przybywało ludzkich głosów.

- Crampton Magna. - Jessop okręcił się i z chlupotem wylądował na ziemi. - Koniec jazdy.

Minęło jeszcze dwanaście godzin, zanim dotarłem do celu. W wioskowej gospodzie Pod Oraczem nie zdołałem namówić na podróż do Pontifex Hall żadnego z pięciu małomównych gości. I już zdecydowałem się na długą pieszą wędrówkę w deszczu, kiedy podszedł do mnie młody człowiek o piegowatej twarzy, nowo przybyły, który przyrzekł, że mnie zabierze, jeżeli zechcę poczekać do jutra rana. Jego ojciec, wyjaśnił, jest ogrodnikiem w Pontifex Hall.

Karczmarza zbiło z tropu zamówienie pokoju, ale kiedy nastąpiła pora zamykania, poprowadził mnie po skrzypiących schodach do maleńkiej izdebki o ścianach zdobionych pajęczynami, z pościelą pożółkłą ze starości. Wyglądało na to, że od lat nikt nie otwierał drzwi do izdebki, a tym bardziej nikt w niej nie spał. Z wdzięcznością padłem na wyboisty podglówek, a zaraz potem pogrążyłem się w snach, niepokojących i niepowiązanych, z których obudziłem się po paru godzinach niewypoczęty i ze zgałą. Przez jedyne okienko wychodzące na brudną strzechę i róg kościoła zobaczyłem, że nadal rześcicie pada. Powątpiewałem, czy mój młody woźnica zjawi się w taką pogodę. Zwlokłem się po schodach, żeby zjeść solidne śniadanie, potem udałem się do cuchnącego wychodka, tymczasem przez wezbrane potoki wody raźnie

podjechała pod karczmę mała dwukółka. Rozpoczął się ostatni etap mojej długiej podróży.

Co mam powiedzieć Alethei, kiedy ją znowu zobaczę? Przez parę ostatnich dni szlifowałem po cichu niejedną oskarżycielską przemowę, ale teraz, kiedy Pontifex Hall przybliżał się z każdym końskim krokiem, zdałem sobie sprawę, że nie mam zielonego pojęcia, co powiedzieć, co zrobić. Gorzej, nie miałem pojęcia, co powinienem osiągnąć ponad, być może, sprowokowanie dramatycznej sceny, na której wszystko się skończy. Zdałem też sobie sprawę, nie bez dreszczu paniki, że biorąc tak śmiało byka za rogi, mogę ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo. Pomyślałem o zwłokach Nata Crumpa w rzece, o mężczyznach, którzy przetrząsnęli księgarnię, a potem ścigali mnie do Cambridge. Znowu opadły mnie wątpliwości. Czy to naprawdę ci sami, którzy zamordowali lorda Marchamont? Czy też, jak cała reszta, byli wymysłem Alethei? Może to ona, nie kardynał Mazarin, była mocodawczynią i to ona naprowadziła ich na mój ślad? Ostatecznie, czy to nie ona kłamliwie przedstawiła całą sytuację? Czy to nie ona mnie zdradziła?

Po pewnym czasie konie zwolniły, ja zaś zobaczyłem łukową bramę wjazdową o szerokich kolumnach, a w głębi budynek, z wolna zwracający się ku nam fasadą. Nad kolumnami widniał znajomy napis. Bluszcz przycięto, tekst na zworniku odświeżono dłutem. Widać było, że w międzyczasie wiele zrobiono. Uschnięte lipy ścięto i zastąpiono młodymi drzewkami, uporano się z bluszczem, na drodze jaśniał świeży żwir. Żywopłotowy labirynt też nabrał wyrazu: był wielkim wirem zielonych ścian wysokich na siedem stóp, układających się w hieratyczny wzór. Miałem wrażenie, że tu się dokonuje jakieś stopniowe odczyszczanie, złuszczenie starych złogów, odnowa. Wyglądało na to, że Pontifex Hall odmienił się, jak ja. Od północy założono niewielki ogród, ze świetlikiem, niedośpiątkiem, z dziesiątkami innych ziół i kwiatów. Wszystko w rozkwicie, o kołyszących się na wietrze liściach i płatkach. Nie było tego podczas poprzedniej wizyty.

- Ogród lekarski, proszę pana - wyjaśnił chłopiec. - Nie zakwitnął, jak mówią tutejsi chłopci, od ponad stu lat, od kiedy wynieśli się stąd mnisi. Za głęboko posiano nasiona, tak przynajmniej uważa mój ojciec. Nic nie urosło, póki ojciec na wiosnę nie przeorał tej ziemi. - Przez chwilę przyglądał mi się nieśmiało spod kapelusza. - Istny cud, proszę pana, prawda? Jakby naprawdę wrócili mnisi.

Nie, pomyślałem, dziwnie poruszony widokiem: to jest tak, jakby mnisi naprawdę nigdy nie zniknęli, jakby przez lata wygnania coś z nich uparło się i przetrwało, zapomniane, lecz zdolne do wstania z martwych, jak słowa książki czekającej na czytelnika, który zdmuchnąwszy kurz i otworzywszy okładkę, przywraca do życia autora.

- Czy tu poczekać na pana?

Dwukółka dotarła do budynku; ze splekanych kamiennych okapów nad oknami i wejściem lały się strumienie. Wyżej, z okapu dachu też dobiegał bulgot. Mimo wszelkich napraw dom wydawał się równie ponury i niegościny jak przedtem. Ciekawe, co się dzieje przy tych ulewach z podziemnymi ciekami? Miałem nadzieję, że już się zjawił inżynier z Londynu i wziął do roboty.

- Chwileczkę, jeśli można.

Wygramoliłem się z dwukółki i staranniej przyjrzałem gruntom. Ani śladu działań, żadnych robót inżynierskich. Okna z potłuczonymi szybami - tych jeszcze nie wymieniono - były ciemne. Może budynek opustoszał? Może się zjawiam za późno?

W wilgotnym porannym powietrzu poczułem naraz ów zapach: bukiet woni gryzący i słodkawy, lekki i ulotny jak przywidzenie. Jeszcze raz spojrzałem w górę i w jednym z otwartych okien - tego dziwnego, małego laboratorium - dostrzegłem zarys teleskopu. Poczułem dżgnięcie w żołądku. Lęk.

- Nie - odrzekłem. Już pulsowało mi w gardle. - Nie będę cię potrzebował,

chłopcze. Jeszcze nie teraz.

Podszedłem pod fronton. Zapach fajkowego dymu - suszonego przy ogniu ziela *Nicotiana trigonophylla* - już się rozwiął. Uniosłem kosturek, żeby zastukać do drzwi.

## VII

Inchbold! Ten głos oskarżał. Drzwi, które otwarły się i odsłoniły posępną fizjonomię Phineasa Greenleafa, teraz zaczęły się zamykać; mętne spojrzenie odprowadziło odjeżdżającą dwukółkę. Rzuciłem się do mosiężnej gałki i szarpnąłem. - Poczekaj...

- Co to znaczy? - spytał tym samym surowym tonem. - Co cię tu sprowadza?

Nie takiego się spodziewałem przyjęcia, nawet przez Phineasa. Wepchnąłem chromą nogę w kurczącą się szczelinę.

- Sprawa niecierpiąca zwłoki - odrzekłem. - Wpuszczaj, z łaski swojej. Przychodzę złożyć uszanowanie twojej pani.

- No to zjawił się pan, panie Inchbold, nie w porę - syknął przez szparę w zębach. - Lady Marchamont nie ma w domu. Bardzo mi przykro.

- Tak? A może dostojna lady bawi w Wembish Park? - Ze złością pokręciłem gałką. - Może ją tam zastanę?

- W Wembish Park?

Sprawił wrażenie niewtajemniczonego; zmieszał się. Tak dobrze gra rolę czy też Alethea nie powierza mu sekretów?

- Wpuszczaj - powtórzyłem; tymczasem mój kosturek przekradł się za kamienną ościeżnicę. - Czy mam wyważyć drzwi?

Czcza groźba, zważywszy moją posturę, ale na widok drzwi zatraskiwanych przed nosem nie przyszło mi do głowy nic lepszego. Rycząc przekleństwa, runąłem barkiem na solidny dąb, potem zacząłem kopać, z nie lepszym skutkiem. Przypłaciłbym to pewnie złamaniem obojczyka lub palca u nogi, gdybym nie sięgnął znowu do mosiężnej gałki. Trzasnęła zapadka,

usłyszałem stłumione przekleństwo, a zaraz potem drzwi rozwarły się szeroko i znowu stałem naprzeciw Phineasa. Tym razem okazał jeszcze mniej serdeczności. Obnażył zęby i pogroził, że mnie wyrzuci jak psa. Wdarłem się do środka i przygrzałem mu kosturkiem w tyłek; za chwilę, wymieniwszy więcej takich uprzejmości, tarzaliśmy się i mocowaliśmy na kamiennej posadzce.

Tak się zaczęła moja ostatnia wizyta w Pontifex Hall. Niezły to musiał być widok, zawstydzający i śmieszny: dwie pokraki w ciemnej otchłani atrium nie żałują sobie przekleństw ni łokci w niezdarnych zapasach. Żadną miarą nie byłem awanturnikiem. Nie znoszę przemocy, ze wszystkich sił staram się jej unikać. Ale dobierzcie się tchórzowi do skóry (powiada przysłowie), a będzie się bił jak sam diabeł. Zaraz się okazało, że w bójkę z geriatrycznym przeciwnikiem swobodnie korzystam z brutalnego repertuaru portowego, czy to ciosów, czy ukąszeń. Greenleaf próbował mnie dusić, lecz rychło moja kaleka noga zostawiła ślad buta na środku jego brzucha, a zęby wgrzyzły się w kciuk przeciwnika. Żalostną bijatykę skończyłem, robiąc Greenleafowi „gąsiora”: przygniotłem go, zakleszczyłem głowę w zgięciu łokcia i zbombardowałem nochał pięścią drugiej ręki. Nie spocząłem, póki nie zobaczyłem strugi jasnej krwi tryskającej z nosa. Dopiero wtedy puściłem. Jęczał i stękał jak cielak, grzbietem dłoni osłaniał zmasakrowaną facjatę. Oczywiście widok był zawstydzający, zgoda, lecz ani trochę nie żałowałem. Przynajmniej do chwili, w której z góry dobiegło mnie brzmienie mego nazwiska. Z jękiem przewróciłem się na bok - parę solidnych ciosów Phineasa doszło do celu - i zobaczyłem u szczytu schodów Aletheę, wychyloną przez balustradę.

- Panie Inchbold! Phineas! Przestańcie! W tej chwili! - Pogłos wypełnił cały hol. - Moi panowie, p r o s z ę!

Chwiejnie podniosłem się, szurając nogami, i otrzepałem się z kropel deszczu jak nieposłuszny pies, który wylazł ze stawu. Przeciąg z szeroko otwartych drzwi zakołysał szklanym kandelabrem, który rozdzwonił się i nie żałując dysonansów, oznajmiał z opóźnieniem moje przybycie. Niezgrabnie

przestępowałem z nogi na nogę, z pończoch dobiegał jakiś chlupot, niemal nie widziałem przez zapotniałe okulary. Zdawałem sobie sprawę z utraty przewagi. Wycierałem brodę i czułem, że ogarnia mnie wściekłość. Wyszedłem jednocześnie na zbira i na durnia.

Tymczasem Alethea nie sprawiała wrażenia zaskoczonej moim wyglądem ani zachowaniem, ani nawet faktem nagłego wtargnięcia. Nie wydawała się też rozgniewana, najwyżej zaintrygowana czy podenerwowana, jakby czekała na jakiś dalszy ciąg, na prawdziwą kulminację, która jeszcze nie nadeszła. Przez głowę przemknęło mi przypuszczenie: Może jakoś na to czekała, że stanę w drzwiach? Może nawet takie szalone posunięcie, jak mój wypad do Dorsetshire, to część tajemniczego planu Alethei?

Zeszła niżej i powiedziała, patrząc mi w oczy:

- Przecież stać nas na uprzejmość, proszę pana, prawda?

Wpatrywałem się w Aletheę; wzbierał we mnie śmiech gorzki jak piołun. Ledwie wierzyłem własnym uszom. U p r z e j m o ś ć? W mgnieniu oka znowu ogarnął mnie gniew, przypomniały się starannie obmyślane tyrady. Rzuciłem się ku Alethei, wywijając kosturkiem jak piką, i zażądałem wyjaśnień, co mianowicie uważa za „uprzejmość”? Te wszystkie kłamstwa, te gry, może to właśnie jest u p r z e j m o ś ć? Może śledzenie krok w krok, deptanie po piętach? Może splądrowanie księgarni? Może zamordowanie Nata Crumpa? Czy to wszystko, perorowałem wściekle i wyniośle, Alethea śmie nazywać „uprzejmością”?

Chyba dość długo gorączkowałem się w ten sposób, dawałem upust złości niczym skrzywdzony kochanek, oskarżałem Aletheę o wszystko, co przyszło mi do głowy; każdą niegodziwość podkreślałem stuknięciem kosturka i kolejnym podniesieniem głosu, w końcu wrzaskiem. Ależ grzmiałem, ależ ryczałem! Imponowała mi własna brawurowa oracja; nie przypuszczałem, że zdołam wykrzesać z siebie ton tak kategoriyczny i płomienny! Kącikiem oka dostrzegłem, że Phineas pełźnie po posadzce, znacząc ślad gwiazdkami krwi. W

połowie schodów, z szeroko otwartymi, zatrwożonymi oczami, zacisnąwszy dłonie na poręczu, Alethea stała jak słup soli.

Moja tyrada z wolna traciła rozmach, *ha furor brevis est*<sup>1</sup> - pisze Horacy. Byłem zlany potem z wysiłku, tłumilem łkanie i łzy. W opartym o ścianę owalnym lustrze dostrzegłem własne odbicie: zataczający się kawaler, wynędzniały i obdarty, o zapadniętych policzkach i rozognionym spojrzeniu. Zupełnie zapomniałem o swym przeistoczeniu, wspólnym dziele maligny i mikstur Fosketa. Wyglądałem jak rozedrgany upiór, jak widmo wracające spomiędzy martwych, by nieść straszliwą pomstę - która to wizja może nie odbiegała zbyt od rzeczywistości.

Alethea przeczekwała chwilę, jakby zbierała myśli. A potem ku memu zdumieniu nie odparła zarzutów, z wyjątkiem oskarżenia o zabójstwo Nata Crumpa. Wieść o śmierci woźnicy wręcz ją poruszyła. To prawda, powiedziała, że zaangażowała Crumpa, żeby mnie zabrał spod Trąbki Pocztyliona i dowiózł w okolice Złotego Rogu. Lecz o morderstwie w Cambridge nie miała pojęcia.

- Musi mi pan uwierzyć. - Na wzburzoną twarz Alethei torował sobie drogę krzepiący uśmiech. - Nikt nie miał zginąć. Wręcz przeciwnie.

- Nie wierzę - burknąłem cierpko; miejsce wygasłej wściekłości zajęło nadąsanie. - Nie wierzę w ani jedno słowo. O Nacie Crumpie, o nikim.

W milczeniu okręcała na palcu kosmyk włosów.

- Zapewne zamordowali go ci sami ludzie - odrzekła po namyśle, bardziej do siebie niż do mnie - którzy zamordowali lorda Marchamont. Ścigali pana w Cambridge.

- Agenci Henry'ego Monbodda - prychnąłem.

- Nie. - Energicznie pokręciła głową. - Ani agenci kardynała Mazarina. To też było kłamstwo, wyznaję z żalem. Nie pożałowałam panu kłamstw, to prawda. Ale nie wszystko było kłamstwem. Zabójcy lorda Marchamont to ludzie z krwi i kości. Są agentami kogo innego.

- Och? - miałem nadzieję, że to zabrzmi pogardliwie. - Czyimi?



Zeszła już ze schodów, a ja poczułem znowu zapach wirginijskiego tytoniu. I jeszcze coś. Żrącą woń, którą był przesycony jej ubiór, wziąłem w pierwszej chwili za zapach mączki kostnej i pomyślałem, że zajmowała się ziołowym klombem. Po ułamku sekundy już wiedziałem, co to za zapach: chemikalia. A więc nie ogród, lecz laboratorium.

- Panie Inchbold - odrzekła wreszcie, jakby wygłaszała mowę przygotowaną zawczasu - dowiedział się pan bardzo wiele. Zaimponował mi pan, nie ma co; odwalił pan kawał dobrej roboty, czego się zresztą spodziewałam. Aż za dobrej. - Wyciągnęła rękę; przestraszył mnie widok dziwnie odbarwionych koniuszków palców. - Proszę, może przejdziemy na górę?

Ani myślałem się ruszyć.

- Na górę?

- Tak, do laboratorium. Bo widzi pan, panie Inchbold, właśnie tam pan to znajdzie.

- Co znajdę? Co takiego?

- Phineas, zamknij drzwi. - Odwróciła się; uniosła spódnice i kołysząc biodrami, zaczęła wchodzić po schodach. - Nikogo nie wpuszczaj. Pan Inchbold i ja musimy przedyskutować to i owo.

- Co znajdę?! - Znowu wrzasnąłem, bo znowu wezbrał we mnie gniew. Zostałem zaskoczony. Jeszcze raz traciłem przewagę. - O czym pani opowiada?

- O przedmiocie, którego pan szuka, panie Inchbold. O pergaminie. - W drodze na górę przemierzała właśnie marmurową helisę. Jej głos odbijał się teraz w ogromnej studni. - Proszę za mną - powtórzyła, obróciła się i przywołała mnie skinieniem. - Może po tylu przygodach zechce pan wreszcie zobaczyć *Labirynt świata?*

Boraks, siarka, zielony wiotriol, potaż... Przenosiłem spojrzenie z napisu na napis na flakonach i butlach bezładnie porozstawianych wśród bąblowatych głowic destylacyjnych i spiralnych szklanych rur. Odczynniki żółtawe, zielone,

białe, rdzawe, błękitne. Odór wydawał się jeszcze bardziej cierpki niż ten, który zapamiętałem. Śluzówki zaczynały piec, oczy łzawić. Olej witriolowy, *aquafortis*, grafit, salmiak...

Sięgałem po chusteczkę, ale zamarłem nagle w pół ruchu. Salmiak? Spojrzałem jeszcze raz na flakon, na bezbarwne kryształy. Przypomniałem sobie recepty na tusz sympatyczny; takie tusze wyrabiano z dodatkiem salmiaku, można je było czytać po ogrzaniu strony nad płomieniem. Poczulem delikatny dreszcz, narastające podniecenie, oszołomienie, jakby powracała gorączka.

- Chlorek amonu - wyjaśniła Alethea. Stała obok i głośno oddychała po szybkim wejściu po schodach. - Podstawa transformacji alchemicznych. Arabowie robili go z mieszanki uryny, soli morskiej i sadzy z komina. Pierwszą wzmiankę o chlorku amonu znajdzie pan w *Księdze tajemnicy stworzenia*, przypisywanej przez muzułmanów z Bagdadu Hermesowi Trismegistosowi.

W milczeniu przytaknałem; przypomniałem sobie własne poszukiwania sprzed tygodnia czy dwóch. Teraz zauważyłem co innego: stojący na stole przed otwartym oknem flakon z napisem „cyjanek potasu” był opróżniony w trzech czwartych. Na trójnogu wciąż stał teleskop skierowany w niebo. Zamiast egzemplarzy Galileusza i Orteliusa pojawiła się inna księga, cieńsza, niemal niewidoczna w laboratoryjnym bałaganie, może ze dwadzieścia stron oprawnych w wytłaczaną skórę.

- Laboratorium należało do ojca. - Alethea podeszła do stołu. - Zbudował je w podziemiu i tam właśnie przeprowadzał różne eksperymenty. A ja pozostałości przeniosłam tutaj. - Nachyliła się nad stołem i podniosła flakon z cyjankiem potasu. - Zależało mi na lepszej wentylacji.

Nerwowo przyglądałem się odkorkowywaniu trucizny. Wciąż drżałem; jeszcze nie otrząsnąłem się po wybuchu w atrium. Byłem zakłopotany. To wszystko tak do mnie niepodobne... Przez moment myślałem, że powinienem może przeprosić, a już po chwili musiałem tłumić nową falę gniewu i rozżalenia.

Alethea postawiła flakon na stole i zaczęła grzebać w laboratoryjnych przedmiotach. Raz widziałem ją ostro, raz nieostro, ściągnąłem więc z nosa okulary i przetarłem oczy chusteczką, jak się okazało zakrwawioną. Kiedy okulary włożyłem na nowo, Alethea już się odwróciła; trzymała w ręku tom w skórzanej oprawie, zdobionej w stylu znanym jako arabeska.

- Proszę, panie Inchbold - podsunęła księgę. - Znalazł pan w końcu. Oto *Labirynt świata*.

Stałem nieporuszony; nie wziąłem tomu. Nabrałem ostrożności. Już znałem talent Alethei do mydlenia oczu, do wpychania w sytuacje, w których się czułem jak uczeń. Nie dam znów zrobić z siebie durnia, zapewniłem sam siebie. Zresztą bardziej mnie interesował flakon z trucizną, poprzednio był chyba pełniejszy. Znowu przyszły mi na myśl opowieści o młodych rzymskich i paryskich damach trujących mężów. Potem poczułem na sobie jej dociekliwe spojrzenie i w końcu zapytałem, gdzie znalazła *Labirynt*.

- Nigdzie - odrzekła. - Bo ta książka, po pierwsze, nigdy nie zaginęła. Była, że tak powiem, zaginiona inaczej. Znajdowała się przez cały czas w Pontifex Hall. Była w tym domu ukryta przez czterdzieści lat.

- Pani przez cały czas była w jej posiadaniu? Słowem, zaangażowała mnie pani do szukania książki, która...

- I tak, i nie - przerwała, otwierając okładkę. - To prawda, że w moim posiadaniu był ten pergamin. Lecz sprawy nie przedstawiają się tak prosto. Proszę... - zachęciła. Mieszanie zapachów uzupełniły teraz gorzkie migdały. Na wewnętrznej stronie okładki mogłem w półmroku dostrzec ekslibris: *Littera Scripta Manet*. - Niech pan tu stanie, z łaski swojej. Trafił pan w samą porę. Zobaczy pan ostatnie przemycie.

- Ostatnie przemycie? - Nadal nie ruszałem się z miejsca, przyglądałem się tylko, jak Alethea jeszcze raz bierze flakon i wsypuje porcję kryształków do płynu, który wydawał się zwykłą wodą.

- Tak. - Odkorkowywała następną butelkę. - To palimpsest. Wie pan, o co

chodzi? Pergamin zapisano ponownie, tekst trzeba więc odzyskać za pomocą środków chemicznych. Ten proces należy do najsubtelniejszych. I jest bardzo niebezpieczny. Mam nadzieję, że w końcu odkryłam właściwe odczynniki. Cyjanek potasu sporządziłam, dodając salmiak do mieszaniny potażu i grafitu. To receptura z dzieła chińskiego alchemika.

Ciekawość przeważyła; przysunąłem się wbrew własnej woli. Już słyszałem historie o palimpsestach, starożytnych dokumentach odnajdowanych w księgozbiorach klasztornych i podobnych: z powierzchni pergaminu usuwano stare teksty, by zapisać nowy. Ilekroć greckim i rzymskim kopistom brakowało pergaminu, przemywali stary tekst namoczonymi w mleku liśćmi, następnie ścierali go pumeksem, żeby potem zapisać czystą powierzchnię nowym tekstem; i oto jeden tekst, ukryty i uśpiony, tkwił między wierszami drugiego. Ale nic nie przepada na zawsze. Po wiekach, pod wpływem zmiennych warunków atmosferycznych bądź przeróżnych reakcji chemicznych, tekst usunięty czasem powraca ledwie czytelny; zapomniane przesłanie wyłania się spod nowego zapisu. Niektóre starożytne księgi, które przepadły w ten sposób, po wiekach doczekały się znów odkrycia: spod poważnych stoickich prac Epikteta wyjrzały igraszki Petroniusza, podobnie między wierszami Listów św. Pawła pojawiły się sprośne *priapeia*<sup>2</sup>. *Littera scripta manet*, pomyślałem; słowo zapisane zostaje, nawet po zeszkrobaniu.

Nachyliłem się i spojrzałem na pokarbowaną stronę. Alethea, która jeszcze szerzej otworzyła okno, teraz zdejmowała wieczko z innego flakonu opisanego jako „zielony witriol”. Więc to w ten sposób sir Ambrose natknął się na *Labirynt świata*? Między wierszami innego tekstu? Trudno i darmo, to wciągało. Zresztą, który księgarz nie śni o natrafieniu na palimpsest: tekst, który przed tysiącem lat został stracony dla świata.

- Najpierw próbowałam dębowego galasu. - Uważnie mieszała roztwór. Cicho odkaszlnąłem w chusteczkę. Gorzki zapach nabierał mocy. - Tanina powinna wgryźć się głęboko w pergamin, jeżeli nawet rozpuszczono gumę

arabską. Pomyślałam, że tynktura z miazdżonych galasówek zdoła wydobyć go na powierzchnię, ale...

- Tanina? - Próbowałem przywołać swą wiedzę o tuszu, jakże skromną, jak się okazało. - Lecz tusz przyrządza się przecież z węgla, prawda? Z mieszaniny kopci i węgla drzewnego? Przecież Grecy i Rzymianie robili swoje tusze w ten sposób. Niewiele więc pożytku z dębowego galasu, jeżeli chce się...

- Zgoda. Lecz tego tekstu nie pisali Grecy ani Rzymianie - mruknęła, skupiona na czym innym. Schylona nad tomem, zakropiła tynktura pergamin, przez który biegły czarno zapisane wersy łacińskie, a może włoskie. Włosy Alethei rozwiewał przeciąg, który teraz zatrzasnął drzwi. - Napisano go znacznie później.

- W Konstantynopolu?

- W Konstantynopolu też nie. Zechce pan łaskawie otworzyć drzwi? Opary cyjanku to trucizna. Próbowałam potem półpłynnego salmiaku - ciągnęła i dodała jeszcze kroplę. - Zrobiłam roztwór, podgrzewając salmiak, a potem wiążąc gaz w oleju witriolowym. Myślałam, że zdołam odzyskać żelazo, skoro nie zdołałam odzyskać taniny. Żelazo w tuszu koroduje po pewnym czasie, ale miałam nadzieję, że odświeżę jego barwę. Ta metoda też zawiodła. Tekst wymazano aż za dobrze. A musi pan wiedzieć, że to są procesy bardzo czasochłonne. W sumie zajęły mi parę tygodni. Bezlik przemywań, raz po raz. - To dlatego mnie pani zatrudniła - odmruknęłam. Czuję się źle, z trudem stałem na nogach. - W roli przynęty. Jako pionka.

- Odwracał pan uwagę. - Na pergamin padła kolejna kropla. Chwiejnym krokiem podszedłem do okna i padłem na krzesło. Nachylona nad woluminem jakby niczego nie dostrzegła. - Zapewnił mi pan parę tygodni cennego czasu - dodała. - Widzi pan, nie wszystko, co panu opowiedziałam w Pulteney House, było kłamstwem. Zainteresowany pergaminem nabywca istnieje naprawdę, ktoś gotów zapłacić okrągłą sumę. Są też tacy, wśród nich nasz nowy sekretarz stanu, którzy chętnie przywłaszczą sobie pergamin za darmo. Mam wrażenie, że tamtej

nocy złożyli panu wizytę jego ludzie.

Otwierając okno na całą szerokość, straciłem teleskop z trójnogu. Pionek. Który służy odwróceniu uwagi. Tylko tyle. Oto, kim jestem. Zaczęło mi się kręcić w głowie jak w podziemiu Rolls Chapel. Alethea zwykłym u niej tonem roztargnienia zaczęła mi opowiadać o całym tym groteskowym podstępnie - o szyfrze, rysunkach na murach, kuriozach w kawiarnianej gablocie, katalogu aukcyjnym. Wszystko tak podłożone, żebym znalazł. Wszystko nakierowane na odciążenie mnie jak najdalej od Pontifex Hall i *Labiryntu świata*. I wyprowadzeniu na manowce innych. Dlaczego słała listy przez Poczta Generalną? Żeby je otwierali agenci sir Valentine'a Musgrave'a...

- Wplątani byli też inni - nadal mówiła jakby mimochodem. - Agenci potęg jeszcze bardziej zdradzieckich, do których sekretarzowi stanu daleko. Oni też zostali wyprowadzeni w pole. Wiedza tajemna może być niebezpieczna. W końcu nawet mój ojciec chciał zniszczyć ten pergamin. Uważał, że jest jak klątwa. Zbyt wielu ludzi przez niego zginęło.

Ledwie słuchałem. Ogarnięty mdłościami wychyliłem głowę przez okno i zacząłem wciągać zimne powietrze. Szemrał deszcz spływający po murze, nad głową bulgotały gargulce. Niżej, ze szpiczastego dachu na frontonie, spływały jeszcze obfitsze strumienie. Potem obraz za okularami rozmazał się, a kiedy przetarłem je chusteczką, przywidziało mi się, że gdzieś w dali za kamiennym łukiem wjazdowym mignął powóz; coś ledwie widocznego przemieszczało się za gęstą zasłoną zieleni i podnoszącej się mgły. Wtedy zaskoczył mnie okrzyk zza pleców. Alethea stała za mną z książką uniesioną w górę. Między dwoma rzędami czarnych liter pojawił się niewyraźny rozmazany jasnoniebieski inny wers.

- Nareszcie - powiedziała. - Odczynniki zaczynają działać.

- Co to? - Patrzyłem na porwany ciąg niebieskich liter i cyfr, to wynurzonych, to dopiero wynurzających się. Mój gniew znów przygasł, ustąpił miejsca zafascynowaniu. - Tekst hermetyczny?

- Nie - odrzekła. - Inny. Przepisany przez sir Ambrose'a.

- Palimpsest to dzieło sir Ambrose'a? - Na czoło wystąpiły mi krople potu. Drżąc, osunąłem się na krzesło, oszołomiony obrotem spraw.

Przytaknęła; zakraplacz jeszcze raz pojawił się nad stronicą.

- Przepisał tekst, a następnie go zatarł. Widzi pan, wcześniej, w Konstantynopolu, sir Ambrose odkrył dwa palimpsesty. Tekst Arystotelesa i komentarz do Homera pióra Arystofanesa z Bizancjum. Oba się znajdowały na pergaminach zapisanych Ewangelią, lecz stary tekst zaczął się przesączać na wierzch. To się nazywa „marą”, jakby stary tekst wrócił, żeby straszyć swego następcę. Sir Ambrose szybko się zorientował, że to idealne maskowanie.

- Maskowanie?

- Tak. Ukrycie jednego tekstu w drugim. - Na stronie przybyło niebieskich znaków, wsączały się w pergamin jak tusz w bibułę, chociaż z mego krzesła nie byłem w stanie nic przeczytać. - Wspaniały sposób na przeszmugłowanie dzieła. Zwłaszcza jeśli tekst widoczny uchodzi za bezwartościowy.

- Ale o co tu chodzi? O szmugłowanie tekstu skąd?

Ze zbiorów Biblioteki Cesarskiej w Pradze, wyjaśniała powoli, schylona nad stołem, pochłonięta czynnością jak skomplikowaną operacją chirurgiczną. Był rok 1620, zaranie wojen katolików z protestantami. Rok wcześniej obrano królem Fryderyka, na katolickim tronie zasiadł protestant i oto jego zwolennicy z całej Europy uzyskali nagle dostęp do niezrównanych zbiorów cesarza Rudolfa. Obrót wydarzeń zatrwożył nuncjuszy i ambasadorów, którzy co sił pomknęli do Rzymu, a także sojuszników Rzymu, czyli książąt Ligi Katolickiej, bo w bibliotece, jak w arsenale, kryje się władza. W końcu czy Aleksander Wielki nie planował biblioteki w Niniwie, mającej, jak utrzymywał, stać się dlań takim samym narzędziem władzy jak macedońskie armie? A kiedy inny uczeń Arystotelesa Demetriusz z Faleronu<sup>3</sup> został doradcą egipskiego władcy Ptolemeusza I, to co doradził, jeśli nie zgromadzenie wszystkich możliwych

ksiąg traktujących o monarchii i sprawowaniu władzy? Na samą myśl, że wielki zbiór Rudolfa wpada w ręce różokrzyżowców, kabalistów, husytów, giordanistów - heretyków podkopujących od lat władzę nie tylko Habsburgów, lecz i papieża - rozległo się w całej Europie bicie na alarm. Dlatego armie maszerujące jesienią 1620 roku na Pragę miały odzyskać bibliotekę, a następnie zamknąć ją na cztery spusty, zapewniała Alethea, tak wyglądało jedno z głównych zadań.

- W zbiorze znajdowały się dziesiątki książek heretyckich - ciągnęła - które w Rzymie szły na stos, a ich tytuły na indeks. Teraz tamy mogły pęknąć w każdej chwili. Ledwie Fryderyk przybył z Heidelbergu, a już uczeni z całego cesarstwa ruszyli na pielgrzymki do Pragi. Kardynałowie Świętego Oficjum zdawali sobie sprawę, że wkrótce stracą kontrolę nad tym, komu takie księgi i rękopisy wolno czytać, a komu nie. Rozprzestrzenianie się wiedzy z Pragi groziło wielką eksplozją, wyhodowaniem sekciarzy i rewolucjonistów w Rzymie i poza nim, zrodzeniem się jeszcze liczniejszych herezji, napisaniem jeszcze liczniejszych książek, których miejsce jest w ogniu oraz na indeksie. Praska biblioteka stała się puszką Pandory, z której na oczach Rzymu miały wyfrunąć szatańskie roje.

Siedziałem przy oknie, przeciąg chłodził mi czoło. Lało coraz gęściej. Na korytarzu zaczął przeciekać sufit, na stole podzwaniały flakony i kolby. Heretyckie książki? Drapałem się w brodę i próbowałem zebrać myśli.

- Jakie szatańskie roje? - spytałem, kiedy umilkła, schylona nad pergaminem. - Chodziło im o jakiś nowy tekst hermetyczny, który Święte Oficjum chce schować pod sukno?

Pokręciła głową.

- Kościół już się nie musiał obawiać żadnych pism Hermesa Trismegistosa. Kto jak kto, ale pan to wie. W 1614 roku Isaac Casaubon podał w wątpliwość starożytne pochodzenie tych tekstów i dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że są fałszerstwem z czasów późniejszych. Mimo całej swej



błyskotliwości Casaubon w końcu strzelił sobie w stopę. Spodziewał się, że swą książką zdruzgoce wywody papistów, zwłaszcza kardynała Baroniusa. Tymczasem zdołał zniszczyć jednego z największych przeciwników kardynała.

- Ponieważ tacy heretycy jak Bruno czy Campanella sięgali po *Corpus hermeticum*, żeby usprawiedliwić swoje napaści na Rzym.

- A oprócz Bruna i Campanelli były przecież dziesiątki innych. Tak. Profesor Casaubon rozprawił się za jednym zamachem z tysiącem lat magii, przesądów oraz - w oczach Rzymu - herezji. Po ustaleniu przez niego dat wszelkie nowe teksty hermetyczne stały się bezwartościowe i przestały kogokolwiek obchodzić, poza garstką na wpół obłąkanych astrologów i alchemików. Dlatego pierwszorzędnie nadawały się do maskowania.

- Do maskowania? - Niespokojnie poruszyłem się na krześle; wciąż usiłowałem coś z tego zrozumieć. - Na jakiej zasadzie?

- Pan jeszcze nie odgadł, panie Inchbold?

Odłożyła cienki tom; zanim wiatr przerzucił kartki, zdążyłem dostrzec, że górna połowa strony tytułowej jest pokryta niebieskim zapisem; za pomocą trujących substancji Alethei udało się wywołać widmo poprzedniego tekstu. Ostrożnie przyłożyła do kartki arkusz bibuły, potem zamknęła okładkę. Na krawędziach szklanych naczyń zaczął pogwizdywać wiatr, odezwał się upiorny chór butli. Kawalek obluzowanej dachówki załomotał w rynnie i spadł na ziemię. Zatrzasnęło się okno. Alethea odsunęła krzesło i wstała od stołu.

- *Labirynt świata* był tylko zapisem ponownym - odezwała się w końcu. - Tekstem wierzchnim. Fałszerstwem, jak wiele innych; wymysłem, którym posłużył się sir Ambrose, żeby ukryć tekst znacznie bardziej wartościowy. Jeden z tych, którymi naprawdę interesowali się kardynałowie Świętego Oficjum - Starannie zakorkowała flakonik z cyjankiem. - I nie tylko oni.

- Co to za tekst? Kolejna herezja?

- Tak. Nowa. Skoro w 1614 roku jakiś świat umarł, to i narodził się nowy. W tym samym roku, w którym Casaubon ogłosił swoją napaść na *Corpus*

*hermeticum*, Galileusz wydał trzy listy w obronie własnej *Istoria e dimostrazioni*, opublikowanej rok wcześniej w Rzymie.

- W obronie pracy o plamach na Słońcu - przytaknąłem osłupiały. - W której po raz pierwszy broni Kopernikańskiego modelu Wszechświata. Chociaż nie wiem, co takiego...

- Po roku 1614 - ciągnęła, nie słuchając - Ptolemeusz i jego egipski ziomek Hermes Trismegistos już się przestali liczyć. Obaj odpowiadali za tysiąclecie błędów i rojeń; tysiąclecie z górą. Kardynałom rzymskim zbytnio nie przeszkadzał upadek szamana, ale nie byli zachwyceni upadkiem astronoma. Listy Galileusza opublikowane w 1614 są w oczach kardynałów apelem o czytanie Biblii w poszukiwaniu nauk moralnych, nie zaś astronomicznych; są apelem o alegoryczne traktowanie Pisma Świętego, kiedy wchodzi ono w spór z odkryciami naukowymi. Rzecz jasna Galileusz kierował ten apel na próżno, bo już za rok czytaniem jego listów zajęła się inkwizycja.

- Więc to ten tekst Galileusza? - przypomniałem sobie *Dialog* w przekładzie Salusbury'ego; ta książka naraziła astronoma na papieskie prześladowania; Galileusz musiał odwołać treści tam zawarte. - Zakazany przez Rzym, po wyklęciu kopernikanizmu przez Święte Oficjum w 1616?

Pokręciła głowę. Stała przed oknem, lekko wsparta ręką o teleskop, który przedtem starannie umieściła znów na trójnogu. Zobaczyłem przez zamglone szyby, że powóz mozolnie brnie przez błoto w stronę Pontifex Hall; już się przybliżył. Przez zasłony deszczu mogłem w sąsiedztwie domu dostrzec zarys ogrodowego labiryntu; nawet z tej wysokości wydawał się beznadziejnie splątany bezlikiem pętli i ślepych zaułków.

- Nie - odrzekła; zdjęła ze stołu wiaderko i wyszła na korytarz. - Tego dokumentu nigdy nie opublikowano.

- O? Co to jest?

Woda z sufitu już nie ściekała, lecz lała się ciurkiem. Patrzyłem, jak Alethea schyla się, stawia na środku kałuży wiaderko, a potem się prostuje.

- Teraz pergamin ma się dobrze - powiedziała. - Porozmawiajmy sobie gdzie indziej.

Po raz ostatni spojrzałem przez okno - powóz skrył się za kępą drzew - i ruszyłem za Aletheą na schody. Kto siedzi w powozie? Sir Richard Overstreet? Nagle poczułem jeszcze głębszy niepokój.

Zacząłem schodzić, trzymając się poręczy. Już coś miałem na końcu języka, kiedy po przejściu dwóch zaledwie stopni Alethea przystanęła i obróciła się tak nagle, że niemal wpadłem na nią.

- Ciekawa jestem - w jej oczach zatańczyły figlarne iskierki - co też panu wiadomo o legendarnym El Dorado...

### VIII

Woń biblioteki w niczym nie przypominała tej laboratoryjnej. W pomieszczeniu podobnym do wielkiej pieczary wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałem, ale przyjazny zapaszek stęchlizny wzbogacił się o swojskie aromaty oliwy cedrowej i lanoliny z żywicznym akcentem świeżego drewna, wstawiono bowiem trochę nowych półek, a na galerii wymieniono balustradę. Zapach przywiódł mi na myśl moją księgarnię; wonie wiodą nas w przeszłość żywiej i skuteczniej niż inne bodźce. Znienacka poczułem ten sam dławiący żal, co ostatniego ranka spędzonego w Półksiężycu. Zdawało mi się, że od opuszczenia domu minęły lata, a nie dni.

Alethea zaprosiła mnie gestem pod okno, gdzie stały obite skórą krzesła. Też nowe, podobnie jak orzechowy stół i ręcznie tkany dywan pełen małych i paw. Posłusznie usiadłem. Phineas gdzieś przepadł. Zniknęła nawet strużka krwi. Przez moment bawiłem się myślą, że nieszczęsna bójka to tylko twór mojej rozgorączkowanej wyobraźni.

Założyłem nogę na nogę, potem założyłem odwrotnie i czekałem, aż Alethea się odezwie. Wiedziałem to i owo o micie El Dorado, miasta „ludzi lśniących złotem”, o chimerze, która przez lwią część stulecia wabiła niezliczonych awanturników i wciągała w niebezpieczne labirynty Orinoko.

Piszą o tym tacy kronikarze hiszpańskich podbojów, jak Fernando de Oviedo, Cieza de Leon i Juan de Castellanos; tuż po powrocie z Pontifex Hall zajrzałem do ich dzieł, przy czym każdy przedstawiał inną wersję. Pogłoski o El Dorado dotarły do konkwistadorów wkrótce po podboju Peru przez Pizarra w 1530; złotym miastem rzekomo władał jednooki mężny wódz, *el indio dorado*<sup>1</sup>, który co rano malował ciało złotym pyłem wydobywanym z Orinoko - a może z Amazonki, a może z jej dopływu wijącego się w dżungli, któregoś z setki podobnych. Pogłoski zaintrygowały Hiszpanów i w 1531 roku kapitan nazwiskiem Diego de Ordas otrzymał od cesarza Karola V *capitulation*<sup>2</sup>, upoważniający do wyruszenia w górę Orinoko na poszukiwanie nowego Montezumy i złotego miasta. Chociaż de Ordas niczego nie odnalazł, inni niedoszli odkrywcy nie tracili zapału i przez parę dziesięcioleci konkwistadorzy ruszali w dżunglę, jeden za drugim, jak błędni rycerze z romansów, wielce wówczas popularnych. Jeden z owych rycerzy, nazwiskiem Jimenez de Quesada, torturował Indian, którzy wpadli mu w ręce, przypalając stopy i polewając brzuchy wrzącym smalcem. Tak zachęceni Indianie opowiadali historie o mieście złota - czasem nazywanym Omagua lub Manoa - ukrytym w środku gujańskiej dżungli, a może nawet, jak Tenochtitlan, pośrodku jeziora.

Quesada nic jednak nie znalazł; podobnie Antonio de Berno, mąż jego bratanicy, weteran wypraw po Orinoko i jej dopływach pojmany przez sir Waltera Raleigha po splądrowaniu Trynidadu w roku 1595. Anglik podniecony legendami wybrał się w górę rzeki jeszcze tego samego roku, z setką ludzi i zapasami na miesiąc. Dopiero po ich wyczerpaniu wrócił do Anglii, przywożąc syna indiańskiego wodza, a zostawiając na miejscu dwóch zaufanych ludzi, żeby szukali dalej. Jeden z nich wpadł w ręce hiszpańskich żołnierzy, lecz wcześniej zdołał przesłać do Anglii ledwie naszkicowaną mapę, na której u zbiegu rzek Orinoko i Carom zaznaczył domniemaną kopalnię złota. Minęło jednak dwadzieścia lat, zanim Raleigh wrócił do Gujany, wyruszywszy w ostatnią tragiczną wyprawę w towarzystwie sir Ambrose'a Plessingtona.

Służąca Bridget weszła do biblioteki z aromatycznie parującym dzbankiem herbaty. Zagryzłem dolną wargę; powstrzymując się od wstania z krzesła, przyglądałem się rzędowi atlasów w górze. Zauważyłem *Universalis Cosmographia* Martina Waldseemüllera, kilka wydań Ptolemeuszowej *Geografii*, w tym wydanie Merkatora. Alethea, która śledziła moje spojrzenie, odstawiła filiżankę i wstała.

- Niektóre z tych map i atlasów to wyjątkowa rzadkość - powiedziała. - Tutaj są rarytasy, najcenniejsze z całego zbioru. Na przykład ten. - Wspięła się na palce i sięgnęła po jeden z tomów, który zaraz potem z hukiem wylądował na stoliku, aż zadźwięczały filiżanki. Wzdrygnąłem się, zobaczywszy, że to uszkodzony przez wodę egzemplarz *Theatrum orbis terrarum* Orteliusa; ten sam, który poprzednio oglądałem w laboratorium, i ten sam, z którego wyciąłem szyfr. - Poznaje pan?

- Sprzedaję te atlasy - odrzekłem, otwierając bukramową okładkę. Przekrzywiwszy głowę, próbowałem odczytać kolofon. - To praskie wydanie?

- Tak. Z 1600 roku. - Zaczęła przerzucać pokarbowane stronice. - Niebываła rzadkość. Wydrukowano zaledwie parę egzemplarzy. Ortelius wyruszył w podróż do Czech na zaproszenie cesarza Rudolfa. Niestety, wkrótce po przybyciu do Pragi zmarł, w 1598. Jedni lekarze utrzymywali, że zabił go wrzód nerek, zdaniem Hipokratesa choroba niemal zawsze śmiertelna u mężczyzn w podeszłym wieku. - Powoli przewróciła kartkę. - Lecz inni byli przekonani, że wielkiego Orteliusa otruto.

- Naprawdę? - Oglądając atlas, przypomniałem sobie pogłoski przytoczone przez pana Barnacle'a. Tom był teraz otwarty na stronie podpisanej MARE PACIFICUM, przy której odkryłem szyfr. - Ale dlaczego? - Próbowałem sobie przypomnieć, co pan Barnacle opowiadał o żeglowaniu w stronę wysp oddalonych od równika. - Z powodu nowej metody kreślenia map? Nowego odwzorowania?

Pokręciła głową.

- Odwzorowywania jeszcze nie udoskonalono. Nie mam pojęcia, skąd takie plotki; z pewnością wymyślił je ktoś, kto zamordował Orteliusa.

- Zatem Ortelius został zamordowany? Przytaknęła.

- Po jego śmierci z drukarni zniknęły płyty, z których odbijano te mapy. Ściślej, zginęła jedna płyta, z której odbijano właśnie tę mapę. - Postukała wskazującym palcem w pomarszczony arkusz. - Widzi pan, mapa Nowego Świata w praskim wydaniu *Theatrum orbis terrarum* różni się od map z pozostałych wydań.

Wciąż przebiegałem wzrokiem stronicę, zastanawiając się, w czyj opis wierzyć: Alethei czy pana Barnacle'a. Widniał na niej wyszukany kartusz - AMERICAE SIVE NOVI ORBIS, NOVA DESCRIPTIO - i mapa Pacyfiku z ilustracjami przedstawiającymi wyspy i galeony pod pełnymi żaglami. Wszystko na tej karcie, nie wyłączając południków i równoleżników, stopni długości i szerokości geograficznej, wyglądało tak samo jak podczas moich marzycielskich popołudni spędzanych w księgarni Molitor & Barnacle.

- Kreślenie map to sztuka niewolna od domysłów - mówiąc to, Alethea obróciła atlas o 180 stopni i podsunęła mi. Znow postukała palcem, ponad kartuszem. - Proszę spojrzeć. Co pan tu widzi?

Pod wskazującym palcem zdołałem się dostrzec kilka wysp i podpis „Insulae Salomonis”. Wzruszyłem ramionami.

- To Wyspy Salomona - odrzekłem ostrożnie.

- Otóż to. Ale nikt nie wie, czy Wyspy Salomona naprawdę są tam, gdzie je umieszcza Ortelius. Więcej, nikt nie wie, czy w ogóle istnieją; może to tylko wymysł Alvara de Mendaña, zapewniającego, że je odkrył w roku 1568. Nazwał je Islas de Solomon, był bowiem przekonany, że właśnie tam król Salomon wydobywał złoto do Świątyni Jerozolimskiej. Widocznie król Salomon był lepszym żeglarzem niż Mendaña, bo Hiszpan już nigdy tych wysp nie odnalazł. W 1595 wyruszył w drugą wyprawę, ale na próżno. W roku 1606 w trzecią wyprawę wyruszył Quiros, jego nawigator, a przed nim wielu innych szukało

Wysp Salomona. Tymczasem jakby potonęły wszystkie w oceanie, niczym Atlantyda. Pozostawały nieuchwytnie jak *Terra australis incognita*, na której odkrycie także liczyli Mendaña z Quirosem. - Palec Alethei powędrował w dół strony i zatrzymał się z lewej strony kartusza koło napisu TERRA AUSTRALIS. Reszta karty, wielki kontynent, którego brzeg zawracał ku dołowi w okolicy dwusetnego południka, była pozbawiona szczegółów. - Jeszcze jeden mityczny ląd przedstawiony przez Orteliusa.

- Ptolemeusz opisał ten kontynent w *Geografii* - odrzekłem, naprawdę ciekaw, co mają wspólnego te legendarne wyspy z Galileuszem czy bibliotekami Pragi.

- Mowa też o nim w dokumentach arabskich i chińskich. Plotki o istnieniu takiego kontynentu krążą od stuleci. Hiszpanie na próżno ślali liczne wyprawy, żeby odkryć tę ziemię, chociaż w 1606 Quiros odkrył kontynent, w istocie tylko wyspę, którą nazwał Australia del Espirito Santo. Później szukali kontynentu Holendrzy także bez powodzenia, aż wreszcie ich okręty płynące na Jawę zepchnął z kursu tajfun; przybiły wtedy do brzegów ogromnej wyspy strzeżonej przez koralowe rafy. W dwadzieścia lat później kilka holenderskich okrętów badało tam wybrzeża od dziesiątego równoleżnika w dół, do trzydziestego czwartego. Teraz się okazuje, że *Terra australis incognita* to coś więcej niż mit. A skoro istnieje *Terra australis incognita*, kto się ośmielił twierdzić, że nie ma Wysp Salomona? - Nachyliła się i powiodła palcem przez Pacyfik do prawego skraju arkusza. - Niech pan tu spojrzy. Zobacz pan ciekawy wariant w tym praskim wydaniu.

Nachyliłem się nad atlasem. Musiałem dobrze wyteńczyć wzrok, żeby coś zobaczyć; przez okno przesłaniane strugami deszczu ledwie sączyło się światło. O jakieś trzydzieści czy czterdzieści stopni długości geograficznej na zachód od Peru i jakieś dwanaście stopni szerokości na południe od równika widniała na środku Orteliusowego Marę Pacificum maleńka prostokątna wysepka z podpisem „Manoa”. Na pewno tego szczegółu nie było w żadnym wydaniu u

pana Smallpace'a.

- Myślałem, że Manoa jest w Gujanie albo Wenezueli.

- Jak wszyscy. Lecz zdaniem Orteliusa to wyspa na Pacyfiku, tej ogromnej wyrwie pozostałej po oderwaniu się Księżyca od Ziemi. Wyspa powinna się znajdować na zachód od Peru i na wschód od legendarnych Wysp Salomona; na dwieście osiemdziesiątym południku na wschód od Wysp Kanaryjskich, od których, wzorem Ptolemeusza, Ortelius liczy południki. W każdym razie w tym miejscu Manoa leży na mapie z praskiego wydania *Theatrum orbis terrarum* z 1600 roku. - Wstała i ostrożnie wsunęła atlas na półkę. - Widzi pan, w innych wydaniach Ortelius nigdzie nie umieszcza Manoa, ani na Pacyfiku, ani gdzie indziej. - Alethea wróciła na krzesło. - Dlatego mapa praska jest taka wyjątkowa. I dlatego, rzecz jasna, zaintrygowała sir Ambrose'a.

- Przecież Manoa jest na innych mapach - zaprotestowałem, pamiętając o mapie Raleigha sztychowanej w Amsterdamie przez Hondiusa, po której podróżowałem palcem, kucnąwszy między półkami księgarni pana Molitora.

- Jest, lecz na tych mapach nie brak grubych błędów. Manoa umieszczano gdzie popadnie, na całym kontynencie. Ale od czasów Merkatora żeglarze mogą kreślić kursy, posługując się szerokością i długością geograficzną. Mogą na długich trasach trzymać się kursu bez ciągłych przeliczeń i poprawek. Wystarczają linijka, cyrkiel i kompas. Dziecinnie proste.

- Owszem - zgodziłem się. - Jeśli pominąć pewien drobiazg. Że na morzu nikt nie potrafi ustalić długości geograficznej.

- W tym sęk - odrzekła i znowu podeszła do półki. - Ustalić szerokość geograficzną to nie sztuka, nawet poniżej równika, gdzie już nie świeci Gwiazda Polarna. Wystarczy zmierzyć wysokość słońca w południe, używając gnomona czy podobnego instrumentu. Za to z długością nie ma żartów, to problem na miarę kwadratury koła.

Wiadomo, prastary kłopot nękający żeglarzy. Długość to tylko inna nazwa różnicy czasu między dwoma miejscami. Można powiedzieć, że



obliczenie długości to nic nadzwyczajnego. W Londynie, na Wyspach Salomona czy gdzie indziej na kuli ziemskiej słońce zawsze stoi najwyżej na nieboskłonie o dwunastej w południe czasu miejscowego. Jeżeli zatem żeglarz na Wyspach Salomona w chwili swego miejscowego południa znalazłby dokładny czas w tej samej chwili w Londynie, mógłby wyliczyć swą długość geograficzną z różnicy tych dwóch czasów, bo różnica jednej godziny równa się różnicy piętnastu stopni długości geograficznej. Pięknie, zgoda, ale skąd żeglarz u brzegów Wysp Salomona, rzucony przez wiatry i prądy na drugi koniec świata, może wiedzieć, która godzina właśnie wybiła w Londynie?

- Nawet starożytni, mimo całej swej wiedzy, nie umieli rozwiązać problemu - mówiła Alethea. - Ptolemeusz omawia w *Geografii* metodę Hipparcha z Nikei<sup>3</sup>, który radzi używać obserwacji zaćmień Księżyca do mierzenia różnic czasu miejscowego na wschód lub na zachód od ustalonego punktu. Później Johann Werner z Norymbergi<sup>4</sup> - wskazała odpowiedni tom - w swoim wydaniu Ptolemeusza proponuje tak zwaną metodę księżycową, w której Księżyc i Zodiak tworzą zegar niebieski określający czas miejscowy w każdym punkcie globu. Ale żadna z tych metod nie sprawdziła się na morzu ani odległych lądach, bo brakowało odpowiednich czasomierzy, na których można polegać.

- Dlatego Mendaña i Quiros nie zdołali odszukać Wysp Salomona podczas następnych wypraw na Pacyfiku.

- Właśnie. W 1568 Mendaha przypisał im dwieście dwunasty południk na wschód od Wysp Kanaryjskich, a kiedy ruszył na ich poszukiwanie w 1595, okazało się, że nie tylko nie może znaleźć wysp, ale nawet dwieście dwunastego południka.

- Czyli że mapa Orteliusa jest bezwartościowa - powiedziałem. - Nie jest dokładniejsza od innych.

Alethea znów usiadła i naląła po filiżance herbaty, wówczas napoju będącego rzadkością, którego wcześniej kosztowałem tylko dwa lub trzy razy.

Chyba przyprawił mnie o wzburzenie. Po filiżankę sięgałem drżącą ręką.

- Nie ma co, szukanie długości geograficznej to nadal zgadywanka - odrzekła w końcu. - Ale wyspa? To wymysł? A jeśli tak, to po co utajono mapę?

- Kto ją utaił? Hiszpanie?

- Sir Ambrose był o tym przekonany. I rzeczywiście, Hiszpanie mieli powód. Dla króla hiszpańskiego i jego ministrów Praga była ostatnim miejscem na świecie, w którym powinien się ukazać taki dokument. Na praskich uczelniach roilo się od protestantów, hermetyków i Żydów, a także od najróżniejszych mistyków i fanatyków. Ludzie tego samego pokroju przed dwudziestoma laty wprowadzili w popłoch kardynałów Świętego Oficjum. Zatem wielkiego Orteliusa otruto, a mapę utajono.

Zamknęła książkę i przyjrzała mi się uważnie. Spoza szumu deszczu w rynnach dosłyszałem w atrium czyjeś kroki. Wielka kałuża wzbierała koło zegara słonecznego, woda przelewała się przez spękaną krawędź fontanny. W dali, za skarłowaciałym sadem lały się też strumienie z kąpieliska i ogrodu wodnego, na wezbranych powierzchniach pojawiały się bąble i wiry. Nerwowo zaszurałem nogami; nie dawała mi spokoju myśl o nadjeżdżającym powozie.

- Na tym ta historia mogłaby się skończyć - rzekła w końcu Alethea - gdyby nie pewien drobiazg. Dotyczy okrętu, panie Inchbold. Hiszpańskiego galeonu. Napotkanego przypadkiem na wodach karaibskich. - Rozległ się trzask pioruna, deszcz rozbryzgiwał się na oknie. - Może pan o nim coś usłyszał podczas swych poszukiwań? Nazywał się *Sacra Familia*.

Za błyskawicami przetaczały się grzmoty podobne do huku młódcierzy. Bridget z zapalonym kagankiem stanęła w drzwiach biblioteki, kiedy rozległ się grzmot wprost ogłuszający. Dziewczyna postawiła kaganek na stole, zabrała tacę z dzbankiem i odeszła, szorując podszwami po posadzce. Także Alethea przeszła się po bibliotece. Przez kilka minut krzątała się zwawo wokół półek, wchodziła na drabinkę, zbierała książki jak jabłka w sadzie. Wróciła z naręczem tomów, które runęły na stół jak lawina. Zdołałem złapać jeden, ratując go przed

upadkiem na podłogę; ze zdumieniem przekonałem się, że to traktat poświęcony filozofii hermetycznej, *De la verite de la religion chretienne* Duplessisa-Mornaya w angielskim przekładzie sir Philipa Sidneya.

- ...wydane ponownie w nowych przekładach - mówiła Alethea przy wtórze ulewy i łoskotu książek rzucanych na stół. - To *Apologia* Wilhelma Orańskiego, *Kolonia hiszpańska* Bartolome de Las Casas, *Relaciones* Antonia Pereza, angielskiego informatora...

Alethea porządkowała stos książek, mnie zaś w świetle kaganka rzucił się w oczy tom Las Casasa; ów hiszpański ksiądz systematycznie spisał okrucieństwa, których konkwistadorzy dopuścili się na Indianach.

- Nawet drukarze i księgarze przyłączyli się do walki z Hiszpanią. Te tytuły i dziesiątki innych przemycano tysiącami we wszystkie zakątki hiszpańskiego imperium, żeby tchnąć ducha w gromady pokonanych buntowników i innych malkontentów z Katalonii, Aragonii i Kalabrii. Tłumaczono je nawet na arabski i szmuglowano do Afryki z myślą o Moryskach wygnanych z Hiszpanii przez Filipa III. Tysiące Morysków, podobnie jak katalońskich i kalabryjskich buntowników zachęcano, żeby mężnie sięgnęli po broń i jeszcze raz ruszyli na Kastylijczyków. Zwłaszcza że teraz staną u ich boku protestanci całej Europy.

Okazało się więc, że po raz drugi słucham opowieści o wyprawie Raleigha oraz zмовie biskupów i książąt całej Europy potajemnie obmyślających *coup de main*<sup>5</sup> wymierzony we wspólnego wroga: króla Hiszpanii. Niemniej w opowieści Alethei królowi Filipowi daleko było do wszechmocy. Szpiedzy angielscy i holenderscy penetrowali wybrzeża La Coruña i zaułki Kadyksu zabudowane wapieniem, donosząc, że flota królewska jeszcze nie wydobrzała po zniszczeniu tak zwanej Niezwyciężonej Armady; a utrata tej floty w 1588 była pierwszą jaskółką zapowiadającą kres ogromnego imperium. Utraconych galeonów nie zastąpiono nowymi, uszkodzonych nie wyremontowano, zapasy drewna na Półwyspie Iberyjskim były bowiem na

wyczerpaniu, a zwłaszcza na wyczerpaniu były pieniądze: szpiegzy donosili z giełdy, że import kruszcu z Ameryki spadł z dziewięciu tysięcy ton rocznie do trzech z okładem. Na skutek tego Filip był zadłużony po uszy wobec *hombres de negocio*<sup>6</sup>, podobnie jak dziesiątki sewilskich kupców i armatorów, którzy mogli tylko bezradnie patrzeć, jak spada na łeb, na szyję cena srebra, a zamorski handel galeonowy więdnąć. Wielka wojna europejska - w której nie zanosilo się na zwycięstwo Hiszpanów - położyłaby raz na zawsze kres hiszpańskim konwojom, które dwa razy do roku przemierzały Atlantyckie Ocean z skarbami Nowego Świata pod pokładem, pięć tysięcy mil do Andaluzji. Lont tylko czekał. Ogień mieli skrzesać sir Ambrose i żołnierze na pokładzie *Philipa Sidneya*.

Misja okazała się wszakże klęską. Znowu słuchałem historii o śmiałym przedsięwzięciu udaremnionym przez informatorów, którzy zagnieździli się w Ministerstwie Marynarki, a nawet zamustrowali na *Destiny*. Niemniej o klęsce można mówić do chwili, w której *Philip Sidney* w drodze powrotnej do Anglii przechodził Cieśninę Zawietrzną. Tam natknął się na resztki floty meksykańskiej rozproszonej wzdłuż kubańskich wybrzeży przez straszliwy sztorm z gatunku zwanego przez hiszpańskich żeglarzy *huracan*. Był to czysty przypadek, rzadki dar losu na osłodę katastrofy. Więcej, sir Ambrose może nigdy by nie dostrzegł owego konwoju, opowiadała Alethea, gdyby nie osobliwa woń, o której donieśli marynarze, kiedy okręt, sondując dno, przechodził o dziesięć mil<sup>7</sup> na zachód od hiszpańskiego portu Santiago de Cuba.

- Woń? - Przypomniałem sobie opowieść Biddulpha o wonnym galeonie.  
- Jakiego rodzaju?

- Pachnidło - odrzekła Alethea. - Nad całym morzem unosiła się woń pachnidła; może kadzidła. Wyobraża pan sobie? W pierwszej chwili ludzie na pokładzie *Philipa Sidneya* pomyśleli, że to halucynacja, bo zwiidy na morzu nie są rzadkością. Na ogół wiążą się z barwami; kiedy fale nabiorą zieleni, może się wydać, że okręt płynie przez błonia. Ale nikt z załogi *Philipa Sidneya* nie słyszał o podobnym zwidzie, nawet sir Ambrose. A potem, kiedy zapach

zgęstniał, marynarz z masztu coś dostrzegł na widnokręgu.

- Galeon - mruknąłem.

- Flotę galeonów - poprawiła.

Był to konwój z Nowej Hiszpanii; w ciągu trzech tygodni od wyjścia z Veracruz czternaście galeonów pokonywało wzburzone morze kursem północno-wschodnio-północnym w stronę zwrotnika Raka; miały potem ruszyć ku wyższym szerokościom, czterdziestych i pięćdziesiątych równoleżników, żeby ominąć północno-wschodnie pasaty. Konwój przemierzał roziskrzone, pełne prądów i wirów wody między Hispaniolą a Cabo Maisi; większości czternastu okrętów nie pozałowano ładunku, niższe furty działowe groziły zanurzeniem. Galeony powinny były spotkać *armada de la guardia de la carrera*<sup>8</sup>, która miała doprowadzić konwój do Wysp Kanaryjskich. Ale eskorta nie dotarła, może powstrzymana przez ten sam orkan, który przez ostatnie dwa dni pastwił się nad konwojem u wybrzeży Kuby. Podczas obchodzenia nękanego wichurą przyłódka trzynaście okrętów zbiło się w gromadę jak stado wielorybów, tymczasem czternasty miał już silny przechył. Odstawał od konwoju o kilka strzałów z łuku.

- *Sacra Familia* - podpowiedziałem. Alethea pomilczała chwilę i przytaknęła.

- Z początku galeon wydawał się majakiem. Kiedy *Sidney* podszedł bliżej, zapach nabrał intensywności, a marynarze zobaczyli okręt złocisty, jakby na stengach i rejach osiadła słoneczna poświata lub zapłonęły ognie świętego Elma. Dopiero groźba przeciągnięcia pod kilem zdołała nakłonić najbardziej zabobonnych marynarzy do wytrwania na stanowiskach. Sir Ambrose rozpoznał zapach niemal od razu. Już wiedział, że to nie pachnidło, lecz drzewo sandałowe, którego olejek dodaje się do mydła i kadzideł. Drzewo, którego złocistego rdzenia król Salomon użył w Jerozolimie do budowy świątyni.

- *Sacra Familia* wiozła ładunek drzewa sandałowego? - Wciąż zaintrygowany, poczułem jakieś rozczarowanie na myśl, że ów czarodziejski,

legendarny okręt zostaje zdegradowany do roli frachtowca, transatlantyckiego muła.

- Otóż nie, chociaż sir Ambrose tak pomyślał z początku. Rychło zauważył, że wodnica ładunkowa przechylonego galeonu wznosi się wysoko nad falami. Zrozumiał, że *Sacra Familia* nie przewozi sandału ani srebra czy złota z kopalni Nowej Hiszpanii, że nie ma pod pokładem ładunku, chociaż znalazła się we flocie meksykańskiej. Widzi pan, zapachy rozsiewał sam galeon - wyjaśniła Alethea - wydzielają go deski i maszty. Zbudowano go bowiem od dzioba po rufę z drewna sandałowego, niczym świątynię Salomona. Sir Ambrose natychmiast zapomniał o pozostałych trzynastu okrętach i nakazał pościg za *Sacra Familia*.

Trzyście okrętów wylądowanych po brzegi srebrem z meksykańskich kopalni, może złotem, może belami chińskiego jedwabiu z Manili... Próbowałem to sobie wyobrazić. Najbogatszy konwój morski na świecie przemierza bez eskorty pięć tysięcy mil zdradliwego oceanu w drodze do Zatoki Kadyksu. Jednak sir Ambrose rezygnuje - także ze swej świętej misji - żeby ścigać inny okręt o pustych ładowniach: galeon z drewna sandałowego.

- To drewno mogło zdobić świątynię Salomona - mówiła dalej Alethea - ale nie nadawało się do budowy okrętów. Rdzeń pnia jest ciężki, ledwie pływa. Dlatego *Sacra Familia* nie nadążała za resztą konwoju. I dlatego *Philip Sidney* bez trudu ją doścignął. Jak ogier arabski muła.

- Dlaczego zbudowano okręt sandałowy? Nie z dębu ani z teki?

- Takie właśnie pytanie zadał sobie sir Ambrose. I wkrótce znalazł odpowiedź. Zrozumiał, że *Sacra Familia* nie płynie z Veracruz. Najpewniej okręt miał za sobą podróż znacznie dłuższą, z bardzo daleka.

- Z Pacyfiku - mruknąłem, mając w pamięci opowieść Biddulpha o szczurach bambusowych; był przeświadczony, że okręt przebył Cieśninę Magellana, najeżone wyspami i mieliznami ciasne przejście na końcu świata.

- Zrozumiał, że ten galeon zbudowano kiedyś z belek i desek dębowych -

ciągnęła Alethea - bo skutnicy z La Coruña nie budowali sandałowych okrętów, nawet jeżeli zapas drewna się kończył. Lecz najwidoczniej cieśla okrętowy w jakimś momencie nie miał wyboru. Sir Ambrose uznał, że *Sacra Familia* rozbiła się, a po katastrofie cieśle odbudowali ją na brzegu lądu, na którym drzewo sandałowe jest jedynym budulcem; właśnie sandał, nie dąb. Zapewne na jakiejś wyspie na Pacyfiku, bo tylko tam rosną lasy sandałowe.

Nawet sir Ambrose nie w pełni doceniał ów fakt do chwili dośnięcia galeonu, na godzinę przed zmierzchem. Działo się to o milę od niegościnnych wschodnich wybrzeży Cabo Maisi. *Sacra Familia* nie miała szans, nawet bez ładunku, bo *Philip Sidney* był najwspanialszym liniowcem, jaki kiedykolwiek krążył po morzach, z wyśmienitą bitną załogą. Na rozkaz sir Ambrose'a żołnierze zanurzyli w łoju ostrza pik, a doborowi strzelcy z muszkietami i serpentynami wdrapali się na masztowe platformy i bocianie gniazda. Pod pokładami kanonierzy napełniali prochem drewniane gilzy, nabijali działa, w żelaznych koszach z węglem drzewnym żarzyli ogniste kule podobne do ogromnych kasztanów. Lecz zanim bitwa rozgorzała na dobre, było już po niej; *Sacra Familia* nie mogła ani walczyć, ani uciec. Podczas sztormu na sandałowym galeonie zamókł proch, wcześniej poszycie tak obrosło w pąkle, kadłub tak spętały wodorosty zwane przez Portugalczyków *sargaco*, że byle poruszenie steru wymagało ogromnego wysiłku. Angielski okręt zbliżył się na odległość strzału artyleryjskiego zaledwie w godzinę po dostrzeżeniu *Sacra Familia*. Na powitanie 32-funtowy pocisk rozbił galeon Hiszpana. Odpowiedzi nie było, więc dwa kartacze rozdarły żagle w strzępy, nie mówiąc o ludziach na rejach i przy fałach, którzy na próżno usiłowali podnieść więcej płótna, w nadziei ucieczki.

Bitwa dogasała niespełna godzinę. Strzelcy otworzyli ogień z góry, z pokładów poleciały rozżarzone piki, z łuków płonące strzały. Od jednej z nich, która wpadła do włazu, zajął się forkasztel, a szukający ratunku marynarze rzucali się wprost do morza. Ogień gwałtownie rozprzestrzenił się po statku,

wtedy rzucili się do wody inni. Galeon zdryfował w stronę przylądka na koralową rafę, na której już tkwił, jak zwłoki wisielca, roztrzaskany kadłub innego, starego galeonu; na przegniłej tarczy herbowej wciąż można było odczytać nazwę: *Emperador. Sacra Familia* rychło dołączyła do wraku; rozpadła się na kawałki na kilkusetmetrowej płyciźnie, kiedy na *Philipie Sidneyu* opuszczano szalupy z abordażowym oddziałem pięćdziesięciu żołnierzy ze sznurowymi drabinami i hakami. Paru Hiszpanów, którzy nie potonęli, pożarły rekiny, lecz wcześniej widziano, jak ci ludzie uwijają się w płomieniach i wyrzucają za burtę dziennik okrętowy, mapy morskie galeonu, drewnianą tabliczkę kursową sternika - *derroterro* - wszystko, co mogło zdradzić tajemnicę rejsu. W sumie katastrofę przeżyły tylko szczury, ogromne bambusowe szczury, które uciekły ze statku i popłynęły ku bananowym plantacjom na brzegu.

- Teraz już zapadł zmierzch. Jaskrawy zachód słońca zapowiadał cichnięcie sztormów. Sir Ambrose kazał sondować dno, a potem rzucić kotwicę o milę od przylądka, za którym *Philip Sidney* przeczekał ostatni sztorm. Na rafie płonął przez całą noc wrak galeonu. Rankiem wysłano oddział do przetrząśnięcia tego, co zostało. Trzeba się było śpieszyć. Ktoś mógł dostrzec z lądu płomienie, wiadomość o wraku mogła lotem gołębia dotrzeć do Santiago, a może zapach już ostrzegł Hiszpanów, przed wschodem słońca bowiem wiatr zmienił kierunek na południowo-wschodni i teraz zapach sandałowego drewna niósł się z dymem ku wybrzeżu.

- Coś znalezione?

- Przez parę godzin właściwie nic. Przynajmniej nic takiego, co mogło wynagrodzić ludziom mózół na niebezpiecznych wodach pełnych rekinów. Nie znaleziono dziennika okrętowego, żadnych map morskich, dokumentów, za które Ministerstwo Marynarki mogło sowicie zapłacić. Z galeonu niewiele zostało do południa prócz kilu; co oszczędził ogień, to rozpedziły wiatr i fale. Sir Ambrose miał już odwołać oddział - koło wybrzeży zauważono hiszpańską fregatę - ale tymczasem ludzie coś podnieśli z płycizny; coś nadpalonego,



przemoczonego, lecz nietkniętego.

- Tak? - Wstrzymałem oddech. - Co takiego?

- Kufer marynarski - odpowiedziała Alethea. - Nie pierwszy lepszy, bo z tego samego drewna co okręt. Ze snycerką na boku: herbem człowieka nazwiskiem Pinzón.

- Kapitana - podpowiedziałem Śpiesznie. Pokręciła głową.

- Francisco Pinzón był żeglarzem, i to sławnym, wychowankiem Szkoły Nawigacji i Kartografii w Sewilli. Był też nawigatorem wyprawy Quirosa, która w 1606 wyruszyła na poszukiwanie Wysp Salomona. Musiał wyrzucić kufer za burtę wraz z resztą rzeczy, a kufer ocalał z pożaru i katastrofy; sandał jest równie trwałe jak piękny. Po otwarciu znaleziono w środku książki, głównie opowieści rycerskie; szlachetny seńor Pinzón najwyraźniej był zapalonym czytelnikiem. Poza tym w kufrze znalazła się księga, która sama w sobie jest zbiorem opowieści o niebezpiecznych i niesłychanych przygodach.

- Egzemplarz Orteliusa.

- Tak. Praskie wydanie *Theatrum orbis terrarum*, podówczas taka rzadkość, że nawet sir Ambrose nigdy nie widział egzemplarza. Właśnie otwierał okładkę, kiedy do kabiny Śpiesznie wszedł marynarz. W wodzie odnaleziono coś jeszcze.

To był kolejny trop: dziesiątki skrawków papieru z dziennika okrętowego, które przed wyrzuceniem za burtę ktoś usiłował podrzeć. Strzępy skrupulatnie wybrano z wody, potem sir Ambrose je wysuszył i ostrożnie rozłożył w kabinie na stole. Zadanie zajęło większą część popołudnia i okazało się niełatwe; wielu strzępków brakowało, inne się okazały nieczytelne. Pierwszym punktem odniesienia było tych kilka słów: TOLEDO, LONGITUDO, JOWISZ. Tymczasem hiszpańska fregata zbliżyła się na odległość mili, a większą eskadrę dostrzeżono przy brzegach Hispanioli. Hiszpanie nie osaczyli jednak *Sidneya*. Podniósł kotwicę i wkrótce po zapadnięciu zmroku dotarł do Wysp Bahama. To tam, między palmami i rafami koralowymi, na ciemnych wodach pełnych rekinów i

piratów, sir Ambrose dokończył składania tych ocalałych skrawków i rozgryzł tajemnicę *Sacra Familia*.

- To była jeszcze jedna mapa? - spytałem.

- Nie - odrzekła. - Coś dużo bardziej intrygującego. Może pan zechce zobaczyć? - Wstała. - To, co zostało, jest dość czytelne.

Ja też się podniosłem, lecz ruch chyba mi zaszkodził; znowu poczułem oszołomienie. Na chwiejnych nogach powędrowałem za Aletheą do atrium wypełnionego niesamowitą burzową poświatą. Szum deszczu w oknach wciąż narastał, żyrandol hałaśliwie podzwaniał. Marmurowymi schodami pociekły strużki, woda kapała z poręczy i zbierała się w kałużach na posadzce na dole, lecz Alethea na nic nie zważała, może jej to nie obchodziło; delikatnie ujęła mnie za ramię, by przeprowadzić obok małego wodospadu, i nawet nie przerwała opowieści o tablicach. Ulewa nieco tłumiała jej głos. Miałem wrażenie, że posadzka pod nogami drży, kiedy szliśmy korytarzem, obok Wielkiej Komnaty i śniadalni. Znienacka i otchłannie rozwarło się przed nami zejście do krypty.

- ...kulminacje, zaćmienia, zakrycia - głos Alethei odbijał się od obitych miedzią ścian, kiedy zanurzaliśmy się w stojące grobowcowe powietrze.

Poczułem wodę pod nogami u podnóża schodów. Chyba ściekała po ścianach, bo kiedy otarłem się ramieniem, rękaw przemókł. Spływały koło nas jakieś oleiste fale. Alethea przyspieszyła, brodząc, chlapiąc i najwyraźniej wciąż na nic nie zważając.

- W tych tablicach zjawiska obliczono z najwyższą precyzją. - Jej głos dobiegał teraz jak z oddali; w tych mrokach szła przede mną, wysoko unosząc skrzypiącą latarnię. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy niewidocznych przepływów: woda szumiała i syczała, zapewne w skalistych wyżłobieniach. - A to wszystko, widzi pan, tabele i kalendarz, obliczył sam Galileusz.

Znowu znalazłem się w podziemnym archiwum, gdzie po raz pierwszy - i tylko za pośrednictwem okruchów - dowiedziałem się o istnieniu tajemniczego

sir Ambrose'a Plessingtona. Zatrzymałem się w progu. Tutaj podłoga też była pod wodą. Przemoczone sitowie zachlupotało: Alethea podeszła do trumny spoczywającej na kozłach, na których wydawała się na razie bezpieczna. Zawiesiła na haku latarnię, a wtedy ze zdumieniem zobaczyłem, że woda jest niemal szkarłatna. Ze sklepienia ściekła kropla koloru krwi i splamiła mi kłykcie.

- To czerwień wenecka - wyjaśniła Alethea. - Używam jej do szukania podziemnych cieków. Wlewam barwnik w ogrodzie wodnym i śledzę przepływy. Pewnie mogłabym użyć mniej makabrycznego koloru, ale barwnik się sprawdza, bo już zdołałam znaleźć kilka ukrytych kanałów. Inżynier zakłada rury i dreny, więc wreszcie weźmie w karby te podziemne źródła, a wodę skieruje do fontann.

Wytarłem ręce w kamizelę i stałem bez słowa; Alethea zdjęła z trumny wieko i zaczęła grzebać w papierach. Słyszałem monotony szum wody żłobiącej tajemniczy kanał za ścianą. Wziąć w karby takie wody? Musiałem podziwiać jej optymizm, niewzruszoną pogodę i siłę marzeń. Nawet taka katastrofa nie zachwiała monumentalną wizją domu. Musiałem też podziwiać Aletheę z innego powodu. Zjawiłem się w Pontifex Hall, drżąc z gniewu i nienawiści, a teraz niemal z żalem przekonywałem się, że nie sposób jej nie lubić. Może tak samo dają się mamić ułudom jak ona; może i ja brodzę za nią powodowany tymi samymi marzeniami i pragnieniami.

- Znalazłam.

Głos Alethei wyrwał mnie z zadumy. W wyciągniętej ręce trzymała papier bądź inny podkład, na który naklejono dziesiątki skrawków. Jeszcze jeden tekst, jeszcze jeden urywek składający się na opowieść o życiu jej ojca. Podsunęła kartę do lampy, a wtedy dostrzegłem trzy lub cztery kolumny liczb, w których to tu, to tam widniała luka.

- Zagadka galeonu *Sacra Familia* - powiedziała - rozwiązana przez sir Ambrose'a. Zdoła pan przeczytać? Tablice przepowiadają zaćmienia każdego z

księżyców Jowisza.

Ostupiały zamrugałem na widok tego dzieła.

- Księżyców Jowisza? Ale co mają wspólnego...

I nagle pojąłem. Zobaczyłem ostro druk, znaki wręcz sfruwały ku mnie z kartki. Na papierze zaplamionym wenecką czerwienią dostrzegłem już słowa JOWISZ i LONGITUDO, lecz w tym momencie ze ściany jak czop z beczki wypadł kamień; w ślad za nim runęła czerwona fala.

Odskoczyłem, czując w butach lodowatą wodę. Odpadł następny kamień, do środka wlało się więcej wody, która jak rdzawa błyskawica zawirowała wokół naszych nóg. Tak zaczął się kataklizm. Przez moment sparaliżowany wyobrażałem sobie, że wali się cała ściana, nas dwoje zalewają tony wody, miążdży nas zgruchotany mur. Otrząsnąłem się i chwyciłem Aletheę za rękę.

- Idziemy - powiedziałem. - I to zaraz, bo potoniemy. Wyrwała się z mego uścisku i na chybił trafił zgarnęła całe naręczce dokumentów z trumny, która niebezpiecznie chwiała się na kozłach.

- Dokumenty! - krzyknęła. - Pomóż mi!

Nie miałem zamiaru tonąć z powodu sir Ambrose'a Plessingtona. Chwyciłem ją za ramię i pociągnąłem do progu. Dokumenty, które tuliła do piersi, rozsypały się, wpadły do wody, tusz się rozmył i spłynął z pergaminu do bulgocących potoków. Wśród przemoczonych dokumentów dostrzegłem i ten uratowany z galeonu: tajemnica *Sacra Familia* znów utonęła.

Drugi raz nie uda się jej odzyskać. Sięgnąłem po latarnię, nie puszczając Alethei, i zdołałem odepchnąć szerzej drzwi o parę cali. Woda już wdarła się do podziemi, w korytarzu wezbrała na dwie stopy, potężny strumień rwał od strony wyjścia. Z wysoko uniesioną latarnią usiłowałem dobrać do schodów. Z zimna traciłem czucie w nogach. Słyszałem szum wody w zakamarkach, chlupot fal rozbijających się o obite miedzią ściany. Odwróciłem się do Alethei.

- Jest inne wyjście?

- Nie ma. - Wciąż była pochłonięta ratowaniem jakichś resztek

ojcowskich dokumentów, które pływały koło nas jak pstrągi w potoku, holując czerwone wstążki i pieczęcie. - Tylko to, którym przyszliśmy.

Odciągnąłem ją; woda sięgała kolan. Nie była już czerwona, lecz czarna. Po paru krokach usłyszałem, że trumna spada z kozłów i przewraca się. Parłem naprzód. W świetle latarni zobaczyłem, że pod straszliwym naporem wody rozwierają się inne drzwi w korytarzu. Przybywało dopływów. Rwący nurt niósł teraz na nas kawałki drewnianych baryłek, zwoje starych lin, a potem urny z jakiegoś pradawnego ossuarium. Napłynęły kości, rozkołysane czaszki i uda; sunęły na nas przemieszane bezładnie szczątki setek mnichów.

Brodziłem wśród tych makabrycznych resztek, wciąż holując Aletheę. Została nam najwyżej minuta, zanim woda zaleje podziemie do reszty. Sięgała już ud, kiedy usłyszałem gorączkowe piski. Pomyślałem, że skrzypią zawiasy latarni, ale myliłem się; to były dziesiątki szcurów - tłustych stworzeń o zmierzwionej sierści - płynących pod prąd, włączających na pływające kawałki beczek, na czaszki. Straciłem grunt pod nogami i upuściłem latarnię, która wpadła do wody i zgasła z sykiem. Nic nie widziałem; w dali majaczyło wyjście: ta odrobina światła z góry. Przedzierałem się ku niej i tak osłabłem, że na schodach ledwie mogłem ustać. Woda podeszła mi do piersi, a ja trzykrotnie próbowałem znaleźć pod wodą punkt oparcia, zanim natrafiłem na stopień. Potem znalazłem poręcz i chwyt za chwytem, wyziębiony i wyczerpany dotarłem do wyjścia, a za mną Alethea.

Korytarzem na górze spływała woda i jak potok wlewała się do podziemia. Słaniając się na nogach, dobrnęliśmy do atrium, obok śniadalni i Wielkiej Komnaty. W tej ostatniej strumienie łąły się z gzymsów i karniszy, przypominając stalaktyty z tynku. Odpadł właśnie fragment sufitu, odsłaniając listwy i belki. W ścianach zaczęły się pojawiać szczeliny o rysunku błyskawic, do wody coraz gęściej sypał się tynk. A potem, spoza szumu i łoskotu, dobiegło nas rozpaczliwe wołanie: Phineas wzywał lady Marchamont.

- Książki! - Alethea przekrzykiwała wodę. - Trzeba ratować książki!

Lecz nie dotarliśmy do biblioteki; w każdym razie nie teraz. W atrium zobaczyliśmy plecy Phineasa, który usiłował zamknąć przed kimś wejściowe drzwi, jak wcześniej przede mną. Chwiały się wraz z futryną, ktoś wściekle szturmował je z zewnątrz. Phineasowi znowu nie dopisało szczęście, bo kolejny cios wyłamał drzwi, które ustąpiły z trzaskiem łamanego drewna, przy wtórze wichury. Z żyrandola dobiegało dzwonienie kryształowych wisiorów, w dłoni poczułem wyziębioną dłoń Alethei. Wreszcie przybyli nasi goście.

To był ich powóz, widziałem go za drzwiami, ten sam, który zauważyłem wcześniej: wehikuł przystosowany do szybkiej jazdy, z kopulastym dachem, zaprzężony w czwórkę koni, spienionych i bijących w ziemię kopytami. Usłyszałem chrzęst żwiru; w wyłamanych odrzwiach stanęła rozłożysta postać, za nią trzech ludzi w czarnych liberjach obszytych złotem.

- Sir Richard? - Stojąca przy mnie Alethea skamieniała, zamarła z otwartymi ustami. Myślała o morderstwie na Pont Neuf? Puściła moją rękę. - Co pan tu robi? Co to ma znaczyć...?

Pierwszy poszukał odpowiedzi Phineas: rzucił się na najbliższego z mężczyzn, ale szanse były nierówne. Przeciwnik wyciągnął zza pasa krótki sztylet, zwinnie odparował dwa słabe ciosy, a potem zatopił ostrze w ciele Phineasa szybkim i wprawnym ruchem. Lokaj upadł bez słowa, a jego przeciwnik, tęgi mężczyzna z ciężkimi powiekami, wytarł sztylet w spodnie i podszedł do nas.

- Sir Richard? - Alethea zachwiała się. Była blada jak ściana. Sir Richard nie patrzył na wstrząśniętą narzeczoną, lecz na mnie.

- Pan Inchbold - powiedział spokojnym tonem, zdjął kapelusz i zamiótł nim przede mną. - No pięknie; czyli że jestem dobrze poinformowany. Zaradny z pana człowiek, nie ma co. Chociaż na własne oczy widziałem, jak pan utonął w rzece, moi informatorzy zapewniali, że się mylę. No pięknie. Mam nadzieję, że równie dobrze radził pan sobie w poszukiwaniach. - Odpiął mosiężny guzik, za pasem tkwił pistolet. Strumień wody omywał mężczyźnie buty. - Więc gdzie

to jest? - Podszedł bliżej. W ślad za nim skwapliwie ruszyło ubrane na czarno trio. - *Labirynt świata?* Gdzie jest?

Sięgnął po pistolet, lecz w tym momencie podłoga atrium przechyliła się jak pokład tonącego okrętu i wszyscy czterej stracili równowagę. Zanim zdążyli stanąć na nogi, z góry runął kandelabr uwolniony z haka i roztrzaskał się między nimi na posadzce na tysiące drobin. Sir Richard cofnął się, wciąż szukając za pasem pistoletu. Pod podeszwami poczułem chrzęst szkła, a potem na plecach dwie dłonie. To była Alethea.

- Nie ma czasu! Uciekajmy!

## IX

Księżyców Jowisza nie można dostrzec gołym okiem; wszystkie cztery świecą zbyt słabo, nawet największy Kallisto. Owe cztery księżyce, okrążające Jowisza w cyklach od półtora do szesnastu i pół dnia, pierwszy zobaczył Galileusz, posługując się lunetą powiększającą trzydziestodwukrotnie, a stało się to pewnej styczniowej nocy roku 1610. Cztery nowe światy, których ani w starożytności, ani współcześnie nikt jeszcze nie oglądał. Galileusz opublikował opis odkrycia w *Sidereus nuncius*, „Posłańcu gwiezdny”; obserwację w ciągu roku potwierdzili astronomowie jezuicki w Rzymie i Kepler w Pradze. Potwierdził je też niemiecki astronom Simon Marius, który nadał księżycom imiona: Io, Europa, Ganymedes i Kallisto.

Zdumiewające odkrycie natychmiast wzniciło spory. Cztery nowe księżyce były nie do pogodzenia z Pismem Świętym, mało tego, podważały twierdzenie Arystotelesa, zapewnającego w traktacie *De caelo*, że gwiazdy są trwale przytwierdzone do nieboskłonu. Na domiar złego cztery księżyce stały w sprzeczności z definicją wszechświata zawartą w innej czczonej księdze, w *Almageście* Ptolemeusza. Przeciwnicy Kopernika atakowali jego system, używając argumentu: skoro Ziemia - przypuśćmy wbrew Ptolemeuszowi - nie jest środkiem wszechświata, to czemu tylko Ziemię okrąża Księżyc? Tymczasem obroty księżyców Jowisza naprowadziły Galileusza na myśl, że

ciała niebieskie mogą okrążyć planetę w tym samym czasie, kiedy planeta okrąży Słońce. Jowisz z czterema księżycami stał się dla Galileusza modelem Ziemi i jej Księżyca. W roku 1613 Galileusz napisał więc uzupełnienie do swych listów poświęconych plamom na Słońcu - polemiki z jezuickim astronomem Christopherem Scheinerem - w którym stwierdził, że księżyce Jowisza ponad wszelką wątpliwość dowodzą prawdziwości kopernikanizmu.

Z obiegu jowiszowych księżyców Galileusz wyciągnął też wnioski praktyczne, które utrzymywał w sekrecie głębiej niż kopernikanizm. Był przecież urodzonym praktykiem. Zrzucał kule armatnie z krzywej wieży w Pizie, żeby obalić Arystotelesowską koncepcję ruchu, ale w Auditorium Maximum w Padwie przedkładał studentom najlepsze sposoby fortyfikowania miast i konstruowania dział. Teraz uzmysłowił sobie, że księżyce Jowisza - ściślej: ich zaćmienia widoczne, kiedy księżyce wchodzą w cień planety - pomogą mu rozgryźć bardzo stary problem określania na morzu długości geograficznej, za którego rozwiązanie król hiszpański przyrzekł nagrodę 6 tysięcy dukatów, a Stany Generalne Holandii, żeby nie zostać w tyle, 30 tysięcy florenów. Zawieszenie broni podpisane między dwoma państwami w roku 1609 miało wkrótce wygasnąć - ale działa mogły się z nim rozprawić jeszcze wcześniej. A podczas nowej wojny Hiszpanie będą walczyć z Holendrami nie tylko na wysłużonych polach bitewnych Europy, lecz i na wyspach Pacyfiku. Przecież donoszono już o paru holenderskich rajdach na *presidios*<sup>2</sup> w Tierra Firme<sup>3</sup>. Zatem Galileusz, żarliwy katolik, obliczył tablice zaćmień i za pośrednictwem poselstwa Toskanii w Madrycie zwrócił się do Filipa III. Tablice określały chwilę i czas trwania zaćmień każdego księżycy Jowisza i miały być rękojmnią powodzenia Hiszpanów na Pacyfiku; owe zaćmienia, podobnie jak zaćmienie Księżyca ziemskiego, dostrzega się z każdego miejsca na Ziemi w tym samym momencie. A w przeciwieństwie do zaćmień Księżyca ziemskiego, do zaćmień księżyców Jowisza dochodzi bardzo często, w przypadku Io niemal codziennie. Zatem dla wszystkich, którzy mogą dokładnie przewidzieć owe



zaćmienia, Jowisz z księżycami stawał się zegarem niebieskim i umożliwiał wykazanie różnicy czasu między dwoma miejscami na Ziemi.

- W połowie roku 1615 zarówno szpiedzy Partii Wojny, jak i holenderskich Stanów Generalnych donosili z Madrytu, że na hiszpańskich okrętach na Pacyfiku zaczęto wypróbowywać tablice Galileusza. Oczywiście rzecz była ściśle tajna. - Alethea wyprzedzała mnie o dwa kroki w ciemnym korytarzu, w którym woda pokryła dywan na głębokość cala. - Tych tablic Galileusz nigdy nie opublikował.

- *A Sacra Familia* była jednym z tych okrętów?

Przytaknęła.

- Sir Ambrose czytał wszystkie raporty nadsyłane do Lambeth Palace, zobaczywszy więc na morzu tarczę herbową z nazwą, zaraz skojarzył galeon.

Ścigani przez sir Richarda uciekliśmy, na wpół brodząc, z atrium do biblioteki, gdzie na posadzce zebrało się już tyle wody, że książki z najniższych półek były w połowie zalane, a te z wyższych spadały dziesiątkami. Tekturowe okładki marszczyły się, stronice z bezdrzewnego papieru rozpadały się na strzępy lnu i konopi, z których je zrobiono. W czczym geście ratowania schyliłem się po jedną, lecz Alethea nie pozwoliła przystawać. Wspięliśmy się na galerię biblioteczną po drabinie, którą wciągnęliśmy za sobą, żeby odciąć drogę prześladowcom. Teraz, ponaglani przez tupot ich butów na schodach, śpiesznie przemierzaliśmy labirynt ciemnych korytarzy na pierwszym piętrze, omijając przeszkody, kawały gipsu i zwalone belki.

- Więc na *Sacra Familia* znano już sztukę określania długości geograficznej na morzu?

- Nie - odrzekła, nie zwalniając. - Metoda Galileusza nie sprawdza się na morzu. Na lądzie czy w obserwatorium tak; lepszej nie wynaleziono. Ale nie sposób korzystać z niej na morzu. Na płynącym okręcie z trudem można użyć kwadrantu Davisa<sup>4</sup>, a co dopiero teleskopu, i to na wzburzonych wodach Pacyfiku. Jeżeli nawet zdoła się dostrzec Jowisza na parę sekund, to przy

najmniejszym zakołysaniu szkoda marzyć o uchwyceniu w lunecie księżyców, nawet z użyciem z okularu dla dwojga oczu, który wynalazł Galileusz.

Ile to potrwa, zanim nas dopadną? Zza gipsowych ścian dobiegał łoskot. Może tupot naszych prześladowców? Może burza? Może woda przedziera się środkiem budynku? Chyba drżała podłoga. Okułały, obolały, wciąż podążając za Aletheą, zataczałem się i potykałem. Byłem doszczętnie przemoczony, ledwie żywy, ale nie opuszczała mnie ciekawość. Chciałem wiedzieć, co to za tajemnica, dla której przyjdzie mi pewnie zginąć.

- Więc co takiego odkrył *Sacra Familia*?

- Wyspę bambusów, lasów sandałowych i złota - odpowiedziała i wzięła mnie za rękę, bo właśnie skręcaliśmy. - Gdzieś w pasie południowo-wschodnich pasatów wiejących w stronę zwrotnika Koziorożca galeon osiadł na mieliźnie u brzegu wyspy. Dla ścisłości: nie zasłanej złotem, za to pełnej występującego zawsze w sąsiedztwie złota białego szpatu, żółtawych kryształów, które arabscy alchemicy zwą *markasita*. Pinzón wiedział, że to ta sama wyspa, która znalazła się w praskim wydaniu *Theatrum orbis terrarum*. Widzi pan, Pinzón był już raz u jej brzegów, w 1595, podczas ostatniej wyprawy Mendaña szukającego Wysp Salomona.

- Zatem Mendaña zamiast Wysp Salomona odkrył Manoa?

- A może jedną z owych legendarnych Wysp Króla Salomona? Kto wie? Mendaña z Pinzonem mogli uznać, że na tej nowej wyspie porośniętej sandałowcami i pełnej białego szpatu znajdowały się kiedyś kopalnie króla Salomona. Wprawdzie trafiła na kartę praskiego wydania *Theatrum*, lecz nikt nie umiał na nowo jej odnaleźć, jak i prawdziwych Wysp Salomona.

Znowu skręciliśmy; mijaliśmy teraz pomieszczenia, zapewne dawne skrytoria, za których szeroko rozwartymi drzwiami widniały pulpity kopistów i przyborniki pisarskie. Podłogi skrytoriów też były już pod wodą wypaczyły się boazerie, lało się ze ścian. Korytarz zawracał w lewo. Dokąd uciekamy?

- Lecz teraz ustalono długość geograficzną wyspy - ciągnęła Alethea. -

Tablice Galileusza podawały porę każdego zaćmienia według czasu Toledo, gdzie zerowy południk wyznaczyli Hiszpanie. Pinzón zapisał dokładny czas tych samych zaćmień na wyspie. Zatem po odbudowaniu okrętu, z sandałowca, pożegłował z powrotem do Hiszpanii, skąd w przyszłości mogłaby wyruszyć nowa wyprawa na wyspę, mądrzejsza o poprawnie obliczoną pozycję. Lecz *Sacra Familia* nie zawięła do Kadyksu. - Znowu skręcaliśmy. Poczulem jeszcze mocniejszy uścisk. - A gdyby nawet wróciła do Hiszpanii, dane nie były już warte papieru, na którym je spisano. W ciągu zaledwie roku tablice Galileusza, jak dotąd jeden z najcenniejszych dokumentów chrześcijańskiego świata, przemieniły się w herezję, której wyznawców palono na stosie.

Już same księżycy Jowisza wznieciły spory, ale zjawisko zaćmień wiodło do sporów jeszcze gorętszych. Galileusz odkrył zaćmienia w roku 1612, w dwa lata po dostrzeżeniu księżyców. Ich ruchy zaczął obliczać w 1611, posługując się tablicami Ptolemeusza, w których Ziemia znajduje się pośrodku obrotów Jowisza, nie zaś tablicami Kopernika. Ale dopiero po ponownych przeliczeniach, na podstawie tablic kopernikańskich, Galileusz odkrył, w jaki sposób Jowisz powoduje zaćmienia księżyców, jak rzuca cień na ich powierzchnię i uniemożliwia świecenie odbitym światłem Słońca. Teraz obliczenie przyszłych zaćmień było zadaniem względnie prostym, ale nie na podstawie tablic Ptolemeusza, te bowiem wprowadzały w błąd zarówno co do czasu zaćmienia, jak i określania pozycji Księżyca na tle gwiazd w momencie początku i końca zaćmienia. Przewidywanie zaćmień księżyców Jowisza - klucz do wyznaczenia długości geograficznej - wiązało się odtąd z uznawaniem kopernikanizmu: herezji, za którą spalono w Rzymie Giordana Bruna zaledwie dwanaście lat wcześniej.

Dalszy ciąg tej historii znałem aż za dobrze: nieuctwo tryumfalnie bierze górę nad rozumem, ortodoksja i przesąd nad wynalazczością. W 1614 roku Galileusz pisze list do księżnej Krystyny z Lotaryngii, w którym usiłuje pogodzić kopernikanizm z Pismem Świętym. Wysilek daremny, list został

bowiem przedłożony inkwizycji, której mroczną machinę wprowadził w ruch papież Paweł V. Kardynałowie zebrani w pałacu SanfUffizio wezwali Galileusza do Rzymu, a po przesłuchaniu uczonego potwierdzili, że kopernikanizm jest doktryną heretycką. To wszystko wydarzyło się w zimie 1616 roku, wkrótce po podniesieniu żagli na galeonie *Sacra Familia* wyruszającym w daleką wyprawę na Południowy Pacyfik. Metoda Galileusza okazała się nie tylko mało praktyczna; kiedy zdziesiątkowany konwój zawinął wreszcie do Kadyksu, była także herezją.

- Może w innych czasach ta herezja nie okazałaby się taka groźna. Idziemy, panie Inehbold.

Poruszaliśmy się niemal na oślep. Słyszałem tylko szczury, coraz więcej szczurów, cała horda dreptała i piszczała pod nogami.

- W 1616 roku nieuchronnie nadciągała wojna katolików z protestantami. Rzym nie mógł sobie pozwolić na pobłażliwość wobec nowych zagrożeń ortodoksji, zwłaszcza rozpowszechnianych przez taką znakomitość jak Galileusz. Cóż z tego, że Isaac Casaubon obalił mit Hermesa Trismegistosa, skoro hermetyczni filozofowie całej Europy zwrócili się teraz ku nowej wiedzy, równie niebezpiecznej w oczach kurii rzymskiej. Największym niebezpieczeństwem dla autorytetu Kościoła już nie były nauki *Corpus hermeticum*; ich miejsce zajęła astronomia. Galileusza ocenowano, a jego dzieła jezuita umieścili na indeksie obok prac okultystów: Agryppy i Paracelsusa. Z metody Galileusza zrezygnowali Hiszpanie; pytania o określanie długości geograficznej upadły, a przy okazji upadła sprawa tajemniczej wyspy na Pacyfiku.

I na tym cała historia mogłaby się skończyć, mówiła Alethea, gdyby do Londynu nie dotarła wiadomość, że nie wszystko z roztrzaskanego na rafach, spalonego galeonu pochłonęły żywioły. Istniały inne egzemplarze map z *Sacra Familia*. W pierwszej chwili doniesienia wydały się niewiarygodne, równie nieprawdopodobne jak wiadomość o wyspie, ale wkrótce potwierdzili ją

szpiedzy z Madrytu i Sewilli. Otóż w drodze z Veracruz *Sacra Familia* zawinęła wraz z resztą floty meksykańskiej do Hawany, gdzie kapitan galeonu, w przewidywaniu katastrofalnych sztormów, oddał na przechowanie w misji jezuitów z San Cristobal zaszyfrowane kopie swych map; później przewieziono je do Sewilli, żeby złożyć bezpiecznie w archiwach giełdy.

- Te dokumenty trafiły też gdzie indziej. W marcu 1617, kiedy flota Raleigha szykowała się do wyprawy gujańskiej, arcyksiążę Styrii Ferdynand zawarł traktat z królem Hiszpanii, w którym król Filip, w zamian za niemieckie terytoria w Alzacji i dwie cesarskie enklawy we Włoszech, uznawał Ferdynanda za następcę cesarza Macieja. Traktat wiązał dwie najpotężniejsze rodziny Europy, dwa domy Habsburgów: hiszpański i austriacki. Dwa imperia mogły teraz współpracować, dzielić się wojskami i wiedzą, żeby w ten sposób raz na zawsze rozprawić się w Europie z protestantami. Do ich najpotężniejszych arsenałów zaliczały się oczywiście biblioteki.

Z łoskotem potoczyła się i roztrzaskała dachówka. Odpadła część sufitu i odsłoniła mansardowe belki. Z góry lały się strumienie, drogę zagradzał nam wodospad. Zza pleców dobiegł mnie krzyk, Alethea ścisnęła mi ramię i pociągnęła ku kaskadzie.

- Ale wiedeński arsenał znalazł się w niebezpieczeństwie - wysapałem już po drugiej stronie.

- Tak. W 1617 roku protestanckie wojska hrabiego Thurna stanęły u bram Wiednia.

- Jednak mapę przewieziono tymczasem do Pragi?

- Wraz z dziesiątkami innych skarbów cesarskiej biblioteki w Wiedniu. Schowano ją w archiwach Sal Hiszpańskich, w których całe stopy astronomicznych obliczeń Tychona de Brache leżały już obok zakazanych ksiąg Galileusza, Kopernika i innych heretyków.

W Londynie zaś uknuto nowy spisek; to dlatego posłano sir Ambrose'a na zamek praski w świącie elektora Palatynatu. Polecono mu wydostać z biblioteki

Sal Hiszpańskich tyle tomów, ile zdoła, ze szczególnym uwzględnieniem tej mapy morskiej. Miał zdobyć dostarczyć do Anglii. Nie zapomniano o *coup de main*; nadal, chociaż poniewczasie, zamierzano zadać królowi Hiszpanii miażdżący cios.

- Ale plan się nie powiódł - powiedziałem. - Palimpsest nigdy nie dotarł do Lambeth Palace.

- Nie dotarł - potwierdziła. - Sir Ambrose bowiem w ostatniej chwili zdradził Partię Wojny.

- Zdradził ich? Dlaczego? - Przystanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami, które Alethea próbowała wyważyć ramieniem. - Chce pani powiedzieć, że sir Ambrose był hiszpańskim agentem?

- O nie, to nie sir Ambrose. Ale i Marynarka, i Lambeth Palace były spenetrowane. Wiadomość o palimpseście dotarła do Rzymu i Madrytu. - Napierała, ale drzwi ani drgnęły. Gdzieś z tyłu dolatywało bicie zegara, potem odległe głosy.

- *Ven acquil.*

- *Vayamos por otro ladro!*<sup>5</sup>

Drzwi zaskrzypiały i uchyliły się o cal; te same, uzmysłowiłem sobie, które zagroziły mi drogę podczas wędrówki po Pontifex Hall dawno minionego ranka. Pomogłem pchać. Uchyliły się jeszcze o cal, potem poczułem powiew i coraz bardziej gorączkowe dzwonienie, nie ostróg, jak pomyślałem w pierwszej chwili, lecz flakonów, słoików i kolb na laboratoryjnych półkach.

- Zakrawa na cud, że palimpsest jakoś ocalał - powiedziała Alethea; wreszcie przedarliśmy się przez szczelinę, by zaraz skrócić w inny ciemny korytarz. - Sir Ambrose chciał go na koniec zniszczyć. Mimo że dla ocalenia palimpsestu ryzykował życie, jego ostatnim życzeniem było rzucić pergamin w ogień.

Przed nami runął wielki kęs gipsu, trysnęła woda, belki nad głową trzeszczały pod ogromnym naporem. Z lękiem wędrowaliśmy dalej. Znow runął

tynk, ledwie o dziesięć stóp przed nami.

- Do mapy chcieli się dostać purytanie - powiedziałem. - Standfast Osborne...

- A tak - odrzekła. - Hiszpanie również. A teraz się okazuje, że wie już o niej sekretarz stanu. Sir Ambrose twierdził, że to mapa przeklęta, i miał rację, bo dziesięć lat temu otruli go hiszpańscy agenci. Bali się, że ją sprzeda Cromwellowi; byliśmy w tamtych czasach bez grosza, a purytanie gotowali się do świętej wojny z hiszpańskim królem. Wiedziałam już wtedy, że sir Ambrose nie jest moim prawdziwym ojcem - dodała półgłosem. - Oto, kim są tamci za nami: to hiszpańscy agenci. Mordercy lorda Marchamont.

Przez chwilę nie wierzyłem własnym uszom.

- Sir Ambrose nie był pani ojcem? Przecież...

- No cóż - odrzekła - to moja ostatnia mistyfikacja. Bo mego prawdziwego ojca także zabili hiszpańscy agenci, a mówiąc wprost: Henry Monboddó. Przed laty. Monboddó nie tylko handlował dziełami sztuki, był też hiszpańskim agentem. O palimpseście dowiedział się przez szpiegów w Pradze. Ale po fiasku wyprawy na Orinoko sir Ambrose już wiedział, z kim ma do czynienia; posłużył się więc moim ojcem jako przynętą. Moja matka, która przyjechała z Pragi z moim ojcem, wkrótce potem zmarła podczas porodu...

- Pani matka?

- ...sir Ambrose zaś wychował mnie jako własną córkę. Pewnie uważał to za swój obowiązek, może nawet za rodzaj pokuty, bo zdradził mego ojca; okazał się nie lepszy od chciwych książąt i biskupów Partii Wojny. Mój rodzony ojciec był Czechem, człowiekiem szlachetnym, oddanym naukom i książkom. Sir Ambrose uznał jednak, że nie może zaufać katolikowi.

W labiryncie korytarzy niosły się głosy i echa. Alethea znów przyśpieszyła. Deptaliśmy po opadłych ze ścian gobelinach, mijając pokój, którego okno rozjaśniła błyskawica. W dali widniał lipowy szpaler.

- *Caray!*

*- Por Dios! Las aguas han subido!*<sup>6</sup>

Korytarz skręcił w lewo; znaleźliśmy się w pustej obszernej sali. Zdawało mi się, że słyszę za sobą wystrzał pistoletu, za nim trzask rozrywanego drewna. W połowie sali padłem jak długi w wodę, posadzka okazała się za śliska dla kalekiej nogi. Zaraz się podniosłem, żeby biec dalej - nie miałem złudzeń - w straszne objęcia śmierci.

Alethei najwyraźniej nie obchodziły niebezpieczeństwa.

- Wychowałam się w Pontifex Hall - mówiła - i wszystkiego dowiedziałam się od sir Ambrose'a. Byliśmy jak Miranda i Prospera czekający na czarodziejskiej wyspie, aż burza wyrzuci na brzeg uzurpatorów. W stosownym czasie sir Ambrose opowiedział mi nawet o palimpseście i jego dziejach. Mówiłam, że chciał go zniszczyć, i z przyjemnością sama bym to zrobiła. Lecz odwiódł mnie od tego mąż, a potem sir Richard. Dokument miał iść na sprzedaż. Miałam otrzymać dziesięć tysięcy funtów. Sir Richard podjął się roli agenta. Nie miałam pojęcia, kim jest kupiec, i niewiele mnie to obchodziło. Chciałam się palimpsestu pozbyć, i tyle. Sir Richardowi ufałam bezgranicznie. Mieliśmy się pobrać. Za te pieniądze mogłabym odbudować Pontifex Hall, w którym mieliśmy zamieszkać. - Zamilkła. Z tyłu dobiegały krzyki. - A teraz zjawili się uzurpatorzy - zaczęła smutno - i już wiem...

Nie dosłyszałem ostatniego słowa, bo tynk spadający z sufitu otarł się o moje ramię. Zatoczyłem się i znów upadłem. Kiedy przemoczony, zdyszany podniosłem się i poszukałem ręki Alethei, ręki nie było. Alethea zniknęła w czeluści korytarza. Gdzieś dalej, w laboratorium dziesiątki szklanych flakonów rozdzwoniły się na trwogę.

*Sam rozumiesz...*

Strach dodaje nam skrzydeł, powiadają. A także, jak utrzymuje Ksenofont, jest silniejszy niż miłość. Muszę wyznać, że w parę sekund potem śpieszyłem już korytarzem, nie myśląc o książkach, nawet o Alethei, lecz tylko o sobie. Odgłos mego panicznego utykania tak długo odbijał się od



przemoczonych tynków, aż dotarłem - ślizgając się i zataczając jak pijany - nie do laboratorium, lecz na szczyt schodów, które powinny wyprowadzić mnie na właściwą drogę. Zaskoczył mnie ich widok; wręcz nie wierzyłem, że tak łatwo zdołałem się wydostać z labiryntu korytarzy. Śliskie marmurowe stopnie groziły w każdej chwili upadkiem, podczas schodzenia panika ogarnęła mnie na nowo. Z góry widać było niemal całe atrium: rozciągał się przede mną obraz śmierci i zniszczenia. Owalne lustro leżało na posadzce, w roztrzaskanej tafli odbijał się sufit z wyrwą po żyrandolu. Sam żyrandol leżał na środku posadzki jak zmiażdżony ptak z brązu. A za jego szczątkami Phineas: u drzwi, na brzuchu, z rozpostartymi ramionami.

Z laboratorium nie dobiegały teraz żadne odgłosy ani wołanie o pomoc, nie podzwaniały flakony. Przez chwilę pomyślałem, że powinienem wrócić do Alethei, lecz zaraz potem zacząłem schodzić dalej, uczepiony poręczą. Nie mam zamiaru umierać za grzechy sir Ambrose'a Plessingtona, powiedziałem sobie. Przez wyłamane drzwi zobaczyłem, że wreszcie przestało padać. Ucichł wiatr. Lada chwila mogło rozbłysnąć słońce. Los umie z nas drwić. W atrium miażdżyłem podszwami rozsiane kryształki. Miałem wrażenie, że drzę, że nie mogę ustać. Zaraz potem zrozumiałem, że dygoce posadzka. Spod leżącego ciała Phineasa sączyła się krew, jak witki jaskrawego, podwodnego pnącza. Mijałem krzykliwą plamę, kiedy dobiegł mnie okrzyk: w drzwiach biblioteki zobaczyłem czarno ubraną postać. Po raz ostatni spojrzałem na zdruzgotane półki, na przemoczone zwalisko na podłodze, a potem pośpieszyłem do wyjścia, ku niepewnemu jeszcze światłu dnia.

Konie spłoszone przez burzę podrzucały łbami, a na mój widok zaczęły się cofać. Wpół rozmokły park drżał; w kałużach odbijało się krwawe niebo. Pomyślałem, że wskoczę na kozioł i ucieknę, ale nie było czasu. Mój prześladowca coś wykrzykiwał po hiszpańsku, od strony ogrodu lekarskiego wyłonił się zza rogu ktoś inny. Zacząłem więc uciekać w przeciwną stronę, ku labiryntowi z żywopłotu. Może rościło mi się, że odciągnę morderców od Alethei,

że w końcu wypełnię zadania, które przede mną postawiła. Cóż bowiem sprowadziło ich teraz do Pontifex Hall? Przede wszystkim moja pochopna decyzja przyjazdu z Londynu? Pomysł był idiotyczny, godny fantasty: z chromą nogą i zadyszką nie byłem żadnym przeciwnikiem dla prześladowców, którym sekunduje, jak się okazało, sir Richard Overstreet. Dobiegając do labiryntu, zaryzykowałem jeszcze jedno spojrzenie za siebie, a wtedy zobaczyłem rozwierającą się głęboką bruzdę, długi rów przecinający cały park od ogrodu wodnego po zaprzężony poczwórnym powóz.

We wspomnieniu wypada uznać tę rozpadlinę za katastrofę wręcz biblijną, za cud, jeśli cuda bywają bezduszne i tragiczne. Wpierw ziemia pochłonęła tylne koła powozu. Zadrżała, skruszyła się, powóz przechylił się do tyłu i runął w poszerzającą się wciąż rozpadlinę, która miała już z sześć stóp i wypełniła się wodą; podziemna rzeka przedarła się na powierzchnię. Końskie zady błysnęły i zniknęły. Mężczyzna w czerni, pierwszy z moich prześladowców, zatrzymał się nad samą krawędzią i potknął. Zdumiony i przerażony patrzył, jak czerwona ziemia zapada się, a rozpadlina rozszerza. Zaraz potem zniknął w rozwierającej się paszczy.

Zawróciłem, żeby biec dalej. W powietrzu unosił się cierpki zapach ligustru i stulisza. W labiryncie przerośnięte gałęzie wbijały się w policzki i ramiona; skręciwszy w lewo, dostałem się między jeszcze gęściejsze, chłoszczące szpalery mokrych gałęzi i kaleczących liści ostrokrzewu. Pod nogami chlupotały kałuże. Przez maleńką lukę w żywopłocie dostrzegłem sir Richarda z pistoletem w dłoni; śpieszył ku wejściu do labiryntu. Znów rozwidlenie. Skręciłem w prawo, potem w lewo, lawirowałem w zielonej płataninie. W pewnej chwili korzeń podciął mi nogi; dźwigając się, zauważyłem porzucony w zaroślach sekator. Zardzewiałe nożyce wciąż były ostre; podniosłem je i znowu wzięłem nogi za pas.

Upłynęła może minuta, może dwie, zanim dobiegł mnie przeraźliwy krzyk. Byłem już w środku labiryntu, na porośniętym krzakami skrawku ziemi,

obok przegniłej ławki. Słyszałem przedzieranie się; pewnie sir Richard szedł po moich śladach odcisniętych w błocie. Znowu coś mnie zdradziło. Wkrótce sir Richard mnie dosięgnie, chyba że wcześniej zapadnie się labirynt, bo ziemia dygotała jak warsztat kamieniarza. Kiedy krzyk przeciął powietrze, ja, wparty plecami w przycięte gałęzie, ścisnąłem rękojeść sekatora gotów do pojedynku. Wtedy nad ścianą bukszpanu i grabu zobaczyłem w oknie na piętrze samotną postać.

Więc Alethea dotarła do laboratorium. Z przegniłej ławki, na którą się wdrapałem, widać było, jak otwiera na oścież okno i rozpaczliwie gestykuluje. Patrzyłem na to tylko przez ułamek sekundy, bo ledwie w szybach rozbłysło słońce - rzecz niesłychana, wreszcie wyszło zza chmur - zaczęło się zapadać południowe skrzydło budynku. Belki gięły się, trzaskały, wszystko zamieniło się w lawinę kamienia, odsłaniając widok na bibliotekę spowitą obłokiem tynku; zaraz potem i tu wygięły się belki, a setki książek runęły w rozpadlinę. Nad jamą zawisło na parę sekund pierwsze piętro, a później ociążale zaczęło się walić. Część dachu wysunęła się, roniąc dachówki, potem zadygotały kroksztyny i reszta konstrukcji runęła do rzeki przelewającej się przez fundamenty.

Wciąż sterczałem na ławce zdrętwiały ze strachu, wpatrzony w straszliwe widowisko. Znowu usłyszałem krzyk; teraz wschodnia fasada zarysowała się i zapadła jak ściana skalna, wzbijając chmury pyłu, który kłębił się i wirował jak dym artyleryjski. Po odsłonięciu pomieszczeń - z meblami, z tapetami - ta wspaniała konstrukcja przypominała dom lalek albo model architekta. Zobaczyłem nawet laboratorium, teleskop i półki z potrzaskanymi flakonami. Nie dostrzegłem jednak Alethei, ani tam, ani gdzie indziej. Zeskoczyłem z ławki i z powrotem biegłem przez labirynt, kiedy rozkruszyła się posadzka atrium, a dom lalek zapadł; z łoskotem, który czułem aż w trzewiach, szły w drzazgi podłogi. Wydawało mi się, że jeszcze raz słyszę krzyk, ale pewnie to było złudzenie; słyszałem tylko jęk udręczonego żelaza, pękających belek, kiedy

ostatnie ściany Pontifex Hall żarłocznie pochłaniała woda.

## Epilog

Pora zamykać. Ciemności za oknem zgęstniały i zaległy na szerokiej, nasyconej morzem Tamizie. Belki starego zwodzonego mostu podnoszą się z jękiem, żeby po raz ostatni tego dnia przepuścić jasnobrązowe żagle łodzi i kutrów zmierzających ku ujściu i dalej, w szary przestwór. Na zaśnieżonej jezdni skrzypią ostatnie pojazdy. Za minutę dobiegnie cichy odgłos zwijania markizy za nim trzask zamykanych okiennic. Na dole krząta się Tom Monk z trójką dzieci; podzwaniają kluczami, liczą drobne, ja zaś siedzę na górze w gabinecie i w tej mojej ostatniej ostoi ściskam artretycznymi palcami gęsie pióro, snując z wolna wstążkę słów. Kiedy na dole otwierają się zielone drzwi, u mnie na górze świeca migoce w przeciągu. Poprawiam okulary - wzrok popsuł mi się jeszcze bardziej - i schylam się pełen nadziei. W palenisku świszczy bryłka węgla. Praca nareszcie dobiega końca.

Zostało do powiedzenia i dużo, i mało. Sądzę, że nigdy nie zrozumie do końca, co się zdarzyło ostatniego dnia w Pontifex Hall, chociaż jestem jedyną osobą, która przeżyła i może tę historię opowiedzieć. Moje ocalenie było sprawą szczęścia, może przypadku, a może miłosierdzia świętego Jana Bożego, patrona drukarzy i księgarzy. W końcu uciekłem przed sir Richardem Overstreetem, czy też on uciekł przede mną; w chwili zapadania się budynku biegł bowiem pierwszy przez ogrodowy labirynt, wprost w przepaść. Nie dowiem się, czy chciał ratować Aletheę, czy też pergamin, skoro i jego pochłonał rwący nurt. Po wydostaniu się z labiryntu zobaczyłem, jak go unosi na grzbiecie szeroki bezgłowy wąż sunący przez park. Wtedy już było po wszystkim; zatonał dom wraz z tym, co krył, pochłonięty z wyjątkiem części podziemia. Przede mną rozpościerał się widok na straszliwe spustoszenia. Zniknął nawet obelisk. Nigdzie nie było śladu Alethei, chociaż z górą dwie godziny zeszły mi na poszukiwaniach; przewracałem kawały gruzu, odważyłem się nawet brodzić po

pas w zalanym podziemiu. Odtąd dziesiątki razy śnił mi się po nocach krzyk Alethei wzywającej pomocy. Nic nie znalazłem, z wyjątkiem paru książek, które troskliwie ocaliłem, jakbym wierzył, że przemoczone strzępy ukoją mnie po stracie Alethei bądź uśmierzą moje poczucie winy.

Do Crampton Magna wróciłem pieszo wzdłuż rwącego strumienia wijącego się przez mokre pola przetykane jak wysepkami kępami drzew i na wpół zatopionymi snopami kukurydzy. Wędrówka musiała trwać parę godzin. Wśród szczątków, które strumień unosił z Pontifex Hall, zobaczyłem jeszcze parę książek z unicestwionej biblioteki, w większości tak zniszczonych, że z trudem można było odczytać okładki. Wyratowałem i te; nie pozwoliłem im odpłynąć. Po zapadnięciu ciemności dotarłem Pod Oracza z zawiniętym w płaszcz przemoczonym ciężarem, potem w izbie przy ogniu rozłożyłem książki, żeby wyschły; w sumie siedem. Przez całe godziny obracałem się na posłaniu, nie mogąc zasnąć; czułem się jak rozbitek, który leży na brzegu wśród szczątków i wodorostów, ostrożnie sprawdzając stan swoich członków i kieszeni, zanim wstanie i spróbuje sił w obcym nowym świecie, w który rzuciły go fale.

Świat, w który ważyłem się wkroczyć, rzeczywiście był obcy. Po czterech dniach dotarłem w końcu do Londynu, gdzie Nonsuch House wydał mi się odmieniony nie do poznania. Wszystko zostało na swoim miejscu, łącznie z Monkiem; mimo to księgarnia wydała się delikatnie przekształcona na jakimś elementarnym poziomie drobin. Nawet stare rytuały okazały się bezradne wobec tej magii. Pociechę, skromną, bo skromną, znalazłem w książkach. W pierwszych tygodniach po powrocie zgłębiałem tomy uratowane z Pontifex Hall, jakbym na rozmytych i zeszywniałych stronach mógł znaleźć klucz do tragedii. Tusz wyblakł, złocenia okładek nie przetrwały, odlepiły się nawet ekslibrisy. Te książki wciąż stoją na półce nad moim biurkiem, jedyne w całym zbiorze Nonsuch House nie na sprzedaż.

Wśród nich jest tom o szczególnym znaczeniu. To *Anthologia Graeca* -

zbiór fragmentów skompilowany w Konstantynopolu przez Cephalasa, po wiekach odkryty na nowo w Heidelbergu w Bibliotece Palatynackiej. Nie miał żadnego ekslibrisu, lecz na wyklejce zapisano słowa „Emilia Molyneux”, a w środku tkwiły paszport oraz świadectwo zdrowia na nazwisko Silas Cobb; oba dokumenty opieczętowane w Pradze w roku 1620. Najpierw nazwiska były niewidoczne. Dopiero z biegiem czasu pojawiły się na nowo - jako „mary”, powiedziałyby Alethea - w wyniku jakiejś tajemniczej reakcji chemicznej, która z powrotem wyprowadziła taniny i sole żelaza na powierzchnię pergaminu. To od tych skrawków - paru nagryzmołonych słów, które wyszły z ukrycia jako palimpsest - zacząłem cierpliwie odtwarzać bieg wypadków.

Niektóre fragmenty łatwiej było poukładać, inne trudniej. O wydarzeniu wspomniała przecież większość gazet; doniesiono o śmierci sir Richarda Overstreeta, wybitnego dyplomaty, właściciela ziemskiego, który niedawno powrócił z Francji z wygnania. Na ciało natrafiono po trzech dniach, z grubsza pięć mil od Pontifex Hall. Natomiast nigdzie nie było mowy o Alethei ani o trzech Hiszpanach. Ich ciała, jak podejrzewam, nie znaleziono; podobnie palimpsestu ani, o ile wiem, tysięcy książek sir Ambrose'a.

Rzecz jasna sam sir Ambrose nieodmiennie pozostaje dla mnie wielką zagadką. Często zastanawiałem się, dlaczego zdradził sojuszników i ukrył palimpsest w Pontifex Hall. Był jednak idealistą: wierzył w reformację, w rozprzestrzenianie wiedzy, we wspólnotę uczonych podobną do tej opisywanej w manifestach różokrzyżowców czy przez Francisa Bacona w *Nowej Atlantydzie*, która opowiada, w jaki sposób nauki przyrodnicze winny doprowadzić świat do Złotego Wieku, owego stanu doskonałości przed upadkiem człowieka w raju. Po powrocie do Anglii sir Ambrose musiał zaznać gorzkiego rozczarowania. Przekonał się, że Partii Wojny nie tworzą oświeceni uczeni - podobni tym z Akademii Platona czy Liceum Arystotelesa - lecz złodzieje i mordercy, równie ciemni i źli jak ci z Rzymu i Madrytu. Europa stanęła bowiem na krawędzi przepaści, a badanie przyrody i poszukiwanie prawdy zostały

wyparte przez ordynarne zmagania, w których - nawzajem - i protestanci, i katolicy chcieli podporządkować sobie przeciwnika. Nauka już nie służyła ulepszaniu świata: zamiast tego stała się dziewczką na służbie uprzedzeń i ortodoksji, a uprzedzenia i ortodoksje dziewczkami na służbie rzezi. Sir Ambrose nie zamierzał w tym uczestniczyć. Zapewne uznał, że lepiej, żeby wyspa z jej bogactwami - jeśli istnieje - pozostała w zapomnieniu do dnia, w którym świat okaże się wart jej skarbów. Lecz nie o sir Ambrosie ani jego książkach - nawet nie o *Labiryncie świata* - myślałem wówczas najczęściej. Opłakiwałem Aletheę. Niekiedy pozwalałem sobie na myśl, że ocalała z katastrofy. W późniejszych latach często wyglądałem przez okno Nonsuch House i widok kobiety w znajomym stroju lub powozie bądź kobiety o szczególnym profilu lub geście mógł mnie przyprawić o chwilę cudownego wstrząsu, a potem o nieuniknione rozczarowanie i żal. Alethea, jak Arabella, znów się wycofywała w cień wspomnień, stawała się odległa jak wyobrażenie zagubionej wyspy na Pacyfiku, której nawet dzisiaj, w Roku Pańskim 1700 jeszcze nie odkryto na nowo. Z czasem nawet te przelotne przypomnienia pierzchły sprzed mego okna i teraz widuję Aletheę tylko w snach.



## **Przypisy**

### **CZEŚĆ I**

#### **Rozdział I**

<sup>1</sup> Mowa o dawnej mili (league) liczącej około 5 kilometrów.

<sup>2</sup> W latach sześćdziesiątych XVII wieku London Liberties był to obszar poza murami miasta, podległy wszakże miejskiej władzy i prawom; rozciągał się na lewym brzegu Tamizy od Tower na wschodzie po Fleet Street na zachodzie. Zabudowany ruderami, uchodził za dzielnicę ubogą i niebezpieczną.

<sup>3</sup> „Secretary hand” - styl pisma używany w dokumentach przez kopistów, popularny jeszcze w czasach elżbietańskich; rozwichrzony, lecz czytelny.

#### **Rozdział II**

<sup>1</sup> Dolne miasto (fr.).

#### **Rozdział III**

<sup>1</sup> Słowo zapisane zostaje (łac). Pełna wersja przysłowia: *Vox audita perit, littera scripta manet* - Słowo wypowiedziane przepada, zapisane zostaje.

<sup>2</sup> Marsilio Ficino (Marsilius Ficinus, 1433- 1499), filozof, filolog, teoretyk sztuki, lekarz; tłumacz i komentator Platona i Plotyna, założyciel Akademii Florenckiej.

<sup>3</sup> Petrus Victorinus (Victorius, Piętro Vettori, 1499- 1584), włoski humanista.

<sup>4</sup> Mathias Illyricus Flacius (Matija Vlaeic, Matthias Flach, ur. 1520), teolog i historyk pochodzenia chorwackiego.

<sup>5</sup> Isaac Casaubon (1559- 1614), uczony, stronnik reformacji; urodzony w Szwajcarii, działał we Francji jako profesor uniwersytetu w Montpellier, potem w królewskiej bibliotece w Paryżu. Po zabójstwie Henryka IV przeniósł się do Anglii. Uchodził w swoich czasach za znakomitość; między innymi opublikował z własnymi komentarzami Swetoniusza, Polibiusza, Teofrasta.

<sup>6</sup> Dionisius Lambinus (Denis Lamin, 1520- 1572), profesor łaciny i greki

w College de France, między innymi redaktor wciąż cenionych wydań Lukrecjusza, Horacego, Cyserona, Neposa, Demostenesa; prawdopodobnie ofiara nocy Św. Barłomieja.

<sup>7</sup> William Caxton (ok. 1415 a 1424- 1492), pierwszy drukarz angielski, ponadto pisarz, tłumacz, dyplomata i kupiec; wywarł wpływ na kształt angielszczyzny.

<sup>8</sup> John Gerard (1545- 1607), autor cieszył się opinią znawcy roślin, niemniej jego praca, wzmiankowana tutaj i kilkakrotnie uzupełniana przez innych autorów, nie jest oryginalna, lecz oparta na pracach wcześniejszych.

<sup>9</sup> Vannoccio Biringuccio (1480- 1537), włoski chemik i mineralog działający we Włoszech i Niemczech, opisał aspekty chemii nieorganicznej; *Pirotechnia* została opublikowana pośmiertnie w roku 1540.

<sup>10</sup> Lazarus Ercker (Erckner, Erckel, uszlachcony jako von Schreckenfels; ok. 1530- 1594), metalurg, znawca górnictwa, alchemik, zatrudniony na dworach elektora saskiego Augusta, następnie cesarzy Maksymiliana II i Rudolfa II. Wymienione dzieło to pierwszy podręcznik chemii dotyczący stopów, metali oraz rud srebra, złota, miedzi, antymonu, rtęci, bizmutu i ołowiu.

<sup>11</sup> Znane prace z repertuaru alchemicznego.

<sup>12</sup> Autentyczność postaci pozostaje zagadką; Artefiusowi przypisywano tysiącletni żywot za sprawą magicznego eliksiru; uchodzi za autora tekstów o alchemii i magii zebranych w *Tajemnej księdze Artefiusa*.

<sup>13</sup> Henryk Korneliusz Agryppa (Heinrich Cornelius Agrippa von Nettesheim, ur. 1468 w Kolonii, zm. 1535 w Grenoble), erudyta i wykładowca uniwersytecki o awanturniczym życiorysie, między innymi obrońca czarownic przed stosem; także autor prac o magii i mistyce, legendarny prawzór Fausta.

<sup>14</sup> *Corpus hermeticum. Boski Pymander iv XVII księgach* uchodzi za zbiór pism Hermesa Trismegistosa, nosiciela wiedzy ezoterycznej egipsko-greckiej; Hermes Trismegistos to połączenie egipskiego boga Tota i greckiego Hermesa (od niego się wywodzi nazwa „hermetyka”).

<sup>15</sup> Act of Indemnity and Oblivion.

<sup>16</sup> Karol I Stuart został ścięty w wyniku procesu przed okrojonym Parlamentem („kadłubowym”), a ściślej przed stu pięćdziesięcioosobową komisją parlamentarną.

#### **Rozdział IV**

<sup>1</sup> Podziemia, czyli *świat Cerery* (łac).

<sup>2</sup> Dzieła sztuki (franc).

<sup>3</sup> Artystyczna skrzynia, wielka szkatuła (niem.).

<sup>4</sup> Cesarz rzymski Rudolf II, władca najwyższy, król, ku powszechnemu dobru (łac).

<sup>5</sup> Niechaj współcześni i potomni wiedzą, że ja... (łac).

<sup>6</sup> De Rupescissa (John of Roquetaillade, data urodzenia nieznana, zm. 1362), franciszkanin, studiował w Tuluzie, następnie w klasztorze w Orleanie; pracował nad „wodą życia” leczącą wszelkie choroby, otrzymywaną z przetwarzania ołowiu; zajmował się też alchemią i publikował prace na ten temat w Bazylei i Strasburgu. Upodobanie do prorocत्व i obnażania błędów kościelnych przyczyniło się do uwięzienia z rozkazu papieża Klemensa VI i Innocentego VI.

<sup>7</sup> Albamazar (Albumasar, Abu Ma ‘shar, Ja’far Ibn Muhammad Abu Ma ‘shar al - Balkhi, 787-886), perski matematyk, astronom i astrolog z Balkh (dzisiejszy Afganistan); jego dzieła tłumaczone na łacinę były znane w średniowiecznej Europie.

<sup>8</sup> Jan Sacrobosco (John Hollywood, zm. 1256 w Paryżu), angielski zakonnik, profesor astronomii w Paryżu; z początkiem XIII wieku napisał *Traktat o sferze*, w którym, korzystając z pracy al-Farghaniego, opisał podstawy astronomii Ptolemeusza. Ów *Traktat* funkcjonował przez kilka stuleci jako podręcznik uniwersytecki.

#### **Rozdział V**

<sup>1</sup> Podręcznik magii, przypisywany arabskiemu matematykowi z Andaluzji

al-Majritiemu, przetłumaczony na łacinę na kastylijskim dworze Alfonsa X Mądrego w 1256 roku.

<sup>2</sup> Wolne miasto Rzeszy (niem.).

<sup>3</sup> Majątek rodowy (niem.).

<sup>4</sup> Rodzaj dworskiego widowiska teatralnego z muzyką, pantomimą i tańcem, z XVI, a zwłaszcza XVII wieku; maski wykonywano po amatorsku dla wspólnej rozrywki, kultywowano głównie w Anglii, gdzie do autorów masek zaliczał się sam Ben Jonson, a projektantów scenerii Inigo Jones.

<sup>5</sup> Dwa ostatnie tytuły to romanse rycerskie ze zbioru Cervantesowskiego Don Kichota.

<sup>6</sup> Dokonuje się bolesne rozdzielenie bogów od ludzi, pozostają tylko zbrodniczy aniołowie (łac); fragment *Corpus hermeticum. Boskiego Pymandra* - por. rozdział 3.

## **Rozdział VI**

<sup>1</sup> Abraham Ortelius (Abraham Ortels, 1527- 1598), kartograf i geograf z Antwerpii; uchodzi za twórcę pierwszego nowoczesnego atlasu świata, który zestawiał między innymi z inspiracji swego przyjaciela Merkatora. Atlas Orteliusa złożony z 53 map ukazał się po raz pierwszy w Antwerpii w maju 1570 i doczekał dwudziestu pięciu wydań za życia autora; Ortelius opracował też siedemnaście map uzupełniających atlas.

<sup>2</sup> Thomas Salusbury (ok. 1620 a 1630-ok. 1665), angielski tłumacz dzieł z dziedziny matematyki i fizyki.

## **Rozdział VII**

<sup>1</sup> Gorliwość, przejęcie, zapal (fr.).

## **Rozdział VIII**

<sup>1</sup> W sekrecie.

## **CZĘŚĆ II**

### **Rozdział I**

<sup>1</sup> Kwas azotowy, używany w alchemii między innymi do oddzielania złota

od innych metali, srebra czy miedzi.

<sup>2</sup> Nazwa łacińska tej instytucji brzmiała *Academia Secretorum Naturae*, czyli Akademia Tajemnic Przyrody.

<sup>3</sup> Blaise de Vigenere (1523- 1596), francuski dyplomata i kryptograf, autor między innymi wspomnianego *Traktatu o szyfrach czyli tajemnych sposobach pisania*, uchodzi za twórcę tak zwanego szyfru polialfabetycznego, nie złamanego przez kilka stuleci, w istocie będącego dziełem Giovana Batisty Belaso.

## Rozdział II

<sup>1</sup> Croll (Oswald Crollius, ok. 1560- 1609), autor znanego, wielokrotnie wznawianego dzieła, w którym zajmował się farmakologią, lekami i alchemią.

<sup>2</sup> Sendigovius Polonus (Michał Sędziwój, ps. Cosmopolita, 1566- 1636), polski lekarz, dyplomata, chemik i alchemik, między innymi na dworze Zygmunta III Wazy. Schyłek życia spędził w Pradze na dworze Rudolfa II, gdzie między innymi zasłynął jako budowniczy kopalń rud metali i hut. Główna postać znanego obrazu Matejki, bohater powieści Dziekońskiego.

<sup>3</sup> Leonhard Thurneysser (1531- 1596), szwajcarski lekarz, chemik, metalurg, alchemik, działający w całej niemal Europie; autor osiągnięć technologicznych, ale i oszustw.

## Rozdział V

<sup>1</sup> Francisco de Moraes Cabral (ok. 1500- 1572), pisarz portugalski, między innymi sekretarz portugalskiego posła we Francji; jego romans rycerski *Palmerin z Anglii*, pisany pomiędzy 1540 a 1546 we Francji, cieszył się powodzeniem w całej Europie.

<sup>2</sup> Autor egipski, piszący po grecku, żyjący w 3 wieku p.n.e., postać przenoszona do mitu (występuje w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Potockiego).

<sup>3</sup> Bizantyjski autor (1110-ok. 1185).

<sup>4</sup> Kallimach z Cyreny (ok. 310 p.n.e. - ok. 240 p.n.e.), poeta, twórca m.in.

epigramów, hymnów, elegii, bibliotekarz Biblioteki Aleksandryjskiej, autor listy siedmiu cudów świata.

<sup>5</sup>Arystofanes z Bizancjum - około 200 roku p.n.e. bibliotekarz w Muzeum Aleksandryjskim; uchodzi za ojca greckiej interpunkcji, początkowo służącej wygodzie mówców poprzez oznaczanie oddechu, akcentu, przerwy.

## Rozdział VI

<sup>1</sup> Tabit Ibn Qurra (ok. 826-901), pochodzący z Harranu (Górna Mezopotamia, obecnie Turcja), skłócony z rodzimą sektą sabejczyków uczony, rozwinął pełną działalność w Bagdadzie, jako protegowany m. in. kalifa Al-Mu'tadida. Autor bez mała stu traktatów z dziedziny matematyki, astronomii, mechaniki, fizyki, teorii muzyki, medycyny i weterynarii. Autor licznych przekładów naukowych prac greckich.

<sup>2</sup> Klemens Aleksandryjski (Titus Flavius Clemens, ok. 150-ok. 215), Ateńczyk wiele podróżujący po Bliskim Wschodzie, teolog piszący po grecku zaliczany do Ojców Kościoła; główne dzieło to *Kobierce zapisków filozoficznych dotyczących prawdziwej wiedzy (Stromata)*.

<sup>3</sup> Słowo „kawaler” oznaczało w Anglii w czasach wojny domowej i późniejszych rojalistę, którego politycznym przeciwnikiem był „okrągłogłowy”, krótko ostrzyżony zwolennik Parlamentu.

<sup>4</sup> *Doublure* - kosztowna oprawa z tłoczonej skóry lub malowanego weluru; *levant* - używany do opraw gruby marokin; *repousse* - tłoczone.

<sup>5</sup> Wybuch wojny domowej łączył się z powstawaniem i działaniem małych sekt; rantersi należeli do radykałów, byli właściwie panteistami, sposobem ich demonstrowania często była nagość, jako dowód równości; wpieryw konkurowali z młodym ruchem kwaków, w okresie Restauracji stawali się często kwakrami.

<sup>6</sup> Blasphemy Act - 1650. Na podstawie tej ustawy aresztowano przywódcę kwaków George'a Foxa.

## Rozdział VII

<sup>1</sup> Ściśle *Droit d'Aubaine* - prawo sposobności; feudalne prawo zniesione dopiero w czasach rewolucji francuskiej przewidywało, że majątek cudzoziemców zamieszkałych we Francji przechodzi po ich śmierci na własność króla Francji.

<sup>2</sup> Cezar Baronius (Cesare Baronio, 1538- 1607), kardynał włoski, historyk chrześcijaństwa; na polecenie papieża Grzegorza XIII dokonał rewizji katalogu męczenników z pierwszych wieków chrześcijaństwa, dzieło główne to *Annates ecclesiasticae a Christo natum ad annum 1198*, wydawane przez dziewiętnaście lat.

<sup>3</sup> Philippe de Mornay (Du Plessis-Mornay bądź Mornay Du Plessis, 1549-1623), wybitny francuski pisarz protestancki. Uszedł z życiem z rzezi podczas nocy św. Bartłomieja, szukał potem schronienia w Anglii. Uczestnik religijnej wojny domowej we Francji, reprezentował Henryka króla Nawarry w Anglii i w Holandii. U szczytu działalności publicznej zwany „papieżem hugenotów”. Rozczarowany przejściem na katolicyzm Henryka z Nawarry, wówczas już króla Francji, poświęcił się pracy uniwersyteckiej. Liczne dzieła historyczne i teologiczne.

<sup>4</sup> Henryk IV Wielki, Burbon (1553- 1610), król Nawarry od roku 1572, przywódca hugenotów. Ocalały z rzezi podczas nocy Św. Bartłomieja zwycięsko dowodził wojskami protestanckimi w walce z Ligą Katolicką, wspieraną przez Hiszpanię i papieża Sykstusa V, podczas francuskiej religijnej wojny domowej. Następnie król Francji od 1589. Po kolejnych kilku latach wojny domowej przeszedł na katolicyzm (słynne „Paryż wart jest mszy”), wydając zarazem dekret o tolerancji wyznaniowej. Założyciel dynastii Burbonów, zamordowany przez fanatyka katolickiego.

<sup>5</sup> Niosę bibliotekę Księcia Palatynatu (łac).

## Rozdział VIII

<sup>1</sup> Droga boleści (łac).

<sup>2</sup> *Indeks ksiąg zakazanych*, sporządzony na polecenie papieża Pawła IV,

wcześniej Generalnego Inkwizytora, ukazał się w roku 1559. Natomiast w roku 1571 powołano Kongregację Indeksu, urząd upoważniony do rewidowania zawartości listy.

<sup>3</sup> Ferdynand II Habsburg.

<sup>4</sup> Strychnina (łac).

## Rozdział IX

<sup>1</sup> John Thurloe (1616- 1668), syn oksfordzkiego rektora, prawnik; wpływowa postać za rządów Cromwella, między innymi sekretarz stanu, następnie szef wywiadu, który stworzył odrębne biuro kryptologii. W czasach Restauracji usunięty ze stanowisk; ułaskawiony w zamian za udostępnienie ważnych dokumentów.

<sup>2</sup> Edward Sexby (lub Saxby, 1616- 1658), żołnierz purytańskich oddziałów Cromwella, uczestnik pojmania Karola I, w randze dowódcy wysyłany do Irlandii, Szkocji i Francji. Zwrócił się przeciw Cromwellowi, zarzucając mu zdradę idei republikańskich. Snuł plany obalenia Cromwella, zawiązywał spiski; uchodzi za autora wspomnianego tu pamfletu *Killing Noe Murder*, wydanego pod pseudonimem. Zmarł w więzieniu, obłąkany.

## Rozdział XI

<sup>1</sup> Nabrzeża, a właściwie port z kontrolą celną rozciągający się w Londynie między Tower a London Bridge.

<sup>2</sup> O kapitanie Fazebyrn wspomina Samuel Pepys w *Dzienniku* (fragment pominięty w polskim przekładzie Marii Dąbrowskiej), w sześć lat po przedstawionej tu sytuacji powieściowej.

<sup>3</sup> *Wygnanie bestii tryumfującej* (1584); dialogi napisane podczas pobytu Bruna w Anglii na dworze Elżbiety I i w Oksfordzie.

<sup>4</sup> John Napier (1550- 1617), między innymi znany jako wynalazca logarytmu i „tabliczek Napiera”, instrumentu, którego następcą jest suwak logarytmiczny.

<sup>5</sup> Praca z roku 1599; Edward Wright (1561- 1615), matematyk i kartograf,



między innymi udoskonalili wykorzystywanie siatki Merkatora.

<sup>6</sup> Klęska Wielkiej Armady.

<sup>7</sup> Chodzi o Henryka VIII Tudora.

<sup>8</sup> Tłumaczenie zamówione przez króla Jakuba I na potrzeby Kościoła Anglii, tak zwany „Przekład Autoryzowany”.

<sup>9</sup> *Złota Lania* - flagowy okręt Francisa Drake'a opływającego Ziemię.

<sup>10</sup> Prowokatorów (franc).

<sup>11</sup> Lojalni [wobec] (hiszp.).

## **Rozdział XII**

<sup>1</sup> Cornelius Jacobszoon Drebbel (1572- 1633), konstruktor pierwszych wypróbowanych w praktyce łodzi podwodnych, napędzanych wiosłami. Udane pokazy przeprowadzono na Tamizie w obecności Jakuba I i tysięcy widzów (1620). Drebbel jest autorem wielu innych wynalazków: mikroskopu z dwoma okularami, zegara astronomicznego nie wymagającego nakręcania (napędzanego różnicami ciśnienia atmosferycznego), termometru, wyposażonego w termostat inkubatora dla kurcząt. Przez pewien czas był w Pradze nadwornym alchemikiem Rudolfa II, tam też zetknął się z Michałem Sędziwojem, od którego jakoby nauczył się technologii uzyskiwania tlenu.

<sup>2</sup> *Antologia grecka* - zbiór wierszy i epigramów literatury greckiej z okresu starożytnego i bizantyjskiego. Pierwotna wersja, opracowana przez Meleagra z Gadary, zawierała dzieła czterdziestu sześciu poetów. Cieszyła się powodzeniem i doczekała kolejnych, coraz bardziej rozszerzanych opracowań innych antologistów; kształt ostateczny nadał jej w X wieku Konstantyn Cephalas.

## **Rozdział XII**

<sup>1</sup> *Prayer Book*, także *Book of Common Prayer*, jedna z podstaw anglikanizmu; pierwotna wersja z roku 1549 ulegała rewizjom w latach 1552, 1559 i 1662. Za panowania Stuartów, Jakuba I i Karola I, wydawała się purytanom nie dość radykalna i w czasach Cromwella doczekała się zakazu.

Przywrócona do użytku za Restauracji pod rządami Jakuba II.

Thomas Cranmer, arcybiskup Canterbury i twórca *Book of Common Prayer*, przypłacił powstanie modlitewnika spaleniem na stosie w 1556 roku, za katolickich rządów Marii Tudor.

### CZEŚĆ III

#### Rozdział II

<sup>1</sup> Johann Valentin Andreae (Johannes Valentinus Andrea, 1586- 1654), pisarz, matematyk, teolog. Po studiach w Tybindze, licznych podróżach w młodości, polemikach z Kościołem ewangelickim, ostatecznie został duchownym luteranskim. Autor manifestów bractwa Różo-Krzyża, symboliczno-mistycznej powieści *Alchemiczne zaślubiny Christiana Rosenkreutza roku 1459*, wreszcie autor projektu idealnego społeczeństwa przedstawionego w powieści *Opis Rzeczypospolitej Christianopolitanii*.

<sup>2</sup> Traiano Boccalini (1556- 1613), satyryk i pisarz polityczny, przez wiele lat wysoki urzędnik państwa papieskiego, autor popularnej w Europie satyry *Ragguagli di Parnaso* („Raporty z Parnasu”).

#### Rozdział IV

<sup>1</sup> Zespół budynków w Londynie, w przeważającej mierze zburzony pod koniec XIX wieku; od XV do XIX wieku siedziba stowarzyszeń prawniczych, także miejsce pracy urzędników kanclerskich i sądowych.

<sup>2</sup> Rolls Chapel (Kaplica Zwojów) zawdzięcza nazwę temu, że przechowywano w niej dokumenty: edykty, nadania, zlecenia, patenty zapisane na pergaminowych zwojach (*rolls*). Budynek pełnił rolę archiwum od panowania Ryszarda III; wcześniej służył wspólnocie ochrzczonych Żydów, jeszcze wcześniej wspólnocie Żydów.

#### Rozdział V

<sup>1</sup> Maciej Korwin (Hunyadi Matyas, 1443- 1490), uchodzi za najwybitniejszego władcę Węgier; był także królem Czech (1469- 1490); renesansowy mecenas sztuki i nauki, założyciel uniwersytetu w Bratysławie.

## **Rozdział VI**

<sup>1</sup> Sposób działania (łac).

<sup>2</sup> Krzyż hermetyczny (łac).

<sup>3</sup> Głowa nieboszczyka (łac).

## **Rozdział VII**

<sup>1</sup> Gniew jest chwilowym szaleństwem (łac).

<sup>2</sup> Zbiór 95 wierszy poświęconych bogowi potencji Priapowi, którego posągi chętnie stawiano w rzymskich ogrodach.

<sup>3</sup> Demetriusz z Faleronu (345 p.n.e.-283 p.n.e.), filozof, polityk i pisarz grecki. Z powodzeniem rządził Atenami przez 10 lat. Wygnany z Grecji, udał się do Aleksandrii na dwór Ptolemeusza I, gdzie poświęcił się literaturze i filozofii.

## **Rozdział VIII**

<sup>1</sup> Złoty Indianin (hiszp.).

<sup>2</sup> Przywilej (hiszp.).

<sup>3</sup> Hipparchos z Nikei (ok. 190 p.n.e.- 120 p.n.e.), matematyk, astronom, geograf działający w Aleksandrii i na wyspie Rodos. Jego dziełem są cenne obliczenia astronomiczne, atlas gwiazd, używana do dzisiaj skala wielkości gwiazdowych; uchodzi za twórcę astrolabium.

<sup>4</sup> Johann Werner (1468- 1522), matematyk, astronom, geograf, twórca licznych instrumentów obserwacyjnych.

<sup>5</sup> Zaskakujący, druzgocący atak (fr.).

<sup>6</sup> Ludzi interesu (hiszp.).

<sup>7</sup> Chodzi o zarzuconą miarę mili morskiej: 1 mila = 4,83 kilometra.

<sup>8</sup> Eskadra eskortująca.

## **Rozdział IX**

<sup>1</sup> O niebie (łac).

<sup>2</sup> Garnizony (hiszp.).

<sup>3</sup> Obszar kolonii hiszpańskich obejmujący część dzisiejszej Panamy i

Kolumbii.

<sup>4</sup> Instrument nawigacyjny, prototyp sekstantu; częściej znany pod angielską nazwą „backstaff”.

<sup>5</sup> „Tędy! A wy w drugą stronę!” (hiszp.).

<sup>6</sup> „Do diabła! Boże! Wody przybywa!” (hiszp.).

## *Spis treści*

<i>Część pierwsza Księgozbiór.....</i>	<i>5</i>
<i>Część druga Tłumacz tajemnic.....</i>	<i>97</i>
<i>Część trzecia Labirynt świata.....</i>	<i>285</i>
<i>Epilog.....</i>	<i>405</i>
<i>Przypisy.....</i>	<i>409</i>